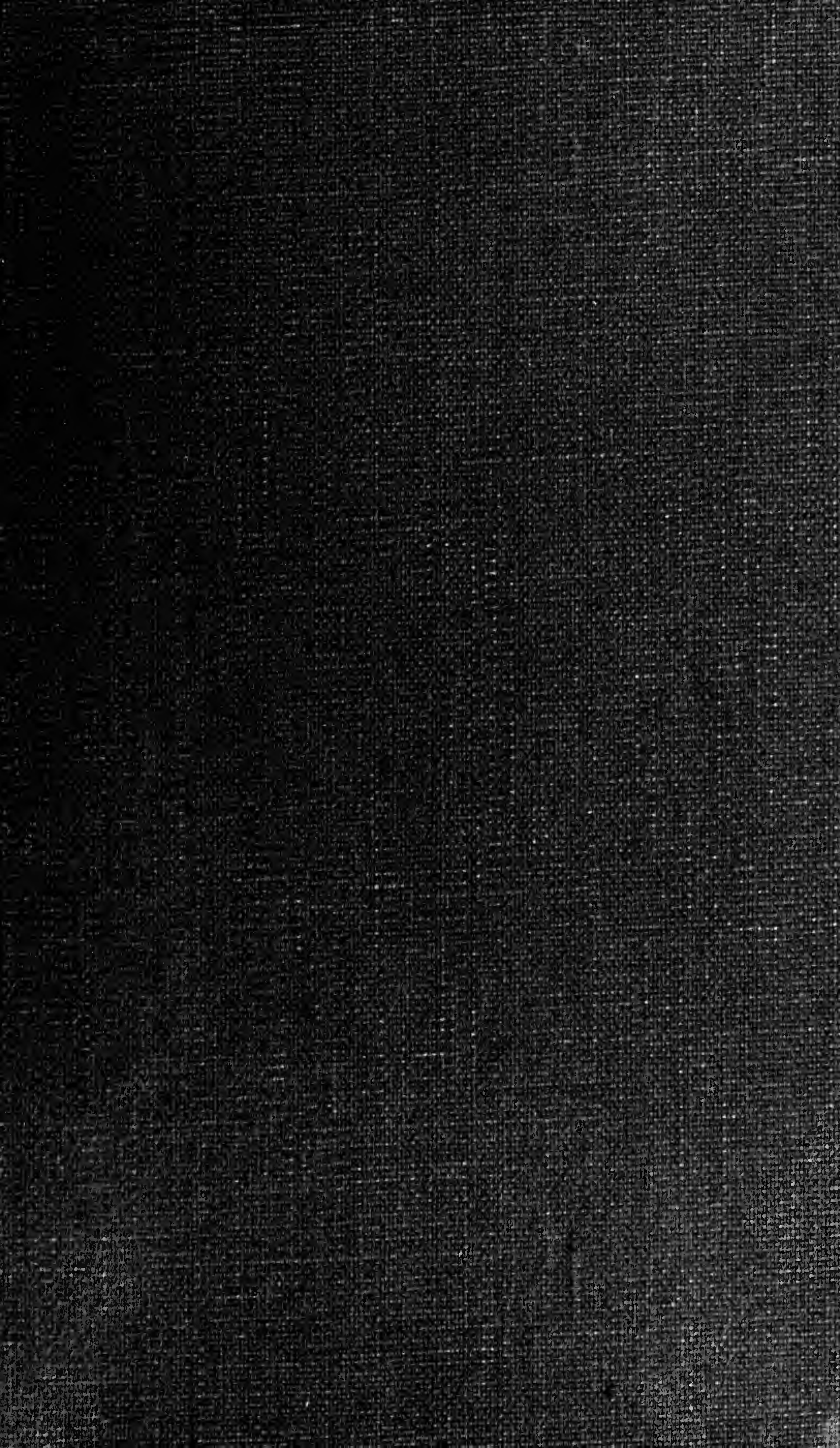
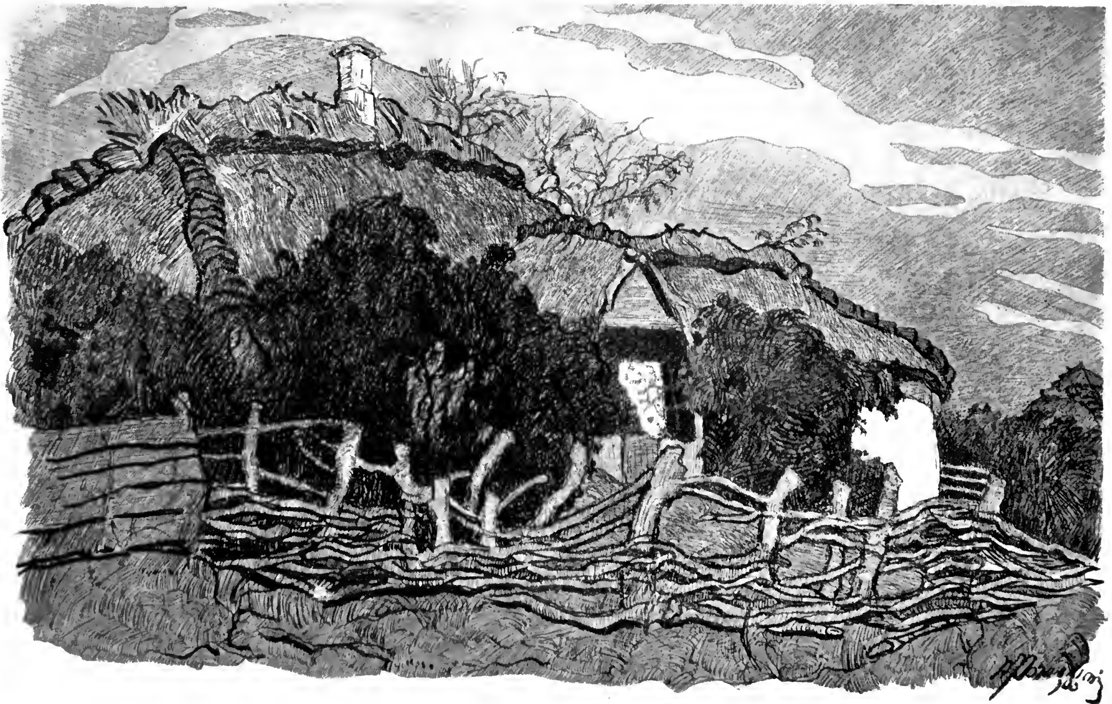


BOHDAN ZALESKI

I



Domek rodzinny Bohdana Zaleskiego w Bohatyrce.

JÓZEF TRETIAK

BOHDAN ZALESKI

DO UPADKU POWSTANIA LISTOPADOWEGO

1802—1831

ŻYCIE I POEZYA

KARTA Z DZIEJÓW ROMANTYZMU POLSKIEGO

Z 6-CIU RYCINAMI

KRAKÓW
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1911.

PG
7158
Z3Z87



851843

DRUKARNIA UNIW. JAGIELL. POD ZARZ. J. FILIPOWSKIEGO.

Słowo wstępne autora.

Rozpoczynając niniejszą pracę, miałem tylko zamiar oświetlić zbliska postać głównego przedstawiciela poezyi polsko-ukraińskiej, a to korzystając z obfitego materyału rękopiśmiennego, który nie był dostępny moim poprzednikom[1]; chciałem wydobyć poetę z ogólnikowej charakterystyki, z jakiej powszechnie jest znany, dając szczegółowy obraz jego duszy i poezyi, przedewszystkiem chciałem pokazać, jak on *stał się* takim, jakim *został* i zachował się w pamięci potomnej. O roztaczaniu szerszego tła nie myślałem. Ale to szersze tło własną siłą wcisnęło się do mojej pracy, rozsadziło pierwotnie nakreślone jej granice i rozmiary jej znacznie rozszerzyło. Dwa względy odegrały tu ważną rolę. Stosunek przyjacielski z Goszczyńskim i Michałem Grabowskim, na który sam poeta kładł wielki nacisk, nazywając go »osobnym poematem« w swojem życiu, domagał się szerokiego uwzględnienia, zwłaszcza, że nastręczał się do tego obfity materyał

[1] Autorami najobszerniejszych prac, obejmujących całość życia i twórczości B. Zaleskiego, są pp. Mikołaj Mazanowski i Stanisław Zdziarski.

w pamiętnikach pierwszego i listach drugiego, i że dwaj ci przyjaciele stanowią niezmiernie zajmujący kontrast pod każdym niemal względem, w szczególności pod względem nastroju psychicznego. Z drugiej strony ciągła styczność Zaleskiego z literackiem życiem Warszawy przez lat dziesięć, od r. 1820 do 1830, t. j. w okresie, w którym się rozegrała walka romantyzmu z pseudoklasycyzmem na polskim, ściślej mówiąc na warszawskim gruncie, zmuszała do wprowadzenia postaci naszego poety na tło tej walki, zmuszała tem bardziej, że imię jego obok imienia Mickiewicza służyło za chorągiew dla wojującego romantyzmu. Stąd poszło, że druga, główna część pracy niniejszej, obejmująca okres młodości Bohdana Zaleskiego, stała się nietylko historyą jego życia i twórczości, ale poniekąd »kartą z dziejów romantyzmu polskiego«, jak to w tytule zaznaczono.

Rok 1831 stanowi głęboki przełom w życiu politycznem i umysłowem Polski; odgrywa on też przełomową rolę w losach naszego poety, który od tej chwili aż do śmierci prowadzi życie tułacza-wygnańca, życie z natury rzeczy rozwijające się na tle bardzo odmiennem od dawniejszego. Dlatego, opracowawszy biografię i historyę twórczości Bohdana do owego przełomu, postanowiłem tę część pracy o Bohdanie Zaleskim traktować jako odrębną całość i wydać ją, nie czekając, aż dalsze studya pozwolą mi na opracowanie wygnańczego okresu życia poety, zwłaszcza, że trudno mi przewidzieć, jak prędko z tego drugiego zadania potrafiłbym się wywiązać.

Ten dalszy, wygnańczy żywot Bohdana jest bardzo długi, bardzo ściśle spleciony z życiem emigracyi i pełen rozmaitości; i dalsza twórczość poety ciągnie się długo, aż do zmierzchu życia, ma chwile świetnych rozbłyśnięć talentu, ma drugą wiosnę poetycką, a obfitością utworów góruje niepomiernie nad twórczością dopowstańczego okresu życia. — A jednak zdaje mi się, że dla historyi naszej poezyi ten młodzieńczy okres ma więcej znaczenia, niż dalszy, nietylko dlatego, że jest tu Zaleski obok Mickiewicza szczytem ówczesnej poezyi romantycznej, ale przedewszystkiem, że tu się wytwarzają te wszystkie elementa, z których snuć on będzie swoją poezyę do końca życia. Te struny jego gęśli: »Bóg, świat, Słowiaństwo, Polszcza, Ukraina«, które nie przestaną rozbrzmiewać przez całe pół wieku po powstaniu listopadowem, tutaj już są naciągnięte i tutaj już to głośniej, to ciszej się odzywają.

Najbardziej charakterystyczną z tych strun dla poezyi Zaleskiego jest ukrainizm. Już przed rokiem 1830 nietylko rodzi się w niej, rozwija, ale dojrzewa i występuje w całej pełni ten kierunek romantycznego umiłowania pobratymczego żywiołu ruskiego, wiekami zespolonego z życiem Polski, ta dążność wciągnięcia ludowej kultury ruskiej w szeroki, rozwidniony promieniami kultury zachodniej świat poezyi polskiej.

Kierunek ten, dążący do zbratania dwóch bliskich, ale różnostopniowych kultur, jest bardzo zajmującym przez to, że odpowiada dawniejszym dąże-

niom do politycznego i religijnego zbratania różnoplemiennych żywiołów dawnej Rzeczypospolitej, tak, że możnaby go nazwać trzecią unią — po politycznej i religijnej — unią poetycką. Otóż jeżeli w tej unii Malczewski i Goszczyński obok Zaleskiego odgrywają mniej więcej wybitną rolę, to jednak żaden z nich w tym względzie nie może równać się z Zaleskim, bo tylko ten ostatni jest do głębi przejęty tą ideą i z całą pełnią świadomości obiera ją za przewodnią gwiazdę dla swej poezyi. A to już, jak powiedziałem, staje się w dopowstańczym okresie jego życia.

W końcu winienem wyrazić podziękowanie tym wszystkim, którzy mi pomogli do zgromadzenia materyału rękopiśmiennego lub illustracyjnego do tej pracy, a więc Zarządowi Biblioteki Zamojskich w Warszawie, Zarządowi Muzeum Raperswylskiego, Zarządowi Muzeum Czapskich w Krakowie, Zarządowi Biblioteki Polskiej w Paryżu, a w szczególności p. Wład. Mickiewiczowi, dr. Grzegorzowi Stanisławskiemu z Kijowa, a przedewszystkiem p. Dyonizemu Zaleskiemu, zacnemu spadkobiercy tradycyi ojcowskich, który obrawszy sobie za cel życia gromadzenie i wydawanie materyałów do biografii ojca, bardzo wiele dokonał w tym kierunku, mnie zaś najłaskawiej pozwolił korzystać ze swoich zbiorów.

W Krakowie 1 Grudnia 1910.

CZĘŚĆ I.

NA UKRAINIE.

1802—1820.

ROZDZIAŁ I.

Czasy dzieciństwa.

1802—1812.

Genealogia Prawdziców Zaleskich. — Pradziad poety. — Ojciec i matka. — Podróż do Wawy. — Pan Wawrzyniec, jako poeta. — Najstarszy brat Bohdana. — U ciotki Kundziczowej. — Cudowne wspomnienia dzieciństwa. — W chacie znachora. — Iwan Kalennik. — U ciotki Jasieńskiej.

Rodzina Zaleskich, z której nasz Bohdan pochodził, dopiero w XVIII wieku przeniosła się z okolic nadniemeńskich na Ukrainę. Pieczętowała się ona herbowym znakiem Prawdziców t. j. lwem z za muru wystającym, i trzymającym żelazne koło w łapach, czem odróżniała się od bardzo wielu innych rodzin tegoż nazwiska, których sam Niesiecki wymienia przeszło dwadzieścia, notabene nie wiedząc, że byli i Zalescy herbu Prawdzic[1]). Z papierów rodzinnych, jakie się przechowały u synów poety, można wywnioskować, że w początkach XVII w. a może i wcześniej żył na Litwie Piotr Zaleski, ożeniony z Zofią Wawską, która wniosła w dom Zaleskich swoją posiadłość

---

[1]) Herbarz polski Niesieckiego, wyd. Bobrowicza 1841, T. VII, str. 488—491. Pod herbem Prawdzic Niesiecki wymienia 110 rodzin, mających ten herb, Kuropatnicki, Małachowski i in. dodają jeszcze 11, ale w tym długim szeregu Prawdziców nie ma Zaleskich.

rodzinną, Wawę [1]. Ten Piotr Zaleski miał dwóch synów, z których starszy, Krzysztof, ożeniony z Halszką Siemianowiczówną, miał syna Jana, ożenionego z Katarzyną Bieniuńską, ten zaś Jan miał trzech synów: najstarszy Jerzy, zabity, jak podaje genealogia, w Kurlandyi, zapewne podczas wojen szwedzkich na początku XVIII w. zeszedł ze świata bezpotomnie; najmłodszy Stanisław, ożeniony z Anną Masłowską, zostawił liczne potomstwo, a niektórzy z jego potomków wzbili się ponad sferę Wielmożności i zostali Jaśnie Wielmożnymi: taki tytuł nosi w genealogii wnuk Stanisława, Floryan, starosta Ulanicki. Trzeci, średni syn Jana, Wawrzyniec, pradziad naszego poety, miał dwie żony i z każdej po jednym synu, a od każdego z tych dwóch synów, Jacka i Ignacego, liczne rozrodziło się potomstwo.

Zanim przejdziemy do tego potomstwa, zatrzymamy się na chwilę przy owym pradziadzie poety, Wawrzyńcu. W pośmiertnych papierach poety zachowały się cztery listy przez tego Wawrzyńca lub przez innych do niego pisane z lat 1719, 1720, 1722 i 1725. Listy te mało czytelne i w szczegółach treści niejasne, rzucają jednak tro-

---

[1] Marcin Zaleski, pochodzący z tej samej rodziny, powiada u wstępu do swoich *Wspomnień*, że Piotr Prawdzic Zaleski, syn Zygmunta, już 1557 r. był właścicielem dość znacznej majętności, zwanej Wawa, ale nie wskazuje na czem opiera tę wiadomość, która w zestawieniu z tablicą genealogiczną Prawdziców Zaleskich, pochodzącą z XVIII wieku, wydaje się mało prawdopodobną. (Wspomnienia Marcina Zaleskiego 1830—1873 we Lwowie 1893). W *Złotej księdze szlachty polskiej* Żychlińskiego (T. VII) powiedziano, że Piotr Zaleski poślubił Zofię Mazalkiewiczównę Wawską w r. 1584. Nawiasowo dodać tu można, że genealogia Zaleskich, zawarta w *Złotej księdze*, zajmuje się troskliwie tylko linią bogatszych Zaleskich, a o uboższych tak dalece zapomina, że z licznego rodzeństwa ojca poety nikogo nie wymienia. Za to szczególny nacisk kładzie na koligacye rodziny, utrzymując, że Prawdzice Zalescy »przez Saryuszów Zaleskich spowinowaceni są z Sapiehami, a przez połączenie z domem Czartoryskich z wszystkiemi wielkiemi rodami całej Polski«.

chę światła na tę postać i jej stosunki. A naprzód dowiadujemy się z nich, że pana Wawrzyńca tytułowano podczaszym województwa trockiego, do którego należała Wawa, skąd można wnioskować, że musiał mieć pewną estymę w tem województwie; powtóre, że miał ciągle w owych czasach do załatwienia interesa majątkowe z bratem Stanisławem z powodu, że mu się należała jakaś część Wawy; potrzecie, że przebywał w tych czasach na Wołyniu w okolicach Wiszniowca, dojeżdżając tylko w zimie »sanną drogą« na Litwę; po czwarte, że w roku 1720 ożenił się i chcąc założyć gniazdo rodzinne, zamyślał osiąść na swojej części w Wawie.

Właśnie w tym roku »a die 15 9^{bra}« pisał do niego Franciszek Antoni Narmuntowicz, jakiś przyjaciel jego i pośrednik w sprawach majątkowych z bratem, w następujący sposób: »Serdeczny mój Dobrodzieju Wny Panie Wawrzyńcze! Dożywotniego aktu wespół z Imci Dobrodziką y wszystkich pomyślnych szczęśliwości życzę moim Dobrodziejstwu. Dla zakończenia Interesów z Pem Stanisławem chciey Wny Pan sam tu do nas zbiec sanną drogą, pomiarkuiemy, a że tak siła iak Wm. Pan pretendujesz, Jeymości Dobrodziki nie turbuy WM Pan przez tak daleką drogę, bo y speza y niewygoda w drodze... IM Pan Michał tu przybył z żoną swoią y iuż z Bratem podzielili się y mieszkaią osobliwie, to już trzech teraz w Wawie, a czwartemu szpetnie będzie mieszkać, zaczym ia z duszy mej życzę pierwey samemu iednemu WM Panu zbiec do nas, a potym ustalowawszy y pomiarkowawszy się, wolno będzie, iako chcąc«.

Jednem słowem, przyjaciel odradzał panu Wawrzyńcowi osiadania z żoną w Wawie, ponieważ szpetnie byłoby mieszkać czterem właścicielom naraz w jednej wiosce. Wskazywał mu też w dalszym ciągu listu jakieś folwarki, zapewne w sąsiedztwie, do nabycia i oddawał te uwagi i wskazówki swoje jego »wysokiemu geniuszowi

ad trutinam«. I pan Wawrzyniec, jak się ze wszystkiego należy domyślać, usłuchał rady przyjaciela o tyle, że nie osiadł w Wawie. Ale jakie miejsce obrał za gniazdo dla swojej przyszłej rodziny, czy już wtedy przeniósł się na Ukrainę, czy później, czy może dopiero młodszy syn jego Ignacy, dziad poety tam osiadł, tego wszystkiego nie wiemy. To tylko pewna, że pretensye do części Wawy przechowały się w rodzinie poety aż do drugiego dziesiątka XIX stulecia.

Dziad poety, Ignacy, ożeniony z Maryanną Zwolińską, pobłogosławiony był bardzo licznem potomstwem, co naturalnie na stosunki majątkowe jego rodziny musiało wpływać ujemnie. To też drugi z rzędu syn jego Wawrzyniec [1]) ojciec poety, przez całe życie klepał biedę, gdy tymczasem stryjecznemu jego rodzeństwu, dzieciom Jacka, których było troje, wiodło się znacznie lepiej.

Syn Jacka, Jan Zaleski, tytułowany w genealogii pisarzem ziemskim żytomirskim i marszałkiem piatyhorskim, posiadał kilka wiosek, w tej liczbie Bohatyrkę i Krzywiec na Ukrainie. U niego to stryjeczny brat Wawrzyniec pełnił funkcyę rządcy, od niego to zapewne otrzymał na własność w Bohatyrce niewielki kawał gruntu (około trzech dziesięcin), na których stanął mały dworek, mający pomieścić bardzo liczną rodzinę ojca poety. W takich warunkach ekonomicznych o piastowaniu jakiegoś urzędu powiatowego trudno było myśleć, a że tytułomania wśród szlachty oddawna była mocno rozwiniętą (chart bez ogona, jest jak szlachcic bez urzędu), więc trzeba było i dla pana Wawrzyńca obmyśleć jakiś tytuł. Nazywano go tedy

---

[1] Tablica genealogiczna w takim porządku starszeństwa wymienia dzieci Ignacego: 1. Jan (wstąpił do Zakonu Karmelitów bosych), 2. Klementyna, 3. Wawrzyniec, 4. Tadeusz, 5 Joachim, 6. Anna (primo voto Romańska, secundo Jasińska), 7. Angela (za Michałem Romańskim), 8. Helena (za Rostowskim, wdowa), 9. Apolonia (Kundziczowa).

cześnikiem smoleńskim i z tym tytułem występuje on w metryce chrztu Bohdana. Co dziwniejsza, że w tej samej metryce, z tym samym tytułem występuje, jako ojciec chrzestny, także i najstarszy brat poety Eliasz.

Pan Wawrzyniec, (który otrzymał zapewne to imię na cześć swego dziada) ożenił się około 1780 r. z Maryą Burkatówną, której rodzina według niejasnej tradycyi, jaka się przechowała do późnych lat w pamięci poety, pochodziła z Mołdawii, gdzie miała znaczne posiadać dobra. Sama jednakże Marya Burkatówna nic nie przyniosła w posagu panu Wawrzyńcowi, obdarzyła go natomiast nadzwyczaj licznem potomstwem. Najmłodszem, trzynastem jej dzieckiem, które przyszło na świat, był nasz poeta, Józef Bohdan, urodzony 2 lutego 1802.

Wprawdzie wiemy, że z tego trzynaściorga, niektóre dzieci wcześnie zmarły [1]), i że Bohdan, przychodząc na świat, zastawał zmniejszoną gromadkę rodzeństwa, ale niemniej przeto łatwo sobie wyobrazić, jak ciężko było p. Wawrzyńcowi utrzymać i to grono, które pozostało przy życiu, jak trudno je pomieścić w małej sadybie w Bohatyrce. Domek, w którym się Bohdan urodził, już dzisiaj nie istnieje, ale na tem samem miejscu i zupełnie na wzór dawnego, przed trzydziestu laty, zbudowano nowy, w którym potomstwo brata poety, Tomasza, do dzisiaj mieszka; tak, że z tego nowego można mieć zupełnie dobre wyobrażenie o dawnym. Stoi na pochyłości wzgórza, blisko drogi, która w jar się spuszcza; białe ściany, małe okna, strzecha słomiana, nadają mu z zewnątrz pozór chaty.

---

[1] Druga tablica genealogiczna, która się przechowała w papierach pośmiertnych poety, a która mu była nadesłana z Ukrainy już pod koniec jego życia, wymienia tylko siedmioro dzieci Wawrzyńca, które dożyły dojrzałego wieku, jak to wskazują daty śmierci przy nich podane. Bohdan Zaleski w liście do Szwańskiego (Korr. V, 292) pisze, że na cmentarzu w Stawiszczach obok rodziców »leży i sześcioro ich małoletnich dziatek«.

Wewnątrz po lewej stronie sionki ma dwie izby: jedną większą, ciemniejszą od frontu, drugą mniejszą, jaśniejszą od ogródka; po drugiej stronie sionki jest piekarnia. Jeżeli te szczupłe przestrzenie zaludnimy w wyobraźni dwojgiem małżonków, ośmiorgiem czy siedmiorgiem dzieci, i choćby najmniejszą liczbą sług niezbędnych, to łatwo zrozumiemy, jak tam ciasno, rojno i gwarno być musiało.

Komentarz do tego życia znajdujemy w trzeciej pieśni *Złotej Dumy*, w ustępie, który jest osnuty na wspomnieniach z owych czasów, wspomnieniach nie własnych poety, bo on był niemowlęciem wtedy, ale jego siostry Antoniny, która jemu, już młodzieńcowi, musiała opowiadać, jak to bywało, za życia matki:

W domu wieczna zawierucha,
Pełno dzieci, gwarno, ludno,
Niby wszystkie kąty gorą;
Było bowiem nas ośmioro,
Choć policzyć się dziś trudno.

Ale, jeżeli w domu było ciasno, to tem więcej każdy dzień pogodny wabił dziatwę do ogródka, na pole, na step, który się za jarem zaczynał. W cytowanym ustępie *Złotej Dumy* Antosia opowiadając bratu, jak to było dawniej, za życia matki, mówi o sobie:

Ledwo niebo dniem obrzasło,
Wróbel puścił ćwirk na hasło,
I w tysiąca ptasząt głosie
Rozpoczęła się pobudka;
Szast ja oknem do ogródka,
Niby ptaszek w lot po rosie:
Proszę widzieć tak Antosię!
Biała, bosa — na trawniku...

W tych wspomnieniach, ujętych w formę poetycką, nie wszystko zapewne jest dokładnem echem rzeczywistości, ale wogóle wzięte noszą one znamię tradycyi ro-

dzinnej, wplecionej do poematu, z którego bohaterem poeta chciał się identyfikować. Więc możemy wierzyć, że ta Antosia w istocie tak lubiła kwiaty, jak opowiada o sobie, że w istocie omal nie stała się przyczyną śmierci małego braciszka, zasypawszy go w kołysce kwiatami. Tylko to, co mówi o stosunku matki do dziecka, w którem poeta siebie chciał przedstawić, jest najwidoczniej tak mocno ubarwione poezyą, tak zastosowane do roli, którą poeta wyznaczał swemu bohaterowi w *Złotej Dumie*, że trudno z tego jej wspomnienia wywnioskować, jaki rzeczywisty był stosunek matki Bohdana do tego najmłodszego jej dziecięcia, trudno uwierzyć, że rzeczywiście miała ona przeczucie jego przyszłego zawodu, jego sławy poetyckiej. Prawdopodobnie ustęp ten jest czystem zmyśleniem, dostrojonem do głównej treści poematu.

Matka umarła w niespełna dziesięć miesięcy po przyjściu na świat Bohdana, 21 listopada 1802, i to umarła według tradycyi, która się przechowała na Ukrainie, w nowej ciąży [1]. Postać jej zatem w pamięci Bohdana nie mogła zostawić żadnego obrazu, ale jak Brodziński, którego matka wcześnie odumarła, tak i Zaleski utworzył sobie idealny obraz tej postaci i otaczał go tem większym urokiem, im bardziej poczucie sieroctwa mu dolegało. Ten idealny obraz świecił mu przez całe życie, a najpiękniej odźwierciedlił się w jednym z późniejszych liryków p. t.: *W dzień gromniczny:*

O matko moja, sługo Chrystusowa,
Szatą pokory promienię się z ciebie;
Twa imiennica, najświętszych Królowa,
Marya Panna, ku każdej potrzebie
Łaski niebieskiej lała na mnie zdroje,
Bym się sprawował, jako dziecię twoje.

---

[1] Dr. A. O. (Okińczyc). Kilka dat i szczegółów z życia I. B. Zaleskiego, spisane z własnych słów poety — Rękopis. Przy szczegółach o śmierci matki Bohdana, Okińczyc dodaje w nawiasie: »Szcze-

Ojciec poety jest nam trochę więcej znany. W archiwum rodzinnem przechowały się dwa jego listy z r. 1811 i 1816, i brulion wiersza, świadczący, że już ojciec miał skłonność do poezyi, która w synu zamieniła się w talent i powołanie poetyckie. Listy są godne uwagi z tego względu, że rzucają światło, na stosunki i kłopoty majątkowe pana Wawrzyńca. W kilka lat po śmierci żony, w r. 1809, kiedy już najstarszy syn Eliasz tyle nabrał wprawy w gospodarstwie, że mógł zastąpić ojca na stanowisku rządcy, pan Wawrzyniec, rozdawszy drobną dziatwę w opiekę zamężnym swoim siostrom, przedsięwziął wielką wyprawę na Litwę. Chodziło o odzyskanie, dla tej gałęzi Zaleskich, którzy pochodzili od pradziada poety, Wawrzyńca i jego brata Stanisława, owej części Wawy, w której przez cały wiek XVIII gospodarowała inna gałęź Zaleskich. Sprawa, jak widać z listu pana Wawrzyńca z r. 1811, była niesłychanie zawikłana i trudna do rozwiązania, a nawet w razie szczęśliwego jej załatwienia, przy licznem rozrodzeniu się Zaleskich, p. Wawrzyńcowi niewieleby się dostać mogło, ale widocznie wyjeżdżał on jako pełnomocnik całej swojej bliższej rodziny, t. j. tych wszystkich Zaleskich, którzy się przenieśli na Ukrainę, a mieli pretensye do Wawy, a między którymi byli ludzie bogatsi i wpływowi, jak JW. marszałek piatyhorski, albo JW. starosta ulanicki, od których mógł za trudy swoje spodziewać się odpowiedniej nagrody.

Podróż ta, szczegółowo opisana w liście pana Wawrzyńca do jednego z braci rodzonych na Ukrainie, (nie wiemy czy do Tadeusza, czy do Joachima), jest bardzo charakterystyczną i dla ówczesnych stosunków i dla samego autora. Dość powiedzieć, że jechał z Ukrainy na Litwę do Wawy — okrągło półtora roku. Wyjeżdżając

---

góły te mam od siestrzeńca I. B. Zaleskiego, Eliasza Socharzewskiego«.

z Bohatyrki w jesieni 1809 r., miał przy sobie gotówki wszystkiego sześć rubli, ale zato miał z sobą koni więcej, niż potrzeba było do odbycia drogi i różne fanty, które w razie potrzeby można było zamienić na gotówkę. A ponieważ okazało się, że w gubernii mińskiej siano było drogie (płacono pud siana więcej jak po rublu), postanowił przezimować, zapewne serdecznie zapraszany, u podsędka Radziejewskiego w powiecie mozyrskim i tam czekać wiosny, »aż polu trawa nie podrośnie«. I dopiero po Zielonych Świątkach »w Boży czas ruszył za paszą w dalszą podróż« i o św. Janie »szczęśliwie« stanął w pobliżu Kowna, niedaleko Wawy. Ale tu go spotkał ciężki zawód, który i tak już jego przydługą podróż przedłużył jeszcze o drugie tyle; oto dopiero dojechawszy do Niemna, dowiedział się »doskonale«, że jego Wawa leży za Niemnem, a więc nie w granicach cesarstwa rosyjskiego, ale w Księstwie Warszawskiem i że choć była już tak blisko, on bez paszportu do niej dostać się nie może. A o paszport w owych czasach nie było łatwo, w gubernii dostać go nie można było, trzeba było aż w Petersburgu wyrabiać, więc pan Wawrzyniec znowu musiał przez czas dłuższy »bawić się na jednem miejscu«, tym razem niemało ponosząc expensy, pozbywając się koni, które miał z sobą (nb. dwa konie mu zdechły w drodze) i przedając za bezcen niektóre fanty. Nareszcie ostatnią parą koni, jaka mu została, dojechał do Wawy. »Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, iż odbywszy drogi więcej sto dwadzieścia mil, a bawiąc się w tej [drodze] od wyjazdu z Bohatyrki półtora roku, po największych trudach i niewygodach, przecież, choć goły, lecz z Boskiej Opatrzności zdrowy, stanąłem na miejscu przeznaczonym szczęśliwie *ultimis Februarii*«.

Sprawa o Wawę nie prędko została ostatecznie załatwioną; z drugiego listu pana Wawrzyńca z r. 1816, pisanego do córki, Antoniny Linowskiej, owej Antosi, co tak kwiatki lubiła, dowiadujemy się, że w pięć lat po tamtej

wielkiej podróży przedsiębierze on nową wielką podróż »dla ukończenia kłopotów swoich« i chce na stałe osiąść w Wawie, »gdzie od mego chcenia i zdrowia, wszystko zależyć może przy Boskiej pomocy«.

Echa tych podróży i tej sprawy, która przez cały szereg lat zaprzątała uwagę rodziny poety i o jego dziecinne uszy musiała się nie raz obijać, odzywają się bardzo wyraźnie w *Złotej Dumie*, w ustępie, który jest poświęcony wspomnieniom rodzinnym. Tylko zdaje się, że poeta, umyślnie czy nieświadomie, popełnia anachronizm, przenosząc podróż do »sławnej Wawy« w czasy, kiedy jeszcze żyła jego matka.

I jegomość coś niebawem,
Wnet po świętach — za potrawem,
Wybrał nam się w świat daleki;
Z twarzą bardzo rozrzewnioną,
Żegnał się z swą biedną żoną,
Nie przeczuwał, że na wieki!
Ale podróż była pilna,
Gdzieś do Grodna, czy do Wilna;
Należało poprzeć sprawę
O tę sławną naszą Wawę.

Z listów pana Wawrzyńca widać, że był mało praktycznym, ale za to bardzo pobożnym człowiekiem. Jednakże ta pobożność niezdolna była wytrawić goryczy, jaka się w ciągu długich lat niepowodzenia, kłopotów, ubóstwa, zbierała w sercu jego. Można przypuszczać, choć na to wyraźnych dowodów nie ma, że ciągły stosunek z rodziną tak bliską, jaką byli potomkowie Jacka, a tak znacznie górującą nad nim stanowiskiem społecznem i majątkowem, musiał tej goryczy szczególnej dodawać ostrości. Wylała się ona w wierszu, pisanym w starości, w wierszu, który był jakby syntezą wszystkich kłopotów, zabiegów i zawodów pana Wawrzyńca i jego stosunków ze światem ludzi zamożnych, z którym go wiązały węzły blizkiego pokrewieństwa, a od którego oddalało ubóstwo. Być może,

iż nietylko z powodu ubóstwa, ale i z powodu niepraktyczności, nieporadności, traktowano w tym świecie pana Wawrzyńca z góry; tak pozwalają przypuszczać pewne wyrażenia tego wiersza.

Jakkolwiekbądź, to pewna, że panu Wawrzyńcowi musiała się nieraz dać we znaki duma »bogaczy«, z lekceważeniem traktujących ubogiego szlachcica, a balsamem na rany, które mu ta duma zadawała, była chrześcijańska nauka o znikomości życia doczesnego i jego bogactw. Ona też jest przewodnią myślą wiersza, o którym mowa.

Ad maiorem Dei gloriam.

Niedarmo żyłem w świecie, chcąc odpędzić bidę —
Pracowałem, jak mogłem, tąż drogą i idę,
Młodość mi do tej pracy była pomagała,
Lecz złość, zazdrość i chciwość wszystko odebrała.
W starości teraz szukam z mej pracy uciechy,
Lecz nieszczerość, niewdzięczność robi stąd uśmiechy,
Gardzą mną, żem ubogi; pogardzam miliony —
Bo jeden jest dla wszystkich koniec przeznaczony,
Ubogi ma z bogatym jeden całun ziemi,
Ten z bogactwy, ów z biedą, połączy się z niemi. *(sic)*
Wtenczas dopiero pozna, On, Dziedzic bogaty,
On z pałaców, a kmiotek z swej ubogiej chaty,
Że są wszyscy równemi: Bóg nie przedał ziemi,
Lecz ją dał wszystkim ludziom [1]).

---

[1]) Wiersz ostatni kończy się słowami: »z pracy obfitemi«, a u góry nad tem stoi poprawka: »przy pracy żyznemi«. Chodziło o rym i wyrażenie tej myśli, że praca nadaje wartość ziemi, ale widocznie jednego z drugiem nie umiał pogodzić pan Wawrzyniec. Co jest jeszcze godnego uwagi w tym wierszu, to interpunkcya, której nie zachowałem (podobnie jak i pisowni), ażeby zrobić wiersz przejrzystym; świadczy ona, że pan Wawrzyniec miał czułe ucho na muzykalność wiersza i tą muzykalnością kierował się w stawianiu znaków pisarskich. Mianowicie stawiał wszędzie średnik tam, gdzie przypada średniówka np.:

W starości teraz szukam; z mey pracy uciechi
Lecz, nieszczerość, niewdzięczność; robi stąd uśmiechi.

Ponieważ pan Wawrzyniec w dziecinnych latach Bohdana przebywał prawie ciągle w dali od stron rodzinnych, więc też Bohdan bardzo rzadko go widywał i prawie go nie znał. Rolę ojcowską względem przyszłego poety przejął na siebie najstarszy brat jego Eliasz, o dwadzieścia lat od niego starszy, który też był, jak wspomniałem jego ojcem chrzestnym, a po wyjściu Bohdana z pod opieki ciotek, kierował jego losami. Tradycya rodzinna przedstawia go jako mężczyznę wzrostu niskiego, otyłego, o szerokich plecach, o sile herkulesowej, tak, że w palcach jakoby mógł łamać ruble, i nadzwyczaj łagodnego. Że był zawsze pogodny i nigdy się nie unosił, miał zachowanie i u ludu, którego językiem lubił rozmawiać i u braci szlachty, którzy go w sprawach swoich chętnie na rozjemcę wzywali. Życie wiódł bardzo skromne; fajka i maryasz starczyły mu za rozrywkę. Najmłodszego braciszka kochał jak własne dziecko, psuł go, dogadzał wszelkim jego kaprysom i zachciankom [1]).

W jednym tylko szczególe możnaby tradycyę rodzinną o panu Eliaszu podejrzewać o niedokładność; nazywa go ona starym kawalerem, kiedy tymczasem w metryce Bohdana wyraźnie czytamy, że rodzicami chrzestnymi jego byli: »Szlachcic Eliasz Zaleski, Cześnik smoleński i Anna Zaleska, żona Cześnika smoleńskiego«. Z tegoby wypadało, że już w 1802 r. dwudziestoletni Eliasz Zaleski, żonaty był z jakąś Anną. Że jednak metryka poety znana jest nie z oryginału, ale z przekładu i to podwójnego (z łaciny na rosyjski, z rosyjskiego na polski), więc łatwiej przypuścić, że to w przekładzie zaszło jakieś bałamuctwo, niż posądzać o tak gruby błąd żywą i bliską tradycyę rodzinną.

Ale opieka Eliasza nad najmłodszym bratem rozciągała się dopiero później, od czasu, kiedy dziesięcioletniego chłopaka trzeba było oddać do szkół średnich. Przedtem

[1]) Okińczyc. Kilka dat i szczegółów z życia I. B. Z. Rękopis.

zostawał on z kolei pod opieką dwu ciotek: Apolonii Kundziczowej, zamieszkałej w Medwedówce, niedaleko Kaniowa i Rzyszczowa, i Anny Jasieńskiej, która mieszkała w Jerczykach Małych, w powiecie skwirskim. Zdaje się, że pobyt u pierwszej ciotki trwał dłużej, niż u drugiej; pewnych dat w tym względzie podać nie można.

W pamięci Bohdana opieka ciotek nie zapisała się korzystnie. W pewnym liście do siostry Antoniny z czasów młodzieńczych, dał im epitet »nieludzkich« [1]. W pięćdziesiąt parę lat później wspominał o jednej z nich, ciotce Jasieńskiej z wielkim szacunkiem, ale czynił to w liście do jej wnuka, gdzie zapewne żadnych przykrych wspomnień ze stosunku z nią nie chciał poruszać [2].

Ciotka Kundziczowa miała dużo własnej dziatwy, a ponieważ była popędliwą, jak świadczy tradycya rodzinna, więc wśród kłopotów z dziećmi musiała nieraz i siostrzeńcowi nie szczędzić razów, które mu utkwiły w pamięci. Gdy chłopak trochę podrósł, oddała go do jakiejś szkoły, zapewne parafialnej, w sąsiednim Kaniowie, gdzie mały Bohdan więcej się bawił, niż uczył, gdzie jednak nauczył się czytać. Ale ważniejszą od tej kaniowskiej szkoły była inna, która miała na poezyę jego wywrzeć wpływ nieobliczalny, a do której się niebawem dostał także z łaski ciotki Kundziczowej.

Miał wtedy lat 7 czy 8, dobrze tego nie pamiętał; w każdym razie był w wieku, w którym się dusza dziecka pojętnego obraca na wszystkie strony i chciwie chwyta wrażenia świata zewnętrznego. W Medwedówce, bawiąc się z psami, nabawił się choroby skórnej, niełatwej do uleczenia, a która łatwo mogła się przenieść na dzieci ciotki. Trzeba go było oddzielić od nich i w odosobnieniu leczyć. Otóż zdawało się ciotce, że najlepiej będzie, jeżeli go odda

---

[1]) Korr. I. B. Z. T. I, str. 13.
[2]) Tamże V, 232—236.

na kuracyę do wiejskiego lekarza, jednego z tak zwanych znachorów, do których pomocy w owych czasach nietylko lud się udawał. Znachor taki mieszkał w pobliskiej wiosce Szczuczynce, pod Rzyszczowem, Zuj się nazywał. Do tego Zuja oddała ciotka Kundziczowa małego Bohdana, i ten przebył tam, według własnego świadectwa, około półtora roku, używając nieograniczonej swobody. Bujał cały dzień boży swobodnie po jarach i wysokich brzegach Dniepru, wchłaniając w siebie wrażenia przyrody ukraińskiej, wsłuchując w się w ludową pieśń i melodyę ukraińską, która przez te półtora roku była jego ciągłą towarzyszką i piastunką. Słyszał ją na polu przy pracy wieśniaków, słyszał od lirników i bandurzystów, słyszał na wieczornicach i doświtkach, w których brał udział.

Wrażenia z tych czasów bezpośredniego przestawania z ludem i przyrodą ukraińską zapadły głęboko w duszę dziecka i utworzyły tam jakiś świetlany, czarodziejski obraz, który poeta przechował przez całe życie może w niedokładnych rysach, ale z pierwotną żywością jego barw i blasków. Szczególnie utkwiła mu w pamięci wysoka, stroma góra nad Dnieprem w pobliżu Rzyszczowa, skąd z jednej strony, od rzeki, wspaniały i ogromny rozlega się widok na szeroki Dniepr, to płynący jednolitą wstęgą, to oplatający wstęgami swemi zielone wyspy, i na nieprzejrzaną za Dnieprem równinę; z drugiej strony na zaciszne jary i wzgórza, ubrane sadami i białemi chatami. Miały tam jeszcze wówczas istnieć zwaliska dawnego zamku, po którym dziś ani śladu nie zostało; tam przyszły poeta spotykał nieraz — jak podaje w przedmowie do fragmentu poetyckiego: »Damian, książę Wiśniowiecki« — »sędziwego bandurzystę«, który »znał nieskończone mnóstwo podań dawniejszych i chętnie je opowiadał«.

Ten cudowny obraz wspomnień dzieciństwa z czasów używania nieograniczonej swobody na tle przyrody

nadnieprzańskiej i ludowego życia ukraińskiego wyraził się w dwu fragmentach poetyckich Bohdana, które stały się w ten sposób dokumentem biograficznym. A jest to dokument pierwszorzędnej wagi, bo wskazuje źródło późniejszych natchnień poety i objaśnia najlepiej nastrój jego poezyi. Jeden z fragmentów, wydany w *Dziełach Pośmiertnych* Zaleskiego, ma tytuł *Ptaszę Lasze* a pochodzi, jeśli nie z wykonania ostatecznego, to z pomysłu i pierwotnego układu, prawdopodobnie jeszcze z roku 1827, kiedy zaledwie kilkunastoletnia warstwa przeszłości przesłaniała poecie owe czasy błogiej swobody dzieciństwa. Różne szczegóły owego życia, jakkolwiek blaskiem poezyi ozłocone, malują się tu bardzo wyraźnie i dlatego prawie cały ten fragment, mało zresztą znany, przytaczam tutaj.

Na Podnieprzu, kędy Iwanhora,
Żył Zuj znachor w jarowem tam siole,
A u Zuja, słynnego znachora,
Rosło w domu przybłędne pacholę,
Zozulątko z lackiego narodu,
Co je sobie odchuchał za młodu.

Zuj bywało lubystek, sen ziele,
Różne kwiecia pod młodzik miesiąca,
Zbiera w polu na wonne kąpiele,
Sam je swemu Laszkowi przyrządza.
Syn i córki na Laszka posłudze,
Tak miłował pacholę to cudze.

Lasze ptaszę, jak w chacie go zwano,
Lasze ptaszę rączkami za szyję
Pieści Zuja — całuje w kolano,
To Zujównom od oczu blask pije,
Jak z siostrami potulne, ochocze,
Gładzi kosy i piosnki szczebiocze.

Byle dzionek zabielał w okienko,
Hej na nogach już pisklę tam ptasie,
I zawitaj o! ranna jutrzenko
Dzwoni głoskiem przy ikonostasie!

W górę oczka i w górę rączęta,
Jakby doń się wdzięczyła Prześwięta.

Weszło słońce, w burzany dał nurka,
W lewo, w prawo, za kwieciem, za rosą,
Jak pędząca pożarem przepiórka,
Brodzi, pędzi, gdzie oczy poniosą;
Przemknął żytem i szelestnął w prosie,
Niewidomy a znany po głosie.

Wieczornice, doświtki u Zuja,
Laszę nie śpi do nocy, do rania,
Jak sokolę pod niebem tam buja,
Za kazkami, pieśniami ugania —
Co zasłyszy z nieprawdy i prawdy,
To już jego i jego na zawdy.

Lasze ptaszę zaledwie podrostek,
A nielada już bystry rozumek,
Nie ma w siole dlań tajnych miłostek,
Nie masz dumy nieznanej, ni dumek,
Niebylice co z wiatru podsłucha,
Wieje ludziom przez serce do ucha.

Toż mołojce mu huczą na zdrowie:
»Atamanie przesławny, w potrzebie
Cóż wam szepczą z pod mogił ojcowie?«
A dziewczęta go wabią do siebie:
»Sołowejko, hej lasze ty ptaszę,
Zanuć słodko na smutki tu nasze«.

Czy rzeczywistość odpowiadała temu wypieszczonemu obrazkowi, w którym poeta tak rozkoszuje się jej wspomnieniami? Prawdopodobnie, gdybyśmy mieli możność spojrzenia na nią własnemi oczami, wydałaby nam się inną; ale nie o to chodzi, jaką była w istocie; tylko o to jakie zostawiła wspomnienie w poecie, bo nie rzeczywistość, ale to wspomnienie oddziaływało potem na jego poezyę. Ono zastępując rzeczywistość, samo stawało się drugą rzeczywistością, ważniejszą od pierwszej.

Drugi obrazek tego swobodnego dzieciństwa na łonie przyrody pochodzi z czasów o wiele późniejszych, kiedy

krynice natchnienia poety wątłym sączyły się strumieniem. Jest to jeden z pyłków, p. t. *Żywa pieśń*. Poeta wyraźne składał w nim świadectwo, jak wiele zawdzięczał temu zrządzeniu losu, które go rzuciło nad brzeg Dnieprowy, do chaty Zuja.

Z torbanem wyrósł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę — och! jakbym pożegnał je wczora:
Śpiewałoż ptastwo tam — byle dzień biały;
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały;
To znowu męski głos wojennej chwały
W cześć atamanów — mąciły się społem
W pieśń jednę żywą! I pieśń tę połknąłem.

Prawdopodobnie do tych czasów odnosi się i to, o czem Bohdan pisał do Mickiewicza (pod koniec 1839 r.) w przypisku do listu, w którym mu posyłał do Lozanny swój wiersz *W spółce ze słowikiem*. »Trzeba ci wiedzieć, mó Adamie, że jak byłem dzieckiem, świat Boży zadziwiał mię niesłychanym sposobem. Po całych dniach dociekałem, dlaczego się wszystko dzieje? Czego chcą ptaszki? i t. p. Myśliłem, że ludzie starsi wiedzą o tem, ale przedemną tają się. Pamiętam, że prosiłem raz dziada bandurzystę, aby mi powiedział, co śpiewa słowik? Z największą w świecie powagą odrzekł: »Oto śpiewa — Oj bied — bied — bied, biedny sołowejko«. Widzisz, że to się na coś poecie przydało« [1].

---

[1] W dalszym ciągu tego przypisku, który ma tytuł *Uwaga*, Bohdan pisał: »Ale na co ja ci piszę i posyłam takie dziecińśtwa? Oto, abyś trochę się pośmiał. Jako sławny kompozytor napisz też muzykę do mojej słowiczej historyi! B. Z.« Ta *Uwaga* nie była dotychczas nigdzie drukowaną. Autograf wiersza *W spółce ze słowikiem* wraz z przypiskiem znajduje się w Bibliotece Polskiej w Paryżu. List obszerny, w którym Bohdan przytaczał Mickiewiczowi ten wiersz i inne jeszcze na próbę, wydrukowany jest w Koresp. I. B. Z., T. I, 159—162, ale z pominięciem przypisku.

Dla poety, który miał zostać romantykiem, trudno było obmyśleć bardziej romantyczne wychowanie nadto, jakie dlań obmyśliła na półtora roku ciotka Kundziczowa, nic zresztą z romantyzmem nie mająca wspólnego.

W tradycyi rodzinnej przechował się inny jeszcze epizod z życia Bohdana z czasów zostawania jego pod opieką tej ciotki, epizod godny uwagi ze względu, że miał dostarczyć materyału do jednej z pierwszych prób poetyckich Bohdana. Wuj Kundzicz, chory, na wpół sparaliżowany, nie zajmował się prawie gospodarstwem, zostawiając wszystkie sprawy, należące do pana domu, swojej żonie, a nudząc się w bezczynności, lubił grywać ze swoim małym siostrzeńcem w maryasza. Pewnego razu podczas takiej gry przyszedł do pani Kundziczowej ekonom, aby naradzić się z nią, kogoby wziąć w rekruty, ponieważ nadeszło było tajemne, jak zwykle, wezwanie do dworu, aby dostarczyć rekruta. Rozmowa z ekonomem odbywała się w tym samym pokoju, w którym wuj grał w maryasza z siostrzeńcem, i rozmawiający nie zwracali uwagi na dzieciaka, który też obojętnie słuchał tej rozmowy, aż dopóki nie wymieniono imienia Kałennyka, jako tego, którego należy oddać w rekruty.

Kałennyk był to parobek ze wsi Medwedówki, ładny, żywy, wesoły i lubiący śpiewać dumki małemu »Józiowi«, jak wówczas i długo potem nazywano Bohdana, który miał pierwsze imię Józef. To też był ulubieńcem Józia; natomiast ekonom, wobec którego zwykł był stawiać się hardo, nie lubił go i chciał się pozbyć, oddając go w rekruty.

Józio spostrzegłszy, że niebezpieczeństwo grozi jego ulubieńcowi, który właśnie dnia tego odprawiał wartę przy dworze, wymknął się cichaczem z pokoju i ostrzegł go o tem, co posłyszał. Kałennyk rzucił natychmiast siekierę, którą drwa rąbał, uciekł i ukrył się w lesie. Ale nie wysiedział tam tyle, ile potrzeba było, aby bezpiecznie

wyjść z ukrycia. Kiedy się ukazał we wsi, schwytano go i oddano w rekruty. W kilkanaście lat potem spotkał się z nim Bohdan w Warszawie i w sierżancie rosyjskiej kawaleryi poznawszy swego dawnego ulubieńca, czule się z nim przywitał i do siebie zapraszał. Kałennyk nieraz odwiedzał Bohdana, a gdy powstanie wybuchło, przeszedł do wojska polskiego, służył w pieszej artyleryi i zginął w bitwie pod Grochowem.

Tak ten epizod w życiu Bohdana przedstawia tradycya, spisana z ust poety w późniejszych latach przez jego zięcia, Okińczyca. Że przechował się on bardzo żywo w pamięci poety i domagał się upamiętnienia w piśmie, świadczy jedna z luźnych notatek samego Bohdana, pochodząca z czasów, kiedy z żoną i dziećmi mieszkał we Fontainebleau. Notatka nosi tytuł: *Plany prac na czasy uciszenia w Fontainebleau* i podaje długi szereg tytułów tych rzeczy, które poeta projektował napisać. Otóż w ostatnim, czwartym dziale tego spisu, zatytułowanym »Coś dla żony i dzieci moich«, pierwsze miejsce zajmuje tytuł: »Iwan Kalennik«. Chciał widocznie poeta zostawić rodzinie obszerne wspomnienie o swoim stosunku z tym ulubieńcem swoim z lat dziecinnych.

Z pod opieki ciotki Kundziczowej, prawdopodobnie w dziesiątym roku życia, tj. w r. 1811, przeszedł Bohdan pod opiekę wspomnianej już drugiej ciotki, Jasieńskiej, mieszkającej w Małych Jerczykach. Przyczyną tej zmiany, jak trzeba przypuszczać, było to, że nadchodził czas, w którym należało oddać chłopca do szkoły średniej, i że przygotowanie do tej szkoły mógł on łatwiej otrzymać w Jerczykach, niż w Medwedówce. Można się też domyślać, że tym, który czuwał, aby chłopca wczas przygotować do szkoły, był najstarszy, brat jego Eliasz który, jak już wspomniałem, roztaczał nad nim później opiekę ojcowską.

O pobycie Bohdana w Jerczykach wiemy tylko tyle, ile on odźwierciedlił się we wspomnieniach sędziwego po-

ety, spisanych w siedemdziesiątym siódmym roku życia, w liście do wnuka tejże ciotki, Cezarego Jasieńskiego. Te wspomnienia wywołane były listem Cezarego, o którego istnieniu nawet dotychczas Bohdan nie wiedział. »Rozrzewniłem się wielce w duszy wywołanemi przez Ciebie, bratanku, wspomnieniami o zaraniu mego życia i rozmarzyłem się niemi do tego stopnia, że od wielu dni o niczem innem dumać nie jestem w stanie, co dosłownie, jak gdybym wrócił na nowo w gościnę do Małych Jerczyk. Przypomniałem sobie jak najdokładniej uroczą miejscowość ukraińskiego sioła, przypomniałem sobie całą kroniczkę jerczykowską, najdrobniejsze szczegóły życia i pożycia z lat dziecinnych«.

O ile dokładnie te szczegóły dalekiego dzieciństwa, przeświecając przez grubą warstwę przeszłości, zarysowały się w pamięci starca, oznaczyć tego nie możemy, ponieważ do porównania nie mamy żadnego innego źródła. Ale żeby dać wyobrażenie czytelnikowi o tym obrazie dzieciństwa poety, kiedy przebywał u drugiej ciotki, nie pozostaje nic innego, jak zacytować odpowiedni ustęp z listu poety do Cezarego Jasieńskiego z r. 1878.

»Po śmierci mojej matki, którą straciłem w niemowlęctwie, a po osiedleniu się ojca na Litwie, hodowałem się u ciotki Kundziczowej w Medwedówce aż do 9-go zdaje się roku życia. Babka twoja, Anna Jasieńska, wtedy już wdowa i mająca u siebie kilkoro sierot krewnych, a i nauczyciela do nich, ex-jezuitę Biernackiego, zawezwała i mnie od siostry swej Apolonii do Jerczyk, na dalsze wychowanie, niby to klasyczne. Otóż ucząc się trochę z dziećmi, a dużo pustując lub marząc, spędziłem w domu Jerczykowskim dwa roki i coś miesięcy. A jakie roki pamiętne! 1811 i 1812, rok straszliwego komety i rok straszliwej wojny. Pamiętam ówczesne rozprawy pośród szlachty i ludu i pamiętam przeciągłe klęczenia przed krucyfiksem świątobliwej ciotki. Pod wpływem dziejowych

wych wypadków oczywiście dojrzewałem wcześniej. Byłem dość pojętny chłopak, z rozumkiem żartkim, ale niepraktycznym do najwyższego stopnia, wyobraźnia bowiem i uczucie ciągle brały nad nim górę. Z powodu tego rozstroju władz duszy, ileż to ja przymnożyłem niepokojów, zgryzot i ciężkich umartwień ukochanej ciotce Jasieńskiej«.

»Przytoczę jeno dwa charakterystyczne przykłady w tym względzie dla wnuka *pro memoria*. Raz ubrdało mi się w głowie, że jestem stworzon do latania. Przez wiele dni przyrządzałem sobie jakieś skrzydliska z deszczułek i gęsich piór, aż jednego razu, rozmachawszy je należycie, puściłem się z dachu do lotu i padłem na piasek, niemal pod nogi ciotki, na osobliwe szczęście bez najmniejszego uszkodzenia. Drugi raz, ciszkiem, chyłkiem uciekłem z domu, z drewnianym karabinkiem i z rublem w kieszeni miedziakami, w dobrej intencyi przedostania się do wojska. Kierowałem się na Różyn, nocowałem w zbożu itd., aż nazajutrz, o trzy mile drogi, dogonił mię oficer Iskrzycki, idący z oddziałem kozaków. Iskrzycki był mi dobrze znany, bo konkurował o rękę ciotki Twojej, Wiktoryny. Otóż, wybadawszy mnie, wsadził na konia poza siebie i odwiózł napowrót do Małych Jerczyk. Nieboga ciotka przechorowała obadwa te wybryki synowca *(sic)*, a było i pomniejszych łotrostw bez liku. Pomimo moich szaleństw i dziwactw, ciotka lubiła mnie bardzo i traktowała z jednaką zawdy czułością; bo chociaż niekiedy szorstko i opryskliwie stawiłem się względem rówienników i nawet względem brata Stanisława [Jasieńskiego], Biernackiego poważałem szczerze, a ją, »ciocię«, kochałem i wielbiłem duszą i sercem, potulny i posłuszny na skinienie, i w uczuciu, że zastępuje mi rodzoną matkę. Z ciotką modliłem się ochotnie i ochotnie czytałem jej »Żywoty« Skargi; z ciotką wyśpiewywałem godzinki o Niepokalanem Poczęciu od roziskrzenia się jutrzenki na niebie; z ciotką na-

reszcie po raz pierwszy przystępowałem do ŚŚ. Sakramentów spowiedzi i komunii w Pawołoczy na pogrzebie babki mojej Burkatowej, zmarłej w Bukach. Panie, Panie mój! świeć nad duszą Anny Jasieńskiej! Babce Twojej, bratanku Cezary, zawdzięczam zaszczepienie w sercu mojem prawowierności. Pamięć jej jest dla mnie drogą i jak najdroższą, to życzę, aby i ślad uczuć moich pozostał między potomkami w rodzinie Jasieńskich«.

Z całego tego listu widać, że sędziwy poeta chciał pamięć swej ciotki w oczach jej potomków otoczyć czcią największą, stąd też domyślać się można, że przedstawiony tutaj stosunek jej do dziesięcioletniego Bohdana uległ pewnej idealizacyi. Że w tym stosunku musiały być i ciemne strony, zdaje się świadczyć przytoczona wyżej wzmianka o »nieludzkich ciotkach«, o pół wieku z górą wcześniejsza od tego listu do Cezarego Jasieńskiego, wzmianka, w której obie ciotki znalazły się pod jedną miarą. Jest też i w »Duchu od stepu« pewien drobny ustęp, odnoszący się do czasów opieki obu ciotek i także niekorzystnie o niej świadczący:

O! sierocy wzrok przybłędy
Cudzy świat spotyka wszędy,
Ani jednej milszej twarzy.

A jakkolwiek i tym ulotnym wzmiankom nie można ślepo ufać, wszakże osłabiają one w wysokim stopniu idealne barwy, w jakich stojący nad grobem poeta przedstawił swój chłopięcy stosunek do ciotki Jasieńskiej. To tylko za rzecz pewną można uważać, że ciotka ta musiała być pobożną po staropolsku kobietą, ściśle wypełniającą praktyki religijne i pilnującą, aby i dzieci powierzone jej opiece to samo czyniły.

Ze wspomnień zawartych w liście przytoczonym, dwa na szczególną zasługują uwagę. Jedno, to owa próba lotu na skrzydłach z deszczułek i piór gęsich. Poeta miał coś w sobie z natury ptaka, czuł to do siebie i przez całe ży-

cie, nietylko w poezyi, ale i w listownych wynurzeniach lubił przyrównywać siebie do skrzydlatych stworzeń. W poezyi też jego tony, któreby można nazwać słowiczemi i skowronkowemi, nadają jej zasadniczy charakter. Była więc w tej dziecinnej chęci latania na sposób ptaków, jakby wróżba dla przyszłej karyery poetyckiej Bohdana, wróżba, wypływająca z głębin jego natury.

Drugie wspomnienie, o ucieczce z drewnianym karabinkiem z domu, aby się dostać do wojska, odnosi się zapewne do r. 1812, do czasów, kiedy wojska Napoleońskie w całym blasku swej potęgi szły ku Wschodowi, do Moskwy, a sława tego pochodu rozlegała się po wszystkich ziemiach polskich. Ona to zapewne musiała pociągnąć dziesięcioletniego chłopaka do dziecinnie awanturniczej wyprawy. Wspomnienie to, wraz z wielu innymi wspomnieniami z czasów dzieciństwa, odbiło się w *Złotej Dumie*, przy samym końcu tego fragmentu, gdzie jest mowa o małym Franku, który, wiedząc, że w pobliżu zbiera się wojsko na wyprawę przeciw Tatarom, nie mógł wytrzymać w domu, i, jak się o nim wyraża ktoś ze starszych:

Pewnie chyłkiem — poza dworkiem,
Na bój drapnął z podwieczorkiem.

Należy dodać, że poeta pisząc ten ustęp, tak się dał unieść wspomnieniom z roku 1812, że owemu Frankowi włożył w usta słowa zupełnie nieodpowiednie do przedstawianej sytuacyi historycznej (Franek ozwał się śród fali — »Ja sam przyszedł — bić Moskali«), bo nie na Moskali gotowała się wyprawa, ale na Tatarów. Zresztą i ten szczegół, podobnie jak i próba latania na skrzydłach, jak pobyt w chacie Zuja, jak wogóle cały obraz pierwszego okresu dzieciństwa poety, osnuty przeważnie na wspomnieniach późnej starości, bardzo mglisto, na wpół legendowo przedstawia się oczom naszym.

ROZDZIAŁ II.

Czasy szkolne.

1812—1820.

Bohdan w Humaniu. — Rygor szkolny. — Klasztor bazyliański. — X. Hryniewiecki. — Biblioteka. — Przyjaźń z Goszczyńskim. — Przechadzki do Zofiówki. — Przybycie Grabowskiego. — Nowe prądy literackie. — Trójka młodych literatów. — Duma o Wacławie. — Prąd demokratyczny. — Stosunek do przełożonych. — Wystąpienie Grabowskiego ze szkoły. — Fronda studencka. — Zaleski i Goszczyński jadą do Warszawy.

Nadszedł czas dla Bohdana nauki szkolnej, skończyła się opieka ciotek, brat Eliasz powiózł najmłodszego brata do szkoły powiatowej, najbliższej od Krzywca, do Humania. W którym to było roku? Chronologia lat dziecinnych Bohdana jest bardzo niewyraźna, a wyjazd do szkół humańskich nie stanowi w tym względzie wyjątku. Wprawdzie i notaty Okińczyca i wspomnienie pośmiertne Seweryny Duchińskiej o Bohdanie Zaleskim, zgodnie naznaczają r. 1812, jako datę początku jego nauki szkolnej, ale są to źródła pełne splątanych i niepewnych wiadomości. Z tego, co sam Bohdan pisze o swojem dzieciństwie w przytoczonym liście do Cezarego Jasieńskiego, a jeszcze więcej ze wspomnień Seweryna Goszczyńskiego, należałoby wnio-

skować, że stało się to dopiero w r. 1813 [1]. Ale wątpliwość rozstrzygają luźne małe kartki, które pozostały w pośmiertnych papierach poety, a na których on wpóźnym wieku kreślił, jakby plan do swego pamiętnika i dzieląc ubiegłe życie swoje na okresy, stawiał przy każdym z nich daty. Otóż na obu takich planach, które mi są znane, okres pierwszy, lata dzieciństwa, objęty jest datami 1802—1812, okres drugi, lata szkolne — datami 1812—1820.

O pierwszych latach szkolnych Bohdana aż do czasu, kiedy do tej samej szkoły humańskiej zawitał Seweryn Goszczyński, tj. do r. 1816, prawie nic nie wiemy. Możemy sobie tylko łatwo wyobrazić, że zmiana, jakiej doznał dziesięcio czy jedenastoletni chłopak, przechodząc z pod domowej, przeważnie kobiecej opieki pod rygor szkolny, musiała w nim, z początku przynajmniej, silne wrażenie wywierać. Humańska szkoła powiatowa, jak wiele innych szkół podobnych, utrzymywaną była przez zakon Bazylianów. Wiadomo, że w owym czasie wszystkie gimnazya i szkoły powiatowe na Litwie i Rusi zostawały pod rządem Uniwersytetu wileńskiego i dzieliły się na świeckie, gdzie przełożonymi i nauczycielami byli ludzie świeccy z uniwersyteckiem wykształceniem i zakonne, przeważnie pijarskie i bazyliańskie, które zostawały pod władzą księży prefektów i gdzie nauczycielami byli przeważnie zakonnicy, z pomiędzy których niewielu posiadało uniwersyteckie wykształcenie. Otóż z tego, co nam podają pamiętniki z końca XVIII i początków XIX wieku, należy wnio-

---

[1] Bohdan powiada właśnie, że spędził w domu Jerczykowskim »dwa roki i coś miesięcy« i zaraz potem wymienia te roki: 1811 i 1812, z czego możnaby się domyślać, że cały rok 1812 przepędził w domu babki. Ze wspomnień Goszczyńskiego (Teki nr. VII) wiemy, że w roku szkolnym 1815/1816 Bohdan był w klasie trzeciej, przy normalnym zatem biegu rzeczy wstąpienie jego do szkoły przypadałoby na r. 1813.

skować, że dawny rygor szkolny, dawny kierunek wychowawczy, którego hasłem było:

> Różczką Duch święty dziateczki bić radzi,
> Różczka nikomu nigdy nie zawadzi,

daleko dłużej trzymał się w szkołach zakonnych niż świeckich.

Żeby dać wyobrażenie o tem, jaki rygor mógł zastać Bohdan Zaleski w szkole humańskiej, przytoczę to, co Karol Micowski w pamiętniku wydanym przez Michała Grabowskiego [1]) pisze o powiatowej pijarskiej szkole w Międzyrzeczu, którą Micowski ukończył w r. 1799, a więc na kilkanaście lat przed przybyciem Bohdana do Humania »Rygor i karność, tak potrzebna w młodym wieku, ściśle była przestrzeganą, a chociaż nie używano częstej i licznej chłosty, jaką się odznaczali *Patres societatis Jesu*, lecz mieli inne jakieś sposoby, zależące raz od powagi przełożonych, powtóre od dawnego wkorzenienia. I tak: młodzież, która przybywała, zastawała już dawnych; od nich więc dowiadywała się, jak się ostrożnie zachowywać należy, aby nie podpaść karze, a nawet naganie, dowiadywała się ze strachem, jak przesadni opowiadacze prawili im poetycznie o demerytach, notabenach, które zwykle mazano w sobotę, a zatem przez kilka dni smutkiem i trwogą przerażały, i choć, jak się później sam przekonałem, rzadko lub nigdy ta mazanina sobotnia nie następowała, wszelako takiej omissyi zupełnie nie dowierzano i pokąd notabena trwała w katalogu, nigdy zupełna spokojność nie wstąpiła w serce; a każdy notabenista podwajał pilność, aby merytami mógł ją zmazać lub puścić *per non sunt*...«

---

[1]) Pamiętniki domowe zebrane i wydane przez Michała Grabowskiego, Warszawa 1845. Grabowski przy Pamiętniku Micowskiego taką daje w dopisku uwagę: »Zdaje się nam, że żaden jeszcze Pamiętnik obyczajowy nie dał tak dokładnego opisu całego trybu szkół dawnych«.

»Nie później jak o godzinie 6-ej jużeśmy wstawali, i zaraz wszyscy do pacierza, potem na mszę studencką, gdzie klasy 1, 2, 3 i 4 klęczały osobnymi ordynkami po dwóch; 5-ta zaś i 6-ta siedziały w ławkach osobnych. Cztery pierwsze klasy miały cenzorów, którzy byli w ostatniej parze i zaginali w katalogu według rubryk, jakie wykroczenie kto zrobił; a te katalogi były najstraszniejsze, bo nigdy na sucho nie uszły; młodsze szkoły dostawały w sobotę admonicyę krzyczącą, starszym wokabuły lub klęczenie między parwistami, a to było tak upokarzające, że ledwo nie każdy wolałby w klasie admonicyę krzyczącą, niż wstyd publiczny: bo jakże przenieść klęczenie w parwie, w niedzielę na sumie, którą celebrował rektor, na której... znajoma publiczność była przytomną!«

»O pół do ósmej wracaliśmy na śniadanie i natychmiast do klas, bo już profesor przychodził i wszystkich zastać był powinien z gotową erratą wyrecytowanych przed audytorami lekcyi. Ileż to było twarzy zbladłych, które wiedziały, że źle w niej zapisane. Za nadejściem profesor, uklęknąwszy w katedrze, mówił: *Veni creator*, na co klasa odpowiadała, a po tej krótkiej modlitwie, czytanie erraty, rzadkie wprawdzie kary (choć bywały), lecz zawsze zawstydzenie i drwiny przy kolegach, drapiące miłość własną nieuka. — W klasie, jeśliby kto być nie mógł dla niezdrowia, okazyi z domu lub czego podobnego, powinien był o tem wiedzieć prefekt i profesor tej lekcyi, inaczej następowała pokuta«. Nauka szkolna w klasach trwała dwie godziny rano i dwie popołudniu, od drugiej do czwartej, poczem następowała rekreacya, powtarzanie lekcyi na jutro zadanych i koło godziny 9-ej zaczynał się spoczynek nocny. Uczniowie mieszkali albo w konwikcie głównym, pod bezpośrednią opieką profesorów, albo na stancyach pod zawiadowstwem tak zwanych dyrektorów, którymi byli zazwyczaj starsi uczniowie ze szkoły. Latem zabawy odbywały się pod gołem niebem, w zimie zaś

»dyrektorowie z dwóch lub trzech stancyi wraz z uczniami po wieczerzy schodzili się razem; tam oni jako starsi bawili się gawędą, a my graliśmy w pliszki, w szkoły i podobne gry, a zawsze nie dłużej, jak do godziny przeznaczonej na spoczynek. Palenie tytoniu, gry pieniężne surowo były zakazane nietylko uczniom, lecz i dyrektorom; i pewnieby dyrektor srogo był upomniany, gdyby lulka lub zapach tytoniowy doszły nosa lub oka prefekta. Gry studenckie w stancyach w czasie kilkodniowych świąt były nudne warcaby, nudniejszy jakiś kardynał i kość kwadratowa, którą grano w orzechy, a ta na czterech bokach miała cztery początkowe litery A. P. N. O., co znaczyło *accipe*, *pone*, *nihil*, *omne;* wyrzucona litera *A* brała orzech z puli, litera *P* dawała orzech do puli, litera *N* ani brała, ani dawała, a litera *O* zabierała wszystko. Wszelako starsi i niektórzy dyrektorowie grywali czasem i w pieniądze w kwindecza, lecz bardzo rzadko i tajemnie, zamykając na drąg drzwi od sieni, a szczelniej jeszcze okiennice; często bowiem wśród nocy, a nawet zamieci przychodził najmniej spodziewany prefekt z socyuszem, osobliwie do stancyów, gdzie młodzi lub z innych szkół przybyli znajdowali się dyrektorowie lub gdzie gospodarz miał wyrostki córki, a choć wizyta była krótka, zawsze ten przegląd trzymał w ostrożności. Co miesiąc była ogólna spowiedź, a co trzy miesiące examen przez X. rektora, który nie dla pozoru tylko na niego przychodził. Examinował on ściśle z każdego przedmiotu, uważał, czy ten dobrze był wykładany przez profesora i repetowany przez dyrektora; a przywykły do tego rodzaju, łatwo i trafnie poznał, czyja była wina, jeśli uczeń nie umiał odpowiedzieć na pytania lub odpowiadał jak sroka; i dlatego częstsze przymówki odbierali dyrektorowie za niepilność lub złą pilność, a choć te przymówki nie były grubiańskie, wszelako dotkliwe, kiedy np. niby w ogólności przymawiał, jaki jest obowiązek tych, którzy w wychowaniu mło-

dzieży zastępują rodziców; jak się powinni wstydzić ci, którzy tego obowiązku nie pojmują, a jako występni ci, którzy pojmując, nie dopełniają. Czasem też żartobliwie mówił, że Cicero pisząc De Officiis, kiedy mówi *Parentibus et preceptoribus nunquam satis*, nie byłby tego o drugich napisał w Międzyrzeczu i t. d. Dlatego examina straszniejsze były dla dyrektorów, niż dla uczniów; przeto dyrektorowie przed egzaminem brali się, jak mówią, na pazury i uczniów pilnowali więcej jak kiedy«.

W takich mniej więcej ramach obracało się życie małego Bohdana, (którego wtedy jeszcze, jak już wspomniałem, od pierwszego imienia nazywano Józiem), kiedy go brat oddał do szkoły powiatowej w Humaniu. Że rygor szkolny tutaj nie był mniejszy od tego, jaki przed kilkunastu laty panował w szkole międzyrzeckiej, przemawia za tem osobistość tak X. Gracyana Mikulińskiego, który był prefektem w szkole humańskiej od r. 1812 do 1816 i jako taki, zyskał sobie pochwałę Czackiego [1], jak, jeszcze więcej, księdza prefekta Skibowskiego, który znany był ze swej gorliwości, a w pamięci uczniów zapisał się, jako przełożony despotyczny [2]).

Zresztą nakazuje tak sądzić to, co wiemy o trybie szkolnym w Humaniu w czasach nieco późniejszych, z notatki rękopiśmiennej Edmunda Liwskiego [3]). Powiada on, że porządek i rygor w szkołach humańskich były wielkie;

---

[1]) O Bazylianach w Humaniu przez Wołyniaka, Przewodnik nauk. i lit. 1899, str. 1152.

[2]) Goszczyński, Chronologia mojego życia. Teki II, Rkp. X. Skibowski, posiadający wyższe uniwersyteckie wykształcenie, kandydat filozofii, został przełożonym szkoły humańskiej dopiero w r. 1816 ale przedtem wykładał w tej szkole fizykę, botanikę i zoologię. Ob. kalendarzyk polityczny dla Wydziału Uniwersytetu Imper. wileńskiego na r. 1812, 1814, 1816 i 1817.

[3]) Zużytkowana przez Wołyniaka w jego pracy: *O Bazylianach w Humaniu.* Przewodnik nauk. i lit. 1899 str. 1145—1147.

młodzież szanowała i kochała swoich zwierzchników, ale się też ich bała. Prefekt wraz z profesorami odwiedzał kwatery uczniów w dzień i wieczorem. Pomiędzy uczniami była tak zwana marka (kawałek deski z przywiązaną do niej książeczką z białego papieru, na której zapisywały się przewinienia uczniów) i ta marka przechodziła od jednego ucznia do drugiego, a za winy wyznaczały się kary. Lekcye trwały dłużej niż ongi w Międzyrzeczu, bo od 8-ej do 11-ej rano i od 2-ej do 5-ej godz. popołudniu. Wszakże w czasach, w których Bohdana oddawano do szkoły humańskiej, a więc na kilkanaście lat przedtem, jak Liwski zasiadał w tej szkole, nauka szkolna i ranna i poobiednia w Humaniu musiała być tylko dwugodzinną. Tak wnosić można z tego, co o rok tylko młodszy od Bohdana Odyniec mówi w swoich *Wspomnieniach* o porządku szkolnym, jaki panował w szkole boruńskiej.

Szkoła boruńska była także bazyliańską, więc z urządzeń swoich musiała być podobną do humańskiej; czasy, o których mówi Odyniec, odpowiadają czasom szkolnym Bohdana Zaleskiego; warto więc dla dopełnienia obrazu życia szkolnego, w którego ramy dostawał się przyszły poeta, przytoczyć i słowa Odyńca o tem życiu. »Porządek życia szkolnego był taki. O wpół do siódmej rano dzwoniono na mszę studencką, do której jednemu z profesorów studenci na ochotnika służyli; guwernerowie zaś i szóstoklasiści w ławkach litanię do N. Panny po łacinie śpiewali. O siódmej krótkie śniadanie, a o wpół do ósmej *primum*, t. j. pierwsze dzwonienie do szkoły, po którem wpół godziny następowało *secundum*, to jest hasło zajęcia miejsc w klasach i przyjścia profesorów. Lekcye trwały do dziesiątej, którą ogłaszał dzwonek, dzwoniący na *finem*. Po południu, prócz wtorku i czwartku, lekcye w klasach zajmowały czas od 2-ej do 4-tej, a lekcye językowe do 5-tej, poczem już reszta dnia służyła na naukę w domu i na zabawę (rekreacyą) po niej. Dziedziniec szkolny w czasie

pomiędzy *primum* i *secundum*, równie rano jak popołudniu, tworzył obraz bez porównania tłumniejszy, ruchawszy i gwarliwszy, niźli wieczorna nawet zabawa na rynku, w której wszystkie stancye razem brały lub mogły brać udział. W tym to albowiem czasie odbywała się na tym dziedzińcu jakby ogólna głośna naukowa spowiedź jednych przed drugimi, t. j. recytowanie lekcyi przed audytorami, którzy zdanie swe o ich umieniu przekazywali imperatorom w erracie«.

»Do wszystkich tych wyrazów potrzebny jest już dzisiaj komentarz. Otóż, ponieważ sam profesor nie miałby nigdy dość czasu na wykład, gdyby mu przyszło co dzień zapytywać każdego z uczniów, czy i jak umie lekcyą poprzednią, wybierał więc zdolniejszych i pilniejszych do zastępowania go w tym obowiązku. Wybrani ci nosili u nas tytuł audytorów (w innych, a zwłaszcza świeckich szkołach zwano ich dekuryonami). Każdy miał powierzonych sobie kilku, najwięcej sześciu kolegów, których musiał codziennie pomiędzy *primum* a *secundum* z przeszłej lekcyi wysłuchać i zdanie swe, jak ją umieli, do wiadomości profesora podać. Za środek ku temu służyła tak zwana *errata*. Była to lista imienna wszystkich uczniów klasy, spisana rzędem na arkuszu papieru, a mająca przed każdem imieniem szereg kartek, w których się zapisywało codziennie zdanie audytorów. Zdanie to miało sześć stopni, wyrażało się w ten sposób: SC proste oznaczało, że umie *(scit)*; SC z podkreśleniem, czyli, jak mówiono, na saneczkach, wyrażało wątpliwość *(sub dubio)*; ER znaczyło, że się w recytowaniu mylił, *(errando)*; NB, że umie nie dobrze *(non bene)*; NR, że przed audytorem nie recytował *(non recitavit)*; NS nakoniec, że całkiem nie umie *(nescit)*. Profesor, spojrzawszy w erratę, zapytywał sam tych lub owych, ażeby zdanie o nich zapisane sprawdzić; a wtenczas biada audytorom, którzyby przez pobłażanie lub niechęć fałszywie złożyli świadectwo. Sami też oni nie byli

wolni od audytorskiej kontroli, tylko, że audytorem nad nimi był już sam najwyższy dygnitarz klasy, Imperator (w innych szkołach Centuryonem zwany), którego już tylko profesor, który go sam mianował, miał prawo zapytywać i sądzić. Głównym atoli atrybutem jego władzy było utrzymywanie i zapisywanie erraty. Siedział więc na katedrze profesorskiej pomiędzy *primum* i *secundum*, i mając na profesorskim stoliku rozłożoną przed sobą owę erratę, wpisywał w nią zdania audytorów o innych, a swoje o audytorach. Łatwo pojąć, jak taka godność i powaga wpływała na dziecinne umysły, tembardziej, że kto raz nią był obleczony, chociaż ją sprawować poprzestał, zachował zawsze pewne przywileje, które go wynosiły nad innych, np. że już nie miał nad sobą nigdy audytora. Gdy było kilku równie dobrze uczących się w klasie, wszyscy oni z kolei dostępowali tego zaszczytu... Wszystko to wszakże miało tylko miejsce w trzech pierwszych klasach; w następnych liczono już na dojrzały rozsądek i pilność samychże uczniów, i już ani audytorów, ani erraty nie było« [1]).

Jak wyglądał klasztor bazyliański i jakie tradycye z murów jego i otoczenia przemawiały do dziecinnej wyobraźni Bohdana, poucza nas o tem wspomniana już notatka Liwskiego. »Klasztor formował trzy wielkie skrzydła; średnie zwrócone było na zachód, a dwa inne na północ i południe. Budowa była dwupiętrowa, mury grube, okna na dole we framugach zakratowane, kurytarze długie, sklepione. W północnem skrzydle po obu piętrach były szkoły, kościół, czyli raczej duża kaplica... przez dwa piętra; w południowem i zachodniem były cele zakonników, których tu często dużo bywało, biblioteka, gabinety etc. Na początku południowego skrzydła, z oknami zwróconemi ku południowi i wschodowi znajdowało się mie-

---

[1]) Wspomnienia z przeszłości, Warszawa 1884, str. 41—44.

szkanie rektora o trzech pokojach, skąd piękny był na Humań widok; naprzeciwko tego mieszkania, na korytarzu wisiał portret O. Kosteckiego [1]) w tej postawie, w jakiej dokonał swego męczeńskiego żywota, a dalej wzdłuż kurytarza ogromne obrazy św. Bazylego, Mikołaja, Onufrego i Jozefata, poprzestrzelane i pokłute podczas rzezi humańskiej«. Szczególnie obraz O. Herakliusza Kosteckiego, zamordowanego w r. 1768 przez hajdamaków, musiał silne sprawiać na młodzieży szkolnej wrażenie, skoro jeden z kolegów Bohdana, Jan Krechowiecki, w pół wieku przeszło po latach szkolnych zachował go bardzo żywo w pamięci. O. Herakliusz przedstawiony był na nim, jako stojący na dwu skrwawionych włóczniach, z dwiema ranami w piersi; w lewej ręce krucyfiks, w prawej Przenajświętszy Sakrament. »Scena odbywa się za obrębem klasztoru, w perspektywie źle zachowanej. Hajdamacy mordują klęczących zakonników i studentów, ciała ich wrzucają do znajdującej się obok studni. Postawa męczennika wzniosła, szlachetna, oblicze wypogodzone, piękne, ślady umartwionego życia noszące«. U spodu był napis: *crudeliter occisus*, który potem w czasach prześladowania Unitów kazano wyciąć [2]).

Za klasztorem — według relacyi Liwskiego — rozciągał się ogród, »niezbyt duży, ale dostateczny dla użytku, oddzielony sztachetami od cegielni, a murem średniej wysokości od miasta; od wschodu zalegał wielki dziedziniec, za którym stały dwa domy wynajmowane przez bogatszych rodziców studentów lub majętniejszych dozorców

---

[1]) O ks. Kosteckim zamordowanym przez hajdamaków w roku 1768, patrz Heleniusza *Wspomnienia narodowe*, Paryż 1861, str. 208—209. Miał zginąć w kościele, ściągnięty z ambony.

[2]) Bazylianie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie przez Jana Krechowieckiego. »Przegląd Lwowski« T. II, 1872, str. 151.

domowych, którzy uczniów utrzymywali; we wschodniej części muru była dzwonnica z furtką, a w południowej wielka brama wjazdowa także z furtką; za cegielnią zaś dość znaczna fosa, dziś już zasypana, którędy Gonta i Żeleźniak podstępem weszli do miasta« [1]).

Tak tedy tradycya rzezi humańskiej na każdym kroku przypominała się młodzieży szkolnej, a między innymi i Zaleskiemu. Jaki był stosunek jego, jako poety, do tej tradycyi, później we właściwem miejscu o tem powiem, tu dodam tylko, że nie trudno było jeszcze wówczas w Humaniu spotkać się z ludźmi, którzy byli świadkami tych krwawych wypadków, oddalonych nie więcej, jak o lat pięćdziesiąt, i wiemy, że pod koniec swojego pobytu w Humaniu Zaleski, razem z Goszczyńskim, mieszkał u pewnego sadlarza [2]) Tereszki, który pamiętał te czasy i opowiadał swoim lokatorom o nich.

Ważnym szczegółem w zewnętrznej stronie życia szkolnego, które miało wykształcić najbardziej »słowiańskiego« ze wszystkich poetów polskich, było to, że nabożeństwo, na które codziennie chodzili uczniowie do kaplicy szkolnej, odprawiało się w obrządku unickim, a więc w języku słowiańskim, tylko kazania i różne śpiewy kościelne były polskie, litanie zaś odmawiano zwykle po łacinie.

Co się tyczy zabaw, to o ile można wnosić ze wspomnień Aleksandra Grozy, gra w piłkę należała w Humaniu do najulubieńszych i najzwyklejszych. Odbywała się ona na obszernym placu, który przytykał do murów bazyliańskich, a nazywał się cegielnią. Odbywały się też niekiedy pod kierownictwem profesorów zakonnych przed-

---

[1]) Przewodn. nak. i lit. 1899, str. 1146—1147.

[2]) Goszczyński, Teki nr. III, Chronologia mojego życia. U Z. Wasilewskiego (Narodziny poety-romantyka, Ateneum 1895) zapewne wskutek złego odczytania mowa jest o »siodlarzu«, za nim powtarzali tak inni.

stawienia teatralne, w których podobno i mały Zaleski brał udział [1]; ale wyższa władza zakonna nie zawsze chętnem okiem spoglądała na tę zabawę. Wiemy, że w roku 1809 prowincyał Bazylianów, X. Floryan Szaszkiewicz, wizytując klasztor humański i szkołę, taką zostawił naukę profesorom: »komedyami bawić uczniów i powszechność nie przystoi XX. profesorom, kiedy z profesyi swojej nie są komedyantami, ale nauczycielami, przeto raz tylko w rok i to w zapusty komedye grać pozwalam« [2].

Z pomiędzy innych rozrywek do najprzyjemniejszych i najbardziej kształcących należały przechadzki zbiorowe w okolice, w szczególności do pięknej i sławnej Zofiówki, do której pieszo z miasta można się było dostać w godzinę. Jak kształciła ona zmysł estetyczny wychowanków szkoły humańskiej, na to później zwrócę uwagę; tutaj dodam, że w tych przechadzkach chodziło nie tylko o ruch hygieniczny i dostarczanie przyjemności młodzieży, ale i o pożytek naukowy. Uczniowie w czasie tych przechadzek zbierali i rozpatrywali kamienie, owady i rośliny i z tych ostatnich układali zielniki. Jeden z takich zielników, ułożony przez późniejszego Filomatę, a przedtem ucznia szkoły humańskiej, Józefa Jeżowskiego, przeniesiony do Wilna i złożony tam w Bibliotece Uniwersytetu, przyjęty był z wielkiem uznaniem przez powagi wileńskie i w organie Uniwersytetu, jakim był *Dziennik Wileński*, ściągnął wielkie pochwały na szkołę humańską i na księdza Skibowskiego.

---

[1] Jest o tem mowa w artykule Seweryny Duchińskiej p. t. Bohdan Zaleski, wspomnienie pośmiertne (Biblioteka Warsz. 1886, II). Artykuł ten osnuty jest, jak twierdzi autorka, na wspomnieniach samego Bohdana, czerpanych z ust jego w ciągu dwudziestu ostatnich lat jego życia, ale te wspomnienia w przedstawieniu p. Duchińskiej tak są mętne, splątane i widocznie amplifikowane, że jako materyał biograficzny do czasów dzieciństwa nie mają prawie żadnej wartości.

[2] Wołyniak, tamże, str. 1042.

Tenże sam Jeżowski nietylko pod względem botaniki, ale i pod względem innych nauk, w szczególności literatur klasycznych, mógłby służyć za miarę i dowód, jak wysoko stała nauka szkolna w Humaniu.

W młodzieńczem gronie przyjaciół i kolegów Mickiewicza, które było kwiatem młodzieży wileńskiej i stworzyło ruch filarecki, Jeżowski niewątpliwie posiadał najgruntowniejszą i najobszerniejszą wiedzę, co uznawali jego koledzy i czemu on po części zawdzięczał przewodnicze stanowisko w związku Filomatów. Prawda, i wiek tu coś znaczył (Jeżowski był najstarszym w tem gronie) i jego poważne usposobienie, ale też ani jedno, ani drugie nie dałoby mu tego stanowiska, jakie zajął wśród kolegów wileńskich, gdyby nie przyniósł był z sobą ze szkół humańskich systematycznie, gruntownie nabytej wiedzy i prawdziwego zamiłowania w nauce. A postać jego nabiera tem większego znaczenia w biografii Bohdana Zaleskiego, że był on w pierwszych latach szkolnych poety jego dyrektorem, to jest tym, który zostając w ciągłym bezpośrednim stosunku z powierzonym swojej opiece chłopakiem, mógł bardzo silnie oddziaływać na rozwój jego dziecinnego umysłu. Ale o tem nic bliższego nie wiemy.

Największy jednak wpływ na rozwój poetyckich zdolności Bohdana i jego zamiłowania w poezyi — tymczasem klasycznej — wywarł, jak się trzeba domyślać, profesor poetyki i retoryki w szkole humańskiej, X. Klemens Hryniewiecki. Objął on wykład tych przedmiotów w Humaniu mniej więcej w tym czasie, kiedy Bohdana do szkół oddano i umiał zachęcać uczniów klas wyższych nie tylko do gorliwego studyowania poezyi łacińskiej, ale i do artystycznego przekładania jej na język polski. Największą zachętą dla uczniów było to, że mogli się spodziewać ujrzenia swoich przekładów w druku, albowiem X. Hryniewiecki, wybrawszy lepsze z tych przekładów i zapewne poddawszy je starannej korekturze własnej,

przesłał *Dziennikowi Wileńskiemu*, który je wydrukował, dodając bardzo pochlebne dla młodych tłumaczy, a jeszcze więcej dla ich profesora, uwagi [1]).

I wizytator Jan Rudomina w relacyi ze swojej wizyty szkół humańskich, odbytej w pierwszych dniach lipca 1816 r. chwali O. Hryniewieckiego »zdrowe o dziełach sztuki krasomowczej zdanie i naukę ozdobioną prawdziwą skromnością« [2]).

Program nauk w szkole humańskiej obejmował prawie wszystkie nauki, jakie dziś wchodzą do programu gimnazyalnego, z wyjątkiem greki, ale i greka pojawiała się czasami, jak to miało miejsce w r. 1815, o czem dowiadujemy się z broszury: *Materye z nauk w szkole humańskiej w lipcu 1815 r.* (bez m. dr.) [3]). Było to jakby w myśl Czackiego, który zamierzał szkołę humańską wraz z międzyrzecką podnieść do stopnia gimnazyum [4]). A nie tylko greka występuje w programie tego roku, ale nawet »systematy filozoficzne dawnych Greków«. Była więc pe-

---

[1]) W *Dzienniku Wileńskim* 1817 (T. V) w styczniowym zeszycie, z okazyi umieszczenia przekładów z Wergilego, dokonanych przez uczniów szkoły humańskiej (Teod. Krasińskiego i Jana Dutkiewicza) chwalony jest X. Hryniewiecki, jako ten, który »skutkiem przykładnej prawdziwie gorliwości i gruntownego przewodnictwa, potrafił w licznej, zbierającej się tam młodzieży zaszczepić gust i najszlachetniejszy zapał do poznawania klasyków łacińskich, do napawania się ich słodyczą i do ćwiczenia ich na wzór własnej zdolności«. Co się tyczy wiadomości tamże podanej, że X. Hryniewiecki jest już »od lat pięciu nauczycielem literatury w szkole powiatowej humańskiej«, nie zupełnie zgadza się to z Kalendarzykiem politycznym Uniw. Wil., gdzie pod r. 1816, jako nauczyciel wymowy (tj. literatury) wymieniony jest Nikan Daszkiewicz, a pod r. 1818 X. August Roliński.

[2]) Wołyniak, O Bazylianach w Humaniu, Przewodnik nauk. lit. 1899, str. 1840. Z relacyi Rudominy wypływałoby zatem, że Kalendarzyk polit. w r. 1816 niewłaściwie wymienia Daszkiewicza, jako nauczyciela wymowy.

[3]) Przytoczone w pracy Wołyniaka. [4]) Ramoty Detiuka III, str. 8.

wna płynność, nieustaloność w programie, program rozszerzał się lub kurczył, stosownie zapewne do sił nauczycielskich. I pod względem podziału na klasy nie było niezmiennego porządku. Wprawdzie zazwyczaj było pięć klas, ale niektóre z nich miały kurs dwuletni. W r. 1815 takiemi klasami była pierwsza i trzecia, tymczasem skądinąd wiemy, że później klasa V występuje z kursem dwuletnim. Języki nowożytne należały do przedmiotów fakultatywnych, jak to wynika ze sprawozdania z drugiej wizyty Czackiego (1812), w którem powiedziano, że na 368 uczniów języka francuskiego uczyło się 103, niemieckiego 80, rysunków 125. Pod r. 1815 znajdujemy i muzykę jako przedmiot fakultatywny [1]).

Biblioteka bazyliańska w Humaniu, jak na owe czasy i jak na położenie Humania, tak odległe od głównych ognisk oświaty polskiej, była dobrze uposażona. W opisie szkoły z r. 1802 powiedziano o niej, że zawiera wielu dobrych autorów. Podług wizyty kanonicznej z r. 1804, biblioteka klasztorna zawierała w sobie Pisma św. ksiąg 18, teologicznych ksiąg 39, historycznych 64, prawnych 15, filozoficznych i matematycznych 117, poetycznych, gramatycznych i retorycznych 170, kaznodziejskich 58, ascetycznych 44, geograficznych 3, z historyi naturalnej 48, słowników 9, razem tomów 585. We dwanaście lat później, jak to widać ze sprawozdania Jana Rudominy z r. 1816, liczba już nie tomów, ale dzieł biblioteki klasztornej wzrosła do 658, a oprócz tego była biblioteka szkolna. Wprawdzie liczyła ona tylko 105 dzieł, ale uczniowie pilniejsi w pewne dnie tygodnia mogli korzystać i z biblioteki klasztornej.

Z tego ostatniego źródła dowiadujemy się, że szkoła prenumerowała wtedy kilka pism polskich: *Kuryera litewskiego*,

---

[1]) Przew. nauk. i lit. 1899, str. 1039.

Pamiętnik Warszawski, *Dziennik Wileński* [1]) i *Pamiętnik historyczno-polityczny*; z rosyjskich: *Syna Otieczestwa*, *Wiadomości petersburskie* i *Wiestnik Europy*.

Jeżeli możemy sobie jako tako odtworzyć sferę, w której się znalazł mały Bohdan, oddany do szkoły humańskiej, to o nim samym, zanurzonym w tej sferze, w ciągu pierwszych trzech lat szkolnego życia, aż do r. 1816, nic prawie nie wiemy. Dopiero tego roku postać jego zaczyna się wynurzać i zarysowywać na tle szkolnem. Zawdzięczamy to dotąd jeszcze nie wydanym wspomnieniom Seweryna Goszczyńskiego, który z początkiem 1816 roku znalazł się w Humaniu, jako uczeń klasy II-ej.

Bohdan, liczący wówczas lat czternaście, był o klasę wyżej, nie było więc bezpośredniego koleżeństwa, ale znajomość bliższa między chłopakami prędko się zawiązała. Wiekiem byli sobie prawie równi (Goszczyński tylko o trzy miesiące starszy), ale usposobieniem wcale różni i dlatego może, prócz innych przyczyn, łatwo lgnęli do siebie. Gwałtowny, wybuchowy Goszczyński, który jako dziecko w napadzie chwilowego gniewu chciał raz swoją ciocię Dosię utopić, był zupełnem przeciwieństwem łagodnego, czułego, do marzeń skłonnego Zaleskiego. Była też różnica pewna między nimi i pod względem stosunków materyalnych i pod względem kultury domowej, którą z sobą do szkoły przynosili. Syn żołnierza z ostatnich lat rzeczypospolitej, potem ekonoma, który nigdzie nie mógł zagrzać miejsca i stąd z liczną rodziną w ciągłej musiał

---

[1]) Wołyniak (l. c. 1039) na podstawie sprawozdania Rudominy wymienia nie *Dziennik Wileński*, ale *Warszawski*, co jest widocznie błędem z nieuwagi pochodzącym, bo w r. 1816 nie wychodził żaden *Dziennik Warszawski*, a przy tem trudno przypuścić, żeby w szkole, która była jeszcze wtedy (do r. 1818) zależną od Uniwersytetu wileńskiego, nie było organu tegoż Uniwersytetu.

żyć biedzie, Goszczyński mógł liczyć na bardzo słabą pomoc materyalną z domu. Zaleski, jakkolwiek także od ojca, błądzącego po dalekich stronach, a zajętego rewindykacyą »sławnej Wawy«, mało mógł się spodziewać, miał przecież licznych a bogatych krewnych, miał przedewszystkiem brata Eliasza, który jako rządca dóbr swego krewnego, Wiktora Zaleskiego, miał z czego łożyć na wychowanie najmłodszego z rodzeństwa i otaczał braciszka troskliwą opieką. Niewątpliwie też w Krzywcu, w siedzibie Eliasza, dokąd Bohdan jeździł zwykle na wakacye, wyższy był poziom kulturalny, aniżeli w ognisku rodzinnem Goszczyńskiego. Wiemy przynajmniej, że Zaleski w Humaniu zaopatrzony był w kilkanaście dzieł własnych, między któremi była *Iliada* w przekładzie Dmóchowskiego i otrzymywał z domu *Gazetę warszawską* i *Pamiętnik warszawski* [1]).

Do chwili poznania się z Zaleskim, Goszczyński nie składał wcale wierszy i nie roił nawet o tem, aby zostać kiedykolwiek poetą. Widocznie poezya była dlań rzeczą jeszcze obcą, obojętną, niczem go nie pociągała. Przeciwnie Zaleski »uchodził już wtedy za poetę«, więc musiał mieć zamiłowanie w formie poetycznej i już zapewne układał wiersze, zwracając tem na siebie uwagę kolegów. I Goszczyński, wkrótce po przybyciu do Humania, zwrócił na niego uwagę i wkrótce znalazł sposobność zaznajomić się z nim, pomimo, iż był o jednę klasę niżej. Chłopcy prędko przypadli sobie do serca i łatwo zrozumieć, czem się wzajemnie ku sobie pociągali; w dziecinnych duszach już tkwiło w zarodzie to, co się miało po latach w kwiat pełny rozwinąć. W Zaleskim nieświadomie odczuwał Goszczyński łagodność, czułość i harmonijność jego natury i musiał uznawać pewną wyższość jego kulturalną, która nie miała w sobie nic imponującego i odstręczającego.

---

[1]) Teki Goszczyńskiego nr. VII, Chronologia mego życia.

W Goszczyńskim znajdował Zaleski, także w zarodzie, najgłębszą szczerość uczuć, ową gorącą bezwzględną, rycerską gotowość wcielania swoich ideałów w czynie, którą się w późniejszem życiu odznaczał Goszczyński, a która objawiła się teraz zapewne w bezwzględnem oddaniu się przyjaźni dla Bohdana i w bezwzględnem bezzawistnem uznaniu jego wyższości nad sobą. Stąd zawiązał się między nimi najściślejszy stosunek, stąd poezya, którą uprawiał dotychczas tylko Zaleski, a która jeszcze obcą była Goszczyńskiemu, stała się odtąd wspólnym ich pokarmem i wspólnym celem marzeń. Rolę inicyatora, przewodnika objął Zaleski; wyraźnie przyświadcza temu Goszczyński, mówiąc: »Przylgnęliśmy do siebie wszystkiemi władzami duszy. W tym związku rozbudził się we mnie organ poezyi«.

Pierwszym krokiem do tego rozbudzenia było przeczytanie *Iliady* w przekładzie Dmóchowskiego, którą Goszczyński dostał od Zaleskiego i która na nim, jak sam podaje, »nadzwyczajne wrażenie zrobiła«.

Było to jeszcze przed wakacyami 1816 r. Wyjeżdżając na wakacye, zabrał z sobą kilku poetów polskich, pożyczonych od Bohdana, powróciwszy zaś, uczuwał jeszcze »żywszy popęd do poezyi« i jeszcze chętniej garnął się do towarzysza, który wprowadzał go w nowy, uroczysty świat rytmicznych dźwięków i poetycznych obrazów.

Latem następnego r. (1817) tak byli już sobie bliscy, tak dla siebie wzajem potrzebni, że zamieszkali razem w futorze garncarza pod samą Zofiówką. »Odtąd powiada Goszczyński, byliśmy nierozdzielni«. Czytywali razem to, co im się do rąk dostało, a domyślać się trzeba, że najpilniej studyowali *Pamiętnik warszawski*, który Zaleski przywoził z sobą z domu i, że w *Pamiętniku* najwięcej ich pociągały ku sobie obficie rozsypane utwory poetyczne różnego rodzaju i tonu. Obok bajek, stwierdzających bardzo silny jeszcze wpływ Krasickiego, obok sielanek na

tle klasycznem i poezyi patryotycznej, godzącej patryotyzm z uwielbieniem dla cesarza Aleksandra, znajdowali tu utwory tchnące nowym duchem, niepodobne do tego wszystkiego, co im dotychczasowa poezya polska podawała: ballady Schillera i »dumy« Ossyana. W tomach *Pamiętnika*, które wówczas mieli przed sobą (z r. 1816), były już przez rozmaitych tłumaczów lepiej i gorzej tłumaczone utwory Schillera: Nurek, Ideały, (Marzenia), Kassandra, Godność niewiast; Ossyana: Śmierć Oskara, Karton, Ostatni hymn.

O ile można sądzić z późniejszej twórczości Zaleskiego i Goszczyńskiego, muza Szyllerowska bardziej odpowiadała usposobieniu pierwszego, posępny, bohaterski ton Ossyana bardziej przypadał do serca drugiemu. Jakiem echem *Ideały* Schillera odezwały się w poezyi Bohdana, o tem później będzie mowa; co się tyczy Goszczyńskiego, to jego zamiłowanie w Ossyanowskiej poezyi, które go pobudziło później do przekładu całego Ossyana, zaczęło się objawiać już w Humaniu i już pod koniec swoich szkolnych czasów pisywał on pieśni polskie w tonie Ossyana.

Teraz, w początkach zbliżenia się do poezyi i ścisłego związku z Bohdanem, nie chodziło mu o taki lub inny wzór, ale o to, ażeby swój nastrój poetycki, który zawdzięczał towarzystwu kolegi szkolnego, w jakikolwiek sposób wyrazić w formie wierszowanej. Należy dodać, że zamiłowanie w poezyi albo raczej w pisaniu rymów wśród uczniów humańskich było powszechne i że sława poetycka w obrębie murów szkolnych stanowiła niemałą dla młodzieży ponętę. Goszczyński opowiada, jak wkrótce po wstąpieniu jego do szkoły, jeden z kolegów, Dworzycki, porównawszy jakieś ćwiczenie szkolne Goszczyńskiego, napisane prozą z ćwiczeniem innego kolegi, Tarasiewicza, w którem, wzorem Krasickiego, proza przeplatana była wierszami, powiedział do Goszczyńskiego: »Już to tobie

nie być poetą, będziesz pięknie pisał, ale prozą; Tarasiewicz co innego, on poeta!« I Goszczyński dodaje, że te słowa Dworzyckiego mocno go uderzyły i na jakiś czas odebrały mu odwagę do próbowania sił swoich w poezyi. Ale kiedy stosunek przyjacielski z Zaleskim zaczął rozbudzać w nim coraz żywszą chęć sławy poetyckiej, kiedy współmieszkaniec ich stancyi Ludwik Bentkowski, napisał odę do myśli, która znalazła wielki rozgłos w szkołach, kiedy inni uczniowie z klas wyższych, (niejaki Szeling i Michał Gałęzowski) zasłynęli również jako poeci, a celniejsze przekłady z Horacego niektórych uczniów ks. Hryniewiecki posłał do *Dziennika Wileńskiego*, aby je tam podać całemu światu do podziwiania, wtedy rozgorzał Goszczyński takiem pragnieniem zostania poetą, że przez jakiś czas główną modlitwą jego podczas mszy studenckiej była prośba do Boga, aby mu dopomógł do tego. I gorące pragnienie Goszczyńskiego spełniło się. Udało mu się przełożyć wierszem polskim jedną z ód Horacyusza lepiej od wszystkich kolegów, którzy mieli to samo zadanie od ks. profesora, i w ten sposób i on zdobył sobie upragniony tytuł poety [1]).

Jak wyglądali dwaj przyjaciele — poeci w czasach szkolnych, przechował nam obraz tego inny uczeń szkoły humańskiej i także późniejszy poeta szkoły ukraińskiej — Aleksander Groza. Był on młodszy od nich i kiedy zaczynał naukę w Humaniu, tamci już byli w jednej z klas wyższych, ale ponieważ mieszkał razem ze starszym bratem swoim Augustynem, z którym wiązały Zaleskiego i Goszczyńskiego przyjacielskie stosunki, więc miał sposobność zbliżyć się do nich i zbliska się im przypatrywać, a przypatrywał się zapewnie tem uważniej, że już otoczeni byli

---

[1]) Tę odę, jak podaje Goszczyński w swojej *Chronologii życia*, wydrukował potem *Dziennik Wileński* (1820), ale przez omyłkę położył pod nią nazwisko Zaleskiego.

urokiem sławy poetyckiej. »Dobrze pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego, powiada A. Groza, byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski blondyn, twarzy białej, pięknej, oczu błękitnych, wzrostu miernego, chodził w bajówce zielonej. Goszczyński wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospowatej, jak on nazywał, rabej, ale przyjemnej, oczów niewielkich, żywych«. I on także nosił bajówkę, ale koloru piernikowego. Przed stancyą Grozów leżał duży kamień, Goszczyński wchodząc, zawsze musiał skrzesać ognia podkowami. »O nich już w szkołach mówiono, dodaje Groza, że najlepiej wiersze pisali« [1]).

Goszczyński szczególnie utkwił w pamięci Grozy, jako ten, który celował w grze w piłkę, w mecie i palancie. »Piłka, silną jego dłonią puszczona, leciała trafnie i daleko«. Zaleski — jako ten, który »prawie ciągle coś deklamował«. Rys to ciekawy, wskazujący, jak kształciło się w Bohdanie poczucie rytmiczności, i świadczący, jak już w latach szkolnych oddany był całkowicie poezyi. »Raz w pierwszej stancyi, opowiada Groza, brat mój siedział na łóżku, a Bohdan Zaleski stał przed nim w pokornej postawie i deklamował; w końcu obydwaj rzucili się sobie w objęcia. Nie rozumiałem, o co im szło, ale to co mówił Bohdan, było bardzo czułe, bo i mnie się łzy z oczu puściły; potem dowiedziałem się, że to była prośba Priama za ciałem Hektora, a mój brat prezentował Achillesa i widać, że prośba skutek wzięła, kiedy proszący i proszony tak serdecznie się uścisnęli« [2]). Naturalnie Priam błagał Achillesa nie językiem Homera, tylko jego tłumacza Dmóchowskiego.

Wspomniałem wyżej o zbiorowych wycieczkach uczniów humańskich w okolice Humania, między innemi do

---

[1]) Mozaika kontraktowa, pamiętnik z r. 1851 **przez** Aleksandra Grozę. Wilno 1857, str. 97—98.

[2]) Tamże, str. 126.

Zofiówki w celach naukowych. Otóż Zofiówka w szkolnem życiu Bohdana nie tylko taką odegrała rolę, ale i ważniejszą. Zaleski nie był stworzony do zbierania i klasyfikowania owadów, albo do układania zielników, jak jego poważny dyrektor Jeżowski, ale za to był bardzo wrażliwy na piękność przyrody, która tu w Zofiówce, gdzie wody, skały, wzgórza, bujna zieloność i bielejące na jej tle posągi układały się w jedną pieśń rytmiczną, występowała w czarodziejskim blasku. Żywe wspomnienie Ukrainy, którą poeta bardzo młodo pożegnał na zawsze, podsycając nieustannie tęsknotę do »kraju lat dziecinnych«, przechowało się w nim do najpóźniejszej starości, a skupiało się głównie około dwóch obrazów. Jednym był obraz Iwanhory, gdzie »cuda się działy z ośmioletniem dzieckiem«, gdzie żył sam na sam z przyrodą, używając nieograniczonej swobody na tle wspaniałych i rozległych widoków; drugim był zupełnie odmienny, bo w wązkie ramy jaru bujnie zarosłego i ozdobionego zwierciadłami stawów ujęty obraz Zofiówki. Wiązały się też z nim inne wspomnienia, wesołych czasów koleżeństwa szkolnego, pierwszych ogólniejszych poglądów na świat i może pierwszych nieśmiałych uczuć miłosnych. Tego ostatniego pozwala się domyślać ustęp z wiersza, pisanego w głębokiej starości p. t. *Nieszpor*. (Dzieła pośmiertne T. I, str. 18—19).

Na schyłku życia mego w szarej dobie,
Co nieprzespaną nocą ku mnie grozi,
W omdleniu myśli i uczuć zamrozi,
Śnię, Ukraino, wiecznie śnię o tobie!
Gdzieś w Zofiówce twojej i w Humaniu
Goduję wesół, jak na dnia zaraniu.
. . . .

Rozkoszny sadzie mój, o rajska strono,
Po dziś dzień gonisz mnie ciągle, jak zmora;
Widzę cię, jakby pożegnaną wczora,
Wokoło bujnie, powonnie, zielono,

Fontanna tęczą skrzy się śród jeziora,
I kaskadami źwierciedli na strugi...
. . . .
Znam Zofijowskie pochyłości wzgórzy,
Cieniste gaje, zaciszne świątyńki,
Gdzie raz w skwar wielki przed nadejściem burzy
Zajrzałem kibić cudowną bogińki,
I przez kaskady przejrzysty obłoczek,
Uczułem w sercu pożar od jej oczek,
I po raz pierwszy poczułem w zachwycie
Oczarowanie na pieśniane życie.

Bliskie sąsiedztwo tego »rozkosznego sadu«, częste w nim przebywanie — Goszczyński i Zaleski, mieszkając latem w pobliżu Zofiówki, odwiedzali ją nieraz nawet rano przed wschodem słońca [1]) — musiało kształcić w nich estetyczne uczucia. Zwracał powszechną uwagę na piękność Zofiówki i sławny poemat Trembeckiego, górujący wówczas nad całą poezyą polską, ale jej twórca nie miał żadnego poczucia dla piękna w przyrodzie, podobnie, jak jego mistrz Fernejski, więc nie mógł w tym względzie oddziaływać na młode, ku nowym prądom poetyckim zwracające się dusze. Jego opisy kunsztowne i zimne, panegiryzmem dla założyciela ogrodu i jego rodziny zaprawne, nie mogły przemawiać do nich. Własnemi więc oczami spoglądali na wdzięki Zofiówki, w rozmaitości jej widoków wybierali to, co więcej przypadało do ich usposobienia, porównywali jedne widoki z drugimi i wiedli spory o to, którym pierwszeństwo przyznać należy.

Bardzo zajmujący obraz takich sporów zostawił nam Aleksander Groza w cytowanej już *Mozaice kontraktowej* (str. 127). »Na przechadzkę — powiada tam — najczęściej chodziliśmy do Zofiówki. PP. Dyrektorowie, będący z sobą w przyjaźni, zazwyczaj szli razem, to też i ich uczniowie jedną grupę składali, nierzadko kilkadziesiąt osób liczącą.

---

[1]) Teki Goszczyńskiego VII. Chronologia mojego życia.



Zofiówka — Staw wyższy.

Dla mnie ta przechadzka najmilszą była w sobotę, bo wtedy Zofiówki nie przepełniał tłum spacerujących; jej piękność wielka, cicha samotna, coś miała w sobie dziwnie uroczego. Raz w taką sobotnią, wiosenną przechadzkę Goszczyński i Zaleski sprzeczali się, skąd widok był piękniejszy? czy od posągu Belizaryusza czy od wazonu? Za pierwszym był Goszczyński, za drugim Zaleski. Tomaszewski i Gałęzowski mieli spór rozstrzygnąć, szli naprzód do Belizaryusza, a my drobiazg, szliśmy za nimi. Wspaniały posąg stał w cudownem miejscu. Nad nim wznosiła się góra w połowie lasem okryta, przed nim ślicznego strumienia źwierciadło i ściana olbrzymich skał zwalonych na siebie w najpiękniejszej perspektywie, a przybranych jodłami, świerkami, dębami, na prawo wielka fontanna, na lewo wielka kaskada, dalej trawnik z sadzawką i wazon granitowy z kwiatami. Czarowny kraj, odłamek Edenu, bo na naszej zwyczajnej ziemi, nic piękniejszego być nie może. Ten biały posąg Belizaryusza, to jakby biały cień na elizejskiem polu. Jakże to wszystko grandioso! wielki mistrz użył wielkich środków dla sprawienia najpotężniejszych wrażeń. Nie dziwię się, że poeta, co napisał *Zamek Kaniowski, Król Zamczyska*, ten widok nad inne upodobał«.

»Poszliśmy do wazonu postawionego w sadzawce, obłożonej różowym szlifowanym granitem, ogromny wazon także z różowego granitu zawsze napełniony najpiękniejszymi kwiatami. W sadzawce igrają złote, srebrne, czarne, pąsowe rybki chińskie; na około sadzawki zielony dywan trawnika, prześcielający się do strumienia. Z jednej strony ogromne skały i las, na prawo widok na wielką kaskadę i most wiszący; wprost na biały posąg Belizaryusza i górę lasem okrytą. Ustronie to jakby wyjęte z Arkadyi, ciche, piękne, urocze, jak muza Bohdana, harmonijne jak jego wiersze. Złote i srebrne rybki, to jego dumki, piosnki, przebłyskujące najświetniejszemi barwami«. W końcu do-

daje Groza, że nie pamięta już, po latach dwudziestu z górą, jak sędziowie ten spór estetyczny rozstrzygnęli.

Obraz ten zajmujący nietylko treścią swoją, ale i sposobem przedstawienia. W tym zachwycie trochę przesadnym, z jakim Groza opisuje piękność Zofiówki, odźwierciedlają się nie tylko jego wrażenia, ale i tych wszystkich z młodzieży humańskiej, którzy nieobojętni byli na wdzięki przyrody. Co się tyczy podobieństwa złotych rybek w sadzawce, obłożonej różowym granitem, a otoczonej zielonym trawnikiem, do piosenek Bohdana, to jest ono szczęśliwie uchwyconem, ale nasuwa inne jeszcze porównanie, dotyczące poezyi Bohdana, a bodaj czy nie lepiej od pierwszego dające się uzasadnić. Można wątpić, czy są w Zofiówce motywy krajobrazowe, któreby odpowiadały obrazom *Zamku Kaniowskiego* i *Króla Zamczyska*, ale za to nie same tylko rybki w sadzawce, ale cała Zofiówka, w całym swoim układzie, w harmonii wszystkich swoich motywów, pokrewną jest poezyi Bohdana Zaleskiego, w szczególności tej, która na ton majorowy jest nastrojoną. I jak w Zofiówce nie występuje natura w swojej surowej, nagiej piękności, ale jar ukraiński ubrany jest artystyczną ręką inżyniera w niezwykłe sobie ozdoby, tak i poezya Zaleskiego, jak to on sam spostrzegał, surową przędzę pieśni ludowej przerabiała na adamaszki i atłasy, w których ta przędza nabierając gładkości i świetności traciła coś ze swojej mocy i prostoty.

We dwa lata po Goszczyńskim, wstąpił do szkoły humańskiej inny młodzieniec, z którym równie jak z tamtym miał wiązać Zaleskiego długi i serdeczny stosunek. Był to Michał Grabowski. Syn zamożnych rodziców, starannie wychowany, przybywał do Humania z Romanowa, z konwiktu Jezuitów, sprowadzonych tam przez senatora

Augusta Ilińskiego i choć miał dopiero lat 14, (urodził się w 1804 r.) wstąpił odrazu do klasy czwartej. Ujmującą powierzchownością, skromnem, ale wykwintnem, pełnem powagi ułożeniem, bystrością umysłu, odbijał tak od szarego tłumu rubasznych przeważnie kolegów, że sprawiał na wszystkich wielkie wrażenie. To wrażenie Goszczyński streścił w następujących słowach: »dziecko ładne... jak dziewczyna, niewinny, rumieniący się, a przytem zamknięty, poważny, arystokrata, zwrócił na siebie uwagę kolegów i wielu podbił, jak kokieta, między innemi Bohdana Zaleskiego. Stąd ściślejszy między nimi stosunek, aniżeli był mój. Byliśmy jednak dobrze. Kiedy Bohdan kochał się w nim prawie, jak w dziewczynie, my byliśmy na stopie męskiej przyjaźni, związani wzajemnem ocenieniem naszych przymiotów męskich, zalet męskich«.

Po wakacyach r. 1818 trzej chłopcy, którzy mieli kiedyś zająć ważne stanowiska w literaturze polskiej, a którzy inteligencyą i aspiracyami literackiemi wybijali się ponad ogół młodzieży, znaleźli się razem w jednej klasie [1]. Był to rok pełen znaczenia w dziejach literatury polskiej. Sprawa nowego, romantycznego kierunku, który dotychczas zaznaczył się tylko kilku wyjątkami z pism obcych w tłumaczeniu, przekładami kilku ballad niemieckich lub angielskich, stawała się teraz przedmiotem dyskusyi w pismach polskich. Jednocześnie z różnych stron odezwały się nowe hasła. W *Ćwiczeniach Naukowych*, wydawanych w Warszawie przez Glücksberga, ukazała się głośna rozprawa Czarnockiego »O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem«, w której Czarnocki, rozmiłowany w podaniach, pieśniach i starych obrzędach ludowych, żalił się, że »kształcąc się na wzór obcy, staliśmy się na koniec

---

[1] Goszczyński l. c. powiada, że przeszedł wtedy do klasy 5-tej na rok pierwszy, zapewne razem z Grabowskim. Zaleski zaś, jak się należy domyślać, był w tejże klasie jako drugoroczny.

sobie sami cudzymi«, i w poetycki sposób dawał próbę tego, co można wyciągnąć z pieśni obrzędowych, które uzbierał nad Dnieprem, Bohem, Bugiem, Sanem i Górną Wisłą, a które, jak powiadał, »wszędy tchną miłą prostotą, smętnością pełną przenośni i obrazów starożytnych«.

W tym samym roku i w tem samem piśmie dziewiętnastoletni a tak wiele obiecujący poeta, Tymon Zaborowski, drukował swój poemat bohaterski na tle zdobycia Kijowa przez Bolesława Chrobrego, poemat, który można poniekąd uważać za pierwszy zawiązek u nas oryginalnej poezyi w duchu romantycznym, a zarazem za pierwszy utwór szkoły ukraińskiej, która się w kilka lat potem uwydatniła. W jednym z przypisów do tego poematu (do pieśni I. p. t. Dobremir i Aniela) jest pierwszy manifest romantyczny, wprawdzie dosyć jeszcze niejasny, ale w głównych myślach swoich przypominający znaną rozprawę Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności*, którą nieco wyprzedzał. Tłumacząc się, dlaczego obrał temat z tak dalekiej przeszłości narodowej, Zaborowski pisał: »Pocóż mamy zagranicą szukać przedmiotów godnych opisania, gdy groby naszych naddziadów bez napisów już mchem się okryły; gdy wzory ich cnót i męstwa w zastarzałych księgach, już niektórym naszym współziomkom niezrozumiałych, butwieją?« Występował dalej przeciw naśladownictwu obcej literatury, przez którą zapewne rozumiał przedewszystkiem francuską; zgadzał się na przejmowanie obcych nauk, bo język nauk jest powszechnie jeden, ale w przedmiotach poetycznych — mówił — »bądźmy sami sobą, otwórzmy oczy i ani ślepo w obcych piękności nie wierzmy, ani ślepemi na wzory piękności u nas się znajdujące nie bądźmy«.

W poemacie swoim nie chciał poprzestać na historycznem, zimnem opiewaniu zwycięstwa Chrobrego, chciał, jak Tasso, wprowadzić miłość do bohaterskiego poematu i romantyczną cudowność. Rzucił się do Naruszewicza, aby tam

coś znaleźć, czego wyobraźnia jego pragnęła, ale tam znalazł suchy, mrożący wyobraźnię szereg faktów. Nie zraziło go to jednak, postanowił śmiało rozwinąć skrzydła fantazyi i w cytowanym już przypisie powiedział: »Szanujmy roztropną lękliwość (historyi), lecz pomnijmy, że w poezyi tak, jako i w boju, śmiałość, jeżeli nie gubi, tedy koniecznie do zwycięstw prowadzi«. Śmiałość jego polegała nietylko na tem, że wprowadził romans Dobremira i Anieli, do którego mu historya nie dała nic, prócz imienia Dobremira, że wprowadził cuda i czary, ale że przez bezwzględną cześć dla przeszłości Polski dowolnie przeinaczał ważne i dobrze znane fakta historyczne. Warto też na to zwrócić uwagę, że w przedstawieniu walki dwu pokrewnych narodów uderzał w ton, który miał się stać jednym z zasadniczych tonów poezyi Bohdana Zaleskiego, w ton zgody polsko-ruskiej. Oto jak stary Demrot, wódz polski, przemawia:

Odkąd Włodzimierz Wielki podzielił Ruś całą
Między dwunastu synów na części dwanaście;
Odtąd wszczęły się krwawe kłótnie i napaście;
Odtąd się poróżniły dwa bratnie narody,
I Bóg wie, kiedy przyjdzie do wzajemnej zgody.
Tak źródłem krwi rozlewu będzie krew przelana;
Nie, ni Rusin, ni Polak nie ugnie kolana,
Żadnemu się z nich bratnie jarzmo nie podoba;
Ten uparty, ten dumny, a waleczni oba.
Oby się opamiętał z czasem ród daleki,
A kiedy we łzach krwawe te upłyną wieki,
Oby z tej korzystając okropnej nauki,
Pogodziły się kiedyś wnuków naszych wnuki.

Trzecim głosem powołującym poezyę polską na nowe drogi i to głosem, który miał najdonioślejsze znaczenie, bo wywołał najsilniejszą polemikę, była umieszczona w *Pamiętniku Warszawskim*, w tymże roku 1818, wspomniana już rozprawa Kazimierza Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności*. Wiadomo, że Brodziński sze-

roko roztrząsał w tej rozprawie pytanie, jak się ma zachować współczesna poezya polska wobec dróg rozstajnych, przed którėmi się znalazła, czy iść dalej bitym torem klasycznym, czy zejść na nowe drogi, jakie jej literatura niemiecka i angielska wskazywały. Po części z temperamentu, po części z sytuacyi swojej wobec warszawskich powag literackich, młody jeszcze naówczas krytyk ostrożnie oceniał dawny kierunek poezyi w porównaniu z nowym, ostrzegał przed wybujałością romantyzmu niemieckiego, ale w rezultacie z rozprawy jego wynikała wyższość nowego kierunku nad dawnym, a tę wyższość widział w tem, że romantyzm czerpie z pieśni ludu. »Niezawodną jest rzeczą, pisał, że pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezyi i że sztuka robiąca z nich całość, uwiecznia zarówno i charakter narodu i jego oświecenie... Na pieśniach ludu ugruntowała się poezya Greków, Anglików, do nich wrócili Niemcy«.

Ale Brodziński nie chciał, aby poezya polska, uwalniając się z pod wyłącznego panowania francuskiego wpływu, stawała się niewolnicą i bezwzględną naśladowczynią poezyi niemieckiej i angielskiej; chciał tylko, ażeby za ich przykładem odświeżyła się w źródle poezyi ludowej, aby snuła nić swoją z dziejów i wspomnień narodu. »Romanczością naszą są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkiwali... stolica, gdzie teraz na oddzielonej ziemi śpi tylu naszych rycerzy, mogiły przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy«.

Jednocześnie z głosami Chodakowskiego, Zaborowskiego i Brodzińskiego, które z pism warszawskich przemówiły do ogółu, odezwał się w Wilnie głos nawołujący do zwrotu na nowe drogi, w liście Lacha Szyrmy do redaktora *Dziennika Wileńskiego* [1]. Głos ten był widocznie

[1]) Dzien. Wil. 1818, I, 186.

echem przekonań Chodakowskiego, który Lachowi Szyrmie dawał do odczytania cały swój ogromny zbiór pieśni i bodaj czy go nie pobudził do naśladowania poezyi ludowej. Przy tym liście Lach Szyrma przesyłał dwie piosnki (Jaś i Zosia, Zdanek i Halina), które przerobił z czerwono-ruskich pieśni, dostarczonych mu przez Chodakowskiego, a w liście nakłaniając za przewodem tego ostatniego do zbierania gminnych baśni, powieści, przesądów, wróżb, śpiewów, powiadał, że jeśli nie chcemy być w literaturze tylko naśladowcami, »lecz oryginalne a do tego czysto narodowe posiadać dzieła«, powinniśmy uratować od zatraty te starożytne zabytki.

Trójka przyjaciół szkolnych, o której mówimy, miała i czytała wszystkie pisma, w których się te hasła odezwały. Jak je przyjmowała? Do należytego ocenienia ich wartości naturalnie nie była przygotowaną, ale już sama ich nowość musiała ją ku sobie pociągać. Dotychczas z wyjątkiem kilku ballad Schillera i kilku rapsodów Ossyana, znali oni taką tylko poezyę, jaką im zalecano z katedry profesorskiej, jaką zalecali ludzie, którzy według wyrażenia Goszczyńskiego, »nic nie widzieli ponad klasyków greckich i rzymskich i nad poetów polskich edycyi Mostowskiego«. Co się tyczy uczniów humańskich, to ci i klasyków greckich nie znali, wyjąwszy *Iliadę* w przekładzie Dmóchowskiego, która im całą poezyą grecką zastępowała. Teraz zwracano ich uwagę na nowe wzory, na nowe źródła poezyi, pobudzano do rozmyślania nad tem, jaką powinna być poezya. »Zaczęliśmy być surowsi w zapatrywaniu się na poezyę«, powiada w swoich notatkach Goszczyński. Rozprawy Brodzińskiego nie mogli zapewne we wszystkich szczegółach zrozumieć, ale główne jej myśli trafiały im do przekonania i pobudzały do myślenia. Tak można przypuszczać ze słów Goszczyń-

skiego o wrażeniu, jakie ta rozprawa na nim uczyniła [1]).

Co się tyczy *Ćwiczeń naukowych* z rozprawą Chodakowskiego i poematem Zaborowskiego, to o ich wrażeniu na trójkę humańską tyle tylko możemy wiedzieć, ile się da wywnioskować z tej okoliczności, że trzej piątoklasiści zawiązują się w stowarzyszenie literackie, które od pierwszych syllab ich nazwisk otrzymuje nazwę Za-Go-Gra i wydają pismo — naturalnie pisane, studenckie — p. t. *Ćwiczenia umysłowe*, a na wzór *Ćwiczeń naukowych*. Niestety, o tem towarzystwie i o tem piśmie nic prócz krótkiej wzmianki nie znajdujemy w pamiętniku Goszczyńskiego, ale z tego faktu, że Zaleski i jego towarzysze za wzór sobie biorą *Ćwiczenia naukowe*, należy wnioskować, że wydawnictwo to musiało szczególnie się im podobać; z tej zaś okoliczności, że nazwisku Zaleskiego (tj. pierwszej sylabie tego nazwiska) dostaje się pierwsze miejsce w nazwie towarzystwa, można się domyślać, że i w stowarzyszonej trójce, pierwszeństwo, przewodnictwo przyznawano Zaleskiemu.

Jednocześnie — jak to również wiemy od Goszczyńskiego — było wśród młodzieży humańskiej inne jeszcze towarzystwo, które nosiło nazwę Śmieszków Notatka Goszczyńskiego [2]) pozwala się domyślać, że brali w tem udział starsi, humorem i usposobieniem wiążący się z mło-

---

[1]) »Rozprawa Brodzińskiego o Klasyczności i Romantyczności zrobiła na mnie wrażenie, ale nie była mi zupełnie zrozumiałą. Co Brodziński mówił przeciw klasycyzmowi, odpowiadało moim instynktom, nie przystawała niemczyzna, która przewiewa z tej rozprawy. Wszakże główna jej myśl, emancypacya polskiej poezyi, bardzo mi się podobała i znacznie wpłynęła na sprostowanie moich wyobrażeń o poezyi polskiej«. Teki Goszcz. nr. VII.

[2]) Teki Goszcz. nr. VII. »Towarzystwo Śmieszków. Malarze Korycki i Dobrowolski. Schadzki w nowej stancyi. Teodor Wołoszynowski, palestrant, a nasz gitarzysta i śpiewak«.

dzieżą, i na towarzyskich schadzkach, które się odbywały w stancyi Goszczyńskiego, zabawiano się, prócz innych sposobów, śpiewem i muzyką. Co się tyczy znaczenia, a raczej pochodzenia tego towarzystwa, to nasuwa się jedno tylko przypuszczenie. Między różnemi pismami, jakie młodzież humańska czytała, były także *Brukowe Wiadomości*, organ szubrawców wileńskich, który zapewne zarówno postępowemi ideami, jak humorem i dowcipem, przypadał do smaku młodzieży. Otóż możnaby przypuszczać, że towarzystwo Śmieszków było jakiemś echem, jakąś próbą naśladownictwa wileńskiego postępowo-humorystycznego towarzystwa.

Z tych czasów pochodzą już pierwsze próby poezyi Bohdana Zaleskiego, jakie się dochowały. Od Goszczyńskiego wiemy, że Bohdan pisał już wtedy wiele, ale z tych rzeczy znamy tylko te cztery utwory, które w roku 1819 wydrukował *Dziennik Wileński*, mianowicie dwie ody Horacego w przekładzie rymowanym (do Pirry i do Wenery), *Marya Stuart w więzieniu* (z francuskiego) i *Duma o Wacławie*. Innych, pisanych wówczas, nieznamy nawet z tytułu, z wyjątkiem wiersza na śmierć Leona Zbyszewskiego, który wymienia Goszczyński, zapewne dlatego, że większe od innych sprawiał wrażenie.

Przekłady Horacego były owocem tego zamiłowania w poezyi klasycznej, jakie w swoich uczniach rozbudzał ks. Hryniewiecki. Charakterystycznem w nich jest może to, że przyszły twórca *Rusałek* wybierał z Horacego tematy miłosne i że wiersz jego odznacza się tu rytmicznością, która cechuje całą jego poezyę. *Marya Stuart w więzieniu*, prawdopodobnie przekład jakiegoś wyjątku z Le Brun'owskiej przeróbki Schillera [1]), styl ma jeszcze bardzo nieudolny, ale śpiewność wiersza wielką, a charakterem swoim

---

[1]) Nie udało mi się dostać tej francuskiej *Maryi Stuart*, dlatego poprzestaję tylko na przypuszczeniu.

lirycznym staje się jakby zapowiedzią, jakby wzorem dla późniejszych dum i dumek Bohdana na tle historycznem. Co się tyczy *Dumy o Wacławie*, to jest już ona świadectwem wpływu nowych haseł, pierwszym krokiem młodziutkiego poety na drodze ku romantyczności. Brodziński, Chodakowski, Lach Szyrma wskazywali wielkie znaczenie pieśni ludowej, a ostatni dawał próby, jak pieśni ruskie odziewać w polską szatę. Zaleski stara się zastosować do tych wskazówek i za temat do swego nowego utworu obiera treść pewnej pieśni ludowej ruskiej, rekruckiej.

Takich pieśni wiele było w czasach panowania poboru rekruckiego. W zbiorze Czubińskiego [1]) jest ich kilkadziesiąt, i to po większej części zebranych z dwóch powiatów gubernii podolskiej, kamienieckiego i uszyckiego, więc liczba ich wogóle musiała być daleko większą. Bo też chwila poboru rekrutów była prawdziwie tragiczną. Obowiązek dostarczania rekruta leżał na właścicielu ziemskim; on ze starszyzną wiejską obowiązany był schwytać jednego lub więcej młodych chłopów i zawieść do komisyi poborowej, do tak zwanego pryjomu. Ówczesna służba trwała 25 lat czy więcej; kogo oddawano do wojska, ten nie mógł spodziewać się, że kiedykolwiek wróci do swojej wioski, do rodziny, do żony, jeżeli ją miał, do dzieci. Porywano go i rzucano na zawsze w świat zupełnie dla niego obcy, w służbę twardą i ciężką, pod władzę starszyzny często brutalną. Chłop wzięty do wojska, ginął zawsze dla rodziny. To też na wieść o poborze, parobcy zwyczajnie rozbiegali się ze wsi i kryli się po lasach i polach. Kiedy wreszcie złapano tego, kogo chciano oddać, (choć zdarzało się nieraz, że oddawano nie tych, których

---

[1]) Труды этнографическо-статистической экспедиціи въ западнорусскій край etc. T. V. Petersburg 1874.

chciano), wówczas zakuwano rekruta w dyby i straż przystawiano i ze strażą potem wieziono do miasta.

Wszystkie te momenty poboru malują się w pieśniach rekruckich, czasem w objektywnem przedstawieniu, najczęściej głębokim liryzmem przesłonięte. Że Zaleski pod wpływem nowych haseł zwrócił się do tego rodzaju pieśni, a nie do jakichkolwiek innych, których taka obfitość w koło niego rozbrzmiewała, da się to wytłumaczyć momentem osobistym, niedalekiem wspomnieniem o ulubionym Kałennyku, którego z wielkim żalem poety wzięto w rekruty, i którego zapewne nie on sam tylko opłakiwał. Jednym z częstszych motywów w pieśniach rekruckich, podobnie jak w kozackich, jest stosunek wojaka do matki i właśnie taka pieśń rekrucka posłużyła Bohdanowi za przedmiot naśladowania. Dokładnego tekstu tej pieśni nie znamy, ale mamy prawo domyślać się, że ze wszystkich zapisanych tekstów pieśni rekruckich, najpodobniejszy był do tego, który się znajduje w zbiorze Maksymowicza, a zaczyna od słów: »Zbirały sia komysary«[1]. W pieśni tej matka boleje i rozpacza, że jej syna zabierają do wojska, ale syn z ochotą poddaje się losowi, z ochotą wyrusza na służbę wojskową. Pieśń ta w głównym swoim motywie, stosunku matki do syna, pokrewna jest dumie o »Iwasiu Konowczence«, jednej z najpiękniejszych i najbardziej typowych. Jest więc w pieśni, o której mówimy, jakby zastosowanie tematu z daw-

---

[1]) P. Aleksander Kolessa, który w rozprawie: Украïньскi народнi пiсьнï в поезиях Богдана Залескохо (Записки Тов. iм. Шевченка Т. I), poraz pierwszy szczegółowo traktował stosunek Bohdana Zaleskiego do poezyi ludowej ruskiej, przy porównywaniu *Dumy o Wacławie* z pieśnią ze zbioru Maksymowicza, nie uwzględnił tej okoliczności, że Zaleski nie mógł mieć w r. 1818 tego zbioru w ręku, i że pieśń, którą słyszał w dzieciństwie, a która mu za temat posłużyła, mogła być w różnych szczegółach odmienną od drukowanego dopiero w r. 1834 tekstu.

nych czasów kozaczyzny do nowych warunków, do poboru rekrutów. Późniejsze pieśni rekruckie mają inny charakter; tutaj zaś jeszcze ochota kozacka została, kozak rwie się do boju, jak dawniej, pomimo, że go biorą, nie pytając, czy chce.

Z takiej to pieśni rekruckiej wziął temat Zaleski do swojej *Dumy o Wacławie*. Że pisał ją pod wpływem nowych haseł, widać to ze słów dodanych pod tytułem (ze śpiewu ludu wiejskiego). Lach Szyrma był mu tu bezpośrednim wzorem, i jak mistrz, tak i uczeń nie okazał tu jeszcze najmniejszego poczucia tego, na czem polega piękność pieśni ludowej: jej prostota, szczerość, zwartość, dramatyczność roztopiły się w wodnistej sentymentalności. I jak Lach Szyrma w swojej dumce »Jaś i Zosia« uważał za stosowne wprowadzić w zakończeniu obraz mogiły z płaczącemi brzozami, którego odpowiednia pieśń ludowa ruska nie zna:

Gzie się ich wznosi mogiła,
Rosną dwie brzozy płaczące,
Jedna do drugiej pochyla
Gałązki z sobą łączące itd.

Tak i Zaleski kończy swoją dumę podobnym obrazem:

Oto gdzie brzoza tu stoi,
Tam jest mogiła Wacława,
Wiosna kwiatami ją stroi,
Rosa balsamem napawa.

Jak z zestawienia dwu strof powyższych widać i w formie stroficznej i rytmicznej wiersza zachodzi między *Dumą o Wacławie* a dumką *Jaś i Zosia* podobieństwo, ale rytmiczność dumki nie zadowalniała czułego ucha Bohdana, rytm jej niebył stale utrzymany, więc, aby okazać niejako wyższość swoją w tym względzie, młody poeta wystawia przed swoją dumą wzór metryczny:

–́ ∪ ∪ / –́ ∪ ∪ / –́ ∪

którego się wiernie trzyma przez wszystkie strofy. Ale jeżeli rytmiczność dumy była bez zarzutu i świadczyła o muzykalności poety, to styl i nastrój dumy, wymagający pewnej konsekwencyi w szczegółach, nic tu nie rokowały jeszcze pomyślnego. W pierwszych strofach czytamy, że »młodzi wieśniacy truchleją — z świętej wolności wyzuci«, »kryją się w gadów pieczary — w lasów okropnych gęstwiny«, co ma znaczyć, że lud przerażony branką, ucieka i kryje się przed nią; w ostatniej strofie, która niewątpliwie nie znajdowała nic sobie odpowiedniego w ludowej pieśni rekruckiej, ten sam lud ukazuje się w zupełnie odmiennej postaci, oblany bohatersko-patryotycznem światłem, które padało zapewne z poezyi legionów, w szczególności z utworów Antoniego Goreckiego:

A gdy w wieczornej tam dobie
Słowik pieśń nuci wolności,
Rolnik łzy roniąc na grobie,
Zgonu chlubnego zazdrości.

Takich naiwnych niekonsekwencyi można znaleźć więcej w tym wierszu. Co jeszcze w nim zwraca na siebie uwagę, to pewne mocno demokratyczne akcenty, których rekrucka pieśń ludowa tak samo nie znała, jak nie znała słowika, nucącego pieśń wolności, ani rolnika, który zgonu chlubnego zazdrości. Matka, odprowadzając syna do obozu, zawodzi nad losem, który ją czeka. Spodziewała się ona, że syn jej będzie podporą, że będzie uprawiał jej ziemię, a ona żyć będzie przy nim szczęśliwa. Tymczasem:

Szczęście, ach! szczęście jest zdradne,
W pracach dla mego despoty,
Bolem dręczona upadnę,
Nędzne zostawię sieroty.

Despotą nazwany jest tutaj pan, właściciel wsi, dla którego wieśniak odrabia pańszczyznę. Ale niedosyć na tem, Wacław jeszcze silniejszych używa wyrazów. Pocieszając matkę, tłumaczy jej:

Sama się matko zastanów,
Znośniej jest służyć krajowi,
Niźli łakomstwu tyranów.

Owoż w tej refleksyi Wacława, która zapewne przez głowę żadnego rekruta nie przeszła, a przynajmniej w żadnej znanej pieśni rekruckiej nie znajdzie punktu oparcia, »dziedzic-despota« występuje jeszcze w groźniejszej postaci »łakomego tyrana«. Skąd takie akcenty u szesnastoletniego, rozmiłowanego w rytmice, ucznia szkoły humańskiej? Byłoż to echo ojcowskich szlachecko-demokratycznych wyrzekań przeciw panom-bogaczom, złożonych w wierszu *Ad maiorem Dei gloriam?* Nie, rzecz objaśnia się daleko prościej wpływem *Brukowych Wiadomości*, które od r. 1817 [1]) wychodziły w Wilnie, a jak już wiemy, czytywane były przez uczniów humańskich.

W piśmie tem stosunek panów do chłopów był niejednokrotnie poruszany i jaskrawo w duchu demokratycznym oświetlany. Przedrukowywano też niekiedy utwory szubrawskie w innych pismach, które czytywał Zaleski np. w *Gazecie Warszawskiej* [2]), a w *Pamiętniku Warszawskim* z r. 1818 (T. XII) znajdował on wierszowaną mowę urzędowego poety Szubrawców, Ignacego Szydłowskiego, która streszczała w sobie zasady tego towarzystwa i wskazywała te ujemne strony życia towarzyskiego i społecznego, które Szubrawcy satyrą swoją chłostali, między innemi i to, że

...pod jarzmem panów chciwych
Nędzni narzekają chłopi.

Jak silnym był wpływ Szubrawców i ich organu na poglądy ogółu w kwestyi włościańskiej, najlepiej świadczy o tem uchwała delegacyi szlacheckiej na gubernial-

---

[1]) Pismo pod tym tytułem właściwie zaczęło wychodzić jeszcze latem 1816 r., ale ustaliło swój kierunek dopiero z początkiem 1817. Porówn. I. Tretiak, Młodość Mickiewicza I, 59 i nast.

[2]) Zob. nr. 4, 1818 r. List instrukcyjny pisany do jednego obywatela itd.

nym sejmiku wileńskim z końcem r. 1817, aby zwrócić się do cesarza Aleksandra I z przedstawieniem potrzeby uwolnienia chłopów z poddaństwa [1]). Siła tego wpływu zaznaczyła się w Wilnie w inny sposób: widmo złego pana w II cz. *Dziadów* nie wytworzyło się zapewne w wyobraźni poety bez wpływu takich artykułów w *Wiadomościach Brukowych*, jak »Machina dobicia chłopów« (1817, nr. 8), albo »Wędrówka na łopacie czarowniczej« (nr. 12). A jeżeli na to zwrócimy uwagę, że około tegoż czasu (w r. 1819) Puszkin pod wpływem dekabrystów pisze swoją *Wieś* (Dierewnia), protestującą w pełnych oburzenia wyrazach przeciw niewoli chłopów w Rosyi, a w Warszawie (1820) młody poeta Ignacy Humnicki, uderza również silnie w strunę demokratyczną w *Wierszu do ludu polskiego* [2]), to myśl emancypacyi włościan przedstawi się

---

[1]) Porówn. Młodość Mickiewicza T. I, str. 74. St. Smolka, Polityka Lubeckiego T. I, str. 69. Uchwała Delegacyi zapadła 30 grudnia 1817 r., a na tydzień przed tem w nrze 55 z d. 22 grudnia »Wiadomości Brukowe« umieściły na czele: *List instrukcyjny pisany do jednego obywatela, mającego być wybranym na delegata*, gdzie czwarty ustęp instrukcyi brzmiał w taki sposób: »Słyszałem, że wiele jest zagorzalców, zwłaszcza młodzieży naszej, co to się naczytawszy bezbożnych pisarków i liznąwszy nieco Akademii, o niczem nie gadają, tylko o polepszeniu stanu chłopów, i niektórzy mają wnosić tę materyę na obradach. Zamknijże im gębę i wystaw całe niebezpieczeństwo wyniknąć stąd mogące... Zarazem naradź się o tem z P. Malefacym i z P. ex-marszałkiem, z niemi wspólnie zagłusz u nas Nowatorów, którzy chcą wprowadzać to, czego dotąd u nas nie było, a co być żadnym sposobem nie może i nie powinno«.

[2]) Wanda 1820, T. II. Są tam takie wiersze:

Cóż to? wszędzie mię nędza i rozpacz przenika,
Po strumieniach łez wchodzę do chaty rolnika,
Ten co nas równie broni, żywi i ubiera,
Nędzny! pod jarzmem zrodzon, w niewoli umiera.
Wasza to sprawa możni! któż wam pozazdrości
Łzami oblanych plonów i majętnych włości?

nam wówczas w postaci gołąbki Noego, która wyleciawszy z Wilna, błąkała się nad wodami całego państwa rosyjskiego od Humania do Petersburga, nie znajdując nigdzie jeszcze w sferach rządowych punktu oparcia dla siebie.

Ale w miarę tego, jak młodziutki poeta i jego dwaj towarzysze, w nierozłączną z nim trójkę spojeni, rozwijali się umysłowo, stosunek ich do przełożonych stawał się coraz gorszym. X. Skibowski, prefekt od roku 1816, tak chwalony w *Dzienniku Wileńskim,* za swoją gorliwość, nie umiał z rygorem połączyć takiego postępowania, któreby mu zjednywało serca młodzieży. Energiczny, przedsiębiorczy, wykształcony, należał do tych ludzi, którym na drogach życia przyświeca nie ideał moralny, ale gwiazda karyery. Okazało się to aż nadto wyraźnie w czasach zniesienia Unii na Litwie i Rusi, kiedy nie tylko nie zapragnął pójść śladem tych Bazylianów, którzy za swoją wierność Unii byli w rozmaity sposób prześladowani, nie tylko łatwo poddał się nakazom rządowym, ale stał się ochoczem i zręcznem narzędziem w ręku głównego popieracza sprawy odstępstwa — Siemaszki, co mu się opłaciło ihumeństwem w Tryhorach pod Żytomierzem, krzesłem w konsystorzu duchownym wołyńskim i orderem św. Anny II-giej klasy. Był też Siemaszko zachwycony jego rozumem, wykształceniem i »doskonałym« charakterem, polecał mu objazd różnych parafii dla nawracania »uporczywych« i przesyłał na jego ręce ruble dla rozdawania »skruszonym« kapłanom, którzy Unii odstąpili. Autor pracy *O Bazylianach w Humaniu* trafne czyni zestawienie ostatniego rektora humańskiego, jakim był X. Skibowski od r. 1826, z pierwszym rektorem Bazylianów w Humaniu, z owym X. Kosteckim, którego obraz mę-

czeństwa, odmalowany na korytarzu klasztornym, codziennie miał przed oczyma X. Skibowski. »Charakterystyczną jest rzeczą, powiada on, że pierwszy rektor humaański umarł śmiercią męczeńską, broniąc wiary i Unii, a ostatni zaprzedawszy sumienie, wyrzekł się Unii« [1]).

Cóż dziwnego, że człowiek, który taką przyszłość nosił w sobie, nie był zdolnym do obudzania w uczniach miłości ku sobie, którąby rygor przezeń wykonywany czyniła znośnym. Nic też dziwnego, że nie mógł korzystnie oddziaływać na harmonię między profesorami a uczniami. Jaki był w szczególności stosunek Zaleskiego do księdza prefekta, nie wiemy o tem dokładnie. Goszczyński w swoich notatkach pamiętnikowych zostawił nam wprawdzie wzmiankę o jakichś »dawniejszych zajściach z tym księdzem« Bohdana, ale jakie to były zajścia, nie objaśnił. Wszakże tak już z tej wzmianki Goszczyńskiego, jak i z tej dodatkowej, że nieraz brał on stronę Zaleskiego wobec prefekta, można wnosić, że stosunek ten nie był dobrym, jakkolwiek zapewne, przy łagodnym temperamencie Bohdana, nie prowadził do starć jaskrawych.

O stosunku samego Goszczyńskiego do księdza prefekta wiemy coś więcej. Goszczyński uczył się dobrze, należał do lepszych uczniów w klasie, ale nabawiwszy się pewnej choroby, zaczął się zaniedbywać w łacinie i matematyce. Profesor matematyki, X. Czerniewicz, dobry znajomy rodziców Goszczyńskiego, przez przyjaźń dla nich, szczególną uwagę zwracał na Seweryna i częściej od innych pytając go, złapał kilka razy »na gorącym uczynku nie umienia lekcyi«. »Zdarzyło się, powiada Goszczyński, że kiedy prefekt X. Skibowski odwiedzał naszą klasę, X. Czerniewicz wobec całej klasy użalił się przed nim na moje niedbalstwo. — A to w skórę! — odpowiedział na to prefekt. Nie potrzeba było więcej, abym odtąd z rozmy-

---

[1]) Wołyniak l. c. 1152—1153.

słem już opuścił matematykę«. Uczył się tylko tyle, ile potrzeba było, aby nie utracić jednego z pierwszych miejsc w klasie.

Ażeby należycie ocenić wrażenie, jakie wywarły słowa X. prefekta na strofowanym uczniu, trzeba pamiętać o gorącym temperamencie tego ostatniego i trzeba wiedzieć, że to już było w r. 1818, kiedy Goszczyński pozyskał był już sobie w szkole tak gorąco wybłaganą u Boga sławę poety, kiedy roiły mu się po głowie pomysły patryotycznych poematów (poema o Kościuszce), kiedy już był — jak się sam wyraża — »targany naśladownictwem poetów, których czytał i własnemi poczuciami, własnym instynktem poetyckim«. I oto siedmnastoletniemu poecie grożą wobec całej klasy rózgami za to, że się nie dość uczy matematyki. Był to straszny cios, zadany ambicyi młodzieńca o wyższych aspiracyach, a wrażenie, które wywołał, miało w dalszym rozwoju wypadków ważne następstwa — i ujemne — tak dla niego, jak i dla jego towarzysza, Zaleskiego. »Zacząłem go nienawidzieć — mówi Goszczyński o prefekcie — zacząłem bunt, który już ciągnął się przez późniejsze lata mojego pobytu w Humaniu i był przyczyną, że opuściłem szkoły, nie skończywszy ich«.

Tej bolesnej rany nie zagoiło ani to, że X. prefekt polecił potem tak Goszczyńskiemu, jak Zaleskiemu, aby przepisali kilka swoich utworów poetycznych do złożenia ich w bibliotece szkoły; ani to, że na wakacye 1819 roku otrzymał Goszczyński z polecenia X. Skibowskiego pewną korepetycyę na wsi.

Niebawem stosunek naszych dwu poetów do władzy szkolnej w Humaniu pogorszył się wskutek zajścia, jakie miał z nią ich najbliższy towarzysz, trzeci z trójki literackiej Za-Go-Gra, Michał Grabowski. Poróżnił się on z profesorem prawa, X. Rolińskim. Czy X. Roliński przejął od X. prefekta jego »ton pogański, despotyczny«, tego nie

wiemy; to tylko wiemy, że Grabowski, który pomimo panieńskiej powierzchowności, miał w młodości bardzo awanturnicze usposobienie, uczuł się przez niego obrażonym i na obrazę odpowiedział obraźliwszemi słowami. Za to musiał klęczeć w klasie, co go tak ubodło, że z końcem roku szkolnego 1818/19 opuścił Humań — zapewne za zezwoleniem rodziców, którym umiał odpowiednio rzecz przedstawić — i przeniósł się do liceum Richelieu'go w Odesie. Dla kolegów-literatów pozostałych, Zaleskiego i Goszczyńskiego, była to wielka strata, której żadnym innym stosunkiem koleżeńskim wynagrodzić sobie nie mogli, bo nikt z reszty kolegów nie dorównywał Grabowskiemu ani zdolnościami, ani wykształceniem. Ubytek w towarzystwie literackiem starał się zastąpić jakiś inny kolega, Kamiński, dostarczając swoich utworów, między którymi były nawet dramata oryginalne, ale zastąpić Grabowskiego, jak świadczy Goszczyński nie mógł, zwłaszcza, że nie było harmonii między nim a Bohdanem. Ważniejszym i przyjemniejszym dla Bohdana i jego towarzysza był stosunek przyjacielski wówczas zawiązany, lub zacieśniony, z Janem Krechowieckim, Józefem Chrząszczewskim i Wacławem Pilawskim. Zwłaszcza pierwszy z nich i nastrojem poetyckim i aspiracyami literackiemi, i łagodnem, uczuciowem usposobieniem wybornie odpowiadał naturze Bohdana, to też stosunek przyjacielski, który się wówczas między nimi utrwalił, (bo znajomość była dawniejsza) przeciągnął się przez całe ich życie. Ale i Krechowiecki nie mógł zastąpić Grabowskiego, który mimo swojej młodszości górował nad nim i nad innymi bystrością umysłu, energią i wykształceniem. Stosunek z Grabowskim, choć liczył tylko rok koleżeństwa za sobą, tak silnie był zawiązany, że pomimo oddalenia nie zerwał się. Grabowski pisywał z Odesy do kolegów humańskich, a listy jego — jak świadczy Goszczyński — miały dla nich »wielką wartość«.

Łatwo się domyślić, jakie wrażenie na kolegach-literatach wywarło wystąpienie Grabowskiego ze szkoły humańskiej. Widzieli w nim protestacyę przeciwko rygorowi szkolnemu, który, im byli starsi i wyżej o sobie rozumiejący, stawał się dla nich tem uciążliwszym. Tem trudniej znosić im było ten rygor, że ze szkół świeckich, takich, jakie były w Winnicy lub Krzemieńcu, dochodziły ich wieści o wielkiej swobodzie tamtejszej młodzieży szkolnej. Wiadomo, jaką sławą w tym względzie cieszył się Krzemieniec, tak, że ludzie starsi, w dawnej surowości wychowani, narzekali na to, że »wieczory tańcujące, wizyty obojej płci oddawane ciągle mieszkającym (w Krzemieńcu) rodzicom, odrywały od nauk uwagę ich synów, którzy potem w klasie nie tego słuchali, czego uczył profesor, lecz myśleli o tem, co mówiła panna Amelia« [1]. Na uczniach szkół zakonnych, w szczególności starszych, wieści, zalatujące do nich o swobodzie szkół świeckich, wręcz odmienne sprawiały wrażenie. Mamy w tym względzie własne świadectwo Grabowskiego (w przypisach do pamiętnika Micewskiego): »Pamiętam sam, jak u Jezuitów albo Bazylianów, u których się uczyłem, studenci przejeżdżający z Winnicy albo Krzemieńca, opowiadali nam o swobodach tamecznych, szczepiąc niecierpliwość, której dawaliśmy i my zaraz próbki« [2].

Wystąpienie Grabowskiego ze szkoły humańskiej było wskazówką dla jego przyjaciół, którzy pozostali w Humaniu, co mają uczynić, gdy im rygor humański zanadto dokuczać będzie. Mając tę wskazówkę w zanadrzu, czuli się tem śmielsi i niezależniejsi wobec władz szkolnych, pozwalali sobie dość często opuszczać mszę studencką, Goszczyński zaś posunął się tak daleko, że napisał wiersz satyryczny na X. prefekta i puścił go w obieg. Ta bra-

---

[1] Michał Grabowski, Pamiętniki domowe str. 169.

[2] Tamże str. 196.

wura studencka, dodana do sławy poetyckiej, ściągnęła w koło nich grono wielbicieli i naśladowców, i ci także chcieli odgrywać rolę malkontentów. Odbywały się schadzki wieczorne, na których śpiewano różne pieśni, cenzurowano profesorów i zmawiano się przeciwko nim. Chcąc sobie nadać większą powagę, wodzireje tej frondy studenckiej posprawiali sobie szczególnego rodzaju czapki: wysokie, czworogranne, z zielonego manszestru. »Było nas kilkunastu mniej więcej zawziętych, powiada Goszczyński w swoich notatkach pamiętnikowych, ale właściwie najzawziętszymi byliśmy ja i Zaleski, co większa chcieliśmy w tem wszystkiem widzieć coś więcej nad brawurę studencką«.

Wreszcie pod koniec r. 1819 w studenckich głowach młodych poetów dojrzał plan opuszczenia szkoły humańskiej. Na ten krok tak ważny w ich życiu, obok niechęci do przełożonych i pragnienia wyzwolić się z rygoru szkolnego, wpłynęła inna jeszcze okoliczność. Wiemy, że czytywali pisma warszawskie, literackie i polityczne; otoż w tych pismach znajdowali różne rzeczy, które nietylko poruszały poetyczne struny w ich duszach, ale i rozbudzały w nich marzenia polityczne. Wiemy to przynajmniej dokładnie o Goszczyńskim, który, jak sam powiada, już wtedy czuł pęd do życia czynnego, publicznego. »Ciasno mi na Ukrainie, w kółku szlachty ukraińskiej«, pisze w *Chronologii mojego życia* pod r. 1819. »Moje żądze rwą mię ku ognisku ruchu polskiego — wzdycham za Warszawą, stąd zaniedbuję życie obecne«.

Polityczne pisma warszawskie, które dochodziły rąk naszych studentów w tych czasach (r. 1819), to była oddawna już wydawana codzienna *Gazeta Warszawska* i świeżo założone przez Brunona hr. Kicińskiego pismo p. t. *Orzeł Biały*. *Gazeta Warszawska* obok obwieszczeń urzędowych, sprawozdań sejmowych, recenzyi teatralnych, dowcipnych niekiedy głosów »Pustelnika z krakowskiego przedmieścia« podawała obszerne wiadomości polityczne,

w szczególności odnoszące się do zaburzeń we Włoszech i Niemczech i może wbrew woli nastrajała umysły rewolucyjnie. *Orzeł Biały,* który zaczął wychodzić 1 września 1819, a któremu już sam tytuł nadawał barwę patryotyczną, nie chciał poprzestawać na samem gromadzeniu »politycznych zdarzeń«, ale — jak to w artykule programowym zaznaczał — za cel główny obierał sobie wykazywanie związku między niemi. Chodziło mu o to, aby wyjaśniać swoim czytelnikom znaczenie ruchów liberalnych, które wstrząsały wówczas większą częścią Zachodniej Europy, walkę konstytucyonalizmu ze starym porządkiem rzeczy, walkę, która nie mogła być obojętną dla konstytucyjnego Królestwa Polskiego, skojarzonego z despotycznie rządzonem cesarstwem [1]. Wyjaśnianie to zresztą polegało głównie na cytowaniu rozmaitych opozycyjnych pism zagranicznych, przyczem było rzeczą widoczną, że redakcya podziela zapatrywania liberalne.

Co jeszcze mogło w *Orle Białym* pociągać naszych młodych poetów do Warszawy, to entuzyastyczny obraz rozwoju Warszawy, jaki tam znajdowali. Bruno Kiciński zapewniał, że od założenia swego nigdy stolica tak świetną nie była, jak teraz. »Kto cztery lata nie był w Warszawie, ten by jej dziś nie poznał. Porozszerzane i nowo wybrukowane nie tylko oddzielne ulice, ale całe części miasta, poodnawiane domy, zaprowadzona czystość, znaczniejsze ulice jasnemi oświecone lampami, na pustych placach, wsparte zapomogą rządową w pięknej architekturze wzniesione i wznoszące się gmachy... Z którejkolwiek strony wjeżdżając teraz do Warszawy, przeczuwa oko bliskość stolicy. Bite gościńce, zwane drogą Królew-

---

[1]) Redakcya też wyraźnie zapowiadała: »a że jedynie dla rodaków pracujemy, będziemy się przeto starali o przedmioty najwięcej ich obchodzić mogące przez wpływ na okoliczności krajowe«. »Orzeł Biaty« T. I, str. 7.

ską, wysadzone z obu stron podwójnym drzew rzędem, zajmując przyjemnie uwagę, zapowiadają przyjeżdżającemu, iż do wielkiego miasta się zbliża. Odsłaniają się oku to wdzięczne nadwiślańskie okolice, to pałace i domy majętniejszych obywateli, wreszcie wieże miasta i miasto same«.

Wymieniając i opisując nowe lub odnowione gmachy, dodawał, że »kto długo nie był w Warszawie, mniemać będzie, iż same ulice porozstępowały się, aby dać miejsce tylu wielkim gmachom«. Co jednak najwięcej musiało uderzać i nęcić młode wyobraźnie, to wiadomość, że »nad brzegiem Wisły rozlegać się mają ogrody wiszące na arkadach, pod którymi ciemne ulice oświecone będą lampami i wspaniały wystawią widok przyjeżdżającemu od Pragi« [1].

Zaleski i Goszczyński wybierali się do Warszawy w tej myśli, że tam uzupełnią swoje wykształcenie, do czego nowo założony uniwersytet warszawski poda im środki. Dlaczego w tym celu nie zwrócili się do Wilna? Tam przecież był mentor Zaleskiego Jeżowski, tam właśnie pod koniec r. 1819 ukazały się w *Dzienniku Wileńskim* pierwsze próby poetyczne Zaleskiego? Odpowiedź na to znajdujemy w notatach Goszczyńskiego. Mówiąc o tem, że kiedy postanowili opuścić Humań, duch ich zwrócił się ku Warszawie, dodaje: »Do Wilna nie mieliśmy sympatyi; uważaliśmy ten uniwersytet za właściwy dla tych jedynie, którzy w nauce szukali sposobu do życia, jak lekarze, profesorowie; nie widzieliśmy życia wyższego, odpowiedniejszego naszym widokom na przyszłość — ja przynajmniej prowadzony byłem celami wyłącznie politycznemi« [2].

---

[1] »Orzeł Biały« T. I. str. 141—148.
[2] Goszczyński, »Chronologia mojego życia«. Teka VII.

Skąd taki pogląd na Uniwersytet wileński mógł się wytworzyć w głowach naszych młodych poetów? Po części zapewne z porównania pism warszawskich z wileńskimi, które się polityką bardzo mało zajmowały, a były przeważnie obrazem poważnych zajęć naukowych uniwersytetu wileńskiego. O życiu wewnętrznem młodzieży wileńskiej, które w tym czasie właśnie, dzięki Filomatom, miało się tak bujnie rozwinąć i tak szlachetny i poważny przybrać charakter, nie mieli oni najmniejszego wyobrażenia, a to co słyszeli o Wilnie od uczniów szkół innych, w szczególności krzemienieckich, nie mogło ich dobrze usposobiać dla wileńskiego Uniwersytetu. Przeciwnie to, co tą drogą dochodziło do nich z życia młodzieży warszawskiej, mogło w najwyższym stopniu nęcić ich ku Warszawie [1]. O opinii, jaką miano wówczas na Wołyniu o Wilnie, i o tem, jaką wyższość przyznawano tam w tych czasach Warszawie nad Wilnem, znajdujemy ciekawe świadectwo w liście Józefa Jeżowskiego (z Wilna 7 sierpnia 1820) do Franciszka Malewskiego, przebywającego w Szczorsach. Donosi on tam, że z rozmów z Piaseckim (wołyńskim) powziął »dosyć jasne wyobrażenie o charakterze, opiniach, dążeniu obywateli i uczniów wo-

---

[1]) Próbkę podobnych wieści znajdujemy w liście Malewskiego do Mickiewicza z d. 7 grudnia 1819 r. (korespondencya Filomatów): ...»Opiszę ci pokrótce awantury warszawskie, o którycheś pewno w Kownie nie słyszał. Na teatrze młodzież uniwersytecka w entreaktach kazała grać polonezy; grano z niechęcią. Dano w kilka dni sztukę *Wszystkowiedz* Kotzebuego. Młodzież została obrażoną tą sztuką. Przed drugą jej wystawą, Osiński, dyrektor teatru odebrał kartki z oznajmieniem, że jeśli pewne miejsca nie będą wymazane, gwizdanie czeka. Grano sztukę pokiereszowaną, ale z rozkazu W. Xięcia poczwórna liczba żandarmów napełniła teatr... W Lyceum jakiś student na lekcyi czytał satyrę na Namiestnika, na W. Xięcia, na wolność druku. Professor odebrał te wiersze, studenci postrzegli zły krok, zastąpili drzwi profesorowi i gwałtem odebrali«.

łyńskich«. »Nigdy nie mogłem przypuścić, ażeby fanatyzm nienawiści tak daleko był posunięty, ażeby opinie uczniów tak były zarażone; wszystko co jest wileńskie i litewskie, jest niecne, głupie, godne pogardy; nauczyciele, nauki, medycyna, medycy, kurator, wszystko słowem jest niczem, niższem bez porównania od warszawskiego. W Warszawie tam to!« [1]).

Bez wahania można przypuścić, że podobne opinie zalatywały z Krzemieńca i do Humania i przez łatwowiernych młodzików przyjmowane były za najlepszą monetę.

---

[1]) Korespondencya Filomatów. Rkp.

CZĘŚĆ II.

NA MAZOWSZU.

1820—1831.

76



Warszawa około r. 1830.

ROZDZIAŁ III.

Bohdan w Warszawie.

1820—1822.

Przybycie do Warszawy.— Pierwsze wrażenia. — Nastrój polityczny. — Cześć dla cesarza Aleksandra. — Roboty spiskowe. — Związek Wolnych Polaków. — Wprowadzenie Zaleskiego i Goszczyńskiego. — Smutne położenie Goszczyńskiego. — Patryotyczna duma Zaleskiego. — Stosunek jego z Brodzińskim. — Słowianofilstwo ówczesne. — Słowianofil i Brodziński. — Zaleskì, jako kandydat na katedrę filologii słowiańskiej. — Prywatne nauczycielstwo w Leszczynku.

Opuszczając Humań przed świętami Bożego Narodzenia 1819 r. Zaleski i Goszczyński mieli już zamiar nie wracać do szkoły humańskiej i udać się dla dalszego kształcenia się do Warszawy. Zamiar ten jednak nie zaraz mógł być wykonany. Potrzeba było do tego naprzód pozyskać pozwolenie rodziców lub opiekunów, powtóre posiąść odpowiednie środki pieniężne, jakich wymagała daleka wyprawa na czas nieograniczony.

Goszczyński łatwo uzyskał pozwolenie od ojca, który wówczas, jak to się nieraz i przedtem zdarzało, był bez miejsca i wraz z rodziną znajdował przytułek u pewnej pani Kalińskiej w Świnarce. O tem, ażeby syna nadal utrzymywać w szkołach, czy to w Humaniu, czy gdzieindziej, nie mógł

w takiem położeniu będąc, ani myśleć, syn więc mógł tylko własnemi siłami lub przy pomocy obcych dalej się kształcić, i trudno było ojcu zmuszać syna do pozostania w Humaniu. Spodziewał się przytem stary Goszczyński, że syn, jadąc do Warszawy, znajdzie sposobność poznania się z dalszą rodziną swoją, która mieszkała w Królestwie Polskiem, i że od niej lub od dawnych znajomych ojca jakąś pomoc otrzyma. O koszta podróży nie potrzebował się troszczyć, bo te wziął na siebie skłonny do ofiar przyjacielskich Zaleski.

Co się tyczy Zaleskiego, sprawa przedstawiała się o tyle trudniej, że z jego strony było jeszcze nierozsądniej opuszczać szkołę humańską, niż ze strony Goszczyńskiego, bo kiedy Goszczyńskiemu do ukończenia szkoły pozostawało jeszcze półtora roku, (był on wtedy na drugim roku klasy V-ej), Zaleski do otrzymania patentu miał tylko pół roku przed sobą. Musiał on przy tem zaopatrzyć się w tyle pieniędzy, żeby i sobie zapewnić na dłuższy czas utrzymanie w Warszawie i przyjaciela wziąć na swój koszt, dopókiby ten nie znalazł własnych środków do życia. A jednak i Zaleski w zachceniach swoich nie znalazł oporu ze strony tych, którzy mieli nad nim opiekę, przedewszystkiem ze strony brata Eliasza. Pozwolono mu nie kończyć szkoły humańskiej i zajęto się zebraniem potrzebnych na podróż do Warszawy pieniędzy. Ojciec dać ich nie mógł; wiemy, jak mu zawsze trudno było o pieniądze. Brat Eliasz był zapewne w lepszem położeniu, ale i on może nie byłby mógł sam dostarczyć najmłodszemu bratu potrzebnej gotówki, gdyby nie pomoc »znakomicie licznej i bogatej« rodziny, jak się wyraża Goszczyński. Można przypuszczać, że rola »drukowanego« poety, w jakiej ukazał się młody Bohdan, jeszcze ciągle pod imieniem Józefa występujący, przyczyniła się niemało do pomyślnego załatwienia sprawy wyjazdu i połączonych z nim kosztów. Trzebaż było młodzieńcowi, rokującemu piękne nadzieje,

dopomódz do spełnienia jego zamiaru wystąpienia na szerszej arenie literackiej, jakkolwiek te zamiary nie przedstawiały się dość wyraźnie.

I oto w ciągu kilku miesięcy po opuszczeniu szkoły humańskiej przez Bohdana, zebrało się dla niego dwieście dukatów na wyprawę, brat, jak tradycya rodzinna niesie, dał bryczkę i konie, i dnia 8-go września według starego stylu, w święto Narodzenia Najśw. Maryi Panny, jak to niejednokrotnie o tem wspominał Bohdan w latach późniejszych, dwaj młodzi poeci-przyjaciele, z których żaden jeszcze dwudziestki nie dosięgał, puszczali się w daleki świat, ku nęcącej swoim blaskiem i swoim ruchem stołecznym, Warszawie, z najpiękniejszemi rojeniami w duszy, jakich tylko młodość i poezya dostarczyć są zdolne. Jadąc, wiedzieli zapewne już o tem, że i Michał Grabowski pojechał do Warszawy i wierzyli, że na tle nowego swobodnego życia odnowi się ich dawny związek literacki, co jeszcze więcej podsycać mogło ich różowe nadzieje.

Przybywają do Warszawy podczas sejmu i obecności Aleksandra I, który bawił tam wtedy przez cały wrzesień aż do połowy października, Warszawa więc przedstawiła im się odrazu w swoim najpełniejszym i najświetniejszym ruchu. To też młodzieńcy kresowi, którzy dotychczas żadnego większego miasta nie widzieli, znalazłszy się wśród gwaru i ruchu wielko-miejskiego, byli z początku jak odurzeni [1]). Stan ten jednak zapewne trwał niedługo, weszli niebawem w stosunki z młodymi literatami, którzy mogli ich wtajemniczać w życie ruchliwej Warszawy, a do pierwszych takich znajomości należeli znani publicyści: Żukowski Ludwik, Ostrowski Jozafat, Franciszek Grzymała

---

[1]) Goszczyński pisze w swoich notatach: (Zapiski do moich Pamiętników) »Jestem jak odurzony, nie mogę sobie dać rady w Warszawie«.

i mniej znany od tamtych Wielobycki Wincenty. Najmilszym jednak towarzyszem był kolega humański, którego zastali już w Warszawie, członek spółki literackiej Za-Go-Gra, Michał Grabowski.

Ileż po roku niewidzenia się mieli sobie do opowiadania, jak z góry na tle nowego życia spoglądali na czasy humańskie, które, choć niedawne, musiały się im wydawać dalekimi, z jakiem zajęciem udzielali sobie wzajem swoich nowych prac, pomysłów i spostrzeżeń! [1]).

Co nowego przywozili z sobą Zaleski i Grabowski, nic o tem nie wiemy; ale wiemy, że Goszczyński w ciągu ostatniego roku, przebywając w Świnarce, czy to zamknąwszy się w śpiżarni, czy to usadowiwszy się w stodole, czy to marząc pod gołem niebem w lesie, wiele pisał, tworzył i przekładał. To wszystko zapewne przywiózł z sobą do Warszawy, a były tam i tryolety miłosne, pisane do osób, w których się kochał we śnie, a które mu na jawie były obojętne, i *Śpiewy historyczne*, z których jedna tylko *Duma o Stefanie Czarnieckim* »wychowała się i poszła w świat« [2]), i poema opisowe p. t. *Dąbrowy śmilańskie*, którego osnową była przyroda i podania ukraińskie o Wernyhorze, o Żmijowym wale, o Rusałkach, o dziewczętach załaskotanych przez Rusałki i tym podobne. Był tam i początek jakiegoś dzieła p. t. *Apostoł XIX w.*, studencka próba rozwiązania najważniejszych zagadnień religijnych i politycznych w duchu liberalnym [3]), wreszcie

[1]) Goszczyński l. c. pisze: »Z Michałem Grabowskim przeciągamy naszą spółkę literacką, zbieramy się, czytamy nasze prace«.

[2]) Wydrukowana w Wandzie 1821 r., Goszczyński nazwany tu Stanisławem.

[3]) »Nie wiem co to było w sferze religijnej, ale w politycznej był to już wyraźny liberalizm. Jak on tam wyglądał? nie wiem, ale to wiem, że byłem w tych rzeczach niedowarzony«. Goszczyński, »Chronologia mojego życia«. Woltera »Pandorę«, »Świątynię Chwały«, »Semiramis i Maryannę«, G., jak powiada, tłumaczył tylko dla wprawiania się w mechanizm wiersza.

przekłady paru oper i tragedyi Woltera. Otóż te utwory Goszczyńskiego, wraz z nieznanemi nam utworami młodzieńczemi Zaleskiego i Grabowskiego z ostatnich czasów, były teraz w schadzkach humańskiej trojki na warszawskim bruku odczytywane, rozstrząsane i krytykowane.

A obok tego obfity temat do dyskusyi literackiej nastręczała nowa literatura europejska, przeważnie angielska, z którą poraz pierwszy spotykali się w Warszawie, gdzie jako towar modny, zaczynała być głośną. Nie znając angielskiego języka, nasi młodzi poeci nie mogli się z nią zaznajamiać bezpośrednio, ale znajdowali tu z łatwością przekłady francuskie i we mgłach tych przekładów poraz pierwszy zarysowywały się przed ich oczyma takie szczyty tej poezyi, jak Szekspir, Byron i Walter Scott. Szekspir w przekładzie Ducisa tak zaimponował Zaleskiemu i Goszczyńskiemu, że zabrali się zaraz do tłumaczenia z tego przekładu jego *Króla Leara*. Na Byrona, w chwili ich przyjazdu do Warszawy, tak już była zwrócona uwaga powszechna, że mająca wychodzić wówczas Biblioteka romansów, powieści, podróży, poematów itd. zapowiadała ukazanie się w pierwszych dwóch tomach swoich, naturalnie w przekładzie polskim, *Korsarza, Oblężenie Koryntu*, *Mazepy*, *Upiora*, *Parisiny i Giaura* [1]. Zapowiedź ta wprawdzie nie spełniła się, ale z notatek Goszczyńskiego wiemy, że miał on sposobność wtedy poznać w przekładach *Childe-Harolda*, *Korsarza* i *Oblężenie Koryntu*, i trudno przypuścić, aby ta sposobność ominęła tak ściśle złączonego z nim Zaleskiego. Walter Scott dał się im poznać naprzód jako poeta, czytali wówczas, naturalnie w przekładzie, jego *Marmion* i niektóre ballady. Wiemy wreszcie, że do ówczesnej ich lektury należeli *Męczennicy* Chateaubrianda.

---

[1]) Gazeta Warsz. 1820 r. z d. 29 września.

Jednem słowem ze wszystkich stron otwierały się przed nimi nowe horyzonty literackie, i jeżeli ruch stołeczny wprawiał ich z początku w odurzenie, to i lektura tylu nowych rzeczy, tak mało podobnych do wszystkiego, co przedtem stanowiło ich zwykły pokarm umysłowy, mogła również w pierwszych chwilach odurzająco na nich działać.

Łatwo sobie wyobrazić także, jakie wrażenie na młodzieńcach, którzy z wyjątkiem może jakichś amatorskich przedstawień studenckich w Humaniu, nie znali dotychczas żadnej sceny, nawet prowincyonalnej, wywierał teatr warszawski, pod względem techniki dekoracyjnej, stojący wówczas bardzo wysoko. W tych czasach właśnie bawił w Warszawie jeden z Filomatów wileńskich, Czeczot, i w liście do przyjaciół tak opisywał wrażenia wyniesione ze sceny warszawskiej. »Grano »Ofiarę Abrahama«, tragedyę, jakąś niby liryczną, tłumaczoną świeżo przez Kudlicza. Sztuka najnędzniejsza w świecie pod względem sztuki, i nazwiska tragedyi nie warta. Ależ dekoracya, ależ balet i exekucya muzyki przednia, prawdziwie zajmowały i bawiły. Dekoracyę pierwszy raz w życiu tak cudnie udaną widziałem. Były tam, jak być może najprzedziwniej zrobione obłoki i w nich (śliczna dziewczyna) ukazujący się anioł, prawdziwy anioł! Były skały, piaszczyste i prawie słońcem płonące pustynie, obeliski egipskie, świątynia Izys ze śliczną kolumnadą, namiot jak prawdziwy, a na dobitkę otwierające się niebo, słońce przedziwne i pałac trzypiętrowy od szmaragdu i złota. Pałac ten, tylko trochę mię naśmieszył, ale podług biblijnej architektury może taki być powinien. Dopieroż balet, pojedynki, bitwy nie zakulisą, ale na scenie, wszystko to miało widok przyjemny i zajmujący, i gdyby sama sztuka do tego choć w części się przykładała, byłby człowiek zupełnie oczarowany« [1]).

---

[1]) Archiwum Filomatów. Korrespondencya.

Nasi młodzi przyjaciele humańscy byli daleko mniej krytycznie usposobieni od Czeczota, który był i starszy wiekiem i doświadczeniem, i więcej wykształcony i znał scenę wileńską, więc ich »oczarowanie« musiało być nierównie większem, niż wileńskiego gościa.

Co się tyczy uniwersytetu warszawskiego, do którego przecież jakoby jechali dla dalszego kształcenia się po nieskończonych studyach szkolnych w Humaniu, to nic zgoła nie wiemy, o ile korzystali z wykładów, które tam znaleźć mogli. Nie mając patentów szkolnych, mogli uczęszczać tylko jako wolni słuchacze, i zapewne nie omieszkali przysłuchiwać się tym i owym wykładom, ale należy wątpić, aby którykolwiek z wykładów ówczesnych miał dla nich siłę przyciągającą. Uniwersytet warszawski, który w r. 1821 liczył niespełna pięciuset uczniów, dzielił się na pięć wydziałów: teologiczny, lekarski, prawny, filozoficzny i nauk i sztuk pięknych [1]. Ten ostatni obok malarstwa, rysunku, sztycharstwa, architektury, geodezyi, obejmował filologię klasyczną, literaturę nowożytną i historyę, i te ostatnie przedmioty najwięcej mogły być przystępne niedokończonym Humańczykom. Ale literaturę, i to powszechną, wykładał wówczas tylko Osiński, dając, i to bardzo nieregularnie [2], jednę tylko prelekcyę publiczną na tydzień;

[1]) Przebywający w Warszawie w r. 1821 Pietraszkiewicz donosi przyjaciołom wileńskim (z datą 20 lipca), że na Uniwersytecie warszawskim w tym roku było ogółem uczniów 491, z tych opłacających tylko 180, reszta (311) byli uwolnieni od opłaty. Wydział filoz. liczył tylko 15, teologiczny 34, lekarski 79, nauk i sztuk pięknych 133, prawny 230. (Archiwum Filomatów. Korrespondencya).

[2]) Rada Uniw. warsz. proponując Osińskiego, który był dotychczas (1821) zastępcą tymczasowego profesora, na tymczasowego profesora, dodawała zastrzeżenie, aby ściślej niż dotąd pełnił obowiązki, a przynajmniej, aby regularnie miewał dwie godziny tygodniowo lekcyi. Ale Osiński właściwie dawał jednę tylko prelekcyę publiczną na tydzień, druga godzina przeznaczona była na ćwiczenia stylowe.

historya w r. 1820/21 miała dwóch przedstawicieli w Feliksie Bentkowskim i Lelewelu, ale z tych dwóch tylko lekcye Bentkowskiego cieszyły się większą frekwencyą, a to z powodów nie mających nic wspólnego z ich naukową wartością, Lelewel zaś miał bardzo mało słuchaczy [1]). Brodziński jeszcze nie wykładał na Uniwersytecie. Prawdopodobnie tedy nasi młodzi literaci słuchali lub próbowali słuchać wykładów Osińskiego, Bentkowskiego, wreszcie może Lelewela.

Mieszkanie znaleźli dla siebie u niejakich państwa Buczyńskich, mieszkających w pawilonie pałacu generała Krasińskiego. Naprzeciwko ich pokoiku, odnajętego u Buczyńskich, były okna mieszkania, które zajmowała kuzynka generała, panna Aniela Bronikowska, później Romanowa Załuska, ta, ku której w kilka lat potem zwracał pierwsze zapały swoje Zygmunt Krasiński. Młoda, piękna, pokazywała się nieraz w oknach, a głos jej fortepianu dochodził uszu młodych poetów. Wiemy, że Goszczyński obrał ją sobie za cel platonicznych marzeń miłosnych, a zapewne i jego towarzysz nie był obojętny na to zjawisko, które zdarzeniem losu mogli mieć często przed oczyma.

Ale pokoik, który zajmowali u Buczyńskich, był miejscem nietylko głośnych dysput literackich, nietylko zachwytów nad piękną sąsiadką z przeciwka; niebawem zaczęto tam — półszeptem może — prowadzić tajemnicze

---

I w rok potem, kiedy chodziło o nominacyę Brodzińskiego, zwierzchność Uniwersytetu uważała, że p. »Osiński daje lekcye bardzo nieregularnie«. T. Wierzbowski, Materyały do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzy polskich. T. II, Warszawa 1904, str. 199, 200 i 204.

[1]) Pietraszkiewicz do Malewskiego 8 kwietnia 1821: »Na Lelewela lekcyi ledwie 3-ch, 4-ech czasami bywa, kiedy Bentkowski bajaniami o kalendarzu przez 4 tygodnie pełną salę ściąga słuchaczów; ta różnica, że Bentkowski o stopniach decyduje«. (Archiwum Filom. Korrespondencya).

rozmowy, które na wysoki a poważny ton nastrajały serca naszych poetów.

Warszawa w chwili, kiedy do niej nasi młodzieńcy przybywali, przechodziła pierwsze dreszcze rewolucyjnej gorączki, która odtąd z większą lub mniejszą siłą nurtując w społeczeństwie polskiem, miała wybuchnąć wielkim płomieniem powstania listopadowego. Na wywołanie tych dreszczów składały się zarówno wpływy obce, jak i wewnętrzne położenie kraju. We Włoszech, Niemczech, Anglii, Hiszpanii, czy to w formie spisków, czy jawnej opozycyi objawiał się protest mas niezadowolonych z reakcyjnej polityki rządów po kongresie wiedeńskim i echa tych ruchów, tego niezadowolenia dochodziły stolicy Królestwa Kongresowego i pobudzały żywsze umysły do zastanawiania się nad położeniem ówczesnem polskiego społeczeństwa.

To społeczeństwo w ciągu ostatnich lat trzydziestu, od konstytucyi 3. maja, przechodziło najdziwniejsze perypetye, doznawało kolejno, w bliskich od siebie odstępach czasu, to najsłodszych, najpewniejszych nadziei, to najrozpaczliwszych zawodów. Po konstytucyi 3. maja Targowica, po Targowicy powstanie Kościuszkowskie, potem zaraz ostateczny upadek podległego bytu, ale już w parę lat potem zabłyśnięcie nadziei, które przyświecały legionom i które niebawem zaczęły uiszczać się z utworzeniem Księstwa Warszawskiego. I ledwie mija jedno lustrum, cały gmach najwspanialszych nadziei, zbudowany na wierze w Niezwyciężonego, wali się w gruzy. Zdawało się, że z runięciem Napoleońskiego świata skończyło się już wszystko dla sprawy polskiej, że z utonięciem w nurtach Elstery księcia Józefa, odnoszącego honor Polaków Bogu, zabrakło już na tym świecie miejsca dla rycerstwa polskiego, gdy oto zjawia się wspaniałomyślny dobroczyńca—wskrzesiciel, zjawia się z tej strony, skąd się go najmniej można było spo-

dziewać. Powstaje konstytucyjne Królestwo Kongresowe, a ten, który je tworzy, daje nie uroczystą wprawdzie, ale wyraźną obietnicę, że jest to pierwszy krok do połączenia wszystkich ziem dawnej Polski w osobny organizm polityczny pod jego i jego następców berłem, innemi słowy, że do Królestwa Kongresowego przyłączone zostaną prowincye litewsko-ruskie. Nie tu miejsce rozstrząsać szczerość intencyi Aleksandra I. i doniosłość jego planów, dość będzie tylko zaznaczyć, że, o ile chodziło o odbudowanie Polski przez połączenie zabranych prowincyi z Królestwem Kongresowem, nie mógł on liczyć w tym względzie na niczyje poparcie w swojem wielkiem państwie, począwszy od potężnej biurokracyi, wrogiej konstytucyjnym urządzeniom, a kończąc na najbardziej liberalnym żywiole, i że za tem wykonaniu danej obietnicy stawały na drodze niezmierzone trudności, które tylko władca z energią Piotra Wielkiego mógł był pokonać. Ale o tem wśród Polaków nie wiedziano, nad trudnością wykonania obietnicy nie zastanawiano się, a obietnicę przyjmowano z radością, której dorównywało tylko zdziwienie wywołane tak niespodziewanym a pomyślnym obrotem rzeczy. I jak przedtem wszystkie nadzieje Polaków zawisły na »bogu wojny«, tak teraz wszystkie skupiły się przy »aniele pokoju«. Pomimo, iż tak niedawno jeszcze z najżywszem upragnieniem oczekiwano jego ostatecznej przegranej, która miała prowadzić, jeżeli nie do pełnego, to przynajmniej do pełniejszego odbudowania Polski, teraz wywoływał on wszędzie w sercach polskich szczerą wdzięczność i uwielbienie.

Literatura ówczesna zachowała nam liczne objawy tych uczuć; na próbę przytoczę niektóre. Antoni Gorecki, gorący patryota, dzielny żołnierz z pod orłów napoleońskich i poeta, drukuje w *Pamiętniku Naukowym* warszawskim wiersz [1]), który kończy się takim okrzykiem:

---

[1]) Pamiątce poległego przyjaciela. Pam. Warsz. 1816, T. IV, str. 91.

Pójdziem wszyscy krew przelać za króla Polaków
I przykażem w śmiertelnej naszym dzieciom chwili,
By drugiego po Bogu Aleksandra czcili.

Gazeta Warszawska z początkiem 1818 r. umieszcza »Kolendę na Nowy Rok«, której ostatnia strofa brzmi:

A ten, co nam szczęście stwarza,
Ojczyzno! dla twojej chwały;
Niech cię pokojem obdarza
Nasz Aleksander wspaniały.

Ale najlepiej może chakteryzuje ówczesne usposobienie społeczeństwa polskiego to, co umieszczał *Orzeł Biały*, organ na wskróś, patryotyczny i liberalny, we Wstępie do swego wydawnictwa. »Ten, który pokonał Niezwyciężonego, nie przestał na tym zaszczycie, jakim nikt przed nim pochlubić się nie mógł, postanowił jeszcze błędy zwalczonego przez siebie poprawić, długi wypłacić. Jego potęgą osłonieni Polacy pokrzepili się nadzieją swobody; Jego opieką podźwignięta, wzrosła pomyślność krajowa; rozwijają się zarody przyszłego szczęścia. Wielkie dzieło zwolna dojrzewa, późne może będą owoce, ale nie zawiodą sprawiedliwego oczekiwania, jeżeli z nieugiętą gorliwością wszyscy razem przykładać się zechcą do powszechnego dobra«.

Bardzo ważnem jest także świadectwo generała Prądzyńskiego: »Aleksandra wszyscy Polacy, pod jakimibądź rządami zostający, bez żadnej myśli ukrytej za prawdziwego wskrzesiciela Polski byli przyjęli i sumiennie zaręczyć mogę, że w jego było mocy zyskać naszą miłość i poświęcenie, równe tym, jakich doświadczył Napoleon«[1].

Ale to błogie usposobienie, ta błoga wiara w spełnienie się obietnic cesarza, nie długo trwały. Bardzo prędko zaczęły się pokazywać znaki, świadczące, że konstytucyjny

[1]) Pamiętniki Prądzyńskiego I, 27—28.

porządek nie da się pogodzić z despotycznymi zachciankami W. X. Konstantego, a obiecane odbudowanie Polski z potęgą wrogiej temu zamiarowi biurokracyi rosyjskiej. Ledwie upłynęło parę lat od kongresu wiedeńskiego, kiedy umysły żywsze, gorętsze w Warszawie, pod wpływem budzącego się rozczarowania, zwróciły się do roboty spiskowej, naprzód bardzo młodzieńczej, dziecinnej prawie, jaką uprawiał np. Związek Prawdziwych Polaków, zawiązany przez Prądzyńskiego i jego młodych przyjaciół, pod wpływem świeżych tradycyi o niemieckim Tugendbundzie, albo uczniowskie spiski na górach Dynasowskich, z przysięgami na pistoletach i szpadach, improwizowane przez 16-letniego Mochnackiego, — potem do coraz poważniejszej, na większą rozwiniętej skalę.

W roku 1817 Mauersberger zawiązuje nieco poważniejsze akademickie tajne towarzystwo Panta Koina, które już w trzy lata po swojem zawiązaniu, mniejwięcej w czasie przyjazdu naszych młodych poetów do Warszawy, po krótkim i wątłym żywocie zupełnie umiera; w r. 1819 Łukasiński zakłada Wolnomularstwo narodowe, które rok tylko żyje, aby odrodzić się niebawem w Towarzystwie patryotycznem; wreszcie na początku 1820 r. zupełnie niezależnie od wszelkich innych tajemnych stowarzyszeń, Heltman i Piątkiewicz organizują Związek Wolnych Polaków. Ten obchodzi nas najwięcej, ponieważ on to przyciąga ku sobie naszych poetów wkrótce po ich przyjeździe do Warszawy.

Wiktor Heltman, który po powstaniu listopadowem był jednym ze słupów Towarzystwa demokratycznego na emigracyi, należał do najgorętszych i najniespokojniejszych umysłów, jakie opanowała wówczas gorączka konspiracyjna. Jeszcze latem 1819 r. układał on związek w celu »krzewienia uczuć wolności, miłości ojczyzny i narodowości«, z ukrytą myślą walki »z tyranią i fanatyzmem« i ukrytem dążeniem do przywrócenia niepodległości Polski,

ale związek ten bardzo prędko rozleciał się i był jakby próbą tylko tego związku, który Heltman wraz z przybyłym z Galicyi Piątkiewiczem zawiązali w kilka miesięcy potem i ochrzcili nazwą Wolnych Polaków.

Związek ten, jak zresztą i inne tajemne związki ówczesne, pożyczał form, działających na wyobraźnię i nadających urok tajemniczości niedojrzałym pomysłom i planom, od wolnomularstwa, które krzewiło się wówczas szeroko w Królestwie Polskiem i na Litwie i miało już dość długą za sobą przeszłość na gruncie polskim. Zawiązane w początkach XVIII w. w Anglii, jako wypływ potrzeby stworzenia dla wzmagającego się i przenikającego w masy wolnomyślicielstwa, form religijnych, któreby zastąpić mogły formy Kościoła panującego, rozpowszechniło się niebawem po całej Europie i już za panowania Augusta III, dzięki ściślejszym stosukom ówczesnym Polski z Saksonią, przeniknęło do Warszawy (1739). O ile przeciwdziałało bezmyślnej bigoteryi i zabobonności, o ile wśród ciemnoty czasów saskich szerzyło pojęcia humanitarne, miało ono pewien wpływ dodatni, na czem się poznawały lepsze i światlejsze umysły tej epoki, n. p. Elżbieta Drużbacka, która przy całej swej religijności brała w obronę Franmasonów. Ale w miarę jak wpływ literatury francuskiej XVIII wieku zaczął brać górę w Polsce i wziął na siebie rolę szerzenia pojęć humanitarnych, podkopując przytem nie już przesądy i zabobony, ale podstawy wiary objawionej, w miarę tego nikło wszelkie, dodatnie czy ujemne znaczenie wolnomularstwa i stawało się ono czczą i pustą formą, czemś w rodzaju zabawy towarzyskiej, nęcącej płytkie umysły tajemniczością obrzędów i pozorami powagi.

»Dla Polaków, powiada Prądzyński [1]), który miał sposobność poznać dobrze ten związek w ostatnich chwilach jego istnienia w Polsce, wolnomularstwo nie było wcale

---

[1]) Pamiętniki I, 20—21.

religią, ale dla wielu było rozrywką, zajęciem się, dla bardzo wielu zastępowało teatr, bale, wino, karty itp.« Dodatnią jego stroną była tylko organizacya dobroczynności publicznej, ale ta mogła się obejść doskonale bez śmiesznej tajemniczości i form cudackich.

To też na Litwie, gdzie było zawsze więcej ludzi biorących życie z poważnej strony, wolnomularstwo, pod koniec swego istnienia, spotkało się z surowem potępieniem. Z tem potępieniem wystąpił jeden z najpowazniejszych ludzi w Wilnie, doktor Jakób Szymkiewicz, pierwszy prezes Szubrawców, uczony i filantrop, który i w wolnomularstwie zajmował wysokie stanowisko i dlatego miał sposobność dobrze poznać wartość tej instytucyi [1].

Rząd rosyjski, za przykładem innych rządów, nietylko tolerował tę maskaradę, ale korzystał z niej nawet, aby zapomocą swoich ludzi, zajmujących nieraz wyższe stanowiska w wolnomularstwie, jak np. Rożniecki i Mackrott, śledzić ruch opinii publicznej i informować się o stanie umysłów. Ale jak tylko spostrzegł, czy przeczuł, że na wzór wolnomularstwa i zachęcone jego przykładem mogą się tworzyć inne związki, mające patryotyczne i polityczne cele, przeciwne rządowi, natychmiast zawiesił wolnomularstwo, naprzód w Królestwie, potem na Litwie. W Królestwie stało się to w tym samym roku (1820), w którym Heltman i Piątkiewicz zawiązali związek Wolnych Polaków.

Dzielił się tedy ów związek wzorem wolnomularstwa na loże, które tu nazywano chorągwiami, miał swoją symbolikę obrzędową, zastosowaną do celów rewolucyjno-

---

[1]) Por. moją »Młodość Mickiewicza« I, 67 i 76, a także Listy Lelewela I, 316. Rzecz dziwna, że prof. Askenazy, podając w swoim »Łukasińskim« tyle nowych szczegółów do zewnętrznej historyi wolnomularstwa w Polsce, nic o jego wewnętrznej wartości nie powiedział i o Szymkiewiczu nawet nie wspomniał.

patryotycznych, swoich wielkich mistrzów itd. Miał też i swój organ, *Dekadę Polską,* która zaczęła wychodzić pod koniec 1820 r. zaraz po zwinięciu *Orła Białego.* Lóż było trzy, nosiły one nazwy: Kościuszki, Kołłątaja i Rejtana. Naczelnikiem i wielkim mistrzem tej ostatniej był Piątkiewicz. Ściągano do Związku przedewszystkiem młodzież gorącą i nastrojoną patryotycznie i bezwzględnie ulegającą urokowi patryotycznych haseł i tajemniczych obrzędów.

Do pierwszych związkowych należał Jozafat Ostrowski, jeden z najruchliwszych i najbardziej wichrowatych młodzieńców warszawskich, zdolny i cięty publicysta, który w powstaniu listopadowem zasłynął, jako najgłośniejszy krzykacz, a potem na emigracyi jeszcze mniej zaszczytną odgrywał rolę i skończył swój zawód w policyi paryskiej. On to wtajemniczył naszych poetów, z którymi jako młody literat już się był zaprzyjaźnił, w istnienie patryotycznego związku i ofiarował się, jeżeli zechcą, wprowadzić ich do grona Wolnych Polaków.

Do Wolnych Polaków! Sama nazwa brzmieniem swojem mogła upajać młodzieńców; któryżby z nich nie chciał zostać wolnym Polakiem. Ale w trójce humańskiej, która się zbierała w pokoiku u Buczyńskich, w pawilonie pałacu Krasińskich, a z której żaden nie dosięgnął lat dwudziestu, była wielka różnica w temperamencie i usposobieniach. Zarysowała się ona wówczas bardzo wyraziście i zakreśliła niejako drogi przyszłości dla każdego z nich. Najstarszy z trójki, Goszczyński, jeszcze w Humaniu rwący się do ruchu politycznego, przyjął — rzecz naturalna — konspiratorską propagandę Ostrowskiego odrazu i z zachwytem, i rozpoczął w ten sposób swój długoletni zawód konspiratorski. Zaleski, nie czujący w sobie najmniejszego powołania do życia publicznego i oddany marzeniom poetyckim, ale nastrojony patryotycznie i w imię patryotyzmu łatwo dający się powodować, pociągnięty został również, choć nie z takim zapewne pędem, jak Goszczyński, do

związku. O trzecim wprawdzie nie mamy wyraźnej wiadomości, że mu proponowano wstąpienie do Wolnych Pojaków, ale znając ścisły stosunek przyjacielski, który go wiązał z Zaleskim i Goszczyńskim, można nie wątpić, że i on w tę sprawę był wtajemniczony. Otóż ten trzeci, choć najmłodszy, choć serdecznym węzłem przyjaźni i koleżeństwa związany z tamtymi, miał umysł na tyle trzeźwy i samodzielny, że umiał ocenić bezowocność roboty i nie dał się pięknym hasłom pociągnąć ku konspiracyi, tak samo, jak w dziesięć lat potem nie chciał przystąpić do spisku, który sprowadził wybuch powstania listopadowego.

Ta różnica między młodymi przyjaciółmi w stosunku do spiskowej propagandy musiała wywołać oziębienie stosunków między nimi. Goszczyński, pisząc o tych czasach, powiada: »nasze kółko słabo się trzyma, harmonia trudna. Grabowski, salonowy panicz, Francuzik, ze wszystkiemi wadami Francuzika, Bohdan Zaleski, fanatyk, żyjący tylko wierszami i dla wierszy, bez energii do życia publicznego, ja cały w polityce, rwący się do ruchu, który wtedy wichrzył południem Europy« [1]).

Scena uroczystego wprowadzenia Goszczyńskiego i Zaleskiego do związku Wolnych Polaków odbyła się w początkach 1821 r., w starym pałacu Radziwiłłowskim, a później Paca, przy ulicy Miodowej, gdzie mieszkał jeden ze związkowych, Zegrzda. Wprowadzał nowych braci Ostrowski, przyjmował i celebrował przy tej uroczystości niejaki Wąsowicz, urzędnik w komisyi skarbu. Dokładny obraz tej sceny znajdujemy w wierszu Goszczyńskiego: *Rejtan, widzenie*, pisanym w trzy lata później [2]). Oto jak efekto-

---

[1]) Zapiski do moich Pamiętników. Rkp.

[2]) W przypisach do tego wiersza powiedziano: »Szczegóły obrzędu, wymienione w tym wierszu, są wiernem oddaniem rzeczywistości«.

wnie, tajemniczo i symbolicznie wyglądała sala, w której nasi młodzieńcy składali przysięgę na wierność związkowi i jego celom:

W głuchym, bezludnym gmachu Radziwiłłów,
Co leżał jak trup śród pleśni i pyłów,
Któremi pustek odziały go lata,
Kryje się ciemna, ustronna komnata —
A w niej na schadzkę związkową zebrana,
Wolnych Polaków chorągiew Rejtana.
Cisza i nagość w tajemnej komnacie;
Tylko milczących związkowych postacie,
W czarnej odzieży, z twarzą pod kapturem,
Przykute do ścian półkulistym chórem,
Czarnych posągów rzędem być się zdały —
Godło grobowej wiecznej tajemnicy,
Stała na stole Chodkiewicza głowa;
Trzy lampki słabem światłem z niej błyskały,
Trzy zorze w bytu polskiego ciemnicy —
Przedemną leżał nagi miecz przysięgi,
Znamię jedynej skrzywdzonych potęgi.

Jakie wrażenie wywarła ta ponura i groźna dekoracya na Bohdanie, nie mamy o tem wiadomości, ale domyślić się łatwo, że pogodna, harmonijna, do błękitnych marzeń skłonna dusza jego musiała się tam czuć nie swojo. Zato o Goszczyńskim wiemy od niego samego, że był tem wszystkiem uszczęśliwiony, zachwycony. Jego fantazya znalazła się w swoim żywiole, jego natura konspiratorska znalazła tu niejako uświęcenie i namaszczenie. To też w pamiętniku swoim, mówiąc o tej scenie, powiada: »To mi daje stanowczy kierunek polityczny«. Odtąd konspiratorstwo staje się stałym jego zawodem, aż do wielkiego przełomu, jaki nastąpił w jego duszy przy zetknięciu się doktryną Towiańskiego [1]).

---

[1]) Porówn. I. Tretiak, »Goszczyński jako konspirator«. Sprawozdania z posiedzeń Wydz. filolog. Ak. Umiej. (14 grudnia 1908).

Ale rozkosz, jaką mu dawała świadomość należenia do związku, który miał tak wysokie cele i tak wspaniałą symbolikę obrzędową, niedługo trwała. Ciężkie warunki materyalne, w jakich się znajdował, przygniatały go coraz srożej, a przy jego usposobieniu i nastroju niepodobna mu było myśleć o znalezieniu jakiegoś zajęcia, któreby mu dało stałe środki utrzymania; tem mniej miał ochotę i możność dalszego kształcenia się, któreby go do jakiegoś zawodu przygotowało. Nadzieje na pomoc krewnych i znajomych ojca okazały się złudne: tych krewnych nie mógł nawet odszukać w Królestwie. Żyć kosztem Zaleskiego, z którym z początku mieszkał razem, nie można było, już choćby dla tego, że i jego fundusze wyczerpywały się. Nędza tedy wkoło osaczała rojącego o bohaterskich czynach poetę. Znalazł się wprawdzie chwilowy protektor w osobie najniezdarniejszego poety warszawskiego, Kajetana Jaksy Marcinkowskiego, który za przepisywanie mu jego poematu *Rzeki* i innych utworów dał Goszczyńskiemu na czas jakiś mieszkanie i jedzenie, ale pomoc ta na bardzo krótko starczyć mogła.

Wśród takich okoliczności, Goszczyński, trawiony gorączką ruchu, a skazany na bezczynność — zwłaszcza, że coraz gorliwiej krzątająca się policya, aresztowała głównych działaczy związku: Heltmana i Piątkiewicza [1]) — postanawia udać się do Grecyi, ażeby jako ochotnik wziąć udział w walce o niepodległość, która wybuchła tam w marcu

---

[1]) Pietraszkiewicz, kończący wówczas studya na Uniwersytecie warszawskim, pisze do Adama Mickiewicza (list bez daty): »Sybilla zaprzestanie wychodzić za rozbiór Konstytucyi 3-go maja. Heltman Wiktor i Piątkiewicz siedzą od 3 maja w kozie za to, iż uzyskawszy z cenzury pozwolenie drukowania Konstytucyi 3-go maja, kazali jej 500 egzemplarzy po 5 groszy mającej się przedawać, wybić. I Konstytucyę zabrali i ich trzymają o chlebie i wodzie«. Archiwum Filomatów. Korrespondencya.

tegoż roku (1821) i cieszyła się sympatyami całej liberalnej Europy. »Wolny Polak« w niespełna rok po swojem przybyciu do Warszawy, rusza na pomoc wyzwalającym się Grekom, spaliwszy przedtem wszystkie pisma swoje, a ponieważ cały jego zapas pieniężny na drogę wynosił 5 zł. pol., które był dostał od Michała Grabowskiego, idzie w tę wielką drogę pieszo, zachodząc po drodze do znajomych, i spodziewając się, że w ten sposób dójdzie do Odesy, a stamtąd jakoś dostanie się do Grecyi. Tak daleko nie doszedł, utknął w Humaniu, ale nie mogąc walczyć o niepodległość Grecyi, zaraz w następnym roku, wierny swojemu konspiratorskiemu powołaniu, zawiązuje jakiś tajemny związek polityczny wśród studentów humańskich, związek, bardzo prędko odkryty przez X. prefekta, zamyśla o utworzeniu »bandy patryotycznej« w okolicach puszczy Łebedyńskiej i przez kilka lat następnych wlecze żywot najsmutniejszy, przenosząc się z miejsca na miejsce, ukrywając się przed policyą, która go poszukiwała i wylewając żółć wezbraną w takich utworach, jak sławna *Uczta zemsty*, która tyranom, księżom i arystokratom podawała puhar napełniony krwią i łzami narodów — a na zakąskę po tym napoju — sztylety.

Mimowoli nasuwa się pytanie, jakby się były obróciły losy Goszczyńskiego, gdyby nasi przyjaciele humańscy zamiast nęcącej swoim ruchem politycznym Warszawy, udali się byli na naukę do Wilna. Jednego tylko można być pewnym, mianowicie tego, że ruch filarecki, tak silnie rozwijający się wówczas w Wilnie, byłby i ich także ogarnął i gorącemu patryotyzmowi Goszczyńskiego wskazał inne drogi.

Co się tyczy Zaleskiego, udział jego w związku »Wolnych Polaków« przeszedł bez żadnych szkodliwych następstw w jego życiu, nie ściągnął nań prześladowania ze strony policyi, a zostawił ślad tylko w jego poezyi, w pewnym wierszu wówczas napisanym, a dotychczas niedru-

kowanym p. t. *Wyjeżdżający do legionow*, *Duma*. Bohaterem *Dumy* jest Cypryan Godebski, legionista i poeta, autor wiersza *Do legionów polskich*, który jeszcze lepiej upamiętnił się chlubnym zgonem na polach Raszyna w roku 1809. Jego utwory zebrane przez syna i wydane w roku 1821 [1]) przypomniały publiczności polskiej tę piękną, rycerską postać, a Zaleskiemu, nastrojonemu wówczas na ton »Wolnych Polaków«, podsunęły odpowiedni temat poetycki. Przedstawione tu są uczucia Godebskiego w chwili, gdy opuszczając rodzinny Wołyń, zatrzymuje się w majową noc księżycową na polach Dubienki, pamiętnej niedawnem zwycięstwem Kościuszki i puszcza wodze smutnym rozmyślaniom nad losem Polski i patryotycznym zapałom.

Któż sprawca okropnej zmiany?...
Obcych przemoc — ziomków zbrodnie;
Tak — okuły nas w kajdany
Hołdowniki i przychodnie.
Wielkich królów naszych prochy
Depce najezdnik zuchwały,
Pomiata nawet wiatr płochy
Wawrzynami dawnej chwały;
Chorągwie, w bojach zdobyte,
Z sklepień świątnic wróg odziera,
Zbroje kurzawą okryte
Nieprzyjazna rdza pożera. —
Ziomki jak grobowe mary
Błądzą za Ojczyzny śladem,
Po nadbrzeżach Delawary,
I nad Nilem i nad Padem.
. . . .

---

[1]) Dzieła wierszem i prozą Cypryana Godebskiego, pułkownika dowódzcy pułku 8-go piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego, kawalera orderu krzyża wojskowego, członka Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk, poległego pod Raszynem d. 19 kwietnia 1809 r., po śmierci autora zbierane, po większej części drukiem nieogłoszone. W Warszawie, nakładem i drukiem N. Glücksberga, księgarza i typografa królewskiego Uniwersytetu 1821.

Będzież zimnym Polak prawy
W smutnej obecnej kolei?...
Nie... śpieszę, gdzie tęczę sławy,
Gdzie tęczę widać nadziei...

Ten wiersz, pięknie przepisany wraz z trzema innymi, niedługo potem utworzonymi, (Nieszczęśliwa Rodzina, Lubor, Dumka hetmana Kosińskiego) przedstawił młodziutki poeta redakcyi *Pamiętnika Warszawskiego*, na którego czele od r. 1822 stanął dotychczasowy współredaktor Bentkowskiego, Kazimierz Brodziński [1]).

Stosunek Bohdana z Brodzińskim zawiązał się bardzo prędko po przybyciu humańskich młodzieńców do Warszawy. Brodziński zdobył już był sobie wtedy poważne stanowisko literackie i naukowe w Warszawie, tak wśród starszego pokolenia, jak i młodszego. Jego takt, spokojność, ogromna pracowitość i gotowość do wszelkiej pracy, jego stosunkowo wysokie wykształcenie, jego poetyckie utwory i literackie rozprawy, które tchnęły już nowym duchem, ale umiarkowanym tonem swoim nie raziły wyznawców klasycznej poetyki, wszystko to zjednywało dlań opinię publiczną we wszystkich warstwach inteligencyi warszawskiej. Przed kilku laty mało komu znany przybysz, był już teraz, w r. 1822, nauczycielem literatury w Kolegium pijarskiem na Żoliborzu, profesorem Liceum warszawskiego, redaktorem najpoważniejszego pisma naukowego, członkiem (przybranym) Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w końcu tegoż roku miał zostać sekretarzem uniwersytetu i rozpocząć wykłady literatury polskiej na

[1]) W Bibl. Zamojskich pod nr. Katalogu 1073 znajduje się z cienkiego białego papieru zeszyt zapisany własną ręką B. Zaleskiego. Ma tytuł: »Poezye Józefa Zaleskiego«, pod tytułem w nawiasie: (Do Pamiętnika Warszawskiego). Są to właśnie cztery wymienione utwory Bohdana z pierwszych czasów pobytu jego w Warszawie.

tymże uniwersytecie. W r. 1821 ukazały się dwa tomiki jego poezyi i uczyniły go jeszcze bardziej popularnym wśród młodzieży, zwłaszcza, że do porównania nie było jeszcze poezyi Mickiewicza, przy których zblednąć musiały.

Tego, co p. Duchińska, opierając się na wspomnieniach, zasłyszanych z ust poety, opowiada o zaznajomieniu się Zaleskiego z Brodzińskim, nie można brać, jak w ogóle całego jej artykułu [1]), za dokładne w szczegółach przedstawienie rzeczy, ale to za rzecz pewną uważać można, że stosunek naszego poety z Brodzińskim zawiązał się prędko i łatwo. Było bardzo wiele pokrewieństwa między duchowemi organizacyami tych poetów. Wprawdzie Zaleski był o wiele bardziej poetyczną naturą, więcej miał fantazyi, więcej marzycielskiego nastroju, a przedewszystkiem nierównie więcej muzykalności w duszy, ale grunt ich natury był ten sam i ta sama słodycz, łagodność, dążenie do harmonii u obu.

Harmonijność natury Brodzińskiego nigdzie się lepiej i szczytniej nie wyraziła, jak w wierszu jego *Do Boga*, nigdzie też lepiej i jaśniej nie wypowiedział Brodziński swojej filozofii, wyrobionej pod wpływem mistrza swego, Herdera, i swoich uczuć religijnych. Niestety, wiersz ten mało znany, warto go przypomnieć. Poeta w Bogu uznaje swego ojca, w przyrodzie, w ziemi, matkę i jak dziecię ma więcej śmiałości do matki, jak do ojca, tak i on nie śmie zapuszczać wzroku w tajemnice Boskiej potęgi i tylko kornie chyli głowę przed Nim, (Pokora jest do nieba wiodącym aniołem) ale za to na łonie matki czuje się swobodnym, szczęśliwym i spokojnym.

. . . .

Jakbym Ciebie mógł pojąć, jak wielbić mój Boże!
Gdy dusza, czem jest sama, odgadnąć nie może?

. . . .

---

[1]) Bohdan Zaleski, Wspomnienie pośmiertne. Biblioteka Warsz. 1886, I.

Nie leć myśli zuchwała z światów milionem
Drogami bezśledniemi pod Wiecznego tronem,
W tem morzu płomienistem, w tem sfer brzmiącem echu,
Znikniesz iskro miłości słabego oddechu.
. . . .
Nie, nie śmiem śledzić ojca przy promiennym tronie,
Śmielszy miłością, matko, dyszę na twem łonie.

Na te pola, te wzgórki rozpłakane w rosie,
Z rannym słońca promieniem rozciągnij się, głosie!
Rozejdź się z niewidzialną zefirów drużyną,
Z potokami, co szumią, z chmurami, co płyną;
Łącz się z drzewem, co drżące Jego chwałę głosi,
Wzniesionemi ramiony wieniec Mu podnosi.

I w rozkosznem poczuciu wspólności z całą przyrodą poetą woła:

I ja składam ogniwo, co spaja świat wszystek,
Tam, od gwiazdy najwyższej, po ten drżący listek.

Otóż, że ten wiersz głęboko trafiał do serca Bohdana, mamy świadectwo w tem, że umiał go na pamięć i nie zapomniał do śmierci. »Rok temu jeszcze, pisze Duchińska we Wspomnieniu pośmiertnem, słyszeliśmy czcigodnego wieszcza powtarzającego z uniesieniem Brodzińskiego modlitwę do Boga; od lat sześćdziesięciu z górą wiernie zachował ją w pamięci« [1]. Zobaczymy niebawem, jakiem echem odezwie się to *Credo* Brodzińskiego w poezyi Bohdana późniejszej, w szczególności w *Śpiewie poety*.

Łatwo więc było Zaleskiemu, przy takiem pokrewieństwie duchowem, poddawać się wpływowi swego nowego, starszego o lat dziesięć przyjaciela, który wiele już przeżył, wiele doświadczył, wiele umiał i był jakby stworzony na doradcę i kierownika dla takich, jak Bohdan, stawiają-

[1]) Tamże, II, 252.

cych pierwsze kroki poetów. Pod jego wpływem, do pewnego stopnia, zostawał on jeszcze w Humaniu, gdy tworzył *Dumę o Wacławie*, ale teraz dzięki stosunkowi osobistemu, wpływ ten nabierał daleko więcej siły. Wprawdzie uczniem Brodzińskiego, w zwyczajnem znaczeniu tego słowa, Zaleski nie był, wykładów jego na uniwersytecie nie mógł słuchać, bo jeszcze przed ich rozpoczęciem, co nastąpiło 10 paźdz. 1822 r., opuścił Warszawę, ale niewątpliwie miał nieraz sposobność do wymiany z nim myśli, do wysłuchania rad jego, już choćby wtedy, gdy przynosił mu swoje poezye do oceny, poezye, które, dopóki istniał *Pamiętnik Warszawski*, tj. do końca 1823 r. przeważnie drukowane były w tym organie, pomimo, że było wiele w tym czasie pism innych w Warszawie, chętnie otwierających swoje karty dla utworów poetyckich.

Ukrainizm Zaleskiego, który już w pierwszych jego dumkach dość wyraźnie występował, nie był mu podsunięty przez Brodzińskiego, ale ponieważ zgadzał się z zasadą przez niego wyznawaną, że poezya powinna czerpać soki swoje z podań i pieśni ludu, wśród którego poeta się urodził i wychował (Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjesz razem — Takiego pienia twoje niech będą obrazem) znalazł więc zachętę u niego. Natomiast słowianofilstwo, które stanowi jeden z wybitnych tonów muzy Bohdana, jak to on sam stwierdził potem w wierszu *Moja kwinta* (Bóg, świat, Słowiańśtwo, Polszcza, Ukraina), przejął Zaleski od autora Wiesława.

Skąd się ono wzięło w Brodzińskim? skąd się ono wogóle wzięło w owych czasach w literaturze polskiej? Nad rodowodem jego dotychczas zastanawiano się tak mało, że warto uczynić to, przynajmniej pokrótce, przy tej sposobności [1].

---

[1]) W r. b. w »Świecie Słowiańskim« (sierpień 1910) ukazał się

Poczucie słowiańskiej wspólności plemiennej tkwiło w polskim narodzie oddawna, a jego wyrazem literackim była bajka powtarzana przez kronikarzy o trzech braciach: Lechu, Czechu i Rusie. Ale Słowiańszczyzną, jej losami, jej kulturą i historyą nie zajmowano się u nas; jeżeli dotykano tych przedmiotów, to tylko przygodnie. Zwrot w tym względzie następuje około połowy XVIII wieku. W chwili, gdy Polska staje się już tylko cieniem niezależnego państwa, gdy o jakichkolwiek wpływach politycznych na losy Słowiańszczyzny nawet roić nie może, ukazuje się *L'empire des Sarmates* Jabłonowskiego i inne podobnej treści utwory tego możnego a zcudzoziemczałego pana. Ale dla Jabłonowskiego Słowiańszczyzna nie była przedmiotem szczególnych sympatyi, tylko okazyą do zaspokojenia niepomiernej próżności wielkopańskiej, szukającej dymu pochwał europejskiego świata. Naprawdę zwrot ku Słowiańszczyźnie, szersze zajęcie się tym przedmiotem następuje pod koniec XVIII w., przypada na chwilę ostatecznej zagłady bytu politycznego Polski i przeciąga się przez całe trzy dziesięciolecia wieku następnego. Zdawało się, jakoby naród, wstrząśnięty katastrofą polityczną, oglądał się za siebie, w najdalszą przeszłość, szukając przyczyn swego upadku i w solidarności słowiańskiej próbował znaleźć jakieś oparcie, jakiś ratunek dla siebie. Naturalnie czynili to ludzie wyjątkowo uposażeni pod względem umysłowym; ogół serc patryotycznych szukał i znajdował daleko krótszą i prędszą drogę wyzwolenia — co prawda chwilowego — legiony. Stąd pochodziła ta dziwna współczesność dwu zjawisk, tak mało sobie pokrewnych: zbrojnych wypraw bohaterskich pod cudzemi orłami dla odzyskania własnej niepodległości, i spokojnego zanurzania się w głębie historyi dla szukania przyszłych

artykuł p. Edwarda Woronieckiego p. t. »Słowianofilstwo Królestwa Kongresowego«, przynoszący dość materyału do tej kwestyi.

sprzymierzeńców w rozerwanej rodzinie ludów słowiańskich.

Cały szereg najznakomitszych ludzi w Polsce w końcu XVIII i na początku XIX wieku, czy to w pracach naukowych, historyczno-geograficznych, czy w utworach poetyckich, szuka związku ze Słowiańszczyzną, przyznaje się do pokrewieństwa z daleką i zapomnianą rodziną i wyczekuje od tego kierunku lepszej doli dla narodu. Dość wymienić Trembeckiego, Jana Potockiego, Staszica, Kołłontaja, Woronicza, Aleksandra Sapiehę, Lindego, Chodakowskiego-Czarnockiego, Surowieckiego i t. d. Wartość patryotyczna pobudek, które ich ku temu kierunkowi skłaniają, rozmaita, ale u wszystkich pobudki te wypływają z jednego źródła: upadku politycznego Polski. Trembecki z radością wita w najezdzcach i zwycięzcach swoich braci, ponieważ to dogadza jego sybarytyzmowi i uwalnia od łamania sobie głowy nad przyszłością narodu. Jan Potocki, wychowany za granicą, napojony wysoką europejską kulturą, ale zupełnie obcy duchem swemu narodowi i bez wiary w możność jego wyzwolenia, szuka pola dla swojej ambicyi i swoich zdolności w badaniach nad starożytnością słowiańską i w tym samym czasie, kiedy się ważą losy Kościuszkowskiego powstania, przedsiębierze podróż naukową w celu poszukiwania starożytności wendyjskich w Dolnej Saksonii, i odtąd aż do chwili samobójczej śmierci (w r. 1816) nie przestaje zajmować się, z wielkopańskim nakładem pieniężnym, starożytnemi dziejami Słowian.

Ale inni głęboko odczuwają losy swego narodu i jeżeli po upadku politycznym Polski zwracają się w stronę Słowiańszczyzny, to pcha ich ku temu chęć znalezienia nowych podstaw dla życia polskiego. Wyrzucony siłą wypadków ze swojej kuźni rewolucyjnej i zamknięty w twierdzy ołomunieckiej Kołłątaj, pisze pełną erudycyi, choć dosyć fantastyczną historyę początku narodów sło-

wiańskich. Staszic w swoim dydaktycznym poemacie *Ród ludzki* marzy o wielkiej federacyi narodów słowiańskich pod hegemonią Rosyi. Młody Aleksander Sapieha, autor *Podróży w krajach słowiańskich*, choć za granicą i modnie wychowany, ale pełen poczucia solidarności narodowej, wybiera się w kilka lat po ostatnim rozbiorze do Dalmacyi i innych południowych krajów słowiańskich, aby się przekonać, jakie wrażenie upadek Polski wywarł na tych ludach, i z radością upatruje w ich życiu, w ich charakterze, wszystko to, co ich czyni bliskimi, pokrewnymi Polakom. Linde, cudzoziemiec, ale zbratany z Polską i poświęcający jej całą swoją energię i kapitał swego wykształcenia, rozpoczyna swój słownik w zakresie tylko polskich wyrazów, z myślą, którą Czacki wypowiada w słowach: »Już nie masz Polski, zachowajmy język«, ale pod wpływem stosunków i powszechnego zwrotu ku rzeczom słowiańskim, rozszerza go do zakresu całej Słowiańszczyzny. Popierają go i otaczają najwyższą czcią i wdzięcznością najznakomitsi ludzie współcześni: Ossoliński, Czacki, Śniadecki, Czartoryski, a stanowisko polityczne tego ostatniego, jako przyjaciela Aleksandra I i stronnika polityki trzymania z Rosyą, prądowi słowianofilskiemu tem większą nadaje siłę.

Ale najwięcej nas tu obchodzi Woronicz, jako główny przedstawiciel poezyi, w której prądy patryotyczny i słowianofilski kojarzą się z sobą i jako ten, z którego rąk bezpośrednio przejmuje Brodziński ów kierunek. Świadek ostatecznej katastrofy politycznej, w *Hymnie do Boga*, w *Świątyni Sybilli*, nastraja lutnię swoją na wysoki ton żalu patryotycznego, ale zarazem jakby dla ukojenia siebie i swoich rodaków zwraca się ku dalekiej przeszłości słowiańskiej narodu [1]), maluje ją idealnemi barwami i w poemacie

---

[1]) Zwracał już na to uwagę X. Ad. Czartoryski, gdy w swojej »Pochwale« Jana Pawła Woronicza, czytanej na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk 30 kwietnia 1830 r. mówił: »Gdy mu się wszystko do-

Assarmot, w usta tego mitycznego patryarchy narodów sarmackich wkłada przykazania, którym mają być wierne ludy słowiańskie, a które według wyobrażeń poety stanowią charakterystykę tego plemienia:

Jednego ojca dzieci, jedne miejcie prawa;
Cnota waszym żywiołem, a rzemiosłem sława,
. . . .
Lecz nie w samym orężu i sława i cnota:
Własne cechy mieć winno plemię Assarmota.
Niech się ich nauczają od was obce ludy,
Jak słodkie dla wolności zapasy i trudy;
Że ona pierwszym posagiem człeka,
Którym go Twórca natchnął od wieka;
By będąc godnym wieczności synem,
Z woli, nie z musu, swym władał czynem...
. . . .
Uczcie ich, jako miłość Ojczyzny jest święta,
I winnym dla niej długiem śmierć, więzienie, pęta;
Jak zwyciężonym krzywdy ślachetnie darować,
Słowa, wiary, sojuszu najświęciej dochować,
Przed gościem serce i duszę wylać,
W kajdanach nawet karku nie schylać i t. d.

To wyobrażenie o charakterze Słowian, o ich wyższości moralnej nad innemi plemionami Europy, w szczególności nad plemieniem germańskiem, przejął Brodziński od Woronicza tem łatwiej, że u Herdera, którego »jak przyjaciela kochał« i któremu przypisywał nawet słowiańskie pochodzenie[1]), znajdował również bardzo ujmu-

koła wyobrażało martwem i pogrzebionem, muza jego chcąc ujść zniszczenia obrazom, szukała życia i pociechy w dalekich wiekach przeszłości«.

[1]) W »Myślach oderwanych« (Pisma Kaz. Brodzińskiego T. VIII str. 366 i 367) znajdujemy takie luźne zdania, odnoszące się do Herdera a świadczące o ogromnym wpływie, jaki ten myśliciel niemiecki wywarł na Brodzińskim:

»Herder mię nauczył cnoty autorskiej, ta, którą kocham, byłaby mię nauczyła cnót społecznych«.

jącą charakterystykę tego plemienia[1]). Zresztą chwila, o której mówimy, chwila pierwszych stosunków Zaleskiego z Brodzińskim, szczególnie sprzyjać mogła prądowi słowianofilskiemu. W roku 1819 wychodzi trzecie wydanie *Słowa o pułku Igora*, o wiele lepsze od poprzednich a w r. 1821 ukazuje się i fragmentaryczny przekład polski tego poematu w zbiorze utworów Godebskiego. Wprawdzie z przekładu tego bardzo mętne można było powziąć wyobrażenie o piękności *Słowa*, a z dodanych objaśnień jeszcze mętniejsze o pochodzeniu poematu, ale bądź co bądź przekład ten zwracał uwagę polskiej publiczności na ten znakomity pomnik staroruskiej poezyi i po raz pierwszy ukazywał na tle dalekich wieków zagadkową postać wieszcza słowiańskiego Bojana[2]).

»Herder tylko jest u mnie pisarz, którego jak przyjaciela kocham, i do którego utęschniam w świat przyszły«.

»Założyłbym się, że Goethe, Herder i Lessing, z krwi słowiańskiej pochodzą«.

[1]) Sie waren mildthätig, bis zur Verschwendung gastfrei, Liebhaber der ländlichen Freiheit, aber unterwürfig und gehorsam, des Raubens und Plünderns Feinde. Alles das half ihnen nicht gegen die Unterdrückung; ja es trug zu derselben bei. Denn da sie sich nie um die Oberherrschaft der Welt bewarben, keine kriegssüchtige erbliche Fürsten unter sich hatten, und lieber steuerpflichtig wurden, wenn sie ihr Land nur mit Ruhe bewohnen konnten: so haben sich mehrere Nationen, am meisten aber die vom Deutschen Stamme, an ihnen hart versündigt«.

Herder. Ideen zur Philosophie der Geschichte ks. XVI rozdz. IV.

[2]) Przekład ten drukowany już był w roku 1806 w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, ale współczesna atmosfera, polityczna i literacka, skazywała go na zapomnienie; teraz było inaczej. Że i Godebskiemu nie obcy był pewien rodzaj słowianofilstwa, świadczy o tem jego usprawiedliwianie się, że »Płacz Jarosławny« przerobił po swojemu, w duchu sentymentalno-patryotycznym: »Jeżeli zaś przydaliśmy nieco kwiatu do wieńca czułej Słowianki, pozwoliliśmy sobie tej wolności z pobudek rodactwa, jako równie z jednego pochodzący szczepu«. Zabawy. Warsz. 1806 str. 89.

W roku 1820 świat się dowiaduje o tak zwanem odkryciu u Czechów królodworskiego rękopisu i sądu Lubuszy i już w Tomie XVII Pamiętnika Warsz. (1820) pojawia się »Pieśń starożytna czeska«. W tymże samym roku Wostokow ogłasza drukiem swoją pracę o starosłowiańskim języku, od której poczyna się w Rosyi rozwój słowiańskiej filologii, a I. B. Rakowiecki wydaje w Warszawie *Prawdę ruską* (wraz z traktatami Russów z Grekami), dodając przekład, objaśnienia i dwie rozprawy: 1) Rys historyczny zwyczajów, obyczajów, religii, praw i języka dawnych słowiańskich i słowiańsko-ruskich narodów i 2) Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego.

Że to wszystko musiało oddziaływać na Brodzińskiego i wzmagać jego słowianofilski nastrój, zdaje się świadczyć o tem jego wiersz, czytany na publicznem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk d. 26 listopada 1821, na którem to posiedzeniu, w charakterze gościa, zapewne i Zaleski był przytomny. Wiersz ma tytuł: *Pobyt na górach Karpackich* a należy do lepszych utworów Brodzińskiego. Możnaby przypuszczać, że autor Wiesława odbywał w tym czasie wycieczkę do Tatr, tak szczęśliwie niektóre motywy krajobrazów tatrzańskich umiał przedstawić.

> . . . . w przepaści jeziora podemną,
> Księżyc zdawał się podróż odbywać podziemną,
> A po tle wody złote prowadząc promienie
> Sępne skały oświecał i przenaszał cienie i t. d.

Ale krajobraz nie jest tu główną rzeczą, a tylko tłem dobranem przez poetę dla żalów nad losami Słowiańszczyzny, uwielbienia cnoty słowiańskiej i *sursum corda* dla Słowian w stylu Woroniczowskim. Poecie siedzącemu na skalistym szczycie nad jeziorem, dumającemu nad tem, jakie ludy zamieszkiwały niegdyś te siedliska »bogów czy olbrzymów« i bolejącemu, że

Żelaznym snem spi przeszłość, jak ta noc milcząca

po przez mgły kłębiące się nad jeziorem ukazuje się dziwne widowisko:

Siedzą Bardowie, lutnie na puklerzach wsparte,
Dźwięk ich słychać, jak wiatry na wiosnę świszczące
Z okolnych mogił duchy schodzą się milczące.

Wszystko to wygląda bardzo ossyanicznie. Ale między bardami był jeden, najstarszy, »który Bojanem się zdawał«. Pierwszy to raz to imię, tak ukochane później przez Zaleskiego, odezwało się tutaj w drukowanej poezyi polskiej [1]). Otóż ten bard najstarszy, zwracając się do cieniów, które go otaczają, a które są duchami przodków słowiańskich, przemawia naprzód głosem przestrogi i żalu, potem zachęty i nadziei:

Ojcowie setnych plemion po sławiańskiej ziemi!
Gaśnie już pamięć wasza między potomnemi:
Znikną, znikną i oni, jako my zniknęli,
Gdy wieczne zapomnienie od nas ich rozdzieli;

---

[1]) W poezyi Brodzińskiego wówczas jeszcze niedrukowanej pojawia się ono wcześniej, ale z epitetem, który dowodzi, że wymieniając je młodziutki poeta nie rozumiał wcale znaczenia tej postaci. Mianowicie w »Dumie pod drzewami na rynku krakowskim zasadzonemi w r. 1810« czytamy:

Ja śpiewak nieśmiały włości,
Co gajów burzę cichości
Nie pójdę do krain Pana,
Ni do *bitnego* Bojana.
Chowaniec wiejskiej zagrody
Szukam pod drzewkiem ochłody,
Co sprowadzone do miasta,
Jako ja z wstydem tu wzrasta.

(Kazim. Brodzińskiego nieznane poezye wydał z rękopisów dr. Aleksander Łucki. Kraków 1910 str. 210).

Od Łaby aż do Donu niezmierne przestworza,
Od Karpatów na wschodnie i zachodnie morza
Rozciągaliśmy niegdyś mirne panowanie,
Czcili pokój i cnotę i walczyli za nie;
Z pieśni pomiędzy sobą szukaliśmy sławy,
Marzanna z wieńczonemi odpływała nawy,
Kłosem złoto zamorskie niwa nam zwabiała,
Z obronnej tylko tarczy wznosiła się chwała.

Ale niestety, jakże smutny los spotkał te plemiona:

Już nad Łabą, Wezerą i wśród tylu krajów
Przebrzmiał język, ślad starty dawnych obyczajów.
Jeszcze przestwór ogromny północy i wschodu
Uchował bratni język i znamiona rodu;
Lecz i ten w rychle cechę naszorodną straci,
Jeśli zapomni spólnych i ojców i braci.

Więc niech duchy ojców krążą między dziećmi, przypominając się im, bo »nie będą, czem być mogą, nie pomnąc, czem byli« i niech im wlewają do serca otuchę:

Jako rola z odłogu wyda w czasie plony,
Tak i narodom okres blasku naznaczony,
I wasza idzie kolej, czekajcie jej godni...

i zgodnie z optymistycznym poglądem Herdera na wpływy cywilizacyi, niech im mówią, że zasadnicza cecha ich charakteru, miłość pokoju, odniesie z czasem zwycięstwo s tanie się powszechną zasadą;

Przyjdą czasy krwawemi doświadczenia ślady,
Że światło wróci ludy do naszej zasady [1]).

---

[1]) »Unglücklich ist das Volk dadurch worden, dass er bei seiner Liebe zur Ruhe und zum häuslichen Fleiss sich keine dauernde Kriegsverfassung geben konnte, ob es im wohl an Tapferkeit in einem hitzigen Widerstande nicht gefehlt hat. Unglücklich, dass seine Lage unter den Erdvölkern es auf seiner Seite den Deutschen so nahe brachte, und auf der andern seinen Rücken allen Anfällen

W radach, które następowały, trudno się dopatrzeć polotu fantazyi Bojanowej, zato wypowiadał się w nich trzeźwy, umiarkowany, zacny i patryotyczny duch Kazimierza Brodzińskiego:

Przyszłą bytność za główne zamierzając cele,
Wiele bierzcie od obcych, lecz chrońcie się wiele,
Uczcie się wytrwać w pracy, w żądzy chronić zbytku,
Obok roli z przemysłu szukajcie pożytku;
Ale precz od was chciwość z podłością złączona,
Nie żelazo was obce, lecz złoto pokona;
Zdala niechaj was miękkość i próżność omija,
I układna obłuda, co koląc zabija;
Zawsze jedni, ci sami, wśród różnych kolei
Męscy i wolni w duszy, nie traćcie nadziei.

Takie było słowianofilstwo Brodzińskiego i takie ideały patryotyzmu na tem tle zarysowujące się.

Co się tyczy Zaleskiego, to niewątpliwie wtedy już zapadły w jego duszę pierwsze ziarna sympatyi dla Słowiańszczyzny z których potem rozłożyste wybujało drzewo, można też być pewnym, że już wtedy mistyczna postać Bojana zrobiła na nim wielkie wrażenie, ale w poezyi jego ówczesnej zwrot ku Słowiańszczyźnie objawił się wy-

östlichen Tataren frei liess, unter welchen, sogar unter den Mogolen, es viel gelitten, viel geduldet. Das Rad der ändernden Zeit drehet sich indess unaufhaltsam; und da diese Nationen grösstentheils den schönsten Erdstrich Europas bewohnen, wenn er ganz bebauet und der Handel daraus eröffnet würde; da es auch wohl nicht anders zu denken ist, als dass in Europa die Gesetzgebung und Politik statt des kriegerischen Geistes immer mehr den stillen Fleiss und das ruhige Verkehr der Völker unter einander befördern müssen und befördern werden: so werdet auch ihr so tief versunkene, einst fleissige und glückliche Völker, endlich einmal von eurem langen trägen Schlaf ermuntert, von euren Sklavenketten befreiet, eure schönen Gegenden vom adriatischen Meer bis zum karpatischen Gebürge, vom Don bis zur Mulda, als Eigenthum nutzen, und eure alten Feste des ruhigen Fleisses und Handels auf ihnen feiern dürfen. Herder. l. c.

raźnie tylko przekładem dwu *Pieśni staroczeskich*, drukowanych w Pamiętn. Warsz. 1822 (T. III) i Astrei 1823 (T. III). Natomiast w inny sposób objawiły się jego sympatye słowiańskie: zapragnął on poświęcić się badaniu literatur i języków słowiańskich, korzystając ze sposobności, jaką dawał podany przez Komisyę Wyznań i Oświecenia projekt wysłania do ziem słowiańskich na studya jakiegoś młodego pracownika, któryby mógł objąć potem katedrę narzeczy słowiańskich w warszawskim uniwersytecie. Katedra ta ustanowiona była już przy pierwotnej organizacyi uniwersytetu w roku 1817, a w rok potem wezwany był do jej objęcia Linde. Ale ten miał tyle innych na głowie zajęć, że nie przyjął tego wezwania; zresztą nie ufał, aby młodzież była dostatecznie przygotowaną do słuchania jego kursu [1]. Trzeba więc było przygotować innego profesora, a tym czasem odpowiedni kandydaci nie zjawiali się, pomimo iż od zrzeczenia się Lindego (1818) cztery już lata upłynęły.

Wtedy to, najpewniej za zachętą Brodzińskiego, który tylko co został mianowany tymczasowym profesorem literatury polskiej na uniwersytecie i wchodził w bliższy z tym zakładem stosunek, występuje Zaleski z podaniem do Komisyi Oświecenia, przedstawiając się jako kandydat do podróży za granicę w celu studyowania języków i literatur słowiańskich. Było to we dwa lata blisko po przyjeździe Bohdana do Warszawy. Dukaty, które był przywiózł z sobą, już się wyczerpały, na dalszą pomoc rodziny nie można było liczyć, zajęcia literackie, którym się oddawał w Warszawie, nie obiecywały najmniejszej ko-

[1] Wierzbowski T. Materyały do dziejów piśm. polskiego i t. d. T. II 188: ...»praca moja tu (w liceum) potrzebniejszą i konieczniejszą jest niż w katedrze, do której słuchania młodzież, ile ją znam, nie kwalifikuje się, a tyle ma nauk daleko dla niej pilniejszych, zatem teraz kursu tego nie otwieram; co do niepewnej zaś przyszłości nic stanowić nie chcę, ani mogę«...

rzyści materyalnej, trzeba było znaleść jakieś środki utrzymania. Przyjaciele znaleźli mu miejsce nauczyciela domowego w obwodzie Gostyńskim, (jak się zdaje, u półkownika Górskiego) i tam się udał Bohdan latem 1822 r., ale to miejsce miało być zapewne tylko chwilowym sposobem zapobieżenia niedostatkowi, jednocześnie bowiem zwracał się on do Komisyi Oświecenia z prośbą o wysłanie go w podróż zagraniczną.

Jakiemi kwalifikacyami naukowemi mógł się zalecić młody kandydat do katedry filologii słowiańskiej? Były one nadzwyczaj szczupłe i podane w bardzo ogolnikowych wyrażeniach, ale ważnym w nich szczegółem jest to, że poeta akcentował tu już zamiłowanie swoje w pieśni i obyczaju ukraińskim i że ukrainizmowi swemu, który bardzo nieudolnie jeszcze wyrażał się w pierwszych jego dumkach, starał się nadać szersze i głębsze znaczenie. »W młodości — pisał w podaniu — miałem zaraz sposobność poznać dyalekta starosłowiański czyli cerkiewny, małorosyjski i rosyjski, w których w późniejszem życiu gruntowniej się udoskonaliłem... W czasie wolnym od obowiązków szkolnych, równie jak przez rok po ukończeniu tychże, starałem się śledzić dawne i nowe pisma dyalektów słowiańskich, a szczególniej w dumach, obyczajach i obrządkach ludu małorosyjskiego wybadywać ducha starożytności, charakteru i języka. Te badania wznieciły we mnie chęć ku dalszemu postępowaniu i ku obudzeniu uwagi ziomków moich na ten ważny i zaniedbany przedmiot«.

Następnie uwiadamiał, że w r. 1820 przybył do Warszawy »w celu poświęcenia się naukom uniwersyteckim« i że zaczął uczęszczać na kursa nauk pięknych i administracyi: »lecz po dwóch latach przyciśniony byłem tak smutnemi okolicznościami domowemi, iż mimo usilnych starań utrzymania się w Warszawie, nie pozostało mi jak udać się na Prowincyą i przyjąć obowiązki nauczyciela

domowego, w których dotąd w Obwodzie Gostyńskim zostaję. Niektóre z poezyi moich słowiańskich drukowane były w pismach peryodycznych. Inne pisma, jakie w tym przedmiocie mam wypracowane, gdy to będzie wolą Komisyi, przesłać nie omieszkam. Obowiązuję się również złożyć Examen z dotychczasowego usposobienia znajomości niektórych dyalektów słowiańskich«[1]).

Kwalifikacyom, przedstawionym przez Zaleskiego, Komisya widocznie małą przypisywała wartość, skoro na swoje podanie po kilku miesiącach otrzymał on wymijającą odpowiedź, że »wysłanie wybrać się mającego kandydata nie tak prędko nastąpi« i zarazem wskazówkę, że jeśli w przyszłości zechce się ubiegać o to wysłanie, to będzie musiał dowieść przedtem, że wyczerpał wszystko, co można na miejscu posiąść, że gruntownie wystudyował łacińską i grecką gramatykę i poznał, o ile to możliwe w Warszawie, języki wschodnie[2]). Dla Bohdana, który szkoły humańskiej nie skończył, greczyzny się nie uczył, do suchej nauki gramatycznej nie miał najmniejszej skłonności, a cały zatopiony był w poezyi, taka odpowiedź była stanowczem zamknięciem wszelkich zamiarów i nadziei na osiągnięcie stanowiska, które tak mało odpowiadało jego uzdolnieniu, przygotowaniu i skłonnościom, a po które sięgał niewątpliwie za czyjąś, zapewne Brodzińskiego namową.

Komisya Oświecenia mniej więcej w tym samym czasie zwróciła się do Rady Uniwersyteckiej i Towarzystwa dla szkół elementarnych, którego przewodniczącym był Linde, z prośbą o wypracowanie instrukcyi dla przyszłego stypendysty, który kiedyś wyruszy w podróż po krajach słowiańskich. Rada Uniwersytetu w piśmie pod-

---

[1]) Francew: Польское Славяновѣдѣніе. Приложенія CLX.
[2]) Tamże str. 391.

pisanem przez rektora X. Szwejkowskiego i Kaz. Brodzińskiego, który już w grudniu 1822 mianowany został sekretarzem Uniwersytetu, odpowiedziała, że na instrukcyę zawcześnie, skoro Linde się jeszcze nie zrzekł ostatecznie katedry słowiańskiej filologii i że przytem trudno podawać instrukcyę dla nieznanego kandydata. W tej odraczającej odpowiedzi, o ile ona zależała od Brodzińskiego, możnaby upatrywać chęć z jego strony dania czasu Bohdanowi do lepszego przygotowania się naukowego, jakiego wymagała Komisya Oświecenia. Przeciwnie Tow. Elementarne, a raczej Linde, którym się zasłaniała Rada Uniw. w swojej odmowie, wygotował wkrótce instrukcyę, napiętrzoną wymaganiami, o których spełnieniu nie mógł nawet myśleć Zaleski[1]).

Został tedy nasz poeta przy nauczycielstwie domowem w obwodzie Gostyńskim. O tem nauczycielstwie wiemy tylko tyle, ile wydobyć możemy z bardzo mętnych wspomnień pani Duchińskiej o Bohdanie, odsuwając na bok jej bałamutną chronologię. Otóż miał on wtedy miejsce prywatnego nauczyciela w Leszczynku pod Kutnem, w domu półkownika Górskiego, przy jego synu. »Wesoła to była gwarna i ludna okolica, powiada pani Duchińska. Kasyna i reduty kutnowskie przyciągały licznych gości nie tylko z zamożnej ziemi gostyńskiej, lecz niemniej od Łęczycy i Kujaw. Pułk strzelców konnych, konsystujący w Kutnie, dodawał bodźca nieustannym zabawom. Znamy dobrze, dodaje autorka, ten zakątek kraju, kochamy go jako drogą kolebkę naszą, nie przypuszczamy jednak, aby w rozgwarze, jaki podówczas panował, tęskny Ukrainiec znalazł żywioł odpowiedni dla siebie. Osoby, które go widywały na balach kutnowskich, opowiadały nam później,

---

[1]) Porówn. Francew l. c. str. 392—395.

jak krążył wśród strojnych tłumów milczący i zadumany, nie biorąc udziału w pląsach młodzieży gostyńskiej« [1]).

Tyle tylko wiemy o pobycie Bodana w domu pułkownika Górskiego w charakterze nauczyciela. Z całej tak obfitej późniejszej korespondencyi jego ani jeden promień nie pada na stosunek poety - nauczyciela z domem jego pryncypała, prócz tego tylko, że pobyt ten mógł trwać nie wiele dłużej nad dwa lata, bo już w liście Jana Krechowieckiego do Bohdana z 3 września 1824 znajdujemy wyraźny ślad jego pobytu na nowem miejscu, w domu hrabiego Szembeka, w Płocku [2]).

Są jednak poza korespondencyą lekkie wskazówki, które pozwalają nam przypuszczać, że ten pobyt na wsi po dwuletnim pobycie w gwarnej i ruchliwej stolicy, pomimo oddalenia od przyjaciół warszawskich, pomimo iż hulaszcza młodzież gostyńska mało odpowiadała nastrojowi naszego poety, miał przecież dla niego pewne przyjemne strony i korzystnie oddziaływał na jego talent, pozwalając mu skupić się, zrozumieć siebie i rozwinąć. Wskazówki takie znajdujemy przy rozważaniu jego poezyi z lat współczesnych, a najwyraźniejszą z nich zawiera wiersz p. t. *Fantazya, do Paulina Rydzewskiego*, pisany w Warszawie 1824 roku zaraz po opuszczeniu Leszczynka. Poeta uczuwając czczość, pustkę i nudę wśród »klasycznych stosów kamieni«, przypomina jak błogo mu było niedawno na wsi:

Dawnoż? niedawno. o tejże godzinie,
Samotny, wesół, swobodny, szczęśliwy,
Zaczem utęskniasz, ja miałem, Paulinie!
Lasy i wody i niwy.

---

[1]) Bibl. Warsz. II 255.

[2]) List inny Krechowieckiego do Bohdana z Warszawy 1 czerwca 1824 zaczyna się od tych słów: «Smutne nowiny odebraliśmy z Leszczynka w odpowiedzi na listy, które pisaliśmy do ciebie, kochany Józefie! Za cóż nam było podobnie odpowiadać«? Z tego wynika, że jeszcze na wiosnę 1824 r. przebywał Bohdan w Leszczynku.

Wtedy myśl lekka, fantastyczna, skora,
Jako poranek dziewicza, pogodna,
Trącała czuciem, jak wodą jeziora
Potrąca wietrzyk, aż do dna.

Naturalnie samotność i cisza wiejska mogły sprzyjać marzeniom poetycznym Bohdana, ale same niezdolne były »potrącać czuciem aż do dna«. Rolę tę odegrała poezya Mickiewicza, która wtedy właśnie poraz pierwszy ukazała się na horyzoncie polskim i przez Warszawę, z którą nasz poeta miewał częste stosunki, przeniknęła do wiejskiego zacisza Bohdana. Ażeby ocenić, jak przemówiła do niego, jaki wpływ wywarła na rozwój jego talentu, potrzeba rozważyć, jaką była dotychczasowa poezya Zaleskiego, pochodząca z dwuletniego okresu jego pobytu w Warszawie; ażeby zaś tę ostatnią na właściwem tle przedstawić, potrzeba przynajmniej ogólnem spojrzeniem objąć współczesny Parnas warszawski, do którego i nasz poeta w tym okresie należał. W ten sposób, sądzę, uwydatni się lepiej stosunek Bohdana i jego poezyi z jednej strony do literackiej atmosfery warszawskiej, z drugiej — do świtającej nad lasami litewskiemi nowej poezyi.

ROZDZIAŁ VI.

Próby lotu.

1820—1822.

Warszawski Parnas około 1822. — Wrażenie, wywołane Balladami Mickiewicza. — Duma o Godebskim, (Odjeżdżający do Legionów). — Źródła ukrainizmu Zaleskiego. — *Dumka hetmana Kosińskiego*. — *Ludmiła*, *Lubor*, *Arab u mogiły konia*. — Zasadnicze formy ludowej poezyi ukraińskiej: pieśń i duma. — *Nieszczęśliwa rodzina* i jej stosunek do dumy ruskiej.

Warszawski Parnas w chwili, o którą nam chodzi, był bardzo gęsto zaludniony, i dzielił się na kilka kondygnacyi, mniej więcej podług wieku i znaczenia poetów. U wierzchołka jego najzaszczytniejsze miejsca zajmowali dwaj sędziwi poeci, którzy większą częścią swego życia tkwili w wieku ośmnastym, i do nowego stulecia przechodzili już z poważnym dorobkiem zasług i znaczenia, jakkolwiek główna ich działalność poetycka, i literacka wogóle, przypadła dopiero na wiek dziewiętnasty. Byli to Woronicz i Niemcewicz, o rok tylko różniący się wiekiem, obaj już w wieku męskim świadkowie ostatecznego upadku ojczyzny, którzy zarówno, choć na różnych polach, o ile im sił starczyło, usiłowali powstrzymać tę katastrofę. Obaj związani byli ścisłym węzłem przyjaźni i tradycyi z księciem Adamem Czartoryskim, który w owych czasach, i to już od lat wielu, odgrywał rolę jakby ducha opiekuńczego

Polski, a ten węzeł tem większego dodawał im znaczenia. Obaj pierwszymi utworami swymi i ich satyrycznym kierunkiem należeli jeszcze do literatury Stanisławowskiej, ale w późniejszych, porozbiorowych czasach pierwsi uderzyli w ton patryotycznego uwielbienia przeszłości, pierwszy w *Sybilli*, drugi w *Śpiewach historycznych*.

Po zatem różnica była między nimi znaczna. Niemcewicz miał więcej czasu i większą łatwość pisania, to też produkcya jego literacka była bardzo obfita i bardzo różnorodna; Woronicz, oddany sumiennie obowiązkom stanu pasterskiego, mniej mógł poświęcać się literaturze, a poezyę traktując, jako rodzaj powołania kapłańskiego, ograniczał się do nielicznych utworów, w których owo powołanie mogło się wyrazić. Niemcewicz spędził kawał życia zagranicą, obeznany był z nowszą literaturą angielską i stał się pierwszym pośrednikiem jej wpływu na literaturę polską; Woronicz nigdy za granicę kraju nie wyjeżdżał, wpływom obcych literatur nie ulegał, za mistrzów miał pisarzy ojczystych, tak dawnych, jak n. p. Kochanowskiego i Skargę, jako też nowszych, Naruszewicza, Trembeckiego i Karpińskiego, on też, jak już wyżej widzieliśmy, patryotyczny kierunek kojarzył ze słowianofilstwem. Wogóle biorąc, Woronicz był głębszy, więcej skupiony i mimo ciężkiej formy więcej poeta, Niemcewicz ruchliwwszy, żywszy, ale i płytszy.

Obie te postaci zarówno otaczała cześć powszechna, ale patrzano na nich, jako na szanowne zabytki przeszłości, i nie oni nadawali ton tej poezyi, która do ukazania się ballad Mickiewicza cieszyła się powszechnem uznaniem. Na czele tej poezyi, której kanonem była *Sztuka rymotwórcza* Dmochowskiego, stali dwaj ludzie w średnim wieku, połączeni z sobą stosunkiem dawnej zażyłości i wspólnością przekonania, że oryginalność w poezyi jest rzeczą podrzędną, że poezya polega przedewszystkiem na dobrym smaku w wyrażeniach, na rozsądnem wiązaniu

myśli, na jasnem, gładkiem, potoczystem ich wypowiadaniu w formie rymowanej i że ktoby chciał iść inną drogą, niż tą, którą utorowali Vergili i Horacy w rzymskiej, Kornel i Rasyn we francuskiej poezyi, ten skazuje się na daremne błąkanie się. Byli to Koźmian i Osiński.

Dorobek ich poetycki był bardzo szczupły; Osiński przełożył kilka tragedyi francuskich i napisał kilka liryków okolicznościowych, Koźmian sławny był tylko wówczas kilku odami, wielbiącemi Napoleona i jedną, która go potępiała, naturalnie po jego upadku, ale wiedziano powszechnie, że pisze wielki poemat *Ziemiaństwo* na wzór Wergilego i, na podstawie urywków czytywanych na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk i ogłaszanych w pismach, już z góry widziano w tem arcydzieło poezyi polskiej. Powagę i wzięcie łatwo zdobyli sobie w czasach, kiedy całe społeczeństwo polskie olśnione było gloryą Napoleońską i wszystkie nadzieje swoje oparło na bogu wojny, ponieważ w swoich retorycznie pięknych, starannie wyszlifowanych wierszach byli właśnie wyrazem tych nadziei. A zdobywszy tę powagę, zostawszy arbitrami dobrego smaku, bardzo troskliwie i w przymierzu z sobą czuwali nad zachowaniem swego stanu posiadania. Przychodziło im to o tyle łatwo, że żyli w dobrych stosunkach z wyższemi warstwami w Warszawie, że sam Koźmian zajmował wysokie stanowisko urzędowe, Osiński zaś wywierał wielkie wrażenie prezencyą osobistą i groźny był swoim złośliwym dowcipem. Przed Woroniczem i Niemcewiczem uchylali głowy, uważając ich za swoich poprzedników, za tych, co już minęli, chociaż Niemcewicz daleko więcej od nich pisał, ale młodszych, dopiero wspinających się na Parnas poetów, bez litości spychali na dół.

Z ich to koteryi, jeszcze zanim się rozpoczęła walka romantyków z klasykami, wyszła bezimiennie satyra »*Nowy Parnas*«, która wyśmiewała cały szereg drugo-

i trzeciorzędnych wierszopisów [1]), ale której pocisk główny wymierzony był przeciw znacznie młodszemu od nich a zyskującemu popularność wśród młodzieży Antoniemu Goreckiemu.

I gdzie nigdy nie dosiągł Koźmian i Osiński,
Tam ciebie z chmarą wierszy wzniósł twój zapał piński.

Poniżej tych dwóch powag, niejako sam środek Parnasu zajmował trzydziestoparoletni Kazimierz Brodziński. Niechętnem okiem i na niego spoglądali koryfeusze poezyi współczesnej i nie brakło im zapewne ochoty, aby go zepchnąć na dół [2]), ale nie było to rzeczą łatwą. Zanim wystąpił on ze zbiorem swoich poezyi (1821), już był znany jako autor rozprawy *O klasyczności i romantyczności*, która mu zjednała niemałe znaczenie i wśród starszego i wśród młodszego pokolenia. Zresztą jego duch umiarkowany, pojednawczy, jego temperament łagodny nie wyzywał do walki, jego poezya jasna, spokojna, bez impetu romantycznego, nie raziła klasyków, ani też nie porywała młodzieży. Tolerowano go więc u góry, młodzież zaś garnęła się do niego jako do tego, który wskazywał nowe drogi poezyi, który chętnie dawał jej rady i wskazówki, którego bezinteresowną życzliwość odczuwała.

U spodu Parnasu roiło się od młodych adeptów sztuki poetycznej, umieszczających swoje pierwsze próby poetyczne w rozmaitych pismach peryodycznych, i wogóle literatów, mocno się poezyą interesujących. Do najstarszych z tej młodej falangi należeli Franciszek Grzymała (ur. 1790) i Bruno Kiciński (ur. 1796), którzy nie poprze-

---

[1]) F. S. Dmochowskiego Wspomnienia od 1806 do 1830 roku. Warszawa 1858, str. 154.

[2]) O niechęci Kajetana Koźmiana do Brodzińskiego patrz Siemieńskiego »Obóz klasyków«. Dzieła T. V, str. 62.

stawali na poezyi i gotowi byli pisać o wszystkiem, a obdarzeni nadzwyczajną ruchliwością zakładali jedno po drugiem pisma naukowo-literackie, które najczęściej nieregularnie wychodziły i prędko po urodzeniu się umierały. Taką była *Sybilla Nadwiślańska* i późniejsza od niej *Astrea*, którą wydawał Franciszek Grzymała, takiemi były różne Pamiętniki i Tygodniki, które od r. 1816 do 1822, oprócz gazet politycznych, wydawał Kiciński. Do zdolniejszych należeli: Franciszek Salezy Dmochowski, syn autora *Sztuki rymotwórczej*, który najwięcej przez cześć dla ojca szedł utartym torem klasycznym, ale obok Rasyna przekładał także Lamartine'a i między walczącymi obozami starał się zająć, zgodnie z zaleceniami Brodzińskiego, stanowisko pośrednie; Dominik Lisiecki, tłumacz »Nieszporów Sycylijskich« Delavigne'a, który razem z Dmochowskim wydawał Tygodnik polski, nazwany potem »Wandą«; Ignacy Humnicki, który chciał zająć miejsce Felińskiego, i którego dramata (Goworek, Żółkiewski pod Cecorą i Edyp) sprawiały między 1819 a 1825 niemałe wrażenie w Warszawie, wreszcie Stefan Witwicki, który jeszcze przed wydaniem swoich ballad umieszczał w *Pamiętniku warszawskim* przekłady z Rasyna i Ossyana, albo i oryginalne, dobrze świadczące o talencie młodego poety wiersze, jak »O naszem życiu«, »Noc« i inne. Do grona młodych poetów warszawskich przybył pod koniec roku 1825 Edward Odyniec i przez kilka lat następnych brał żywy udział w literackiem życiu warszawskiem.

W późniejszych latach grono poetów przebywających w Warszawie znacznie się zwiększyło, a między nimi znalazł się i prawdziwy poeta »z bożej łaski«: Antoni Malczewski, ale w danej chwili, między 1822 a 1824 rokiem nie tylko o jego poezyi, ale nawet o tem, że on istniał na świecie, nikt zapewne nie wiedział w Warszawie.

Na taki to Parnas w drugiej połowie 1822 r. spadły *Ballady* Mickiewicza, a zanim ochłonięto z zadziwienia,

jakie wywarły, w kilka miesięcy po nich ukazał się drugi tomik poezyi Mickiewicza z *Grażyną* i *Dziadami*, i to pierwsze zadziwienie podniósł do drugiej potęgi. Wprawdzie już od dwóch, trzech lat o romantyczności i jej stosunku do klasyczności dosyć było ogólnikowych uwag w czasopismach, a świeże przedstawienie *Dziewicy Orleańskiej* Schillera w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego dawało powód do ścierania się zdań w tym przedmiocie [1], ale wszystko się to odnosiło do romantyczności obcej, niemieckiej, angielskiej, — polskiej zaś dotychczas wcale nie widziano.

Otóż zjawiała się teraz i polska romantyczność, przybywała z litewskich lasów, za których przedstawiciela w poezyi dotychczas uchodził X. Baka, które też na Parnasie warszawskim dobrej sławy nie używały, a była tak niepodobną do przestrojonych na polszczyznę Kornelów, Rasynów i Delilów, ani do krakowskich sielanek Brodzińskiego, że przypatrywano się jej z rozszerzonemi oczami i w głuchem milczeniu. Wprawdzie zaraz po ukazaniu się pierwszego tomiku, Bruno Kiciński w swojej *Wandzie*, tygodniku, który był poświęcony »płci pięknej i literaturze«, (nr. 7, z datą 17 sierpnia 1822) umieścił krótką entuzyastyczną wzmiankę o nowej poezyi, zaznaczając »oryginalność, prostotę, piękną i jędrną budowę wiersza, wyobraźnię żywą, ognistą i śmiałość myśli niezwyczajnym sposobem wyrażonych« jako główną cechę »młodego i barwiele obiecującego poety« i przedrukował całe trzy ballady (Panią Twardowską, Dudarza i Rękawiczkę); ale krytyka zawodowa milczała. Dlatego to w rok blisko potem Franciszek Grzymała, którego z Wilnem łączyły dawniej-

---

[1]) Dmóchowski w Gazecie Literackiej z datą 5 lutego 1822 r., w artykule: »Rzut oka na obecny stan literatury polskiej«, mówiąc o przedstawieniu »Dziewicy Orleańskiej« w Warszawie, powiada, »że i niesprawiedliwych przyganiaczów i przesadzonych wielbicieli znalazła«.

sze stosunki, w swojej wiecznie spaźniającej się *Astrei*[1]) zwrócił publiczną uwagę i na poezye Mickiewicza i na milczenie krytyki. »Podobne rzadkie zjawisko w literaturze niemieckiej lub francuskiej ściągnęłoby liczne rozbiory i recenzye, lecz nasze pisma krytyczno-literackie, obznajamiając nas z dziełami hiszpańskiemi, szwedzkiemi, duńskiemi itd. — nie poczytały za obowiązek zwracać uwagi na wiele dzieł narodowych, a między innemi nic nie wyrzekły o pismach Mickiewicza«. Był to przytyk zrobiony świeżo zgasłej koleżance, poważnej *Gazecie Literackiej*, która była organem sfer uniwersyteckich, a do której współpracowników, wśród wielu innych profesorów uniwersytetu, należał i Osiński.

Grzymała więc karcił tę obojętność krytyki na poezye Mickiewicza, zwłaszcza, że one »w dzisiejszych czasach rozdwojenia estetycznego, w walce stronnictw poetycznych, toczącej się od niejakiego czasu w Europie, a nawet w Polszcze«, powinny szczególną zwracać uwagę na siebie, »bo P. Mickiewicz pierwszy prawie z rodaków poszedł otwarcie tak okrzyczaną drogą romantyczną...« I stawiał dylemat: »Albo więc gorliwi stróże smaku, kształconego na wzorach klasyczno-francuskich powinni mu wydać otwartą wojnę, i w samym zarodzie stłumić niebezpieczną zarazę; albo umiarkowani, szukający jakiejś średniej drogi, pragnący pojednania stronnictw rozjątrzonych, powinni bezstronnie ocenić wartość pism jego, w rzetelnem świetle wystawiając zalety i wady«. Był to jakby zwrot do Osińskiego i Brodzińskiego. Ale po tylu wywodach o potrzebie krytyki na poezye Mickiewicza, sam Grzymała oświadczał, że jest daleki »od narzucania ziomkom w tonie dyktatorskim« swego zdania, i »odkładał«, swoim zwyczajem, »na czas późniejszy obszer-

[1]) »Astrea« t. III, 1823, str. 215—218.

niejsze wytłumaczenie się z myśli swoich w tej mierze«, na teraz zaś, przyznając talent poecie, ograniczał się do kilku ogólnikowych uwag i przestróg, które dowodziły, że sam nie wiedział dobrze, co o tem sądzić i że bał się szyderstw zawodowej krytyki. Więc »o ile P. Mickiewicza nie można podawać bezwarunkowo za wzór do naśladowania młodzieży, rozpoczynającej zawód poetyczny, o tyle odmówić mu nie mogą najdojrzalsze umysły prawdziwego talentu; i jeżeli jako prawdziwy talent dalekim zostanie zawsze od zarozumiałości; jeżeli w trudnym zawodzie dążyć stale będzie do ostatecznego wydoskonalenia; Polska ujrzy w nim wkrótce prawdziwego i oryginego poetę, czego jej właśnie w tych czasach potrzeba«. Z tych to rad i przestróg żartował w kilka lat potem Mickiewicz w artykule: *O krytykach i recenzentach warszawskich*, nazywając je »wyśmienitemi«, ale żałując, że tak trudno z nich korzystać.

Pomimo wezwań Grzymały krytyka milczała i tylko Osiński parodyując chór z *Dziadów*: »Ciemno wszędzie, głucho wszędzie«, dawał do zrozumienia, że tego rodzaju dziwadła na inną krytykę nie zasługują [1]. Ale chociaż krytyka milczała, zajęcie wzbudzone nowemi poezyami, pierwszą polską romantycznością, było ogromne, egzemplarze, przesłane do Warszawy, bardzo prędko zostały rozchwytane, i trzeba było pierwszy tomik drukować powtórnie, zanim drugi został wydany. Nazywano Mickiewicza w Warszawie polskim Walterskotem, ustępy zaś z jego *Dziadów* były powszechnie na ustach młodszego pokole-

---

[1] Dmochowski (Wspomnienia 297) zapewnia, że »Osiński odezwał się z tą parodyą nie na publicznym kursie literatury, jak teraz powszechnie utrzymują, ale w prywatnem towarzystwie, prawie bez myśli, w chwili, gdy szło o rozrywkę, nie o gruntowną krytykę i ocenienie autora«. Ale z tą gruntowną krytyką Osiński nie wystąpił, a parodya, choć przygodnie w prywatnem towarzystwie rzucona, miała zastąpić krytykę.

nia, jak tego próbkę można znaleźć we współczesnej korespondencyi Grabowskiego i Krechowieckiego z Zaleskim. Wrażenie, wywołane zbiorem poezyi Brodzińskiego, który dość prędko doczekał się obszernej krytyki w *Gazecie Literackiej*, krytyki na pół pochwalnej, na pół ostro krytykującej niepoprawność stylu, zostało zupełnie zatarte zjawiskiem, nierównie jaskrawiej niż tamto odbijającem od tła pseudo-klasycznego. Poszły też w zapomnienie przestrogi Brodzińskiego, zawarte w jego rozprawie »O klasyczności i romantyczności«, ażeby nie wskrzeszać tych wszystkich okropności, »osłabionej raczej, niżeli wzniosłej imaginacyi, jakie nam pozostały w Anglii i Niemczech z wieków przed rycerstwem« i że »niegodnem jest chrześcijaństwa malowanie tych okropnych duchów, błąkających się po ruinach i lasach, przerażających na ziemi i odstraszających od czekającej na nas przyszłości«. Tych duchów, wprawdzie nie zawsze »przerażających«, pełno było w pierwszych utworach Mickiewicza, a ponieważ oblane były nieznanym dotąd w poezyi polskiej urokiem, stały się przedmiotem naśladowania dla młodych a chciwych odznaczenia się poetów.

Takim był Stefan Witwicki, jeden z najbliższych przyjaciół warszawskich Bohdana, młody urzędnik z komisyi skarbu, oddany daleko więcej muzie, niż swoim zajęciom biurowym. Z Witwickim nie wiązały Bohdana jak z Grabowskim, Goszczyńskim, Krechowieckim, wspomnienia szkolnego koleżeństwa, ale łączyło ich wspólne zamiłowanie w poezyi i pokrewieństwo temperamentów, otwartość, szczerość, serdeczność, wspólna im obu. Jak silne to były węzły, dowiodło tego następne ich życie: przyjaźń, zawiązana pomiędzy nimi wkrótce po przyjeździe Bohdana do Warszawy, przetrwała wszelkie próby i nie wzruszona dotrwała do grobowej deski. Co się tyczy talentu poetyckiego, w tym względzie między nimi zachodziła różnica

znaczna, a objawiła się ona najlepiej w tem, jak odmienny wpływ wywarły na nich pierwsze poezye Mickiewicza.

Utwory genialne, przynosząc nowe skarby literaturze, rozszerzając jej horyzonty, otwierając nowe przed nią drogi, mają tę złą stronę, że wywołują zwykle chmurę ślepych naśladowców, którzy jak ćmy lecą ku światłu, aby w jego płomieniach opalić sobie skrzydła. Sposób, w jaki umysły współczesnych poetów przyjmują wrażenie, wywierane takimi utworami, może być doskonałym probierzem ich twórczej siły, ich oryginalności i ich wrodzonych skłonności. Byłoby bardzo ponętnem zadaniem przedstawić, w jak różny sposób na całej plejadzie naszych poetów romantycznych z trzeciego i czwartego dziesięciolecia przeszłego wieku odbił się wpływ genialnych utworów Mickiewicza, ale zadanie to zbyt rozległe, aby się dało wtłoczyć w ramy niniejszej monografii. Natomiast sądzę, że tym ramom zupełnie odpowiada porównanie w tym względzie Bohdana Zaleskiego z Witwickim.

Jakąż była poezya Bohdana do chwili, w której duszę jego potrąciły poraz pierwszy *Ballady* Mickiewicza, t. j. mniej więcej do końca 1822 roku? Chronologia utworów młodzieńczych poety jest dość niepewna, bo rok ogłoszenia drukiem nie jest zazwyczaj rokiem urodzin danego utworu, jednakże możemy wymienić kilka utworów Bohdana, które powstały niewątpliwie przed tym terminem. Są to wiersze: *Ludmiła, Nieszczęśliwa rodzina*, *Lubor*, *Arab u mogiły konia* i *Pieśń staroczeska* (Książęcą dąbrową — Wietrzyk wiać poczyna), wszystkie drukowane w *Pamiętniku Warsz.* 1822 r. Do nich należy jeszcze zaliczyć *Dumkę hetmana Kosińskiego*, drukowaną dopiero w roku następnym (Pam. Warsz. T. VI, 1823) i dumę *Odjeżdżający do legionów*, nie drukowaną wcale, ponieważ wiemy, że dwa te wiersze były przedstawione redakcyi *Pamiętnika Warsz.* ra-

zem z *Luborem* i *Nieszczęśliwą rodziną*[1]. Dalej można przypuścić, że i dwa wiersze Bohdana, drukowane w pierwszych zeszytach *Astrei* z r. 1823: *Pieśń staroczeska* druga, (Biega jeleń prędko nogi) i *Pielgrzym*, ballada naśladowana z Walterskota, należą do dwuletniego okresu, o którym mowa.

Dziewięć wymienionych utworów da się podzielić na pewne grupy tak na podstawie większej lub mniejszej oryginalności pomysłów, jak na podstawie pochodzenia motywów, jak wreszcie według wykończenia formy. Co się tyczy pierwszego podziału, to należy zauważyć, że pomysłów, któreby były w całości zupełną własnością poety, jest tu tylko dwa: w wierszu *Odjeżdżający do legionów* i w *Dumce hetmana Kosińskiego*. Wszystkie inne albo są wolnym przekładem obcych utworów, albo przerobieniem obcych motywów, a i w tych przerobieniach można znaleźć różnicę pod względem przyswojenia poetyckiego pożyczonych motywów.

Rzućmy okiem naprzód na dwa utwory, których pomysły były zupełnie oryginalną własnością młodego poety. Treść *Odjeżdżającego do legionów* już wyżej była podana i geneza pomysłu po części zaznaczona. Niewątpliwie wpłynął tu na wybór przedmiotu udział poety w związku Wolnych Polaków i ukazanie się zbiorowego wydania dzieł Godebskiego; ale mógł też zaważyć i wpływ Brodzińskiego, mianowicie jego wiersza p. t. *Pole Raszyńskie*, w którym jest coś z elegii, i z sielanki i z Ossyana, i gdzie wspomniany jest Godebski:

Czyj to cień? To Godebski przechodzi się smutnie.

W niektórych szczegółach układu można dopatrzeć pokrewieństwa z Niemcewicza Dumą o Żółkiewskim. Jak tam w noc księżycową smutny Sieniawski na Cecorskiem błoniu, na widok pamiątek wojennych na pobojowisku, mianowicie hełmu Żółkiewskiego, oddaje się naprzód ele-

---

[1]) Patrz wymieniony w rozdziale III. rękopis Bibl. Zamojskich nr. Katalogu 1073.

gijnym rozmyślaniom, potem się przejmuje zapałem patryotycznym, który się z tych wspomnień bohaterskich odzywa, tak samo tutaj Godebski, uchodząc pokryjomu do Włoch, przejeżdża przez błonia Dubienki i ujrzawszy »kości rozsiane po roli« i »poległych rodaków groby«, zsiada z konia, aby rozmyślać nad przyczyną upadku Polski i z mogił walecznych obrońców ojczyzny zaczerpnąć natchnienia do nowych poświęceń.

Pokój wam! ziomkowie moi,
Do końca niezgięci, stali,
Wyście, jak mężnym przystoi,
Z skonaniem Polski — skonali.

Obym za kochaną ziemię
Poległ z podobną wam chwałą,
Imię moje późne plemię
Z równą czcią by wspominało...

Wiersz ten nie został wydrukowany wtedy zapewne z powodu cenzury t. j., że miał niektóre wyrażenia zbyt silnie tchnące duchem patryotycznym; że zaś go poeta w emigracyjnym okresie życia nie podał do druku, pochodziło to może stąd, że z jego formy nie był zadowolony, albo, że o nim zupełnie zapomniał.

Drugi utwór osnuty na oryginalnym pomyśle samego poety, a należący jeszcze do pierwszego okresu twórczości Bohdana, *Dumka hetmana Kosińskiego*, jest godnym uwagi z wielu względów i zasługuje na szczegółową analizę. Jest to pierwszy utwór Bohdana, w którym występuje historyczne tło ukraińskie, (bo w *Ludmile* pomimo Dniepru i Tatarów w żaden sposób takiego tła dopatrzeć nie można), pierwsza próba stworzenia tego rodzaju poetyckiego, który w późniejszej twórczości poety miał tak wybitne zająć miejsce. Tym rodzajem jest dumka historyczna, czerpiąca motyw swój nie z dum i pieśni historycznych, ale z historyi i tradycyi, ten motyw roztapiająca w obfitym liryzmie i cała nastrojona na ton ukrainofilski, który wyciska najbardziej charakterystyczne piętno na po-

ezyi Zaleskiego i który w *Dumce hetmana Kosińskiego* po raz pierwszy się odzywa.

Ukrainofilizm Bohdana podsycany był potem wspomnieniami z czasów dzieciństwa, tęsknotą za rodzinną ziemią, która, w miarę oddalania się od niej, wydawała mu się coraz piękniejszą, miał i inne źródła jeszcze; teraz w początkach poetyckiego zawodu wypływał on z romantycznego katechizmu, którego tłumaczem był Brodziński, z przekonania, że poeta romantyczny powinien przejąć się poezyą ludu, wśród którego urodził się i wychował, jego tradycyami, jego historyą, i z tego wątku snując swoje pieśni, stać się w ten sposób jego organem. Nie można zaś przejąć się tem wszystkiem, nie pokochawszy tego. Ponieważ Zaleski urodził się na Ukrainie, pełnej tradycyi kozackich, ponieważ okoliczności życia jego w dzieciństwie szczególnie sprzyjały jego zbliżeniu się do ludu ukraińskiego, jego zwyczajów i pieśni, więc z natury rzeczy, chcąc być poetą, jak go pojmował romantyzm, musiał się rozmiłować w tradycyach Ukrainy i stać się ich organem w poezyi.

Ale te tradycye były bardzo różne. Jedne przypominały krwawe i straszliwe czasy bratobójczej walki, mordy, pożogi, rozpasanie tłumu, wściekłość odwetu, co wszystko wykopało grób rzeczypospolitej; drugie odświeżały pamięć tych świetnych czasów, kiedy między Polską a Kozaczyzną nie było jeszcze krwawego przedziału, kiedy ta ostatnia była tarczą rzeczypospolitej od południa, a po części i wschodu, i przednią strażą w walce z wrogami krzyża. Natura naszego poety, szukająca wszędzie harmonii, nie mogła się lubować w pierwszych tradycyach; nie mogła i dlatego, że sprzeciwiał się temu patryotyzm poety, obejmujący całą Polskę, patryotyzm, który on chciał i umiał pogodzić ze swoim ściślejszym patryotyzmem ukraińskim; obierała więc zwyczajnie za temat i tło dla swoich obrazów lirycznych te drugie, szczęśliwe tradycye.

Patryotyzm Bohdana kozacko-ukraiński mógł się tem łatwiej godzić w nim z ogólnie-polskim, że ku tej zgodzie nastrajała go historya, ta, z której czerpał swoje poglądy na stosunek kozaczyzny do Polski. Dwa w owym czasie były źródła, które w szerokich warstwach popularyzowały dzieje narodu: *Śpiewy historyczne* Niemcewicza, opatrzone obfitemi przypisami historycznemi, które się układały w całokształt historyi narodu polskiego i *Opis starożytnej Polski* Tomasza Święckiego, gdzie zebrane były tradycye historyczne, przywiązane do pewnych miejsc i prowincyi dawnej Polski i gdzie był osobny ustęp, poświęcony Kozakom. Oba dzieła ukazały się w jednym roku (1816) i niejako wzajem uzupełniały się. Oto, co pisał o Kozakach, w Przydatkach do śpiewu o Władysławie IV, towarzysz bojów i cierpień Kościuszki, ten, którego patryotyzm, jak gwiazda przewodnia drugiemu już pokoleniu przyświecał: »Wolna przez sojusze od wojen pogranicznych Polska w pokoju kwitnąćby mogła: lecz, gdy się obcy nie targał, własnych rodaków chciwość wznieciła ogień, który okropnym później wybuchnął pożarem. Możniejsi w Polszcze Panowie odbierali od królów znaczne na Ukrainie nadania dziedzictwem, lub też w starostwach. Zamieszkiwał... krainę tę lud, znany pod imieniem Kozaków; najazdy na państwo tureckie, rybołostwo, hodowanie trzód niezmiernych, były jego najmilszą zabawą, miłość wolności najżywszą żądzą. Polacy tak troskliwi o wolność tę u siebie, nie umieli szanować jej u drugich, zabierali Kozakom słobody i grunta, i wolnych dotąd w równe, jak innych w Polszcze wieśniaków, obracali poddaństwo. Zniecierpliwiony lud coraz bardziej cisnącem jarzmem porwał się do broni...« Przedstawiając pokrótce walkę z Kozaczyzną za Władysława IV, Niemcewicz kładł nacisk na to, że »ślepa panów ukraińskich prywata« nie pozwalała spełniać przyrzeczeń danych Kozakom, i że coraz nowi komisarze, wysyłani przez króla na Ukrainę, byli »więcej ba-

czni na zdzierstwa i własne korzyści, jak na bezpieczeństwo granic lub porządek w wojsku kozackiem«, a kończył ten ustęp uwagą, że »pomnażające się coraz gwałty tyle na koniec sprawiły, iż lud, który nas posiłkował i bronił, słuszną uniesiony zemstą, wkrótce najsroższe zadawał nam klęski«.

Święcki, który swój *Opis* oparł na długim szeregu źródeł historycznych, pod wpływem, jak się zdaje, Grądzkiego akcentował szczególnie przywiązanie Kozaków do religii greckiej, a opierając się na tem, co mówią o Kozakach Piasecki i Łubieński, »tyle szanowni i tyle wiary godni senatorowie i dziejopisowie nasi«, podnosił wierność Kozaków dla króla i rzeczypospolitej i taką dawał ich apologię. »Ich męstwo, ich poświęcenie się było podporą ogromu mocy tak potężnego Królestwa, jakim była Polska; na wojnach z Szwecyą, Rosyą, Turkami i Tatarami stawili się oni w 40 do 60 tysięcy ludzi, powinności swojej wiernie, mężnie, nie ustępując kroku nieprzyjacielowi, dopełniali, przykładu zdrady od nich nie masz w dziejach, oni dopomogli Władysławowi IV do opanowania Siewierza i Czernichowa, ich męstwem wsparci Polacy oparli się ogromnej, Porty Ottomańskiej u Chocimia pod Osmanem sułtanem zebranej sile, ich pamiętne w dziejach poświęcenie się stałe jednej sprawie, stawia nam przykład w obronie Iwonii Hospodara Wołoskiego, gdzie widząc ginącego na Wołoszczyźnie tego nieszczęsnego wodza, sami do jednego pod Świerczewskim hetmanem dali się wybić, nie przyjmując pardonu od Turków i Wołoszy. Niestety! nieba mieć chciały, iż w czem była największa Polski potęga, co ją straszną i niepokonaną sąsiadom wystawiało, od tego jej wprzód osłabienie sił, a potem zguba i upadek początek swój wzięły« [1]).

---

[1]) Opis Starożytnej Polski przez Tomasza Święckiego, mecenasa

To, na co szczególną uwagę Bohdana zwracał Święcki, bohaterskie walki Kozaków pod Świerczowskim z Turkami w obronie Iwoni, znalazł nasz poeta w obszernym i szczegółowym obrazie w Kronice Marcina Bielskiego. Ustęp ten tak dokładnie i naiwnie rzecz przedstawia, iż trzeba go uznać za relacyę naocznego świadka; na Bohdanie zaś, jak wiemy od niego samego, wywarł wielkie wrażenie. W przypisach do dumy z lat późniejszych p. t. *Luli niemowlęciu Iwoni* nazywa go »prześlicznym« i powiada, że nigdy nie mógł go czytać bez najżywszego wzruszenia. Wistocie Kozacy są tu przedstawieni nietylko jako mężni i wierni i wyżej sławę nad złoto ceniący wojownicy [1], ale i jako ludzie czułego serca; w dodatku był w tym ustępie szczegół, który w wysokim stopniu musiał interesować Zaleskiego i pobudzać jego fantazyą: oto w liczbie tych bohaterów znajdował on swego imiennika Zaleskiego [2],

przy Najwyższym Sądzie Królestwa Polskiego, Podlasianina, w Warszawie 1816, V, str. 129—130.

[1]) Kiedy Iwonia, dziękując Kozakom, że na jego wezwanie jako ludzie chrześcijańscy przyjechali go bronić od Turków, oświadczał im, że tyle im chce płacić na koń, ile sami rzeką, »Świerczowski krótce jako żołnierz od wszystkich powiedział: Nie żadne pieniądze (o które my mało dbamy) nas do tego przywiodły, żechmy do ciebie Iwonia przyjechali, ale abychmy nieprzyjaciela twego bili; przeto o płacę żadną nie dbamy, dosyć mieć na tem będziemy, jeśli nieprzyjaciela twego stąd wypędzimy, a ciebie z nim uspokoimy; ty jako to nam będziesz miał nagradzać, szczęście to pokaże«. Kron. M. Biel. wyd. Turow. str. 1348.

[2]) Bielski, mówiąc o ostatecznej walce Kozaków Świerczowskiego z Turkami, powiada: »Zdziwić się nie mogli Turcy wielkiemu sercu i śmiałości ich. Dwanaście ich tylko poimali (reszta poległa). Swierczowskiego hetmana samego, Wawrz. Kozłowskiego Płoczanina herbu Jastrząb, Zadorskiego, Jańczego, Z a l e s k i e g o, Kopytskiego, Roskowskiego, Sokołowskiego, Libiszowskiego, Czyżowskiego, Sucińskiego, Boguckiego; ale te wszystkie wykupiono, acz ich Turcy na swą wiarę mocno namawiali«. Bielski l. c. 1357. Bohdan w cytowanych już

a jakkolwiek rodzin tego nazwiska, nic oprócz nazwy nie mających z sobą wspólnego, było bardzo wiele, o czem nie mógł nie wiedzieć nasz poeta, nie przeszkadzało to jednak jego fantazyi roić o pokrewieństwie z tym rycerzem kozackim, uważać go niemal za jednego z przodków swoich. Wszakże w *Dumie z pieśni ludu ukraińskiego*, o której potem obszerniej mówić mi wypadnie, wzywając wiatru, aby niósł jego zwierzenia w strony rodzinne, wołał do niego:

Leć na pusty brzeg dnieprowy,
W bór Nieczaja ciemny, głuchy,
Na limany, na ostrowy,
Gdzie mych dziadów krążą duchy.

Łatwo więc i w historyi znajdował Zaleski podstawy dla swego rozmiłowania się w Kozaczyźnie, do którego wiódł go romantyzm, a poglądy Niemcewicza i Święckiego na stosunek Polski do Kozaków stały się jego poglądami. Ale bardzo dziwną wydać się musi rzeczą, że rozpoczynając na swój sposób, to jest w formie dumek, opiewać dzieje Kozaczyzny, obrał do tego postać, która, jeżeli miała być wiernie odmalowaną, w najgorszem świetle Kozaczyznę przedstawiała — obrał Krzysztofa Kosińskiego. Wiadomo bowiem, że ten szlachcic podlaski, którego poeta hetmanem tytułował, był pierwszym demagogiem kozackim, który skorzystał ze znaczenia swego wśród niespokojnych żywiołów, krępowanych ustawami powstrzymującemi ich napady na ziemie tureckie, aby je obrócić przeciwko potężnemu domowi Ostroskich [1]), do którego czuł urazę,

---

przypisach do dumy: »Luli niemowlęciu Iwoni« przytacza te nazwiska, »dla pokazania co za jedni byli ci kozacy«, i w końcu dodaje: »Wszyscy oto, niemal co do jednego, są szlachta, sami Polacy«. Chodziło mu tu o pokazanie, ile żywiołu polskiego było wśród Kozaków.

[1]) Piszę nazwisko to tak, jak je pisał Skarga, jak je nakazuje pisać głosownia polska, a nie według późniejszej, a do dziś utrzy-

i przeciw jego adherentom, aby więcej niż przez rok bezkarnie uprawiać grabież w województwach kijowskiem i bracławskiem i dać w ten sposób jakby przegrywkę do późniejszych krwawych buntów kozackich.

Czy młody poeta nie wiedział nic o smutnej roli, jaką Kosiński odegrał w historyi? Zapewne dokładnie jej znać nie mógł, ale przecież znajdował u Święckiego wzmiankę o Kosińskim, jako buntowniku [1]. Tylko, że wzmianka była tak krótka, że Bohdanowi postać szlachecko- kozackiego awanturnika, w świetle ogólnych poglądów Święckiego i Niemcewicza na Kozaczyznę, mogła się wydać sympatyczną. Usłużna wyobraźnia przyszła z pomocą: jeśli Kosiński na czele kilku tysięcy Kozaków »rozruchy czynił«, to widocznie stawał w obronie pokrzywdzonych praw kozackich, ale przedtem musiał dzielnie bronić rzeczypospolitej od napadów tatarskich, musiał być wiernym królowi, i posiadać wszystkie przymioty rycerskie. Im mniej historya mówiła o nim, tem więcej fantazya ozdobić go mogła. I poeta postanowił obrać sobie Kosińskiego za bohatera swej dumki i przedstawić w nim idealny typ rycerza kozackiego, taki, jak go sobie wyobrażał. Żeby zaś zbliżyć go niejako do siebie, wzbudzić w sobie większe zajęcie dla przedmiotu, dał mu za tło swoje rodzinne strony, okolice Krzywca i Stawiszcz.

Dumka przedstawia swego bohatera, jak spieszy na zdyszanym koniu (niewiadomo skąd) do Stawiszcz, aby objąć dowództwo nad swemi pułkami i poprowadzić je na

mującej się fałszywej pisowni, gdzie niemożliwe *g* przed *s* występuje.

[1] »Wybuchnęły już po trzykroć za Zygmunta III bunty Kozaków, lecz męstwo wielkich wojowników, w jakich w owym wieku obfitowała Polska, przytłumiło je w samem zarzewiu. Janusz książę Ostrogski 1593 r. Kosińskiego szlachcica z Podlasia, na czele kilku tysięcy Kozaków rozruchy czyniącego, zniósł, wszystkie chorągwie i 26 armat im zabrał, Łubieński świadczy«. Święcki l. c. II, str. 130.

Tatarów, którzy oblegają Czehryn. Ale w Stawiszczach jest także jego czuła i stęskniona za nim żona, którą przed wyruszeniem musi uścisnąć i pożegnać. Więc w dumce ton wojowniczy kojarzy się z czułym tonem miłosnym i to w doskonale zrównanej proporcyi: po ośmiu strofach, które bardzo żywo malują wojowniczość bohatera i ruch wojenny na Ukrainie, wywołany wieścią o pojawieniu się Tatarów, następuje ośm strof, poświęconych czułej i pięknej małżonce Kosińskiego, która płacze, ręce łamie i narzeka na wojnę, zabierającą jej ukochanego męża. Mąż ją uspakaja, całuje, pociesza nadzieją powrotu, a przedewszystkiem tłumaczy konieczność rozstania się słowami, które w ustach Kosińskiego wyglądają jak naigrawanie się z historyi:

Oczuż pięknych żal się Boże!
Co płacz marny dziś pomoże?
Kiedy wola
Sejmu, króla
Każe w pole nam [1]).

Ale zapomnijmy o historycznym Kosińskim, zamieńmy go na jakiego prawdziwego obrońcę rzeczypospolitej na kresach, n. p. Stefana Chmieleckiego, albo jeszcze lepiej na jakiegoś współczesnego poecie ułana polskiego,

---

[1]) W autografie i »Pamiętniku Warszawskim« (T. VI, 1823) strofa ta brzmiała trochę inaczej:

Łez i oczu żal się Boże,
Cóż łamanie rąk pomoże?
Kiedy wiara,
Wola cara
Każą bić się nam.

Poeta chciał tu widocznie akcentować przywiązanie Kozaków do wiary swojej, o którem dowiedział się od Święckiego, a wyraz »car«, miał zapewne oznaczać króla, niby to z ruska, choć zupełnie niewłaściwie, bo Kozacy nigdy nie nazywali króla inaczej jak »korol«.

dla którego wzorem był rycerski i romansowy książę Józef, a dumka ukaże się nam we właściwem swojem znaczeniu i właściwej swojej piękności. Bo pomimo swojej archaizacyi, wyśpiewywała ona współczesny ideał rycerza polskiego i dlatego znalazła taki odgłos i stała się tak popularną. Specyalnie ukraińskiem w niej i kozackiem jest tylko tło krajobrazowe i historyczne, w pierwszej połowie dumki rozpostarte, a także pewna lotność i skoczność, które były wyrazem jednej ze stron temperamentu samego poety, ale naturze kozackiej dobrze odpowiadały. Wyraziły się one w rytmie wiersza, w dziwnie gibkiej i lotnej budowie stroficznej, która była oryginalnym wytworem muzykalnego ducha poety, ale którą on, stosując się do mody romantycznej, podawał za ludową ukraińską.

»W dumce Kosińskiego — pisał w przypisie do dumki w *Pam. Warsz.* — charakter, obyczaje ludu aż do rytmu najpowszechniej używanego starałem się wiernie naśladować«. Otoż w dumce tej ani charakteru, ani obyczajów ludowych nie widać, bo lud tam gdzieś z daleka się tylko ukazuje, co się zaś tyczy rytmu, to pojedyncze elementa, z których się kunsztowna strofa Zaleskiego składa, można odnaleść w ludowych pieśniach ukraińskich, ale nigdy w takiem połączeniu, w jakiem one w strofach tej dumki występują.

Tyle o dwu utworach, których pomysły były zupełnie oryginalne. Do wolnych przekładów należą dwie pieśni staroczeskie i ballada *Pielgrzym.* Pierwsze wywołane były niewątpliwie tem wrażeniem, jakie w świecie słowiańskiem wywarły rzekome odkrycia Hanki, a zapewne i wpływem Brodzińskiego i nadzieją podróży zagranicznej do krajów słowiańskich; ballada, naśladowanie prawdopodobnie na podstawie jakiegoś francuskiego przekładu, (bo nie ma śladu, aby Bohdan kiedykolwiek umiał choć trochę po

angielsku), była hołdem złożonym wielkiemu pisarzowi, który cały świat wtedy czarował swoimi utworami i jest jednem ze szczęśliwych przyswojeń poetyckich Bohdana. W utworach, które są przerobieniami obcych motywów, trzeba odróżnić grupę złożoną z trzech utworów: *Ludmiła, Lubor, Arab u mogiły konia*, gdzie motywy są wzięte z nowszej niemieckiej i francuskiej poezyi (i to po części nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem rosyjskiego poety Żukowskiego), od wiersza pod tytułem: *Nieszczęśliwa rodzina*, gdzie motyw zaczerpnięty jest bezpośrednio z ludowej poezyi ukraińskiej.

Ludmiła jest jedną z najsłabszych prób poetyckich Bohdana i tonem swojej poezyi najwięcej się zbliża do *Dumy o Wacławie*, a pokrewieństwo to wyraziło się nawet w imieniu opłakiwanego w tym wierszu kochanka: nazywa się on także Wacław. Motyw jej wzięty z cudnie rzewnej pieśni Schillerowskiej: *Des Mädchens Klage*, ale nie wprost, tylko z dość niedołężnego przekładu rosyjskiego, w którym ginie prostota i rzewność oryginału. Że zaś Bohdan czerpał nie wprost z Schillera, ale z tego przekładu, łatwo się o tem przekonać, porównywając formę stroficzną trzech utworów: pięciowierszowa strofa Schillera zamieniona została dwiema strofami o różnej strukturze u Żukowskiego i właśnie podobna stroficzność występuje w *Ludmile*. I w wyrażeniach tego utworu można znaleźć niezatarte ślady pośrednictwa Żukowskiego[1]). Ale biorąc od rosyjskiego poety motyw tęsknoty za umarłym kochankiem, Zaleski przerobił go po swojemu,

---

[1]) N. p. u Schillera jest zwrot do Najśw. Panny: »Du Heilige, rufe dein Kind zurück«, zamiast którego w rosyjskim przekładzie (Тоска по миломъ) jest wcale nieodpowiadający oryginałowi zwrot do anioła: „Куда ты мой ангелъ, куда улетѣлъ?“ Otóż w *Ludmile* powtórzył się ten zwrot Żukowskiego w wierszu: »Anioł mój już mnie odlata«.

po części w duchu romantyczności, jaką zalecał Brodziński, po części zupełnie samodzielnie, dając smutnemu tematowi pogodne rozwiązanie. Więc kochanek ginie »broniąc swą wioskę i łany — przeciw tatarskich hord dziczy«, więc dziewczyna siedzi nie na jakimś nienazwanym, jak u Schillera i Żukowskiego brzegu burzliwej wody, ale na skale nad Dnieprem. Co się tyczy rozwiązania, jest ono bardzo niespodziewane, bardzo naiwne, ale bardzo charakterystyczne dla muzy Bohdana i przypomina swoim kolorytem zakończenie czwartej pieśni *Rusałek*, choć naturalnie brak mu tego uroku poetyckiego, jakim tamto jest owiane. Cóż się stało z dziewczyną, opłakujacą śmierć kochanka? Myślę, że gdyby Zaleski znał w oryginale cudne zakończenie Schillerowskiego utworu:

Das süsseste Glück für die trauernde Brust
Nach der schönen Liebe verschwundener Lust
Sind der Liebe Schmerzen und Klagen

możeby się był nie kusił o inne rozwiązanie. Ale on znał to zakończenie w drewnianym, niezgrabnym i zacierającym myśl Szyllerowską przekładzie Żukowskiego[1]) i zapragnął dać inne rozwiązanie: na chmurę smutku opłakującej śmierć kochanka dziewczyny rzucił tęczę nadziei połączenia się ich w niebieskiem życiu. Zrywa się burza, grom uderza w skałę, na której siedzi Ludmiła, i razem ze skałą strąca ją do Dniepru, a potem:

Przeszła nawalnica,
Lśni zorza w obłoku,
Już piękna dziewica
Przy kochanka boku.

Tak przerobiwszy motyw, Zaleski sądził, że może swoją *Ludmiłę* uważać za utwór oryginalny, i że wpro-

---

[1]) Любовь ты погибла; ты радость умчалась;
Одна о минувшемъ тоска мнѣ осталась.

wadzenie Dniepru i Tatarów nada temu utworowi koloryt ukraiński, stosując się zaś do mody romantycznej, która zalecała czerpanie z pieśni ludu, pozwolił sobie na niewinne zmyślenie, jakiego się i Mickiewicz dopuszczał współcześnie przy ogłoszeniu drukiem *Dudarza* i *Grażyny*[1]), to jest nazwał *Ludmiłę* »dumą z pieśni ukraińskiej«.

Podobnem przetworzeniem obcego motywu, tylko o wiele szczęśliwszem w wykonaniu, jest ballada *Lubor*. Motyw wzięty z ballady Uhlanda »Harald« i także prawdopodobnie za pośrednictwem Żukowskiego, tylko tym razem przekład rosyjski jest i bardzo ładny i bardzo wierny, i to tak pod względem formy rytmicznej, jak i (z małym wyjątkiem) treści, tak, że z porównania tekstów nie da się wyprowadzić tak wyraźnych dowodów, jak przy porównaniu *Ludmiły* z Żukowskim i Schillerem. Wszakże są one[2]), a zresztą z tego, co wiemy o studyach szkolnych Zaleskiego, łatwo wnioskować, że poeta nasz pisząc *Lubora* mało znał jeszcze język niemiecki i że trudno mu było wtedy czytać Uhlanda w oryginale, z którym, jak później zobaczymy, poznał się bezpośrednio w kilka lat potem.

Jakiż jest motyw *Haralda?* Stary wódz, w bojach zahartowany, na czele rycerskiej drużyny, wjeżdża w bór przy świetle księżyca. Na jego wojsko czyha tu nieprzyjaciel, nie ten zwyczajny, którego wódz tyle razy zwyciężał, ale zupełnie innego rodzaju i postaci. Powietrzne elfy w blasku księżycowym, z różnych stron nadpływają

---

[1]) Przy *Dudarzu*, jak wiadomo, Mickiewicz podał w nawiasie (Myśl z pieśni gminnej) a w *Epilogu wydawcy*, dodanym do *Grażyny*, zapewniał (wprawdzie nie wprost od siebie) że:

Dziś żadnego nie znajdziesz w nowogrodzkiej gminie,
Coby ci nie zanucił piosnki o Grażynie.

[2]) Porówn. A. Kolesa: Žitie i Słowo. Lwów 1894 str. 128—130.

ku młodzi rycerskiej, śpiewem i tańcem i pieszczotami osłabiają ich ducha rycerskiego, odejmują im miecze, ściągają z koni i uprowadzają bez oporu w świat czarodziejski — *ins Feenland*. Tylko wódz stary, od stóp do głowy zakuty w stal i w hart ducha, jest nieprzystępny dla nich; on jeden ocalał od powietrznej inwazyi. Wśród ciężkich myśli jadąc dalej, słyszy szmer strumienia, chce napić się wody, zsiada z konia i gasi pragnienie. Ale napiwszy się uczuwa niemoc, siada na skale, pochyla głowę na piersi, usypia i kamienieje i w tej postaci kamiennej spoczywa przez wieki na skale. I tylko gdy burza z błyskawicami i grzmotem przez las przeciąga, porusza się we śnie kamienny rycerz i chwyta za rękojeść miecza.

Piękna ta ballada, o typowo romantycznym kolorycie, tak przypadła do serca Bohdanowi, że postanowił ją spolszczyć. Ale przełożyć tylko na język polski, to mało: byłoby to tylko wprowadzać romantyczność obcą do poezyi polskiej z ujmą dla własnej naszej romantyczności, tak zalecanej przez Brodzińskiego. Więc przerobić *Haralda* tak, aby się stał słowiańską, polską a raczej ukraińską balladą. Piękna postać skamieniałego rycerza mogła zostać, bo odpowiadała dobrze polskiej romantyczności, bo przypominała tyle grobowcowych, kamiennych, rycerskich polskich postaci, bo wreszcie znajdowała wyraźne usprawiedliwienie w kanonie romantycznym Brodzińskiego, gdzie jest wzmianka także »o śpiących rycerzach«. Więc ją zostawić, nazwawszy pięknie ze słowiańska Luborem. Ale Elfów wprowadzać nie można, bo to by była kontrabanda, trzeba je zastąpić najpodobniejszemi do nich istotami z mitologii słowiańskiej, a w szczególności ukraińskiej, rusałkami, o których się w dzieciństwie musiał poeta dosyć nasłyszeć od ludu ukraińskiego.

A przytem naszemu poecie tajemnica poetyczna rozwieszona nad kamiennym snem rycerza w balladzie niemieckiej wydawała się zbyt ciemną, kontrast wynikający

z zestawienia starego wodza, jedną tylką ideą służby rycerskiej przejętego, z młodem rycerstwem, walecznem, ale dla pokus zmysłowych przystępnem, kontrast, który stanowi duszę tej ballady, nie wystarczał; stosunek rycerstwa do wodza, tak łatwo przez nie opuszczonego, przeczył jego wyobrażeniom o rycerstwie polskiem, jak je przedstawiała współczesna poezya polska czy to w *Sybilli* Woronicza, czy w *Śpiewach* Niemcewicza, jak je przedstawiała zresztą świeża tradycya wojen napoleońskich. Więc wszystko to trzeba było odmienić. Wódz wjeżdża do lasu nie na czele swoich hufców, ale sam; wojsko z jego rozkazu odpoczywa w pobliżu, gotując się do nowych wypraw, które on właśnie w leśnej samotności układa. Jego sen kamienny jest zupełnie wyjaśniony; sprowadzają go czarami swojemi rusałki. Występują one niezupełnie zgodnie ze swoim tradycyjnym charakterem, podobnie jak współczesne Świtezianki Mickiewiczowskie, których Bohdan jeszcze nie znał przy pisaniu *Lubora* — występują w obronie pokrzywdzonej przez wojnę płci niewieściej i spuszczają na Lubora sen kamienny, jako karę za to, że

> Tyle rycerzy w rannych lat dobie
> Śmierć uprzątnęła ze szranków;
> Matki, kochanki płaczą w żałobie
> Poległych synów, kochanków.
> On od półwieku prowadzi boje,
> Pławi się we krwi nieczuły...

Czy to była alluzya do niedawnych krwawych czasów, do których sam poeta młodzieńczą pamięcią mógł sięgać, do czasów, gdy wojna w całej Europie wybór najdzielniejszej młodzieży pożerała? Trudno wiedzieć; to pewna, że strofy te dobrze odpowiadały świeżej tradycyi. Ale nie dosyć na tem. Poeta odjąwszy rycerstwu rolę nie dość zaszczytną, jaką przynajmniej w jego mniemaniu odgrywało ono w obcej balladzie, i zostawiwszy je w obozie,

w dali od wodza, uważał, że wypada mu pod koniec ballady jeszcze wrócić do zostawionego wojska i zaznaczyć stosunek jego do zaginionego wodza. I tu nasunął mu się motyw ze wspomnianej już wyżej dumy o Iwasiu Konowczence, motyw powrotu konia bez jeźdzca do obozu, i wrażenia, jakie ten koń, powrotem swoim świadczący o zgubie swego pana, wywiera w obozie. Motywu tego miał użyć wkrótce potem do stworzenia zupełnie oryginalnego urywku p. t. *Wyjątek z rapsodu rycerskiego*, tutaj skorzystał z niego, aby w krótkich rysach przedstawić zamieszanie w wojsku, w chwili, gdy koń wodza wraca bez pana i zgon jego rżeniem ogłasza, żal za nim, żal, który się w żałobnych pieśniach objawia, i gotowość — nawet po stracie wodza — do dalszych zapasów na polu chwały. Zakończenie poeta wziął żywcem z niemieckiej ballady, czy też — właściwiej mówiąc — z rosyjskiego jej przekładu, wziął, bo tu był obraz kamiennej postaci wodza, który tak silnie przemówił do jego wyobraźni i stał się punktem wyjścia przy genezie *Lubora*.

Wódz zaś od wieków w jednej postawie
Skamieniał leżąc w ustroni;
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Na wpół dobyty miecz w dłoni.
A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny, odwieczny,
Omszony, rdzawy oręż dobywa
Lubor, wódz stary, waleczny.

W taki to sposób powstał utwór będący skojarzeniem, więcej mechanicznem, niż organicznem, niemieckiej romantyki z mitologią i dumą ukraińską, a podrzędny motyw, zaczerpnięty z tej ostatniej, posłużył poecie za pretekst do przylepienia modnej etykiety: »ballada z powieści ludu«.

Nad trzecim utworem z tej grupy krócej się zatrzymamy. »*Arab u mogiły konia*« jest naśladowaniem pe-

wnego, mało znanego poety francuskiego z czasów Napoleońskich, o nastroju elegijnym, Karola Huberta Millevoye [1]). Motywem tej elegii jest ścisły węzeł głębokiej sympatyi, wiążący Araba z koniem, nad którego mogiłą przez wiatr z piasku usypaną, Arab rozpamiętywa przygody wspólnie z nim przebywane i sławi jego wierność. Kochanka go zdradziła, ale koń mu pozostał wierny do śmierci. Ponieważ ten utwór znajduje się także w przekładzie a raczej przerobieniu rosyjskiem Żukowskiego, za którego pośrednictwem Zaleski czerpał treść z Szyllera i Uhlanda do swojej *Ludmiły* i *Lubora*, możnaby więc myśleć, że i tu pośrednikiem był Żukowski, ale porównanie *Araba* z francuskim oryginałem i kopią rosyjską stanowczo usuwa to przypuszczenie [2]). Zaleski przekładał, czy też naśladował wprost z oryginału: *L'Arabe au tombeau de son coursier*, pod względem treści nie wszędzie

[1]) Pierwsze zbiorowe wydanie jego poezyi wyszło w latach 1814—1816 (Oeuvres 5v. Paris).

[2]) Żeby się o tem przekonać, dość porównać pierwszą strofę, która jako *refrain* powtarza się po każdej dalszej strofie:

Spólnik mych przygód, przyjaciel stary,
Drogi mój rumak, rumak mój kary,
Lżejszy nad wiater, niż zamieć burzliwa,
Zimny *pod* zaspem piasków spoczywa.

W oryginale:

Ce noble amis plus léger que les vents,
Il dort couché *sous* les sables mouvants.

U Żukowskiego:

Сей другъ, кого и вѣтръ въ поляхъ не обгонялъ
Онъ спитъ — на зыбкій одръ песковъ пустынныхъ палъ.

U Żukowskiego koń leży *na* ruchomem łożu piasków, w oryginale i u Zaleskiego *pod* piaskiem spoczywa. U Żukowskiego jest dorobiona ostatnia strofa, której nie ma ani w oryginale, ani u Zaleskiego i t. d.

szczęśliwie, zato pod względem rytmiki stanowczo przewyższając pierwowzór. Co tu zwraca na siebie uwagę, to wybór przedmiotu. Wychowaniec stepu, Zaleski, czuł dobrze, czem jest koń dla człowieka na stepie, a i w pieśni ludowej ukraińskiej znajdował często motyw serdecznego stosunku między koniem a kozakiem. To go zapewne pobudziło do przeodziania utworu francuskiego w polską szatę rytmiczną, o rytmice zupełnie oryginalnej. Ale dlaczego się nie przyznał, że utwór jego jest wolnym przekładem, a wydawał go (w Pam. Warsz. 1822 T. III) za utwór oryginalny? Bardzo być może, że upoważniał go do tego przykład Żukowskiego, który w pierwszem wydaniu poezyi podając swoją »Pieśń Araba«, także nie wspominał wcale, skąd jej zaczerpnął [1]).

Przechodzę teraz do rzeczy, do której motyw zaczerpnięty jest nie z obcej i kunsztownej poezyi, ale z rodzimej, ukraińskiej. Z tą poezyą Bohdan od dzieciństwa był osłuchany, ją w duchu teoryi Brodzińskiego uważał za swoją dziedziczną własność, jako poeta romantyczny, urodzony na Ukrainie. Stopień oryginalności jest tu wyższy, nie dlatego, żeby motyw wzięty nie był wiernie podany, ale że poezya ludowa ukraińska była dla poety polskiego jakby przędzą surową, którą trzeba było przerobić, przetkać w inną formę, nie tylko językową, ale i kulturalną, a pomimo tego nie zatrzeć świeżych barw pierwotnych

---

[1]) W każdym razie dziwną jest rzeczą, że Zaleski drukując *Araba* w *Pam. Warsz.*, oznajmiał w przypisku, że utwór ten powstał pod wrażeniem pewnego ustępu tragedyi Ducisa osnutej na tle życia arabskiego, a przełożonej przez Brodzińskiego p. t. *Abufar*, ustępu, gdzie jest mowa o przywiązaniu Araba do konia (Akt IV Sc. 5). Było to więc jakby podkreślanie oryginalności utworu, który oryginalnym nie był. Ale już w wydaniu lwowskiem z 1838 r. pod tytułem *Arab u mogiły konia* dodał poeta wyraz: »Naśladowanie«. Widocznie przy rozpoczynaniu karyery poetyckiej nie miał jasnego wybrażenia o tem, co stanowi oryginalność utworu.

i nie pozbawić surowego materyału jego woni rodzimej. Pierwszem takiem przerobieniem (nie licząc dawniejszej *Dumy o Wacławie*, która była studencką robotą) jest *Nieszczęśliwa rodzina*, a rzecz dla nas bardzo ważna, że ten sam motyw ludowy bardzo niedługo potem opracowany został powtórnie, z większem wykończeniem, przez Bohdana, mianowicie we *Wzgórku pożegnania* i że stało się to, jak bez wahania można przypuścić, już po zaznajomieniu się jego z poezyą Mickiewiczowską. To właśnie nadaje tym dwu utworom szczególne znaczenie, pozwalając dokładnie ocenić szybki rozwój talentu naszego poety, a ponieważ proces assymilacyi ludowego pierwiastku ukraińskiego, który się w nich objawia, rozwija się potem i doskonali w całym szeregu lat i w całym szeregu utworów Bohdana, czerpiących motywy z ukraińskiej pieśni, zasługują one zatem na tem szczegółowszą analizę.

Ale żeby się ten proces assymilacyi albo raczej przetwarzania ludowej ukraińskiej poezyi na polską kunsztowną stał zupełnie zrozumiałym dla czytelnika, potrzeba mu koniecznie przedtem dać wyobrażenie, jakie są, albo raczej jakie były główne formy tej poezyi ludowej, ponieważ panują u nas pod tym względem bardzo niejasne pojęcia.

Ojczyzną dumy jest Ukraina, a klasyczne świadectwo o jej istnieniu w początkach XVI wieku znajdujemy w Annalach Sarnickiego [1]. Nazwa dumy już od końca owego wieku przeszła do poezyi polskiej dla oznaczania różnego rodzaju pieśni, przeważnie elegijnych i przeważnie czyny rycerskie opiewających. W XVIII wieku pisał

---

[1]) Per idem tempus (1506) duo Strussii, fratres adolescentes, strenui et bellicosi a Valachis oppressi occubuerunt. De quibus etiam nunc elegiae, quas Dumas russi vocant, canuntur, voce lugubri et gestu canentium se, in utramque partem motantium id, quod canitur, exprimentes etc. Annales sive de origine et gestis Polonorum et Lituanorum. (1587) p. 379.

Karpiński dumę o Ludgardzie, Niemcewicz dumę o Żółkiewskim i dumę o Stefanie Potockim. Z treści swojej dumy te są w istocie pokrewne właściwym dumom ukraińskim, ale pod względem formy nie mają nic z niemi wspólnego i nie dają o ich formie żadnego wyobrażenia. Bohdan Zaleski, który swojemi dumami i dumkami uczynił tę nazwę tak popularną, nie dał o formie ludowej dumy ruskiej także najmniejszego wyobrażenia, ponieważ jego dumy i dumki pod względem formy wierszowej odpowiadały nie temu, co lud ukraiński nazywał dumą, ale temu, co się nazywało wśród ludu pieśnią. A pomiędzy pieśnią, która żyje i kwitnie na ustach ludu dotychczas, a dumą, która już przebrzmiała i tylko w szczątkowym stanie tu i ówdzie się przechowuje, zachodzi pod względem formy ogromna różnica.

W pieśni melodya panuje nad myślą, w dumie myśl, słowo nad melodyą. W pieśni wiersze są ujęte w stały takt muzyczny, zastosowują się do melodyi i układają w strofy dwu- lub wielowierszowe i rytm wiersza zależny jest od rytmu melodyi. Z tego panowania melodyi nad myślą, z tego zamknięcia słowa w ramach melodyi wynika i stroficzność i jednostajność wiersza pod względem rytmu i ilości zgłosek. W dumach jest zupełnie inaczej, niż w pieśniach. Tutaj melodya nie wywiera porządkującego wpływu, nie panuje jak w pieśniach, ale nagina się do myśli. Stąd dumy nie mają podziału na strofy. Mają one swój podział na pewne okresy logiczne, ale te są rozmaite, większe i mniejsze, swobodnie się rozwijają, według wymagań przedmiotu myśli. Co się tyczy melodyi dum, to ona, jak świadczą ci, którzy słyszeli dumy śpiewane, jest prosta, mało rozwinięta, uboga, poddaje się myśli, idzie za nią, »daje się modulować w najrozmaitszy sposób, zastosowywać do najrozmaitszej miary wiersza«. Okresy logiczne, na które się duma dzieli, które są niejako tem, czem strofy w pieśni, odznaczają się wielką

rozmaitością nie tylko dlatego, że zawierają rozmaitą *ilość* wierszy, ale i że te wiersze bywają bardzo różnej *długości*; niektóre nie liczą więcej jak trzy zgłoski, inne miewają po dwadzieścia kilka, wszystko tu zależy od rzutu myśli[1]).

Nie tylko zaś pod względem budowy, ale i pod względem rymu różnią się dumy od pieśni. W pieśni rym jest stałą formą, nieodzowną; występuje on często w postaci assonanzy, czasem bardzo słabej, ale dążność do rymu wszędzie widoczna. W dumie rym nie stanowi nieodzownej cechy: wypływa wprawdzie nieraz, ale tylko jako skutek naturalny kształtowania się wiersza według pewnego, z góry przyjętego szyku logicznego, którego główną cechą jest kładzenie słowa na końcu zdania. Otóż tam, gdzie w szeregu zdań następujących po sobie wspólna forma gramatyczna przynosi zgodność brzmienia, tam śpiewak korzysta z niej i to nie tylko dla powiązania dwu wierszy, ale całego nieraz długiego ich szeregu, stosownie do tego, jak się myśl rozwija. Gdzie zaś na końcu wierszy nie ma wspólnej formy gramatycznej, przynoszącej zgodność brzmienia, tam śpiewak nie troszczy się o tę zgodność i puszcza wiersze nie spętane rymami.

I w nastroju dumy w porównaniu z pieśniami zachodzi różnica. Ponieważ nastrój wiąże się ściśle z rytmem i budową strofy i wiersza, więc gdzie rytm jest stały i stała budowa strofy i wiersza, tam nastrój nie ma możności objawiać się tak w całej pełni, z taką swobodą, jak w dumie, która nie zna budowy stroficznej, nie jest krępowana stałą budową wiersza, ma rytm zupełnie swobodny, zmienny, zależny od myśli, jest jak miękka draperya, która wszystkie załomy kształtów uwydatnia. To też jest coś

---

[1]) Czesław Nejman: Dumy ukraińskie. Ateneum 1885 IV 117. Ob. także Filaret Kołesa: „Ритміка українських народних пісень II (Записки Наук. Тов. ім. Шевченка T. LXXI 44—95) i A. Chybińskiego sprawozdanie z III międzynarodowego Kongresu muzycznego w Wiedniu 1909 (Lud T. XVI zesz. II str. 169—173).

żywiołowego w formie dumy, w jej rytmiczności i rozmaitości wiersza; możnaby ją przyrównać do fali morskiej, która stale, a więc rytmicznie, uderza o brzeg, ale której uderzenia to słabsze są, to silniejsze.

Takie były dwie zasadnicze formy ludowej poezyi ukraińskiej: pieśń i duma. Ale wyjątkowo zdarzało się coś trzeciego, coś pośredniego między dumą a pieśnią, coś, co właściwie było zmięszaniem tych dwóch form, a czemu dawano także nazwę dumy. Takim właśnie utworem jest duma, wydrukowana p. t. Odjazd kozaka ze stron rodzinnych (Отъѣздъ козака изъ родины) w pierwszym zbiorze małoruskiej poezyi ludowej, który wydał w roku 1819 w Petersburgu książe Certelew, i z tego to utworu zaczerpnął nasz poeta surowej przędzy, którą przetkał na swoich krosnach poetyckich na »dumkę ukraińską« *Nieszczęśliwa rodzina*. Wprawdzie duma ta krążyła w ustach ludu i w formie czystej, jak świadczy jej waryant zapisany przez Kostomarowa w gubernii Charkowskiej [1]), wprawdzie można przypuszczać z wielkiem prawdopobieństwem, że duma ta w takiej czy innej formie obijała się o uszy Bohdana w czasach jego dzieciństwa, ale skoro mamy wiele dowodów na to, że poeta w pierwszych latach pobytu w Warszawie znał zbiór pieśni Certelewa i korzystał z niego, więc niewątpliwie nie z dawniejszych reminiscencyi, ale z tego drukowanego zbioru zaczerpnął treści do swojej dumki.

Ażeby dać dokładne wyobrażenie nie tylko o treści, ale i o formie tej połowicznej dumy, najlepiej będzie podać ją w całej rozciągłości. Mając ją przed sobą, czytelnik najlepiej pozna, w jaki to sposób Bohdan Zaleski surową przędzę ludowej poezyi ruskiej przerabiał na swoje kunsztowne polskie dumki ukraińskie.

---

1) Czubinskij: Trudy etnograficzesko-statisticzeskoj ekspedicyi w Zapadno-russkij kraj T. V. str. 849.

W nedilu rano — porano ne wo wsi dzwony dzwonyły
Jak u wdòwynim domù homoniły;
Łychìj witczym kozàczeńka mołodoho łaje,
Maty synu slizno promowlaje:
Idỳ ty synu miż czużyi lude,
Czy ne łuczcze tobì synu na czużynì bude?
Nechàj tebè czużỳj bat'ko, sỳnoczku, ne łaje,
Szczastia twoho kozàćkoho na wik ne zbawlaje.

Dotąd jest forma niejasna, którą możnaby uważać i za dumę i za pieśń. Dalszych ośm wierszy ma wyraźną formę pieśni.

Tiażko, tiażko menì tebe
Z domu odprawlaty,
A szcze tiaższe biła sebe
W znehodi derżaty.
Choť pidèsz ty na czużynu
Slozy meni łyty,
Choť zostawlu tebè synu —
Po wsiak czas tużyty.

Dalszy ciąg ma już czystą formę dumy:

To stàrszaja sestrà koneńka wywodyt';
Srednia zbruju sribnuju wynosyt',
Szczo najmeńsza rydaje,
Słowamy promowlaje:
Z jakòj tebe brate,
Storònońki żdaty?
Czy od czỳstoho pola?
Czy od czòrnoho moria?
Czy od słàwnoho Zaporożja?

Woźmỳ ty, sestro, żoutoho piskû,
Ta posìj ty, sestro, na biłomu kamni
Koły bude, sestro, żoutyj pisòk wyrostaty,
Zełenym barwinkom kamiń ustyłaty
W toj czas budu, sestro, do was prybuwaty.
Bo jak tiażko na bezwidji rybi probuwaty
Tak tiażko na czużynì bezrìdnomu prożywaty.
To teje promowlàu
Na konia sidàu,

Oproszczenie pryjmàu,
Smutno z dwora otciwśkoho kozàk wyjiżdżàu,
Douho wony na mohyli kraj selà stojały,
Douho, douho kozàczeńka wiczmy prowożały,
A szcze dousze wonỳ jehô doma opłakały [1]).

Jeżeli po przeczytaniu tej dumy porównamy z nią *Nieszczęśliwą rodzinę* Zaleskiego, to spostrzeżemy naprzód, że pod względem formy ta ostatnia jest pokrewną tylko ośmiu wierszom środkowym tamtej, które mają wyraźny rytm pieśni. Ale tylko pokrewną; Zaleski bowiem użył nie kołomyjkowego wiersza (8 i 6 zgłosek) pieśni ludowej, ale jednostajnego czterostopowego trocheja, który widocznie odpowiadał dobrze jego temperamentowi, jego rytmice duchowej, skoro stał się potem ulubioną jego formą rytmiczną [2]). Z formy, właściwej dumie, nic tu nie zostało, jak nie ma jej śladu w całej poezyi ukraińskiej Bohdana. Formę tę, odpowiednią dalekim czasom, dalekim warunkom, wśród ludu już zamarłą, a przynajmniej zamierającą, miał że poeta wprowadzać do poezyi polskiej? Nie uczynił tego, i dobrze zrobił, bo taka archaizacya sztuczna, nie odpowiadająca rytmom jego duszy, odebrałaby jego poezyi wdzięk i swobodę.

Pod względem treści *Nieszczęśliwa rodzina* była swobodnem powtórzeniem *Odjazdu kozaka*, z drobną przemianą szczegółów. W dumie ukraińskiej ojczym prześladuje tylko pasierba, i tylko dlatego matka wyprawia syna z domu; w dumie Bohdana, ojczym trapi żonę i wszystkie jej dzieci i wszystkich wypędza z domu. Duma ruska ma więcej ukraińskiego, kozackiego charakteru: najstarsza siostra wyprowadza konia, średnia wynosi

---

[1]) Tekst podany tutaj jest kombinacyą dwu tekstów, mało się zresztą różniących: Certelewa (Опытъ собрапія старинныхъ малоросійскихъ пѣсней 1819) i Maksymowicza (Украинскія народныя пѣсни 1834).

[2]) Szczegółową analizę rytmicznej formy Zaleskiego podał prof. A. Kolessa w cennej pracy: »Ukraińska rytmika ludowa w poezyach Bohd. Zaleskiego« Lwów 1900.

srebrną zbroję, najmłodsza pytając o powrót wymienia »czyste pole« t. j. step, morze Czarne i sławne Zaporoże. Otóż tych szczegółów nie ma w dumie Bohdana; tam tylko matka powiada do syna: »Oto konia masz i zbroję«, a siostry pytają: »z której strony mamy, bracie, czekać ciebie«. Inne przemiany, polegające na opuszczeniu lub dodaniu pojedyńczych rysów, są jeszcze mniejszej wagi. Główny motyw, żal przy rozstaniu się syna z matką i siostrami, choć w obrazach nieco odmiennych, ale wiernie i z wdziękiem przelany. Czy odgrywało tu jaką rolę niedawne wspomnienie poety pożegnania się z rodziną, gdy wyjeżdżał z Ukrainy do Warszawy? Być może, a rzecz godna uwagi, że wróżba o rozstaniu się syna na wieki z rodziną, wróżba, którą Bohdan wziął z dumy ruskiej, ubrawszy tylko w inne porównania, ale z własnego popędu umieścił na samym końcu, kładąc na niej w ten sposób główny nacisk:

Prędzej w źródle wyschnie woda,
Góra wzbije się z mogiły,
Niż go ujrzy ta zagroda,
Niż powróci Ruślan miły.

wróżba ta była jakby przepowiednią dla samego poety, jakby przeczuciem, że i jego los skazał na wieczne oddalenie od rodzinnej zagrody [1]).

Nieszczęśliwą rodzinę napisał Bohdan najpewniej w r.

---

[1]) Przepisując ten utwór dla *Pamiętnika Warsz.*, Bohdan nazwał go »dumką *rolniczą* ukraińską«. Przez nazwę *rolnicza* chciał ją widocznie zbliżyć do świeżo wydanych *Pieśni rolniczych* Brodzińskiego i może to wpłynęło na zatarcie pewnych rysów kozackich w odjeżdżającym młodzieńcu, na usunięcie wzmianki o »Czarnem morzu« i o »sławnem Zaporożu«, zawartem w pytaniach siostry. Brodziński przyjął dumkę do *Pamiętnika*, ale wyraz »rolnicza« przekreślił, o czem świadczy autograf, gdzie wyraz: *rolnicza* przekreślony jest tym samym atramentem, jakim napisano z boku słowo: *drukować*, pochodzące od Brodzińskiego.

1821, a więc w jakie dwa — trzy lata po *Dumie o Wacławie*. I tamta czerpała treść z ludowej poezyi ukraińskiej, ale jakaż była różnica w stylu między tymi dwoma utworami! W nowszym utworze retoryczność ustąpiła miejsca prostocie, ton fałszywie patetyczny tonowi szczeremu. A jednak poeta nie dłużej jak wpółtora roku potem był już niezadowolony ze swojej dumki, albo raczej poczuł, że może teraz ten sam temat daleko piękniej wyśpiewać i nagi przedtem rysunek ożywić i ozdobić barwami. A do tego poczucia doszedł potrącony falą poezyi Mickiewiczowskiej, z którą spotkał się niewątpliwie już w pierwszym roku swego pobytu w Leszczynku. I teraz pora zastanowić się nad wpływem tej poezyi w owych czasach na Bohdana i to w porównaniu z tem, jak oddziałała ona na poetów niższego lotu, w szczególności na przyjaciela jego, Witwickiego.

ROZDZIAŁ V.

Poczucie samoistności.

1822—1824.

Stefan Witwicki i jego ballady. — Stosunek Bohdana do nowej poezyi. — Anch' io sono pittore! — *Śpiew poety* i *Oda do młodości.* — *Spomnienie.* — Wyższy stopień poczucia estetycznego. — *Wzgórek pożegnania.* — *Wyjątek z rycerskiego rapsodu* i jego stosunek do ruskiej dumy o Konowczence. — Poezya ruchu. — Ślady wpływu Mickiewicza. — Geneza *Dumki Mazepy.*

Stefan Witwicki nie był obdarzony od natury wyższym darem poetyckim, nie posiadał ani żywej wyobraźni, czułej na grę barw i świateł, ani tak muzykalnej duszy, jak Bohdan, ani wysokiego lotu myśli i wymowy namiętnej wielkich poetów. Ale miał poczucie szczerości i prostoty, i wysoce rozwinięty zmysł społeczny, który mu pozwalał przejmować się uczuciami dusz prostych, szczerych, jasnych i harmonijnie je wypowiadać. Miał też wspólne z Bohdanem dążenie do harmonii, które wycisnęło piętno na jego spokojnej, od wszelkiego mistycyzmu, sceptycyzmu i racyonalizmu wolnej religijności. Z tych przyrodzonych własności jego ducha wypłynęły jego *Piosnki sielskie*, malujące z wdziękiem prostoty, t. j. w prostych liniach, nieskomplikowane, typowe stany duszy zwyczajnych ludzi współczesnych, szczególnie o typie

żołnierskim, tak charakterystycznym dla epoki ówczesnej, kiedy było osobne wojsko polskie. Że temu zadaniu umiał sprostać, dowodzi to, że lepsze z tych piosnek, n. p. *Żołnierz*, *Wojak*, *Koń grabarz*, *Hulanka*, a także *Wiosna*, *Pierścień*, *Życzenie* do dzisiaj nie straciły swojej świeżości i zapewne już nigdy jej nie stracą. Z tych źródeł także wypłynęły jego *Poezye biblijne*, w których wybrane motywy Starego Testamentu przestrajał w polską, jasną, prostą i poważną szatę rymowaną, chcąc poniekąd uczynić dla narodu swego pod względem religijnym to, co Niemcewicz w *Śpiewach historycznych* uczynił pod względem patryotycznym, to est chcąc zbliżyć naród do tego źródła gorącej wiary, tak mało w Polsce odwiedzanego, i w ten sposób natchnąć go duchem religijnym.

Ale do poczucia siebie, swoich sił, swego zadania doszedł Witwicki nie odrazu, ale dopiero po ciężkich próbach. W początkach zawodu poetyckiego szukał drogi, podobnie jak Bohdan, po omacku, nachylał się do nowych kierunków i jeszcze przed poznaniem Mickiewiczowskiej poezyi napisał bardzo romantyczną balladę p. t. *Xenor i Zelina*, która jednak nie miała w sobie nic bardzo rażącego. Ale kiedy się pojawiły *Ballady* Mickiewicza, kiedy Witwicki ujrzał ducha romantycznego po raz pierwszy w świetną szatę polską ustrojonego, olśniony został, możnaby powiedzieć, urzeczony przez tego ducha i rzucił się do tworzenia ballad, pełnych cudowności i okropności, nie znajdując w sobie ani trochę poczucia wewnętrznego, że to nie jest droga odpowiednia jego naturze i siłom. W tych balladach reminiscencyi z Mickiewicza, szczegolnie ze *Świtezianki*, *Lilii*, *Powrotu Taty i Romantyczności*, było pełno, powtarzały się nieraz zwroty i całe wiersze wzięte stamtąd, ale naśladownicza ta poezya była robotą martwą, płaską, drewnianą, a przy takiej robocie cudowność musiała stać się bezduszną i śmieszną. Z długiego szeregu ballad, które przy końcu 1824 i na początku 1825

wyszły w dwu tomikach, tylko końcowy fragment *Heron i Zena*, w którym obrazy z *Grażyny* kojarzyły się z wybuchami uczuć z *Dziadów*, wyróżniał się trochę wyższym polotem; nie było tam przynajmniej płaskości. Również lepszą od innych, choć nie z powodu wyższego poziomu fantazyi, była humorystyczna ballada *Miłość pieniędzy*, ponieważ zbliżała się do gawędy, to jest tego rodzaju, który odpowiadał naturze Witwickiego.

Wydając swe ballady Witwicki poświęcał je Brodzińskiemu. »Tobie, który śmiałeś powstać na nasze wyłączne oddanie się jednym tylko wzorom. Autorowi czułych i miłych poezyi, ważnych i rozumnych Rozpraw — w dowód literackiego szacunku i osobistej przyjaźni niniejsze dziełko ofiaruję«. Ten wybór Brodzińskiego za patrona dla ballad, i to jeszcze tak krzyczących, świadczył także o niesłychanem zaślepieniu młodego poety. Brodziński był wtedy za urlopem za granicą dla poprawienia zdrowia zbyt starganego pracą; gdyby był w Warszawie, znałby zapewne przed wydaniem te ballady i wiedział o zamiarze autora poświęcenia ich jemu, a w takim razie niewątpliwie nie przyjąłby dedykacyi, a co ważniejsza, odradziłby drukować ten płód poroniony.

Naśladowanie Mickiewicza u Witwickiego objawiło się i w tem jeszcze, że jak Mickiewicz poprzedził swoje ballady przedmową, która miała wyjaśnić znaczenie romantycznej poezyi i miała po części zakrój polemiczny, tak i Witwicki umieścił przed swymi balladami *Dyalog* wierszowany, przedstawiający spór klasyka z romantykiem o wartość nowej poezyi. Ze wszystkiego, co dwa tomiki Witwickiego zawierały, była to rzecz najlepsza i najciekawsza. Witwicki był tu w swoim żywiole, pisząc coś w rodzaju gawędy albo lepiej satyry w guście Krasickiego, satyry, której przedmiotem był klasycyzm warszawski, a ta satyra jest dokumentem do historyi współczesnych sporów literackich w Warszawie. Jest ona bar-

dzo mało znaną, z powodu, że ballady Witwickiego należą dziś do rzadkości bibliograficznych, a zasługuje na poznanie.

Klasyk rozpoczyna atak i zapewniając, że »romantyczność niechybnie nas zgubi«, już z góry wie, że ballady, które pisze romantyk, nic nie będą warte. Romantyk grzecznie ostrzega, że aby coś sądzić, trzeba naprzód przeczytać, ale klasyk jest niewzruszony:

sam powiedz, proszę,
Czy się tutaj w czemkolwiek przeciw wam unoszę?
Czy to wszystko nie prawda?... Mów tylko otwarcie,
Czy owi wasi mędrcy, których tak zażarcie
Ubóstwiacie, Szekspiry, Dantowie, Szylery,
Getowie, Walterskoty, Mury, Grilpacery,
Mogą się Kornelowskim poszczycić wawrzynem?
Albo pójść w porównanie na przykład z Rasynem?
To jak niebo od ziemi... Co to za różnica!
W tym wszystko dziwi, wzrusza, unosi, zachwyca,
Każdy wiersz regularny jak rąbek pilnika,
A potem co za czystość, jaka moc języka!
Nie darmo go sam Ludwik, dwór uwielbiał cały,
Najpierwsze, najsławniejsze damy uwielbiały,
Sama Pani Męteną, sam nawet Boalo:
I myślę można chwalić, kogo tacy chwalą.
A u was co? dziwactwa. Gdzie tknij, wszędzie czary,
Nieboszczyki, karlice, astrologi, mary;
Bez ładu, bez porządku, nie wiedzieć jak zacznie,
Nie wiedzieć, jak zakończy, a wszystko opacznie.
Albo ten wasz na przykład Bajron uwielbiony?
Zdoprawdy, że to jakby człowiek naruszony.
Nie przeczę, nie zupełnie jest on bez zdatności,
Imajnacii dosyć, dużo ma łatwości,
Ale też co za dziwak!... jakie uniesienia!
Jakie smaku, prawideł sztuki pogwałcenia!
Z jakiemiś korsarzami gdzieś po morzach lata,
Marzy ni w pięć ni w dziewięć — i toż poemata??

Romantyk, wysłuchawszy cierpliwie tej długiej nagany, zapytuje znienacka klasyka, czy on czyta po nie-

miecku? — Nie. — A po angielsku? — Także nie. Ale po co te pytania? Wszak kto czytał Laharpa, mógł Niemców nie czytać. Romantyk chce odejść po takiej odpowiedzi, ale zatrzymany przez klasyka i zachęcony do mówienia daje mu naukę.

Gdybyś tych wielkich ludzi, którym śmiesz ubliżać,
Nauczył się rozumieć wprzód, niźli poniżać,
Poznałbyś, że i oni, podług was tak dzicy,
Owi to rozpasani, dziwni romantycy,
Znają także prawidła dla swego zawodu.
Nie krępować się gustem jednego narodu,
Albo co jeszcze więcej, jednego pisarza:
Lecz ze świętego Dziejów i Prawdy ołtarza
Ogarniać całą ludzkość; — Poezią wrócić
Na tron, z którego śmiał ją Pedantyzm był zrzucić, —
Uczynić ją Mistrzynią i Roskoszą ludów; —
Nie do tego jedynie używać jej cudów,
Aby wiersze uczone, wynękane, biedne,
Jakby świece ulewać zawsze w formy jedne,
Ale serca rozkosznie wznieść, udoskonalać,
Miłością Cnót i Boga umysły zapalać itd.

Klasykowi wydaje się to wszystko — i nie bez racyi — trochę za ogólne, radby on wiedzieć, jakie są szczególne ustawy nowszej szkoły a przedewszystkiem:

Kogoż macie swym mistrzem, prawodawcą?

— Serce, odpowiada romantyk, pamiętny Mickiewiczowskiej Romantyczności, a kiedy klasyk, niezadowolony z tej odpowiedzi, nie przestaje utrzymywać, że »nie ma rodzaju, jak rodzaj klasyczny«, przypomina mu Wolterowską sentencyą: »każdy rodzaj jest dobry, byle nie był nudny« i dodaje:

Nie rodzaj, ale talent zalety użycza:
Przybylskiego któż czyta? Wszyscy Mickiewicza.

Więc »czyś romantyk, czy klasyk z wyznania«, pisz tylko z geniuszem, z zapałem, a przyniesiesz sławę kra-

jowi i sobie. Ale tu, przy samym końcu dyalogu, zadaje klasyk romantykowi pytanie, które dzisiejszemu czytelnikowi musi się wydać zabójczem, choć w intencyi autora nie było takiem: »— A Waćpanaż ballady?« Naturalnie romantyk sam ich sądzić nie będzie, niech to inni czynią, on z wdzięcznością przyjmie wszelkie słuszne uwagi i rady, ma jednak tyle ufności, że puszcza je w świat: »A więc nabierzcie serca, idźcie w świat ballady«.

Jak były przyjęte, jaki zawód spotkał poetę, to rzecz dobrze znana. Tu zwrócę jeszcze uwagę na przypisek, który towarzyszył wzmiance o Mickiewiczu, ponieważ odnosi się do Zaleskiego, rzuca światło na stosunek Witwickiego do Bohdana i jest pierwszem w literaturze umieszczeniem ukraińskiego śpiewaka obok litewskiego wieszcza. »Wspominając autora Dziadów i Świtezianki, nie mogę przemilczeć o p. Józefie Bohdanie Zaleskim, który już dał próby równie wysokiego talentu«. W dalszym ciągu była wiadomość, że ci którzy znają te próby, »z wielką niecierpliwością oczekują wyjścia Poezij, które P. Zaleski (jak słychać) ma w tych czasach ogłosić drukiem«.

Jakże oddziałały pierwsze poezye Mickiewicza na Zaleskiego, o którego nam tu głównie chodzi? I on dotychczas szedł poniekąd po omacku, próbując różnych tonów, czerpiąc z różnych źródeł, szukając nowej drogi, szukając siebie, swojej duszy. I jego, podobnie jak Witwickiego, jeszcze przed poznaniem Mickiewicza, nęciła poezya balladowa, i on jeszcze przed tem poznaniem napisał balladę. I jego duszą wstrząsnęła poezya Mickiewicza i zachwyciła go swoim nieznanym dotąd blaskiem. Ale nie oślepiła, nie zrobiła z niego niewolnika, przeciwnie, przyniosła mu wyzwolenie. Prawda, jest parę wierszy drobnych Bohdana, *Fijołek*, *Odmiana* (sonet), *Wiersz w imionniku przyjaciela*, na których odbiła się pewna bezpośrednia zależność od wzorów poezyi Mickiewiczowskiej,

ale był to drobny haracz naśladownictwa, spłacony nowemu mistrzowi.

Poza tem młody poeta ukraiński pozostał sobą, co więcej pod wpływem wstrząsającego wrażenia, jakie na nim wywarła nowa, czarodziejska poezya, poczuł dopiero siebie, swoją odrębność, swoje powołanie poetyckie. Niedarmo Witwicki nazywał Mickiewicza autorem *Świtezianki*, ballady, która najwięcej zachwycała młodych poetów tak wileńskich, jak warszawskich, i której echa tak często się odzywają w niefortunnych balladach Witwickiego. Niedarmo, bo Świtezianka była jakby symbolem nowej poezyi Mickiewiczowskiej: wabiła ona młodych poetów na głębie, w których oni, sprzeniewierzywszy się swojej naturze, tonąć musieli. Zaleski nie sprzeniewierzył się, z rozkoszą przypatrywał się tej rusałce o piersiach łabędzich, »śmigającej jak tęcza« po jeziorze, ale nie dał się pociągnąć na »wodne zatopy«, pozostał na brzegu, pozostał wierny swojej naturze. Kiedy Witwicki, Odyniec i inni wymyślali jedne ballady po drugich, Zaleski pomimo, iż go przed tem romantyka niemiecka znęciła była do napisania *Lubora*, ani jednej od tego czasu nie utworzył. A choć był zachwycony nową poezyą, poczuł, że to nie jego jest rodzaj, ale poczuł zarazem swoją odrębność, oryginalność, poczuł, że może i musi inaczej śpiewać. I to sprawiało mu rozkosz, to go podnosiło we własnych oczach, pomimo, iż porównywając poezyą Mickiewicza ze swoją dotychczasową musiał bez wahania tamtej przyznawać wyższość. Ta swoja nie była tak świetną, tak potężną, ale była jego własną. To go uszczęśliwiało, a zarazem pobudzało do zastanowienia się nad tem, czem był, jako poeta, czego pragnął, dokąd zmierzał, jednem słowem do określenia siebie, do syntezy swego ducha.

I pod wpływem takich uczuć i myśli napisał swój *Spiew poety,* utwór w którym wyśpiewał całą swoją duszę, wypowiedział się tak doskonale, że cała jego dalsza

158'



Bohdan Zaleski.

poezya, albo dokładniej mówiąc, cała jego liryka, z nielicznymi wyjątkami, jak jedna nić rozwijała się z tego kłębka. Kiedy to się stało? Mamy, dzięki poecie, dokładną datę napisania utworu, umieszczoną przy pierwszem jego ogłoszeniu w *Dzienniku Warsz.* (T. I, 1825 nr. 3). Stało się to 18 czerwca 1823, a więc wtedy, kiedy już nietylko poezya *Ballad* Mickiewicza, ale także *Grażyny* i *Dziadów* była mu zapewne znaną, kiedy już geniusz Mickiewiczowski stanął przed nim w całej swojej potędze.

Poeta był wtedy prywatnym nauczycielem w Leszczynku. Przy dacie dokładnej nie mamy podanego miejsca, ale można być pewnym, że Zaleski wyśpiewał tę skowronkową pieśń nie w Warszawie, dokąd zapewne nieraz przyjeżdżał z Leszczynka, ale w tymże Leszczynku, na wsi, o której »lasach i wodach i niwach« mile wspominał w wierszu do Paulina Rydzewskiego (Fantazya), tam, gdzie

. . . . myśl lekka, fantastyczna, skora,
Jako poranek, dziewicza, pogodna
Trącała czuciem . . . .
. . . . aż do dna.

Trzeba sobie wyobrazić wiosenną porę w pełnym rozwoju roślinności, z polami, które się już kłaniają zielonym kłosem, z drzewami strząsającymi biały i różowy kwiat na ziemię, z łąkami, pokrytemi barwną powodzią ziół kwitnących, a jednocześnie ciszę wiejską, w której się lubował skłonny do marzeń poeta, i na tem tle wyobrazić sobie dwadzieścia jeden lat liczącego Bohdana, upojonego wiosną, ale zarazem upojonego nową poezyą i pragnącego zdać sobie sprawę z wrażeń, jakie przyniosło to upojenie, ze swego stosunku do tego cudownego zjawiska, które go w taki zachwyt wprawiało. Jakże rozkoszną rzeczą jest poezya, kiedy swobodnym strumieniem wylewa się z serca i wyobraźni poety, jakże potrafi wszystko, czego dotknie swojem skrzydłem, ożywić, upięknić, ozło-

cić i podnieść w powietrzną krainę ideału! Jakże szczęśliwym jest los poety! Ale wszak i on sam jest poetą, i on może takie cuda tworzyć i on czuje w sobie skrzydlatą psychę, która może swobodnie bujać ponad światem, okiem i uchem chłonąc w siebie melodyę i harmonię jego barw i dźwięków. Co za rozkosz, co za szczęście! *Anch'io sono pittore!*

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę,
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwa spajam złote.

To *i ja* nabiera właściwego znaczenia dopiero wtedy, gdy się uzna, że *Śpiew poety* był dalszym ciągiem rozkosznych marzeń i rozmyślań Bohdana nad nową poezyą, która go czarowała, i stosunkiem jego do niej. Żeby tę strofę lepiej zrozumieć, trzeba się zwrócić do *Ballad i romansów* Mickiewicza, mianowicie do *Pierwiosnka*, który stał na ich czele i będąc nieśmiałem złożeniem poetycznych utworów kochanka w ręce »niebieskiej Marylki«, był zarazem symbolicznem przedstawieniem tego przełomu, jaki miał nastąpić w poezyi polskiej, tej wiosny poetyckiej, jaka miała Polskę nawiedzić.

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

Ten wiersz należał do najmniej świetnych w zbiorku Mickiewiczowskim, a nieśmiałym tonem swoim jakże odbijał od poprzedzającej go przedmowy, pisanej prozą i od następującej po nim »Romantyczności«, która była pierw-

szym manifestem poetyckim Mickiewicza. Ale dla Zaleskiego było w nim wiele uroku, bo w tonie jego znajdował coś pokrewnego swojej duszy; było też wiele zachęty dla niego w tym wierszu, bo ten skowronek, dzwoniący w niebiosach i ten skromny kwiatek, kryjący się w cieniu, były poniekąd symbolami poezyi, jaką uczuwał w sobie. Ale *Śpiew poety* tylko w pierwszej strofie był jakby echem *Pierwiosnka*, zadanie jego, jak już wiemy, było inne: wyśpiewać całą duszę poety, pokazać ją jemuż samemu i całemu światu. Jeżeli z jakim wierszem Mickiewicza z owych czasów należy ten *Śpiew* porównywać pod względem znaczenia, to chyba tylko z *Odą do młodości*, która jak w nasieniu miała w sobie to wszystko, co heroizmem tchnęło w poezyi autora *Dziadów* i malowała tak jego duszę, iak *Śpiew poety* malował duszę Zaleskiego.

Naturalnie przy porównaniu odrazu rzuca się w oczy różnica ogromna. Jeżeli Mickiewicz w *Odzie do młodości* woła: »Młodości, orla twych lotów potęga«, to dlatego, że w sobie czuję tę orlą potęgę; on jest już tutaj tym orłem poezyi polskiej, który potem w *Improwizacyi* wzbije się do wyżyn, gdzie »graniczą Stwórca i natura«. Zaleski w *Śpiewie poety* nazywa siebie skowronkiem, lecącym w niebiosa, i ten skowronkowy lot i wdzięk pozostają mu na całe życie; mógłby on nazwać siebie i słowikiem takim, o jakim sam śpiewa w tymże wierszu:

Kwili słowik u jabłoni
Zapłonionej jak dziewica.

Mógłby się tak nazwać, bo ileż to pięknych dumek jego ma słowiczy charakter. Ale skowronek i słowik, to jakby bracia rodzeni i tylko jeden kryje się w gęstwinę zieloną, aby puszczać wodze swoim trelom miłosnym, drugi wzbija się wysoko nad łąki i pola, aby wyśpiewać

tę błogość i rzeźwość, jakie daje obcowanie z naturą. W *Śpiewie poety* Bohdan chciał być skowronkiem. Serce jego pragnęło miłości, ale jeszcze nie było draśnięte głębszem uczuciem miłosnem. Jeszcze był lekki, rzeźwy, na wszystko miał oczy otwarte i z radością przypatrywał się wszystkiemu, co było pięknem w przyrodzie i w jego ludzkiem otoczeniu.

Myśl mej pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna,
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza, i miłosna.

Mickiewicz w swojej *Odzie*, wzniósłszy się na skrzydłach natchnienia młodzieńczego nad ziemię, nie patrzał na piękność przyrodzenia, szukał okiem tylko ludzi i widział tylko »obszar, gnuśności zalany odmętem«, który potrzeba było powołać do nowego życia, ogrzać ogniem miłości i w ten sposób wyprowadzić »z zamętu świat ducha«. Orle to były zamiary. Skowronek-Bohdan nie marzy o tem, nie na to go Pan Bóg stworzył. Ale i jego zadanie, choć nie tak wysokie, nie bohaterskie, jest przecież na swój sposób piękne i szczytne.

Swiat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Głównem zaś zadaniem poety jest:

Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga.

Jest w tem jakby echo *Hymnu do Boga* Brodzińskiego, który, jak wiemy, tak przypadał do serca naszemu

poecie, ale nie ma tu nic z podkładu filozoficznego, jaki bądź co bądź w *Hymnie* Brodzińskiego znaleźć można. Filozofem w zwykłem znaczeniu nie był Bohdan ani trochę. »Nic nie ma więcej antyberlińskiego jak twoja muza«, pisał do niego w czasach emigracyjnych Mickiewicz, ciesząc się, że Poznańczycy zasmakowali w jego poezyi. Ale miał zato nasz poeta filozofię serca, wieczne dążenie do harmonii z Bogiem, przyrodą, ludźmi i samym sobą. I to wszystko wypowiedział już w *Śpiewie poety*. Przytaczam najbardziej charakterystyczne strofy:

Brzmią śpiewacy... i na przemian
To na dole, to na górze,
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzę,

Tak przebiegam różne tony,
Pierwej z sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony
Po samotnej puszczam drodze.

To pogodzenie dźwięku z sercem, to cała filozofia sztuki Zaleskiego i najznamienniejszy rys jego poezyi. Wszystkie jego myśli i obrazy pozłocone są rafaelicznym blaskiem i ogrzane ciepłem płynącem z serca. W dalszych strofach rozwinął on, uzupełnił charakterystykę swoją, jako poety i także bardzo szczęśliwie i trafnie. Porównał siebie do motyla, pszczółki i dziecka, i trzeba podziwiać intuicyę psychologiczną, która mu te porównania, a szczególnie ostatnie podsunęła.

Naraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie bujam kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam, jak motylek.

Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody,
Biorę miody, i jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym znienacka
Coś mię draśnie lub ukole;
Widzę w koło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.

Tak, błogi optymizm, który go nie opuszczał przez całe życie, godząc się z marzycielską tęsknotą, usprawiedliwiał w całej pełni to ostatnie porównanie. Ale i poprzednie, z motylem i pszczółką, pomimo pozornej swej banalności, były najzupełniej wierne, najszczerzej odczute. Miał on swobodę motyla w swoim locie, a miód poezyi jego, który był już przyprawą słodką dla trzech czy czterech pokoleń, nic do dzisiaj nie stracił ze swojej mocy, a to dlatego, że z tak szczerych, swobodnych, tak »pogodzonych z dźwiękiem« uczuć się sączył.

I chrześcijański charakter jego optymizmu zaznaczył się bardzo wyraźnie w tem *Credo* poetyckiem Bohdana. Zważywszy na chwilę wyśpiewania tego utworu, kiedy bajronizm i werteryzm stawały się najmodniejszymi tonami w naszej poezyi, kiedy Mickiewicz ustami Gustawa przeciwstawiał ewanielii nieszczęście, świadczy to bardzo wymownie o samodzielności naszego poety t. j. o niezależności jego od obcych poetyckich nastrojów. Sobą był zawsze i tylko sobą, a jeśli się zdarzało, że pod wpływem otoczenia i ludzkich głosów zapragnął być czemś innem, czemś więcej, niż sobą, skrzydła poezyi odmawiały mu posłuszeństwa. Tak było i w sferze religijnej. Chrześcjianizm odpowiadał duchowi jego najzupełniej, wystarczał, aby rozwiązać dlań wszystkie dyssonanse życia i sprowadzić poglądy poety na świat do harmonii, której tak łaknęło jego serce.

Czara życia nie wciąż miodna:
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcijanin — spełnię do dna
I — wesoło spojrzę w nieba [1]).

---

[1]) Wobec tej strofy, wobec całej zresztą poezyi Bohdana, może

I ostatnia strofa wybornie dostosowaną była do chrześcijańskiego charakteru Bohdanowego *Credo* i do syntezy jego duchowej, jaką zawierał *Śpiew poety*. Młody Zaleski nie roił ani o pchnięciu bryły świata na nowe tory, jak młody Mickiewicz, ani mu w oczach stawała przyszłość daleka, »świetna okrzykiem ludzi«, jak młodemu Słowackiemu, ale wierzył, że pozostanie po nim wdzięczna, serdeczna pamięć śród ludzi, jako o tym, który ich serca orzeźwiał, nastrajał pogodnie i podnosił ku niebu harmonii.

Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły

---

zadziwiać pewna wzmianka w pamiętnikowych notatkach Goszczyńskiego. Mówiąc o ostatnich czasach pobytu swego wraz z Zaleskim w Humaniu, kiedy uprawiając frondę względem szkoły, rzadko już bywał na mszy studenckiej, dodaje: »Moje uczucia religijne zamącone. Zaleski bardzo się do tego przyczynia. W tym przedmiocie później obszernie pomówię«. Obszernego wyjaśnienia, które tu dać obiecywał, w papierach jego, o ile mi wiadomo, nie ma, ale jest inna wzmianka podobnej treści: »Bohdan Zaleski wpływa pierwszy na osłabienie, na przytłumienie moich uczuć religijnych. Został potem niby katolikiem, odstąpił, odstąpił mię na drodze, na którą mię wprowadzał. — Jeden to z przykładów, potwierdzających te słowa A(ndrzeja) T(owiańskiego): »Geniusz prowadzi cię po macoszemu do kresy manowca, ale nie odprowadza na drogę prawdziwą, opuszcza tego, kogo zbłąkał«. Miałem to samo i z innymi, mianowicie z Ostrowskim Józefatem na drogach politycznego działania. Każdy z tych panów uciekł w końcu i zostawił mnie samego«. Słowa te, jak to z ich treści widać, były pisane w czasach, kiedy towianizm wysokim murem dzielił kolegów humańskich i w Towiańczyku Goszczyńskim wywoływał pewną niechęć dla Zaleskiego, jako przyjaciela głównych przeciwników towianizmu — Zmartwychwstańców. W każdym razie pozwalają one przypuszczać, że już w czasach szkolnych objawiała się różnica pomiędzy religijnością jednego a drugiego, a mianowicie, że religijność Zaleskiego, więcej poetyczna i swobodna, nie przywiązywała się do skrupulatnego pełnienia zewnętrznych praktyk, które dla Goszczyńskiego w owych czasach ziewały się w nierozdzielną całość z treścią religii.

Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Mówiąc o pierwszej strofie tego utworu, którym się zajmujemy tak długo, ponieważ rzuca on promienie na całą późniejszą poezyę Bohdana, powiedziałem, że przypomina ona wykrzyk Correggia: *Anch'io sono pittore!* wywołany zachwytem, jaki w tym malarzu — jak chce legenda — wywołały obrazy Rafaela, gdy je oglądał w Watykanie. Czy sam poeta zdawał sobie sprawę z tego podobieństwa? czy miał na myśli porównanie siebie z Correggiem? Czy też to było tylko nieświadome, mimowolne zbliżenie, wypływające z podobieństwa sytuacyi? Na te pytania stanowczej odpowiedzi dać nie można, można tylko zaznaczyć, że w kilka lat potem postać Correggia tak zajmowała umysł naszego poety, że postanowił go zrobić bohaterem poetyckiego utworu i to jakiego jeszcze! — dramatu. W liście bez daty, ale prawdopodobnie pochodzącym z roku 1829, donosi Zaleski Witwickiemu: »W tej chwili pisałem scenę do dramatu Correggio« [1]). Nic o tym dramacie nigdzie więcej nie słyszymy, ale być może, że w związku z pisaniem jego zostaje wiadomość, podana w innym liście do Witwickiego, o lekturze, jaką się karmił Bohdan w czasach pisania owego dramatu. »Ja w tej chwili czytam świeżo drukowane dzieło sławnego Stendala: *Promenades dans Rome* i marzę o nich, o romantyczności, o ruinach etc. Książka Stendala wyborna, pisana bez pretensyi, a z wielkiemi wiadomościami, z głębokiem czuciem i dziwnym dowcipem. Do tego dwa grube tomy« [2]). Wprawdzie o Correggiu, nic się prawie stamtąd nie mógł dowiedzieć Zaleski, ale wiele o Rafaelu i o tle rzymskiem, które mu było zapewne potrzebnem do rozpoczętego dramatu.

---

[1]) Koresp. I, 36.
[2]) Tamże, I, 37. List z 10 lutego 1830.

Najbliższym *Śpiewowi poety* i rytmem i śpiewnością i kolorytem jest wiersz p. t. *Spomnienie.* Drukowany był poraz pierwszy w Noworoczniku *Jutrzenka* na rok 1824, odnieść go zatem trzeba nie później, jak do r. 1823. Jak w *Śpiewie* wylała się rozbudzona dusza młodzieńca, radośnie ogarniającego wzrokiem piękność świata i rwącego się ku niej, tak *Wspomnienie* jest obrazem duszy dziewiczej, zwróconej ku pamiątkom przeszłości. Jak róża, chociaż zwiędła, nie traci swojej woni, tak i chwile szczęścia, chociaż minęły, zachowują swoją błogość w dziewiczej pamięci.

Na dolinie, u jeziora,
Szumi gaik, kwitnie niwa —
Na modrzewiu słowik śpiéwa
Od wieczora do wieczora.

Tam upływał czas mój miły,
Tam na różach kiedym śniła,
Pieśń słowika mnie uśpiła —
I sny słodkie się roiły.

Rankiem biegłam, hoża, skora,
Czy mój słowik zawsze śpiéwa,
Czyli zawsze kwitnie niwa
Na dolinie u jeziora.

Gdzież dziś róże woniejące!
Ta ostatnia, co została,
Woni zawsze, choć zwiędniała,
Jak na niwie, jak na łące.

Jako woni zwiędłej róży,
Tak i szczęścia i rozkoszy,
Nic pamiątki nie rozproszy,
Aż do grobu wiernie służy.

Moja przeszłość jest to wczora;
Dotąd czuję, dotąd słyszę
Śpiew słowika, gaju ciszę,
Na dolinie u jeziora.

Przytoczyłem cały ten wiersz, aby czytelnik sam mógł poznać to, co się nie da określić bliżej słowami: nieprześcignioną śpiewność wiersza, jego wdzięk elegijny i ton, tak niepodobny do tonu poprzednich utworów Zaleskiego, naśladujących obce wzory, n. p. do tonu *Ludmiły*, gdzie także występuje postać dziewicza.

Podniósłszy się pod wpływem poezyi Mickiewiczowskiej na wyższy stopień poczucia estetycznego, Zaleski z tej nowoosiągniętej wyżyny spojrzał na swoje dotychczasowe utwory poetyckie, i naturalnie wydały mu się teraz inaczej, niż przedtem. Wszystkie słabe ich strony wystąpiły na jaw przed jego okiem: raziło go teraz to, co w nich było słabem, niedołężnem, sztucznem, bezbarwnem, niezestrojonem, wszystko to, gdzie »dźwięk z czuciem nie był pogodzony«. I czuł, że teraz biorąc te same motywy mógłby nierównie piękniej zaśpiewać. Otóż, żeby sprawdzić to poczucie nowonabytej mocy, postanowił spróbować, jak muza jego przedtem wyśpiewany motyw potrafi w nową szatę poetyczną przestroić. Przynajmniej taką wyraźną próbą był *Wzgórek pożegnania*, przerobienie dumki: *Nieszczęśliwa rodzina;* mniej wyraźne próby tego rodzaju można widzieć w *Januszu Bieniawskim* (Wyjątek z rycerskiego rapsodu) i *Dumce Mazepy*.

Zobaczmy naprzód, jak mu się udała pierwsza próba, a przedewszystkiem rozważmy, czem się różni *Wzgórek pożegnania* od poprzedniego utworu o tym samym temacie. Forma strofy i wiersza pozostała ta sama, muzykalna zatem strona utworu nie zmieniła się wcale. Wylew żałosnych uczuć matki, który już w *Nieszczęliwej rodzinie* miał prostotę i szczerość, przeszedł prawie bez zmiany do nowego utworu, poeta dodał tylko kilka strof dla pełniejszej charakterystyki nieszczęśliwego położenia matki, odmienił kilka wyrażeń na trafniejsze i szczersze. Główna różnica polegała na wprowadzeniu malowniczości,

której nie było w pierwszej dumce. Nie było tam tła krajobrazowego, ale tylko krótka bezbarwna wskazówka:

> Tuż przy drodze stała chatka,
> Obok chatki był pagórek...

W przerobionej dumce pożegnanie odbywa się na tle rozwiniętego i barwami ożywionego krajobrazu. Przedstawia on na wstępie typową wieś ukraińską, schowaną w jarze, właśnie taką, jaką była i jest Bohatyrka, a w zakończeniu step roztaczający się zaraz za krawędziami jaru; i rzuca na ten krajobraz walczące jeszcze ze zmierzchem oświetlenie świtu, odpowiadające dobrze chwili odjazdu w świat daleki.

> Oto chaty dymią w dole,
> Górą kalinowe gaje,
> Przy gościńcu dalej w pole
> Kilka krzaków bzu wystaje.
>
> Za krzakami bzu wonnemi
> Miga wzgórek śród gałęzi,
> Wolny wietrzyk buja niemi,
> To rozszerza — to je węzi [1]).
>
> Tam, gdy zapadł krąg miesiąca,
> Przy świtaniu dnia rumianem,
> Wyszła matka boląca
> Z swą Zoryną i Ruślanem.

W *Nieszczęśliwej rodzinie* zgodnie z dumą ruską, gdzie oprócz matki trzy siostry żegnają brata, występuje matka »otoczona gronem córek«, ale te córki niczem nie odmalowane, nie wiemy nawet ile ich jest i wszystkie jakby chórem pytają brata, z której strony mają go wyglądać, nie tak jak w dumie, gdzie ta rola przypada najmłodszej siostrze, bo starsze co innego mają do czynie-

---

[1]) Tak jest w pierwodruku i tego wymaga sens. W wydaniu lwowskiem z r. 1877 mylnie wydrukowano: »więzi«.

nia. We *Wzgórku pożegnania* poeta wpadł na szczęśliwy pomysł, aby wprowadzić zamiast kilku córek, jednę tylko i to siedmioletnią, ale zato odmalować ją z nieporównanym wdziękiem:

Płacze siostra siedmioletnia
Jak jutrzenka złotowłosa;
Łza rumieniec jej uświetnia,
Jak poranny kwiatek rosa.

Pożegnanie i odjazd młodzieńca, naznaczone w *Nieszczęśliwej rodzinie* kilku krótkimi rysami, w jednej tylko strofie zamknięte.

Łzami młodzian odpowiedział,
Czule ścisnął — dosiadł konia,
Wieczny między niemi przedział,
Zniknął w dalekości błonia.

To pożegnanie w nowym utworze rozszerzyło się do trzech strof bardzo pięknych, w których i widok stepu, i pęd konia, i szybkie oddalanie się odjeżdżającego i tłumione w nim uczucia żalu, i tęsknota matki i siostry za odjeżdżającym, wszystko to razem przedstawione, wzajem się przenika i stanowi cudowny akord:

Łzy się w oku lśnią Ruślana,
Po zielonej spojrzał niwie,
Padł przed matką na kolana,
Ucałował siostrę tkliwie.

Dosiadł konia, z miejsca rusza,
Fale bujnych traw przegania,
Wiatr powieki mu osusza,
Wiatr zapiera w piersi łkania.

Długo matka, siostra, stały —
Prowadziły go oczyma,
Coraz dalej, mniejszy, mały,
Jeszcze mgli się — i już nie ma.

Powiedziałem wyżej, że *Nieszczęśliwa rodzina* zacierała kozackie ukraińskie rysy dumy ruskiej; otoż *Wzgórek pożegnania* wprawdzie tych rysów nie przywracał, ale

w inny sposób nadawał ukraiński charakter dumce, a to właśnie rozwijając tło krajobrazowe. Jar, step, koń, wiatr i mogiła, nazywana tu jeszcze wzgórkiem, składają się tu na wybitnie ukraińską barwę przerobionej dumki, która zatem i pod względem piękności wyrażenia i pod względem kolorytu miejscowego góruje znacznie nad swoją poprzedniczką z okresu przed poznaniem poezyi Mickiewiczowskiej.

Wyjątek z rycerskiego rapsodu nie jest takiem przerobieniem dawniejszego utworu, jak *Wzgórek pożegnania*, ale ma także poprzednika, z którym się wiąże motywem. Tym poprzednikiem jest *Lubor*. Powiedziałem już przy analizie tej ballady, że była ona dość dziwnem skombinowaniem niemieckiego motywu romantycznego z motywem, zaczerpniętym z dumy o Iwasiu Konowczence. Otóż ten motyw dumy, do *Lubora* już przyczepiony, ale bardzo mało tam rozwinięty, staje się teraz ziarnem, z którego wyrasta obszerny, w szczegółach wycieniowany, na rozległe tło stepowe rzucony, rapsod rycerski. Ale, żeby zrozumieć lepiej genezę tego utworu, stosunek jego do ruskiej dumy i wogóle stosunek naszego poety do ruskiej ludowej poezyi historycznej, potrzeba zaznajomić się z treścią owej dumy o Iwasiu Konowczence.

Jest to jedna z najdłuższych dum i najbardziej rozwiniętych w szczegółach, jedna z nielicznych, które nietylko po tamtej, ale i po tej stronie Dniepru bywają śpiewane, a przynajmniej do niedawna były śpiewane [1]), znajdowała zaś chętną publiczność z powodu, że tło historyczne odgrywa w niej stosunkowo mniejszą rolę, aniżeli moralne. Przechowała się też w mnóstwie waryantów. Konowczenko, tj. syn Konewki, nie jest postacią hi-

[1]) Валеріанъ Боржковскій, Лирники, Кіевская Старина 1889 г., T. XXVI, str. 665. П. Житецкій: Мысли о народныхъ малорусскихъ думахъ. Kijów 1893, str. 147.

storyczną, podobnie jak wielu innych bohaterów dum, tylko jest typową postacią kozackiego zucha. Jest to syn wdowy i stąd znany także Wdowiczenkiem. Matka z synem mieszka w Czerkasach, w tej najdalszej w XVI w. osadzie kozackiej, ognisku kozackiego, stepowego życia. Od lat najmłodszych matka starannie go pielęgnowała, przy sobie trzymała, nie oddając nigdzie na służbę, »do dobrego rozumu prowadziła«, jak powiada jeden z waryantów, i wciąż prosiła Boga, aby jej pozwolił dobrze wychować Iwasia, i aby mogła na starość spokojnie żyć przy nim. Ale oto w »sławnem mieście Korsuniu »pułkownik Filonenko rozpisuje listy, wzywające kozaków, ażeby do niego przybywali i uderzyli razem z nim na pogan, dla zdobycia sławy rycerskiej wojsku kozackiemu. Te listy asauli głośno czytają po miastach, więc i w Czerkasach. Dowiaduje się o tem wezwaniu matka wcześniej od syna, wraca zaraz do domu, wszystkie konie odsyła ze stajni, wszystką broń zamyka w komnacie, aby powstrzymać syna od wyprawy, sama idzie do domu bożego. Wstaje syn ze snu, szuka broni na ścianie, szuka konia w stajni i nic nie znajduje. Goni za matką, koło cerkwi ją spotyka, wyrzuty czyni. Matka zachwala synowi spokojne życie rolnicze: lepiej, synu, na chleb w polu orać, Kozaków na chleb — sól zapraszać, niż puszczać się na wojnę. Ale synowi nie uśmiecha się praca na roli; wie on, że go Kozacy za chleb, za sól będą poważać, ale zarazem będą się wyśmiewali z niego, nazywali hreczkosiejem, »domontarem«, a jego konia przybłędą; nie chce mu się też żółtych butów walać na roli, drogich sukni na kurz wystawiać; chce on sławy rycerskiej dostawać.

Według niektórych waryantów matka nie pozwala synowi ruszać na wyprawę i on wbrew jej zakazowi potajemnie przed nią puszcza się do kozaków; według tekstu, który Bohdan miał przed sobą, matka godzi się wreszcie z zamiarem syna. Więc już Konowczenko w obozie i kiedy

pułkownik zapytuje, jaki Kozak »dorodny« na »ozdobnym« koniu chce razem z nim »pohulać« w boju z Tatarami, Konowczenko pierwszy się odzywa. Pułkownik nie chce go wziąć z sobą, traktując jak dziecko — »które jeszcze ani na polu, ani na morzu nie bywało, śmierci koło siebie nie widziało«; jak pozna »zwyczaje kozackie«, wtedy co innego. Ale Iwaś Konowczenko ma gotową odpowiedź: »Nie wszystkie stare ptaki wysoko latają, nie wszystkie stare szczupaki karasie chwytają, zdarza się, że rybołówka mała zręczniej się sprawia od starej«. I pułkownik Filonenko bierze go z sobą, a Iwaś cudów waleczności dokazuje: dwunastu Tatarów zarąbał, sześciu wziął na arkan. Więc pułkownik wychwala młodego Kozaka, cześć mu okazuje, obok siebie sadza. Uradowany Iwaś prosi pułkownika, ażeby mu pozwolił okowity się napić, to on jeszcze lepiej pokaże, co umie. Pułkownik nie radzi mu pić wódki przed bitwą; jeśli się koniecznie chce napić, to niech się prześpi w jego namiocie. Ale Iwaś na to nie zważa, napiwszy się okowity, wyjeżdża na wronym koniu na harc z Tatarami, a ci poznawszy, że mają z pijanym do czynienia, odciągają go zręcznie od taboru kozackiego, opadają go z szablami i pistoletami i śmiertelne rany mu zadają. I tu dopiero następuje ustęp, który posłużył Bohdanowi za motyw do kilku strof *Lubora* i do całego *Wyjątku z rapsodu rycerskiego*. Martwy Kozak został w ręku Tatarów, ale konia jego nie pojmali. Wraca on pędem do taboru, obiega kurzenie, ciskając z pod ostrych kopyt ziemię i smutnem rżeniem wywołując swego pana. Widzi to pułkownik, domyśla się śmierci Iwasia, każe natychmiast Kozakom odbić ciało zabitego od bisurmanów, a kiedy to się stało, kopią dla Iwasia szablami dół w stepie, przy huku strzelb i dźwięku surm żałosnym, ciało tam jego chowają, mogiłę nad nim wysypują i sławę kozacką wychwalają. Ustęp ten w ory-

ginale według zbiorów księcia Certelewa i Maksymowicza brzmi:

To dobryj kiń do tàbura prybihaje,
Po kureniàm hulaje, hòstrymy kopỳtamy zemlu kopaje,
Smutno rżuczi, kozakà swoho wykłykaje.
To Chwyłonenko teje zaczuwàu,
Iz nameta swoho wystupàu, słowamy promowlàu:
»Otse wy bratci ne dobre zrobyły,
Szczo napyłoho kozakà hulaty pustyły,
Mow wy samy jeho z świta zhubyły.
Dobre wy dbajte, orużje zaprawlajte,
Busurmaniw od tiła kozàćkoho otbywajte,
Bo wże ne darom kozaćkij kiń po tàburu hulaję,
Mabut' Iwasia Konowczenka na świti ne maje«.
To Kozaki teje zaczuwały, na dołynu najskorijsze pośpiszały,
Busurmaniw od tiła kozàćkoho otbywały,
Szàblamy, prypòłamy perst' wybirały,
Iwasiu Konowczenku mohyłu nasypały,
W semipiadni pyszczali hremały,
U suremki żàłibno wyhrawały,
Sławu kozaćku wychwalały.

Duma nie kończy się na tym ustępie. Mówi ona dalej o tem, jak Kozacy po pogrzebie Iwasia, zdjąwszy tabor, wracali do »miast chrześcijańskich« i jak matka Iwasia wyczekiwała powrotu syna. Nadjeżdża pierwsza setnia, matka w niej syna nie dostrzega, nadjeżdża druga, sam chorąży na przedzie, dwaj Kozacy wiodą konia na powodzie. Matka konia poznaje, żałośnie przemawia, o śmierć i sławę synowską rozpytuje, wszystkich Kozaków na chleb, na sól zaprasza, pułkownikowi konia synowskiego podarowuje, innym szable i strzelby Iwasia rozdaje. W zakończeniu sława Kozactwa jeszcze raz podniesiona. »Sława ne wmre, ne polaże — Łycarstwo kozaćke wsiakomu rozkaże«.

W dumie tej, w stosunku syna do matki, występuje przeciwieństwo dwóch kierunków, dwóch warstw społecznych na Ukrainie: jednej, osiadłej, rolniczej, spokojnej,

która jest podstawą pokojowego rozwoju Ukrainy; drugiej, kierowniczej, awanturniczej, ale zarazem rycerskiej t. j. kozaczyzny. W tem przeciwstawieniu dwóch trybów życia, któremuż z nich duma przyznaje wyższość? Kozactwo jest tu otoczone, jak w innych dumach, rycerskim blaskiem, pogrzeb Konowczenki i stypa na cześć jego mają służyć do podniesienia jego sławy, on sam, sympatycznie przedstawiony, wciela niejako w sobie ów pęd do wolności kozackiej, który rzutniejsze i dzielniejsze jednostki wyrywał z ludności osiadłej, rolniczej — a przecież główny motyw zawiera w sobie ujemny pogląd na życie kozackie. Ten, który nie posłuchał matki, proszącej go, aby został przy roli i pracę ojca dalej prowadził, nie posłuchał potem i pułkownika. Zginął on wskutek tego, że nie umiał zapanować nad sobą: ten sam pęd do nieograniczonej wolności, który był duszą kozackiego życia, jak był przyczyną upadku Kozaczyzny, tak był przyczyną śmierci Konowczenki, a wódka - okowita oprócz bezpośredniego znaczenia, które dla słuchaczy ludowych było tak blizkie i przystępne, może doskonale symbolizować i to upajanie się kozackie bezgraniczną swobodą stepową.

Ta idea, ukryta na dnie dumy, nie przemówiła do naszego poety i nie zatrzymała go przy sobie; może też przy słabej znajomości historyi i nie dostrzegł jej wcale. Z wielu składowych motywów tej bogatej w szczegóły dumy, dwa tylko przylgnęły do jego wyobraźni tak — że je zapragnął odtworzyć: powrót konia bez jeźdzca do obozu, i uroczysty pogrzeb bohatera. Te motywy miały zapewne i same przez się, jako bardzo poetyczne, wiele uroku dla Zaleskiego, ale zdaje się, że przy ich wyborze pośredniczył także wpływ księcia Certelewa, wspomnianego już pierwszego wydawcy dum. W przedmowie do swojego małego zbioru zwrócił on szczególną uwagę na te dwie dumy, które posłużyły Zaleskiemu za temat do kilku utworów: jedną o Konowczence, drugą o od-

jeździe kozaka z domu, z pierwszej zaś, chcąc pokazać jej wysoką wartość estetyczną, wybrał Certelew te właśnie dwa ustępy, do ktorych się ograniczył i wybór Bohdana.

Przytoczywszy w oryginale ustęp o koniu, wracającym bez jeźdzca, pisał: »Podobny obraz nie zepsułby najlepszego poematu: zdaje mi się, że widzę, jak koń burzliwy przybiega do obozu, chodzi smutny między namiotami, ostremi kopytami ryje ziemię, posępnem rżeniem wywołuje swego kozaka! Cóż czynią na ten widok towarzysze walecznego? Rzucają się do oręża, pędzą w pole, odbijają od Tatarów ciało jego«. Następnie wydawca przytacza ustęp, opisujący pogrzeb bohatera, i dodaje: »Oto obraz godny wprawnego pędzla; przecudne wyobrażenie heroicznych zwyczajów ówczesnych! Pośród pola Kozacy ostremi szablami kopią grób, spuszczają weń ciało zabitego towarzysza, czapkami znoszą ziemię, nasypują wielki pagórek, strzelają, na trąbach przygrywają, i nakoniec z posępną pieśnią na cześć walecznego opuszczają smutną mogiłę« [1]).

Miał więc nasz poeta silną zachętę ze strony Certelewa do skorzystania z tych motywów. Skorzystał z nich naprzód, jak wiemy, w *Luborze*, ale w sposób pobieżny, nadając im charakter podrzędnego epizodu, który możnaby zupełnie wyrzucić z ballady, a taby nie wiele straciła na tem. Mianowicie przedstawiwszy, jak Lubor, pod wpływem jakiejś czarodziejskiej wody, zapada w sen kamienny i puszcza konia, którego trzymał przy sobie, wprowadza Bohdan następujące trzy strofy:

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory,
Tętent uśpionych przestrasza,
Między walecznych wpada tabory,
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

[1]) Опытъ собранія etc. Petersb. 1819 str. 10—11.

W całym obozie wrzawa się wszczyna,
Strach miesza mężne szeregi,
Rozpierzchła wodza szuka drużyna,
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciągną na pole znów chwały,
Zabrzmiały wokrąg wojenne dumy
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Jeżeli motyw powrotu konia dość wyraziście tu występuje, to motyw pogrzebu bohatera rozpłynął się w niejasnym obrazie »żałobnych pieśni«. To upośledzenie jednak drugiego motywu wypływało z konieczności; nie można było wyprawiać pogrzebu dla wodza, którego ciała nie znaleziono, ani sypać mogiły nad nim.

Teraz, pod wpływem poezyi Mickiewiczowskiej poczuwszy, jak mu skrzydła rosną do swobodnego i szerszego lotu, postanowił nasz poeta — tak się domyślamy — wrócić do tematu, który przedtem uderzył jego wyobraźnię, ale którego nie umiał wyzyskać, postanowił rozwinąć go na znacznie większą skalę i niejako wypróbować na nim wzmożoną siłę swojej fantazyi. Nowemu utworowi swemu chciał dać wyraźniejsze tło historyczne, niż je miała duma, więc wprowadził historyczną postać hetmana Wyhowskiego, która mu o tyle była miłą, że reprezentowała kierunek zgody między Kozakami a Polską. Iwasia Konowczenkę zamienił na Janusza Bieniawskiego i prócz waleczności i rycerskiej śmierci nic mu nie zostawił z bohatera dumy, a ponieważ rozpoczynał swój utwór od tego motywu, który był przylgnął do jego wyobraźni, od powrotu konia do obozu, uważał za rzecz potrzebną poprzedzić go krótkiem wyjaśnieniem, które miało zastąpić właściwy początek rapsodu.

W wyjaśnieniu tem, które w lwowskiem wydaniu z r. 1876 zostało odrzucone, a stąd wogóle jest nieznane, uwiadamiał poeta naprzód, że »myśl do tego rapsodu

wzięta jest z dawnych dum i obyczajów ukraińskich« i że »pogrzeb na końcu Janusza Bieniawskiego wiernie jest podług tychże dum i obyczajów skreślony«, a następnie pisał: »Treść opuszczonego tu początku zawiera w sobie następujące szczegóły. Tatarzy wkraczają na Ukrainę pod dowództwem murzy Betsbuły. Zamieszanie. Hetman koronny ciągnie z husarzami, pancernemi i petyhorcami brzegiem Horynia, Wychowski (sic), hetman kozaków, obozuje pod Czehrynem, Bieniawski z pułkiem swoim udaje się w stepy na zwiady. Noc. Przeczucia pułkownika Woronicza, brata i przyjaciela Bieniawskiego. Straż obozowa słyszy jakiś tętent; oto ciąg dalszy«.

Gdy rozważamy *Janusza Bieniawskiego*[1], jedna rzecz musi nas zastanawiać; ten bohaterski poemat nie ma właściwie żadnego bohatera indywidualnego, bo Janusz Bieniawski, który obecnie nadaje tytuł utworowi, pojawia się w rapsodzie już jako nieżywy. Ale ma bohatera zbiorowego: jest nim rycerstwo kozackie, które na wieść o zgubie towarzysza zrywa się, jak jeden mąż, ze snu, na rozkaz hetmana wyrusza pędem na Tatarów, dopędza ich, rozbija, a odbiwszy Janusza Bieniawskiego, już martwego, walecznemu towarzyszowi wyprawia rycerski pogrzeb i ku wiecznej pamięci jego sypie nad nim mogiłę. Ten zbiorowy bohater porusza się na olbrzymiem tle krajobrazu stepowego, którego rozległość poeta uwydatnia nie za pomocą epitetów i opisów, tylko przedstawiając pęd konnej pogoni za Tatarami. W tej pogoni migają jedne obrazy za drugimi, i tworzy się z nich długi łańcuch wrażeń, którym mierzymy rozległość stepu:

I w mgnieniu oka obóz zwinięty,
Już są na koniach, świsnęli strzałą;

---

[1]) Pod takim tytułem ukazuje się ten poemat już w lwowskiem wydaniu zbiorowem z r. 1838. W *Pamiętniku Warszawskim* z roku 1823, gdzie poraz pierwszy był drukowany, w tytule znajdujemy tylko: *Wyjątek z rycerskiego rapsodu.*

Brzękiem, parskaniem, rżeniem, tętenty,
Huczała ziemia, powietrze grzmiało.

. . . .

W chwili przepadły roczne zasiewy,
Zagarnął wszystko potok burzliwy,
Tratują łąki i niszczą krzewy...

. . . .

Bagna nie bagna, jary nie jary,
Leją się w górę, z gór na nizinę,
Już oto rzeka, szumi bór stary,
Skinął Wyhowski — wpław przez Taśminę.

Wraz się rzucili naprzód schyleni,
Gniewna się woda przed i za nimi
Pęka w obręcze, pluska, wre, pieni,
I srebrzystemi wyziewy dymi.

. . . .

I już brzeg — hetman wspiął się w strzemionie,
Czeka na hufce, obejrzał nieco,
Czy cali ludzie, czy wszystkie konie,
Ruszył — ruszyli, lecą i lecą.

Oto jest część tylko łańcucha, który się ciągnie przez cały niemal rapsod, przynajmniej aż do obrazu pogrzebu i ciągle tło stepowe z różnemi jego odmianami rozwija przed naszą wyobraźnią. Jest to poezya ruchu, poezya pędu, tak właściwa życiu kozackiemu i stepowej naturze, stworzonej na to, aby wiatr i koń po niej bujał. W początku też rapsodu w pierwszych kilku strofach, sam koń bez pana, posłuszny tylko własnej woli, jest bohaterem poematu:

Wichrzy jak zamieć, w kłąb zgięta szyja,
Jak nurt potoku zmarszczona grzywa,
Chaty po dołach, dąbrowy mija,
Przesadza wzgórki, wody przepływa.

Sam rozmiar wiersza, i rytm jego i średniówka, rozcinająca wiersz na dwie równe części, podnoszą wrażenie pędu, mają coś w sobie z galopa końskiego. Nic tu z poważnego, powłóczystego rytmu dumy nie zostało; jest to rytm własny poety, rytm jego duszy rzeźwej, mło-

dzieńczej, nasyconej wrażeniami i wspomnieniami stepu i te wrażenia przeżywającej w wyobraźni.

Obraz bitwy z Tatarami jest stosunkowo o wiele krótszy od obrazu pogoni, rysy ma bardziej ogólnikowe, ale nie brak mu zamaszystej malowniczości.

Starły się w pędzie obu wojsk szyki,
Jak wicher z wichrem, jak z chmurą chmura,
Biją pod niebo grzmotne okrzyki,
Tam Allach! allach! tu ura! ura!

Lata blask w stepie słońca ze stalą,
Tu i tam świszczą kul, strzał pociski,
Wraz prężą łuki, wraz z rusznic palą,
Kłębi dym, w dymie i huk i błyski.

Druga połowa rapsodu, opiewająca obraz cierpień na pobojowisku, odbicie Janusza, refleksye hetmana i pogrzeb bohatera, jest mniej malowniczą, nuży nieco swoją rozwlekłością i nie ma należytego zestrojenia szczegółów. Czuć tu już pracę poetycką, zamiast swobodnego natchnienia, które przewodniczyło poecie przy tworzeniu pierwszej połowy. W opisie pogrzebu widać, jak poeta stara się garnąć szczegóły z dum wzięte dla nadania archaicznego, kozackiego kolorytu swemu rapsodowi, ale śpiew uroczysty nad grobem bohatera, którym towarzysze sławią jego pamięć, a który także miał być rozwinięciem pewnego motywu stale w dumach powtarzającego się, ale tam krótko wyrażonego, kłóci się z tym kolorytem w sposób bardzo rażący, jak to już dawniej zauważono[1]), i przypomina stylem swoim raczej *Pieśni Rolników* Brodzińskiego, niż pieśni lub dumy ukraińskie. Do szczegółów z dum wziętych, z tych mianowicie, które w zbiorze Certelewa się znajdowały, oprócz sławienia poległego bohatera, należy kopanie ziemi szablami, przygrywanie na surmach,

---

[1]) Hugo Zathey. Sprawozdanie III gimn. w Krakowie str. 17. Al. Kolessa l. c. str. 166.

kwilenie kukułki nad martwym kozakiem (z dumy o ucieczce trzech braci z Azowa), sokół zasępiony na krzyżu, wreszcie źle zrozumiany przez poetę ustęp o »siedmiopiędziowych piszczelach«, t. j. strzelbach, lub armatkach długich na siedm piędzi, które wprowadził do rapsodu, jako siedmiopiędziowe *piszczałki*, (siedmiopiędziowych piszczałek świsty)[1]. Ostatnie dwie strofy o tonie elegijno-patryotycznym, zamykające rapsod, godne są uwagi z tego względu, że w nich poraz pierwszy w poezyi Bohdana występują mogiły, jako pomniki rycerskiej przeszłości.

Wszystko minęło — lecz stoją mogiły.

Jakkolwiek rapsod o Januszu Bieniawskim ma niektóre ustępy słabe, to jednak w porównaniu z *Luborem*, z którym spokrewniony jest tematem swoim, okazuje wyższość odrazu bijącą w oczy. W *Luborze* czuć brak swobodnego polotu fantazyi; jest on zlepkiem motywów źle stopionych, źle zestrojonych, a najpiękniejsze strofy wzięte są żywcem z Uhlandowskiego *Haralda;* w rapsodzie, z wyjątkiem hymnu pogrzebowego, który był sztucznym dodatkiem, wszędzie z mniejszą lub większą siłą występuje samodzielność poety, ton jego własny i własny sposób obrazowania. Na bezpośredni wpływ poezyi Mickiewicza wskazują tylko dwie strofy, godne uwagi już z tego względu, że są wyraźnem świadectwem chronologicznem: rapsod, jakkolwiek sam poeta dał mu datę 1822 r.,

---

[1]) Że Bohdan nie zrozumiał tego wyrazu, rzecz to dziwna, bo u Certelewa w słowniczku na końcu zbioru mógł znaleść objaśnienie: пищели - ружье. Mógł też znaleść, dobrze poszukawszy i u Lindego pod wyrazem: *piszczal*, *piszczel*, tylko że Linde głównie cytował ten wyraz w znaczeniu piszczałki i dopiero pod koniec długiego ustępu podawał i to drugie znaczenie: »Piszczel, gatunek armaty. np. Hetman stał na placu śmiele, Nie dbając nic na działa, ni drabskie piszczele. Stryjk.« Nie rozumiał też znaczenia tego wyrazu i Michał Grabowski, bo w swoim przekładzie dumy o Iwasiu Konowczence (Literatura i Krytyka 1857. Cz. II str. 83) odpowiedni wiersz przełożył: »W siedmiopiędzie piszczałki grzmieli«.

był już napisany po zaznajomieniu się poety z balladami Mickiewicza[1]). Obie strofy są naśladowaniem pewnych obrazów ballady »*Switeź*«, która widocznie najsilniej przemawiała do wyobraźni Bohdana. Pierwsza odnosi się do zgiełku, brzęku i tętentu, jaki wywołuje wojsko, ruszające w pogoń.

Lecz kto Carowa zwiedzi otchłanie,
Temu zgiełk wojska wyda się głuchy,
Tam to brzęk, rżenie, tętent, parskanie
Szerzą zaklęte pod ziemią duchy.

Strofa to zupełnie zbyteczna, wprowadzona tylko jako porównanie. A przy tem co to jest Carowo? Jest to widocznie jakieś jezioro, ale takie, którego nie tylko na Ukrainie, ale na całej przestrzeni dawnej Polski pod tą nazwą znaleść nie można. Ale można je znaleść w balladach Mickiewicza pod nazwą Świtezi. Wszakże to w tem jeziorze rosną kwiaty, które jakoby lud nazywa »cary«, stosownie do legendy do jeziora przywiązanej; wszakże to tutaj

Nieraz śród wody gwar jakoby w mieście,
  Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
  I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Carowo tedy jest jakby dokumentem umyślnie wpro-

---

1) Według Michała Grabowskiego miało się to stać jeszcze w Warszawie w mieszkaniu poety u Buczyńskich: »jeszcze widzę ciasny pokoik, w napół opuszczonym wtedy pałacu Krasińskich za Żelazną Bramą, gdzie mieszkał wówczas Bohdan Zaleski i gdzie mi czytał raz pierwszy swój rapsod głosem drżącym od wzruszenia ledwie dokonanej kreacyi«. Literatura i Krytyka. Wilno 1837. Cz. II, str. 110—111. Jeżeli pamięć Grabowskiego nie zawiodła, to trzebaby przypuścić, że albo Zaleski, przyjeżdżając z Leszczynka do Warszawy, stawał w dawnym swoim ciasnym pokoiku, albo rapsod miał dawniejszą jakąś redakcyę, która pod wpływem *Ballad* Mickiewicza przeobraziła się w to, co dziś znamy.

wadzonym przez poetę do rapsodu, aby świadczył, że poemat ten powstał już pod wpływem poezyi Mickiewicza. Drugą strofą w rapsodzie, która jest jakby echem *Switezi* i to wcale pięknem, jest strofa opisująca wrażenia rycerzy przebywających konno wpław Taśminę.

Cóż to, czy niebo na ziemię spadło?
Jakie złudzenie! co za odbicie!
Prująé przejrzyste wody źwierciadło,
Mniemali płynąć po zórz błękicie.

Przypomina to początkowe strofy *Switezi*, gdzie jest cudowny obraz odbicia się nieba księżycowego na gładkiej powierzchni jeziora (Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą — I dwa obaczysz księżyce). Te dwie naśladownicze strofy świadczą, jak łatwo i jak szczęśliwie mógł był Zaleski, gdyby chciał, naśladować nowy wzór, czy to w tym rapsodzie swoim, czy w jakichś balladach na tło ukraińskie przeniesionych, a przecież nie uczynił tego. Dla czego? to już wiemy. Poczuł swoją indywidualność poetycką.

Co się tyczy *Dumki Mazepy* można w niej widzieć także jakby powtórzenie dawniej użytego motywu w nowej postaci. Mianowicie utwór ten w pomyśle swoim i formie przypomina *Dumkę hetmana Kosińskiego*. I tu i tam wódz kozacki przemawia z konia, i czyni zwroty do tego wiernego przyjaciela, i tu i tam śpieszy do boju, i zwraca się myślą do ukochanej, wreszcie do tych pokrewieństw można by dodać rażące pokiereszowanie historyi w obu utworach. Ale poza tem różnica między nimi wielka. Mazepa, jako typ kozacki, jest realniejszy, bliższy prawdy, sytuacya zaś dobrana dla niego przez poetę jest niemal antytezą sytuacyi Kosińskiego. Obie kłócą się z historyą, ale o to mniejsza; rzecz główna, że sytuacya Mazepy jest wyjątkową w utworach Zaleskiego. Mówiłem już, że muza naszego poety, czerpiąc z tradycyi kozackich, obierała za-

zwyczaj szczęśliwe chwile zgodnego pożycia Kozaków z Lachami, ponieważ to odpowiadało jej naturze. Wyjątek stanowią tylko dwa utwory: »*Trzeci szturm do Stawiszcz*«, utwór późniejszy, drukowany dopiero w r. 1830 i *Dumka Mazepy* prawdopodobnie pisana w r. 1824, a wydrukowana w *Bibliotece Polskiej* 1825 roku (T. II). W utworze pierwszym Czarniecki oblega i pokonywa buntowniczych Kozaków i sympatye poety są całkowicie po stronie tego wodza. W utworze drugim Mazepa uchodzi z Warszawy, aby się połączyć z pogromcą Polski, Chmielnickim, a poeta, malując uczucia uchodzącego, zdaje się je zupełnie podzielać. Żeby to zrozumieć, trzeba się zastanowić nad genezą *Dumki Mazepy*.

Genezę tę, na podstawie danych przez samego poetę wskazówek, wyobrażam sobie w następujący sposób. Zaleski znał poemat Byrona o Mazepie, naturalnie w przekładzie francuskim. Utwór ten bardzo go interesował, jako czerpiący treść z dziejów Ukrainy, a tło krajobrazowe z jej przyrody. Wiedział też, że źródłem fabuły poetycznej dla Byrona była Historya Karola XII przez Woltera. Od Woltera Byron dowiedział się, że Mazepa był paziem na dworze Jana Kazimierza i że będąc młodym miał stosunek miłosny z żoną pewnego szlachcica polskiego, który dowiedziawszy się o tem, kazał Mazepę nagiego przywiązać do dzikiego konia i tak go puścił z owym koniem. Koń, który pochodził z Ukrainy, puszczony wolno, wrócił do swoich stepów, przynosząc tam z sobą Mazepę na pół martwego ze zmęczenia i głodu. Wolter nie określał bliżej, ani gdzie Mazepę przywiązano do konia, ani do jakiej Ukrainy koń go zaniósł, przed czy za Dnieprem. Byron był wyraźniejszy: z jego poematu sprawa tak wygląda, jak gdyby Mazepę schwytano i puszczono z koniem gdzieś pod Warszawą, z obrazu zaś wielkiej rzeki, którą koń w końcu swej podróży przebywa, możnaby wnosić, że rumak stepowy zaniósł Mazepę aż na zadnieprzańską

Ukrainę, tę właśnie, której potem został hetmanem. Wreszcie nieokreślony bliżej u Woltera szlachcic zamienił się u Byrona na wojewodę.

Bohdanowi ta fabuła quasi historyczna wydała się »dziką baśnią«. Znał on zanadto dobrze odległość Warszawy od Dniepru, aby go nie raziła nieprawdopodobieństwem pogoń dzikiego konia jednym tchem z nad Wisły na Ukrainę jakąkolwiek, bliższą czy dalszą. Dostał był przytem do rąk rękopis nieznanych jeszcze światu, przynajmniej w całości, pamiętników Paska [1]), gdzie fatalna przygoda Mazepy była opowiedzianą inaczej, wyglądała raczej groteskowo, niż poetycznie, ale nieprawdopodobieństwem nie raziła. Według opowiadania Paska, katastrofa, która spotkała Mazepę, miała się stać na Wołyniu, gdzie Mazepa miał wioskę. Szlachcic Falbowski, przekonawszy się o wiarołomstwie żony i winie Mazepy, zajechał mu raz drogę i kazał mu obrać sobie rodzaj śmierci. Mazepa przyznał się jakoby do winy i prosił o darowanie życia. Falbowski darował mu życie, ale »rozebrawszy go do naga, powiada Pasek, przywiązał go na jegoż własnym koniu, zdjąwszy kulbakę, gębą do ogona, a do głowy tyłem, ręce opak związano, nogi pod brzuch koniowi podwiązano, potężnie bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, zhukano, kańczugami osieczono, a jeszcze nadgłówek mu zerwawszy z głowy, kilka razy nad nim strzelono. Tąk tedy jako szalony bachmat skoczył ku domowi, a wszystko tam było gęstymi chróstami jechać: głóg, leszczyna, gruszczyna, ciernie, a nie drogą przestronną, ale ścieżkami, którędy koń drogę do domu pamiętał«. Gdy w ten sposób niesiony przez konia przyjechał pod wrota swego domu,

---

[1]) Fragmenty pamiętników Paska ogłoszone były po raz pierwszy przez Fr. Grzymałę w *Astrei* 1821 r., ale bez podania nazwiska autora. (Porówn. Wstęp do Pam. Paska w wydaniu Br. Gubrynowicza Lwów 1898). Od Grzymały też prawdopodobnie miał Zaleski rękopis tych pamiętników.

przerażeni słudzy nie mogli go poznać, żegnali się i z początku nie chcieli go puszczać. Falbowski miał potem w jakiś barbarzyński sposób ukarać swoją żonę. »Mazepa zaś, kończy Pasek, ledwie nie zdechł, i wysmarowawszy się, z samego wstydu wyjechał z Polski«[1]).

Pasek był osobistym nieprzyjacielem Mazepy, którego podejrzewał o oczernienie go przed królem i z którym miał starcie na dworze królewskim, a niechęć jego ku niemu objawiła się nietylko w stylu przytoczonego opowiadania, i innych ustępów pamiętnika, jemu poświęconych, ale i w wierszu szyderczym przezeń skomponowanym na temat fatalnej przygody. Zaleski, przeczytawszy Paska, musiał spostrzec tę niechęć i mógł przypuścić, że pod jego piórem »urosła dzika baśń, którą Wolter w życiu Karola XII za prawdziwą przytoczył, a Bajron w znanym poemacie powtórzył«. Urosła zaś ta baśń, według Zaleskiego, z powodu pogróżek panów polskich, urażonych na miłostki Mazepy, pogróżek, »iż przywiązanego do ogonów końskich wyprawią na stepy«[2]).

Więc jednym z czynników w genezie *Dumki Mazepy* była chęć zaprotestowania przeciw »dzikiej baśni«, która dzięki genialnemu pióru angielskiego poety miała stać się w całym świecie popularną. Ale nie to, sądzę, było główną pobudką. Przyszły poseł powiatu taraszczańskiego na sejmie powstańczym uważał się i teraz za przedstawiciela Ukrainy na »piaskach Mazowsza«, za dziedzica i naturalnego obrońcę jej tradycyi kozackich. W pamiętniku Paska znajdował odźwierciedlenie silnego antagonizmu prowincyonalnego między Mazurem a Kozakiem, a ponieważ autorem pamiętnika był Mazur, więc Kozak źle na tem wychodził. Otóż w Bohdanie zrodziła się chętka oświetlić

---

[1]) Pam. Paska. Lwów 1898 str. 224—225.

[2]) Porówn. przypisek na str. 138 wydania lwowskiego (1876) Pism I. B. Zaleskiego.

ten antagonizm z przeciwnej strony, kozackiej, wziąć w obronę Mazepę, i jak pamiętnik przedstawiał uczucia Mazura, Lacha, względem przedstawiciela Kozaczyzny, Mazepy, tak Bohdan zapragnął w dumce, napisanej na wzór już przez siebie stworzony, wyrazić uczucia młodego i zalotnego Kozaka w starciu z Lachami, a w szczególności z panami polskimi.

Obrona nie miała się ograniczać do samego Mazepy, ale rozciągać na całą Kozaczyznę, na jej ciągłe zatargi z Rzeczpospolitą. Wiemy już, jakie było źródło poglądów Zaleskiego na te sprawy: Niemcewicz i Święcki. Poglądy te powtórzył poeta nie tylko w samej dumce, ale i w przedmowie do niej. W dumce Mazepa mówi:

Myśmy Lachom byli wierni,
Przeciw hordom w każdej chwili,
Nim husarze, nim pancerni
Nadciągnęli, my już zbili.
I cóż mamy za to w zysku,
Oprócz więzów i ucisku?

W przedmowie poeta pisał: »Za panowania Zygmunta III już Kozacy zaporozcy uciśnieni byli przez niektórych panów polskich. Pod Władysławem IV na przełożenia Porty rozbrojono ich zupełnie, chociaż wedle prawa odwetu bardzo sprawiedliwie łupieżyli Tatarów. Takowa niewdzięczność Polaków za wielokrotne usługi i ofiary naturalnie musiała ich ku nim zniechęcić. Jakkolwiek atoli uciśnieni, długo tłumili nienawiść; majętniejsi nawet, aby pokryć polityczną swoją nicość, poczęli wysyłać synów na dwór królewski«. — Tu było przejście do charakterystyki bohatera dumki. »Między wielu takimi znajdował się także Mazepa za pazia przy królu Janie Kazimierzu. W tamtoczesnym rękopiśmie niejakiego Paska zdarzyło mi się czytać niektóre o nim szczegóły. Młody i piękny, namiętny i śmiały, acz bogaty i żyjący na polerowanym dworze, zachował wiernie Mazepa dziki nieco

charakter i zwyczaje swego narodu. Kochał Polki i nie lubił Polaków, śpiewał przy torbanie i tęsknił za wojną. Jakoż za zbliżeniem się Bohdana Chmielnickiego pod Zamość, natychmiast ze swymi umknął do rokoszanów: do tego właśnie czasu i czynu ściąga się duma następna«.

Skąd Zaleski zaczerpnął tej ostatniej wiadomości historycznej, trudno wiedzieć. Zapewne była to jego własna kombinacya, z fantazyi wzięta a zdradzająca wielki brak znajomości historyi u poety. Wszak Mazepa był paziem króla Jana Kazimierza, a w chwili oblężenia Zamościa przez Chmielnickiego Jan Kazimierz jeszcze nie był królem. Ale nie historya obchodzi nas w tej dumce; nie z dumki będziemy się uczyli historyi; obchodzą nas uczucia poety, które się w niej wyraziły. Otóż w chwili pisania tego utworu Zaleski tak był rozmiłowany w Kozaczyźnie, tak przejęty chęcią jej obrony, że sympatycznem światłem oblewał nawet takie jej momenty, których zwykle starannie unikał w swej poezyi, bo przeczyły jego ideałowi: zgody polsko-kozackiej. Jest w dumce kilka strof poświęconych Bohdanowi Chmielnickiemu, którego poeta ustami Mazepy wielbi za dzielność, z jaką pogromił Lachów. Jest to unikat w poezyi Zaleskiego, unikat, którego powstanie przypisuję, przynajmniej w części, podrażnieniu, jakiego nasz poeta doznał czytając w Pasku ustępy odnoszące się do Mazepy [1]). Wobec tego Mazura uczuł się on Ukraińcem do szpiku kości, ba, nawet Zaporożcem, do czego się niemało mogła przyczyniać wyczytana u Bielskiego tradycya o domniemanym kozackim przodku poety z czasów Świerczowskiego.

---

[1]) Szczególnie drażniącem mogło być dla Zaleskiego urągliwe a pełne humoru rubasznego zestawienie Kozaka Mazepy z niedźwiadkiem chowanym na dworze królewskim: »Tak tedy dwóch znacznych dworzaninów królewskich namieniwszy — Kozak uciekł z Polski, niedźwiedź zaś nie wiem w co się obrócił, czy z niego był człowiek, czy nie był«. Pasek l. c. 226.

Milsza, koniu, ziemia nasza,
Niżli piaski tu Mazowsza,
Oczakowska lepsza pasza
I Dnieprowa woda zdrowsza [1]).
Nuże! znowu będzie w Siczy
Pełno łupów i zdobyczy.

Co się tyczy samego Mazepy, to poeta jak był samodzielnym w odrzuceniu fabuły Woltera, Bajrona i Paska, tak też samodzielnie zobrazował postać młodego pazia. Jest on mało podobnym do bajrońskiego Mazepy, stryjecznego brata Korsarzy i Giaurów, a ma w sobie coś z rzeźwości ducha, jaką Zaleski nieraz w listach swoich z czasów młodzieńczych objawia. Jego kochliwość, zalotność, śmiałość i prawdziwie kozacki brak troski o jutro złożyły się na postać bardzo żywą, która tak przypadła do gustu Słowackiemu, że podług niej, a nie podług Bajrona wzorował swego Mazepę.

Polko piękna! Polko hoża!
Wstecz nie płyną wody rzeki,
Twój kochanek z Zaporoża,
Już nie wróci na wiek wieki!
Gdzieś daleko u Rusinek
Znajdzie miłość i spoczynek.

Niechaj kole cierniem róża,
Niechaj parzy mnie pokrzywa:
Ręka z wolą się przedłuża,
I co trudniej, śmielej zrywa.
Cóż wam szkodzi, wielkie pany,
Że się kocham, żem kochany?

---

[1]) Michał Grabowski, potrącając o genezę *Dumki Mazepy* popowiada: »Być także może, że Pan Zaleski pod zasłoną historycznego imienia (Mazepy) wypowiedział swoją własną tęsknotę za Ukrainą, od której był oddalonym i że odsłonił nam poufale barwy i uroki, w których jego własnej imaginacyi ukazywała się jego daleka, rodzinna, żywa, sprzeczna obyczajami i pozorem z Mazowszem strona«. Lit. i kryt. 1840. O szkole ukraińskiej poezyi str. 40—41.

Każda piękna dla mnie równa,
Kiedym zdrowy, hoży, młody,
Czy szlachcianka, czy królówna,
Czyli żona wojewody,
Czy Rusinka, czy Czerkieska,
Wiśniowiecka czy Sobieska.

Jeżeli sobie przypomnimy, że zalotność stanowiła wybitny rys charakteru tego hetmana, który w sześćdziesięciu kilku latach umiał jeszcze wzbudzić szaloną miłość w sercu młodej i pięknej Koczubejówny i pisywał do niej czułe listy miłosne, to charakterystyka podana przez poetę nabiera i historycznej wartości. Pod tym względem i wogóle jako przedstawienie typu kozackiego, *Dumka Mazepy* stoi znacznie wyżej od *Dumki hetmana Kosińskiego* i w stosunku do tej ostatniej, pisanej jeszcze przed zetknięciem się z poezyą Mickiewiczowską, okazuje postęp w rozwoju talentu poetyckiego Bohdana, podobnie jak *Wzgórek pożegnania* w stosunku do *Nieszczęśliwej rodziny*, a *Wyjątek z rycerskiego rapsodu* w stosunku do *Lubora*.

VI.

Atmosfera koleżeńska.

1824—1825.

Grabowski i Krechowiecki. — Jak się przedstawia Grabowski w listach do Bohdana. — Zaleski wraca do Warszawy; paroksyzm bajronizmu. — Drobne utwory; początek tęsknoty za »krajem lat dziecinnych«. — Nauczycielstwo w domu Szembeków. — Autoportret Krechowieckiego. — Listy Grabowskiego; jego krytyka ballad Witwickiego. — Grabowskiego aspiracye do twórczości poetyckiej. — Zaleski o swoich pracach. — Geneza i analiza *Damiana Wiśniowieckiego*. — Tradycya Wernyhory.

Biografia poety do r. 1824 na bardzo skąpym musiała się opierać materyale, więcej ramami jego życia, niż nim samym mogła się zajmować. Od r. 1824 zmienia się ten stan rzeczy o tyle, że przybywają listy przyjaciół, pisane do Bohdana, w których już, wprawdzie jeszcze pośrednio, możemy się zaznajamiać z historyą stosunków, wyobrażeń i uczuć poety, bezpośrednio zaś poznajemy najbliższą duchową atmosferę jego. Wreszcie od r. 1825 poczynają się listy samegoż Bohdana, przeważnie do tychże przyjaciół pisane, i od tej chwili możemy bezpośrednio patrzeć w jego duszę i w jej poruszeniach wewnętrznych szukać związku z jego poezyą.

Wyjeżdżając na posadę prywatnego pedagoga z Warszawy, dwudziestoletni nasz poeta zostawiał tam oprócz

wielu innych znajomych i przyjaciół świeższej daty, dawnego kolegę z Humania, Michała Grabowskiego, który już od dwu lat tam bawił. Przyjechał zaraz po śmierci ojca i tutaj z początku do liceum, potem do uniwersytetu jako wolny słuchacz uczęszczał, co zresztą nie trwało długo. Niebawem wstąpił do biur ministeryum oświecenia, gdzie miał przychylnego sobie swego imiennika, ministra Grabowskiego, ale zajęcie to uważał za tymczasowe, zamyślając o karyerze dyplomatycznej, i zrażony cierpkiem obejściem przełożonych, po niedługim czasie je porzucił[1]), poczem oddał się już tylko studyowaniu literatury, tak najnowszej zagranicznej, jak i staropolskiej. W parę lat po Grabowskim (zapewne w r. 1823) przybył do Warszawy i drugi humański kolega Bohdana, Jan Krechowiecki, ażeby ukończyć tu studya uniwersyteckie, w Wilnie rozpoczęte.

Dwaj ci młodzieńcy stanowili wybitny kontrast pod względem temperamentu i wychowania, łączyła ich jednak szczera koleżeńska przyjaźń wzajemna i uczucie takiejże przyjaźni dla Zaleskiego, połączonej z zupełnie szczerem, bezzawistnem uznaniem wyższości jego talentu. Grabowski, umysł żywy, otwarty, śmiały, dzięki bardziej kosmopolitycznemu wychowaniu, jakie otrzymał po części u Jezuitów w Romanowie, po części w liceum odeskiem, daleko trzeźwiej od swoich kolegów zapatrywał się na sprawy narodowe i wolny był od wielu złudzeń patryotycznych, którym ówczesna młodzież polska ulegała; swój

---

[1]) Jan Krechowiecki (Wiadomość o życiu i pismach Michała Grabowskiego, Kraków 1868 r., str. 8) tak tę rzecz przedstawia: ...»Zniecierpliwił się ostatecznie cierpkiem obejściem sekretarza jeneralnego Komisyi oświecenia, kasztelana Jana Tarnowskiego, który mu nieczytelne jego referaty zwracał. To go zniechęciło zupełnie do biura, zaprzestał w niem bywać. Pomimo tego, oszczędzając go, jako protegowanego ministra, dymisyi mu nie przysyłano i to zaniedbanie się nieskończenie tolerowano«.

zaś patryotyzm, którego mu bynajmniej odmówić nie można, zwracał wyłącznie na pole literatury i oświaty. Z drugiej strony stosunki z arystokratyczną młodzieżą rosyjską, z którą kolegował w Odesie, przyniosły mu rozmaite narowy, jak zamiłowanie w kartach, pojedynkomanię, rozrzutność, które też jaskrawiej występują w pierwszych latach jego młodzieńczych spędzonych w Warszawie.

Krechowiecki, o melancholijnem, marzycielskiem usposobieniu, chętnie zamykający się w sobie, bystrością umysłu i zdolnościami literackiemi nie dorównywał swemu koledze; ale miał duszę czystą, tkliwą i napojoną do głębi idealizmem tej sfery filareckiej, która go w Wilnie w czasach uniwersyteckich otaczała.

Ażeby dokładne dać wyobrażenie o stosunku przyjacielskim, jaki wiązał Bohdana z tymi kolegami, o tonie, jaki panował w ich rozmowach ustnych i pisanych, potrzeba przytoczyć niektóre ustępy z ówczesnej ich korespondencyi. W drugiej połowie lutego 1824, Bohdan Zaleski, jeszcze jako nauczyciel prywatny w Leszczynku, przyjeżdżał na czas jakiś do Warszawy. Były już drukowane w *Pamiętniku Warszawskim* i w *Astrei* niektóre jego dumki, ballady i rapsody, jak *Nieszczęśliwa rodzina*, *Lubor*, *Janusz Bieniawski*, *Dumka hetmana Kosińskiego*, *Wzgórek pożegnania* i inne i zjednywały mu, szczególnie śród młodszego pokolenia, niemałą popularność, a ta popularność w sercach kolegów nadawała tem większą cenę przyjacielskim stosunkom, które ich wiązały z młodym poetą. Niedługo po tym pobycie Bohdana w Warszawie, 4 marca 1824 r., pisał do niego Grabowski:

»Już dwa tygodnie od twego wyjazdu upływa, a jednak dotąd nie mamy żadnej wiadomości od ciebie, kochany Józefie! Postanowiliśmy więc z Krechowieckim zawstydzić naszą słownością twoje lenistwo.

»Ja powróciłem wczoraj z dwudniowej włóczęgi po zawieluńskich lasach, byłem o pięć mil za Warszawą

lecz powróciłem znużony i niekontent, bom się przekonał, że i samotność równie się prędko uprzykrzyć może, jak i zgiełk, który mnie ciągle otacza.

»Będziesz może chciał wiedzieć, jakie teraz życie prowadzę, nic ci nie powiem nowego, tylko, że się nudzę, jak zwykle, robię długi, czytam romanse W. Scotta, tracę pieniądze bez potrzeby i przyjemności, i staram się przekonać, że w chwilach, w których się najwięcej trzpiocę i śmieję, jestem szczęśliwy. O Józefie, takież to życie uszczęśliwić mnie może?

»Przebacz, że list ten skończę; gdybyś wiedział, ile czuję, kiedy w roztargnieniu nie mogę zapomnieć sam o sobie, ile czuję każdą razą, kiedy się przypadkiem zastanowię nad tem, czem być mogłem, czem jestem. Gdybyś wiedział przytem, jakie jest chaos w mem sercu, ile tam przeciwnych uczuć chcę przytłumić, nie dziwiłbyś się, że tak starannie unikam wszystkiego, coby mnie mogło wyrwać z letargu, w który się pogrążam.

»O Józefie, pisuj do mnie, twój głos tylko może mi jeszcze przeszłość powrócić, ty mi tylko jeden możesz obudzić w mem sercu to uniesienie, ten zapał do wszystkiego, co jest szlachetnem i pięknem, który się mnie już stał obcym oddawna.

»O Józefie, ty mnie przekonaj, że przyjaźń nie jest złudzeniem przynajmniej«.

Tak pisał dwudziestoletni młodzieniec do starszego o dwa lata poety i w jego duszy harmonijnej, która się już była wylała w niedrukowanym jeszcze *Śpiewie poety*, szukał dla swoich niespokojnych uczuć młodzieńczych ukojenia. Razem z listem posyłał Bohdanowi *Ivanhoe* Walterskota, a w przypisku obiecywał przysłać *Narzeczoną z Lammermooru*, jedno i drugie w tłumaczeniu francuskiem. Wogóle dla Bohdana, odciętego na prowincyi od bibliotek i ruchu księgarskiego, był on dostarczycielem nowości literackich, zwłaszcza, że jak przy innych oka-

zyach, tak i przy nabywaniu książek z pieniędzmi się nie liczył.

W trzy tygodnie po wyprawieniu tego listu, Grabowski otrzymał wiadomość od Bohdana, że ten czuje się chorym, a jakkolwiek poeta żartobliwie traktował tę swoją chorobę, Grabowski był niespokojny o jego zdrowie. — »Chciej porzucić ton żartobliwy, z którym mówisz o twej słabości — pisał do niego pod datą 30 marca 1824 r. — i donoś mi odtąd obszernie i często o stanie twego zdrowia, gdyż twoje milczenie wprawiałoby mię w zbyt przykrą niepewność«. W głębokiej troskliwości o zdrowie kolegi prosił go, aby mu zaraz w pierwszym liście wyszczególnił symptomata choroby, a on z tym listem udałby się do Malcza, jednego z najlepszych doktorów warszawskich, lub stosownie do życzenia Bohdana do jakiego innego doktora i zasięgnąłby rady lekarskiej. »Bądź łaskaw, zastanów się nad tą moją radą, gdyż wiedząc, ile jesteś niedbałym o twoje zdrowie, boję się bardzo, ażebyś i teraz nie zbyt lekko ważył swojej słabości«. W dalszym ciągu listu donosił o sobie, że także jest niezdrów, zaziębiwszy się w jakiejś romantycznej wycieczce z Warszawy i, że korzystając z tego pozoru, zamknął się w swoim pokoju, »ażeby przynajmniej wytchnąć po tylu scenach głupich, śmiesznych i nużących, w których, jak gdyby jakimś losem, zawsze muszę grać rolę«. I tu spowiadał się przed przyjacielem z nowego pojedynku, który mu groził. »Było już nawet wyznaczone miejsce i godzina, kiedy mój przeciwnik [1]), nie mając sekundanta, odwlókł rzecz nadal i nie wiem dotąd, kiedy to się skończy«. — Nie chlubił się jednak bynajmniej z awantury pojedynkowej i owszem, w myśl zapewne poglądów przyjaciela, przyznawał, że »zniża się do nikczemnych kłótni z nikczemnymi ludźmi«.

---

[1]) Kapitan Olbrotowski.

List ten Grabowskiego, bardzo długi, jest niezmiernie ciekawy, naprzód jako obraz duszy młodzieńczej, niespokojnej, miotanej żądzą używania życia, a jednocześnie dążącej do wznoszenia się nad jego poziomy i rozglądania się w szerokich horyzontach, powtóre jako wyraz tych wpływów romantycznych, których źródłem była świeżo ogłoszona *Czwarta część Dziadów*, oblewająca uczucie miłości nieznanym dotychczas czarem poetyckim, po trzecie, co nas tu najwięcej obchodzi, jako materyał do charakterystyki stanowiska, jakie względem rówieśnych lub nieco młodszych od siebie przyjaciół warszawskich, wyjednał sobie Zaleski swoją dotychczasową poezyą i osobistym z nimi stosunkiem.

»Od kilku dni mej samotności — pisał dalej w tym liście Grabowski — czytam ciągle *Badania natury* (Etudes de la nature par Bernardin de Saint-Pierre). Nie wiem, czy znasz to dzieło, jest to filozof naturalista, łączący myśli Pascala ze stylem Chateaubrianda. Odkrył on rozległe pole mym myślom, pierwszy nauczył mnie zapatrywać się na cuda natury, pierwszy mi wskazał w jej pięknościach zamiary i mądrość sił Twórcy. Samotność i nieszczęście ukształciły jego serce, a natura i religia jego natchnieniem były«. I bezpośrednio po tych uwagach, które zapowiadały jakiś szereg rozmyślań na temat najważniejszych zagadnień życia, przechodził do obrazu swego miłosnego stosunku z piękną śpiewaczką warszawską, Wilkowską, któremu nadawał gorący ton romantyczny. »Oprócz chwil, które poświęcam temu zajmującemu czytaniu, za najprzyjemniejsze, za najszczęśliwsze może nawet liczę te, które przepędzam co wieczór w teatrze, gdzie zawsze lub prawie zawsze bywam. Wspomniawszy na to, com ci nagadał o ładnej aktorce, o którą miałem awanturę z wiadomym ci oficerem z głównego sztabu, domyślisz się zapewne, że to oczy Wilkosi natchnęły mnie tem przywiązaniem do narodowej sceny. Ach! czemuż nie mam mocy

utrzymywać przeciwnie. Wiele osób śmieje się ze mnie, na jednej bowiem n. p. nowej operze, na *Turku we Włoszech*, byłem już siedm razy następnie [t. j. z kolei], ty sam nawet, gdybyś znał moją słabość w tym względzie, uwierzyłbyś jeszcze mocniej w czary i uroki, o których i tak, jako prawy Zaporożec, wątpić nie możesz. W istocie kochany Józefie, nie jestem już dzieckiem, minął czas, kiedy sny mej wyobraźni brałem za uczucia serca, przyznam ci się jednak, że gdyby nie wkorzenione moje arystokratyczne przesądy i nie duma, która mi nie pozwala wzdychać do ładnej śpiewaczki, nie wiem, czybym dla niej nie zrobił większego jeszcze głupstwa, jak żem się już raz chciał strzelać o jej miluchny uśmiech. Może będziesz myślał, że się kocham. O nie, ja tak przynajmniej nie sądzę. Uwierzyszże, że od spotkania mego z nią w kościele św. Jana, razem z nią tylko mówił, i to z ironią i szyderstwem, które ją może na zawsze odstręczyły odemnie. Uwierzyszże, że odtąd nigdy nie staram się z nią widzieć, unikam nawet jej spotkania i nie widuję jej nigdy, tylko na scenie. Nie, już ona nie jest niczem więcej dla mnie, [jak] tylko snem przyjemnym, znikomem zjawiskiem, tęczą, która rozchmurza dni moje, lub raczej fantastycznem widziadłem, które na chwilę tylko upoetycznia jednostajną kolej mojego życia i zawsze mnie zostawia w oczekiwaniu lub tęskności. Jednakże, kiedy pomyślę, jakbym łatwo poświęcił dla niej majątek, życie, nawet wszystko, czuję, że bliższym byłbym prawdy, gdybym rzucając się w twoje objęcia, powiedział: O kocham, kocham!

»Kochany Józefie, serce moje mimowolnie się zdradza, tak, kocham ją, kocham, jeżeli to smutne uczucie, które całe moje serce zapełnia, miłością nazwać można. Gdybyś wiedział, ile czuję, kiedy niepostrzeżony śród tłumu, wpatruje się w jej boskie oczy, kiedy jej głos harmonijny się powtarza w mem sercu, gdybyś wiedział, jak się zakrywam płaszczem, ażeby ukryć płynące łzy z mych

oczu i w jak gwałtownym stanie wychodzę i błąkam się wśród nocy pod oknami jej mieszkania, dopierobyś poznał, ile jestem obłąkany i ile mnie kosztuje zamykać w mem rozdartem sercu uczucia, których się nikt wkoło mnie nie domyśla, ani rozumie.

»Józefie, świat, pośród którego żyję, nauczył mnie, wstydzić się wszelkich uczuć głębokich i prawdziwych, nauczył mnie wstydzić się wszystkiego, co wychodzi nad zimną sferę przyzwoitości i interesu, wstydzić się wszystkiego, co nosi na sobie piętno entuzyazmu i poświęcenia się. Dla ciebie jednego nigdy serce moje skrytem nie będzie. Przed tobą śmiało wyznaję mą słabość, bo ty potrafisz zrozumieć i podzielić moje uczucia... Kochany Józefie, nie pomylisz się, [myśląc,] że mam większą gorączkę od ciebie.

»Zbyt długo piszę, wiem jednak, że mi tego za złe nie weźmiesz. Moje serce od tak dawna jest obce wszystkim uczuciom sympatyi, żem je mimowolnie wylał, mówiąc do Ciebie«.

O ile ostatnie ustępy przytaczanego listu świadczą wymownie, jak się pod wpływem najnowszej poezyi romantycznej rozwiązał był język uczuć miłosnych, i podają próbę tonu żartobliwie czułego, jaki panował w stosunku między tymi młodymi Ukraińcami, o tyle zakończenie listu wymownie nas przekonywa, jakiem uznaniem i wpływem cieszył się młody nasz poeta wśród swoich bliskich, także bardzo młodych przyjaciół, posiadających wyższe aspiracye. Jednym z nich był Paulin Rydzewski, i o nim to pod koniec listu jest mowa. Przesyłając ukłony od niego, Grabowski z wielkiem współczuciem wyrażał obawy o jego przyszłość. »On także z rodzaju tych ludzi, dla których nie ma szczęścia na ziemi.' Lękam się nawet, ażeby talenta, które on obiecuje, nie przyniosły żadnego owocu. Zawczesna wolność, pieniądze i sposobność ich użycia zgubią go. Obym się omylił, gdyż zalet jego serca

nie w jednym trzebaby szukać napróżno. Nie wiem, czy mogę więcej powiedzieć na jego pochwałę, jak, że w nim tylko jednym znalazłem dotąd twoją czułość i bezinteresowność. Chciej do niego napisać parę słów, zachęcając go do pracy i nie zaniedbywania swoich zdolności. On tak cię ceni, że to go odwiedzie choć na czas jaki od nieczynności i roztargnienia.

»Tęż samą prośbę zanoszę za sobą, nie wiem bowiem, czy kto więcej potrzebuje, jak ja, być ciągle zniewolonym do zajęcia się pracą. Obiecujesz mi przysłać poezye Goszczyńskiego, a nie mówisz o swoich, któreś mi obiecał i o które prosiłem. Józefie, gdybyś wiedział, ile dla mnie chwil napełnisz nowem życiem, przychylając się do mej prośby, wiem, żebyś był mniej skąpym. Twoje poezye, które jak czyste wody Dnieprowe powtarzają smutne brzegi i błękitne niebo Ukrainy, przeniosą mnie w te miejsca i w te czasy, kiedy nie znałem innego uczucia nad głęboką i czystą moją przyjaźń dla Ciebie. Twoje posępne dumy obudzą we mnie dawne mi obce uczucia harmonii i piękności, i łzy moje lżej płynąć mi będą, kiedy je zmieszam ze łzami wspomnień rodziny i przeszłości«.

List ten, nim został wysłany, przeleżał kilka dni u Grabowskiego, a tymczasem nadjechali do Warszawy znajomi jego, pp. Złotniccy, z jakąś ładną panną, do której przedtem zwracał swoje uczucia, tak, że znalazł się »między Scyllą a Charybdą« i nie wiedział, teraz na którą przechylić się stronę. Pod wpływem tych nowych wrażeń i obudzonego zmysłu krytycznego, którym był hojnie od natury obdarzony, innemi spojrzał oczyma na swoje wynurzenia romantyczne w liście przed kilku dniami pisanym do przyjaciela i już chciał zniszczyć ten list, tę »płaczliwą epitrę«, ale się rozmyślił i tylko dodał (pod datą 2 czerwca) przypisek, objaśniający o zmianie w nastroju serca. Ta zmiana odnosiła się do uczuć miłosnych, nie

do przyjaźni; »moja przyjaźń, kończył się przypisek, nie podlega temu wpływowi różnych zmian księżyca«.

Tak się przedstawia Grabowski i stosunek jego do Bohdana w początkach znanej nam korespondencyi między nimi. Młodzieńcza werwa, żywość, czułość i bezwzględna szczerość wesołym ogniem płoną w tych listach. Inny jest styl i inaczej przedstawia się we współczesnych swoich listach do Bohdana drugi jego kolega humański, Jan Krechowiecki. Tylko w uczuciach dla poety panuje zgodność między obu korespondentami. I Krechowiecki cenił niezmiernie przyjaźń Zaleskiego, dopraszał się w imię wspomnień dawniejszych o miejsce w sercu jego i chętnie wynurzał się przed nim ze swoich uczuć. Ale główną cechą, i stylu i postaci Krechowieckiego jest sentymentalizm, romantyczne lubowanie się w smutnych uczuciach i obrazach.

Zanim jednak podam próbę jego stylu i usposobienia, zobaczmy co się z Zaleskim działo w owym czasie. Z końcem czerwca 1824 roku opuścił on Leszczynek na zawsze i przyjechał do Warszawy. Jakie były powody rozstania się jego z Leszczynkiem, nic o tem nie wiemy; wiemy tylko, że niedługo po przyjeździe do Warszawy, wspominał »lasy i wody i niwy« Leszczynka, wśród których był »samotny, wesół, swobodny, szczęśliwy«. Pobyt w Warszawie tym razem nastroił go bardzo pessymistycznie; muza jego tak odporna i przedtem i potem na wpływy bajronizmu, uległa im teraz. Dowodem na to iest utwór jego poetycki p. t. *Fantazya, wiersz do P. R.*, umieszczony w pierwszym zeszycie *Dziennika Warszawskiego* z r. 1825, a mający wyraźną datę: Dnia 25 lipca 1824 r. Że był pisany w Warszawie, wynikało z treści wiersza. Litery P. R. oznaczają Paulina Rydzewskiego, tego, którego Grabowski polecał opiece przyjacielskiej Bohdana, prosząc, aby go zachęcił do pracy i nie zaniedbywania swoich zdolności.

Ale wiersz, o którym mowa, nie był zachętą ani do pracy, ani do życia. *Fantazya do Rydzewskiego* tak niepodobną jest do całej twórczości Zaleskiego, tak rażąco odbija od niej swym pessymizmem, że nie dziwimy się, iż poeta wyrzekł się jej niejako w późniejszych latach, nie wciągając do ogólnego zbioru swoich poezyi. Co prawda, mógł się wyrzekać także i dlatego, że w wielu miejscach była bardzo niewykończoną i mętną. Zato tem godniejszą jest uwagi, jako wyraz chwili, w której bajronizm, szeroko wówczas rozpościerając skrzydła nad światem, rzucił cień swój i na muzę Bohdana. Poeta przybywszy do Warszawy uczuwa czczość, pustkę i nudę wśród »klasycznych stosów kamieni«, a przecież tak niedawno na wsi tak dobrze mu było:

Dawnoż? niedawno, o tejże godzinie,
Samotny, wesół, swobodny, szczęśliwy,
Za czem utęskniasz, ja miałem Paulinie!
Lasy i wody i niwy.

Wtedy myśl lekka, fantastyczna, skora,
Jako poranek dziewicza, pogodna,
Trącała czuciem, jak wodą jeziora
Potrąca wietrzyk, aż do dna.

Dziś, miasto lubych skowronkowych pieśni,
Smutny, jak nicość, jęk zegaru z wieży
We łzach zwiędniałej myśli nie odświeży,
Nie wskrzesi natchnień w tej cieśni.

Bezcelność życia — niesmak i gorycze
Świat idealny ćmią mi przed źrenicą;

. . . .

Ach! wszystko niknie i zawsze toż samo,
Gwiazdy jednakie, jeden księżyc błyszczy,
Słońce tąż wstaje, tąż zachodzi bramą,
Śmierć zaś przeradza, nie niszczy.

. . . .

Któż wie, Paulinie! może śród biesiady,
Gdy zabrzmi toast przy godowej czaszy,

Mój duch naówczas, bohater ballady,
Twych uczestników przestraszy.

Któż wie, Paulinie! bo któż znać co może!
Nicość tu widna i chęci olbrzymie,
A nasze lutnie i szaty pielgrzymie
Za chwilę ujrzy rozdroże...

Było to jakby zaprzeczenie tego wszystkiego, co poeta wyśpiewał o sobie przed rokiem w »*Śpiewie poety*«. Był to paroksyzm bajronizmu, którym Bohdan zaraził się może od tegoż Paulina Rydzewskiego, do którego z pomocą duchową wzywany był przez Grabowskiego; a warto i na to zwrócić uwagę, że ten paroksyzm przypadł na czas, kiedy główny przeciwnik bajronizmu a moralny dyrektor młodych romantyków warszawskich, Brodziński, był za granicą. Ostatnie dwa przytoczone wiersze zawierały w sobie alluzyę do prędkiego odjazdu Bohdana na nowe miejsce nauczycielskie, do Płocka, zapewne i do wyjazdu Krechowieckiego na Ukrainę, a może i do wyjazdu Rydzewskiego z Warszawy.

Do tych czasów odnosi się kilka wierszy Bohdana, wydrukowanych w noworoczniku na r. 1825, p. t. *Wanda*, a pisanych w roku poprzednim[1]). Są to: *Fiołek*, *Odmiana*, *Do Gitary*, *Westchnienie za rodzinną chatką*. O pierwszych dwu wierszach później wypadnie mi mówić; wiążą się one z historyą pierwszej miłości Bohdana. Dwa drugie swoim smutnym tonem zbliżają się do *Fantazyi do Rydzewskiego*. Tylko to nie jest ton bajroniczny, ale cichy, spokojny smutek młodzieńca, który po raz pierwszy oglą-

---

[1]) *Wanda*, wiązanie na rok 1825. Płci pięknej i sztukom wyzwolonym poświęcone, ozdobione rycinami. W Warszawie, nakładem A. Brzeziny. Wstępne oświadczenie wydawcy (że wydaje *Wandę* na wzór zagranicznych almanachów czyli roczników damskich) ma datę 8 grudnia 1824 r., jest to więc termin, przed którym musiały być owe wiersze pisane.

da się za siebie, i złote nadzieje, co mu przyświecały w zaraniu młodości, porównywa z szarą otaczającą go rzeczywistością. Młody poeta, który ma tak śpiewną i marzącą i stroniącą od ludzi duszę, gdzież znajdzie lepszą ulgę na swoje smutki, jeżeli nie w tem narzędziu muzycznem, co jest jakby stworzone do wtórowania cichym westchnieniom i tęsknocie wspomnień. Oto szara godzina zapada, w sercu poety wzbiera tęsknota, cóż łatwiejszego jak sięgnąć ręką do gitary wiszącej na ścianie.

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tkliwej duszy,
Brzmiących strun twych dźwięk żałosny
Niech westchnienie me zagłuszy.

. . . .

W zbiegłych moich lat kolei
Nie zaznałem szczęścia wcale:
Prócz tęsknoty i nadziei,
Ciągły zawód, ciągłe żale.

Z pokrewnego usposobienia wypłynęło »*Westchnienie za rodzinną chatką*«, wiersz godny uwagi z tego względu, że tu jest początek owej tęsknoty za »krajem lat dziecinnych«, która rozszerza się potem do całej Ukrainy i stanowi jeżeli nie najwybitniejszy, to jeden z najwybitniejszych tonów w liryce Zaleskiego. Cztery już lata upłynęły od czasu, jak młody poeta opuścił strony rodzinne; wśród nowych wrażeń, nowych stosunków, nowych a licznych znajomości, zajęty teraźniejszością, która mu co raz nowe odkrywała widoki, nie miał czasu ani potrzeby zwracać się myślą w przeszłość. Ale nadeszła chwila, o której wyżej była mowa — chwila porachunku z teraźniejszością, i wtedy poeta spojrzał w przeszłość dalszą, która mu już przez warstwę oddalenia zaczynała błękitnieć i w idealnych przedstawiać się rysach.

Jakże czuł się wtedy lekkim, swobodnym, szczęśliwym, jakże świat był dla niego pełnym cudów, jak się

przyszłość rozkosznie uśmiechała! Pamięć tego nastroju pozłacała mu wszystkie wspomnienia dzieciństwa, które naraz w duszy jego ocknęły się żywo.

Jakże ziemia ta wszystka,
Jak w źwierciedle odbita,
Od księżyca do listka
W mej pamięci rozświta.

Widzę tamże też łany,
Jak i wonią i kwitną,
Jak poranek rumiany
Płoni wodę błękitną.

I znów żyję jak młody,
Gdym co wieczór, co ranki,
Patrzał w niebo, na wody
I na oczy kochanki.

Co o tej kochance myśleć, później powiem. Tutaj dodam tylko, że wiersz ten urodził się zapewne w Warszawie, w tych czasach, kiedy to »bezcelność życia, niesmak i gorycze — świat idealny ćmiły przed źrenicą« i kiedy zatem na tle takiego usposobienia tem większego uroku nabierały wspomnienia dzieciństwa.

Nowe miejsce prywatnego nauczyciela, na które odjechał teraz Zaleski z Warszawy, było u hrabiego Piotra Szembeka, pułkownika, później generała, który w powstaniu listopadowem znaczną odegrał rolę. Został nauczycielem jego syna Aleksandra i przy tem zajęciu wytrwał przez lat sześć, aż do wybuchu powstania. Ale rzecz dziwna! i ten tak długi pobyt Bohdana w obcym domu i to już w czasach, kiedy imię jego stawało się głośnem w literaturze, zakryty jest mało przeźroczystą zasłoną, o ile chodzi o stosunek do ludzi, z którymi żyć musiał ciągle pod jednym dachem. W szerokiej korespondencyi Bohdana znajdzie się tylko parę listów, na podstawie których, znając skądinąd usposobienie i tem-

perament poety, można wogólnych rysach zakreślić stosunek jego do Szembeków.

A naprzód dowiadujemy się od niego samego[1]), że pod względem materyalnym miejsce to było bardzo korzystne, że sam je za takie uważał. »Kto ma swobodę, wygodne a nawet zbytkowne życie, przytem 4000 (złp.) dochodu, nie może powiedzieć, że mu się źle powodzi«. W istocie na stosunki ówczesne była to płaca wyjątkowo świetna, zwłaszcza, że nasz poeta nie mógł imponować ani patentem, ani gruntownem wyższem wykształceniem[2]). Żeby zrozumieć, skąd tak korzystne warunki pochodziły, trzeba zwrócić uwagę na zamożność Szembeka i na to, że syn jego był jedynakiem, ale z drugiej strony trzeba wiele przypisać urokowi, jaki wywierała postać młodego poety. Było w nim skojarzenie żywości uczuć, czasem prawie dziecinnej, z melancholijnem marzycielstwem, a to na tle zupełnej naturalności i prostoty i to mu nadawało szczególny wdzięk, który pociągał wszystkie serca. Zresztą znane już były w Warszawie i dobrze przyjęte jego pierwsze poetyczne utwory. Szembekowi musiało wiele zależeć na tem, aby dać swemu jedynakowi takiego nauczyciela. Co rozumiał Bohdan przez swobodę, można się domyślać. Oto obowiązek jego kończył się na dawaniu lekcyi swemu uczniowi, od opieki zaś, czuwania nad nim zape-

---

[1]) W liście do siostry 1826 20/8 stycznia. Korresp. I 13.

[2]) Do Onufrego Pietraszkiewicza, który był już patentowanym nauczycielem publicznej szkoły w Lublinie, Adam Mickiewicz pisał o parę tylko lat wcześniej (3 września 1822 r.): »Jeśli porzuciłeś Lublin i nie myślisz tam powracać, co z sobą zrobisz? Są tu w okolicy dobre miejsca guwernerskie, — jeźli te miejsca zasługują kiedy na imię dobrych. Tutejszy dozorca honorowy Zabiełło szuka kogo do swego synowca małego i podobno synowicy. Dałby wszelkie wygody i sto dukatów, może i więcej«. (Nieznane pisma Adama Mickiewicza, wyd. I. Kallenbach, Kraków 1910 str. 351). Otóż miejsce, które otrzymał Zaleski u Szembeków pod względem zapłaty było dwa razy lepsze od tego, które Mickiewicz nazywał dobrem.

wne był wolny, wiemy bowiem, że w niedzielę, kiedy lekcyi nie było, mógł zamykać się na cały dzień w swoim pokoju [1]). Jaki był wzajemy stosunek Bohdana do generała, łatwo sobie wyobrazić, gdy się zna łagodny temperament pierwszego i jego zgodne usposobienie, a z drugiej strony gdy się wie, jak zacnym i dobrym człowiekiem był generał. To też niewątpliwie panowała między nimi najlepsza harmonia i słów Bohdana, przesłanych synowi generała po śmierci tego ostatniego w roku 1866 nie można uważać tylko za wyraz konwencyonalnych uczuć, ale za szczerą prawdę [2]). Generał przytem lubił opowiadać o swoich przygodach wojennych, Bohdan chętnie ich słuchał, a to zwiększało wzajemną sympatyę. O stosunku do ucznia i do pani domu nie wiemy nic zgoła, prócz tego że poeta w późniejszych latach miał trochę żalu do swego ucznia, iż przez lat z górą trzydzieści od czasu ich rozstania się ani jednem słowem nie przypomniał się swemu nauczycielowi [3]). Z tego by należało wnioskować, że stosunek

---

[1]) Korr. I. B. Z. T. I. str. 28.

[2]) »Nieboszczyk Jenerał był to zacny, prawy i zasłużony Polak. Wiesz, panie Aleksandrze, jak ściśle żyliśmy z sobą. Byłem wiele lat powiernikiem jego uczuć, a po wybuchu listopadowym i uczestnikiem poniekąd w działaniach. Opowiadania barwne Jenerała o zawodzie wojackim od zarania życia, przygody na Moskwie, w Gdańsku i t. p. utkwiły mi w pamięci żywo, że zdają się wczoraj zasłyszane«. Korr. IV.

[3]) Korresp. III. 107. W odpowiedzi na list hr. Piotra Szembeka, syna Aleksandra, w pewnej podrzędnej sprawie, Bohdan pisał (24 lipca 1862): »Ojca także w imieniu mojem pozdrów najserdeczniej. Cięży mi na sercu przerwany tak dawno stosunek między nami. *Ojcu by należało uczynić pierwszy krok do mnie* Bóg widzi, że kocham ich tam wszystkich w Siemianicach po staremu«. Jednakże Aleksander Szembek zgłosił się do swego dawnego nauczyciela dopiero w cztery lata potem, już po śmierci ojca (1866). Odpowiadając na jego list Bohdan pisał: »Kochany panie Aleksandrze, twój list rozrzewnił mnie słodko i poczciwem uczuciem i wspomnieniami z lat milszych minionych. Wielka żałoba w domu twoim, to prze-

nie był zbyt serdeczny, ale z drugiej strony trzeba wziąć na uwagę, że upadek powstania listopadowego był katastrofą, zdolną bardzo silne nawet zrywać węzły i zacierać wspomnienia.

Szembek, jako pułkownik, nie mieszkał stale na jednem miejscu, ale zmieniał miejsca pobytu stosownie do tego, gdzie pułk jego był rozłożony. Razem z pułkownikiem przenosiła się jego rodzina i nauczyciel jego syna, i w ciągu kilku lat tego nauczycielstwa znajdujemy Bohdana kolejno w różnych miejscach przebywającego: w Płocku, Rawie, Sochaczewie lub też i w Warszawie. Do tej ostatniej przybywał niekiedy z pułkiem na czas dłuższy, niekiedy sam, na krócej, stęskniony za życiem umysłowem, którego nie mógł znaleść ani w Płocku, ani w Rawie, ani w Sochaczewie, a które znajdował wśród warszawskiego grona młodych literatów i poetów, złączonych z nim serdecznemi węzłami dawniejszej lub świeżo zawiązanej przyjaźni.

Odjazd Krechowieckiego z Warszawy nastąpił nieco później po odjeździe Bohdana do Płocka. Złożywszy latem 1824 w Warszawie egzamin na stopień magistra prawa, wrócił on do swojej wioski ukraińskiej, Leszczynówki, do zajęć gospodarskich, które tak prozaicznemi musiały się wydawać rozmarzonemu romantykowi, do sfery sąsiedzkiej, która nowemu ruchowi wyobrażeń i uczuć była jeszcze prawie zupełnie obcą. W parę tygodni po powrocie do domu napisał list, w którym w taki sposób charakteryzował siebie i swój nastrój. »Pogrzebłszy z uczuciami, które poranek mój uświetniały, wszystkie widoki moje i między sny policzywszy one, stanąłem na tym stopniu, z którego już zaczynam się lękać, abym obumarły za ży-

---

czułeś w sercu zaraz u kogo szukać przytulenia. Toż po staremu przyciskam cię czule do mego łona.... Nie potrzeba już i uniewinniać się za przeszłość; wierzaj mi, nie mam do was ani odrobiny żalu ni urazy«.

cia nie zstąpił [do grobu]. Brak rzeźwości, wiekowi memu właściwej, zagasił oczy moje, na twarzy styranej krzyża znamię wycisnął. Lękam się więc podobnego wewnątrz odrętwienia, a smutna pora jesienna, w której dziś jesteśmy (list nosi datę 24 września st. st.) bliskim przykładem jeszcze większą nabawia mnie trwogą. Ruchu więc i życia potrzebując, poruszam się, jak mogę, nie chciałbym powolnie niknąć, z pociechą czuję jeszcze ogień, który mnie czasami gwałtownie elektryzuje i widzę, żeś niesłusznie żartował sobie, gdyśmy byli razem, że jestem na świecie, chociaż nie dla świata...

»Wiesz dobrze skłonność moją do smutku, posępna jesień sprzyja temu upodobaniu. Czasami napada mnie tęskność za dniami, które minęły dla mnie na zawsze, czasami i upływu szybkiego dzisiejszych godzin żałuję. To wszystko mnie do wcale niepocieszných dumań przywodzi, wtedy uganiam się samotny za smutnym poświstem wichru jesiennego, depcę na pół zwiędłe rośliny, aby dzikiej dogodzić sympatyi Drzewa szumią nademną, myśl obłąkana gubi się sama z pamięcią świata, bezcelna droga za daleko od domu zawiedzie, wtedy mgłami zasnuty horyzont, jak przyszłość moja niepewna, odkrywa się oczom, powraca pamięć i światło z okien domowych bijące, jak gwiazda życia, kroki moje na drogę nawodzi... Nieraz, drogi mój Józefie, z kierunkiem wiatru lecę miedzami polnemi, w dalekie zachodzę jary. Wicher pochylający szczerwienionym chwastem i mnie popycha, zdaje się wtedy, że do jednego z niemi przeznaczenia dążę i szukam grobu pod temi liśćmi martwemi, które już tysiącowe depcą pokolenia«. Charakterystycznym dodatkiem do tego listu, który swoim posępno-romantycznym nastrojem dość wiernie odpowiadał kamertonowi *Fantazyi do Rydzewskiego*, była wiadomość, że piszący jednocześnie posyła pieniądze do Warszawy na zakupienie dzieł Bajrona.

Po wyjeździe Zaleskiego i Krechowieckiego, z humańskich towarzyszy, którymi się tu zajmujemy, jako tymi, którzy stanowili w owym okresie najbliższą atmosferę duchową naszego poety, w Warszawie pozostał tylko Grabowski. Ten, pomimo że w owym czasie był także wielbicielem poezyi bajrońskiej, w bajroński pesymizm nie popadał, bo nie miał na to czasu: albo się oddawał całkowicie i bez pamięci używaniu życia, albo się zamykał w domu i zawzięcie pracował. W parę miesięcy po odjeździe Bohdana do Płocka, spowiadał mu się Grabowski (w liście z 17 października) ze swego nieporządnego życia. »Ja już zaczynam się przekonywać, iż musi to być napisano w górze, ażebym ciągle wiódł najnieregularniejsze życie i znużony jestem ciągle układaniem projektów poprawy, która się nie dokona nigdy, i usiłowaniami, które robię do wybrnienia z odmętu, w który zawsze zapadam napowrót«. I tu następowało opowiadanie, niepozbawione sporej dozy młodzieńczej fanfaronady, o nowem »głupstwie« młodego kandydata do dyplomatycznego zawodu, za jakiego się uważał wówczas Grabowski. Grając w karty z Humnickim, młodym poetą dramatycznym, posprzeczał się o jakąś fraszkę, »Humnicki mi coś powiedział, ja wybuchnąłem z całą szlachetną pasyą i trzeba było sobie w łby postrzelać«. Dzięki sekundantowi, Sobańskiemu, do pojedynku nie przyszło, »skończyło się na 48 godzinnej pijatyce«. »Powiesz, że bardzo się dobrze stało, owszem tu właśnie złe się zaczyna, nie wiem bowiem czy bardzo byłoby gorzej, gdyby mi kto resztę mózgu z głowy wysadził«. Złe polegało na tem, że na parę dni przed tem zdarzeniem, Grabowski otrzymał od matki, która bardzo hojnie łożyła na jego utrzymanie w Warszawie, 1000 złotych więcej nad zwykłą pensyę, a to dla popłacenia długów, które pozaciągał w Warszawie, i że te wszystkie pieniądze wydał na wielki obiad w Willanowie, którym chciał się odwdzięczyć za uczty

pojednawcze, jakie przedtem Sobański i Humnicki wydali dla niego. Tymczasem wierzyciele, dowiedziawszy się, że mu nadeszły pieniądze z domu, w nieustannem oblężeniu trzymali jego przedpokój.

Ale w tych tarapatach humor nie opuszczał dwudziestoletniego utracyusza, który prędko wyszumiawszy się, miał się stać tak poważnym i znakomitym krytykiem. »Nie myśl jednak, pisał, ażebym był z tych trosk wszystkich bliskim powieszenia się, owszem, odebrawszy ranne wizyty (wierzycieli), jestem potem zupełnie spokojny. Nawet może brak pieniędzy jest mi na teraz korzystny, gdyż siedzę w domu, dosyć piszę, a bardzo wiele czytam«. Czytał różne historyczne pamiętniki francuskie, których znajomość była mu potrzebną do zamierzonej dyplomatycznej karyery, czytał też ciągle i Walterskota, którego nowe rzeczy obiecywał przesłać Bohdanowi, tego zaś ostatniego prosił, aby się dzielił z nim swojemi poezyami i nie przestawał pisywać do niego, bo to najlepszy sposób utrzymania go na dobrej drodze. »Ty tylko pisuj do mnie, ażeby zupełnie mnie nawrócić, a wtedy:

> Powstaje mędrzec i gwiazda Platona
> W długie wieki wieków świeci«.

W tym to czasie ukazał się na horyzoncie warszawskiej literatury pierwszy tomik *Ballad* Stefana Witwickiego, które przyczyniły się niemało do ożywienia sporu między klasykami a romantykami. Pierwsi byli o tyle radzi z tego zjawiska, o ile pozwalało im brak smaku i talentu w Witwickim kłaść na karb romantyzmu. Sprawa ta odezwała się i w korespondencyi kolegów humańskich, a list Grabowskiego do Bohdana z d. 20 października 1824, wyprzedzający o kilka miesięcy jego »Uwagi nad balladami Stef. Witwickiego« [1]) i zawierające te same poglądy, tylko

---

[1]) Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem

wypowiedziane z większą swobodą, humorem i rozmachem, jest bardzo ciekawym dokumentem do historyi walki dwu obozów literackich.

»Ostatni list mój, pisał Grabowski, był dosyć birbancki, ten samej literaturze poświęcę. Muszę cię na różne sposoby wynudzić. Cóż robić? Przyjaźń ma swoje prawa.

»Wyszły nareszcie owe sławne Ballady Witwickiego.

»Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus. (Wiesz bowiem, że z Walter Scotta nabrałem gustu do łacińskich cytacyi). Przyznam ci się, Józefie, iż nie po przyjacielsku postępujesz ze mną, nagadałeś mi tyle o tych balladach! z takiemi pochwałami! Nareszcie wychodzą. Lecę do Glücksberga, pochwycam je i tak nagle śpieszę, aby je czytać, żem nawet zapomniał odebrać biletu na tom drugi. Siadam nareszcie, zaczynam czytać. Matko Boska! Ten człowiek sprzysiągł się, ażeby mnie na wieki zrobić klasykiem. Ażem skakał ze złości, jak mnie zaczął piszczeć o jakichś robaczkach, o jakichś Marylkach. Chciałem mu już z W. Scothem powiedzieć: Cur me querelis exanimas tuis? po polsku: czego mi syczysz nad uszami? W istocie, kochany Józefie, jeżeli to ich romantyczność, życzyłbym szczerze, ażeby ją te duchy i upiory zadusiły nakoniec. Bez żartów ci powiem, iżem rzadko kiedy był równie nieprzyjemnie zawiedziony«...

»Cóż znalazłem? Wszystkie błędy Mickiewicza bez iskry jego geniuszu. Proza — rymowana niedbale; bez uprzedzenia cię zaręczam, że podług mnie Marcinkowski sto razy lepiej pisze. Całą nadzieję pokładam w drugim tomie. Pamiętam bowiem, iż pierwszy tomik Mickiewicza dosyć podobne zrobił na mnie wrażenie. Obym mógł i Witwickiemu nagrodzić dzisiejszą satyrę uwielbieniem równem temu, jakie we mnie nieraz wzbudza autor Gra-

---

uwag ogólnych nad Szkołą Romantyczną w Polszcze. Astrea 1825. Nr. kwietniowy, str. 45—55.

żyny i Dziadów. Do kogo innego pisząc, nie śmiałbym równie być otwartym, lecz wiedząc, iż nie posądzisz mnie o żadne stronnictwo (sic) ani niechęć, ulżyłem sobie trochę *par l'explosion de ma''bile.*

»Jakkolwiek jestem determinowany romantyk, nie mogę jak być przerażony zgubnem dążeniem, które od niejakiego czasu zaczyna brać literatura polska. Jeżeli smutno było widzieć naszą literaturę, złożoną jedynie z tłumaczeń i niewolniczych naśladowań Francuzów, nie wiem także do czego nas doprowadzą te duchy, diabły, mazgajstwa, a najwięcej owo wysadzanie w płaskości i gburostwie, które niektórzy romantycznością mienią. U Mickiewicza widać geniusz, który zrzuciwszy więzy, któremi długo był krępowany, z zapałem młodości przeniósł się na przeciwną stronę. Widzę złą szkołę, wielkie błędy, lecz okupione, wynagrodzone przynajmniej tym boskim promieniem, który najciemniejsze chmury przebija. Przeciwnie w Witwickim żadnej myśli prawdziwej, żadnego obrazu wiernego, nicość myśli, płaskość wyrażeń, żadnej wyobraźni, a co gorsza, złe pojęcie swej rzeczy, i to [jest], co mi bardzo mało zostawia po nim nadziei«.

»Dziwi mnie, że znając tak, jak on angielską i niemiecką literaturę, śmie w przedmowie zapowiadać się uczniem Bayronów i Götych, i swoje ballady i romanse nazywać nowym rodzajem, nową szkołą, Romantycznością! Już przed nim ksiądz Baka takim był romantykiem«.

»Powiesz, że się unoszę. Nie, bojąc się jednak, abyś mimo zaprzeczenia nie trwał w tem zdaniu, porzucę ton lekki i kilka uwag sobie pozwolę«. I tu objaśniał, jak rozumie ludowość w poezyi. »Poeta nie jest to kopista, któryby utrzymywał rejestr wszystkich słów grubiańskich między ludem usłyszanych«; wprawdzie powinien on dać nam »obraz wiernie zdjęty z obyczajów, podań i wyobrażeń ludu«, ale taki, któryby nas »przenosił w świat idealny, w którym żyje ta klasa i dawał nam poznać uczucia

i wrażenia jej właściwe«. W myśl pani Stael, na którą się powoływał, dwudziestoletni krytyk żądał, aby poeta przedstawiał naturę, »nie jako zimny malarz, lecz jako jej kochanek, jako powiernik, jako tłumacz jej tajemnic. Wtedy dopiero powiem, że poeta odpowiedział powołaniu swemu, kiedy czytając jego obraz, podzielam stan duszy, który mu ten obraz natchnął. W przeciwnym razie najwierniejsze oddanie natury będzie tylko topograficznym opisem. Nie jest to próżna metafizyka... Któż czytając opis »burzy nad Lemanem«, nie zawołał z Byronem: »Astres, cieux, éclairs, j'ai une âme capable de vous comprendre«, i z tego to powodu zapewne powiedziano: *Poetae nascuntur*«.

»Jeżeli mi Pan Witwicki powie, iż ciągłe czary i duchy są wiernym obrazem wyobrażeń naszego ludu, naprzód mu zaprzeczę, żeby tak było, powtóre powiem, iż gdyby nawet tak było, poezya 19-go wieku nie może, ani powinna być ciągłą fantasmagoryą; po trzecie, iż on nie wie, ani jak, ani kiedy godzi się cudowności używać.... Wiesz, ilekroć sprzeczałem się z stronnikami klasyczności, utrzymującemi, iż przesądy już wiary nie mające, nie mogą być cierpiane w poezyi. Sprzeczałem się, lecz tylko dlatego, iż nadużywając wyrazu przesąd, podciągali pod niego wszystko, co tylko wychodziło za sferę prozaicznej rzeczywistości. Zresztą zawsze byłem za umiarkowanem tylko użyciem cudowności, nie spodziewając się nigdy, ażeby kiedy literatura w taką ostateczność wpaść miała w tym względzie. Dziś kiedyśmy wszelką miarę przebrali, nie zmieniając przekonania, zmieniam przedmiot obrony. Zastanówmy się, co to jest wiara w cudowność, to tem samem poznamy, jak w poezyi użytą być może. Jest to właściwą sercu ludzkiemu skłonnością nieraz chcieć się przedrzeć za szczupłe sfery pojęć mu zostawionych. Nie trzeba na to należeć do nieoświeconej klasy narodu, ażeby wierzyć, iż świat ten nie jest nagim horyzontem, iż

są, jak mówi Szekspir, rzeczy w niebie i na ziemi, o których się naszym filozofom ani śniło. Śledząc myśli niejednego sceptyka, ile razy znaleźlibyśmy go może uniesionego dalej, niż się spodziewało, na lotnym wozie imaginacyi, lecz wszystko to nie dowodzi, iż wierzymy, jako w rzecz niezawodną, że diabeł ubiera się po niemiecku, że chodzi na kozich nóżkach«. Zresztą i dla ludu takie rzeczy nie są artykułami wiary. Prawda, że popęd do cudowności, wspólny całemu rodzajowi ludzkiemu, objawia się w pomysłach ludowych pod postaciami zmysłowemi, »lecz jeżeli poeta może i powinien korzystać z tych pomysłów, nie rozumiem jednak, jak kto może myśleć, ażeby te pomysły, same przez się nieokrzesane, nie związane żadnym celem moralnym, ani filozoficznym mogły stanowić poezyę. Pan Witwicki powinien wiedzieć, iż nie pisze dla gminu, że wyrazy i obrazy, które w powieściach ludu są prostemi, w jego Balladach stają się płaskością i dziwactwem«...

Ostra ale wyborna ta krytyka, świadczyła o wysoce rozwiniętym zmyśle krytycznym i wielkiej samodzielności sądu dwudziestoletniego młodzieńca, który stając pod chorągwią romantyzmu strzegł przedewszystkiem szczerości natchnienia w swoim obozie, którego nawet uwielbienie dla Mickiewicza nie zaślepiało na słabe strony pierwszych utworów genialnego poety. Że częsta wymiana myśli z takim człowiekiem, z takim przyjacielem, musiała korzystnie oddziaływać na Zaleskiego, jego pojęcia klarować, regulować jego sądy i upodobania, to nie może ulegać wątpliwości. Ale zdaje się, że Zaleskiemu wydała się ta krytyka zbyt ostrą, niesprawiedliwą. Z Witwickim, jak wiemy, łączył go węzeł serdecznej przyjaźni, więc przyjacielskiem okiem spoglądał on na jego ballady, wdzięczny mu był zapewne i za pochlebną wzmiankę swego nazwiska w przedmowie, a nie mając tej jasności sądu krytycznego, co Grabowski, tem łatwiej mógł być pobłażliwym dla

autora ballad. Wiemy z listu, że chwalił je przed ich ukazaniem się w druku. Bezwzględność piorunującej krytyki Grabowskiego drasnęła go. Domyślać się tego możemy z następnego listu Grabowskiego z datą 11 grudnia 1824[1]. Z listu tego trzeba wnosić, że Bohdan nic nie odpowiedział na list poprzedni, a przyjechawszy w początkach grudnia do Warszawy nie odwiedził Grabowskiego, czem mu swoją niechęć okazał.

»Józefie, pisał Grabowski, niech cię nie zadziwia ten list, dopełniłem, mem zdaniem powinności przyjaciela, krok pierwszy czyniąc dla usunienia nieporozumień, co zachwiały zawsze drogą sercu memu i świętą przyjaźń naszą. Nie chcę posądzić cię o niesprawiedliwość, owszem raczej chcę myśleć, iż uchybienie jakowe zapewne przez nierozmyślność z mej strony popełnione, twojej niechęci ku mnie przyczyną. Staję więc przed tobą z przekonaniem czystości mych uczuć i pytam, co za winy odjęły mi serce przyjaciół, na których tyle polegałem wzajemności. Rozerwały się te ogniwa, co mi się nierozerwanemi zda-

---

[1]) Ten list w kopii, którą mam u siebie, nosi datę: Warszawa, 11 grudnia 1826. Z tą datą wydrukowany jest także w wydaniu listów Grabowskiego pełnem błędnych dat i opuszczeń, w Tygodniku Illustrowanym 1890 r. Że ta data jest niemożliwą, świadczy o tem fakt, że Grabowski, jak to i z jego późniejszej korespondencyi i z notatek Goszczyńskiego wynika, nie był wcale w tym roku, ani w następnym, w Warszawie. Nie może się też ona odnosić ani do 1825, ani do 1828, ani do 1829 lub 1830, ponieważ w tych latach w grudniu Grabowski również był gdzieindziej, nie w Warszawie. List ten zatem można odnieść tylko do lat wcześniejszych t. j. do 1824 lub 1823, od którego poczyna się zachowana korespondencya Grabowskiego. Ale z datą 1823 byłby niewytłumaczonym; z datą 1824 daje się bardzo dobrze objaśnić wrażeniem, jakie na Zaleskim wywarła listowna krytyka ballad Witwickiego. Jaka jest data w autografie, nie wiem, bo autograf jest w nieznanych rękach. Ale nie byłoby rzeczą niemożliwą, żeby i w autografie była data roku błędna, ponieważ, jak to później okażę, Grabowski przy stawianiu dat ulegał niekiedy dziwnemu roztargnieniu.

wały. Mów, wymień, je, a jeżeli w istocie uraziłem cię czem, choć mimowolnie, bądź jeszcze wielkim, wymień i przebacz. Gdym niewinny, okaż się sprawiedliwym, winny — wspaniałomyślnym przyjacielem«.

»Czekam wyroku twego, niech on będzie wyrokiem zgody, czekam go ze ściśnieniem serca; on mnie przekona, czyli przyjaźń nasza była tem bóstwem, co szczęście w me serce wlewała, czy tylko przyjemnem omamieniem. Odpisz, czekam tej chwili, w której się rzucę na łono przyjaciela i z jego przebaczeniem przyjaźń na nowo otrzymam«.

Że po tym liście musiała nastąpić scena pojednania, świadczy o tem dalsza korespondencya Grabowskiego, z której tchnie dawny, serdeczny stosunek koleżeński, jakkolwiek Grabowski nieraz skarży się na brak lub szczupłość listów Zaleskiego. W liście z 2 lutego 1825 opisuje temu ostatniemu smutne swoje położenie: dotychczas miał nadzieję, że wstępując do Departamentu spraw zagranicznych, nie będzie potrzebował jechać do Petersburga, ale albo pozostanie w Warszawie (przy Nowosilcowie?) albo się umieści przy Mohrenheimie. Tymczasem matka poleca mu jechać do Petersburga, a znając syna, jako utracyusza, posyła mu pieniądze na pobyt w Petersburgu nie do Warszawy, ale aż do Smoleńska, ażeby syn ich w Warszawie nie przetrwonił. A tu wierzyciele cisną. Więc jak może oddawać się spokojnie zajęciom literackim? »Pracując nad rozbiorem Jana Tęczyńskiego i nad rysem literatury romansów wzięła mnie chęć doświadczenia samemu tego zawodu. Miałem przedmiot bardzo interesujący. Wyznam nawet, iż dość szczęśliwie zacząłem a w myśli miałem układ scen, który dobrze oddany nie byłby bez zalety, lecz cóż? List wczorajszy (od matki) rozsnuł mary imaginacyi, rozpierzchnął świat idealny i powrócił mnie do nudów i dawnych niepewności«. I tu następowała nawpółżartobliwa skarga na »przyjaciela, któremu

zbyt jest ciężko dotrzymaniem sto razy danego słowa wyrwać go (Grabowskiego) z odmętu odrętwiałości, wlać nowe życie w jego serce i nowym ogniem zapalić«

O cóż się upominał dawny kolega humański? W jaki to sposób miał Zaleski »wlać nowe życie« w serce przyjaciela? Chodziło zapewne o nic innego, jak o listy częste i długie, w których by Bohdan zwierzał się przyjacielowi z całej wewnętrznej pracy swego ducha, ze swoich pomysłów poetyckich, ze swoich poglądów na życie i poezyę i tem ciągłem udzielaniem swojej duchowej istoty podtrzymywał w niespokojnym i miotanym w różne strony duchu Grabowskiego wyższe dążenia, zapał do pracy naukowej, do poezyi i do wiedzy. Nie mówiąc o wspomnieniach z lat dziecinnych, sama harmonijność duszy Bohdana i szczerość jego natchnień były tym magnesem, który pociągał ku niemu serce młodzieńca, wchodzącego na drogi życia a wahającego się między dyplomacyą a literaturą, między poezyą a krytyką, między swobodnem używaniem życia a poświęceniem się jednej idei. Sam był wywnętrzający się, żądał, aby i przyjaciel był takim, a tymczasem Zaleski należał do natur skupionych w sobie, których uczucia łatwiej krystalizowały się w pieśni, niż wypowiadały się w powodzi listownych wynurzeń. Stąd ciągłe żale na brak albo krótkość listów Zaleskiego.

Nie zrażał się jednak Grabowski brakiem wzajemności korespondencyjnej. Jeszcze nie otrzymawszy odpowiedzi na swój list ostatni, pisał do Bohdana (16 lutego 1825), aby mu obecny stan duszy swojej odsłonić a zarazem przesłać jakiś dawniejszy swój utwór poetycki. Zdaje się, że chciał on w ten sposób pobudzić Bohdana do wypowiedzenia sądu o jego poezyi, z której wartości sam nie mógł sobie zdać sprawy. Donosił więc, że jest teraz »w epoce naukowości«, i że »w miejsce kłótni, gry i innych pięknych zatrudnień obrał (trochę mimowolnie) ciche spółkowanie z muzami«. Co się tyczy stanu swoich inte-

resów, to określał go w taki sposób: »O mnie można powiedzieć to, co Czacki mówił o Polsce: »Dobre prędko minęło, złe długo trwało« i w istocie nigdy nie byłem bliższy trzech rozbiorów«. Wszakże nie chciał się skarżyć na swoje »nieporządne« życie, i owszem, wydawało mu się ono w danej chwili jedynym rodzajem użytecznego życia. »Człowiek nie może być zawsze w jednem usposobieniu umysłu, w jednym stanie uczuć, (chyba w Tragedyach francuskich). Zmiana ciągła, zmiana we wszystkiem jest mu równie potrzebna, jak powietrze, którem oddycha; przez nią to tylko odnawiamy, odświeżamy niejako życie... a jest że większa, jak przechodzić ustawnie z nieczynności do pracy, z rozstrzepania do samotności, koleje zbyt często dla mnie konieczne«. Więc zazdrościł temu, »kto mógł życie w ustawnej burzy przepędzić, kto doznał wszystkich rozkoszy, boleści, kto wychylił do dna kielich goryczy, bo ten tylko dopełnił przeznaczenia człowieka i umarł z sercem dojrzałem«.

Dalej donosił w tym liście, że przed wyjazdem do Petersburga, dokąd się wkrótce wybierał, chciał zebrać różne swoje fragmenta poetyczne i przesłać je Bohdanowi, jako »pamiątkę oddzielnej epoki życia«. Na teraz posyłał tylko fragment ballady, napisanej jeszcze w r. 1821, potem spalonej, obecnie częściowo przypomnianej. »Nie mając czasu ani jej dokończyć, ani poprawić, przysyłam ci taką, jaką jest; jeżeli ją znajdziesz godną tego, dokończę jej; jeżeli nie, oszczędziłem sobie mozoły. Może się zdziwisz, iż nieprzyjaciel ballad wstępuję jednak w ślady Witwickiego, lecz zważysz, kiedym ją pisał i dlaczego ją przepisuję teraz, zresztą wiem, iż raczej surowości jak pobłażania od ciebie trzebaby mi było żądać«.

Była tu widoczna chęć wydobycia z Bohdana sądu o jego poezyach, sądu, którego mu dotychczas przyjaciel-poeta szczędził. Obdarzony krytycznym zmysłem, Grabowski bystro oceniał wartość cudzych utworów, ale wie-

dział, że dla własnych sędzią być nie może. Jeżeli posyłał balladę Zaleskiemu, widocznie nie uważał jej za pozbawioną wszelkiej poetyczności. A choć nie trzymał wysoko o swoim talencie poetyckim, przecież nie chciał się ostatecznie rozstawać z poezyą. Miał lat dwadzieścia, miał głębokie poczucie poezyi, żył w czasach, kiedy stanowisko poety większym niż kiedykolwiek było otoczone urokiem, ciężko mu było rozstawać się z myślą, że to stanowisko jest nie dla niego.

Koniec listu jeszcze lepiej uwydatniał tę tajemną troskę młodzieńca. »Nie uwierzysz, że nie mogę się oprzeć pewnemu rodzajowi smutku, wspomniawszy na przeszłość, porównawszy względny nasz stan dzisiejszy z tym, w jakim byliśmy w czasie, kiedyśmy podobne składali pamiętniki prac w pierwszej młodości naszej. Wtedy wszyscy równi byliśmy, dziś z pobłażaniem tylko może zechcesz mnie czytać. Wtedy pierwszy byłem, któremuś powierzał swe prace, dziś może tylko ostatni. Z tem wszystkiem ty będziesz zawsze, Józefie, miał klucz do wszystkich serca mego tajemnic. Obchodzi cię to, czy nie, tobie jednak muszę powierzać wszystkie me myśli, wszystkie me uczucia, bo serce moje potrzebuje się wylać, bo ty mnie tylko zrozumieć potrafisz«.

Cóż odpowiedział Bohdan na te żale, wynurzania i uboczne prośby o ocenę poetyckich prób humańskiego kolegi? Odpowiedzi nie znamy, ale domyślamy się jej z następnego listu Grabowskiego. Odpowiedź była krótka, i wymijająca, Zaleski widocznie nie miał odwagi zachęcać przyjaciela do uprawiania poezyi, ani wyraźnie powiedzieć mu, co myśli o jego utworach. Więc nowe skargi ze strony Grabowskiego (24 lutego 1825). »Lubo nie odbieram od ciebie tylko właściwie recepisy na moje listy, nie śmiem jednak dotąd zaprzestać miłego dla mnie przyzwyczajenia, póki się nie przekonam ostatecznie, że listy moje są dla ciebie natręctwem... Zapewne Żukowski i inni zbyt

ci wiele zajmują czasu, ażebyś mógł czem więcej, jak jednym we dwa tygodnie buletynem obdarzyć przyjaciela pierwszej twej młodości«. Zresztą godził się z losem, domyślając się powodów milczenia. »Powinienżem wymagać, ażeby twój głos tyle mą duszą władnący przyszedł wyrwać mnie z letargu moralnego, w którym pogrążony jestem? Nie, Józefie, ty być powinieneś, jak jesteś, postępujesz, jak przewidziano, dopełniasz, co przeznaczono, milczysz«...

Jednakże i w tym liście nie mógł się powstrzymać od przesłania Bohdanowi urywku swojej elegii w rodzaju *Snu* Bajrona, pod pretekstem pokazania mu, jak dziwnie zbiegł się w tym ustępie, w myślach i obrazach, z Schillerem w Wallensteinie [1]. Schillera właśnie wtedy studyował, zachwycał się Wallensteinem i obiecywał przesłać go Bohdanowi wraz z innymi utworami Schillerowskimi.

W miesiąc po tym liście sytuacya Grabowskiego zmieniła się radykalnie na lepsze. Otrzymał sporo pieniędzy z domu, wszystkie długi popłacił, wydatki uregulował, o poezyi, jak się zdaje, już nie marzył, ale zato groma-

---

[1]) Podaję ten urywek jako próbkę niewiele znanej skądinąd poezyi Grabowskiego:

Tak są przeczucia, jako przed dnia świtem
Nim jeszcze słońce rzuci Oceanu łono,
Jak lekka odcień bieli spływa się z błękitem,
Jak purpurowym ogniem wschodnie chmury płoną
I blado się omglone czerwienią strumienie,
Tak przyszłość na dni nasze przeciąga swe cienie,
Tak opiekuńczą dłonią natura troskliwa
Czucia nasze stopniuje i przygotowywa.

Odpowiedni ustęp u Schillera: Wallensteins Tod. Akt V. Scena 3: »Wie sich der Sonne Scheinbild in dem Dunstkreis — Malt itd.» Podawszy swój urywek Grabowski pisał: »Nie mogłem się oprzeć, ażeby Ludwika (Żukowskiego) nie wziąść za świadka tego pochlebnego dla mnie spotkania się i wyznam, iż mniej szukałem w tem obrony od plagiatu, jak zalety z trafu«.

dził dla siebie bardzo poważną bibliotekę, w której chciał skompletować wszystkie kroniki polskie. Donosząc o tem Bohdanowi w liście z d. 23 marca 1825 r., zapytywał go o wrażenie jakie na nim sprawił Schiller i oświadczał się z gotowością przesłania nowych książek, które sam wtedy czytał. Między niemi był nowy romans francuski Salvandego *Don Alonso ou l'Espagne.* »Zapewne ten tytuł zdaje ci się mało obiecującym, takież na mnie zrobił wrażenie, tak dalece, że mi aż go dał Brzezina do przeczytania z warunkiem, że wtedy tylko kupię, kiedy mi się podoba. Wiesz, iż po przeczytaniu pierwszej kartki wstępu, zaraz kupiłem. Jest to więcej historya niż romans lub raczej jest to interesowny i wierny obraz 25 ostatnich lat Hiszpanii, zacząwszy od czasów najrozciąglejszej władzy Księcia Pokoju aż do rewolucyi 1820 roku. Takie właśnie miałem wyobrażenie o Romansie historycznym lub prawdziwiej, przeczuwałem, iż takim być powinien. O Józefie, jak my w naszym zakącie daleko jesteśmy od codziennego posuwania się innych narodów. Co my śnimy tylko, oni już mają zrealizowane«.

Po tem westchnieniu, które wypływało z patryotycznego uczucia, następowało drugie, czysto osobiste. »Kiedyż, kiedyż przyjedziesz z tego Płocka? Co dzień czuję większą potrzebę twej przytomności. Trzeba sobie utworzyć jakiś cel dotykalny, że tak powiem, życia, a do tego bodziec i zachętę jeden w drugim tylko znajdziemy« [1]).

---

[1]) List ten w autografie, który mam przed sobą, nosi najwyraźniej wypisaną datę: Warszawa, 23 marca 1823. To też ani Nehring w krótkiem studyum »Z młodych lat Bohd. Zaleskiego«, drukowanem w Bibl. Warsz. 1887, T. III, a opartem na listach Grabowskiego, ani bezimienny a niedbały wydawca tych listów w Tyg. Illustr. 1890 nie przypuszczali, aby ta data mogła być błędną. A tymczasem jest błędną: list był pisany nie 1823, ale 1825 r. Dowód jest naprzód w samym liście. *Don Alonso* Salvandy'ego, o którym tu jest mowa, ukazał się poraz pierwszy w druku dopiero 1824, nie mógł go więc Grabowski czy-

Znamy odpowiedź Bohdana na ten list Grabowskiego. Jest to pierwszy wogóle ze znanych nam listów poety, otwierający jego obfitą, szczególnie w latach dojrzalszych, korespondencyę. Stajemy już tu twarzą w twarz przed samym poetą.

List, choć niedługi, ma wiele ciekawych szczegółów. Odźwierciedla się w nim żywość temperamentu, obok poważnych pragnień i refleksyi. Młody poeta jest w wirze zamiarów i planów. »Tak się raptem rzuciłem do czytania, do planów, a nawet do pracy, tak myśli moje są skupione w jakiejś abstrakcyjnej sferze, iż nie mogę na chwilę od ideałów się oderwać, nie mogę żadną miarą pozbyć się trapiącego mnie dziś wieszczego ducha. Siadam n. p. z najmocniejszem postanowieniem pisać do ciebie — a piszę dumy, marzenia, aż poczta odejdzie. Spodziewam się, iż wkrótce ten szał minie i więcej będę miał czasu. Ja, Michale, i w tem sympatyzuję z tobą, że nie mogę żyć jednostajnie, porządnie, jak inni, lecz ciągle śnię i kiedyś niekiedyś tylko się ocucam«.

Taki stan naturalnie przeszkadza do wykończania i puszczania w świat utworów, ale straty w tem niema. »Mój talent, jak się coraz bardziej przekonywam, jest całkiem historyczny, szczero-słowiański i aby się kiedyś rozwinął, potrzebuje ogromnego zapasu wiadomości. Po cóż się spieszyć? Aby się potem wstydzić, jak wstydzę się wszystkich dotychczasowych moich poezyi. Dla tych pobudek, nie mogąc po mojemu pracować około Kosińskiego, odłożyłem go do czasu, aż się więcej naczytam, nauczę,

---

tać w r. 1823 i to jeszcze w początkach tego roku. Powtóre jest w Korespondencyi I. B. Zaleskiego, wydanej przez syna (T. I, str. 11) bezpośrednia odpowiedź na ten list z datą 30 marca 1825. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że Grabowski popełnił w roztargnieniu omyłkę, prawdopodobnie zapatrzywszy się na datę miesiąca (23 marca). A omyłka ta, dając błędne wskazówki chronologiczne, dosyć nabróździła w biografiach poety.

aż mi przyszlesz potrzebne książki z Petersburga. Mógłbym wprawdzie przez samą imaginacyę zastąpić brak i omamić kogo na chwilę, przecież to zawsze będzie omamienie, a mój dzisiejszy systemat poetycki szuka prawdy, prawdy sumiennej i nie wystarczają już dlań ani ballady, ani wiersze o niczem. Aby wszelako nie próżnować zupełnie, aby chociaż pomału oczyszczać smak, kształcić czucie i zbogacać wyobraźnię, wróciłem do Rapsodów. Kończę dość długi o *Damianie Wiśniowieckim* i zacząłem nowy p. tyt. *Siryk*, czyli wyprawa na czajkach przeciw Stambułowi, prócz tego piszę wiele lirycznych«.

Nazywając swój talent »historycznym, szczero-słowiańskim«, chciał poeta kierunek swej poezyi przeciwstawić kierunkowi balladowemu, który do nas z Niemiec przybywał. Ballady miały za podkład wierzenia ludów germańskich, płynące z ich fantazyi; on chciał iść śladem dum ukraińskich, które miały tło historyczne, realne, wolne od cudowności. Ale do wiernego oddania tego tła, trzeba znać dobrze historyę, a on teraz dopiero spostrzegał, jak mały ma zapas wiadomości historycznych. Więc wstydził się swoich dotychczasowych poezyi, nie wszystkich zapewne, jak pisał, ale tych, co miały tło historyczne, więc *Dumki Kosińskiego*, może *Dumki Mazepy*, która właśnie w tym czasie ukazywała się w druku i *Rapsodu rycerskiego*; wstydził się zapewne i takich, jak *Ludmiła*, *Labor*, *Arab u mogiły konia* dla ich naśladowniczego charakteru. Ale »duch wieszczy go trapił« i domagał się natychmiastowego ujścia w poezyi, więc choć poeta był przeświadczony o niedostateczności swego przygotowania historycznego, nie mógł się wstrzymać od tworzenia nowych utworów na tle historycznem, ukraińskiem. Nowe utwory miały mieć charakter epicki. Zaleski już od paru lat, od czasu pisania rapsodu o Januszu Bieniawskim, zamyślał o jakiejś większej całości epickiej, ale ta mu się nie kleiła. Jego talent czysto liryczny nie mógł zdobyć

się na to; to też poprzestawał na urywkach, które nazywał rapsodami.

Z listu przytoczonego widać, że i Kosińskiego, którego już w dumce przedstawił, chciał obrać za bohatera jakiejś większej całości epickiej lub choćby tylko rapsodu, ale widocznie niebawem przekonał się (może przy pomocy Grabowskiego) jak błędnie pojmował tę postać, więc przerwał swoją pracę nad nim, a zwrócił się ku innym postaciom z dziejów Ukrainy, które zajęły jego wyobraźnię. Postać ta, to Dymitr książę Wiśniowiecki, sławny w pieśniach i dziejach twórca pierwszej Siczy Zaporoskiej, i Sierko jeden z najdzielniejszych atamanów koszowych Zaporoża z czasów króla Michała i Jana III.

Rapsod o Sierku (przez poetę zwanym Sirykiem, po rusku Sirko) nie doczekał się wykończenia i puszczenia w świat. Co miało być jego treścią oznajmiał dodatkowy tytuł: Wyprawa na czajkach przeciw Stambułowi. Prawdopodobnie przekonał się Bohdan, że jakkolwiek Sierko był sławnym pogromcą Tatarów (jeden z jego napadów na Krym, przyczynił się do ocalenia wojska polskiego, oblężonego przez Kozaków i Tatarów pod Podhajcami) nigdy wypraw na czajkach, i to jeszcze do Stambułu nie przedsiębrał, więc chcąc być wiernym obranemu przez się kierunkowi »historycznemu«, nie chcąc »omamiać nikogo«, zaniechał tego utworu. Pomysł jednak poetycznego przedstawienia jednej z wypraw kozackich na czajkach do Turcyi, tak zajmująco opisanych przez Beauplana, utkwił poecie głęboko w pamięci i w kilka lat potem doczekał się wykonania, tym razem zgodnego z faktami historycznemi, w dumie p. t. *Czajki*, drukowanej w Meliteli z r. 1830.

Rapsod o Wiśniowieckim, albo raczej o Wiśniowieckich, był wtedy już w r. 1825, ukończony i niedługo leżał w tece: ukazał się w czerwcowym zeszycie *Dziennika Warszawskiego* z r. 1826. Dlatego też tu miejsce zasta-

nowić nad nim, jako nad owocem usposobienia poety z pierwszej połowy 1825 r. i rozważyć, jakiem jest ogniwem w rozwoju twórczości poetyckiej Bohdana.

Powiedziałem, że do wyobraźni poety bardzo żywo przemówiła postać Dymitra Wiśniowieckiego, wszakże nie ona nadaje tytuł rapsodowi, o którym mowa, nie ją poeta umieścił na pierwszym planie swej powieści. Tytuł utworu jego brzmiał: »Damian książę Wiśniowiecki, poema ukraińskie w sześciu dumach«, i właściwym bohaterem poematu był ów Damian, który według poety miał być wnukiem Dymitra, sam zaś Dymitr ukazywał się tylko jako echo tradycyi, w mgłach legendy. O Damianie historya nie umiała nic powiedzieć, nie tak jak o Dymitrze, i to właśnie dogadzało poecie, który chciał mieć tło historyczne, chciał szanować historyę, ale nie być przez nią krępowanym w swoich pomysłach.

Na wybór tematu oprócz ponętnej tradycyi sławnego rodu Wiśniowieckich, który wydał pierwszego założyciela Siczy kozackiej, potem najstraszniejszego pogromcę kozaczyzny, i wreszcie smutnej pamięci niedołężnego króla, wpływały inne jeszcze pobudki. Poeta czuł się Polakiem ale również i Ukraińcem, godził swój patryotyzm ogólnopolski ze ściślejszym, ukraińskim; gniewało go, że Pasek posponował Kozaków, ale gniewało go jeszcze więcej, gdy historyscy rosyjscy, czy małoruscy w ujemnem świetle przedstawiali stosunek Polski do Rusi. »My Polacy, pisał w stosunkowo obszernej przedmowie do swego rapsodu, śmiało utrzymywać możemy, wbrew twierdzeniu obu Bantyszów Kamieńskich i wielu nowych małorosyjskich historyków, że Ukraina od unii Litwy, a zatem i Rusi, z Polską przez cały przeciąg epoki jagiellońskiej i za panowania Stefana Batorego, używała narówni z nami własnych praw i swobód. Zaszłe podówczas gdzieniegdzie zatargi z duchowieństwem i panami polskimi nie mieszały bynajmniej zobopólnej spokojności i zgody. Więcej powiem, (a przeko-

nają o tem głębiej kiedyś poznane kroniki i dumy ruskie) Polacy, przez roztropne i chętne zastosowanie się do swobodnego i męskiego charakteru, tudzież do zwyczajów tamtejszego ludu, jedynie i najrzetelniej byli kochani. Przyrodzone zatem granice, jakie między dwoma acz bratniemi plemionami stanowiły różne prawa, obyczaje i mowa, gdy się tym sposobem niejako zatarły; okres ten dwóch całkowitych wieków, bo od roku 1386 do 1586 zawiera dla nas najchlubniejsze tak wojenne, jak i domowe pamiątki. Końca tych czasów zasięga i przedmiot mojego Damiana«.

Drugą więc pobudką w wyborze tematu, a przynajmniej tła dziejowego, był wzgląd patryotyczny, chęć przedstawienia tych szczęśliwych czasów, które były wcieleniem politycznych ideałów poety. Ale była jeszcze inna pobudka, która, mojem zdaniem, w genezie *Damiana* odegrała najważniejszą rolę: wspomnienia dzieciństwa, owych chwil błogiej, niczem nie krępowanej swobody na łonie natury, pod opieką znachora Zuja. Oto co pisał Zaleski w tej samej przedmowie, nieco dalej. »Niedaleko Rzyszczowa, nad samym Dnieprem, jest wyniosła góra, otwierająca na wsze strony piękne i rozległe widoki, przezwana od pospólstwa Iwan, czyli jednym wyrazem Iwangóra. U wierzchołka zalegają rozwaliny zamku, wedle powieści niegdyś Wiśniowieckich, a potem Szczeniowskich. Przed kilkunastu laty, kiedy swobodne dziecię, lubiłem przebiegać tę górę w rozmaitych kierunkach, napotykałem nieraz sędziwego torbanistę, któremu podobnych i dziś jeszcze, lubo rzadziej, nietrudno znaleźć na Ukrainie. Starzec ten znał nieskończone mnóstwo podań dawniejszych i chętnie je opowiadał. Między innemi jedno smutne, o Wiśniowieckim, przeplatane dumami, jako będące w harmonii z otaczającemi ruinami zamku i tąż samą miejscowością, bardziej niż inne utkwiło w mojej pamięci. Z czasem zapomniałem i o niem. Ale pierwsze wrażenia, tak

żywo mieszające się z wszystkiemi uczuciami późniejszego wieku, długo samopas snuły się i kształtowały; aż mało po mału i cały przedmiot odmalował się przed imaginacyą moją. Przy pisaniu jasno i wyraźnie, jak osoba torbanisty i miejsca, przypomniały mi się niektóre wiersze i koloryt całej powieści... Zresztą jedyny cel miałem, t. j. pragnąłem tylko wystawić w dotykalnym poetyckim obrazie, niejako apoteozę wielorakich, jużto narodowych, już moich własnych pamiątek«.

Gdybyśmy nawet nie mieli tego cennego wyznania poety, doszlibyśmy do podobnego wniosku. Co się tyczy przedmowy, która była pisana przed samem oddaniem *Damiana* do druku, a więc mniej więcej w rok po jego napisaniu, i zawierała pewne aluzye do najświeższych wypadków literackich, to jeszcze wrócimy do niej. Teraz przypatrzmy się treści poematu, który, jak z tytułu widać, zakrojony był na sześć dum czyli pieśni, ale tylko w dwu pierwszych się ukazywał.

Epicki ich wątek, jak zwykle u Zaleskiego, jest mało rozwinięty i niewyraźnie zarysowany. Młody książę Damian ma dziś poślubić piękną Bożennę z Kaniowa i wprowadzić do swego zamku na Iwanhorze. Cieszy się lud okoliczny, gromadzi się pod zamkiem i wznosi okrzyki na cześć księcia, ten zaś podziękowawszy gromadzie i rozkazawszy słudze przygotować najbogatsze szaty i najświetniejszą zbroję, przechadza się po zamku, wypowiadając sam przed sobą uczucia, któremi jest w danej chwili przejęty, a które stanowią główną treść pierwszej pieśni. Są tam i przeczucia czegoś złego, i rozmyślania nad smutnem życiem dotychczasowem i zamiary przyszłych wypraw i nadzieje na błogie pożycie z Bożenną. W tej przechadzce lirycznej po komnatach zamku na dwa szczegóły warto zwrócić uwagę. Poeta, pisząc ten poemat, zostawał pod świeżem wrażeniem *Grażyny* i to odbiło się w paru

strofach wyraźnie. W rozmyślaniach swoich książę Damian przypomina niekiedy Litawora.

Odkąd dziad odumarł stary,
Smutnie wlokę ciężkie lata,
Czuwam, gonię za Tatary,
Nic nie dzierżę prócz bułata —
Skarby przodków, złoto na nic,
Gdy wciąż zbrojny strzegę granic.

Opuszczony dom się wali,
Po komnatach wiatr dmie głuchy —
Gdzie ojcowie ucztowali,
Bóg wie czyje błądzą duchy,
Ja nie myślę o naprawie,
Gdym u siebie gościem prawie.

Czyż skargi te nie są echem narzekań Litawora: »Cały dzień konno, w wieczór końska grzywa — Poduszką moją... — A rankiem znowu trąba na koń wzywa« i tego obrazu zamku nowogródzkiego: »Patrz na te mury z dębowego lasu — I na ten pałac mój z czerwonej cegły« i t. d. Ale podobieństwo między tymi dwoma bohaterami zewnętrzne tylko, nie sięga ono do głębi ich ducha. Damian jest tak mało podobny do Litawora, jak był Zaleski do Mickiewicza. Jak w Litaworze wyraziła się cała siła namiętności, jakiej był zdolny autor *Grażyny*, tak się wyraził w Damianie swobodny, lekki temperament Bohdana. Martwiż Damiana opuszczenie zamku?

Choć się na czas zbędę biedy,
Wrócę w zamek mój rodzinny,
Cóż z nim począć? na co? kiedy?
Niechaj myśli o tem inny;
Mnie to bawi, że w mym dworze,
Przez dach, szpary, świecą zorze.

Jego marzenia nie sięgają tak wysoko jak Litawora; walczy, strzeże granic nie dla sławy, ale z obowiązku i marzy tylko o tem, jak zabezpieczywszy pokój, będzie

się mógł oddać szczęściu małżeńskiemu, i to nie w starym zamku, który chce opuścić, ale w bezpiecznem miejscu, na ostrowie Tawalczanym, bronionym przez porohy.

To ustronie dzikie, małe,
Od nikogo nie mieszkane,
Gdzie, jak w raju, naokoło
Pięknie, cicho i wesoło.
. . . .
Z wierną żoną, z drużbą szczerą,
Tamto poczną żyć dopiero.

Drugi szczegół, na który chcę zwrócić uwagę, to wprowadzenie do monologu Damiana jednej strofy z powszechnie znanej pieśni ruskiej: »U susida chata biła«, nieco przerobionej i zastosowanej do sytuacyi (U sąsiada ładna żona — Dzieci, pokój u sąsiada i t. d.). Jak dla fantazyi swojej przy obrazowaniu tła krajobrazowego szukał poeta punktu oparcia we wspomnieniach dziecinnych z czasów bujania po Iwanhorze, tak widocznie dla nastroju swego bohatera szukał zasadniczego tonu w tej pieśni. I ten realny, lokalny podkład w utworze nadaje temu ostatniemu cechę oryginalności.

Damian wyprawia swego sługę naczelnego, Konowczenkę (nazwisko z dumy wzięte) z hucznym orszakiem weselnym do Kaniowa, a sam osobno siada na wronego konia i z chartem i sokołem puszcza się bliższą drogą, manowcami, do panny młodej. W drodze spostrzega z daleka na mogile stepowej jakąś postać; to go zaciekawia, więc podjeżdża ku mogile. Tu się kończy pierwsza duma, mająca tytuł nie bardzo może odpowiedni: *Przeczucie.* Druga ma tytuł zupełnie właściwy *Wróżbit.* Główną w niej postacią jest starzec, stojący na mogile, »siwy śpiewak Zaporoża«, Naum.

Twarz stuletnia, wyschła, śniada,
Broda bieli pół torbana;
Coś sępnego tak w źrenicy,
Jak mig w nocy błyskawicy.

Cała prawie duma jest tylko rozmową pomiędzy młodym księciem a starym wróżbitem. Możnaby i tu znaleźć analogię między *Damianem* a *Grażyną*: jak Rymwid Litawora w długiej rozmowie stara się powstrzymać od bratobójczej wyprawy, tak Naum księcia od wyprawy weselnej; ale analogia i tu czysto zewnętrzna, wróżbit jest postacią na wskroś oryginalną. Poeta niewątpliwie wzorował go na postaci, czy postaciach starych torbanistów, których spotykał w dzieciństwie nad Dnieprem, o których wspomina w przedmowie. Książę zapytuje Nauma, co on tu robi samotny na mogile? Ale gdzież właściwsze dlań miejsce, jeżeli nie tutaj?

Bo śpią w grobach pożegnani
Dum i bojów towarzysze —
I ja z nimi śnię na dobie,
Choć nie w grobie, to na grobie.

Przed stuletnim starcem rozwija się tutaj daleka przeszłość przeżyta; »dni minione lśnią« przed nim, wspomnienia nabierają barwy życia, cienie przeszłości oblekają się w ciało:

Widzę boje, słyszę dumy,
Prapradziadów pokolenia,
Wszystko jasno i wydatnie...
Słyszę nawet słowa bratnie.

Ale starzec obdarzony jest nie tylko wzrokiem, który sięga w daleką przeszłość i z grobu ją wywołuje, jak żywą; dar jego widzenia jest podwójny: gdy zwróci wzrok w przeciwną stronę,

Przyszłość dla was czcza, zakryta,
Stu słońc blaskiem dla mnie świta.

I dlatego, że ją widzi, ostrzega księcia przed wiszącem nieszczęściem, a gdy książę lekko przyjmuje złą wróżbę (po co budzić licho — kiedy wszędzie błogo, ci-

cho), wskazuje mu dziwne znaki na niebie i dziwne głosy wśród zwierząt i ptactwa, wreszcie przypomina tradycyę dziada, sławnego Dymitra, który po koronę się wybrał, a zawisł na haku w Stambule. Wszak i jego on ostrzegał.

Jesień była — takiż tuman,
Myśmy sromni stali kołem,
Książę na koń siadł zaduman,
Nie jedź, kniaziu! wykrzyknąłem.
On pokłonił się ludowi,
I rzekł tylko: Bądźcie zdrowi!

Dobrze hospodaru panu!
Nie spoczywa w naszej ziemi,
Ani dumy, ni kurhanu,
Ni to zlany łzy naszemi;
Dziś tam kruki gdzieś daleko
Niepomszczone kości wleką.

Ale jak dziad, tak i wnuk nie dał się powstrzymać złą wróżbą: tamtego nęciła sława, tego nęci czarnobrewa Bożenna. Tacy to już bohaterowie stepowi; jak się im czego zachce, niczem ich odwieść nie można od zamiaru, pędzą ślepo naprzód. Tak i bohater *Słowa o pułku Igora* wbrew jawnym znakom na niebie i ziemi nie chciał zaniechać wyprawy. I Damian popędził tam, dokąd się wybrał, zostawiając na mogile starca, który

Długo schylon, drżący, blady,
Niby słyszy głos pod ziemią;
Sprzeczne myśli i układy
Twarz wyjaśnią, to zaciemią;
Potem porwał się co żywo,
Pewno złowił myśl szczęśliwą [1]).

---

[1]) I ta strofa jest dalekiem echem pewnego ustępu z *Grażyny*, mojem zdaniem najpiękniejszego, kiedy w Grażynie dojrzewa zamiar bohaterskiego czynu:

Druga duma i cały fragment kończy się malowniczym obrazem weselnego orszaku, który z hukiem, szumem i tententem jak wicher przelatuje pod mogiłą.

Aż znienacka od ustroni
Zagrzmi tentent po pustyni,
Konowczenko we sto koni,
W krasnych czapkach bojaryni,
A u czapek w upominek
Mak czerwony i barwinek.

Co miało być dalej, po części można odgadywać. Wróżba Nauma miała się spełnić, Tatarzy, o których on napomykał, mieli wpaść nagle i porwać Bożennę, Damian zapewne miał ją potem odbijać. Ten sam temat w głównych liniach powtórzy się w dziesięć lat potem w odmiennem i szerszem rozwinięciu w *Złotej dumie*, i tak samo zostanie urwany przed doprowadzeniem poematu do połowy. Bo do epiki Bohdan nie był stworzony; epika służyła mu tylko za naczynie liryzmu. Gdy nie mógł jej napełnić tym żywiołem, fantazya odmawiała mu posłuszeństwa.

Ze wszystkiego, co się dotychczas powiedziało o *Damianie*, można wyprowadzić wniosek, że na genezę poematu złożyły się następujące czynniki: romantyczny ukrainizm, wspomnienia dzieciństwa, tradycya historyczna o Dymitrze Wiśniowieckim i wpływ *Grażyny*. Do tego trzeba jeszcze dodać jeden, bardzo ważny czynnik, ponieważ wpłynął on na ukształtowanie pewnego pomysłu w *Da-*

Stanęła, milczy, przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którem się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka,
W niepewnych rysach okaże się, mija,
I znowu wschodzi, całą twarz obleka;
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

mianie, pomysłu, który miał mieć najdonioślejsze znaczenie i odegrać wielką rolę nietylko w dalszym rozwoju poezyi Zaleskiego, ale i w całej poezyi polskiej o barwie ukraińskiej. Tym pomysłem jest postać Nauma, tym czynnikiem jest tradycya o Wernyhorze. Naum jest pierwszem wcieleniem tej legendowej postaci, która w mistycznej aureoli snuje się przez całą poezyę polską XIX w., jaśnieje niezrównanym blaskiem u Słowackiego, znajduje wspaniały wyraz pod pędzlem Matejki i zachodzi aż do *Wesela* Wyspiańskiego. Zaleskiemu należy się zaszczyt, że on pierwszy wprowadził tę postać do poezyi pod nazwą wziętą ze wspomnień dziecinnych [1], że on pierwszy ją stworzył poetycznie, jako piewcę i widuna, w rysach zasadniczych, które ozdobiły się potem wielu nowymi, ale same pozostały niezatarte.

Że tak było, że kreśląc postać Nauma, miał na myśli tradycyę Wernyhory i stopił ją ze wspomnieniami własnemi o starym torbaniście, dowód tego najwyraźniejszy w cytowanej już dwakroć przedmowie. Mówi on tam o drugiej dumie, że do jej pomysłu »pieśni ludu niewiele farb dostarczyć mogły«, to znaczy, że ani w pieśniach, ani w dumach ukraińskich podobna postać się nie pojawia. Żeby się jednak ona nie wydała czytelnikom przesadną, dodaje: »Wszakże kto słyszał dziwne podania

[1]) W obszernym przypisku do wiersza *Teligoła*, pisanego w późniejszych czasach, mówi poeta o »zgarbionych wiekiem białowłosych« Zaporożcach, których w latach dziecinnych spotykał »po chutorach, pasiekach i basztanach na Ukrainie«. Od nich to słyszał o Naumie, »że był on znachorem czyli wieszczym i sławnym piewcą; że jak Wernyhora miłował Lachów i nakłaniał starszyznę do zgody i jednania się z nimi. Nikt mi nigdy nie umiał wyśpiewać całkiej dumy Nauma; ale z urywków, z luźnych wierszy, z przysłów i przyrównań czuć się daje coś biblijnego i Bojanowego, to jest wyższy nastrój duchowy. Jak Bojan polański, tak i zaporoski Naum stanie się kiedyś mitycznym piewcą Ukrainy«.

o wróżbicie korsuńskim Wernyhorze, ten mię o przesadę nie obwini«. Co się tyczy pytania, od kogo i gdzie zaczerpnął Zaleski tej tradycyi o Wernyhorze, aby ją skojarzyć z mętnemi wspomnieniami o Naumie, który był, jakby tą samą postacią, tylko o innej nazwie, na to pewnej odpowiedzi nie mamy, ale to już kwestya podrzędna. Być może, iż ta tradycya obijała się o jego uszy, jeszcze gdy bawił u ciotki Kundziczowej w kaniowskim powiecie, gdzie we wsi Makedonach miał się urodzić Wernyhora. Może też był kiedy potem w Korsuniu i tam mu opowiadano o proroku ukraińskim i jego proroctwach dotyczących Polski. Ale jeżeli nie skądinąd, to niewątpliwie słyszał wiele o Wernyhorze w czasach szkolnych od Goszczyńskiego, który część wakacyi letnich w roku 1818 spędził w Korsuniu i w swojej *Chronologii mojego życia* zanotował: »Marzenia nad Rosią — Wernyhora — Wyspa Zamkowa — Korsuń — Lasy Korsuńskie«. Wiemy też z tego samego źródła, że w roku 1820, jeszcze przed wyjazdem do Warszawy, pisał Goszczyński poema p. t. »Dąbrowy śmilańskie«, do którego między innemi wchodziły podania o Wernyhorze.

Postać Wernyhory bardzo żywo zajmowała wyobraźnię Goszczyńskiego niemal przez całe jego życie. W roku 1830 wygotował powieść poetycką pod tytułem *Wernyhora*, która zaginęła w zawierusze po upadku powstania, w czasach towianizmu kreślił plany do innej powieści na ten temat, gdzie Wernyhora miał mieć symboliczno-mistyczny charakter. Ale z tych wszystkich zamiarów nic nie zostało w literaturze polskiej, a gdyby się nawet cudem znalazła powieść z roku 1830, to i tak pierwszeństwo wprowadzenia tej postaci do poezyi pozostałoby przy Bohdanie. Tylko wprowadził on ją na swój sposób: oderwał od szczegółowego tła historycznego rzezi humańskiej i konfederacyi barskiej, do jakiego ją tra-

dycya szlachecka przytwierdziła, a przeniósł w nieokreślone bliżej czasy dawniejsze i nadał jej typowe znaczenie ludowego pieśniarza i proroka. Głównie dzięki tej postaci rapsod o Damianie Wiśniowieckim podnosił się ponad całą dotychczasową poezyę ukraińską Bohdana i stanowił ważny krok naprzód w rozwoju jego twórczości.

ROZDZIAŁ VII.

Początki sławy i pierwsza miłość.

1825.

Ożywienie się ruchu literackiego w Warszawie w r. 1825. — Nowe pisma literackie. — Krytyczne artykuły Dmochowskiego, Grabowskiego, Mochnackiego, Podczaszyńskiego. — Antagonizm między Dmochowskim a Mochnackim. — Mochnacki contra Śniadecki. — Wmieszanie się Lelewela. — Malczewski i jego *Marya*. — Krytyka Dmochowskiego. — Przyjazd Zaleskiego do Warszawy. — Syrena warszawska. — Grabowski wśród Scytów i antropofagów ukraińskich. — Jego zajęcia literackie i plany powieściopisarskie. — Zawód miłosny Bohdana. — Wrażenie, jakie na nim wywarła *Marya* Malczewskiego. — Drobne utwory Zaleskiego z tego okresu.

W cytowanym już liście do Grabowskiego [1], który miał niedługo wyjechać do Petersburga, Zaleski pisał: »Spodziewam się, iż będę mógł ustnie cię pożegnać... pożegnać na długo. Ja niezawodnie z pułkiem Szembeka przybywam d. 20 kwietnia do Warszawy na garnizon«. Wistocie przybył i pobyt jego w Warszawie lub w obozie pod Warszawą, przeciągnął się, jak to z listów można wnioskować, bardzo długo, bo co najmniej do końca sty-

---

[1] List z datą 30 marca 1825 r.

cznia następnego roku[1]. Z Grabowskim miał czas nietylko ustnie się pożegnać, ale i dobrze nagadać się i podzielić się wrażeniami z lektury i odczytać mu nowe swoje utwory, ponieważ Grabowski, jak to z pewnych kombinacyi wynika, nie wcześniej (a zapewne i nie później) jak w czerwcu wyjechał z Warszawy.

Warszawa w tym roku, w którym Zaleski przybywał do niej na dłuższy pobyt, starała się otrząsnąć z ospałości literackiej, w jakiej była w latach poprzednich pogrążoną. Po skonaniu *Gazety Literackiej*, i za życia dość martwej, w r. 1822, i *Pamiętnika warszawskiego* w roku 1823, nie było w stolicy Królestwa żadnego poważniejszego organu literackiego. *Wanda* wydawana pod koniec swego istnienia przez Dmochowskiego i Lisieckiego, a która dla większej poczytności przybrała sobie za towarzysza *Momusa* Żółkowskiego, marne pisemko humorystyczne, świadczące o niewybrednych wymaganiach warszawskiej publiczności, do tytułu poważnego pisma rościć pretensyi nie mogła. Zresztą i ona po r. 1823 przestała wychodzić. *Astrea* Grzymały, która miała wyższe pretensye, żyła wprawdzie, ale przeważnie spoczywała w letargu, i rzadko budziła się z niego. A tymczasem z zagranicy, z Francyi przedewszystkiem, na którą wiecznie były zwrócone oczy warszawskiego świata, płynęły coraz żywsze echa nowych prądów literackich i coraz silniej zajmowały u nas umysły młodszego pokolenia.

Wprawdzie i we Francyi w r. 1824 po niedługiem istnieniu przestała była wychodzić *La Muse française*, organ pierwszego koła (cénacle) romantycznego, które się grupowało koło Karola Nodier, a do którego należał i młodziutki Victor Hugo i trochę starszy de Vigny, i w którem jeszcze nowatorstwo poetyczne kojarzyło się z kon-

---

[1]) Ostatni list z tych czasów jego warszawskich (do siostry Linowskiej) nosi datę 20/8 stycznia 1826 r.

serwatyzmem politycznym i religijnym; ale nowy kierunek literacki nie stracił na tem, gdyż jednocześnie z upadkiem *la Muse* powstał w Paryżu (w połowie września 1824) inny, o wiele znakomitszy organ, *le Globe*, który łącząc sprawę romantyzmu ze sprawą liberalizmu w polityce, zgrupował wkoło siebie liczne grono najznakomitszych pisarzy współczesnych, i młodszych, jak Sainte-Beuve, Thiers, Piotr Leroux, Mignet i starszych jak Guizot, Cousin, Villemain, de Barante, i odegrał, jak wiadomo, ważną rolę w dziejach romantyzmu francuskiego i w rozwoju francuskiej krytyki. W Warszawie o podobnym organie nie można było myśleć, ale wobec tego, że utwory młodych poetów naszych, w szczególności Mickiewicza, obudzały powszechne zajęcie, dawała się uczuwać wielka potrzeba jakiegokolwiek poważniejszego literackiego pisma, któreby krytycznie je oceniało.

Spostrzegł ten brak Dmochowski i postanowił wydawać z początkiem r. 1825 poważny dwutygodnik p. t. *Biblioteka Polska*. Już w pierwszym zeszycie dał przegląd produkcyi literackiej w Polsce w ubiegłym roku (1824), w drugim, w formie odezwy do wydawców Biblioteki Polskiej, ubolewał nad brakiem krytyki u nas (szczególnie od czasu jak Ixowie zaprzestali pisać o teatrze) i kładł nacisk, w ogólnikowych zresztą wyrażeniach, na jej potrzebę [1]. Wreszcie w zeszycie trzecim wystąpił z ob-

---

[1] »Kiedy towarzystwo Ixów złożone z osób gruntowną posiadających znajomość literatury i sztuki teatralnej ciągle przez lat kilka zdrowe zasady gustu ogłaszało w gazetach, widzieliśmy licznie uczęszczającą publiczność na sztuki rzeczywistą mające wartość. Nie dawano oklasków nietrafnie naciąganym maxymom, którémi się tylko mierność ratować zwykła, umiano ocenić piękności wysłowienia, myśli i położeń dramatycznych. Od tego czasu, jak Ixowie zaprzestali pisać o teatrze, jak kilka sztuk odegrano jedne po drugich, których całą zaletą były wiszące aniołki, deszcze ogniste, pałace nadpowietrzne i t. d. zmieniło się upodobanie widzów«. Obe-

szerniejszym artykułem, o wiele obiecującym tytule: »Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej«. Miał to być pierwszy sąd krytyczny o polskiej poezyi romantycznej, sąd, którego daremnie przed niespełna dwoma laty domagał się od poważnych literatów Grzymała. Wobec milczenia Osińskiego i Brodzińskiego, Dmóchowski uważał, że do niego należy wystąpić z takim sądem; była to dobra sposobność do zjednania sobie poważnego stanowiska w literaturze.

Jakież stanowisko zajął Dmochowski względem romantyków? Jako syn autora *Sztuki rymotwórczej*, już samą tradycyą rodzinną związany był z obozem klasyków; ale wiekiem zbliżony do młodych (urodził się 1801), jakkolwiek idąc utartą drogą tłumaczył francuskich tragików, nie zakrzepł w wyłącznem uwielbieniu dla nich, nie był obojętny na wdzięki nowej poezyi, i z zamiłowaniem tłumaczył Lamartine'a, który zresztą z nowej poezyi francuskiej najbliższy był wzorom klasycznym. Stąd to zapewne pochodziło, że w nurtującej walce dwu kierunków chciał odegrać rolę pośrednika, rolę o tyle łatwą, że już Brodziński służył za przykład. Ale od czasu rozprawy Brodzińskiego zaostrzyły się były stosunki między stronnictwami literackiemi, to też zapewne nie z udaną obawą pisał Dmóchowski u wstępu do swego artykułu, że podjął się »niebezpiecznej« pracy. »Na samym wstępie postrzegam stojące naprzeciw siebie dwie klasyków i romantyków roty. Zawzięci napastnicy nie chcą w żadną wchodzić umowę, *wszystko* lub *nic*, to jest ich hasłem, a może jak jedni tak drudzy zwrócą swoje pociski na tego, który, z oliwną gałązką w ręku, ich pojednawcą chce zostać.

---

cnie teatr jest pustym, jeżeli dają rzeczy poważne. A »co z teatrem, to samo dzieje się i z dziełami: gdyby nie Wołyń, Ukraina i Litwa jużby dawno księgarze warszawscy zbankrutowali«. (Bibl. Pol. 1825. T. I, str. 60–61).

Cóżkolwiek bądź, chociażbym padł ofiarą mojej dobrej chęci porozumienia i pogodzenia stron walczących, zrobiwszy krok pierwszy, nie cofnę się, a może też znajdę takich, którzy usiłowaniom moim pochwalić raczą«.

Właściwie romantyków nie miał powodu obawiać się Dmochowski, bo dla nich był bardzo łaskawy; ale klasykom niewątpliwie uwagi jego podobać się nie mogły. Bo jakkolwiek w części ogólnej, która była tylko streszczeniem poglądów Brodzińskiego, oba rodzaje uważał za równouprawnione i twierdził, że »prawdziwy talent jak jednym, tak drugim idąc zawodem, zawsze pozyska prawo do chwały«, wszakże dodawał zaraz, że »poezya która nam przedstawia ojczyste podania i zwyczaje,.... której co krok nie wstrzymuje obawa obrażenia przyjętego tonu i licznych prawideł większe otwiera pole dla wyobraźni poety i silniej umysły porywa«, i w ten sposób objaśniał »coraz to więcej szerzące się upodobanie w romantycznej poezyi«. Jeszcze więcej musiało się im nie podobać to, co pisał o nowszych utworach poetyckich. Tak wynosząc Wiesława, jako wierny obraz obyczajów ludu krakowskiego, utrzymywał, że »temu tylko nie podoba się Wiesław i inne poezye Brodzińskiego, który w szkole dworności, dowcipu i uszczypliwości francuskiej, postradał uczucie prostej piękności i dla którego to wszystko, co się do natury zbliża, jest celem żartów i szyderstwa«, co wyglądało, jakby wprost wymierzone przeciw Osińskiemu. Ale najwięcej obrażać mogło klasyków to, co Dmochowski pisał o Mickiewiczu. Wprawdzie wytykał błędy jego stylu (używanie zdrobniałych wyrazów, łączenie stylu wzniosłego z burlesque w Tukaju, drobne uchybienia przeciw gramatyce), wprawdzie godził się na to, że »ogólny pomysł *Dziadów* jest nadzwyczajnym, a nawet i dzikim«, ale Mickiewicza traktował, jako poetę, który »stanowi epokę w poezyi naszej«, jako genialny talent, który nie chce iść drogą naśladowania, »sam dla siebie

nowy tworzy rodzaj, a z dzieł jego krytycy i naśladowcy wyprowadzają nowe prawidła«, a o *Dziadach* mówił, że nie ma tam »prawie jednego wiersza, jednej myśli, któraby nie nosiła cechy wyższego talentu i nie była godną wspomnienia« i że »kto chce sprawiedliwie ocenić autora, ten nigdy przeciw niemu iść nie powinien; trzeba postawić się w jego miejscu, wyrozumieć, jaki miał cel i wybadać, czyli go osiągnął. Jeżeli tego dokazał, jeżeli zajął wyobraźnię i serce wzruszył, nie pytajmy go się, dlaczego tą a nie inną poszedł drogą«[1].

Złożywszy taki hołd Mickiewiczowi, przechodził do innych młodych naszych poetów, którzy obrali drogę romantyczną, i tu pierwsze miejsce po autorze *Ballad* i *Dziadów* wyznaczał Zaleskiemu. »Tąż samą drogą, co i Mickiewicz poszedł I. B. Zaleski i między ludem ukraińskim, w swojej rodzinnej ziemi, szuka materyałów do poezyi swoich. Lubo dotąd kilka dopiero prób talentu ogłosił w pismach publicznych, jednakże z nich można powziąść nadzieję, że poezya narodowa znajdzie w nim znakomitą podporę. Rapsod rycerski umieszczony w *Pamiętniku Warsz.*, ballada *Lubor*, *Wzgórek pożegnania*... zalecają się i śmiałością wyobraźni i wdziękiem wysłowienia«. I tu czynił trafną uwagę, która się nie mogła podobać tym, co się wyśmiewali z »pińskich głów« i »Smorgończyków«, że »Litwa, Ukraina, Podole i Wołyń, uważane pod względem poetycznym, daleko obfitsze obiecują żniwo dla literatury naszej, niżeli okolice Wielkiej i Małej Polski«. Ale umiał odróżnić talenty naśladownicze od oryginalnych, i jeżeli Zaleskiemu przyznawał oryginalność na równi z Mickiewiczem, to Odyńca, Chodźkę i Witwickiego uważał za naśladowców Mickiewicza i ostrzegał ich, »że naśladując pisarza, to co w nim jest piękno-

---

[1]) Wiadomo, że Mickiewicz dziękował Dmochowskiemu za tę krytykę w liście do Odyńca. Patrz Kor. A. Mickiewicza IV, 87.

ścią, przez mniej trafne lub zbytnie użycie wadą w naśladowcy się staje«. Najwięcej przykrych uwag dostało się naturalnie Witwickiemu, ale były tak grzecznie wypowiedziane i z takim przydatkiem ogólnikowych pochwał i zachęty, że młody poeta nie mógł się gniewać za nie.

W końcu usprawiedliwiwszy się, dlaczego w tym poglądzie na najnowszą poezyę polską pominął tłumaczenia poetów francuskich (»jakkolwiek posiadać mogą piękne zalety, jednakże w niczem nie przyłożą się do wzniesienia poezyi naszej i do postawienia jej na tym stopniu, do którego doszły inne narody«), zamykał *Uwagi* swoje wezwaniem do młodych poetów: »niech świeżość i żywość wyobraźni romantyków połączą z gustem i poprawnością klasyków«. Zakończenie to dobrze charakteryzowało i styl i stanowisko pojednawcze Dmochowskiego i zależność jego od poglądów Brodzińskiego.

W dyskusyi, wszczętej przez Dmochowskiego na temat polskiej poezyi romantycznej, pierwszy głos zabrał Grabowski w artykule: »*Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polszcze*« [1]). Powtórzył tu Grabowski, tylko w nieco odmiennym układzie i wyrażeniach, poglądy na romantyczność i poezye Witwickiego, któremi przed kilku miesiącami dzielił się z Bohdanem, i które już znamy. Ton krytyki, jakkolwiek złagodzony w drukowanym artykule, był nierównie śmielszy i ostrzejszy, niż u Dmochowskiego, styl żywszy i energiczniejszy. Prócz tych poglądów, już z listu jego nam znanych, były tu krótkie sądy o Brodzińskim, Mickiewiczu i Zaleskim. O Brodzińskim on pierwszy powiedział trafnie, że nie ma ten poeta

---

[1]) Ukazał się ten artykuł w zeszycie kwietniowym *Astrei* z 1825, który był ostatnim zeszytem tego pisma i wyszedł nie wcześniej, jak w czerwcu, bo już po wyjeździe Grabowskiego z Warszawy, jak to z listów jego wynika.

jeszcze »ustalonej fizyonomii nowej szkoły«, ale że on pierwszy zrobił olbrzymi krok w naszej literaturze »bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury«. »Geniusz Brodzińskiego jest w sercu... inni będą mogli wydoskonalić naszą romantyczną poezyą«, lecz on pierwszy »ją przeczuł i we własnem sercu wynalazł«. Poezyę Mickiewicza przyrównywał do błyskawicy, »kiedy rozświeca groźne niebo, rozwarte otchłanie morza, góry i lasy uraganem szumiące«, ale obawiał się, że naśladownictwo jej może zgubnie oddziałać na poezyę naszą. Zaleskiemu wreszcie taki poświęcał ustęp: »Nakoniec I. B. Zaleski, sięgnął po osierocone gęśle Lumira. Rapsod z wojen kozackich, umieszczony w *Pam. warsz.* i znajome w rękopismach Poezye jego obiecały nam przecie czysto-narodową szkołę. Zaleski zna doskonale charakter dziejów naszych: umie on, że tak powiem schwycić odbite echo poezyi dawnych Słowian; a malowniczym stylem przenosząc nas w miejsca i wieki, które opisuje, wprawia nieraz w złudzenie, w którym zdaje nam się słyszeć smutne, przeciągłe tòny dum ukraińskich, widzieć kraj mogił i pustyń, odbity w błękitnych wodach Dnieprowych«.

Niewątpliwie pisząc tę pochwałę dla przyjaciela i podnosząc jego poezyę w opinii czytelników, znał już Grabowski (w rękopisie) rapsod o Damianie Wiśniowieckim, ponieważ pochwała swojemi szczegółami najwięcej odpowiadała temu utworowi.

Bardzo prędko po Grabowskim odezwał się w sprawie romantyzmu inny głos, także po raz pierwszy występujący publicznie na polu krytyki — głos Maurycego Mochnackiego. Dwudziestoletni ten młodzieniec, a więc rówieśnik Grabowskiego, obdarzony ogromnemi zdolnościami i zbyt wcześnie rozwinięty, miał już za sobą burzliwą, tragiczną, a nawet, niestety, i mętną przeszłość. Wychowany w cieplarnianej atmosferze rodzinnej, wytworzonej przez ubóstwiającą go matkę, spiskowiec w piętnastym

czy szesnastym roku życia, więzień stanu, gdy zaledwie skończył lat dziewiętnaście, po paromiesięcznej próbie więziennej okazał upadek ducha tem głębszy, im bardziej awanturniczo nastrojoną była przedtem jego wyobraźnia w kierunku rewolucyjno-patryotycznym, i napisał dla Komisyi śledczej ów memoryał[1]), którego się musiał wstydzić potem przez całe, niedługie ale pełne poświęceń patryotycznych życie. Wyszedłszy z więzienia, rzucił się z całym pędem swej gorączkowej natury do publicystyki i od połowy 1825 roku zaczął razem z przyjacielem, Podczaszyńskim, wydawać miesięcznik naukowo-literacki p. t. *Dziennik Warszawski.* Zaraz w drugim (lipcowym) zeszycie tego pisma wystąpił z obszerną rozprawą na temat rozstrząsany już przez Brodzińskiego przed siedmiu laty, potem przez Mickiewicza w przedmowie do *Ballad*, wreszcie bezpośrednio przed Mochnackim na nowo poruszony przez Dmochowskiego i Grabowskiego, na temat znaczenia romantyzmu i jego zastosowania do poezyi polskiej.

Rozprawa ta nosiła tytuł *O duchu i źródłach poezyi w Polszcze*, a uderzała od pierwszych stronic gorącym tonem i rytmicznym tokiem prozy, jaką dotychczas nikt nie pisał, wreszcie oczytaniem w niemieckiej literaturze, do której poznania Mochnacki, do piętnastego roku życia kształcący się w Galicyi, był lepiej przygotowany od innych warszawskich literatów, z wyjątkiem Brodzińskiego. Z tej poetycznej frazeologii, jakiej był pełen artykuł Mochnackiego, kłębami, rzecby można, buchał zapał dla nowego kierunku poezyi i zachęcał do bezwzględnego oddania się romantyzmowi. Brodziński, który ostrzegał zwo-

[1]) Drukowany w Askenazego: Łukasiński T. II, 381—385. Dla tych, którzyby chcieli szczerze wielbić Mochnackiego, memoryał ten więcej niż treścią swoją, przykry jest gorącym tonem wymowy, jakim się wszystkie późniejsze pisma Mochnackiego odznaczają, a który tutaj świadczy, że jego żar słowa mógł nie tylko z głębi duszy pochodzić, ale i sztucznie być przyrządzanym.

lenników tego kierunku przed wybujałością niemieckiego romantyzmu, wydawał się Mochnackiemu »zbyt umiarkowanym i zbyt ostrożnym w zachęcaniu młodzieży do kształcenia się na drodze, którą tegocześni niemieccy i angielscy pisarze ozdobili mnóstwem pomników ręką geniuszu wzniesionych«. Nie chciał też Mochnacki ograniczać źródeł romantyzmu polskiego, jak je ograniczał autor *Wiesława*, do podań, do dziejów ojczystych i pieśni ludowej, ale zakreślał dla nich szerokie granice, w których romantyczność polska mogła się nie tylko bratać, ale i zlewać z niemiecką. Zastanowiwszy się pokrótce nad mitologią słowiańską, o której nie wiele mógł powiedzieć, następnie nad mitologią północną, którą lepiej i szerzej rozwinął, i wyśpiewawszy hymn na cześć wieków średnich, które przez pryzmat romantyki niemieckiej wydawały mu się czarującemi, tak streszczał swoje wskazówki dla młodych poetów polskich. »Starożytność słowiańska, mytologia północna i duch średnich wieków, te są źródła romantycznej poezyi w Polszcze, te są obfite materyały do literatury narodowej, ta jest obszerna imaginacyi, uczuć i pomysłów dziedzina. Uczuli tę prawdę Mickiewicz, I. B. Zaleski, Odyniec i kilku innych młodych poetów, którzy, idąc za wewnętrznem uczuciem i naturą, z chlubą przedarli się do wierzchołków romantycznego dotąd stopą polską nietkniętego Parnasu«.

Właściwie, przy takiem pojmowaniu romantyzmu polskiego, Zaleski niesłusznie tu był wymieniony, ponieważ jego produkcya poetycka, z wyjątkiem *Lubora* i przekładu dwóch pieśni staroczeskich, nie miała nic współnego z tymi źródłami. Ale Mochnackiemu chodziło zapewne o to, ażeby Bohdana przemocą niejako zagarnąć pod swój sztandar estetyczny i zachęcić do nachylenia się, wbrew naukom Brodzińskiego, ku niemieckiej romantyce, co, jak zobaczymy, nie pozostało bez wpływu na twórczość naszego poety. Wogóle zadaniem rozprawy Mochna-

ckiego było wyrwać romantykę polską z tych ciasnych granic, jakie jej zakreślił Brodziński, i przeciwdziałać wpływowi tego ostatniego.

W następnym, sierpniowym zeszycie *Dziennika Warszawskiego* wystąpił z uwagami na temat poezyi romantycznej przyjaciel i współredaktor Mochnackiego, Podczaszyński. Sposobność do tego nastręczył świeżo wydany w Wilnie pierwszy tom poezyi Odyńca [1]. Podczaszyński, nie tak bujny i nie tak świetny w stylu, jak jego przyjaciel, nie miał też tak wybujałych, jak tamten poglądów na poezyę, i artykuł jego był zwrotem w stronę poglądów Brodzińskiego i zawierał poniekąd ukrytą polemikę z rozprawą Mochnackiego. Mianowicie kiedy Mochnacki mitologię północną i ducha wieków średnich wskazywał jako źródła dla nowej poezyi polskiej, Podczaszyński rozróżniając w każdej poezyi dwa pierwiastki: ogólno-ludzki i narodowy, na ten ostatni kładł głównie nacisk, przyczem uwydatniał prowincyonalizmy, jakie zaczęły występować w najnowszej poezyi polskiej. »Piękny jest Mickiewicz, gdy uwiecznia swym rymem wyobrażenia i podania mieszkańców z nad Niemna i Wilii, Zaleski, gdy naddnieprzańskie przeciągłe dumy powtarza w samotnym (!) i życiem obdarzonym rymie, Brodziński, gdy nadwiślańskiego mieszkańca boleść i smutki w rzewnych wspomnieniach wylewa. Spojrzyjmy na kartę dawnej Polski, a utwierdzimy w sobie to mniemanie: że gdy poezya powinna być narodową, nasza, będąc narodową, rozmaite mieć może piękności, które pewnie w całym blasku zajaśnieją, jeżeli tą drogą pójdzie młodzież, jaką już iść zaczęła«.

Stosując swój pogląd na poezyę do Odyńca, »trzecie zajmującego miejsce między młodymi poetami«, widział on, że Odyniec »nie zgłębił tak jak Mickiewicz i Zaleski

---

[1] O pierwszym tomie poezyi Odyńca z krótką wzmianką o poezyi narodowej. Dzien. Warsz. 1825. T. I, str. 434—448.

ducha mieszkańców swojej ojczyzny«... »Oryginalnym pismom jego nie zbywa na cechach prawdziwej poezyi, nie są jednak jak Mickiewicza, Brodzińskiego i Zaleskiego narodowe«, a to dlatego, że »przejął się duchem poetów niemieckich«. Mickiewicza nazywał on także »jednym z najlepszych naśladowców niemieckich pisarzów«, ale ten naśladowca występował zarazem i jako »narodowy poeta«. W przeciwstawieniu do tamtych Zaleski nazwany był »ojczystym śpiewakiem«, przez co autor zaszczytnie go wyróżniał, jako najmniej ulegającego wpływom obcej poezyi. Przyznając mu razem z innymi krytykami drugie miejsce po Mickiewiczu w rzędzie najmłodszych poetów, tak charakteryzował jego poezyę: »Smutne pienia mieszkańców pięknej południowej krainy Polski, skoczna wesołość a razem rzewna tęsknota, pamiątką przeszłego szczęścia śpiewaka ożywiona, prostota, zresztą głębokie pomysły znamionują poezye Zaleskiego« i dodawał równie zaszczytną dla naszego poety uwagę, że »zniecierpliwieni rodacy oczekują rychłego wyjścia zbioru pism jego«.

Przy rozbudzonem zajęciu dla poezyi romantycznej i współzawodnictwie dwu organów literackich, które oba choć niejednakowo, popierały sprawę romantyczną, każdy miesiąc przynosił coś nowego w tej sprawie. O ileż szczęśliwszym był Odyniec od Mickiewicza! Jego poezye nie czekały na recenzye. Zaraz po Podczaszyńskim, we wrześniowych zeszytach *Biblioteki Polskiej*, wystąpił Dmochowski z bardzo szeroką i szczegółową ich oceną. Nie było tam, co prawda, nic ciekawego; krytyk pomimo iż mianował się obrońcą romantyzmu, nie umiał zdobyć się na nic więcej, jak na streszczanie utworow Odyńca, i wskazywanie uchybień stylu i wierności lub niewierności przekładów; przyczem warto zanotować, że zwykle ganił to, co było pochwalone w *Dzien. Warsz.*, a chwalił, co tam było naganione. Ale już samo tak szczegółowe zaznajamianie publiczności z nowym zbiorem poezyi musiało pochlebiać

Odyńcowi. I z wniosków ostatecznych mógł on być zadowolonym. Wprawdzie »styl P. Odyńca jakkolwiek świetny i powabny nie wyrównywa jeszcze stylowi Mickiewicza«, ale Dmochowski nie wątpił, że Odyniec, jeżeli nie będzie szczędził pracy i nie spocznie na pozyskanych laurach, »stanie się godnym uczniem i współzawodnikiem zachwycającego autora *Świtezianki i Dziadów*«. Czegoż więcej mógł pragnąć Odyniec?

Między dwoma organami literackiemi Warszawy, które oba protegowały poezyę romantyczną, istniał ukryty antagonizm, który miał głębszą podstawę, niż zwykłą *jalousie du métier*. Wypływał on przedewszystkiem z różnicy między naturami redaktorów tych pism. Dmochowski i Mochnacki stanowili najpełniejszy kontrast i jeżeli pierwszego raziła najmocniej wybujałość poglądów, gorączkowość i mglistość frazeologii redaktora *Dziennika Warsz.*, dla drugiego nieznośną była trzeźwość, oschłość i poziomość krytyczna redaktora *Bibl. Polskiej.* Z obu stron jednocześnie zaczęły padać ukryte strzały. *Biblioteka Polska* w pierwszym październ. zeszycie 1825 r. umieściła krótki artykuł p. t. *Literatura*, w którym Dmochowski oznajmiał, iż »pewien gorliwy obrońca klasyczności, znany z wysokiego talentu i gustu«, żądał od redakcyi, aby podała wyjątek z pochwały Rasyna przez La Harpa, jako najlepsze antidotum przeciw złemu gustowi, szerzonemu przez chwalców romantyzmu. Dmochowski zastosował się do tego żądania, podał ów wyjątek, ale podał zarazem i swoje uwagi, które charakteryzowały jego stanowisko w stosunku do klasyków i do Mochnackiego. Oświadczał on, że umie oceniać piękności Rasyna, ale nie sądzi, »aby wszelka inna droga, prócz tej którą szedł Rasyn, była drogą błędu«, i ażeby miłośnikom poezyi romantycznej należał się przydomek barbarzyńców, o jakich La Harpe mówi w swej pochwale. Chce on zupełnie objektywnie oceniać poezyę romantyczną; »będziemy nawet

wyrozumiali na błędy, jeżeli je znaczna liczba piękności okupi; lecz razem nie omieszkamy wytknąć tego wszystkiego, co nam się zdawać będzie przeciwne dobremu smakowi lub duchowi języka«. Ale z drugiej strony — i tu był strzał wymierzony bezimiennie przeciw Mochnackiemu — »nie podzielamy zdania tych zagorzałych stronników romantyczności, którzy pospolite myśli nadętemi słowami oddając, każą nam się wyrzec literatury klasycznej i wspominają z pogardą o tym, co długie lata świat uczony za piękność poczytywał, a pomysły hord skandynawskich każą nam uważać za najgłówniejsze źródło narodowej naszej poezyi. Takowe zdania nie przyczynią się w niczem do wzrostu literatury«[1]).

Jednocześnie z tym strzałem Dmochowskiego Mochnacki w swoim *Dzienniku* wymierzał działo przeciwko dawniej ogłoszonej rozprawie Jana Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych, a strzał ten armatni ubocznie godził także i w redaktora *Dzien. Warsz.* Dlaczegoż Mochnacki zabierał się do krytykowania rzeczy dość dawnej, bo jeszcze przed sześciu laty wydanej? Oto dlatego, że była to warownia, do której chętnie chowali się nieskorzy do otwartego boju klasycy, pewni, że najtęższe wytrzyma ciosy; że w rozprawie tej »powabem stylu, jasnością i precyzyą wyrażeń, attyckim a częstokroć rubasznym ozdobionej dowcipem«, upatrywali »okazałe *non plus ultra* niewstrząśnionych dowodów, służących do wyśmiania wszystkiego, co z mniemaną ich w poezyi i literaturze prawowiernością nie jest zgodne«[2]); dlatego wreszcie, że »literatura nasza byłaby już uwolniona od szkodliwego na nią wpływu tych mniemanych klasyków, gdyby ich jeszcze nie wspierała powaga autora rozprawy

---

[1]) Bibl. Polska 1825. T. IV 29—32.
[2]) Dzien. Warsz. 1825. T. II, str. 110.

i gdyby nie mieli za sobą tak znakomitego w języku ojczystym pisarza« [1]).

Polemika, jak z tych cytatów widzimy, była prowadzona z wielkim respektem dla Śniadeckiego, ale tem większą tchnęła pogardą ku »rozgałęzionemu bractwu wierszopisarzów«, którzy sądzą, — i tu strzał godził nietylko w jawnych klasyków, ale w duchem z nimi spokrewnionego F. S. Dmochowskiego—»że do poezyi niczego więcej nie potrzeba ogrócz gładkiego rymu, srzedniówki i dobranych końcówek; że dosyć jest być kompilatorem cudzych obrazów, zbieraczem tu i ówdzie rozpierzchłych myśli, powtarzać, co tysiąc razy powtórzono, brak czucia i imaginacyi zastąpić jałową deklamacyą i czczemi sentencyami, a na wszystkiem, jak powiadają, wycisnąć *piętno dowcipu ze smakiem połączonego,* aby mieć już prawo do zadziwienia współczesnych i owego *sidera feriam vertice*« [2]). Rozprawa była trochę chaotyczną, ale gorącą obroną intuicyi poetyckiej od stawianych przez Śniadeckiego wymagań stosowania się do prawideł sztuki rymotwórczej Boileau i Dmochowskiego. Prawidła w poezyi, »w tej metafizyce czucia i imaginacyi, w tej swobodnej dziedzinie natchnień«, nazywał Mochnacki »szczudłami umysłowej niemocy partaczów«, a jakkolwiek zgadzał się, może niezbyt konsekwentnie, na to, że »w literaturze zamożnej i tak obfitej, jak jest na przykład niemiecka lub angielska, użyteczne byłyby, a nawet nieodbicie potrzebne pewne ograniczenia, pewne przepisy... zmierzające do powściągnienia zbyt wybujałej imaginacyi piszących«, to jednak uważał, że u nas »podobne środki są zbyteczne a może i niebezpieczne«, ponieważ »literatura nasza potrzebuje raczej zachęcenia w każdym rodzaju, niż odstręczania ze strony krytyków« [3]).

---

[1]) Tamże 353—354. [2]) Tamże 348.
[3]) Tamże 351.

Krytyka Mochnackiego zakrojoną była na wielkie rozmiary, miała się składać z ośmiu szczegółowych rozpraw, zbijających poglądy Jana Śniadeckiego, ale urwała się na ogłoszeniu wstępu i pierwszej części (w październikowym i grudniowym zeszycie *Dziennika* 1825). Mochnacki z końcem tego roku wystąpił z redakcyi *Dziennika Warsz.*, którego wydawcą i redaktorem w roku następnym pozostał sam Podczaszyński. Co było przyczyną tego urwania krytyki i wystąpienia z *Dziennika?* nic pewnego w tym względzie nie wiemy.

Do jak wysokiego stopnia walka pojęć estetycznych rozgrzała była w tym czasie umysły inteligencyi warszawskiej, okazuje to najlepiej fakt, że pociągnęła ku sobie nawet Lelewela. Ten wielki erudyt, w księgach i rękopisach zagłębiony, był bardzo czuły na wszystko, co się koło niego działo i bardzo dbały o popularność, szczególnie wśród młodzieży. To też gdy spór estetyczny rozgorzał i zwrócił na siebie powszechną uwagę, Lelewel nie mógł wytrzymać, aby się nie wmieszać do niego, pomimo, iż literatura nie była przedmiotem jego studyów. Ukazał się mianowicie w *Bibliotece Polskiej* (z grudnia 1825) bezimienny artykuł »O Romantyczności«, który nie z pod innego, jak jego, pióra mógł wypłynąć. Świadczyła o tem bardzo szeroka erudycya autora, a jeszcze wyraźniej oryginalny, zawiły, niezgrabny styl Lelewelowski, który tak jaskrawo odbijał z jednej strony, od suchej, ale jasnej prozy Dmochowskiego, z drugiej — od bujnej, poetycznej i energicznej frazeologii Mochnackiego.

Za pretekst do wmieszania się wziął Lelewel artykuł Mochnackiego dawniejszy: *O duchu i źródłach poezyi w Polsce*, »który niektórym osobom niezmiernie się podobał, niektórym zaś wcale nie przypadł do smaku«. Co do siebie, Lelewel oświadczał, iż z rzetelną admiracyą spogląda na gorliwość autora artykułu i »pełne ognia obstawanie przy nowotnych wieków naszych usiłowaniach«;

ale w tym artykule »cale bujnemi wyłożonym słowami«, znalazł on »niejakie nieszykowności, niezupełność i pomknione zasady«, na które się zgodzić nie może i które postanowił wytknąć. Główną »nieszykownością« jest teza Mochnackiego, że przedmiotem i źródłem romantycznej poezyi w Polsce powinna być starożytność słowiańska, mitologia północna i duch wieków średnich; albowiem skoro »lud polski w osobny wywiązał się naród, starożytności słowiańskie nie są dość narodowe; mitologia północna skandynawska wcale nie narodowy przedmiot; duch wieków średnich, duch rycerski, także nie dość narodowy; bo taki, jaki u trubadurów i romantyków zachodu panuje, winien niesłychanym uledz modyfikacyom, aby mógł być w narodowy polski przeistoczony«. Nie zgadzał się też Lelewel na to, aby dotychczasowej poezyi polskiej, chociaż była naśladowniczą, odmawiać charakteru narodowego, skoro »król Popiel, Jan Karol Chodkiewicz, Gliński, Barbara i tym podobni byli przedmiotem poezyi Krasickiego, Niemcewicza, Felińskiego i tylu innych«. Najwięcej ze wszystkiego ubodło go zalecanie poetom polskim, jako źródła natchnień, mitologii skandynawskiej. »Wolałbym króla Sobieskiego wyprawić na pola elizejskie, aniżeli na burdy i rąbaniny Walkiryów, do pałacu Walhalla; wolałbym, aby mu brzdąkał Apollon, aniżeli Bragur; wolałbym, ażeby furye i jędze miotały zbrodniarzem i zdrajcą, aniżeli Surtur«. I jakby przeczuwając poezyę Wyspiańskiego, utrzymywał, że postacie z mitologii grecko-rzymskiej »mogłyby się śmiesznemi między Bolesławem, Gedyminem, Chmielnickim wydać maryonetkami, ale by zrozumiałe były. Skandynawska zaś mitologia jest całkiem nieznana i t. d.«

O ile wytykał Lelewel »nieszykowności« Mochnackiemu, o tyle naturalnie sprawiał wielką przyjemność klasykom; ale w dalszym ciągu artykułu występował on przeciw tym ostatnim, broniąc romantyczności od zarzutu,

że wprowadza potworniejsze obrazy i postaci od poezyi klasycznej. »Mefistotelesa i jego towarzyszów jest bezecny obraz«, ale on »choć zwodniczą, ale uprzyjemnioną i pełną powabu gra rolę. Nie takie są w starożytności Harpie... nietylko dzikim zjawiskiem uczty przerywały, ale je bezecnie zapaskudzały. A tak brudnego obrazu w całej romantyczności nie znam«... »W poezyi romantycznej pełno jest monstrów, olbrzymów, które wszakże głosi poezya klasyczna: Scylla, Charybda, Chymera, Pyto, są poczwary od początku szkaradne i coraz bezecniej ukształcone«. Tak samo »opętani, upiory, zmory, martwiec, strygi są dzikie i obrażające romantyczności płody«, ale »są przedmioty wiary pospólstwa dziksze daleko w starożytności, bo bóstwu przypisywane: pożeranie dzieci przez Saturna, odzieranie ze skóry przez Apollina, lub tłumami ludzi strzałami jego uprzątanie«. Zabierał następnie głos w kwestyi prawideł sztuki, utrzymując, że romantycy mają te same prawidła, co i klasycy, mówił o charakterze i duchu poezyi, ale tutaj czuł się już nie na swoim gruncie, więc krotko rzecz odprawił, zamykając artykuł swój dwiema przestrogami: jedną dla *Dziennika Warszawskiego*, jako tego, który »zaleca jedynie romantyczność poezyi polskiej«, że »dobrze jest oswajać ziomków swoich ze sztuką, wiadomościami i wyobrażeń rozmaitością, ale wiernie coś im zalecać i nagle do czegoś wyzywać, może być zdradno«; drugą — dla klasyków, informując ich, że we Francyi, na którą oni ciągle mieli oczy zwrócone, »te wrzaski często nieprzyzwoite ze strony sektatorów klasyczności albo ustały, albo sfolgowały, a rozmaite w poezyi narodów postępy zaczynają być z tą spokojną i filozoficzną w poszukiwaniach rozbierane rozwagą, jaka przystała słuszności, człowiekowi i prawdzie«.

Styl Lelewela musiał drapać uszy romantyków i wywoływał może uśmiech politowania na ustach klasyków, ale jego erudycya, spokój, bezstronność, miłość prawdy,

imponowały jednym i drugim i otrzeźwiająco oddziałały na walczące obozy. Artykuł »O Romantyczności« był konwią zimnej wody, wylaną na rozgrzane głowy klasyków i romantyków warszawskich i na jakiś niedługi czas przygasił walkę między nimi. Być może, iż on to był głównym powodem, jeżeli nie ustąpienia Mochnackiego z *Dziennika Warszawskiego*, to przynajmniej urwania się jego rozprawy, mającej zburzyć twierdzę klasycyzmu.

Ten obraz ruchu literackiego Warszawy w r. 1825 utraciłby wiele, gdybym pominął postać Antoniego Malczewskiego, fakt ukazania się jego *Maryi* w tym czasie i przyjęcia, jakiego doznała. Malczewski przyjechał do Warszawy na niedługo przed wydaniem *Maryi*, przyjechał, aby ten poemat wydać. Nie był to już młodzieniec, jak ci wszyscy romantycy, co zdobywali wówczas poetyckie ostrogi, ale człowiek stojący w połowie życia. Nieszczęśliwe koleje życia nastroiły serce jego na ton głębokiego smutku. Wychowany w dostatkach, a nawet w zbytku, przeżywszy młodość wśród świetnych nadziei osobistych i narodowych, wśród blasku życia wojennego i powodzeń miłosnych, u progu wieku dojrzałego znalazł się w niedostatku, bez energii do pracy, której nie mógł w sobie wyrobić, i ze stosunkiem miłosnym, który zamiast osładzać mu życie, stał się kamieniem u szyi.

Świetny oficer wojska polskiego w czasach Napoleońskich, Malczewski po upadku Napoleona poświęcił kilka lat na wędrówki po Europie, pociągnięty miłością ku pięknej pani wysokiego rodu, zwiedzał Włochy, Szwajcaryę, spinał się na najwyższe szczyty alpejskie, przejmował się poezyą Bajrona, chłonął duszą artystyczną wrażenia, których mu natura i sztuka Włoch dostarczyły — a potem wszystkiem musiał wziąć małą dzierżawę w prowincyonalnym zakątku na Wołyniu, siać i orać jak zwykły hreczkosiej, nie mając do tego ani zamiłowania, ani przygotowania, a nosząc w duszy wspomnienia świetnych na-

dziei i świetnie spędzonej młodości. Ale mu pozostała poezya, która wzbierała w jego duszy powoli, a teraz w ciszy życia wiejskiego domagała się ujścia; w niej wylał całą gorycz swoich zawodów. Tutaj to zapewne (w Chrynowie) napisał swoją *Maryę*. Tu znalazł także rozrywkę w romansie, który go drogo kosztował. Sąsiadka Rucińska, istota nerwowa, chorowita, zakochawszy się w nim, porzuciła męża i przywiązała się tak do poety, że, gdy ten pojechał do Warszawy, ona za nim, i jemu, który sam cierpiał biedę, a nie był gorąco zakochanym, stała się prawdziwym ciężarem.

W Warszawie nikt prawie Malczewskiego nie znał; żył on w odosobnieniu, do czego zapewne skłaniało go i pożycie jego z Rucińską. Puszczając w świat swoją *Maryę*, nie mógł liczyć na stosunki i protekcye literackie, nie należał do żadnego obozu. Wszakże nie chciał puszczać w świat powieści bez żadnego dla niej patronatu i obrał dla niej za patrona Niemcewicza, także stojącego ponad walką obozów literackich, a otaczanego czcią powszechną. »Nie dziw, że mnie to bardzo pochlebia — pisał w dedykacyi — iż mi pozwalacie ozdobić karty moje Waszem [1]) imieniem, kiedy dusza każdego rodaka lubi się karmić słodyczą Waszego pióra i nietylko mój umysł rad się przegląda w biegu czystym i użytecznym Waszego życia: więcej powiem — i nikt mnie o przesadę nie oskarży — imię Wasze jest dla młodych Polaków noszonym przy sercu zabytkiem, bośmy się o Waszej sławie jeszcze od naszych ojców dowiedzieli, a Wy czarownym sposobem przypominacie się ciągle naszej wdzięczności«. O wierszach swoich mówił: »tęskne i jednostajne, jak nasze pola i jak mój umysł, ciemną tylko farbą zakreślą Wam niewykończone obrazy«, i z właściwą dedykacyom skromnością

---

[1]) W tem używaniu »Wy« i »Wasze« odbjał się wpływ francuszczyzny.

oświadczał, że będzie »hojnie zapłacony« za swoje »posępne malowidło«, jeżeli ten »hołd słaby« przypomni Niemcewiczowi, jak to ziomkowie wysoko cenić umieją jego przymioty i prace.

Jak przyjął Niemcewicz złożone sobie w hołdzie »posępne malowidło«, dokładnie tego nie wiemy, ale z jego obojętności na losy poematu i poety należy wnioskować, że nie poznał się na jego wartości. Jakże niepodobnem było do jego »Śpiewów historycznych«, choć także temat historyczny rozwijało! Tam nawet posępne śpiewy uświetniały jakiś czyn bohaterski przodków, tu była najczarniejsza zbrodnia z najczarniejszej przeszłości narodu wydobyta i błyskawicą poezyi oświetlona. Czy to było powodem obojętności Niemcewicza, czy tylko słaba wrażliwość estetyczna? nie wiadomo, ale *Marya* patrona nie znalazła i dostała się w ręce takiego krytyka, jak Dmochowski.

Ten ją ocenił, jak umiał, spokojnie, bez najmniejszej niechęci ku utworowi, który wydał mu się należącym do szkoły romantycznej, ale bez najmniejszego zrozumienia jego piękności. Podał treść *Maryi* dokładnie, przeplatając streszczenie wyjątkami z poematu, które mu się wydały godniejszemi uwagi, zwrócił uwagę na zagadkowość fabuły, uznał w tem naśladownictwo Byrona i ta zagadkowość mu się nie podobała. »Przedmiot *Maryi* tak jest prosty, jej treść wolna od wszelkich ustępów, że ją w kilku wierszach zamknąć można. Autor tworząc z tej rzeczy poema tysiąc czterysta kilkadziesiąt wierszy wynoszące (policzył wiersze!) i w jak najszczuplejszym zasadzając się zakresie, powinien ją ozdobić wysoką pięknością stylu, świeżością obrazów, wzniosłością myśli i mocnem oddaniem uczuć. Jeżeli jaki utwór poetycki te zalety posiada, wtenczas nie potrzebuje zawiłości intrygi i mnogości zdarzeń, owszem sama prostota układu jego wartość pomnaża«. Był to jakby ustęp ze *Sztuki rymotwór-*

czej ojca; wprowadzony tutaj dowodził, że cała melancholijna piękność *Maryi* była zakryta przed okiem krytyka. Wprawdzie Dmochowski przyznawał, że *Marya* »nie jest zupełnie pozbawioną tych wdzięków«, że przytoczone w streszczeniu fabuły wyjątki »odznaczają się prócz niektórych uchybień i pięknością wiersza i myśli, a nawet przypominają nam styl naszych dawnych pisarzy«, ale »wogóle« stylu *Maryi* pochwalić nie mógł i na uzasadnienie tego przytaczał »małą część z wielu wyrażeń rażących niewłaściwością, gminnością lub przesadą«. W długim szeregu przytoczeń były takie wyrażenia jak: »*Prychają rącze konie*«, »*Włóczy się wzrok w przestrzeni*«, »*Słońce świeci z kosa*« (zamiast z ukosa), »Przy zachodzie słońca *żarzały wszystkie farby* (czemuż nie powiedziano ciemniała barwa przedmiotów)« i t. p.

Skądże pochodzi taka »nierówność stylu?« Dlaczego »obok myśli pięknym wierszem oddanych, podobne uchybienia miejsce mieć mogą?« Krytyk objaśniał, że »pierwsze są oznaką talentu, drugie lub niewykształconego smaku, lub też może są skutkiem i źle zrozumianego wyobrażenia o rodzaju romantycznej poezyi«. I tu miał pożądaną sposobność paru czczymi ogólnikami określić poezyę romantyczną, jaką uznawał, jakiej gotów był bronić. »Unika ona wykwintności, lubi nawet pewien rodzaj prostoty, lecz nie przypuszcza gminności i ciągłego zaniedbania, lubi swoje utwory tajemną zasłoną pokrywać, lecz nie idzie stąd, aby całe poema było ciągłą i mordującą zagadką«. Na zakończenie, ażeby nie zostawiać bez pociechy autora *Maryi*, przyznawał, że może on »powiększyć szczupłe grono naszych oryginalnych pisarzy, jeżeli przy zdolnościach, jakie posiada, ukształci swój gust i sprostuje pojęcie swoje poezyi, z którego, jak nam się zdaje, wyniknęły po większej części wady jego utworu«.

Biedny Malczewski, który musiał wysłuchać takich rad i nauk od znacznie młodszego od siebie i bezdusznego

krytyka! A przecież jego *Marya*, urodzona z cierpień i zawodów życia poety, miała w sobie o wiele więcej poetyckiego ducha od pięknej, ale chłodnej *Grażyny*, której tworzeniu, jak sam Mickiewicz oświadczył, przewodniczyła *Minerva invita*. Ale nie potępiajmy Dmochowskiego, jak to czynili potem romantycy: on przynajmniej pisał o *Maryi* zaraz po jej ukazanin się, podał o niej wiadomość światu; inni, którym łatwiej było ocenić jej piękność, i tego nawet nie zrobili. Niemcewicz, któremu się ona oddawała w opiekę, okazał swojem zachowaniem się względem niej i jej twórcy, że mu była zupełnie obojętną [1]). Mochnacki, który był wówczas redaktorem *Dziennika Warszawskiego*, nie wspomniał o niej ani słowem, i dopiero w cztery lata po śmierci poety wyciągnął ją z zapomnienia i zdobył dla niej należną jej sławę. Jedynym człowiekiem, który odrazu, głęboko odczuł jej piękność, był Bohdan Zaleski. Ale nim przejdziemy do tego szczegółu, potrzeba odpowiedzieć na pytanie, co się działo z Zaleskim podczas jego długiego pobytu w Warszawie w tych czasach silnie rozbudzonych sporów literackich.

Z przeglądu tego, co pisano w tym roku w Warszawie o romantyzmie, widzieliśmy, że imię Zaleskiego ze wszystkich stron było wspominane z wielkiem uznaniem i sta-

---

[1]) Jan Krechowiecki, podnosząc uczynność i uprzejmość Michała Grabowskiego względem poczynających literatów, szukających u niego pomocy i rady, przeciwstawia go Niemcewiczowi, »który pismo dedykacyi »Maryi«, ... nieodżałowanego Ant. Malczewskiego, z grymaśnym lekceważeniem magnata przyjął, sierocego jego konduktu bytnością swoją do Powązek nie zaszczycił, najmniejszego wspomnienia w pismach publicznych temu tak znakomitemu bratu po lutni nie poświęcił. (Wiadom. o życiu i pismach M. Grabowskiego str. 22).

wiane na drugiem zaraz miejscu obok Mickiewicza. Pomimo, iż utwory jego, rozsiane po różnych pismach warszawskich, nie imponowały ani rozmiarami, ani obfitością, sława jego rosła: odczuwano szczerość i oryginalność jego poezyi. Że mu to sprawiało przyjemność, nie potrzeba tego dowodzić; ale nie wysuwał się naprzód. Jego dusza marzycielska stroniła od wrzawy przez całe życie; poezya była dla niego rzeczą domową, wewnętrzną, na targ jej wynosić nigdy nie miał ochoty. Nie mając ducha prozelityzmu, nie brał udziału w walce literackiej i tylko przysłuchiwał się jej z ubocza, ale gdyby nawet z natury miał wojownicze usposobienie, to i w takim razie nie byłby wówczas kruszył kopii o romantyzm, bo miał serce inną sprawą mocno poruszone i zajęte.

Na Zaleskiego, kiedy przybywał w początkach wiosny do Warszawy, czatowała miłość, aby go usidłać w swoje sieci i otoczyć gorącą atmosferą rozkoszy i cierpień, zawodów i nadziei, rozpaczy i radosnych uniesień. Była to pierwsza jego młodzieńcza miłość, która całe jego jestestwo ogarnęła, bo te miłosne uczucia, jakich się przedtem w jego życiu domyślać możemy, musiały mieć jeszcze charakter dziecinny. Zaleski, jak to u poetów zwykle bywa, z natury swej był niezmiernie kochliwy. W swej poetycznej autobiografii, która stanowi część *Ducha od stepu*, a obejmuje te rysy ducha poety, które on uważał za najwybitniejsze, nie zapomniał o tem, jaki czar już w czasach szkolnych miało dlań *das Ewig Weibliche* i jak go we snach prześladowało.

A już za nim krasnolica,
Wiecznych smutków tajemnica,
We snach goni się niewiasta.

I na jawie musiała go nieraz nęcić kraśna twarzyczka i smukła kibić dziewczęca, jak to on sam wskazuje w wierszu p. t. *Nieszpor*, gdzie przypominając »cieniste

17*

gaje, zaciszne świątyńki« Zofiówki, mówi, jak raz spotkał się tam z »bogińką« cudownej postaci, i »uczuł pożar od jej oczek«. Z tych to przelotnych »pożarów« utworzyła się dosyć konwencyonalna postać kochanki w *Westchnieniu za rodzinną chatką*. Nadał tam jej poeta fantastyczne imię Zoryny, mile brzmiące, utworzone z wyrazu »zorza«, a imię to stało się potem ogólną nazwą ukochanej w poezyi Zaleskiego. Ale to były wrażenia chwilowe, które się prędko zacierały; płomyki, które przebiegały po jego zdrowej naturze młodzieńczej i ulatniały się, nie zostawiając śladu. Serce jego nie doznawało jeszcze żadnych spustoszeń, nie miało żadnych blizn, i pomimo chwilowych smutków i tęsknot, które się w paru lirykach wyraziły, było rzeźwe, swobodne, ochocze, jak ptak bujający w słońcu wiosennem, jak motyl, do którego się w *Śpiewie poety* przyrównywał. Ciągnęło go *das Ewig Weibliche* ku sobie, ale nie wcielone jeszcze, nie skoncentrowane w żadnej postaci, tęsknił może, jak Damian, do jakiegoś raju cichego z ukochaną, ale ta ukochana była dopiero do odszukania na świecie. Swoboda, rzeźwość, ochoczość jego serca w stosunku do świata kobiecego najlepiej się wyraziła w postaci *Mazepy*, w którą, jak już powiedziałem, włożył poeta ówczesne swoje usposobienie:

Każda piękna dla mnie równa,
Kiedym zdrowy, hoży, młody,
Czy szlachcianka, czy królówna,
Czyli żona wojewody,
Czy Rusinka, czy Czerkieska,
Wiśniowiecka czy Sobieska.

Właśnie ta dumka ukazywała się w druku, w Bibliotece Polskiej Dmochowskiego, w chwili, gdy Bohdan zjeżdżał na ów dłuższy pobyt do Warszawy. Było to jakby wyzwanie rzucone pięknym paniom stolicy, która ma niedarmo w herbie syrenę. I znalazła się syrena, która to wyzwanie przyjęła i niedługiego potrzebowała czasu, aby

pokonać zuchwałego wyzywacza, aby go przyciągnąć do siebie, opanować, rozkochać i — zdradzić. Bądźmy jej wdzięczni za to; miłość i zawód przeorały serce poety, a ta rola polana jego łzami, zakwitła potem najpiękniejszym kwiatem poezyi.

Któż była owa syrena? Nazywała się Róża Żukowska i była piękna, jak róża, i była zalotna jak jej imienniczka. Tyle tylko napewno o niej wiemy, pozatem okryta jest obłokiem legendy. Pisała o niej pani Duchińska w swojem *Wspomnieniu pośmiertnem* o Bohdanie Zaleskim [1]), ale pani Duchińska, pragnąc »uwić żałobny wianek« z własnych wspomnień poety, tyle doń wplotła, zapewne mimowoli, a w każdym razie w najlepszej chęci, własnych kwiatów, że już dziś trudno odróżnić, co jest prawdziwą własnością poety, a co amplifikacyą albo błędną assocyacyą wyobrażeń jego przyjaciółki. Sam poeta okres ten swego życia pokrył zupełnem milczeniem i tylko przez zasłonę jego poezyi tu i ówdzie migają kształty i blaski tej postaci.

Bo też czysta czarownica,
Pełne zaklęć miała usta;
Jak rusałka żywa, pusta,
Jakie oczy! jakie lica!

Jakie oczy! jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże,
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica.

Najwięcej mógł o niej ciekawych rzeczy powiedzieć Odyniec, który ją znał właśnie w czasach cierpień miłosnych Bohdana, a którego, jak wiadomo, przez całe życie aż do śmierci interesowały ładne panienki, ale i to, co Odyniec podał o niej w swoich *Wspomnieniach z przeszłości* w formie listu do sędziwego autora *Rusałek*, jest

---

[1]) Bibl. Warsz. 1886, II.

tak ogólnikowe i tak poetyczną frazeologią okwiecone, że bardzo mało przynosi rysów do jej obrazu. A jeszcze też i o tem trzeba pamiętać, że aureola, jaką Odyniec stara się otoczyć jej postać, wypływała z chęci sprawienia przyjemności ośmdziesięcioletniemu poecie, którego jubileusz wówczas obchodzono. W każdym razie wobec braku innych świadectw, świadectwa Odyńca pomijać nie można; dlatego je przytaczam. »Romantyczniej - poetyczniejszej istoty pewno wówczas w Warszawie nie było; a ty jeden wiesz chyba i mógłbyś powiedzieć, jaki też wpływ na pierwszy rozwój romantycznej poezyi naszej wywarła i czyby pod tym względem nie warta była może stać obok z Maryllą? Że zaś jutrzenkowe to światło od niej, chociaż świecąc w innym kierunku, padło czasem z ukosa i na mnie i ożywiło mię, jak posąg Memnona: to komuż znów to zawdzięczam, jeśli nie tobie samemu? Zapoznałeś mnie z nią, jak z Witwickim; a jej uprzejmość, której doznawałem, czyliż nie z tego pochodziła zwłaszcza, że mogła ze mną rozmawiać o tobie; mówić sama niby tylko o pieśniach, ale najmilej słuchać o śpiewaku — któremu jużciż nie wątpiła pewnie, że wszystkie jej słowa powtórzę? Zaprawdę ona sama, jak mistyczna róża, cudzem już słowem zaklęta, we mnie samym cześć tylko i podziw wzbudzała; ale ileż to innych otaczało ją kwiatów i pączków równie barwą, jak wdziękiem pokrewnych, śród których nawet najlotniejszy motyl mógłby nieraz zastosować do siebie ten wiersz, Byrona o skrzydłach zefiru »mdlejących od woni ciężaru« w przelocie ponad greckim ogrodem różanym. Cóż za dziw, że ta istna syrena wiślana, wiążąc się w myślach twoich z wspomnieniami Dniepru, sama z Rozyny przemieniona na Zorynę, wywołała te cudne, urocze *Rusałki* i t. d.« [1]).

---

[1]) Wspomnienia z przeszłości.

W tym ustępie Odyniec lepiej odmalował siebie, niż tę, która miała być przedmiotem obrazu, a z jego słów o »jutrzenkowem świetle«, które »z ukosa« i na niego padało i ożywiało go, jak posąg Memnona, możnaby przypuszczać, że piękna syrena i jego pragnęła wciągnąć w koło swoich hołdowników. Co się tyczy chronologii miłosnego stosunku Bohdana z Różą, to jest ona jak cały ten stosunek, niejasną. To tylko z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać można, że Bohdan znał pannę Różę jeszcze w r. 1824, ponieważ wiersze, pisane w tym roku a drukowane w *Wandzie* 1825 r.: ***Fiołek*** i jeszcze więcej sonet *Odmiana* zdają się niewątpliwie do niej odnosić. W *Odmianie* było nawet jej imię wymienione: »Ach okiem oko mej Róży [1]) spotkałem«. Że wiedział o tej miłości przyjaciela Grabowski jeszcze przed swoim wyjazdem w czerwcu 1825 z Warszawy, świadczy o tem list jego z Aleksandrówki (9 sierpnia 1825), gdzie przesyłając poecie czterowiersz z *Wyzwolonej Jerozolimy* Tassa, zastosowuje go do okoliczności:

Zrywajmy Różę, póki się rumieni
Niźli jej wdziękom srogi czas zaszkodzi,
Bierzmy miłości kwiat, póki się śmieje,
Daje słodycze i wzbudza nadzieje.

a potem dodaje: »Przesyłam jej mój ukłon, nieznajomej, dalekiej, nieznany, daleki«.

Ten dodatek zdaje się wskazywać, że Grabowski wiedział wprawdzie o uczuciach Zaleskiego dla panny Róży, ale jej samej nie znał wcale.

Wymiana uczuć i myśli pomiędzy Zaleskim a Grabowskim nie przerwała się wskutek wyjazdu tego ostatniego w dalekie strony. Wprawdzie przez parę miesięcy

---

[1]) Tak brzmiał ten wiersz w *Wandzie*; w późniejszych wydaniach czytamy: »Ach, okiem oko Zoryny spotkałem«.

po opuszczeniu Warszawy, Grabowski nic nie pisał do przyjaciela, ale były ważne wewnętrzne przyczyny po temu, z których się tłumaczył w bardzo zajmujący sposób w pierwszym swoim liście z Ukrainy. »Nie pisałem dotąd do ciebie, kochany Józefie, lecz ty mnie wyrozumieć zechcesz. Cóż mogłem donosić Tobie, któremum się wezwyczaił rozkrywać całą mą duszę. Zerwawszy tak nagle wszystkie stosunki miejscowości, przeniesiony prawie w świat inny, byłem w takim bezładzie uczuć i wrażeń, że potrzebowałem sam czasu do wyrozumienia, co się dzieje w mem biednem sercu. Nie wiem, czy się kiedy w takim znajdowałeś stanie? Jest to rodzaj zawrotu głowy, rodzaj pomieszania wszystkich wyobrażeń, kształtów i kolorów, niepodobny do opisania. Długo trzeba, nim zdołamy się oswoić z tą myślą, żeśmy zerwali wszystkie związki łączące nas dotąd, a zerwali niepowrotnie, żeśmy niepostrzeżenie prawie przeszli z jednej epoki życia do wcale nowej i że uczucia, których serce nasze jest jeszcze pełnem, musimy już tylko między wspomnienia policzyć. O co za chaos; w tym tłumie niezrozumianych myśli, nierozwiniętych uczuć, w następstwie coraz nowych obrazów i widziadeł gubimy się i gubimy ciągle, a potem następuje letarg; wyniszczonemu sercu brakuje na żywiołach. Gwałtowne wstrząśnienia znużyły nas i nic już nie widzimy... Teraz dopiero, kiedy już we mgle oddalenia zaczynam tę część życia mego oglądać, przedmioty jaśniej mi się stawiają i zaczynam sam rozumieć siebie«.

»Więc się stało, kochany Józefie. Przestąpiłem próg zaklęty, rzucając miejsce tysiącem dla mnie wspomnień święte, pożegnałem razem młodość moją burzliwą, pożegnałem wszystkie oczarowania serca, pożegnałem wszystkie ideały duszy. Stało się, stało. Już teraz nie tem jestem, czem byłem«.

Następnie były alluzye do tej miłości, która w romantyczny sposób przystrajała jego życie warszawskie. »Cóż

robić? czułem głęboko potrzebę czynniejszego życia. Ta niespokojność, ta żądza zmian, ten instynkt bezcelnych nadziei, co w płaszcz laurowy stroi gór wierzchołki, silnie działały na mnie. Uległem, zerwałem węzły, któremi skrępowany byłem, bez względu, żem własne serce rozdzierał. Mój Józefie, jam także kochankę na ofiarę poświęcił. Dosyć, dosyć, nigdy nie czułem większej sprzeczności pomiędzy memi myślami i czuciem, pomiędzy sercem i głową«. Kochanka (zapewne Wilkowska) przypomniała mu się zdaleka listem. »Miałem list od niej, nie wiedziałem, że tyle mogę cierpieć«.

O swoich zamiarach donosił, że przyjechawszy na Ukrainę, chciał wstąpić do wojska, ale, że matka była przeciwna temu, więc postanowił jechać do Petersburga, aby tam wstąpić do Departamentu spraw zagranicznych, gdyby jednak zawiodły protekcye, na które liczył, wróci do domu i to na zawsze, aby zająć się gospodarstwem na swojej części majątku. »Przy jakkolwiek szczupłych dochodach będę mógł mieć jednak dosyć książek, a resztę czasu ogród, moje myśli, twoje listy łatwo mi zapełnią«. Najciekawszem jednak w tym liście było to, co pisał o atmosferze umysłowej, wśród której on, rwący się do szczytów wiedzy i poezyi, znalazł się na Ukrainie. »Poznałem wspólną naszą teraz kuzynę, Antoniową Proskurzynę, Genowefę Duninównę;... z nią pierwszą mogłem przecież o czemkolwiek mówić, reszta Barbarzyńce, Scyty, Antropophagi. Co za pojęcia! co za wyobrażenia o rzeczach! Nigdy nie zrozumiesz, jak dziwne robi na mnie wrażenie [myśl], że może mieszkać tu będę. Jest to zupełnie za światem, w krajach czczych, *regna inania*. Wierz mi, wszystko co tutaj widzę, zgromadza wprawdzie uśmiech na ustach moich, lecz głąb mej duszy coraz się bardziej zachmurza. Jestem smutny, bardzo smutny. Stan mego serca jest jak Trajedia Szekspira, sceny komiczne a treść pełna żałoby«.

Równie smutny nastrój i z tych samych powodów, to jest z przeciwieństwa do sfery hreczkosiejów ukraińskich, panuje i w następnym liście Grabowskiego, który był pisany w półtora miesiąca po tamtym (20 września 1825). Doniósłszy o tem, że odłożył wyjazd do Petersburga aż do wiosny i że spodziewa się niebawem zobaczyć z Krechowieckim, który, jak wiemy, od roku już bawił na Ukrainie, dodawał: »Mój Józefie, uwierzyszże, że ta myśl robi mnie niespokojnym? Odwykłem widzieć ludzi, którzyby mnie rozumieli«. A dalej pisał: »Wszyscy tu się dziwią sposobowi życia Krechowieckiego. Nie słyszę, jak wrzaski, że się zamknął, że żyje odludnie, jak mizantrop, antropophag, jak nie wiem co. Ktoś mnie najuroczyściej zaręczał, że sfiksował. Mój Boże, co za smutne przeznaczenie mieć rozum na Ukrainie«. On sam, dzięki swojej elastyczności duchowej, umiał się nieraz zastosować do otoczenia, ale za to potem w tem większe popadał zniechęcenie. »Zmuszony często być w licznem towarzystwie, łatwo się daję powodować wrażeniom wesołości, roztrzepany i płochy, jakim mnie znasz, ożywiam całe koło, kiedy nagle tak się uczuwam znużony tym stanem, tak zniechęcony, tak innemi wyobrażeniami zajęty, [że] nie mogę przemódz na sobie, ażebym mimo wszystkich wykrzykników nie zamknął się na kilka godzin u siebie dla wytchnięcia... Więc to jest życie?... Pasmo dni jednostajnych, nie zostawiających żadnego wrażenia, pasmo za każdym krokiem spotykanych przeciwności, więc to jest życie? Wartoż przebywać całe Ukrainy czcze, puste, te jałowe, bezpłodne pustynie dla spotkania zrzadka uczucia, co nas przynajmniej zaelektryzuje, chwili zapału, chwili wrażenia, a i to bolesnego najczęściej. O mój Boże, rozwiąż to, oświeć mnie, bo mój się rozum błąka, a serce upada«.

Było w tem zapewne trochę romantycznego lubowawania się w smutku, tak charakterystycznego dla chwili,

kiedy poezya *Dziadów* i Bajrona wstrząsała sercami młodzieży, ale mimo to uczucia tu wyrażone były szczere Jego wysokie aspiracye — wszak i jego »budził ze snu tryumf Milcyada«, jak pisał w jednym z listów — nie mogły się godzić z leniwą falą gospodarskiego życia prowincyi, dalekiej od ognisk umysłowych i obojętnej na nowe prądy literackie. W takiem osamotnieniu i przygnębieniu tem droższą mu się stawała przyjaźń naszego poety. »Mój Józefie, przez całą tę zimę, którą przepędzę w Aleksandrówce, spodziewam się, że będziesz często pisywał do mnie. Mówię często, obszernie, ze wszystkiemi szczegółami, mówiąc mi o twoich pracach i planach i myślach. Mój Józefie, mój kochany Józefie, nie zrywaj ostatnich węzłów, które mnie wiążą do ziemi, ty jeden znasz sprężyny które mogą obudzić i życie i harmonię w mej duszy«.

Nie prędko jednak miał Grabowski otrzymać to, o co tak błagająco prosił przyjaciela, naprzód dlatego, że w owych czasach listy wędrujące między Warszawą a Ukrainą potrzebowały bardzo długiego czasu na przebycie tej przestrzeni i dostanie się do rąk adresata [1]), powtóre. że Zaleski, myśląc, iż Grabowski pojechał do Petersburga, tam adresował pierwsze swoje listy do przyjaciela, pisane po wyjeździe jego z Warszawy. Grabowski jednak niedługo poddawał się przygnębiającemu nastrojowi sentymentalnemu. Jego natura czynna prędko znalazła lekarstwo na ten nastrój w pracy literackiej, której oddał się teraz z całym zapałem w swojej »pustyni« ukraińskiej. We dwa miesiące po ostatnim, rozpaczliwym liście, pisał już takim tonem do Bohdana: »Kochany Józefie, znam więc to zupełne uciszenie, za którem nieraz tak tęskniliśmy obadwa. Żyję tak samotnie, tak odludnie, że nawet z pewnym rodzajem bojaźni piszę do waszej tłumnej sto-

[1]) List Bohdana z datą 3 grudnia 1825 r. odebrał Grabowski równo w miesiąc potem 3 stycznia 1826 r.

licy, nie wiedząc, czym niezupełnie już zapomniał języka ludzkiego, tak mało mam tu zręczności czuć jego potrzebę; będzie to głos z pustyni...« »Jeżeli nie korzystniej jak zawsze, nigdy jednak stalej i ciąglej nie pracowałem, jak teraz. Od 8-ej zrana do 12-ej w nocy zawsze mnie znajdziesz otoczonego stosem papierów. Przybrałem nawet powagę niemieckiego erudyta z XVII wieku«.

Ale o książki polskie trudno było na kresach dawnej rzeczypospolitej, w czehryńskim powiecie; biblioteka, którą sobie Grabowski zgromadził w Warszawie, została jak się zdaje, w zastawie u jakiegoś lichwiarza [1]); więc w braku książek polskich, zwrócił się do rosyjskich, zwłaszcza do bieżącej literatury rosyjskiej, o którą łatwo było w tych stronach z powodu, iż przebywało tam wówczas wiele arystokratycznych rodzin rosyjskich [2]). Wyjeżdżając z Warszawy z myślą, że osiądzie w Petersburgu, obiecywał Bohdanowi, że mu będzie przesyłać sprawozdania z ruchu literackiego w Rosyi, o którym w Warszawie mało wiedziano, ale choć do Petersburga nie pojechał, przyrzeczenia chciał dotrzymać. »Nie mogąc tu mieć, jak rosyjskie książki, pisał w liście, o którym mowa, korzystam przynajmniej z tego, iż mogę się bliżej obeznać z literaturą rosyjską, tak mało nam wszystkim znajomą, a pamiętając na umówienie nasze, nadto wiedząc, że w Warszawie i takich mało znajdziesz zręczności, nie później, jak z tym listem zaczynam ci umieszczać i doniesienia i wyjątki, które wiem, iż cię interesować będą«.

I w istocie dał już w tym liście obszerne sprawozdanie z najnowszej produkcyi literackiej w Rosyi, o ile ją mógł poznać w krótkim czasie, rozpatrując utwory kory-

---

[1]) Tak można wnosić z listu Bohdana Zaleskiego do Grabowskiego z d. 3 grudnia 1825 r.

[2]) J. Krechowiecki, »Wiad. o życiu i pismach M. Grabowskiego str. 7—8.

feuszów ówczesnej literatury rosyjskiej: Puszkina, Rylejewa, Bestużewa, Jazykowa, Bułharyna i innych, i podając z nich wyjątki w oryginale [1]). Wszystko to robił z ciągłą myślą o przyjacielu, którego postać nieraz tak żywo stawała mu w wyobraźni, iż zdawało mu się, że ją ogląda oczyma. »Przepisując ten kawałek (z Jazykowa) doskonale wyobraziłem sobie w myśli Ciebie list ten czytającego. Słyszałem twoją deklamacyę napuszoną, widziałem brwi zmarszczone, ruch ust, żem aż pióro porzucił, żeby się lepiej przypatrzyć temu romantycznemu widzeniu«. Najwięcej go interesowali Puszkin i Rylejew; dumy historyczne tego ostatniego porównywał ze *Śpiewami historycznemi* Niemcewicza i uważał je za »więcej poetyczne, lub sprawiedliwiej może będzie powiedzieć, mniej suche«. Sądził on, że ten rodzaj poezyi »nie jest jeszcze dotąd ani dobrze rozwinięty, ani zrozumiany«, i dodawał: »Pamiętam, iż mi mówiłeś coś podobnego«. Porównywając ruch piśmiennictwa peryodycznego w obu stolicach Rosyi z tem, co się dzieje pod tym względem w Warszawie, ze smutkiem widział wielkie upośledzenie tej ostatniej. »Zdziwiłem się, znajdując w gazetach ogłoszenia pism peryodycznych, które wychodzić mają w 1826 r. w Petersburgu i Moskwie. Więcej [niż] 30 dzienników, z tych niektóre bardzo ważne i mające już sławę kilkoletniego wychodzenia za sobą. Jaka różnica z naszą biedną Warszawą, gdzie jeden tylko niespracowany Grzymała utrzymuje jeszcze sławę dziennikarską i to zupełnie w sposób (zmiłuj się, nie pokazuj mu tego), w jaki nieboszczyk Don Kiszot chciał utrzymać dawne zwyczaje rycerskie w wieku, który o nich zapomniał«. A zdając sprawę z wrażeń, jakich doznał przy czytaniu almanachu »Polarnaja Zwiezda« i wyliczając pisarzy,

---

[1]) Tylko jeden z ulotnych wierszy Puszkina (Do Eupraksyi Wulf) tak mu się podobał, że go przełożył i obok tekstu umieścił swój przekład.

którzy w niej wzięli udział, dodawał z westchnieniem: »Wyznaj, że myśmy podobnego zbioru talentów nie mieli, zwłaszcza, że tu wielu jest pominionych«.

O swoim talencie poetyckim coraz silniej powątpiewał, choć i teraz jeszcze nie zarzucał ostatecznie prób poetyckich. »Z poezyą, pisał, myślę się pożegnać na zawsze. Próżno, zawsze małom w sobie widział talentu, teraz tembardziej się o tem przekonywam. Praca mi daje, czego odmówiła natura, a trudno znaleźć przewodnik na elektryczny ogień geniuszu. To, com powiedział Witwickiemu o niedostatkach jego poezyi, mógłbym podobno sobie powtórzyć prawdziwiej jeszcze. Zresztą będziesz sam mógł sądzić, pracuję teraz właśnie nad skończeniem kilku kawałków, które myślę pod twój sąd poddać«. Widocznie tlała w nim jeszcze iskierka nadziei, że przecież błogosławiony zawód poety nie jest dlań na wieki zamkniętym. Ale słaba to była iskierka. Tylko w zawodzie powieściopisarstwa historycznego obiecywał sobie więcej powodzenia, zwłaszcza, że dzieje nasze tak bogate są »w charaktery szlachetne, odrębne obyczaje i niesłychane nieszczęścia. Każdy z okresów naszej historyi nosi odmienne piętno, każda prawie z naszych prowincyi nową perspektywę odkrywa. Tu starożytny Kraków, chroniący popioły królów pod opieką osiwiałych Tatrów, tam dawna stolica Mazowsza, po której dotąd jeszcze błądzi cień dnia tego wielkiego, kiedy hetman polski stawiał pysznych carów przed Senatem i ludem. Z jednej strony Litwa, długo jeszcze pogańska, z drugiej Szląsk, późne dziedzictwo Piastów. Tam na nadbrzeżu sterczą dotąd zamki krzyżackie, a naprzeciw, aż do stepów Czarnomorza zaległy po wyspach Dnieprowych Sicze kozackie. Jaki zbytek wspomnień i obrazów!«

To też w poczuciu tego bogactwa tematów i odpowiednich zdolności, choć »pozbawiony wszelkich pomocy i dla braku kronik, za każdym zatrzymywany krokiem«, za-

czął już teraz pisać, a raczej układać romans historyczny na tle klęski warneńskiej. »Cóż, kiedy ten nieszczęśliwy Walter Scott zawsze pomiesza szyki! Kiedy mi staną na myśli jego figury tak żywo, tak mocno odrysowane, że widzę rysy twarzy, słyszę akcent mowy i po każdym ruchu poznaję, jako dawno znajome osoby: moje tak mi się wtedy zdają wybladłe i biedne, że wpadam w rozpacz, i siebie, moje romanse i W. Scotta razem wszystkim djabłom oddaję. Drugie dwa przedmioty, które postanawiam sobie wypracować, jeżeli kiedy po nowych zawodach na zawsze już w pustyni zamieszkam, *in dulci otio senectutis*, są: Samuel Zborowski, charakter niesłusznie przez pisarzy traktowany, echo przekazanej narodowej nienawiści i spisek Konfederatów Barskich na uwięzienie Stanisława Augusta, gdzie śmierć Łukawskiego nie mniej mogła być rozrzewniającą, przedstawić się jak w Wawerley rusztowanie Fergusa Mac Ivora, gdyby był talent romansyera szkockiego. Są to zdarzenia cechujące epokę i pod tym samym względem już ważne. W świetle, w którym ja te przedmioty widzę, mogłyby z nich być interesujące a ważne historyczne obrazy. Lecz kto wie, czy nie będą miały losu miecza w pochwie według wyrażenia Byrona«.

List ten bardzo długi, prawie wyłącznie literacki, zamykał się przytoczeniem ustępu z jakiegoś dawniejszego, nieznanego nam listu Bohdana, ustępu, który był stwierdzeniem układu przyjacielskiego o nieprzerwaną listowną wymianę myśli: »przez zamianę wyobrażeń i uczuć urozmaicimy jakoś naszą podróż bezplenną i smutną i lżej się po tych piaskach przesuniem«. Grabowski, który od wyjazdu z Warszawy nie otrzymał był ani jednego listu od przyjaciela (a dlaczego? to już wiemy), przytaczał te słowa jego na to, aby mu przypomnieć pakt, którego sam dopełniał tak wiernie, i dodawał: »Józefie, z czyjej strony zaległość?«

Zaległość miała być niebawem wyrównaną i w chwili, gdy Grabowski upominał się o to, już był w drodze list do niego od Bohdana (z datą 3 grudnia 1825), który mu ważne zwierzenia i wiadomości przynosił.

Donosząc przyjacielowi, że już »dwa długie, smutne listy« wysłał był do niego do Petersburga, żałował »nieskończenie«, że owe listy zaginą. »Byłbyś się z nich dowiedział wielu nowych i niespodzianych rzeczy: com stracił — przecierpiał. — Zdaje się, że na to potrzeba było wieków — a przecież wszystko się stało w kilku dniach — w kilku godzinach. Ależ bo kto na ziemi żyje dla szczęścia uśmiechów? — Są może uprzywilejowani ludzie, ale to głupcy — nikczemniki«. Na wspomnienie świeżego a bolesnego zawodu żal i gorycz wzbierały tak wysoko w piersi poety, że zdawały się tamować mu oddech, a myśl odwracała się od widoku, który mu to wspomnienie nasuwało. »Pozwól, kochany Michale, abym tą razą oszczędził opisu okropnych szczegółów, jątrzących dotąd mi serce. Przecież przywołana w pomoc religia — filozofia muszą je kiedyś, jeśli nie ukoić, przynajmniej zahartować na ciosy. Dziś tedy donoszę tylko ogólnie — oto: Róża mię najhaniebniej zdradziła; najlepszy po tobie przyjaciel odumarł. — Mamże tu jeszcze dodać tysiąc powszednich umartwień, tem nieznośniejszych, że najpospolitszych? — A my wierzymy wiecznej miłości — przyjaźni — wyciągamy ręce ku sławie — spokojności — swobodzie — i och! wierzymy nierozumni w bałwany — wyciągamy ręce ku czczości — ku marom. — I dlaczegoż sercu naszemu złudzeń koniecznie potrzeba? Dlaczego i złudzenia nie mogą je (sic) uciszyć zupełnie? Wiara wciąż szepce do ucha Poecie, że omamienia są zwiastowaniem i wyobrażeniem lepszego gdzieś bytu: — że cierpienia doskonalą duszę. — Pięknie zaiste tak wierzyć — ale prawda i pewność za grobem, pod śmierci zasłoną«.

»Postrzegam, kochany Michale! iż pisząc na prędce —

od ręki — tłomaczę się niedokładnie i ciemno. Napomknąłem o śmierci przyjaciela, nie wymieniwszy nazwiska. Nie znałeś go — a raczej znałeś ze złej strony. Julian Zaleski po twym odjeździe z Warszawy pojednał się ze mną i przekonałem się, że z duszą tak wyniosłą i czułą godzien był mojej przyjaźni. Jakoż dał tego niezliczone i rozrzewniające dowody. Nareszcie we wrześniu strzelił sobie w serce. — Powodem do samobójstwa były tęsknota do innego świata — a mianowicie poezye Mickiewicza«.

Ten Julian Zaleski, o którym jest mowa w tym liście, nie był krewnym Bohdana, przynajmniej bliższym krewnym, ale chciał być także poetą i zostawił po sobie w rękopisie zbiorek poezyi [1], świadczący o zupełnej nieudolności młodego aspiranta do natchnień muzy romantycznej. Ta nieudolność przy gorącym temperamencie młodzieńca może się przyczyniła do jego samobójczej śmierci; opanowany poezyą *Dziadów*, a nie mogąc z powodzeniem naśladować ich autora, chciał zrównać się przynajmniej z ich bohaterem. Poza tym listem o stosunku jego do Bohdana znikąd nic nie wiemy.

---

[1] Zbiorek ten znajduje się w Bibl. Zamojskich Nr. Kat. 1030. Ma tytuł: »Lira Balladyyna (sic) z powieści gminnych — Nowonapisana przez J. Zaleskiego dla JW. Trembickiego Pułkownika«. W nawiasie, ale innem pismem wystawiony rok (1831). Co znaczy ta data niewiadomo. Na odwrotnej stronie tytułowej karty ołówkiem zanotował p. Dyonizy Zaleski: »Zdaje mi się, że ten poemat jest Juliana Zaleskiego, brata rodzonego majora Józefa Zaleskiego i pani Felicyi Iwanowskiej«. Zbiorek zawiera 10 utworów. W dedykacyi, zwróconej do pułkownika Michała Trembickiego, autor podpisał się: kandydat filozofii J. Zaleski. Za próbkę jego poezyi niech służą pierwsze cztery wiersze *Przemowy:*

Laur zdobi zwycięzcy skronie,
Oracz ceni swe rozkosze;
Dążąc po czystych wód łonie,
Na Pegazie plon przynoszę.

W dalszym ciągu pisał Bohdan: »Nie poznałbyś mię Michale! tyle te wypadki wpłynęły na mój umysł i charakter. Żyję całkiem samotny w myślach jak najposępniejszych:

»A jeśli się rozśmieję, to jak za pokutę,
A jeśli co zaśpiewam, to na smutną nutę«.

Ta cytata z *Maryi* Malczewskiego świadczyła już, jak głęboko w serce naszego poety zapadł jej ton elegijny. O samym poemacie pisał niżej: »Z poezyi wyszła tu dziwaczna a piękna powieść ukraińska pod tytułem *Marya*. Autorem jej jest Malczewski, dobry Ukrainiec, niedawno tu przybyły z długich podróży. Nie pamiętam, aby mię jakie polskie poema tyle uderzyło: tło posępne, imaginacya świetna i świeża, myśli wyniosłe i nowe. — Styl tylko i osnowa na nieszczęście często zaniedbane i ciemne«. Pisząc ten list widocznie znał już Zaleski Malczewskiego; do tej znajomości pociągnęła go niezawodnie chęć zbliżenia się do autora powieści, która i swoim tonem i kolorytem ukraińskim tak mu przypadła do serca. Malczewski rad zapewne witał młodego Ukraińca, w którego oczach znajdował szczere uwielbienie dla swego dzieła; było ono dlań jedyną za życia nagrodą za utwór, w który włożył całą swoją duszę. Byłby zajmujący temat dla malarza przedstawić dwu tych poetów razem z czasów ich krótkiej znajomości; krótkiej, bo już w pół roku od daty listu Malczewski spoczywał na cmentarzu Powązkowskim. Z jednej strony młodzieniec z pierwszym głębszym zawodem w sercu, z pierwszemi gorzkiemi łzami w oczach, ale z rosnącą sławą, i z mnóstwem tajemnych nadziei, które mu różowo zabarwiały horyzont przyszłości; z drugiej człowiek dojrzały, »wszystkim obcy wśród swojej ojczyzny«, przedwcześnie strawiony życiem i z brzemieniem poezyi w sercu, ale po ostatnim zawodzie, jakim było przyjęcie jego *Maryi*, niczego już nie oczekujący od

życia i niczego nie pragnący, prócz jednej tylko rzeczy: »uciec od rozpaczy«. Iskra zachwytu, jaka padała z oczu młodzieńca, wywoływała w nim zapewne uczucie, które na tle ogólnego jego usposobienia wyglądało jak

lubość w żałobie,
Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej żałobie.

Wrażenie, jakie starszy poeta wywarł na młodszym, było bardzo silne i tak głęboko utkwiło mu w pamięci, że w wiele lat potem, już dobrze ku zachodowi życia Bohdana, przypominała mu się jego postać we snach. Oto co w *Pyłkach* znajdujemy:

Malczewski coraz to częściej mi śni się;
Kilka chwil przy nim tak mi są przytomne,
Że twarzy jego niemal rys po rysie,
Piękne, szlachetne po dziś dzień je pomnę...
Zwiędły, bo już go dogryzały smutki;
Spółukraiński śpiewak ja młodziutki,
Skaczę, bywało, rad, a radziej płaczę.
On pomrukuje do mnie w głos przygany:
»Ej tyś tu tabun przypędził, Kozacze,
»I tęsknisz na/ad w step zasumowany«;
(Kozakiem bowiem u niego się zwałem;
Czasem po dumce takoż: hop, hop, cwałem!)

Jak koloryt ukraiński Maryi, tak i ta dumka Zaleskiego o Kosińskim była szczególnym węzłem między starszym i młodszym poetą, bohater bowiem tej dumki, jak to już wyżej nadmieniłem, podobniejszy był do rycerzy polskich z czasów Księstwa Warszawskiego, podobniejszy do samego Malczewskiego i do jego Wacława, który umiał walczyć w boju — kochać — być wiernym — wdzięcznym« — niż do kozackich wodzów w rodzaju Kosińskiego lub Nalewajki.

W liście, do którego daję tu komentarz, były inne jeszcze mniejszego znaczenia wiadomości literackie, była wzmianka o *Dzienniku warszawskim* (»bardzo się popra-

wił — zastanowiłyby cię szczególniej ultra-romantyczne rozprawy i apologie o mnie«) i o Mochnackim (»Ten Mochnacki pokazał, że zna dobrze metafizykę i literaturę niemiecką«), była mowa o książkach Grabowskiego, zastawionych u jakiegoś Szteblera i przez niego nieprawnie sprzedanych, w końcu prośba o nadesłanie pieśni ukraińskich. »Przypominam ci [prośbę] o pieśni, opisy malownicze Ukrainy — ty wiesz najlepiej, jak one dla mnie potrzebne. Czytam w tej chwili Foriella [t. j. Fauriel'a] pieśni gminne nowogreckie, które tak całą zajęły Europę, a przecież ukraińskie co do ducha i wyrażeń prawie toż samo zupełnie«.

W poezyi Bohdana wyrazem tego okresu pierwszej miłości i pierwszych zawodów, oprócz *Rusałek*, które w parę lat później osnute były na tle oddalonych już wspomnień, i o których później będzie mowa, są trzy następujące liryki: *Fiołek, Odmiana*, *sonet pisany blisko rozwalin* i *Wiersz w imionniku przyjacielskim*, *napisany pod Żeglarzem A. M.* Na wszystkich trzech mniej lub więcej widoczne jest piętno bezpośredniego wpływu poezyi Mickiewicza, a w ostatnim z tych wierszy sam poeta w tytule ten wpływ zaznaczył. Najsłabszym z nich jest *Fiołek*, najmniej też można mieć pewności, że odnosi się do Róży Żukowskiej, bo »swawolna Zoryna«, o której tu jest mowa, mogłaby być takąż konwencyonalną postacią sielankową, jak Zoryna w *Westchnieniu za rodzinną chatką*. I tonem, i rytmem i do pewnego stopnia rolą, jaką odgrywa kwiatek w stosunku poety do kochanki, przypomina on *Pierwiosnek* Mickiewicza. Wprawdzie nie ma tego symbolicznego znaczenia, co *Pierwiosnek*, nie jest, przynajmniej tak wyraźnie jak kwiatek Mickiewiczowski, symbolem młodzieńczej poezyi, poraz pierwszy na świat wychodzącej z ukrycia, ale jest tak samo ofiarą, którą poeta chce złożyć kochance. Forma dyalogu zastąpiona tu monologiem. Poeta szuka ukrytego w cieniu »pieszczocha murawy«,

i znajduje go, przemawia do niego, pieści się z nim, widzi w nim swój obraz (oba odludki — Nie lubim blasku i ludzi), i chce go zerwać dla kochanki, dla »Zoryny swawolnej«. Ale »ona tak dobra i tkliwa«, może jej się to nie spodoba, więc poeta woli zostawić kwiatek nie zerwany. Jest w tym wierszu rzadki u Zaleskiego brak krystalizacyi uczucia; zasady wypowiedzianej w *Śpiewie poety* (Pierwej z sercem dźwięk pogodzę) nie zastosował tutaj Bohdan, więc tony szczere mieszają się z fałszywemi, a przyczyną tego było, jak się zdaje, że zanadto blisko przed oczami miał wzór Mickiewicza i więcej się jego radził, niż własnego natchnienia [1]).

Sonet p. t. *Odmiana*, równie jak *Fiołek* drukowany w *Wandzie* 1825 r., z daleko większą pewnością odnieść można do okresu miłości, nie zamąconej jeszcze zdradą kochanki. Poeta przygląda się jakimś ruinom przy wieczornem świetle księżyca i wszystko tu mówi do niego o przeszłości, o której lubił śpiewać. Ale dziś jest inaczej; struny jego gęśli, które »kiedyś brzmiały rycerskim zapałem«, dzisiaj się mącą, męskie dumy jego »nagle skonały«. Dlaczego?

Ach! okiem oko mej Róży spotkałem
I syn Bojana, gardzę sławą brzmiącą.

Przypomina to motyw z IV Cz. *Dziadów:* »kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie«. Zasługuje też na uwagę szczegół, że przyszły wielbiciel Bojana, przyszły »Bojanicz«, już tutaj nazywa siebie synem mitycznego piewcy.

Odmiana nosi cechę większej samodzielności, niż utwór poprzedni. Przy pisaniu *Wiersza w imionniku przy-*

---

[1]) Zwracam uwagę na niezgodność, jaka zachodzi między wydaniem zbiorowem a pierwodrukiem. Zamiast »Tuli twarz *do mnie* milutką«, w *Wandzie* czytamy: Tuli twarz *do cię* milutką« i tak być powinno, bo sens tego wymaga.

jacielskim — jak przy pisaniu *Fiołka* — miał Bohdan przed oczyma wzór Mickiewiczowski i to w dosłownem znaczeniu, bo w imionniku przed tym wierszem był wpisany *Żeglarz* Mickiewicza. Ale tutaj wzór i własne natchnienie szły o tyle w zgodnej parze, że nasz poeta przechodził cierpienia, pokrewne tym, z których się urodził *Żeglarz*. Zresztą z *Żeglarza* wzięty był tylko ogólny pomysł przedstawienia walk, zawodów i cierpień życiowych w postaci żeglugi w czas burzy. Ponieważ cierpienia naszego poety rozwijały się na tle innego temperamentu, ponieważ nie miał on za sobą, jak Mickiewicz, filomatyzmu, ani takich rówienników, którzy go »balsamem rzymskim« pokrzepiać chcieli, więc i żegluga jego po »morzu cierpień« odmienne przybrała kształty i ton miała odmienny. A w tych kształtach można odnaleźć pewne reminiscencye *Świtezianki* i *Czwartej części Dziadów*. Bo żegluga naszego poety była tylko obrazem walki z ponętną a zdradziecką syreną i obrazem wybuchu uczuć, wywołanych jej zdradą. Tych męskich zapasów z wątpieniami duszy, jakie są w *Żeglarzu*, nie było u Bohdana w duszy, nie było i w poezyi. Więc chociaż uczucia swoje w wierszu, o którym mowa, przystrajał poniekąd w obcą szatę, były te uczucia szczere, były jego własne. *Wiersz w imionniku przyjaciela* był jakby rozwinięciem tych wykrzyków zawiedzionej miłości, któreśmy poznali z jego listu do Grabowskiego, a ponieważ ilustruje on dobrze tę chwilę jego życia, skądinąd mało znaną, podaję go tu w całości.

I jam żeglował! a po morzu cichem
Jak do snu wiatry łódź mą kołysały...
Lecz któż tu nęci głosem i uśmiéchem! —
A grzmi i błyska... a stąd i stąd skały!..
I któż to nęci? urok? czy dziewica?..
W promiennem oku igra płomień — dusza!
Ach! jakiem czuciem strzeliła w me lica!..
Do niej!.. niech morze i wre i zagłusza.

Skaczę... ja płomień... chwytam się płomienia...
Słowa na ustach, myśl mi w sercu gore;
Lecz widmo coraz i coraz się zmienia,
I ściskam zimną, nieczułą potworę...
Chytra syrena!.. walka była długą,
Wysiłkiem męstwa z fal uniosłem życie;
Lecz rówiennicy!.. niegdyś przed żeglugą
Takżem wyglądał, jak dziś mnie widzicie?

Ha miłość!.. serca mara ta olbrzymia,
Tchnieniem młodzieńca wzbita pod niebiosa,
Mara rozwiewna, co świat nam odymia! —
Rozkosz miłości!.. to ta nikła rosa,
Co zbudzonemu na wiosnę o świcie
Ustroi blaskiem i barwami tęczy
Świeże, kwitnące, pełne woni życie;
A byle powiew — to już się nie wdzięczy!

Chwilo miłości! szybkoś mi o! szybko,
Jak sztuczny ogień wojennego hasła,
Błysła nad złudzeń powietrzną kolébką,
Błysłaś w stu gwiazdach i w gromach zagasła...
Ach i na długo owiał mrok ponury
Żywot bez czucia, jak noc bez księżyca,
Gdy raz zasutą posępnemi chmury
Żaden a żaden promyk nie oświéca.

Wiersz ten, drukowany dopiero w *Meliteli* 1837 r., odnieść należy do ostatnich miesięcy 1825 r., do czasów, z których pochodzi list do Grabowskiego z wiadomością o zdradzie kochanki. Ale niedługo potem zaszła jakaś zmiana w stosunku między poetą a jego Zoryną. Zdaje się, że zalotna syrena zaczęła go wabić na nowo ku sobie i zapalny młodzieniec zaczynał chwiać się w swojem postanowieniu pogardzania niewierną. Tak przypuszczać pozwala ustęp z listu jego do zamężnej siostry, Antoniny Linowskiej, pisanego 20/8 stycznia 1826. Pisze on tam żartobliwym tonem, charakteryzującym stosunek dawniejszy swawolnego braciszka do starszej siostry, takie rzeczy o swojej miłości ku Róży Żukowskiej: »Kochałem się

okropnie i byłbym skończył, jak Julian, gdyby wiara i mądrość nie szepnęły mi do ucha: »Porzuć niewierną«! Ale kto wie, czy się nie rozkocham na nowo w tej samej, bo sto rzadkich przymiotów, przy pięknych oczach i pocałunkach, są bardzo niebezpieczni doradzcy dla młodzieńca tak namiętnego i głupiego, jak twój serdecznie cię kochający brat«. Jakie były dalsze koleje tego stosunku, nic nam niewiadomo; w *Rusałkach* występuje on już jako echo poetyckie dawno przebrzmiałych wrażeń.

ROZDZIAŁ VIII.

Stosunki z Ukrainą.

1825—1828.

Tęsknota do stron rodzinnych. — List do siostry. — Listy od Grabowskiego. — Goszczyński i Grabowski u Krechowieckiego. — Zamiar wydawania Rocznika Literatury. — Bohdan wzywany na Ukrainę. — Grabowski o Zamku Kaniowskim i o swoich pomysłach. — Skargi na milczenie Zaleskiego. — Stosunek jego do Zamku Kaniowskiego. — Ubolewania Grabowskiego nad stanem polskiej krytyki literackiej.

Tęsknota do stron rodzinnych, która już przed rokiem zbudziła się w sercu poety, i której pierwszy wyraz dał w *Westchnieniu za rodzinną chatką*, pogłębiła się i spotęgowała po bolesnych wrażeniach, jakie mu przyniosła zdrada kochanki i samobójcza śmierć przyjaciela. Na to jej wzmożenie się wpłynąć mogło i zniknięcie z horyzontu warszawskiego ostatniego z trzech najbliższych kolegów humańskich, którzy tworzyli dlań atmosferę ukraińską na »piaskach Mazowsza«, a jeszcze pewniej wrażenia, jakiemi go obdarzyła *Marya* Malczewskiego, przypominając mu rodzinne jego stepy, oblane melancholijnem światłem najczystszej poezyi. To też w wierszu p. t. *Duma z pieśni ludu ukraińskiego*, drukowanym w styczniu 1826 roku w *Bibliotece Polskiej*, a pisanym prawdopodo-

bnie pod koniec roku 1825, tęsknota owa występuje daleko silniej, daleko szczersze i głębsze ma akcenty, niż w *Westchnieniu za rodzinną chatką*. Poeta maluje naprzód ogólne tło usposobienia, na którem się tęsknota jego rozwija.

Świat omamień mych pomału
Niknie z lekką mar drużyną;
Coraz rzadsze dni zapału
I łzy czucia rzadziej płyną.

Na tle takiego usposobienia tem idealniej zarysowują się w duszy poety wspomnienia z czasów ukraińskich, z czasów niepokalanej świeżości uczuć, a wspomnieniom wtóruje i nadaje im urok nieprzeparty nuta pieśni ludowych, któremi się napoiło ucho jego w dzieciństwie. W jego dzisiejszem szarem życiu, odartem z blasku pierwszych młodzieńczych nadziei i zachwytów, jest ona jedyną jego osłodą i pociechą.

Ukraińska nuto dzika,
Zapomnianej dumy echo!
Pociesz serce samotnika,
Błogą, rajską tchnij pociechą.

Z tej »zapomnianej dumy«, a właściwie pieśni ludowej przypominają mu się często spotykane tam zwroty do wiatru[1]), jako powiernika, gońca i pośrednika, zwroty

[1]) W przypisku do swego utworu podał poeta następujący komentarz: »Myśl do tej dumy wziął autor ze znanej pieśni ukraińskiej, zaczynającej się: »Powij witre, bujny, myły, i t. d.« Przez »myśl do dumy« rozumiał on naturalnie tylko apostrofę do wiatru, nic więcej. Pieśni zaczynającej się od słów zacytowanych przez Zaleskiego nie znaleziono w zbiorach pieśni ukraińskich (Porówn. A. Kołessa l. c. 187, Iw. Franko Зоря 1886 117), co nie dowodzi jednakże niezbicie, że taka pieśń nie istniała. Być też może, że zaszła niedokładność w cytowaniu. Wiatr ma zwykle w pieśniach ludowych ukraińskich epitet »bujny«, »miłym« zaś nie nazywa się. Dla porównania z przypiskiem poety przytaczam z największego zbioru pieśni ruskich P. Czubińskiego (Труды этнографическо-статистической

tak właściwe mieszkańcom stepu, gdzie wiatr jest zjawiskiem stałem, a mające swój prototyp jeszcze w *Płaczu Jarosławny* ze *Słowa o pułku Igora*. I dlatego to nazwał swój utwór »*Dumą z pieśni ludu ukraińskiego*«. Korzystał też szczęśliwie z tego motywu, aby na skrzydłach owego powietrznego gońca rozpiąć swoją tęsknotę do ukochanych stron i wspomnień.

Usłysz, wietrze, me zaklęcia!
Bądź, jak byłeś, powiernikiem;
Nieś wrażenia od dziecięcia,
Nie dzielone nigdzie z nikiem!

Leć, gdzie cichy gaj ocienia,
Wiejską niwę przedwędrówki,
Prześledź wielu lat marzenia
Po chłodnikach Zofijówki.

Wezwij wszystkie sny te złote,
W złotej szacie przeszłość miłą,
Lecz nie!... zostaw! weź tęsknotę!
Bo nie będzie, co już było!

Następował ustęp zwrócony do wspólników owych chwil szczęśliwych, owych snów złotych, którzy towarzyszyli mu jakiś czas w jego wędrówce, a potem kolejno opuszczając go, zostawili nareszcie samego na »wiślanym brzegu«.

Gdzie tam moi współwędrowce,
Pożegnani na mogiłach?

экспедиціи T. V) te pieśni, które się zaczynają od apostrofy do wiatru. Str. 136: Oj powij witrońku, z hory w dołynońku, — De haj zełeneńkij, de łyst szyroczeńkij; str. 166: Oj powij witrońku — Z hory ta w dołynu — Z toho kraju, de myłuju maju; str. 187: Powij witre bujneseńkij — Z hłybokoho jaru — Prybud', prybud', mij myleńkij — Z dałekoho kraju; str. 280: Oj, powij witrońku po krutij hori — Ta po szowkoweńkij trawi; str. 630: Oj, powij. witru, w tuju storonońku — Do toho kraju, hde myłuju maju! — Witer powiwaje, myłoi ne maje i t. d.«

Czy zboczyli na manowce?
Czy ustali już na siłach?

Jeśli na tym tęsknią brzegu,
Owiej lekko z łez powieki!
Bo już bliżej do noclegu
I świat lepszy niedaleki...

. . . .

I przy głosie ich ograny,
Jak przelotny dźwięk po strunach,
Przez świszczące dzwoń burzany,
Po dziewannie, po piołunach.

Wiatr-goniec miał potem oblecieć »pusty brzeg Dnieprowy«, zanucić dumę, sobie powierzoną, »w uroczystej stepu ciszy« i zatrzymać się nad kurhanem, gdzie »dębowy szmer umila — Sen wieczysty bohatera«. Poeta ma nadzieję, że »głos rodzinny syna« będzie miłym śpiącemu wojownikowi, że ocknie się on z uśpienia, aby mu zesłać natchnienie w postaci sokoła-białozora, a wtedy

Wtedy żal niewieści stłumię,
Pobojańską gęśl nastroję,
I w poważnej męskiej dumie
Sławne ojców wznowię boje.

A więc rola Bojana, której pod wpływem Mickiewiczowskiego Gustawa zrzekał się w sonecie *Odmiana*, znowu świtała przed nim, znowu go nęciła, a elegijny ton, przez całą dumę utrzymany, w ostatniej strofie łamał się, zamieniał się na ton zadziwienia radosnego, wywołanego jakiemś niespodzianem zjawiskiem powietrznem, które zapowiadało coś nadzwyczajnego.

Cóż to znowu?... brzmi po rosie?...
W chmurach łańcuch mknie żórawi!
Cicho!... w ruchu ich lub głosie
Coś wieszczego się objawi.

Co mogła znaczyć ta wróżba przyczepiona do elegii? później wrócimy do tego pytania; na teraz poprzestańmy

na rozważeniu tego, co jest elegią w dumie, tęsknotą za rodzinnemi stronami. Mianowicie nasuwa się jedno pytanie, na które duma nie daje odpowiedzi: jaką rolę w tej tęsknocie za Ukrainą, w tych elegijnych wspomnieniach błogiego dzieciństwa, odgrywała rodzina poety? Dotychczas nie mogliśmy nic powiedzieć o stosunku Bohdana do rodziny w ciągu pięciu lat z górą od czasu rozstania się z nią poety; nie mogliśmy, bo nie było żadnej odpowiedniej wskazówki. Teraz taką wskazówkę podaje nam list poety do siostry, Antoniny Linowskiej, z którego wyjątek już był przytoczony. Antonina mieszkała w Kijowie, dokąd każdego roku na kontrakty, odbywające się tam w miesiącu lutym, przyjeżdżał z Warszawy dla obrotów handlowych księgarz Glücksberg. Jechał on i w r. 1826 i przez niego, jako przez dobrą okazyę posyłał swój list do siostry Bohdan. List miał za główne zadanie wyjaśnić siostrze i zapewne reszcie rodziny, skarżącej się na zapomnienie ze strony poety, dlaczego on tak rzadko pisuje do rodzeństwa.

»Kochana Siostro! Abym nie dał powodu do przykrych skarg, tylekroć już powtórzonych, piszę, lubo rzeczywiście o niczem. Bo o czemże donosić? W cichem i swobodnem literackiem życiu nie ma wypadków, zdolnych zająć osoby oddalone i inaczej myślące. Powtarzać zaś wiecznie o zdrowiu, powodzeniu, nie lubię. Że jednak zawsze kocham i spominam rodzinę, zaświadczą kiedyś moje pisma i przyjaciele. Gdybyście lepiej mię znali, dostrzeglibyście dawno, że przez mój charakter melancholiczny, tkliwy i smutny często się wracam i tęsknię do przeszłości. Jakoż istotnie żyję najczęściej przez myśl na Ukrainie i z wami. Jest dziś w tamtych stronach Michał Grabowski, mój najdawniejszy przyjaciel, pisuję do niego regularnie i długo, aleźbośmy razem najpiękniejsze chwile przeżyli, razem czuliśmy, kochali, cierpieli, a tak najdrobniejsze wypadki, myśli, marzenia nawet, obu nas jak naj-

mocniej zajmują i niewyczerpane źrodło otwierają dla listów. Tymczasem prócz brata Eliasza ja nie znam sposobu myślenia żadnej osoby z rodzeństwa. Bo i miałżem czas poznać? Ciągle rozdzielony, to u nieludzkich ciotek, to w szkołach, nareszcie w Królestwie Polskiem, nie dziw tedy, że więcej udzielam się obcym, niż swoim, bo obcy więcej niż swoi dali mi dowodów miłości. Mam tu przysposobione matkę, siostry, które mię najserdeczniej kochają i zapewne nie poskarżą się na moją niewdzięczność. Ale dosyć. Wpadłem w myśli smutne i bardzo smutne, a to dlatego, że nie miałem o czem pisać, a jednak musiałem« [1]).

List był szczery i otwarty — aż nadto, bo przecież ta otwartość musiała być przykrą dla rodziny. Spostrzegł to widocznie sam Bohdan po napisaniu, bo w przypisku dodał: »Listu tego nie pokazuj nikomu i spal«. Dla nas jest on ciekawym komentarzem do wierszy, w których się wyraża jego tęsknota do Ukrainy. Przedwczesna śmierć matki, nieporadność ojca sprawiły, że Bohdan prawie nie zaznał domowego ogniska, które skupia najbliższą rodzinę i zostawia zwykle w pamięci najmilsze wspomnienia z czasów dzieciństwa; nie zaznał też czułej opieki macierzyńskiej, która tym wspomnieniom nadaje największy urok. To też nie w tę stronę zwracała się jego tęsknota. Właściwą matką jego, tą, którą pamiętał, której mnóstwo błogich zawdzięczał wspomnień, była przyroda ukraińska, której, przez dłuższy czas, dzięki szczególnym warunkom wychowania, używał z niczem nieograniczoną swobodą; najbliższymi sercu jego braćmi byli koledzy, wspólnicy rozrywek i pracy, radości i smutków dziecinnych, a potem wspólnicy wyższych aspiracyi i literackich poglądów romantycznych. I ci wprawdzie skarżyli się nieraz, że Zaleski zamało im się udziela, ale jeżeli dla nich, z którymi

---

[1]) Kor. I. B. Zaleskiego T. I, str. 12—13.

miał tyle wspólnego, skąpił wynurzeń, to o ileż mniej mógł czuć ochoty do wynurzania się przed rodzeństwem — z wyjątkiem zapewne Eliasza — przed rodzeństwem, które pod względem zakresu wyobrażeń, zacofania pojęć, należało do sfery »barbarzyńców, Scytów, antropofagów ukraińskich«, mówiąc słowami Grabowskiego. Zdołałożby ono zrozumieć jego uczucia, ocenić wartość jego dzisiejszej poezyi i jego romantycznego ukrainofilstwa? Nie, tego się nie mógł spodziewać. Mógł przypuszczać tylko, że na jego zewnętrzne powodzenie, na sławę literacką, nie było obojętne, więc też donosił siostrze: »Ja w tym roku wydrukuję moje pisma, jeżeli się zgodzę z księgarzami, to jest jeśli mi zapłacą tyle, ile zechcę i jeśli jaki kaprys nie pomiesza zamiarów«, a w przypisku dodawał: »Spytaj się, kochana siostro, Glücksberga, co mówią o moich poezyach w Warszawie, bo nie czytasz dzienników«. Chciał on w ten sposób, ażeby rodzina z obcych ust dowiedziała się o jego rosnącej sławie poetyckiej.

Co jest jeszcze godnego uwagi w przytoczonym ustępie listu do siostry, to wiadomość, że ma on »tutaj« (a więc zapewne w Warszawie) »przysposobione matkę, siostry, które go najserdeczniej kochają«. Otoż kogo miał tu na myśli, nie wiemy wcale, i jego stosunki ze światem niewieścim w Warszawie, poza stosunkiem z panną Różą, o którym mało co wiemy, są nam zupełnie nieznane. Łatwo przypuścić, że młody, ujmującej powierzchowności poeta, którego krytyka wyróżniała już jako najwięcej obiecującego z grona warszawskich romantyków, musiał być do niejednego z salonów ciągniętym i mile na nich witanym, szczególnie przez płeć piękną, która, jak zawsze, tak i wówczas w Warszawie, hołdowała poezyi, wchodzącej w modę. Ale w jakich domach bywał, w którym to domu miał »przysposobioną« matkę i siostry, pytanie to musi pozostać nierozstrzygniętem. Zwrócę tylko uwagę na jedno ze świadectw pani Duchińskiej, które jako oparte

na świeżem wspomnieniu, więcej od innych ma prawdopodobieństwa, a które brzmi jak następuje. »Stefan (Witwicki) wprowadził Zaleskiego do literackich domów, wśród których błyszczał dom pani Katarzyny Lewockiej. Tu młody Ukrainiec poznał się z całą inteligencyą warszawską. Na krótko jeszcze przed śmiercią mówił nam o tym gościnnym domu, w którym pełna wdzięku gospodyni rozpościerała czarodziejski urok, zachwycając wszystkich rozumem i dobrocią. Tu spotykał Brodzińskiego, Odyńca, że pominiemy tylu innych« [1]).

Wiemy w istocie skądinąd [2]), że pani Lewocka była szczególną przyjaciółką Brodzińskiego i że to on wprowadził do jej domu Odyńca, można więc łatwo przypuścić, że i Zaleski był przez Brodzińskiego tam wprowadzony; ale czy to o niej myślał, pisząc o »przysposobionej« matce? Wszak p. Lewocka, jeżeli nawet była starszą od Zaleskiego, to chyba bardzo niewiele, i rola matki, chociażby »przysposobionej«, nie przystawała już z tego powodu do niej. Być też może, i to mi się wydaje najbliższem prawdy, że wyrażenie naszego poety o matce i siostrach miało służyć tylko do pokazania rodzinie, jak uprzejmie i serdecznie traktowany on jest przez płeć niewieścią w Warszawie, gdzie wówczas przez długi czas przebywał.

Bądź cobądź, poeta nasz miał wówczas serce pełne Ukrainy, pragnął, jak wiemy, ażeby mu przysyłano stamtąd pieśni i opisy malownicze, i marzył o odwiedzeniu stron rodzinnych, jak się o tem dowiadujemy z późniejszych wzmianek w listach kolegów. Co się tyczy tych ostatnich, ci rozproszeni na Ukrainie, mieli się niebawem zbliżyć do siebie, zacieśnić dawniejsze węzły przyjaźni i w pośród »Scytów i antropofagów« ukraińskich wytworzyć kółko

---

[1]) Bibl. Warsz. 1886 II. 254—255.

[2]) Odyniec. Wspomn. z przeszłości 324—325.

literackie na Ukrainie, w którego atmosferze urodził się *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego i zamiar wydawania siłami ukraińskiemi rocznika literackiego. Sprawa ta, tak blisko obchodząca naszego poetę, której nawet pierwszy pomysł jemu przypisywano i do której teraz go ciągnięto, bardzo szczegółowo zarysowuje się w listach kolegów humańskich Bohdana i do tych listów znowu wypada nam się zwrócić.

Grabowski, po długiem oczekiwaniu otrzymawszy list od Zaleskiego z wiadomością o zdradzie kochanki, odpowiedział mu zaraz (w początkach stycznia 1826 roku) listem bardzo długim, albo raczej trzema listami w jeden złączonemi [1]), w których pocieszał naprzód przyjaciela i starał się go uspokoić, stawiając mu za przykład siebie i swoje zerwanie stosunku miłosnego (przyczem zużył sporo młodzieńczej frazeologii), potem — w myśl wypowiedzianego w tymże liście wezwania: »pomagajmy sobie wzbogacać codziennie nieśmiertelne państwo myśli« — podawał obszerne wiadomości z najnowszej literatury rosyjskiej, którą nie przestawał zajmować się, w końcu poruszał parę kwestyi szczególnie nas tu obchodzących: kwestyę zbierania pieśni ukraińskich dla Bohdana i kwestyę jego powrotu na Ukrainę.

»Co do pieśni ukraińskich — pisał — ...nie mogę odpowiedzieć twemu życzeniu, a przynajmniej obiecywać na pewno. Chcąc się tem zająć i zająć korzystnie, trzeba się odważyć na wędrówkę po kraju, zniżyć się pod strzechy wieśniacze i nie żałować ani czasu, ani trudów, inaczej nic nie podobna. Wszystko, com robił, ażeby zebrać co z tych pieśni, było bezskuteczne, każdy, kogom się pytał, brał to za żarty, śmiał się, wstydził się i jam się zniecierpliwił na końcu i porzucił. Daj mi sposób, a wszyst-

[1]) Listy te noszą daty: 23 grudnia 1825 (4 stycznia 1826), 30 grudnia 1825 (11 stycznia 1826), 3/15 stycznia 1826.

ko zrobię, co zechcesz«. W kwestyi powrotu zaś pisał: »Wierz mi, Józefie, nie powracaj na Ukrainę, samotności zupełnej nie znajdziesz, a pozbawisz się wszystkich środków i pomocy miasta. Tam żyjesz, jak chcesz, tu będziesz musiał się stosować do tysiąca drobnych, nieznośnych zwyczajów. Wiesz, iż umiem się stosować do wszystkiego, a jednak srodze, srodze już znużony jestem. Ile razy zazdroszczę nawet tej przekupce, co ma gdzie stragan na rogu ulicy w Warszawie. Dosyć, nie chcę cię ładnej perspektywy pozbawiać«.

Tak pisał Grabowski, nie spotkawszy się jeszcze z Krechowieckim, chociaż pół roku już mijało od wyjazdu jego z Warszawy. Miał on nawet list od Bohdana do Krechowieckiego, jednakże z powodu, że ten ostatni po śmierci swej matki zajęty był działem majątku, nie wcześniej, jak w styczniu 1826 r. odwiedził go Grabowski w Leszczynówce, skąd razem pojechali na kontrakty Kijowskie, które w życiu gospodarskiem, towarzyskiem, a nawet i umysłowem Ukrainy ważną odgrywały rolę. Na kontraktach spotkali się z Wacławem Pilawskim, jednym z kolegów humańskich, od niego dowiedzieli się o smutnem położeniu Goszczyńskiego, który, wiodąc życie bez jutra przemieszkiwał wówczas na wsi u Pilawskiego, i przesłali mu zaproszenie, aby zjechał do nich na dłuższy pobyt. Sami tymczasem z kontraktów pojechali do majątku Grabowskiego, Aleksandrówki, i stąd wyprawili wspólny list do Bohdana[1]), z którego się dowiadujemy, że Bohdan rzucił im myśl podróży po Włoszech i Szwajcaryi i że oni z radością chwycili się tej myśli.

»W liście twoim, do mnie przez Michasia pisanym, otworzyłeś nową oczom moim perspektywę, która, oprócz że dogadza żądzy naszej uściskania ciebie, nowy i żywszy cel życiu naszemu nadała«. Tak pisał Krechowiecki i do-

---

[1]) List z datą 17 lutego 1826.

dawał: »Zgodziliśmy się z Michasiem na wędrówkę dwuletnią, skutek zamiaru naszego jest już niedaleki, zależy tylko od prędszego wyrwania się z powszednich stosunków«. Krechowiecki, długo przygnębiony w swojem osamotnieniu ukraińskiem, czuł się teraz, pod wpływem odnowienia stosunków koleżeńskich jak odrodzonym, a nadzieja podróży dalekiej i widzenia się po drodze z Zaleskim, przejmowała go rozkoszą. »Jak piękna droga mnie czeka z Michasiem, Włochy, Szwajcarya, brzegi Renu, wszystko to, jak we śnie, widzę przed sobą. Wieleż to nowych wrażeń dla serc naszych i jak słodko nam będzie podzielać je z tobą«. Z mniejszem uniesieniem, z wielką jednak radością pisał o tych zamiarach i Grabowski: »Jeżeli Krechowieckiemu interesa nie pozwolą prędzej, to zawsze w lipcu będziemy w Warszawie. Wszystkie moje nadzieje skierowały się do jednego przedmiotu i perspektywa wesoła, którą dziś widzę przed sobą, ożywiła mi tę wieczność ukraińską, która przed chwilą uciskała mię, jak brzemię«.

W liście Grabowskiego znajdowały się ciekawe uwagi literackie dotyczące *Maryi* Malczewskiego. »Czytaliśmy *Pojatę* i *Maryą* Malczewskiego. Pierwszą się Krechowiecki unosi, bo mu wiernie przedstawia obrazy Litwy i ziszcza nadzieje narodowego Walter Skotta. O drugiej nie wiem, co ci powiedzieć, nie rozumiem, jak można upodobać sobie tak dziwną igraszkę rozumu, ażeby pełne energii pomysły i wysłowienia odziewać tą naciągniętą nienaturalnością i psuć wszelki effekt tak dziwaczną ciemnością stylu. Im więcej w nim widzę prawdziwego talentu, im znajduję wierniejszymi jego smutne obrazy Ukrainy, tem się więcej gniewam, źle mówię, żalę, nie mogę się bowiem ani spodziewać, ani nawet wymagać, żeby go zrozumiano u nas. Krechowiecki słusznie uważa, że jeden tylko dobry komentarz, gdyby kto chciał się zlitować do napisania takiego, mógłby go obronić od śmieszności

19*

lub przynajmniej zapomnienia, które go czeka. A to tem więcej zasmuca, im kto więcej i do niepospolitych jego zdolności i do samego rodzaju tego poezyi przywiązuje wagi«. Ustęp ten wskazuje, że nawet młodzi romantycy ukraińscy nie zostali tak odrazu podbici pięknością *Maryi*, jak Bohdan Zaleski, w którego znanem już nam pierwszem odezwaniu się o tym poemacie była wprawdzie krytyka, ale daleko więcej zachwytu.

Piękne sny o podróży do Włoch i Szwajcaryi niedługo kołysały młodych przyjaciół Bohdana. Ziszczeniu się ich stanęły na przeszkodzie — jak się domyślać można — po części względy finansowe, więcej zapewne wzgląd na matkę Grabowskiego, która po nieudanej jego karyerze dyplomatycznej nie chciała go znowu tracić z oczu na długo. Wszak w rok potem pisał on: »moje przywiązanie do matki więcej nad wszystko mnie utrzymuje w domu; bez tego kto wie? czy raz miałbym tentacyę wziąść kij i płaszcz Childe-Harolda«[1]? Natomiast nadzieja przyciągnięcia Goszczyńskiego do siebie i odnowienia z nim dawnych koleżeńskich stosunków, spełniła się bardzo prędko. Już w kwietniu 1826 r. przyjechał Goszczyński na długi pobyt do Leszczynówki i tu zaczęła się się dla niego nowa epoka życia.

Kilka lat ostatnich, od wyjazdu z Warszawy, przepędził Goszczyński w jak najgorszych warunkach, wiodąc życie awanturnicze, bezcelowe, ukrywając się przed policyą, patrząc na biedę, która przygniatała jego rodzinę, i dając upust swoim uczuciom w takich zgrzytliwych utworach, jak »Uczta zemsty«, albo jak jakaś »nocna scena, w której duch Sanda roztwiera swoje rany, tryska

[1]) List z 4 lutego 1827. Krechowiecki (l. c. str. 12) mówi także o »przywiązaniu jego do najlepszej z matek«. Goszczyński w swoich »Zapiskach do moich pamiętników« (Teka VII) tak opisuje matkę Grabowskiego: »Staruszka bardzo zacna, ułomna, ale żywa i z twarzą wydającą wiele piękności młodego wieku«.

z nich krwią i wzywa do walki za wolność«[1]. Ostatni rok, 1825, upłynął mu spokojniej, niż poprzednie, bo znalazł wtedy przytułek u majętnego kolegi Pilawskiego, ale atmosfera w Samhorodku, gdzie przebywał, widocznie nie oddziaływała nań dodatnio, kiedy w swoich notatkach pamiętnikowych napisał: »cały rok w Samhorodku, życie próżniackie i niskie, w miłostkach, w towarzystwie huzarów i t. d.«.

W leszczynowieckim dworze Krechowieckiego zupełnie inne otoczyło go powietrze. »W Krechowieckim — pisze w swoich notatkach — znajduję człowieka wyższego, wrodzone mu dary i przymioty zbogaciły się kilkuletnim pobytem w uniwersytecie wileńskim i warszawskim. Egzaltowany, marzący, zakopany w książkach i poetach, rozwinięty umysłowo w stopniu wysokim, a nadewszystko prawego charakteru i tkliwego serca. Pierwszy to człowiek na Ukrainie, który odpowiedział potrzebom mojego ducha i serca, i zdaje mi się, że znalazł we mnie, czego mu dotąd brakowało do życia na Ukrainie. W domu jego zacząłem się czuć swobodnym, szczęśliwym; otwarło się dla mnie pole życia, za którem dotąd tęskniłem, którego dotąd nigdzie nie znalazłem«.

Leszczynówka była pięknym majątkiem, miała przyjemne położenie, dom niewielki, ale wygodny, porządny, z wielkim ogrodem nad jarem. W tym ogrodzie, o kilkaset kroków od domu, na wzgórzu, wznosiła się altana okrągła z kolumnadą, obejmującą przedpokój i obszerny pokój, w którym umieszczoną była biblioteka Krechowieckiego. W tej bibliotece, jak świadczy Goszczyński, zgromadzone były prawie wszystkie arcydzieła nowoczesnej literatury, utwory Byrona, Szekspira, Walterskotta, Moore'a, Woltera, Russa, Buffona, w przekładach Schiller, Herder i t. d. Otóż tę altanę, z całem jej umeblowaniem

[1]) Zapiski do moich pamiętników Teka VII.

książkowem, oddano na letnie mieszkanie Goszczyńskiemu. Mógł tu swobodnie czytać, dumać, tworzyć, czuł się szczęśliwym, jak nigdy. »W kwiecie wieku, pełen życia, zapału, nadziei i miłości, pływałem, że się tak wyrażę w atmosferze życia i miłości. Na niczem mi nie zbywało, nawet na miłości kobiet«. Pogoda, która zapanowała w jego duszy, pozwoliła mu nawet pogodzić się z wrogiem, dla którego jeszcze z czasów szkolnych zaciętą chował nienawiść, z księdzem Skibowskim, który, jako dawny przyjaciel rodziny Krechowieckich, przyjeżdżał do Leszczynówki.

Najkorzystniej pod względem umysłowym mógł oddziaływać na Goszczyńskiego Grabowski, który zanim zabrał go do siebie, do Aleksandrówki, odwiedzał kolegów w Leszczynówce i bawił tam niekiedy po kilka tygodni. Znalazłszy się razem, żyli oni, jak powiada Goszczyński, »w atmosferze literackiej, jedynej niezawodnie podówczas na Ukrainie«. A o Grabowskim dodaje: »W naszej trójce on miał najwięcej życia literackiego, świadomości literatury i widzenia głębokiego w przedmiotach literatury«. W rozmowach swoich roztrząsając wszystkie ważniejsze sprawy literackie, wszystkie bieżące zagadnienia i potrzeby literatury ojczystej, zwracali się ciągle myślą do czwartego, dalekiego kolegi i przynajmniej listownie przesyłali mu swoje myśli. A rozbudzając w sobie wzajemnie zapał do literatury, postanowili wykonać dawniej kiedyś przez niego żywiony zamiar wydawania Rocznika literackiego, któryby był wyrazem nowego ducha, nowych potrzeb literatury polskiej.

Ale listy pisane przez nich do Zaleskiego tonęły w milczeniu. Pomimo, iż w liście z końca ubiegłego roku zapowiadał Bohdan Grabowskiemu, iż co dwa tygodnie będzie pisywał do niego, nie było w ciągu półrocza w gronie kolegów żadnej wiadomości od niego. Nie wiedzieli, skąd to pochodzi, jak to i my dziś naprawdę nie wiemy, więc

294'



Seweryn Goszczyński.

byli niespokojni o jego zdrowie, a przytem bardzo chodziło im o to, aby porozumieć się z przyjacielem w sprawie ukochanego przez nich zamiaru wydawania Rocznika. Więc w lipcu 1826 Grabowski jeszcze raz w imieniu wszystkich wystosował do niego pismo, bardzo ciekawe, bo szczegółowo przedstawiające zamiary literackie młodych Ukraińców, które dlatego w całości tu podaję.

Leszczynówka 20 lipca 1826.

Od sześciu miesięcy na tylokrotne listy nasze nie mając żadnej odpowiedzi, zwątpiliśmy już prawie, czy ją kiedy odbierzemy od ciebie, mniemając, żeś zupełnie o nas zapomniał, lecz inna myśl nierównie boleśniej targa serca nasze. Nie jestżeś słaby lub nieszczęśliwy? O Józefie, ta wątpliwość, ta sroga o losie twoim niepewność nie schodzi nam nigdy z umysłu, nie przestaje ni dzień, ni noc prześladować serc tobie wylanych.

»Ja, Jan i Seweryn, zebrani teraz razem, przedsiębierzemy jeszcze raz pokusić się o dostanie jakiejkolwiek wiadomości o tobie: dlatego list ten pod kopertą Ludwika Bentkowskiego piszemy. Jeżeli go odbierzesz, odpisz, odpisz natychmiast, dasz tem najlepszy dowód, żeś jeszcze zachował dla nas cząstkę przyjaźni w swem sercu.

»Gdyby nie niespokojność, którą nas nabawiasz, skupieni teraz, jak jesteśmy, moglibyśmy się nazwać szczęśliwemi, tak jest prawdą, iż się szczęście jedynie w użytecznem zatrudnieniu i szlachetnym entuzyazmie znajduje. *Rocznik Literatury,* który ty tak dawno zamyślałeś wydać, zwrócił także naszą uwagę, i użyteczność, którą w tem przedsięwzięciu widzimy, natchnęła nas nietylko zapałem, ale i stałością. Tom pierwszy mamy prawie gotowy, i jeżeli nas wesprzesz swem uczestnicwem, a nadto zechcesz ułatwić same wydanie, jeszcze przed nowym rokiem wyjść na świat może.

»Powiemy ci, iż jak jest prawdą, że bez nadziei, że z naszemi połączysz twe prace, nie bylibyśmy przedsięwzięli tego zamiaru, tak jest prawdą, że w stanie, w jakim teraz są rzeczy, i bez ciebie zawsze byśmy go doprowadzili do skutku; lecz możemyż myśleć, że wzgardzisz nami i naszem zaufaniem, że opuścisz tych, z któremi razem się kształciłeś, z którcmi tak blisko jesteś połączony sercem, i to w dziele o którego użyteczności i ty równie z nami przekonanym jesteś? Nie, sami widzimy jak są bezzasadne nasze powątpiewania.

»Dla twojej wiadomości kładziemy tu spis materyałów które przeznaczamy do tomu 1-go.

I. Oddział Literatury.

1. Rys Historyi Literatury Polskiej od czasów Przedchrześciańskich aż do upadku kraju — przez Michała Grabowskiego.
2. Nowa Literatura Polska. — Jan Krechowiecki.
3. Pojata, Romans Bernatowicza. — Michał Grabowski.
4. Marya, Malczewskiego. — Jan Krechowiecki.

NB. Wszystkie te cztery artykuły stanowią prawie ciąg jeden, dwa pierwsze będą przygotowaniem, raczej wstępem do dalszych recenzyi.

II. Oddział Poezyi.

5. Zegluga Poety. — Seweryn Goszczyński.
6. Noc w Zofijówce, w rodzaju Przechadzki — tegoż.
7. List do przyjaciela (prozą). — Jan Krechowiecki.
8. Zamek Kaniowski, poema w 6 pieśniach. — Sew. Goszczyński.
9. Powieść ukraińska (prozą). — Michał Grabowski.

III. Literatura zagraniczna.

10. Literatura rosyjska. Przekład poematu Puszkina, Bagczyserajska Fontanna.
11. Literatura niemiecka. O kształceniu się nowej szkoły w Niemczech, wyciągi z Pamiętników Götego.
12. Literatura angielska. O stopniu oświecenia w Stanach Zjednoczonych Ameryki, z pism peryodycznych angielskich.

»Jeżeli do tego zechcesz dodać twe prace, które u nas początek historycznej, narodowej poezyi dały, nie wątpiemy, że rocznik nasz może być bardzo dobry, bardzo użyteczny. My sami mało co mniej nad 30 arkuszy druku dostarczyć możemy, idzie tylko o to, by się kto na miejscu w Warszawie zechciał zająć wydaniem. Jeżeli więc postanowisz wspólnie pracować, zawiąż zaraz z nami korespondencyą stałą w tym przedmiocie i powiedz:

naprzód: Jakie są myśli twoje względem takiego rocznika, co przeznaczasz do tomu pierwszego, i czy nie masz jakich szczególnych uwag, co by tam w składzie jego przewodniczyć powinny.

powtóre, czy Glücksberg lub Brzezina nabędą u nas rękopismów i czy się zajmą wydaniem, dla tego trzeba żebyś z niemi pogadał i nam szczegółowo doniósł o wszystkiem.

»Skoro tylko taki list odbierzemy, niezwłocznie ci przyszlem rękopisma i odtąd obszerniej pisywać będziemy, teraz daruj za tę urzędową odezwę. Nie wiemy bowiem, czy cię ten list dójdzie i czy nie zostanie równie jak inne bez odpowiedzi. Kochany Józefie, jak piękny, jak użyteczny zawód pracy mamy przed sobą. Wieleby o tem pisać.

»Badania nad historyą ziemi, w której mieszkamy, zbieranie melodyi i powieści ludu, kształcenie własnych zdolności, każdy w swoim rodzaju, oto jest zawód, któryśmy pracom naszym założyli. Nigdy czyściejszy entuzyazm nas nie ożywiał; nie dostaje nam tylko, żebyś ty go podzielił. O Józefie, ileż razy myślemy, że gdybyś ty był między nami, nic by już nie mogło zakłócić naszego szczęścia; ile razy te marzenia nas łudzą! jak zawsze naszym myślom i sercom jesteś przytomny! Teraz przyjm od nas wszystkich uściśnienie i kochaj tego, który jest na zawsze twoim

Michał Grabowski.

»Jeżeli księgarze kupią u nas rękopisma, ja z Janem przeznaczamy części nasze dla Seweryna; donosimy ci o tem dlatego, że będzie ci to nie ostatnim powodem do wspierania gorliwie naszego zamiaru«.

List Grabowskiego, jak widzimy, był w najwyższym stopniu naglący i błagalny, przynosił Zaleskiemu wiadomości o pracach literackicb kolegów, które go musiały bardzo interesować, a przecież i po tym liście nie odbierali ci koledzy od niego żadnej odpowiedzi przez całe dalsze pół roku.. Skąd pochodziło uporczywe milczenie? Dokładnie objaśnić je trudno, bo r. 1826 w życiu Bohdana jest więcej od innych niejasnym, wszakże dadzą się różne poczynić przypuszczenia, zawierające większą lub mniejszą dozę prawdy. A naprzód trzeba pamiętać, że był to rok szczególnego terroryzmu policyjnego w Warszawie, kiedy wskutek odkrycia stosunków pomiędzy rewolucyonistami rosyjskimi a członkami polskiego Towarzystwa patryotycznego, więzienia Warszawy tak zapełniły się aresztowanymi, iż zaczynało brakować miejsca dla nich [1]. Można być pewnym, że na pocztach w Królestwie Polskiem i prowincyach zabranych stosowane było rozporządzenie, znane nam z lat poprzednich o rozpieczętowywaniu listów [2], które z powodu zalecanej tam tajemnicy łatwo prowadzić mogło do zupełnej ich zatraty. Być więc może, że Zaleski pisał listy do kolegów na Ukrainie, ale one ginęły na pocztach i przynajmniej o jednym, o którym jest wzmianka w korespondencyi przyjaciół [3], możemy to twierdzić na pewno. Dalej trzeba i to mieć na względzie, że wobec ogólnego przygnębienia, jakie pano-

---

[1] Mochnacki, Powstanie narodu polskiego, Paryż 1834, T. I, str. 478—479. Prądzyński, I, 73.

[2] Askenazy, Łukasiński, II, 374.

[3] List Grabowskiego do Zaleskiego z Humania dnia 5 lutego 1827 roku.

wało w Warszawie i w Królestwie [4]), wobec ostrożności, jaką trzeba było zachowywać w listach, na pocztę oddawanych, nie miał zapewne Bohdan ochoty pisać do kolegów, dopókiby się jakaś prywatna a pewna okazya nie znalazła. Taką okazyą bywały transporty książek Glücksberga do Kijowa, ale na taką okazyę długo trzeba było czekać. Wreszcie przypuścić można, że w tym braku listów od Bohdana, na który skarżyli się koledzy, odgrywało pewną rolę wrodzone lenistwo poety-marzyciela, lenistwo, do którego się on otwarcie przyznawał, nazywając je »cnotą narodową«.

Bądź co bądź, tyle jest rzeczą pewną, że w ciągu 1826 r. Zaleski pisał jakiś list do kolegów z odpowiedzią na ich plany literackie, że w tym liście było »szczere wyznanie o druku pism« projektowanych, i że poeta nasz lękał się, ażeby za to wyznanie koledzy się nie gniewali. Otóż ten list nie doszedł rąk kolegów, zaginął, ale z tego, co o nim wiemy, wynika, że znając lepiej współczesne stosunki wydawnicze w Warszawie, nie miał Bohdan tych różowych nadziei, jakie żywili jego przyjaciele ukraińscy, t. j. że księgarze pospieszą z nabyciem nieznanych rękopisów od ludzi prawie nieznanych.

Dopiero w początkach r. 1827, na kontraktach kijowskich, dokąd się trzej koledzy humańscy wybrali, nadszedł do nich po roku oczekiwania pierwszy list od Zaleskiego (z datą 28 grudnia 1826), przesłany przy transporcie książek Glücksberga. Listu tego nie znamy; wiemy tylko, że Bohdan odwoływał się tu do »szczerego wyznania« swego w jakimś liście poprzednim, zaginionym, i mówił o trudnościach literackiego przedsięwzięcia. Wkrótce po otrzy-

---

[4]) Porówn. St. Smolka, Polityka Lubeckiego, T. I, str. 416 — Konsul pruski raportuje: »Die Stimmung und das Leben hier geben seit fast drei Monaten ein Bild des Trauers und der Niedergeschlagenheit, welches nicht zu beschreiben ist«.

maniu tego listu, odpowiedział mu Grabowski obszernem pismem (z datą 4 i 5 lutego 1827), które się zaczynało od takiego ustępu: »Kochany Józefie, nie odbierając od ciebie więcej roku żadnego zgłoszenia się na tylokrotne nasze pisanie, nieraz gorzko narzekałem na twoją ciężkość, na twoje lenistwo, które ci pozwala tak boleśnie zasmucić i niepokoić twoich przyjaciół, lecz nigdy nie posądzałem, żeby twe serce mogło zobojętnieć dla tego, z którym cię łączy tyle pamiątek i spółczucia. Nie zważając na tyle powodów urazy, które mieć mogłem, już chciałem raz jeszcze pokusić się pisać do Ciebie przez L. Bętkowskiego, kiedy przecie doszedł mnie twój list tak długo oczekiwany i w moje serce, głęboko twojem milczeniem zranione, wlał kilka kropel gojących. Prawdziwa i dawna przyjaźń krótką ma pamięć na urazę i ja chętnie a chętnie wierzę, że odtąd nie będę miał powodu narzekać na twoją niesłowność«.

W dalszym ciągu pisał Grabowski o sobie, o swoich kolegach, o życiu wspólnem z nimi i w najgorętszych wyrazach zapraszał Bohdana na Ukrainę, a mianowicie do siebie, do Aleksandrówki. »Ja, Jan i Seweryn żyjemy prawie razem, pracujemy razem, dzielimy wszystkie wrażenia, komunikujemy myśli i zawsze przed nami stoi jeszcze ponętna nadzieja, iż to życie nasze, samotne i cichej pracy oddane, nie będzie zupełnie bezkorzystne dla naszej biednej ojczyzny. Ojczyzny mówię, bo w naszem położeniu małoby nas nęciła sława literatów, gdybyśmy w tem nie byli bodźcowani czynniejszą myślą patryotów. Wiesz, co mówię«.

»Moje złączenie się tu z Janem i Sewerynem rozstrzygnęło podobno moje przeznaczenie. Pocóż mam się włóczyć po świecie i szukać cudzych bogów, kiedy mogę mieć kąt własny i spokojny w ziemi rodzinnej, piękny zawód nauk i przed sobą cel wielki i szlachetny na całe życie?« Wreszcie nie chciał opuszczać matki i miał za-

miar ożenić się. Otoż do tego swego kąta, w którym spodziewał się założyć własne ognisko domowe, w taki sposób zapraszał Bohdana: »Mój kochany Józefie, jakbym ja był szczęśliwy widzieć tu ciebie, wszystkie moje życzenia byłyby spełnione, wszystkie sny, wszystkie marzenia nagrodzone z lichwą, gdybym mógł uściskać w moim już domu najlepszego, najdawniejszego, najdroższego przyjaciela. Krechowiecki i Seweryn często u mnie bywają. Mamy dosyć książek, przyjedź więc, kochany Józefie, przyjedź przynajmniej zobaczyć, jak my tu żyjemy, a może cię zatrzymają gorące dla ciebie serca i objęcia szczerych przyjaciół. Kochany, drogi Józefie, ja wczoraj jeszcze czytałem ukraińską dumę w *Pamiętniku Warszawskim*, gdzie w tak urocze barwy poezyi oblałeś twoje wspomnienia. Serce moje było rozkołysane, kiedyś smutnie wspomniał o współwędrowcach twoich, bo pewny byłem, iż myśl nasza była tobie obecną, kiedy to pisałeś... Przyjedź, Józefie, we czterech wystarczymy sobie, odosobnimy się jeszcze więcej od głupiego świata, który nas będzie otaczał. Przyjaźń, wspólność myślenia i czucia, zbieranie poetycznych zabytków przeszłości, zwiedzanie pięknych miejsc Ukrainy zajmą, zapełnią dni nasze, uużytecznią, ukwiecą życie. Nie powieszże, że ja śnię, że marzę? Zechceszże porzucić miejsce i towarzystwo z ludźmi, gdzie tak wszystko twoim postępom sprzyja, żeby się zagrzebać w pustyni z ludźmi bez imienia? Przebacz, iż rozumować nie mogę. Moje rozchwiane serce zanadto stronnie przemawia«.

Nie można było czulej zapraszać, jak zapraszał Grabowski Zaleskiego do siebie na Ukrainę. Ale i on przy całem rozczuleniu spostrzegał, że ten pomysł sprowadzenia przyjaciela na stały pobyt do stron rodzinnych, na tę Ukrainę, do której Bohdan tak tęsknił, może się wydać snem lub marzeniem. Tylko nie wyjaśniał dostatecznie, dlaczego tak było. Nie chodziło tu tylko o zagrzebanie

się w pustyni, która zresztą, mając już takie oazy, jak Leszczynówka i Aleksandrówka, nie była tak straszną, ale o coś więcej. Gdyby Zaleski posiadał jakiś majątek ziemski, jak Krechowiecki lub Grabowski, nie trudnoby mu było zgodzić się na zagrzebanie się w pustyni, w którejby mógł używać zupełnej niezależności. Ale on nic nie miał, i wracając na Ukrainę, skazywałby się na los Goszczyńskiego, na wieczne życie rezydenta, które w najlepszych nawet warunkach musiało mieć przykre strony, a fantastycznej, kapryśnej naturze Bohdana, więcej niż jakiejkolwiek innej, mogło dolegać. Był on wprawdzie i jako prywatny nauczyciel zależnym i ta zależność nieraz go gniotła, ale była ona więcej zewnętrzną, miała swoje granice, poza któremi czuł się zupełnie niezależnym, mógł się swobodnie zamykać w samotności, nie rażąc tem nikogo, i panować wszechwładnie w państwie swoich marzeń.

Co się tyczy rocznika, Grabowski i Krechowiecki godzili się już na to, aby nie liczyć na jego nabycie przez księgarzy, ale wydać go własnym kosztem, przyczem w staraniach wydawniczych w Warszawie miał wyręczać Bohdana inny kolega humański, Ludwik Bentkowski. Chodziło już im teraz głównie o to, ażeby Bohdan nie odmówił swoich poezyi, bo w nich widzieli największą ozdobę rocznika, która go wyniesie wysoko ponad sferę pism innych. »Ośmielamy się myśleć, pisał Grabowski, że jeśli dasz nam twoich poezyi, z wyjściem naszego Rocznika nowa reforma literatury polskiej odtąd stanowczo się zadecyduje. Inna teorya — inna sztuka«. W innem miejscu tego niezmiernie długiego listu pisał: »W nadziejach naszych ciebie zawsze z sobą liczymy, ty będziesz poetą narodowym, rodzajem Homera, gęślarza«. Wysoko też podnosił poezye Goszczyńskiego, w szczególności *Zamek Kaniowski*, którego już dwie części były ukończone w jesieni roku poprzedniego w Aleksandrówce pod jego okiem i zapewne nie bez jego krytycznych uwag. »Jaka poezya

i jaki język! Wszystko odpiętnowane niestartą cechą geniuszu. Z przesądów gminnych, on porobił sceny dramatyczne, kreacye Szekspirowskie, bo nie tak on pojmuje cudowność, jak wileńscy i warszawscy balladziści: Odyniec, Witwiccy i C-ie. Lecz na cóż się rozszerzam, czytaj prolog *Zamku Kaniowskiego*, on wart *Sobótki* Goethego«.

Prologiem widocznie nazywał Grabowski scenę puszczyków z pierwszej części *Zamku Kaniowskiego* i ją to stawiał na równi z *Walpurgisnacht* Goethego. Ile było przesady w tem zestawieniu, jak zaślepiała Grabowskiego przyjaźń i ścisła wspólność dążeń ku wspólnym celom, nie potrzeba tego wykazywać. Ale zachwyt jego nad *Zamkiem Kaniowskim* wypływał przedewszystkiem z porównania tego poematu z balladową poezyą Witwickiego i Odyńca, nad którą *Zamek Kaniowski* górował i siłą temperamentu poety, nadającą piętno oryginalności utworowi, i głębokiem poczuciem przyrody, i wreszcie traktowaniem cudowności i ludowości różnem od tego, które tak gniewało Grabowskiego w balladach Witwickiego. — W *Zamku Kaniowskim* odpowiadało zasadom, wypowiedzianym przez Grabowskiego przed dwoma z górą laty, że cudowne pomysły ludowe, winny być wprowadzone do poezyi w jakiejś myśli wyższej, moralnej czy filozoficznej, inaczej będą wyglądały płasko i nieokrzesanie. Nas dzisiaj razi ta scena, w której puszczyk opowiada swojej lubej groteskowe figle dyabłów, budzących szyldwacha, ale Grabowski widział w niej zapewne odpowiednią przegrywkę do krwawego poematu, uosobienie potęg wrogich, które się złożyły na dzieło zniszczenia i mordu. Tak przynajmniej tylko można zrozumieć jego zachwyt dla tej sceny i porównanie jej z Walpurgisnacht Goethego [1].

---

[1] Do genezy *Zamku Kaniowskiego* sam Goszczyński w swoich notatkach podaje następujące szczegóły: »Scena puszczyków. Pisałem ją w Leszczynówce, a myśl pierwsza z gniazda puszczyków,

O Krechowieckim pisał, że ten ma już gotowy artykuł o Malczewskim i »bardzo ważną historyę nowej naszej literatury, t. j. o Brodzińskim, Goreckim, Mickiewiczu«. Dowiadujemy się przytem, że Krechowiecki studyował ciągle Szekspira i rozmyślał nad stworzeniem dramatu narodowego, a Grabowski zachęcał go, aby przedewszystkiem dokończył Szyllerowskiego *Dymitra*. »On się razem uczy dziejów i sztuki, a wyznasz, że kto nam da widowisko historyczne, odrazu nie niski szczebel osiągnie«.

Dla siebie zostawiał Grabowski rolę estetyka i zarazem Walter Scotta polskiego. Donosił on Zaleskiemu, że ma już przygotowanych kilka rozpraw estetyczno-literackich i że we wstępie do historyi literatury polskiej, który pisał jeszcze przed poznaniem rozprawy: *O duchu i źródłach poezyi polskiej*, wyłożył teoryę tworzenia się wrażeń poetycznych w duszy człowieka. Ten wstęp wraz z ową bezimienną rozprawą (że jej autorem Mochnacki, Grabowski jeszcze nie wiedział) miał stanowić »niejako zupełny systemat zreformowanej według nowych wyobrażeń literatury« [1]. Z utworów swej fantazyi zamierzał

które były w kominie mojej rotondy. Ksenia, to jedna z moich kochanek, dla której ostygłem i byłem prześladowany jej miłością. Przed rokiem snułem na niej balladę, później wprowadziłem ją do mojej powieści. Jest w tej powieści wiele innych szczegółów natchniętych przez rzeczywistość, dlatego zrobiła takie wrażenie, dlatego ma tyle życia i siły, która towarzyszy życiu«.

[1] O rozprawie Mochnackiego Grabowski pisał w tym liście: »Z autorem spotkałem się w zasadowych wyobrażeniach, lubo w innym porządku i w innych zamiarach wyświecałem ten przedmiot«. Że jednak ta rozprawa niezupełnie podobała się Grabowskiemu, a to z powodu, że była bardzo względną dla Odyńca, którego razem z Mickiewiczem i Zaleskim na szczyt Parnasu windowała, dowodzi inny ustęp tego listu: »Dlaczego ciągle chwalicie Odyńca? Kto to napisał rozprawę *O duchu i źródłach poezyi polskiej?* Strasznie ciemno widzą teraźniejsze koterye literackie warszawskie«.

umieścić w Roczniku legendę z XVI w. *Wawrzyniec Powodowski*, napisaną jeszcze w Warszawie, zamiast zaś projektowanej przedtem powieści ukraińskiej, »dość obszerną w 3 częściach powieść słowiańską w rodzaju Atali Chateaubrianda«. Zdaniem kolegów, ta próba szczęśliwie mu się powiodła, a była to tylko mała część wielkiej całości poetycznej, którą chciał osnuć na tle rozpierzchłych zabytków mitologii i starożytności słowiańskiej. »W ustępie teraźniejszej powieści malowałem koczujące życie hord Scytyckich po bezbrzeżnych naszych stepach. Jeżeli mi się ta powieść powiedzie, myślę napisać drugą z wyobrażeń Greków o mieszkańcach krain Hyperborealnych otworzyć perspektywę na pochodzenie nasze z Indyi, nakoniec malować Słowian pod rządem republikańskim i w cywilizacyi wielobóstwa. Myśli się tłoczą, farb, obrazów pełno. Nie wiem tylko, czy się co z tego chaosu wyrodzi«.

Na dalszym planie zamiarów literackich Grabowskiego był romans historyczny z czasów Władysława Łokietka, ale do tej pracy brakło mu materyałów historycznych, a wiedząc, zapewne od Krechowieckiego, że »Lelewel ma bardzo ważną rozprawę o złączeniu Monarhii za Władysława Łokietka, według której dawał prelekcye w uniwersytecie wileńskim«, prosił Bohdana o pośrednictwo w jej wydostaniu od Lelewela. Nareszcie warto poznać zamiary wydawców Rocznika, a przedewszystkiem Grabowskiego, dotyczące drugiego tomu tego zbiorowego pisma, zwłaszcza, że wiążą się one z równoczesnemi studyami historycznemi Bohdana; miał być ten tom poświęcony wyłącznie historyi, a w szczególności historyi Ukrainy. »Myślałem tam umieścić rys historyi Ukrainy podług Bantysza-Kamieńskiego, która jakkolwiek stronna, fałszywa i niedokładna, zawiera przynajmniej ciąg faktów«, a następnie »Rys Ukrainy z pisarzów polskich, co wszystko, jedno dopełnione przez drugie, mogłoby zgromadzić mate-

ryały do dokładnej historyi Małorosyi. Z twego listu widzę, iż wpadłeś na taką samą myśl, i że wielką część tej pracy mógłbyś przyjąć na siebie. Stale zawiązana korespondencya i w tym przedmiocie posłużyłaby do poszukiwania, zebrania i wyświecenia naszych myśli. Dalsze materyały do złożenia historycznego tomu być miały: topograficzne opisanie mogił, zebranie wiadomości w podróży do progów Dnieprowych, codzienne poszukiwania, śledzenia i opisy obrzędów, pieśni, melodyi i t. d. Takowe zbiory byłyby razem materyałami do historyi i skarbami dla narodowej literatury«.

We wszystkich tych zamiarach, planach i robotach humańskich kolegów Bohdana na Ukrainie w celu stanowczego zreformowania literatury polskiej, Grabowski odgrywał główną, najczynniejszą rolę, i pod względem energii w wykonywaniu planów, pod względem potrzeby wcielania swoich pomysłów w kształty realne, stanowił zupełne przeciwieństwo z Bohdanem, któremu najmilej było zamykać się ze swemi marzeniami w samotności i który miał pewien lęk przed puszczaniem tych marzeń, obleczonych już w szatę poetycką, na widok publiczny. Odważał się wprawdzie na drukowanie ich luźne w pismach peryodycznych, gdzie one ukrywały się niejako wśród różnorodnych artykułów i obcych poezyi, ale pomimo zachęty, jaką obdarzała go z różnych stron krytyka, nie miał odwagi wystąpić ze zbiorem swoich poezyi, a przynajmniej nie uczuwał ochoty, ani potrzeby wystawiania przed światem całej swej dotychczasowej produkcyi poetyckiej. Nikt więcej od niego nie miał prawa powiedzieć: »Ich singe, wie der Vogel singt«, albo: »Sobie śpiewam i Muzom«. Otóż Grabowskiego mocno gniewała ta wstrzemięźliwość, więc pisał w zakończeniu swej sążnistej epistoły: »Chciałem jeszcze zapytać, co znaczy to postanowienie nie drukować? Czy myślicie, iż człowiek żyje równie długo, jak krokodyl i ma zapewnienie przyszłości? Lub jeżeli to

jest systemat Brodzińskiego, nic nie robić i czekać lepszych czasów, kiedy przyjdą te lepsze czasy? I czy człowiek nie powinien czynnie wpływać na takową zmianę, ale jej tylko biernie wyglądać i niczem nie przyspieszać?«

List, albo właściwiej powiedziawszy memoryał Grabowskiego, przeleżał co najmniej trzy tygodnie na Ukrainie, zanim z listami Goszczyńskiego i Krechowieckiego i z manuskryptem, zawierającym dwie części *Zamku Kaniowskiego*, zabrany został przez Bentkowskiego, wracającego do Warszawy. Goszczyński w krótkich słowach zanosił od siebie prośby do Bohdana o pomoc w wydaniu Rocznika: »Józefie, znałem cię moim przyjacielem, moim dobroczyńcą nawet, tego się nigdy nie wyprę. Dziś wszystkiem dla mnie będziesz, jeżeli z twojej strony dołożysz starania, aby ten nasz zamiar przyszedł do skutku, i ułatwisz jego wykonanie. Mnie przynajmniej na tem wiele zależy i nigdy szczerzej nie prosiłem«. W naiwności swojej liczył na zyski materyalne z Rocznika, których się na korzyść jego zrzekali koledzy, nie mniej różowym oddający się nadziejom. »Ja przynajmniej, pisał, będę miał pieniądze, bo chwała etc. są to rzeczy, o których król Dawid szeroko pisze« [1]. Stało się właśnie przeciwnie: sławy się doczekał dość prędko, pieniędzy nigdy.

Jak się rozwijała w dalszym ciągu sprawa wydania Rocznika ukraińskiego, dokładnej wiadomości o tem nie mamy, wiemy tylko, że w rok potem już myśl ta była zarzuconą, przynajmniej zawieszoną, a materyały do Rocznika inaczej miały być obrócone. Niepowodzenie tej sprawy łatwo daje się wytłumaczyć tą okolicznością, że trudno było, szczególnie przy ówczesnych stosunkach komunikacyjnych, siedząc na Ukrainie, wydawać pismo w Warsza-

---

[1]) List Goszczyńskiego z datą 26 lutego 1827.

wie, odpowiedniego zaś zastępcy w tem mieście wydawcy znaleźć nie mogli. Takiego zastępcę chcieli oni mieć w Zaleskim, ale on jak najmniej nadawał się do tego zadania, naprzód, że nie był stałym mieszkańcem Warszawy, ale bywał tylko chwilowym jej gościem, powtóre i przedewszystkiem dlatego, że nie miał nic w sobie zmysłu praktycznego, potrzebnego w sprawach wydawniczych. Dodajmy do tego jeszcze poetyckie lenistwo Zaleskiego, dodajmy i to, że nie wszystkie obmyślane przez wydawców utwory zostały zapewne wykończone tak szczęśliwie, jak im się w pierwszych planach przedstawiały, dodajmy i to nareszcie, że Krechowiecki pod koniec 1827 r. żeni się, a Grabowski spostrzega w sobie pewne objawy choroby, które mu nakazują myśleć o wyjeździe zagranicę dla kuracyi, a będziemy mieli dostateczne wyjaśnienie, dlaczego zamiar wydania Rocznika nie doszedł do skutku.

Ale najwięcej bolało kolegów humańskich, a w szczególności Grabowskiego, to, że znowu prawie przez cały rok 1827 nie mieli wcale listów od Bohdana. Pisał on wprawdzie, jak sam zapewniał, trzy listy w ciągu tego roku do nich, ale dopiero ostatni drogą kontraktową doszedł ich na początku 1828 r. Grabowski był mocno rozgoryczony tem długiem czekaniem, a jeszcze więcej tem, że list, który go nareszcie dochodził, bynajmniej swoim tonem nie odpowiadał gorącym wylewom przyjaźni, jakich jego własne listy były pełne. »Odbieramy nakoniec ten list, tyle wyglądany i słusznie go sam nazywasz, jak lód zimnym. Pospiech cię nie wymawia, miałeś rok czasu — jak to? żadnego szczegółu o sobie, nam, którzy tak dawno z tobą rozdzieleni jesteśmy, którym najmilej byłoby wiedzieć każdy drobiazg twego życia, których myśli ty jesteś tak zawsze przytomny, że nasze myśli i czucia uważaliśmy za spólne.... a ty piszesz list prawdziwie oficyalny. Na honor tak się do przyjaciół nie pisze«.

»Może się obrazisz mojemi wymówkami. Mój głos stał ci się może tak obcy, że się zadziwisz, że ja śmiem podnosić ten głos niepochlebny przyjaźni. Ta uwaga, przyznam ci [się], stawała mi kilkakroć w myśli w czasie, kiedy pisałem, lecz musiałem wprzód powiedzieć wszystko, jak czuję, inaczej nigdybym nie mógł tego listu napisać. Zdało mi się, że gdybym tłumiąc to, co czuję, zmusił się pisać do ciebie list obojętny i powierzchowny, ten przymus by mię zadławił. Musiałem ci odkryć, tak jak jest, serce kochające, przywiązane, lecz dotkliwie zranione. Zresztą, jeżeli masz jeszcze dla mnie cząstkę dawnej przyjaźni, wszystko jest tak łatwe do naprawienia, bądź tylko tak, jak być powinieneś, a będę cię kochał i za przewinienie i za poprawę«.

Jest to język więcej niż przyjaciela, prawie kochanka. Tylko w świetle takich wynurzeń gorących, można należycie zrozumieć ów wiersz naszego poety, z późnych lat pochodzący, a umieszczony w »Pyłkach« p. t. *Trzej rówiennicy*.

Bohdan, Seweryn, Michał między nami trzema,
Odgrywa się osobne niejako poema;
Wszyscy trzej bo rówieśni, z jednego my gniazda
Porwali się do lotu, i jedna nam gwiazda
Mrugnęła w drogę z góry ku ziemskiej zamieci.
I odtąd rozesłańce, każdy w innej sferze,
Żeglujem w krąg, to pierwszy, to drugi, to trzeci,
I ważym się ku sobie w równej zawsze mierze;
Choć słuch, ruch, zamach, różne, jak i różne pierze.
Lecz kto lepszy, kto duższy, który wyżej wzleci?
Który obydwóch w końcu za sobą zostawi?...
Tego my ani wiedzieć nawet... nie ciekawi.

W istocie w tej trójce ukraińskiej, która miała trwale zapisać imiona swoje w dziejach literatury polskiej, różnica temperamentów, skłonności, upodobań, t. j. tego, co poeta przez »słuch, ruch, zamach« określał, była ogromna,

a jednak nie przeszkadzała im w utrzymywaniu związków przyjacielskich przez całe życie. Ale nie jednakowy był stosunek między szczególnymi członkami tej trójki; silniejszy był łańcuch wspomnień, wiążących Grabowskiego z Zaleskim, niż z Goszczyńskim, a przytem natura jego więcej potrzebowała wynurzania się z uczuciami przyjaźni i stąd więcej wymagała wzajemności w tym względzie od Zaleskiego.

Niemile też zadziwiony był Grabowski tem, co się w liście Bohdana odnosiło do *Zamku Kaniowskiego.* — »Chciałem był bardzo wiedzieć twoje zdanie o poemacie Seweryna. Z powodów, dla których przyspieszałem wyprawienie go do Warszawy, był i ten, żeby ci zrobić wielką, jak się spodziewałem, przyjemność. Myślałem, że to ciebie ożywi, zaelektryzuje. Wspomnienie Ukrainy, pierwszy poemat Seweryna tylu węzłami przyjaźni, dziecinnej zażyłości i pożycia z tobą powiązanego i jeszcze taki poemat! Wszystko powinno się było spłynąć, żeby tobie miłe zrobić wrażenie. Na nieszczęście boję się, żebym się nie omylił, bo kilka słów, co o nim w twoim liście napotykam, są zimne i suche«.

W kilka lat potem Grabowski krytyczniej zapatrywał się na *Zamek Kaniowski* i poemat ten, jakkolwiek i wtedy nie odmawiał mu krytyk wielkiej wartości, inne przecież sprawiał na nim wrażenie. »Szkoda, iż autor tej powieści, pisał on w swym artykule: *O elemencie poezyi ukraińskiej w poezyi polskiej*, zamiast nam wystawić swój smutny obraz złagodzonym trochę w półświetle sztuki i w półświetle kilkudziesięciu lat oddalenia, wolał go zbliżyć nam do oczu, rozświeciwszy, jak gdyby jaskrawą latarnią, wszystkie krwawe szczegóły okropnej całości. Stąd w zalewie krwawej powodzi giną wszystkie wdzięki i geniuszu poety i miejscowości ukraińskiej i cała powieść, pomimo wielkich piękności, staje się dziwnie nie-

miła«[1]. Ale w chwili pisania tego poematu i przez jakiś dłuższy czas potem, zostawał on pod urokiem samego procesu tworzenia się jego, przyoblekania się pomysłów w kształty, co się odbywało z dnia na dzień, pod jego okiem, do pewnego stopnia zapewne pod jego wpływem, a ten urok zasłaniał mu wszystko to, co go później w powieści niemile raziło[2].

Co sądził Zaleski o tym poemacie, jakie wrażenie odniósł po poznaniu dwóch pierwszych części, jakie, gdy poznał całość? nigdzie się z tem w znanych nam swoich listach nie wypowiedział. Ale wrażenia tego domyśleć się łatwo, a co Grabowski mówi o kilku »zimnych i suchych« słowach jego, odnoszących się do *Zamku Kaniowskiego*, ten domysł popiera. I wybór tematu, wziętego z najsmutniejszych i najdzikszych tradycyi ukraińskich, i jaskrawy, realistyczny sposób jego przedstawienia, i forma często chropawa, wszystko to było tak naturze Bohdana przeciwne, że poemat, pomimo niewątpliwych wielkich zalet swoich, musiał w najwyższym stopniu przykre wrażenie na nim sprawić. Potęga fantazyi, jaką rozwinął Goszczyński

---

[1]) Literatura i krytyka, Wilno 1837, Cz. II, str. 106. Jednakże w drugiej seryi tego wydawnictwa z r. 1840 nie wahał się powtórzyć z artykułu swego, pisanego w r. 1830, że »prolog *Zamku Kaniowskiego* nie zblednie ani przy *Sobótce* Goethego, ani przy prologu *Makbeta*«. Lit. i krytyka 1840, T. I, str. 136.

[2]) »... mieszkając niegdyś pod tym samym dachem z jednym z niewątpliwych naszych poetów, widząc prawie co dzień, jak niejasne dotąd i mdłe żywioły poetyczności miejscowej i obyczajowej ukraińskiej wcielały się w żywe postacie *Kaniowskiego Zamku*, wiem z niezatartej pamięci doświadczenia, jakiem ubogaceniem i odnowieniem życia jest zjawienie się poetyckiego utworu! — Ten bowiem utwór nie jest to opis tego, co było pierwej, nie jest to mniej więcej dowcipne mędrkowanie nad rzeczą, którą bez niego każdy oczyma swemi mógł zobaczyć, nie, jest to coś, czego nie było przedtem nigdy, jest to kształt, którego nikt pierwej nie oglądał, kształt, który powstaje z pod spodu nierozwikłanych cieni, z pod mgły przed-

w tym poemacie, a którą i Bohdan musiał uznawać, służyła tylko do pogłębienia tego wrażenia. Jakże odmienną była ta Ukraina, którą on nosił w pamięci i w sercu, którą osnuwał tęczowemi barwami wyobraźni, którą malował w swoich dumkach i rapsodach, od tych ciemnych i krwawych obrazów, jakie już w pierwszych dwu częściach *Zamku* nagromadził Goszczyński. I *Marya* Malczewskiego przedstawiała mu Ukrainę inaczej, niż ją sobie upoetyzował, ale w *Maryi* było tyle strun pokrewnych duszy Bohdana: i elegijny wdzięk przyrody, i rycerski charakter Wacława, i religijność Miecznika i Maryi, że znalazły one natychmiastowy oddźwięk w uwielbieniu jego dlatego poematu. W *Zamku Kaniowskim* przyroda i tradycya ukraińska tchnęły na niego chłodem posępnej nocy, zapachem krwi i zgliszczów. Poemat go niewątpliwie zadziwił, był mu objawieniem potęgi twórczej w Goszczyńskim, jakiej się po pierwszych jego utworach trudno było spodziewać, ale cóż dziwnego, że jego słowa uznania dla talentu przyjaciela były »suche i zimne«, kiedy poemat nie miał nic w sobie, coby nietylko do fantazyi, ale i do serca jego przemówić mogło.

Skoro zamiar wydania Rocznika ukraińskiego rozchwiał się, Grabowski i Krechowiecki postanowili wydać *Zamek Kaniowski* osobno, własnym kosztem. Ułożono się z Glücksbergiem, że za 130 rs. odbije im 500 egzemplarzy poematu; wydaniem zaś miał zająć się inny kolega humański, przebywający w Warszawie, Józef Chrząszczewski. Swoje zaś pisma, przeznaczone przedtem do Rocznika, Grabowski, o ile były wykończone, przesłał do *Dziennika Warszawskiego*, którego wydawnictwo z początkiem 1827 r. objął Ordyniec; wyszły też one (Hieronim Powodow-

---

stworzenia, gdzie pływał, doczekując się naznaczonej sobie chwili bytu«. Literatura i krytyka, Wilno 1840, T. I. O szkole ukraińskiej poezyi str. 24.

ski, Myśli o literaturze polskiej, Melodye ukraińskie) w r. 1827 i 1828 w X i XII tomie *Dziennika*. Wysyłając te rzeczy do Warszawy, jeszcze raz ubolewał Grabowski nad smutnym stanem pism peryodycznych w Warszawie, i mocno atakował Zaleskiego i jego przyjaciół-literatów, że nie starają się zaradzić temu.

»Będziesz może się dziwił, iż my w naszym kącie zajmujemy się jeszcze sprawą literatury, kiedy wy na miejscu i osobiście zainteresowani w jej chodzie i skierowaniu okazujecie jej taką zimną obojętność i zaniedbanie. To jest właśnie, co mnie zdecydowało. W tych dniach przeglądaliśmy *Bibliotekę Polską* z lat kilku. Jezus! być że to może, żeby w kraju chrześcijańskim wychodziło takie pismo! Co za zdania! Co za teorye! Rozbiory *Maryi* Malczewskiego i *Sonetów Krymskich* wyprowadziły nas prawdziwie z cierpliwości. Jakto? i podobnaż, żeby takie głupstwa puszczać nie zauważane? Żeby takie zdania uzyskiwały powagę niekwestyonowanej opinii publicznej? Nie masz-że nikogo w Polsce, ktoby rozumiał *Maryę* Malczewskiego i *Sonety Krymskie?* Nie masz-że nikogo, komuby była droga sława pierwszych naszych poetów, na którą się lada nędzarz targa, krytykuje język, obcina, daje swoje rady — on, Dmochowski, który nawet swego lichego rozbioru nie umie inaczej, jak stylem monitorowym napisać! Lecz to nie głupstwo Dmochowskiego tak oburza, jak obojętność wasza, literatów, którzy puszczacie takie krzywe zdania bez odpowiedzi i nie dajecie sobie nawet lekkiego trudu sprostować tak haniebnie fałszowaną opinię publiczną«.

Ten smutny stan polskiej krytyki literackiej trapił go tem mocniej, że znając współczesne pisma literackie w Rosyi, widział ich niezaprzeczoną wyższość nad polskiemi. »W *Moskiewskim Telegrafie* był także rozbiór i tłumaczenie wszystkich *Sonetów Krymskich* przez kniazia Wiazemskiego, lecz jaka różnica! Widząc w jakim stopniu jest

dziś krytyka literacka wszędzie indziej, dopiero się czuje, jak ona licha jest u nas. Gdzież u nas takie pismo peryodyczne, jak *Telegraf?* To nie jest tak, jak w naszych dziennikach zbieranina tłumaczeń francuskich bez związku i celu, to jest żurnal europejski, z pewnym duchem, ze stałym kierunkiem, dający sprawę o wszystkich postępach i pracach rozumu ludzkiego.... Tam się często spotykają wzmianki o polskiej literaturze i zawsze tak dobre i sprawiedliwe, że pocieszają na długo, na długo. — A u nas?... My zawsze zwracamy myśl ku Brodzińskiemu, ku sobie, godziż się tak zaniedbać wszystko? Nie moglibyście w Warszawie założyć dobrego dziennika, któryby przecież rozprowadzał po kraju wiadomości, potrzebne koniecznie w wieku oświecenia? U nas, gdzie powszechnie tak mało czytają, dobry dziennik jeden (taki jak Moskiewski Telegraf) mógłby rozbudzić gust nauczenia się czegoś, którego teraźniejsze polskie dzienniki pewnie nie sprawią. O temby wiele można mówić, lecz ty to zapewne tak dobrze, jak ja, czujesz? Dlaczego nic nie robicie? Nie wiem.... a darujcie, nic nie usprawiedliwi takiej nieczynności występnej i haniebnej« [1]).

Szlachetne oburzenie dyktowało Grabowskiemu te słowa, ale jakże źle one były adresowane! Przemawiał on nie do rzeczywistej, ale do fikcyjnej postaci, którą napełniał własnym temperamentem i od której wymagał odpowiednich uczuć i działań. A tymczasem prawdziwy Bohdan do niczego mniej stworzonym nie był, jak do za-

---

[1]) List Grabowskiego z Leszczynówki z datą 13 marca 1828 r. W Tyg. Ilustr. 1890 ustęp, w którym jest porównanie naszej krytyki literackiej z Telegrafem, opuszczono. Warto porównać z temi ubolewaniami Grabowskiego to, co Mickiewicz pisał w tych czasach do Odyńca o ruchu literackim w Rosyi. Korr. Adama Mickiewicza T. II, str. 147 i T. IV str. 91.

kładania i prowadzenia dziennika. Ażeby to dokładnie stwierdzić, trzeba się z kolei przypatrzeć stosunkom jego z literatami warszawskimi z tych samych czasów, kiedy literaci ukraińscy powoływali go do wspólnej pracy około wytworzenia organu dla nowej teoryi estetycznej i nowej literatury polskiej.

ROZDZIAŁ IX.

Stosunki z Warszawą.

1826—1828.

Uciszenie się sporów literackich. — List Brodzińskiego do redaktora *Dziennika Warszawskiego*. — Bohdan contra Brodziński. — Zmiany w dziennikarstwie warszawskiem. — Obywatel województwa lubelskiego i polemika przez niego wywołana. — Zaleski jako obrońca Ukrainy. — Stosunek jego z Odyńcem, Witwickim i Mochnackim. — Stosunek z Mickiewiczem. — Wrażenie wywołane *Sonetami* Mickiewicza. — Stosunek Zaleskiego do *Wallenroda*.

Ożywione rozprawy nad romantycznością, które się w pismach warszawskich przez cały rok 1825 ciągnęły, z po czątkiem następnego roku ucichły nagle. Achilles tych bojów literackich, Mochnacki, zapewne pod wpływem obawy, aby w czasach tak niebezpiecznych nie zanadto swoją polemiką zwracać uwagę policyi na siebie, usunął się na czas jakiś z pola walki i opuściwszy literacki *Dziennik Warszawski*, wstąpił, jako współpracownik do *Izydy*, pisma poświęconego rolnictwu i przemysłowi [1]. Dmochowski

---

[1]) Podczaszyński mówi o nim: »...prześladowania zmusiły go do zajęcia się pracą, do której najmniej był usposobiony. W roku 1826, 1827, 1828, 1829 i 1830 należał do Izydy Polskiej... najprzód jako tłómacz, a potem jako kollaborator głównego wydawcy, a tytułem dyet pobierający pensyę adjunkta wydziału fabryk w mini-

któremu mniej więcej przypadała rola Hektora, nie znajdując antagonisty pod murami Ilionu, nie uczuwał podniety do wypowiadania swoich poglądów estetycznych, zwłaszcza, że do wypowiedzenia miał bardzo niewiele, i że to, co miał, to już wyczerpał. Trzeci młody krytyk, Grabowski, przeciwnie miał bardzo wiele do powiedzenia, ale wyjechał z Warszawy i nie mógł brać, narazie przynajmniej, udziału w ruchu literackim stolicy. Stróże prawowierności klasycznej, Koźmian i Osiński, mimo nalegań Franc. Morawskiego, wciąż uważali na najodpowiedniejszą taktykę milczeć, patrzeć z wysoka na romantyków i czekać, aż się ci ostatni skompromitują sami swojemi dziwactwami. Tem spokojniej mogli to teraz czynić, że baterya wystawiona przez Mochnackiego dla zburzenia ich twierdzy, została nagle, niespodziewanie, w tajemniczy jakiś sposób, zdemontowaną.

Brodziński, który pierwszy wytoczył sprawę romantyzmu przed oczy publiczności polskiej, nie brał wcale udziału w przeszłorocznych rozprawach, a powróciwszy w tym roku właśnie z dłuższej podróży po Szwajcaryi i Włoszech do kraju, do którego tak tęsknił na szczytach alpejskich [1]), nie miał ochoty mieszać swego głosu do gwaru krytycznego, jaki rozbrzmiewał w Warszawie, pomimo, iż powaga jego nieco osłabioną została wśród młodych romantyków wskutek ognistej pobudki Mochnackiego. Nie wypowiedział też Brodziński dotychczas, co sądzi o nowej poezyi polskiej, romantycznej, która się już narodziła po jego rozprawie »O klasyczności i romantyczno-

---

steryum spraw wewnętrznych; bo nawet i na ten urząd wakujący nie mógł otrzymać nominacyi z woli W. księcia«. Dzieła Maur. Mochnackiego, Poznań 1863, T. I, str. 294.

[1]) Patrz jego *Powrót z Włoch* 1826 Dzieła I, 109—112, na posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk 1826, a drukowany w Bibl. Pol. 1826, T. I, p. t. *Wiersz na Alpach.*

ści«, i teraz nie chciał się jeszcze wyraźnie wypowiedzieć. Działały tu zapewne względy delikatności, obawa, ażeby krytyka zwrócona do osób, nie sprawiała im przykrości, zresztą wogóle właściwa Brodzińskiemu nieśmiałość. Wszakże chciał ubocznie, nawiasowo, zaznaczyć swoje stanowisko wobec nowej poezyi i znalazł ku temu sposobność przy wydaniu swoich *Pieśni ludu* w *Dzienniku Warszawskim*.

Do tych *Pieśni*, do których zebrania i przekładu pobudzony był niewątpliwie przykładem Herdera, dołączył on *List do Redaktora Dzien. Warsz.*, a w tym liście określając charakter poezyi ludowej wogóle, a w szczególności słowiańskiej, czynił zwroty do najnowszej poezyi polskiej i wytykał jej niewolnicze naśladowanie Niemców i Anglików. »U nas, gdyśmy się cokolwiek w literaturze wyzwalać zaczęli, wnet ozwały się Ballady, naśladowane i tłumaczone z Anglików i Niemców, które wogólności smakowi narodowemu mało odpowiadają, a do których dzieje i obyczaje Polaków niewiele zrzódła dostarczą. Poezye ludu w germańskich narodach (powiedzmy to bez uprzedzenia) nie są owocem czerstwej natury, wystawiają lud zaborczy, okropny, chciwy nadzwyczajności, a przytem znękany własną imaginacyą, która zamkniętych po zamkach i pustyniach widmami i czarami otacza i tylko do nadzwyczajności pobudza«. Jakże odmienne od nich są pieśni ludów słowiańskich; swoją »spokojną i szlachetną prostotą« najwięcej się zbliżają do greckich, to też »z pewnością powiedzieć można, że słowiańskie narodowe pieśni, tak jak i obyczaje prędzej na prawdziwszą drogę poezyi naprowadzić zdołają, aniżeli podania romantyczne, niż pieśni ludów germańskich«. Niech więc poeci słowiańscy przejmują się duchem ludowej poezyi słowiańskiej, niech nie starają się »modnym wzorem być par force geniuszami«, ale niech »w przymierzu z rozumem i czu-

ciem pogodnie ukochają naturę. Wszystkie owe olbrzymie wyskoki, żądza nowości, przemienność opinii, ów niepokój żądz i myśli, owe systemata w chwili stawiane i burzone, nie mogą być dla Słowian, nawet w rzeczach smaku, wzorem bezpiecznym«.

Były to zwroty bezimienne, które i Mickiewicz, jako twórca ballad i *Dziadów* i Mochnacki, jako estetyk nowej szkoły, kształcący się na Schellingu, mogli wziąć do siębie. To też nic dziwnego, że Mickiewicz je odczuł, i dał wyraz swemu niezadowoleniu w korespondencyi z Odyńcem a potem w *Salonie warszawskim* w III części *Dziadów*. Ale to się musi wydać dziwną rzeczą, że jedynym z młodych romantyków, który wystąpił przeciw artykułowi Brodzińskiego bezpośrednio po jego ukazaniu się i publicznie, był nie kto inny, jak jego najwierniejszy uczeń, najbardziej słowiański romantyk, Bohdan Zaleski.

Wystąpił on, co prawda, nie wprost przeciwko przestrogom Brodzińskiego, nie w obronie niemieckiej romantyki, tylko przeciw zbyt ogólnikowej charakterystyce ludowej poezyi słowiańskiej u Brodzińskiego, jako bezwarunkowo pogodnej. Chodziło mu naturalnie najwięcej o ludową poezyę ruską, którą znał lepiej od Brodzińskiego, którą uważał za swoje dziedzictwo. O tej poezyi Brodziński w *Liście do Redaktora* powiedział bardzo mało, powiedział tylko tyle, że »dumy małorosyjskie... mają więcej od serbskich słodkiej melancholii, pieśni zaś rycerskie więcej mocy i poetycznych obrazów« i w ten sposób zdawał się podciągać je pod ogólną charakterystykę słowiańskiej poezyi. Zaleskiemu się to nie podobało, więc w następnym zeszycie *Dzien. Warsz.* (z czerwca 1828) w przedmowie do *Damiana* postanowił na przestrogi Brodzińskiego odpowiedzieć delikatnem sprostowaniem jego poglądów na charakter poezyi słowiańskiej.

Oświadczywszy przy końcu przedmowy, że musi usprawiedliwić się jeszcze z jednego najcięższego zarzutu,

tak pisał: »Tło powieści o Damianie jest za posępne w porównaniu z poezyą ludów słowiańskich, jakiej nam piękny obraz i wzory ogłosił niedawno drukiem Kazimierz Brodziński. Oddawna już ja polubiłem wszelakie bez względu pieśni narodowe. Czuję także męską pogodę, prostotę, spokojność rolniczą i tysiączne ujmujące przymioty w owych kwitnących, pełnych czucia i natury natchnieniach ludów słowiańskich, odrębnych, jak ich dzieje, obyczaje i zwyczaje, od innych europejskich. Mimo atoli uderzającej wspólności wszystkich między sobą, widoczne są także i różniące niektóre cechy. Zależą one zapewne od różnego klimatu, miejscowości, sposobu życia mieszkańców, tudzież wielu moralnych i politycznych okoliczności«... Otoż na te różnice poeta powinien bardzo uważać, a takie różnice zachodzą także i w pieśniach ruskich. I one »chociaż podobne do siebie pod względem dyalektu i prozodyi, co do poetyckiego ducha i formy, oraz miejscowych odcieni, nieskończenie się różnią. I tak podolskie, a mianowicie poberezkie, wesołe i pogodne, zbliżają się do serbskich; chełmskie, wołyńskie i galicyjsko-ruskie częścią do Krakowiaków a częścią do czeskich, nieco tylko smutniejsze. Litewsko-ruskie zepsute, wynękane i najuboższe, przypominają wszędzie nie swoją ojczyznę. Nie mówię nic o poleskich, białoruskich i t. p. bo te nie są mi wcale znajome«.

»Właściwe dumy ukraińskie, to jest śpiewane po obu stronach Dniepru, od Siczy Zaporoskiej, są najwznioślejsze ze wszystkich słowiańskich. Męskie, swobodne i żywe, pełne obrazów, czucia i zapału, znamionują się prócz tego spokojnem religijnem poddaniem się Opatrzności. — Ależ ustawne najazdy, wojny i rozmaitego rodzaju klęski, jakiemi długo był nękany ten lud stepów i pustyni, musiały usposobić jego imaginacyą do nadzwyczajności, zarazić wielu przesądami i naturalnie wypiętnować w pie-

śniach[1]) a nawet w nucie pewną przerażającą posępność. Z tem wszystkiem sądzę, iż poeta jak najświęciej szanować powinien stan ludu i kraju w epoce, jaką maluje. Przeniesionemu myślą wobec poważnej przeszłości Ojców, nie wolno ani filozofować nad ich postępkami, ni szydzić z łatwych omamień łatwowiernego ich serca. Takim sposobem postępowałem w poemacie moim. Źle zapewne zrobiłem, ale mam za sobą dzieje i podania ludu, a oraz takie już przekonanie o powinnościach poety«.

To wystąpienie Zaleskiego nie miało dostatecznego uzasadnienia, ponieważ fragment *Damiana*, który następował po owej przedmowie, nie dawał wyraźnego powodu do podobnych zastrzeżeń. Był to więc jeden z jego »kaprysów« literackich, bardzo dobrze go charakteryzujący, kaprys, który wskazywał, że wskutek zbliżenia się z Mochnackim, pod wpływem jego gorącej frazeologii, poeta nasz zachwiany był w swojem bezwzględnem zaufaniu w Brodzińskim i chciał okazać pewną niezależność względem swego dawnego mistrza. Podrażniony był przytem niedokładną charakterystyką ludowej poezyi ruskiej, i widział w tem zapewne obniżenie jej wartości.

W tym czasie właśnie, w połowie roku 1826, w dziennikarstwie warszawskiem zaszły pewne zmiany. Wydawca *Biblioteki Polskiej*, przemyśliwając już o zwinięciu tego wydawnictwa, które, zwłaszcza przy istnieniu drugiego pisma literackiego, opłacać się nie mogło i które wkrótce zwinął, objął redakcyę *Gazety korrespondenta warszawskiego. Dzien. Warszawski*, redagowany dotychczas przez Podczaszyńskiego, przeszedł pod redakcyę Ordyńca, który zamierzał rozszerzyć zakres pisma i miał nadzieję, że uczyni je więcej interesującem i zwiększy maluczkie

[1]) W Dzien. Warsz. IV 306 zapewne przez omyłkę wydrukowano: »w pismach«.

grono jego prenumeratorów. Otóż w pierwszym tomie *Dziennika* pod nową redakcyą między innymi utworami poetyckimi ukazał się wiersz Witwickiego p. t. *Ranek*. Na wierszu znać było lekkie naśladownictwo Bohdana Zaleskiego; zresztą wiersz był wysmażony i miał niektóre niezgrabne wyrażenia, jak n. p. »Dzień budzony, brzask nawodzi — I zakrapia świt w obłoki«, albo »Ondzie wzgórek przyklękniony — Kwieciem zlewa się na pola — Zielonemi las ramiony — Jakby w tańcu je okola« i inne. Klasycy, którzy przez cały rok poprzedni w niespokojnem milczeniu przysłuchiwali się publicznie głoszonym pochwałom dla głównych przedstawicieli polskiego romantyzmu, teraz, zachęceni może przykładem Brodzińskiego, sądzili, że dobra nadarza się sposobność do ośmieszenia romantyzmu i obniżenia sławy młodych romantyków. Wiedzieli oni, że ballady Witwickiego były »rozpaczą romantyków«[1], to też poezya jego wydawała się im najlepszym terenem do walki z romantyzmem.

Wkrótce też po ukazaniu się tego wiersza w *Dzien. Warsz.* pojawił się w *Gazecie korresp. warszawskiego* (1826 Nr. 188) list anonimowy do redaktora, zwracający uwagę publiczną na wiersz Witwickiego. List był napisany stylem prostym, naturalnym, dobrze naśladującym rubaszność wiejskiego gospodarza, autor bowiem przedstawiał się, jako wieśniak, obywatel województwa lubelskiego, który już kończy 69 rok życia. Na początku listu mówił o sobie, że z upodobaniem czytywał oddawna pisma peryodyczne, więc jeszcze pamiętniki Świtkowskiego, potem Dmochowskiego, a kiedy ich zabrakło, tęsknił po nich lat dziesięć, od r. zaś 1815 prenumerował »wszystkie Pamiętniki, Wandy, Sybille, Astreje, Lechy, Piasty, Biblioteki, Dzienniki i t. d.« A dalej pisał: »W pismach peryodycznych czytałem z prawdziwem upodobaniem rozmaite

[1] Siemieński. Obóz klasyków 55.

wiersze, już to z poetów moich dawnych stanisławowskich czasów, już też Osińskiego i Koźmiana, którzy teraz z żalem wszystkich, najzdolniejsi do prostowania gustu publiczności i młodych poetów, milczą i obojętnie patrzą na to, co się dzieje z naszą literaturą i poezyą. Zapłakałem nieraz z tkliwym Brodzińskim, rozśmiałem się z bajek Morawskiego i Goreckiego, a lubo nie lubię w wierszach duchów, czarów, baronów, hajdamaków, przyznam się, że mię zajmowały początkowe tak zwane ballady Mickiewicza, Odyńca i Zaleskiego. Myślałem sobie, ci ludzie młodzi, śmieli, nowych dróg szukający, może z czasem wykształciwszy swój styl, staną w rzędzie naszych znakomitych pisarzy. Gdym później wyczytał ich następne prace, zacząłem się gniewać i żałować, że piękne talenta złą drogą się puszczają. Ale ostatni numer *Dzien. Warsz.* już też mię choć starego do ostatniej przywiódł niecierpliwości i do pisania skłonił. Są tam poezye z rękopismów p. S. W. *Ranek* Nr. 1 i 2-gi. Czytałem i odczytywałem i nie zrozumiałem ani słowa. Nareszcie czegom się z nich dowiedział, przytaczam«.

I tu autor listu podawał różne wyjątki z wiersza Witwickiego, między innemi: A dzień budzony brzask nawodzi i świt w obłoki zakrapia. »Kto to zgadnie, co to ma znaczyć? Czy obłoki z kropek się składają, czy się zakrapiają po naszemu, jak to my na wsi zwykli czynić«?... »Z tego com tu WPanu na czele mego listu powiedział, wiesz WPan, że czytałem niemało, a jeszcze mi się nic podobnego czytać nie zdarzyło. Proszę więc WPana chciej mię objaśnić, czy taka jest teraz moda w Warszawie, aby niezrozumiałym pisać językiem; chmury w zawoje przybierać, wzgórkom przyklęknionym kazać zlewać się na pola, a lasom z zielonemi ramionami tańcować i t. d.? Czy nam się Augusta Sasa czasy wracają i czy niezadługo nie wyczytamy nowych panegiryków opartych na herbowych klejnotach? lub czy nareszcie

wiersze są po polsku czy po sanskrycku (bo słyszałem, że ten język ma mieć jakąś analogię z naszym) pisane«?

Rzekomy stary Obywatel Województwa Lubelskiego, w którym można by się domyślać Morawskiego, pomimo iż nazwisko to było w liście wymienione, rzucał tym listem dowcipny pocisk na obóz romantyczny, pocisk, który tem skuteczniej mógł go ośmieszać, że w liście nie czuć było zaciętości stronniczej, ale i owszem zdawała się wyglądać stamtąd bezstronność i życzliwość dla młodych romantyków. Romantykom zrobiło się nieprzyjemnie, potrzeba było cios odeprzeć i oto w parę dni potem (28 listopada) w 190 numerze *Gazety warszawskiej* ukazało się kilka słów odpowiedzi na list Obyw. Województwa Lubelskiego umieszczony w Korrespondencie warszawskim Nr. 188. Autorem tej krótkiej, zaprawnej młodzieńczem oburzeniem i ironią obrony romantyzmu był jeden z kolegów humańskich Bohdana, Józef Chrząszczewski, duszą i ciałem oddany nowym hasłom estetycznym. »Czujemy wprawdzie, — pisał, robiąc alluzyę do 69 lat Obywatela Lubelskiego — jak to niemiło, przeżywszy tyle lat na świecie, z pewnością, że się już wszystko poznało i oceniło, ujrzeć razem(!) nowe drogi, nowe pomysły; jest przecież pewna miara, pewien kres wszystkiemu. Godziż się porwać kilkanaście wierszów, poprzekręcać je nieludzko na prozę, powykładać po swojemu i tak objawić światu, jako utwór tego a tego pisarza. Nie będziemy tu zastanawiać się nad tem, co stanowi poezyą. Kto czytał *Ranek* p. S. W. uderzony był może śmiałością przenośni, ale je zapewnie zrozumiał, zapewnie poznał, że to pisał nie nędzny kompilator, ale taki, który umiał czuć naturę i sam zapatrywał się na nią. Nie jesteśmy wprawdzie za tym zbytkiem nowych i czasem mniej szczęśliwych przenośni, jednak zdaje się nam, że jak inne, tak i język polski może mieć osobną mowę poetów, osobny styl wierszopiski... Co do uwag ogólnych P. Obyw.

Lubel. względem literatury, cóż mamy odpowiedzieć? Że najzdolniejsi do prostowania gustu młodzieży milczą i obojętnie patrzą na to, co się dzieje z literaturą i poezyą, złe to jest zapewnie: nikomu nie godzi się być obojętnym w takim przedmiocie. Ale tak chciały losy: skarało nas niebo Mickiewiczem; musiemy czytać jego zachwycającą *Świteziankę* i *Dziady*, cierpieć pochwały, jakie mu z zapałem wymierzają cudzoziemcy (tu w odnośniku było: Ob. nowe dzieło: Historya języków i literatury słowiańskiej przez Szaffarika) czytać Zaleskiego natchnione pieśni bojańskie i pełne wdzięku legendy Odyńca. O Tempora«!

Ale ta krótka, dorywcza, zbyt młodzieńczo napisana odprawa, nie wystarczała romantykom. Postarano się o drugą. Do *Gazety korresp. warsz.* nadeszła odpowiedź, poważniejsza, o wiele więcej obmyślana, a podpisana literami A. W. Dmochowski, który już pod wpływem niechęci ku Mochnackiemu zrezygnował był z roli pośrednika między klasykami a romantykami i przechylał się stanowczo na stronę, dokąd go natura ciągnęła, nie odmówił wprawdzie przyjęcia odpowiedzi i umieścił ją w numerze 204 swojej Gazety, ale tuż po niej umieścił także i uwagi na tę odpowiedź Obywatela lubelskiego i dał mu w ten sposób ostatni głos w tej sprawie i nową sposobność do natarcia na romantyków.

P. A. W. w odpowiedzi swojej zarzucał Obywatelowi lubelskiemu (o którego wieku podanym przez niego powątpiewał) uszczypliwość i niesprawiedliwość, zarzucał mu, że wymieniając »najzdolniejszych do prostowania gustu publiczności«, obok Koźmiana i Osińskiego nie wymienił Niemcewicza (»nie raczył do udziału tej dyktatury przypuścić«), że nie wymienił także Wężyka, Fredry i Kropińskiego. A cytując ustęp z jego listu o baronach i hajdamakach zapytywał: »Kiedy recenzent tego wszystkiego nie lubi, dla czegóż ballady, w których czary, barony, duchy i hajdamaki najcelniejszą grają rolę, zająć go po-

trafiły? Co znaczą nareszcie te jałowe przycinki, które od 1820 roku po wszystkich pismach peryodycznych kilku nieprzyjaciół rozwijającej się u nas romantycznej poezyi bezustannie powtarza i roznosi, nic swego przeciw temu nie zastawiając«? Następnie uderzał w najsłabszą stronę listu obywatela lubelskiego. »Tu się zadziwić musiemy i napróżno dochodzim, co trzej pomienieni poeci (Mickiewicz, Zaleski, Odyniec) za związek z wierszem pana W... mają? za co ich recenzent tak surowo potępia? w czem oni mu przewinili? Dlaczego nakoniec recenzent częstując nas swoim stanowczym sądem, nie raczy nam jego przyczyny pokazać? Wszakże *Grażyna* i *Dziady*, późniejsze Mickiewicza płody, są nieskończenie wyższe od jego ballad powabnych. Pana Zaleskiego ostatnim płodem są dumy o Damianie Wiśniowieckim i nie wiem, co w nich recenzent niższego znajduje. Co do P. Odyńca, rzecz pewna, że jego drugi tomik nie ma tyle wdzięków i poezyi, co pierwszy: jednak polszczyzna zawsze czysta[1], wiersz łatwy, obrazy i wyrażenia są piękne« a wad bardzo mało.

W końcu swej odpowiedzi p. A. W. zwracał się do redakcyi Gazety Kor. Warsz. i zapytywał ją, dlaczego ona, jeżeli nie chce brać na siebie odpowiedzialności za sądy drukowane w swojem piśmie, nie opatrzyła ich stosownemi uwagami. »Najusilniej go (redaktora) prosiemy, aby raczył dać poznać swojemu korespondentowi, że teraz w Warszawie mało pomyślane zdania przestały opinii powszechnej przewodzić«.

Po tej odpowiedzi p. A. W. następowały uwagi obywatela lubelskiego, już w zupełnie innym tonie trzymane, niż jego list, który tę kampanię wywołał. Były one po części usprawiedliwianiem się, po części uzasadnianiem poczynionych zarzutów. Bezimienny obywatel przyznawał się do błędu, że opuścił nazwisko Niemcewicza i dzięko-

---

[1]) Redakcya Gazety postawiła przy tym wyrazie znak zapytania.

wał za wytknięcie tej omyłki. Uszczypliwym wcale być nie chciał. »Mówiąc o tem, co mi się podobało, a co nie podobało, szedłem za prostem natchnieniem mego serca i sądem mojego smaku, nie myślałem docinać nowej szkole romantycznej, bo jeszcze miałbym wiele do powiedzenia czyli utwory u nas zwane romantycznemi na to nazwisko i na imię szkoły zasługują. Oceniam ja talenta pp. Mickiewicza, Odyńca i Zaleskiego, ale wyzwany, abym się obszerniej tłumaczył, powiem, że podług zdania najpierwszych sędziów gustu tak nowszych jak starożytnych, nie dosyć jest zabłysnąć w jakim szczególe, nie dosyć pokazać, że kto ma talent, trzeba umieć go użyć, trzeba go uczynić użytecznym dla własnej chwały, dla chwały literatury. Cóżby powiedziano o kupcu, któryby same próbki materyi miał w swoim sklepie a żadnego wyrobionego nie pokazał postawu? Wtenczas talent jaśnieje całym blaskiem, kiedy dzieła, jego utworu będące, nietylko mają szczegóły piękne, ale piękną tworzą całość... Tak i w pracach PP. powyżej wspomnionych, do tego czasu nie widać wykończenia, nie widać dobrego ogółu. Ponieważ pod tym względem pierwsze ich utwory więcej mię zadawalniały, aniżeli następne, oświadczyłem mój żal z tego powodu. Kogoż w Dziadach Mickiewicza, obok pięknych myśli i wierszy, nie uderzy dzikość pomysłu? czyliżby te same myśli i wiersze nie wyglądały lepiej w innej formie? Któż nie przyzna, że ostatnia duma o Damianie przez P. Zaleskiego nie grzeszy rozwlekłością; że w niej nie nazbyt szczęśliwie powtórzył myśli z ukraińskich śpiewek i że ona nie ma ani prostoty pieśni ludu, ani wykształcenia tegoczesnej poezyi? — Co za związek mają ci panowie z poezyami p. S. W.? — bardzo prosty, gdyż w poezyi *Ranek*, która do naszych rozpraw stała się powodem, widać wyraźnie naśladowanie ich stylu, a szczególniej p. Zaleskiego, z tą tylko różnicą, że u niego liczne

piękności okupują ciemność i brak precyzyi wyrażeń, a tu same błędy naśladowano«.

W końcu swoich uwag Obywatel lubelski zwracał się i do Chrząszczewskiego, odpowiadając na jego atak w *Gazecie Warszawskiej* i podnosił znaczenie dykcyi t. j. formy w poezyi. »I nasi młodzi poeci tak zwani romantyczni o tyle są poetami, o ile piękność myśli z pięknością wyrażeń pogodzić umieli«.

Polemika wywołana listem obywatela lubelskiego obudziła wielkie zajęcie wśród młodzieży warszawskiej, uczyniła sprawę romantyzmu jeszcze więcej wśród niej popularną. Hasła romantyczne przenikają do szkoły podchorążych, kojarzą się z jej duchem opozycyjno-patryotycznym i stają się podnietą do założenia organu literackiego tej szkoły bezpośrednio zaraz po owej polemice. Tym organem była wydawana przez N. F. Żabę *Chwila spoczynku*, pismo, które było studencką próbą naśladowania dzienników literackich, umieszczało mocno romantyczne ballady, jak n. p. ballada *Upiór* z mottem, wziętem z Mickiewiczowskiego *Upiora*, a choć istniało bardzo krótko, odegrało jednak pewną rolę w warszawskiej walce klasyków z romantykami.

W każdym numerze *Chwili*, która od początku stycznia 1827 co dni 10 wychodziła, był kącik humorystyczny p. t. *Echo*, poświęcony przeważnie sprawom literackim. Otoż w pierwszym takim kąciku był ustęp, zawierający alluzye do wystąpienia Obywatela lubelskiego i odprawy, jaką mu dano. Alluzye, rzecz charakterystyczna dla pisemka, czerpały materyał allegoryczny z życia wojskowego. »W Wiedniu ma się zawiązać Towarzystwo Filoromantyków w ciągu bieżącego roku. Celem tego Towarzystwa ma być wspieranie Romantyków Polskich przeciw najazdom tak zwanych *per excellentiam* Stronników klasyczności, których przednią strażą, ileśmy słyszeli, dowodzić ma Pan ..... Patryarcha klasyczności. — Utrzymują niektó-

rzy, że jest rodem z Polski, z Województwa Lubelskiego, ale inni przeczą temu«. A nieco niżej była podana wiadomość: »Pan.... dowódzca przedniej straży stronników klasyczności napadł niespodzianie d. 25 listopada r. z. na Romantyków; byłby ich na głowę poraził, gdyby mu położenie miejsca dozwoliło było użyć lekkiej artylleryi dowcipu. — Dnia 21 grudnia t. r. stronnicy Romantyczności, korzystając ze złego położenia nieprzyjaciela, tak dzielnie na Patryarchę uderzyli, że go do kapitulacyi zmusili«. W przypisku dodano: »Ta wieść jest prawdziwa. — W pomienionych dniach odgłosy dział literackich aż do naszej stolicy doszły« [1]).

Sprawę Obywatela lubelskiego przedstawiłem tak obszernie nie tyle dlatego, że ona jest pewnym epizodem z walki warszawskich romantyków z klasykami, ile że odbiła się donośnem echem w korespondencyi Zaleskiego i wywołała, bardzo zajmujące i charakterystyczne jego wynurzenia. Zaleski, przebywając wówczas w domu Szembeka, w Rawie, nie czytywał gazet codziennych i nie wiedział o tej sprawie, ale dowiedział się wkrótce o niej przypadkiem, w podróży na Szląsk, którą odbywał zapewne w jakimś interesie swego pryncypała. Jak to się stało i jakie wrażenie na nim ta sprawa uczyniła, opowiedział to zaraz po powrocie z podróży najbardziej interesowanemu w tym sporze, a zarazem najlepszemu przyjacielowi, jakiego miał wówczas w Warszawie, Stefanowi Witwickiemu. W liście tym (z datą 1 lutego 1827 r.) tak doskonale maluje się temperament poety i ówczesne jego usposobienie, że go prawie w całości przytaczam. Jest to jakby autoportret jego literacki z owych czasów.

»Kochany Stefanie! Pośpieszam ci donieść, żem onegdaj powrócił ze Szląska; a pośpieszam dlatego, abyś mię nie winił za to, żem nie odpisał na twój list dawniejszy, który

---

[1]) Chwila spoczynku. Warszawa 1827, str. 27—28.

dziś dopiero tu, w Rawie, w ojczyźnie, przeczytałem. Ale powiesz, cokolwiekbądź, mogłeś napisać do mnie z krajów niemieckich. Nie mogłem. Przysięgam na Styx, na progi, nie mogłem. Oprócz bowiem wielu pięknych, jak wiadomo, przymiotów, posiadam z łaski Boskiej i ową wielką cnotę narodową, leniwstwo. Dobrze mi z niem bardzo. Przyjaciele moi, chociaż z tego względu mniej niżeli ja patryoci, wszelako są wyrozumiali, a może w gruncie serca i sympatyzują nawet ze mną.

»Nie tę wszakże jedną tylko cnotę narodową posiadam, powiedziałem już wyżej, oprócz wielu pięknych przymiotów. Na przykład szczycę się jeszcze najzimniejszą obojętnością, jaką ty pochlubić się wcale nie możesz. Cóż powiesz? Czytałem wszystkie krytyki o tobie i o mnie. Ale pozwól mi przyjść do narracyi historycznej, abym o tej [sprawie] obszerniej i jaśniej napisał. Trzeba ci naprzód wiedzieć, że oddawna oprócz świątobliwej *Etoile*, żadnej innej gazety, nawet *Kuryera* nie czytam. Nie dbam, czy horyzont literacki i polityczny, chmurny czy pogodny, kiedy mam ciepły kominek i wesołe okienko, otwierające widok na piękne strony rodzinne i na piękniejsze jeszcze strony niebios i księżyca. Przy tym acz bezcelnym, niedokończonym widoku, żyję zwykle wśród tkliwych pamiątek lub śnię o lepszej nieziemskiej przyszłości. Tym sposobem zapomniawszy o świecie, nie myślę, że są ludzie, co żyją inaczej, co nie mają wspomnień, co nie śnią o niczem, ale czuwają za nas i nad nami.

»Zboczyłem od rzeczy. Przy końcu grudnia wyjechałem do Szląska. Przebywszy we trzech dniach piaski Piotrkowskie, Sieradzkie lasy, na weselszych Wieluńskich błoniach stanąłem nareszcie na nocleg, nb. nie na błoniach, ale we wsi na poczcie. Aby jakoś zabić długie godziny wieczorne, porwałem kilkadziesiąt numerów Gazety Korrespondenta. Przerzucam, znajduję ze starej daty jakąś nad podziw nierozsądną recenzyę twego wiersza i przy-

tem smaczny upominek dla siebie. Patrzę na podpis: siedemdziesięcioletni starzec z Lubelskiego. Winszuję mu. Przerzucam dalej, znajduję lepsze uwagi p. A. W. i zaraz odpowiedź starca[1]). Przerzucam jeszcze i jeszcze głupie kłótnie Dmochowskiego etc., etc. Cóż ja na to? — zapytasz. Chwilka cierpliwości! Nic, niech piszą. Marzyłem ja niegdyś za lat pacholęcych, jak mi to będzie gorzko, jeśli mię krytyk jakiś wyburczy, a tymczasem dziś surowo naganionemu nie jest ani gorzko, ani słodko. Zupełnie dobrze jadłem, piłem i śmiałem się, aż pókim nie usnął. Nazajutrz rano żegnam i moją Gazetę i Wieluńskie. Śród wielu przyjemnych wrażeń, doznanych na widok kwitnącego Szlązka, zgadnij, jaka myśl przeleciała, takoż mimowolnie, przez głowę. Oto pomyślałem. Dzięki Bogu, nie jestem już w kraju barbarzyńskim. Tu literaci czytają zapewne Szerera, Engiela i wiedzą, co jest Ukraina. Wiedzą, iż sześć milionów ludzi, mających długo swój byt, prawa, obyczaje, pieśni, swoich bohaterów, dziejopisów, hajdamakami zwać nie można itd. itd. Śmiałem się potem znowu i przez cały mój pobyt tak na wsi, jak w Wrocławiu, miałem najlepszy humor. Wierz mi, ani razu nie pomyślałem o naszych głupich krytykach. Latałem, trzpiotałem się, kupowałem drogo niepotrzebne rzeczy, aby nie zmieniać opinii Niemców o Polakach. Jeżeli nie zapłakałem nad Odrą, to domyślisz się, dlaczego. Mój Stefanie, wszystkie recenzye są głupstwem! Ale chciałbym, abyś widział wrocławskie kościoły. Jakie stare, uroczyste, wspaniałe! Gdybyś w nich, przy odgłosie tamtejszych organów, nie ryczał jak dziecko, miałbym cię nie wiem za co! Miałbym

---

[1]) W Korresp. Zaleskiego T. I, str. 15 wydrukowano: »uwagi pana A. Wiczera, odpowiedź starca«. Zdaje mi się jednak, że tekst podany jest tutaj błędnie, a błąd pochodzi zapewne ze złego odczytania autografu, który musiał być bardzo niewyraźnym, skoro Zaleski w przypisku powiada: »Jeśli ten list przeczytasz, możesz śmiało z Szampolionem młodszym decyfrować hieroglify egipskie«.

cię za zimniejszego i nikczemniejszego od wszystkich starych i młodych Arystarchów naszych....

»Niech się święcą obojętność i leniwstwo, one mię uszczęśliwiają na ziemi! Z tem wszystkiem, gdyby stary Lublinianin lub kto inny gromniał jeszcze raz o hajdamakach, donieś mi natychmiast. Nie mogę być obojętnym dla ziemi, na której rodziłem się, którąm ukochał i której bronić obowiązany jestem. I tak gotuję rys historyczny, tudzież o obyczajach, zwyczajach i pieśniach ludu ukraińskiego, znajdę tedy sposobność do wyłajania nikczemników. — Śmiej się z krytyków«.

W liście tym oprócz własnej charakterystyki poety, trafnej, pełnej wdzięku swawolnego i humoru, dwie rzeczy, dwa uczucia wypływają na wierzch i zwracają na siebie szczególną uwagę czytelnika: chęć pocieszenia przyjaciela, zatarcia w nim przykrych wrażeń, jakich niewątpliwie musiał doznać czytając list Obywatela lubelskiego i późniejszą jego replikę; i nadzwyczajne podrażnienie na pewne wyrażenia tego anonima, podrażnienie wcale nie licujące z wygłaszaną przez Bohdana, i to bardzo szczerym tonem, obojętnością na głosy krytyki. Pierwsze z tych uczuć, świadczące o dobrem sercu i serdecznej przyjaźni Bohdana dla nieszczęśliwego autora ballad, jest tak zrozumiałe, że nie ma potrzeby zastanawiać się nad niem. Ale drugie wymaga wyjaśnienia.

Były w słowach Obywatela lubelskiego pewne zarzuty, wyraźnie zwrócone przeciw Zaleskiemu, i dodajmy — niezupełnie pozbawione słuszności, jak n. p. że jego duma o Damianie grzeszy rozwlekłością, albo że »wtenczas talent jaśnieje całym blaskiem, kiedy dzieła, jego utworem będące, nietylko mają szczegóły piękne, ale piękną tworzą całość«, co przedewszystkiem mogło odnosić się do Zaleskiego, którego dwa nieco większe utwory były tylko fragmentami. Ale nie to go podrażniło, nie to go pobudziło do gniewu i do rzucania dosadnych epite-

tów na przeciwnika i cały jego obóz. Pobudką oburzenia był jeden tylko wyraz »hajdamaki«, dowcipnie ale wcale niewinnie użyty przez lubelskiego krytyka w zestawieniu z wyrazami: »czary, duchy i barony«. Obywatel lubelski, mówiąc, iż nie lubi w wierszach »duchów, czarów, baronów, hajdamaków« miał widocznie na myśli między innemi balladami i balladę Witwickiego *Sługa i Pan albo wdzięczność*, która opowiadała, jak wierny Grzegorz Rusin uratował, podczas rzezi humańskiej, synka swego pana z rąk hajdamaków, i jak ten syn po wielu latach odwdzięczył się potem Grzegorzowi, ratując go tonącego. Tendencya ballady była bardzo moralna, ale jej strona artystyczna, najniedołężniej wzorowana na *Powrocie taty* Mickiewicza, sprawiała nieraz niezamierzone przez poetę komiczne wrażenie. Oto jak tam wyglądają hajdamacy:

I w rząd za stołem siedzieli,
I łokciami się podparli,
Ręce krwią ociekłe mieli,
I wściekłe oczy wywarli,
Pili i znów nalewali,
Z zabójstw się swych przechwalali.

Że takich hajdamaków Obywatel lubelski nie chciał mieć w poezyi, trudno mu mieć za złe. Ale Bohdan, który dorywczo, bez roztrząsania szczegółów, czytał *Gazetę Korrespondenta*, niezrozumiał niewinnej intencyi autora listu i pod wpływem chwilowego zaćmienia uwagi podsunął mu myśli, których on najpewniej nie miał, a które w istocie mogły w wysokim stopniu podrażnić patryotyzm ukraiński naszego poety. Oto ponieważ Obywatel lubelski bezpośrednio po oświadczeniu, że nie lubi w wierszach »duchów, czarów, baronów, hajdamaków« przyznawał się, że mimo to zajmowały go »początkowe tak zwane ballady Mickiewicza, Odyńca i Zaleskiego«, więc nasz poeta wyobraził sobie, że użyty w liście Obywatela lubelskiego wyraz »hajdamaki« odnosi się nie do autentycznych haj-

damaków Witwickiego, a przynajmniej nietylko do nich, ale i do wszystkich jego, Zaleskiego, bohaterów dum i fragmentów, Kosińskich, Wyhowskich, Bieniawskich, Mazepów, Wiśniowieckich itd. jednem słowem do całej Ukrainy kozackiej, którą on ukochał, którą miał za ściślejszą swoją ojczyznę, za której przedstawiciela i obrońcę uważał siebie. I stąd to poszło jego oburzenie na »starego Lublinianina«, stąd narzekanie na kraj barbarzyński, w którym nie wiedzą tego, o czem Niemcy wiedzieć muszą z dzieł Engela i Scherera, nie znają historyi Ukrainy. On sam, jak to wiemy z korespondencyi jego z Grabowskim, jeszcze przed podróżą szląską gromadził materyały do tej historyi [1]).

W parę tygodni po tym liście, a był to czas karnawału, przyjechał Zaleski do Warszawy na dni kilka, aby — jak pisał o tym przyjeździe potem — »jak wiatr bez śladu, bez znaku, przewinąć się, pokręcić po Warszawie i zniknąć« Każdy przyjazd taki był miłą rozrywką w jego jednostajnych zajęciach nauczycielskich, a kilka dni wśród ożywionych rozmów z młodymi przyjaciółmi-literatami mijały, jak jedna chwila. Do najbliższego grona przyja-

---

[1]) Do tych materyałów należały niewątpliwie i wspomniane dwie książki: »Geschichte der Ukraine und der ukrainischen Cosaken wie auch der Königreiche Halitsch und Wladimir verfasset von Joh. Christian v. Engel, Halle 1796 4°« i »Annales de la Petite-Russie ou Histoire des Cosaques-Saporogues et des Cosaques de l'Ukraine ou de la Petite-Russie, depuis leur origine jusqu'à nos jours; suivie d'un abrégé de l'Histoire des Hettmans des Cosaques et des Pièces justificatives: traduite d'après les Manuscrits conservés à Kiow, enrichie des notes, par Jean-Benoist Scherer, pensionnaire du Roi etc. Paris 1788. Tomów 2. Pierwsza z tych książek była pisana z pewną metodą krytyczną i miała na swój czas wartość naukową, druga godna uwagi jest z tego względu, że bez wszelkiej krytyki czerpała z bajecznych mniszych czy kozackich kronik i że w wielu ustępach okazuje widoczne pokrewieństwo ze sławną *Historyą Russów* pseudo-Koniskiego, która dopiero w 40 lat po niej, i to jeszcze w rękopisie, ukazuje się na horyzoncie literackim w Rosyi.

cielskiego Bohdana w tych czasach w Warszawie obok dawnego druha Witwickiego, obok Maurycego Mochnackiego, z którym od czasu wychodzenia *Dziennika* w ściślejsze wszedł stosunki, należał Odyniec, który jeszcze pod koniec 1825 r. nakrótko zawitał był do Warszawy, a w roku następnym przeniósł się był na stałe mieszkanie do tego miasta i był jednym z najzapaleńszych miłośników tańca i płci pięknej na salonach warszawskich, najruchliwszym przedstawicielem romantyzmu na ulicach Warszawy, najzajadlejszym bojownikiem nowej szkoły estetycznej na literackich obiadach u generała Krasińskiego, gdzie, jak wiadomo, przy pieczeni zasiadali naprzeciwko siebie ludzie różnych obozów literackich i gdzie gospodarz znajdował szczególną uciechę w podbudzaniu jednych przeciw drugim.

Odyniec jeszcze w r. 1825 poznał się był z Zaleskim, którego imię już wtedy było znane. Sam on powiada, że kiedy poraz pierwszy z daleka ujrzał wieże Warszawy, pierwszą jego myślą było, że w niej Niemcewicza i Zaleskiego zobaczy[1]. Pierwsze odwiedziny swoje u autora *Rapsodu rycerskiego* opowiedział w liście do Ignacego Chodźki z datą 14 grudnia 1825, a chociaż list ten jest krzyczącym falsyfikatem z lat późnych[2], wszakże pamiętnikowego znaczenia nie traci, bo i wprowadzone do prawdziwego listu dodatki opierały się na wspomnieniach

---

[1]) Wspomnienia. 411.

[2]) Że jest falsyfikatem t. j. listem przerabianym z prawdziwego na piękniejszy i pełniejszy, świadczy o tem choćby następujący szczegół. Odyniec donosi Chodźce na Litwę, że opowiadał o nim Zaleskiemu, jak on, Chodźko, płacze deklamując: »Świat omamień mych pomału — Niknie z senną mar drużyną«. Stąd wynikałoby zatem, że już przed grudniem 1825 duma ta była drukowana i znana na Litwie, tymczasem ukazała się ona w druku poraz pierwszy w styczniu 1826 r., o czem Odyniec widocznie nie pamiętał, wprowadzając to upiększenie do swego listn.

Odyńca. Można więc do pewnego stopnia korzystać z tego materyału biograficznego, można wierzyć Odyńcowi, że Bohdan tak w owych czasach wyglądał i takie zrobił na gościu wrażenie, jak to ów list przedstawia. »Dowiedziawszy się o adresie, pisze on tam, poszedłem wczoraj do niego sam jeden. Z bijącem sercem zapukałem do drzwi. Pisał coś stojąc przy prostem niemalowanem biórku, w króciutkim jakimś szarym surduciku. Postrzegłszy nieznajomego, pytał zda się wzrokiem, co powiem? Ale zaledwo powiedziałem, kto jestem, rzucił pióro i wyciągając ręce, powitał takiem uprzejmem, mimowolnem: »A« — jakbym na przykład ja ciebie, gdybyś niespodzianie wszedł do mnie. — Miły, dobry, kochany, prawdziwy filarecki koleżka«.

Wyborny to obrazek, jakich mnóstwo z życia współczesnych młodych poetów zostawił nam Odyniec i już za to warto być pobłażliwym dla jego wielu słabości. Ale nie na tem koniec, znajdujemy w tym liście jeszcze inne rysy do portretu młodego Bohdana. Nie było w nim, według Odyńca, — a chętnie temu wierzymy — ani cienia fumy literackiej, która w tutejszych laureatach postrzegać się dawała. »Szczery, prosty, serdeczny, ożywiony w rozmowie; śmieje się głośno, ręką pocierając włosy; słucha z zajęciem, opowiada z uczuciem, — znać że nie pamięta o sobie. Jednem słowem prawdziwy Filaret; to też i kocham go jak Filareta. A chcesz wiedzieć, jak wygląda na oko? — Niższy nieco wzrostem odemnie; blondyn, kształtny, zgrabny, ruchawy; wzrok i uśmiech łagodny; twarz pełna życia i pociągająca. Jak wewnątrz, tak i zewnątrz — poeta«.

Odyniec był miłym, wesołym towarzyszem, dobrym koleżką, zapalonym wielbicielem poezyi romantycznej, młodzieńcem, przesiąkniętym atmosferą filarecką, ale jego przerażająca płytkość, a z nią w parze idąca próżność i snobizm literacki, jak nie pozwalały mu nigdy, pomimo

szczególnie sprzyjających okoliczności, zlewać się duchowo z Mickiewiczem, tak i w stosunkach z Zaleskim stały na przeszkodzie zawiązaniu tak serdecznych węzłów, jakie wiązały Bohdana z Witwickim lub Mochnackim. Choć obaj żywego temperamentu, obaj zamiłowani w poezyi, stanowili jednakże w stosunku do niej zupełne przeciwieństwo. Dla Zaleskiego poezya była kochanką, z którą najmilej mu było żyć sam na sam. Dla Odyńca ta kochanka tyle miała wartości, ile ją mógł pokazywać cudzym oczom i w cudzych ustach znajdować dla niej pochwałę. Nie było w Odyńcu nic a nic własnego ducha, własnej indywidualności, z własnych wrażeń i doświadczeń dobytych poglądów i uczuć; nic z tego, co nadaje szczerość poezyi, zato wielka zdolność do zręcznego przyswajania sobie obcych form, i pod tym ostatnim względem Odyniec znacznie przewyższał Witwickiego. Ale Witwicki miał w sobie zadatki własnej indywidualności i umiał po kilku latach wyzwolić się z poddaństwa duchowego, w jakiem zostawał, umiał znaleźć siebie i wznieść się do szczerości poetyckiej. Odyniec nigdy siebie nie znalazł; poezya jego przez całe życie była zręczną robotą na wzór obcy i na pokaz dla świata.

Mochnacki był młodzieńcem, zupełnie odmiennym od trzech przyjaciół, o których tu mowa. Poetą, w zwykłem znaczeniu tego słowa, to jest jako piszący wiązaną mową, nie był i nie rościł sobie do tego pretensyi, nie próbował, o ile nam wiadomo, zaplatania rymów, co przy jego zdolnościach i przy tak powszechnem wówczas i tak zwyczajnem zawsze u młodzieży wspinaniu się do zrywania laurów poetyckich, mogło już świadczyć o jego samodzielności. Ale był o tyle poetą w duszy, że miał głębokie poczucie piękności, a przytem miał namiętny temperament, gorącą wyobraźnię i polot słowa, jakiego nikt przed nim w świeckiej prozie polskiej nie rozwinął. Filozofia niemiecka, a w szczególności Schellinga, otwierając przed nim nieskoń-

czone horyzonty metafizyczne, zawróciła mu trochę głowę i pobudzała do mętnej frazeologii, ale jeżeli nie zdołał jej przetrawić i dojść do samodzielnych poglądów, to znów nie można zapominać, że nie miał na to czasu, bo w 26 roku życia rzucał pióro dla pałasza, estetykę i krytykę dla polityki, dla tworzenia historyi, a kiedy w rok potem wyłącznie oddał się pisaniu, to przedmiotem tej pracy była już nie estetyka, nie literatura, ale ta świeża, drgająca jeszcze życiem historya, którą, dzięki swemu temperamentowi, przeżył daleko silniej i burzliwiej, niż ktokolwiek inny.

Ale wracając do Odyńca, różnice, jakie pomiędzy nim a Bohdanem zachodziły, nie występowały wyraźnie, przynajmniej w początkach znajomości, zacierały się łatwo w życiu towarzyskiem, przy wspólności interesów, sympatyi i antypatyi literackich. Odyniec zresztą był bardzo pożądanym towarzyszem i korespondentem, jako ten, który wszędzie bywał, wszystko wiedział, wszystkiem się interesował, szczególnie tem, co w związku z literaturą zostawało i miał zawsze spory zapas wiadomości do udzielenia. Co mu zaś nadawało najwięcej znaczenia w oczach warszawskich romantyków, to jego bliski stosunek z Mickiewiczem, korespondencya, którą stale z nim prowadził, dzięki której stawał się on pośrednikiem pomiędzy mistrzem poezyi romantycznej a jego gorącymi wielbicielami warszawskimi.

Odgrywał on taką rolę i wobec Zaleskiego. Mickiewicz jeszcze w lutym (22 st. st.) 1826 dowiedziawszy się o podróży Odyńca do Warszawy, prosił go, aby mu dał wiadomość o tamtejszych literatach, w szczególności o Niemcewiczu, Brodzińskim i Zaleskim [1]. Może ta wzmianka, której Odyniec niewątpliwie nie zataił przed Zaleskim dała temu ostatniemu pochop do napisania w ciągu 1826

[1]) Korr. Ad. Mickiewicza IV, 83.

roku listu do swego dawnego mentora humańskiego, Jeżowskiego, który razem z Mickiewiczem przebywał w Moskwie, i do umieszczenia w liście kilku wielbiących wyrazów dla autora *Ballad* i *Dziadów*. Za te wyrazy wywdzięczył się Mickiewicz w liście do Odyńca z października tegoż roku, gdzie pisał: »P. Józef Zaleski w liście do Jeżowskiego uczynił pochlebną o mnie wzmiankę; podziękuj mu za pamięć i oświadcz, że mi najmilej było zabrać, choć uboczną i listową znajomość z tym, którego talent wysoki oddawna cenię i uwielbiam«. Uwiadamiał też w tym liście Odyńca, że czytał z »wielkiem upodobaniem« poezye Zaleskiego, i prosił Odyńca, aby mu przysłał dokończenie *Damiana*, gdy się ukaże w *Dzienniku*, »jeśli nie możesz całego numeru, choć kilka tych kart wydartych« [1]. Gdy następnie w tymże roku 1826 wyszły w Moskwie *Sonety*, jeden z egzemplarzy, przesłanych do Warszawy, przeznaczał dla Bohdana, a gdy w roku następnym, straciwszy już nadzieję prędkiego powrotu do kraju, chciał się przynajmniej otoczyć »cieniami« osób znajomych »kochanych« i nieznajomych, które szacował, a które poznać mało miał nadziei, obok portretów Lelewela, Niemcewicza i Brodzińskiego, prosił Odyńca także o wystaranie mu się portretu Zaleskiego. I w innych listach Mickiewicza do Odyńca, wcześniejszych i późniejszych, nie brak wzmianek o Zaleskim, które świadczą, jak mu się podobała jego poezya, np. ta wzmianka, gdy mówiąc o Gosławskim, że niektóre jego strofy są godne Zaleskiego, dodawał w nawiasie: »a to u mnie wielka pochwała« [2].

W tych czasach, kiedy Zaleski wpadł do Warszawy na kilka dni karnawałowych, ażeby jak wiatr przewinąć się, pokręcić i zniknąć bez śladu, wielka nowina literacka

[1]) Tamże IV, 87.
[2]) Tamże IV, 98.

rozbrzmiewała w Warszawie: ukazały się były w tem mieście *Sonety* Mickiewicza, wydane w końcu roku ubiegłego w Moskwie. Jeżeli *Dziady* były czemś bardzo niepodobnem do *Ballad*, po których następowały, i wskutek tego tem większe wywoływały zadziwienie, któremu towarzyszyło zgorszenie lub zachwyt, to i *Sonety*, może jeszcze więcej od *Dziadów* niosły w sobie elementu zadziwiającego, jeszcze bardziej różne były od poprzedzającej twórczości Mickiewicza. A zadziwiały nietylko nową, wyłącznie obraną przez poetę formą poetycką, zastosowaną do rozmaitych tematów, nietylko oryentalizmem w obrazach, stylu i języku *Sonetów Krymskich*, oryentalizmem, który w całym przepychu barw swoich poraz pierwszy pojawiał się w poezyi polskiej, nietylko niespodziewanymi po *Dziadach* akcentami pewnego libertynizmu w Sonetach miłosnych, ale nawet swoim niezwykłym, jakby do hyperboli oryentalnej zastosowanym formatem dużego in quarto, tak bardzo odbijającym od małego formatu pierwszych dwu tomików poezyi Mickiewicza.

Jakie wrażenie wywarły w sztabie klasyków, Siemieński to dość szeroko opowiedział [1]; tu dość będzie przypomnieć, że Mostowski je nazwał »paskudztwem«, a Kajetan Koźmian po ich przeczytaniu wpadł w formalne delirium, gdy pisał do Morawskiego, że wszystko w nich »bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie«. Nie wiedząc jak inaczej wywrzeć swoją wściekłość na Mickiewiczu, porównał go z komiczną figurą Marcinkowskiego, który wraz z swoją poezyą służył za zwykłe pośmiewisko na literackich obiadach generała Krasińskiego i Koźmian oświadczał, że Sonety Mickiewicza »sto razy gorsze, niż wszystkie Marcinkowskiego płody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek, wypu-

[1] Obóz Klasyków Dzieła V, 67—70.

szczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien; Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach jest płaski i ckliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginacyę ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzille lubelskie; Mickiewicza niesforny zapał rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki i t. d.« Delirium było stanowcze; Koźmian ani się spostrzegał, jak we wściekłości swojej stawał się romantykiem.

Morawskiemu, który z całego sztabu klasycznego, miał umysł najbardziej otwarty, najbardziej dla nowych prądów przystępny i najmniej zawiści autorskiej w sercu, ten list Koźmiana wydał się »okropnym«, ale wzgląd na przyjaciela, który formalnie chorował na wstręt do Mickiewicza, zapewne także wzgląd na Osińskiego, którego Morawski nie lubił, ale którego jadowitości bał się, nie pozwalał mu przyznać *Sonetom* więcej nad to, że są tam wiersze »godne największych poetów, lecz naturalnie, te perły tak są obryzgane błotem, iż ledwie ich dostrzedz można«. Miał więc i sumienie spokojne i jako tako zazapewniony spokój od współsztabowców obozu klasycznego.

Dmochowski, który do sztabu klasyków nie należał i nie był tam lubiony z powodu, iż nie odpychał stanowczo romantyzmu i uznawał geniusz Mickiewicza i który najwięcej zbliżał się do środkowego stanowiska Brodzińskiego, wystąpił z recenzyą *Sonetów* przy zamykaniu *Biblioteki Polskiej*, a w tej recenzyi dając upust niechęci swojej dla Mochnackiego, który go przedewszystkiem ubódł odróżnianiem poetów od wierszopisów, nie zaprzeczał natchnienia w *Sonetach Krymskich* Mickiewicza, ale starał się wykazać, jakie to nieszczęście, że będąc poetą,

Mickiewicz nie chce być wzorowym wierszopisem, i jakie to straszne następstwa ściągnąć mogą *Sonety* na literaturę polską, gdy młodzież »łatwo dająca się uwodzić błyskotkami«, rzuci się do ich naśladowania. »Oto przyłożyć się mogą do zagubienia się właściwego ducha narodowego naszej poezyi, którego stworzył Kochanowski, którego obudził Karpiński i Kniaźnin, którego w Wiesławie, dumkach i pieśniach rolników polskich wznowił Brodziński, a którego najpiękniejszym płodem będzie może *Ziemiaństwo* Koźmiana«. Ten ostatni zwrot był kroplą miodu dla uśmierzenia strasznych boleści, wśród jakich wił się Koźmian na widok rosnącej sławy Mickiewicza. Ta sława była dlań widmem, zapowiadającem zupełny przewrót w literaturze polskiej, trzęsienie ziemi literackie, po którem z Ilionu klasycznego gruzyby tylko zostały. Co się tyczy Dmochowskiego, jego recenzya ze zwrotem do Koźmiana przesuwała go stanowczo do obozu, do którego on z usposobienia swego oddawna powinien był należeć.

W gronie młodych romantyków warszawskich, które zwiększyło się chwilowo przyjazdem Bohdana Zaleskiego, zadziwienie wywołane *Sonetami* było nie mniejsze, tylko zadziwieniu towarzyszył zachwyt dla nowych, niespodziewanych czarów poezyi Mickiewiczowskiej. Wszakże trzeba zaznaczyć, że zachwyt nie obejmował wszystkiego bez wyjątku, że były rzeczy niektóre w *Sonetach*, mianowicie miłosnych, które i ich raziły, które, gdyby mogli, chętnieby dla chwały swego mistrza usunęli z widoku publicznego. Już podczas krótkich, karnawałowych odwiedzin Bohdana w Warszawie, kiedy zapewne głównym przedmiotem rozmów w ich gronie były świeżo nadesłane *Sonety*, utyskiwał Mochnacki na kilka *Sonetów*. Można się ich łatwo domyśleć. *Dobranoc*, *Do Wizytujących*, *Pożegnanie* i parę innych, były wyrazem zmysłowych uczuć, które w poezyi Mickiewicza po *Dziadach* wydawały się bluźnierstwem

i niemal świętokradztwem, popełnionem na ołtarzu miłości romantycznej.

Bohdan po krótkich odwiedzinach przyjaciół, zabrawszy z sobą egzemplarz *Sonetów* do Rawy, dopiero w głuszy małomiejskiej mógł się w nich swobodnie rozczytywać i napawać się ich poezyą. »Jestem znowu w Rawie, pisał do Odyńca w kilka dni po powrocie do Warszawy. Siedzę przy stoliku zadumany o moich stepach i żyjącemi imaginacyi marami zaludniam głuchą dokoła samotność. Mógłbym się tu bawić, jak inni, ale powszednia rozrywka, jak powszednie życie, nie zawsze dla każdego wystarcza. Ja potrzebuję daleko żywszych, daleko mocniejszych roztargnień; czczość życia najlepiej ideałami zastąpić«. Otoż takiej przędzy dla idealnych marzeń dostarczały mu teraz *Sonety*. »Czytałem kilkakrotnie nowe poezye Mickiewicza. W kilkunastu początkowych *Sonetach*, mimo więzów bardzo niewdzięcznego wiersza, widać jak najjaśniej to wzniosłe, egzaltowane jego własne pojęcie miłości, które mu niegdyś jego *Dziady* natchnęło. Krymskie są może jedyne w literaturze europejskiej. Prócz wielu pięknych myśli, prócz bajrońskiego charakteru pielgrzyma, wspaniałą już samą przez się naturę Tauryki uolbrzymia nasz poeta obrazami kolorytu prawdziwie wschodniego. Gdybyś nie wiedział, ile szacuję i kocham Adama, posłałbym ci świetny panegiryk jego talentu, tyle mnie dzisiaj zachwyca. Ciekawy jestem, z jakiego stanowiska Mochnacki je osądzi? Na nic tu estetyka, to świat wcale nowy. Przyślij mi to, co o nim napisze Mochnacki. Co do kilku *Sonetów*, na które tak utyskiwał, te trzeba bez ratunku poświęcić na pastwę klasykom. Dla wielbicieli jego talentu wystarczą same już *Krymskie*. Przebaczy mu chętnie chwilowe zapomnienie się każdy, kto tylko badał i pojął tę smutną moralną prawdę, że ciągle wzniosłe, nieziemskie uczucia, geniuszu nawet nie są stałą dziedziną. Jest, nie wiem, w sercu, czy umyśle naszym jakaś dziwaczna i szyderska władza

co wprost rozmiata najpiękniejsze twory natchnienia i niejako musem spycha nas z nieba omamień na poziom bezplennej i zimnej rzeczywistości«.

Ciekawość Zaleskiego, z jakiego stanowiska osądzi Mochnacki *Sonety* Mickiewicza, bardzo prędko została zaspokojoną. Już w marcu 1827 roku ukazał się jego artykuł o *Sonetach* w *Gazecie Polskiej*, jednocześnie przedrukowany w *Chwili spoczynku* [1]. Czy zadowolnił Zaleskiego, nie wiemy. Było i tutaj u Mochnackiego sporo mętnej frazeologii; zdaje się, że i tutaj młody krytyk szukał jakiegoś filozoficznego stanowiska do oceny *Sonetów*, ale go w swoich dotychczasowych studyach nie znajdował, bo ta nowa poezya była czemś zupełnie niepodobnem do wszystkiego, co mu było znane. To też sam przyznawał, że *Krymskie Sonety* »możnaby nazwać nowym wynalazkiem poetycznym«. Umiał jednak odczuć i wskazać piękniejsze ustępy w *Sonetach* i umiał zarysować, choć niedosyć jasno, stosunek liryzmu do obrazowości w tych utworach, stanowiący główną ich cechę. *Sonetów*, o których Zaleski sądził, że ich uratować od napaści klasyków nie można, nie dotknął, ale przy końcu, dając przestrogę młodzieży, aby się nie rzucała na wskazaną przez Mickiewicza nową drogę, bo ona jemu tylko jest właściwą, dawał do zrozumienia, że widzi ujemne strony *Sonetów*, ale je inaczej ocenia i waży, niż krytycy w rodzaju Dmochowskiego. »Wypadałoby napisać o licznych uchybieniach przeciwko językowi i sztuce składania rymów; należałoby wytknąć prowincyonalizmy, wyrazy nowo potworzone i pewne tu i owdzie wymuszenie; o tych wszystkich wadach napiszemy... później. Są to skazy, o których rozważanie w sposobie ogólnym poezyi Mickiewicza zapominać każe. Są to skazy, których skrupulatne wyliczenie tym zosta-

---

[1]) Gaz. Polska z d. 21 marca 1827, nr. 80 z podpisem *M. M.* i *Chwila Spoczynku* 1827, nr. 9 bez podpisu.

wiamy, co zasadzają poezyę na dowcipie, gładkości rymów i wytworności języka, lubo i na niej nie zbywa sonetom Mickiewicza. Wszelkie wstrząśnienia w świecie literackim, w którym tak długo panowała cisza, są pożyteczne. Mickiewicz przerwał tę ciszę, wpłynął na opinię młodzieży, wpoił wstręt do naśladownictwa wzorów francuskich, a jeżeli kiedy będziemy mieli literaturę i poezyę oryginalną, jemu ją będziemy winni«.

Była to wyraźna odpowiedź na recenzyę Dmochowskiego, na alarm przez niego wzniecony, że sonety przyczynić się mogą do zatraty ducha narodowego i na nadzieje upatrywane przez niego w *Ziemiaństwie* Koźmiana. Nie od wpływu Koźmiana, ale od wpływu Mickiewicza mamy oczekiwać poezyi oryginalnej, a to nie w ten sposób, żeby młodzież miała zaraz wszystkie jego formy naśladować, ale że jego utwory, pełne oryginalnej siły twórczej, działają jak wiosenne burze z grzmotami i deszczem, odświeżają powietrze, zwilżają zaschłą glebę, i w ten sposób wywołują bujną roślinność.

Zaleski, który w swojej głuszy mazowieckiej nie czytywał dzienników, zastępując wiadomości dziennikarskie lekturą książek różnego rodzaju, a przedewszystkiem marzeniami poetycznemi, tym razem, mocno poruszony Sonetami Mickiewicza, rad był wiedzieć, jakie one wrażenie wywarły w świecie literackim Warszawy, jaki ruch opinii wywołały i w miesiąc po owym liście, w którym wypowiedział swoje uwielbienie dla autora Sonetów, kołatał do Odyńca o wiadomości. »Cóż tam, kochany literacie, dzieje się na waszym burzliwym świecie? Jaki jest obecnie stan umysłów? czy się co przecież ustala? albo też ta sama zawsze anarchia? Jakie interesa występują? jakie przemagają mniemania? która wreszcie sekta panuje? itd. Donieś o wszystkiem odludkowi, który nawet gazet waszych nie czyta. Udarowany wysokim stopniem obojętności, nie będę zapewne nigdy walczył pod chorągwiami

któregokolwiek stronnictwa, ale powinienem znać zewnętrzne okoliczności, wpływające współcześnie na dobro lub szkodę literatury krajowej. Kto wie, jeśli mi kiedy nie przyjdzie być historykiem obecnej reformy literackiej? a wtedy tem łatwiej, tem bezstronniej potrafię skreślić jej obraz, że sam nie działałem czynnie, ale czujnie na wszystko i na wszystkich baczyłem«. Było to naturalnie jedno z licznych złudzeń Bohdana, złudzenie, że on na wskróś liryk, ma w sobie jakikolwiek materyał na historyka. Ale marzenie do niczego nie zobowiązuje i dlatego tak słodko marzyć, a takiemi marzeniami ozdabiał sobie nasz poeta do późnej starości życie. A spostrzegając, że zanadto obarcza pytaniami Odyńca, więcej, niż »krótka zażyłość pozwala wymagać«, prosił go, aby przynajmniej pokrótce, jak zwykle, o wszystkiem mu doniósł, a będzie mu bardzo obowiązany. Między innemi prośbami w tym liście, była prośba o przysłanie mu dumy Gosławskiego o Nyczaju; o której słyszał. że się świeżo ukazała w VII tomie *Dziennika Warsz.* Że go szczególnie interesowała, łatwo zrozumieć; wszakże to był pierwszy objaw jego wpływu, jako poety ukraińskiego, na młodych poetów. To już nie marzenie było, ale rzeczywistość, a spełniało się to, o czem zapewne sam nie marzył.

Ledwie rok minął od wstrząśnienia i wrzawy literackiej wywołanej *Sonetami*, kiedy na horyzoncie warszawskim nowy ukazał się meteor, nowy utwór Mickiewicza, niemniej zadziwiający swoją nowością, swoją oryginalnością od poprzednich, a wstrząsający jeszcze bardziej, tylko inaczej, niż poprzednie. Jeżeli tamte porywały młodzież głębokością i siłą uczuć miłosnych, swobodą fantazyi, wspaniałością obrazów, *Wallenrod*, który był wybuchem uczucia patryotycznego, był dla niej wstrząsającem objawieniem jej własnych, najskrytszych, najgłębszych pragnień i zapałów. A nie tylko do serc młodzieży trafiał: budził dreszcze i w sercach ludzi starszych i sta-

rych, i Niemcewicza i księcia Adama, ba nawet i Franciszka Morawskiego. Tylko Koźmianowie, Osiński, Mostowski tak dobrze byli opancerzeni koteryjną zaciekłością, że tego pancerza nic przebić nie zdołało. Osiński postanowił nie przyjmować go do wiadomości, a stary Koźmian nie mógł zrozumieć, jak można było obierać za bohatera waryata, pijaka i zdrajcę i jedno tylko ustępstwo czynił, przyznając, że polszczyzna jest tu »czyściejsza« i że się autor wprawił trochę w gramatykę [1].

Zaleski naturalnie należał do ludzi, których *Wallenrod* zachwycił. »Czytałem, czytałem Wallenroda — pisał do Odyńca 30 marca 1828 — razy przynajmniej dziesięć od deski do deski. Długiego trzeba listu do ocenienia wszystkich piękności w tem arcydziele Mickiewicza zawartych. Właśnie w tym przedmiocie pisałem onegdaj obszernie do Grabowskiego« [2]. Listu wspomnianego, niestety, nie znamy i nie wiemy, co się najwięcej podobało Bohdanowi w *Wallenrodzie*, bo w liście do Odyńca, o którym mowa, nie chciał on »powtarzać litanii pochwał«, zwłaszcza, że spodziewał się niebawem zjechać do Warszawy i ustnie porozmawiać z Odyńcem o nowem zjawisku poetyckiem. Tylko w kwestyi budowy wiersza, w której czuł się biegłym, jako ten, który czulsze od innych miał ucho na miarę, rytm i harmonię, poczynił niektóre uwagi.

Mickiewicz w przypisach do *Wallenroda* zdawał się dopytywać czytelników, jak się im podoba nowy rodzaj wiersza użyty przez niego w *Powieści Wajdeloty:* »nie chcemy wykładać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników«. I dodawał: »Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu; radziliśmy się też uwag, za-

---

[1]) Obóz klasyków. Dzieła L. Siemieńskiego V, 82—88.
[2]) Korresp. I. B. Z. I, 22.

wartych w ważnem dziele Królikowskiego«[1]. Otoż Zaleski czuł się niejako wyzwanym do udzielenia swoich uwag o heksametrze Mickiewicza i posyłał je Odyńcowi, o którym wiedział, że jest pośrednikiem między Mickiewiczem a Warszawą. »Co do heksametrów, pisał, nie są to takie jak innych narodów, ale takie, jakie w naszym języku mieć możemy. Mickiewicza są łatwe, pełne, rozmaite. Szkoda tylko, że urojenia Królikowskiego, mianowicie co do jednozgłoskowych wyrazów, brał często Adam za dobrą monetę. Ztąd to postrzegać się dają: czasem chropowatość, czasem wątpliwość, a niekiedy i zupełnie fałszywa miara. Akcent i prozodya rzeczy wcale różne. Ale nasz wielki kochany poeta niedosyć zastanowił się nad tą różnicą«. Stanowczy ton uwag, niezwykły u Zaleskiego, świadczył, że nasz poeta czuł się tu na swoim gruncie.

W trzy tygodnie potem, w liście do Lelewela, który po wyjeździe Grabowskiego z Warszawy, był głównym dostarczycielem dzieł historycznych dla Bohdana, nasz poeta winszując Lelewelowi nowootrzymanej godności poselskiej i polecając jego protekcyi swego przyjaciela, młodego literata »cichej i potulnej powierzchowności«, Żukowskiego, poświęcał także parę słów *Wallenrodowi.* »Nie mogę się nasycić Wallenrodem. Niezawodnie jest to arcydzieło Mickiewicza. Ciekawy jestem bardzo zdań o nim Koźmiana i Osińskiego«[2]. Ciekawy był także głosów krytyki publicznej, zapewne jeszcze więcej niż rok temu, kiedy chodziło o *Sonety.* Ale krytyka milczała; postarał się oto, jak wiadomo, Nowosilcow, który najpierwszy przestudyował *Wallenroda* i najpierwszy napisał obszerną

---

[1]) Mickiewicz miał tu na myśli »Prozodyę polską czyli o śpiewności i miarach języka polskiego przez I. F. Królikowskiego«, (Poznań 1821), gdzie był cały rozdział (VI str. 131—155) poświęcony hexametrom polskim.

[2]) Korr. I. B. Z. I, 24.

recenzyę o nim w postaci raportu do W. Ks. Konstantego. Gdyby nie wojna turecka, pochłaniająca uwagę cesarza, recenzya ta zapewne miałaby gorsze skutki dla Mickiewicza; skończyło się tylko na zakazie pisania o tym poemacie w Warszawie[1]. Tak więc, chociaż *Wallenrod* nierównie silniej wstrząsnął sercami od Sonetów, za wstrząśnieniem tym razem nie nastąpiła wrzawa. Bohdan, który siedząc wówczas w Sochaczewie, daremnie przez parę miesięcy nastawiał ucho na odgłosy spodziewanej wrzawy, był zdziwiony ciszą. »Kochany Stefanie, pisał pod koniec maja 1828 roku do Witwickiego, dlaczego o Wallenrodzie tak głucho. Miałżeby? ale odpowiesz mi na to pytanie przy pierwszem widzeniu się«. Widać stąd, że trafnie się domyślał przyczyny milczenia dzienników.

Ostatnie utwory Mickiewicza, *Sonety* i *Wallenrod* odegrały w twórczości Zaleskiego — mam to przekonanie — rolę taką, jaką przed kilku laty dwa pierwsze tomiki Mickiewicza. Nie pobudziły go do naśladowania ich formy lub treści, do nakładania kolorów oryentalnych lub wspinania się na koturn heroiczny, do szukania światłocieni bajrońskich, ale były taką burzą rodzajną, o jakiej wyżej wspomniałem, która wstrząsała jego atmosferę duchową, odświeżała i ożywiała jego wyobraźnię, pomagała do krystalizowania niejasnych uczuć i marzeń, zachęcała jednem słowem do tworzenia. Jak po *Balladach* i *Dziadach* bezpośrednio wyleciał on skowronkiem pod niebiosa w *Śpiewie poety*, tak bezpośrednio po *Wallenrodzie* wyśpiewał swój najpiękniejszy śpiew słowiczy: *Rusałki*, bo poemat ten, jak to widać z listów poety, napisany był w ciągu letnich miesięcy 1828 r. Mogłoż być większe przeciwieństwo między głosem pobudki a echem, które

---

[1]) Zob. Raport urzędowy Nowosilcowa o »Konradzie Wallenrodzie«. Pamiętnik Tow. im. A. Mick. T. V, str. 242 i nast., a także Wład. Mickiewicza: »Żywot Ad. Mick.« T. I. str. 309 i 364.

ten głos wywołał z duszy Zaleskiego? Kiedy Słowacki pod wrażeniem *Wallenroda* przez kilka lat kopiował bohatera tego poematu i strojąc go we wszystkie blaski swojej wyobraźni, sadził Ossę na Pelion, ażeby prześcignąć pierwowzór, Zaleski w swoich *Rusałkach* odlatywał w świat, który nietylko z treścią, ale i z atmosferą *Wallenroda* nie miał najmniejszej wspólności, w świat, w którym zupełnie inne było niebo nad głową, inaczej słońce świeciło, inaczej się trawa zieleniła.

ROZDZIAŁ X.

Rusałki.

1828.

Artykuł Witwickiego: *O reputacyi autorów za ich życia.* — Wspomnienie narodowe w *Rozrywkach* panny Tańskiej. — Humorystyczny list Bohdana i jego związek z *Rusałkami.* — Poeta ukrywa się z tym poematem. — Przyjazd Grabowskiego i Goszczyńskiego do Warszawy. — Grabowski wciąż usiłuje założyć wzorowe pismo literackie. — Jego żale do Bohdana. — *Rusałki* przyrzeczone *Meliteli* Odyńca. — Usposobienie Bohdana przed wysłaniem *Rusałek.* — Jego radość po otrzymaniu listu od Witwickiego. — Analiza *Rusałek.* — Co zaczerpnęły z romantyki niemieckiej. — Epilog *Rusałek*; stosunek do Schillera. — Poczucie odrębnej misyi poetyckiej. — *Kwiat paproci,* związek tego poematu z *Rusałkami.*

Do poznania tego nastroju, który, jak przypuszczam, przynajmniej w części był skutkiem ożywienia wyobraźni, wywołanego nową poezyą Mickiewicza, a z którego wypłynęły *Rusałki*, bardzo się nam przydać może list Bohdana do Witwickiego, pisany z Sochaczewa 27 maja 1828. Tylko, ażeby list ten mógł być zrozumiałym, trzeba go koniecznie poprzedzić podaniem niektórych szczegółów ze współczesnego politycznego i literackiego życia. Trzeba naprzód przypomnieć, że były to czasy rozpaczliwych walk Greków, dobijających się wolności, z Turkami, czasy straszliwych mordów i spustoszeń, jakich się dopuszczał

wódz turecki a syn egipskiego wicekróla, Ibrahim Pasza, na półwyspie peloponeskim. Sympatye całej Europy były po stronie Grecyi, nietylko jako narodu uciemiężonego, ale i jako spadkobierczyni wielkich tradycyi starohelleńskich, i skarbów sztuki starożytnej. Nietylko opinia publiczna w Europie, ale i rządy sprzyjały Grekom w ich śmiertelnych zapasach z Turkami, świeżą była pamięć bitwy pod Nawarynem, w której flota sprzymierzona zniosła flotę turecką, a w chwili, z której list pochodzi, Rosya wypowiadała wojnę Turcyi. Uwaga całej Europy zwrócona była na to, co się dzieje w Grecyi, a i gazety warszawskie podawały swoim czytelnikom obszerne wiadomości stamtąd.

Bohdan Zaleski czytywał wówczas *Gazetę Polską*. Codzienne to pismo zaczęło wychodzić pod koniec 1826 roku i podając obfite wiadomości polityczne, zajmowało się obok tego rzeczami literackiemi więcej, niż inne tego rodzaju pisma. Mochnacki z początku pisywał do *Gazety Polskiej* przygodnie, pod koniec 1827 roku wszedł do redakcyi tej gazety i odtąd stała się ona oficyalnym organem romantyków. Już z tego tytułu musiała być interesującą dla Zaleskiego. W czasach, o które nam chodzi w Nr. 140 *Gazety polskiej* z d. 22 maja 1828, w rubryce *Wiadomości naukowe* ukazał się był artykuł p. t. »*O reputacyi autorów za ich życia, kilka uwag przyjaciela literatury ojczystej*«. Autorem niepodpisanym był Witwicki, o czem Zaleski wiedział. Artykuł rozumnie, treściwie, jasno i z wielką siłą przekonania napisany, wychodził z założenia, że »dwie są szlachetne pobudki skłaniające do poświęcenia się pracom uczonym: miłość nauki i szczera chęć usłużenia, jeśli nie całej ludzkości, przynajmniej krajowi swojemu. Dwie też dla ludzi uczonych są szlachetne nagrody: rozkosz, jakiej doznawają w oddawaniu się ulubionemu przedmiotowi i publiczne uznanie ich zasługi, to jest używanie reputacyi. Pierwszą z tych nagród sama

już praca przynosi; przyznanie drugiej należy właściwie do potomności. Że jednak ludzie sądzą nietylko umarłych, ale i żywych; stąd powstaje jeszcze reputacya spółczesna, czasowa, która z prawdziwą, to jest z sądem potomnych, często nie ma nic spólnego, podległa modzie, namiętnościom, przypadkowi«.

Zaznaczywszy pokrótce różnicę, jaka w tym względzie zachodzi pomiędzy Niemcami i Anglią z jednej strony, a Francyą i Polską, gdzie moda bardzo wiele znaczy, z drugiej, Witwicki charakteryzował proces wytwarzania się sławy autorskiej w Polsce, a mówiąc niby o jakichś nieokreślonych czasach dawniejszych, robił bardzo wyraźne i zręczne alluzye do chwili obecnej, do sztucznie wytworzonej sławy polskich Horacych, Wergilich, Korneløw i Rasynów, do obiadów literackich gen. Krasińskiego itp. rzeczy. Wreszcie odrzucając zasłony, mówił otwarcie o galeryi żyjących sławnych pisarzy naszych. Przyznawał, że są między nimi zasłużeni, i tu składał hołd Niemcewiczowi, »ale — pisał — przyznajmy równie, bo i na cóż sami siebie mielibyśmy zwodzić? iż w galeryi żyjących naszych sławnych ludzi znajdują się także posągi na glinianych nogach. Nie chełpiąc się z czasowej, przypadkowej reputacyi, nie zapominajmy, że każdy dzień przybliża nas do sądu potomności, przed którą wszystkie nasze stosunki, związki i zaszczyty przyboczne zasłona czasu na zawsze pokryje. A kiedyśmy ubodzy w pracy i zasłudze, bądźmyż i w duchu ubodzy«.

Posągi na glinianych nogach — nikt się nie mógł omylić w rozumieniu tej metafory — to byli Koźmian et consortes. Pocisk był silny, ale nie dowcip nadawał mu siłę, tylko ten ton poważny, szczery i głęboki, w jakim był napisany cały artykuł, ton, który Witwicki po części przynajmniej, mógł zawdzięczać swoim współczesnym studyom biblijnym, w tych to czasach bowiem pisał swego *Tobiasza*. Zresztą artykuł Witwickiego zawierał

w sobie nietylko *memento* dla klasyków; była tam i przestroga dla romantyków, która szczególnie musiała interesować Zaleskiego, bo dawała się zastosować i do niego. »Uważmy wszakże, pisał Witwicki w końcu artykułu, iż reputacya mniej więcej szczęśliwych nowatorów, jakkolwiek powstała nie w pewnej liczbie salonów, ale już między massą narodu, jest także dopiero reputacyą czasową i w znacznej części tylko dziełem mody i samej nowości. Aby więc niezawodnie można się nią cieszyć i zapewnić potwierdzenie onej u potomnych, należy tę reputacyę oprzeć nie na pochwałach tego lub owego kolegi albo dziennika, nie na entuzyazmie studentów, ale na znacznym zbiorze dzieł wytrawnych i dojrzałych, mogących się równać z pismami znakomitych autorów tych narodów, które (nie tyle wyższą zdolnością, ile szczęśliwszemi losy) niezmiernie nas w naukach wyprzedziły«. Ostatecznie zaś stwierdzając, że do dziś w literaturze polskiej »mniej jest zasługi, więcej reputacyi«, żądał, aby »własne sumienie pisarza było miarą jego zasługi«.

Artykuł ten, jak wiadomo, tak się podobał Mickiewiczowi, wydał mu się »tak zdrowo pomyślanym i tak dobrze po polsku napisanym«, że nie chciał wierzyć, »żeby w Warszawie wziął początek« i prosił Odyńca, by mu doniósł, kto jest jego autorem[1]. Podobał się on również bardzo Zaleskiemu i ten w liście, do którego zdążamy, wyrażał mu swoje zadowolenie z tego powodu. »Czytałem twój artykuł w Gazecie o Reputacyi autorów. Bardzo mi się spodobał. Charakter poezyi i pisarzy naszych skreśliłeś z wielką prawdą i dowcipem. Istotnie tego rodzaju ogólne uwagi byłyby wielce pożyteczne dla literatury polskiej, stokroć pożyteczniejsze od niegrzecznych lub stronniczych sarkań, jakich pełno jest w naszych dziennikach. Radbym bardzo wiedzieć, jakie wrażenie sprawi

[1] Korr. Ad. Mick. IV, 104.

twój artykuł na głowach Koźmiana, Morawskiego i t. d. Sąd potomności objawiłeś im za życia«[1]).

Ale ten artykuł, jak już nadmieniłem, mógł mieć zastosowanie i do samego Zaleskiego. I on w obozie romantyków miał reputacyę od kilku lat ustaloną, dzięki pochwałom dziennikarskim, które przeważnie z pod piór przyjacielskich wyszły, i jego reputacya bynajmniej nie była oparta »na znacznym zbiorze dzieł wytrawnych i dojrzałych«, a tylko na niedługim szeregu utworów poetyckich, z których żaden cokolwiek większej całości nie stanowił. Ale jego ten zwrot do »reputacyi mniej więcej szczęśliwych nowatorów« nie ubódł, nie zmartwił, bo on miał właśnie to, czego żądał od pisarza Witwicki, miał »własne sumienie« literackie i nie reputacya dziennikarska, która głaskała jego ucho, ale to sumienie było mu »miarą jego zasługi«. Nie pysznił się więc tą reputacyą, nie starał się jej zewnętrznymi środkami podtrzymywać, jak n. p. wydaniem zbioru swych poezyi, o co go zewsząd nalegano; w jedno tylko wierzył i to od chwili, kiedy poraz pierwszy samodzielnie w lot się puścił, że pióra, »co ku niebu go nosiły«, były jego własne i że razem z nim nie znikną, ale na jego mogile zostaną. Artykuł Witwickiego umacniał go tylko w jego sumieniu literackiem, potwierdzał to, co on sam o sobie myślał.

Ale w świetle tego artykułu jakże zabawnie wyglądały różne sławy literackie, tak kwitnące na współczesnym Parnasie, jak wydobywane niekiedy z niedalekiej przeszłości. Jedna z takich sław, na tle poglądów Witwickiego *sub specie posteritatis*, wydała się szczególnie zabawną Bohdanowi. Wychodziły w Warszawie od r. 1824 *Rozrywki dla dzieci* wydawane przez pannę Klementynę Tańską. Popularne to pismo, którego główną dążnością było budzić ducha narodowego w swoich czytelnikach,

---

[1]) Korr. I. B. Z. I, 256.

było czytywane nietylko przez dzieci, ale i przez starszych i miało znaczne powodzenie, na które zasługiwało. Ale nowe pojęcia estetyczne nie przenikały do tego pisma; panna Tańska, wielbicielka zdrowego rozsądku, nie miała w sobie ani odrobiny marzycielskiego pierwiastku a stąd i najmniejszego zmysłu dla odczuwania poezyi romantycznej. Jej najulubieńszym poetą, nawet w czasach późniejszych, był Brodziński, który też największy wpływ wywarł na kierunek jej twórczości, dla niej wielkimi byli Feliński, Szymanowski i t. p. poeci dlatego, że pisali piękną, jasną i gładką polszczyzną. W *Rozrywkach*, które miesięcznie wychodziły, była zwykła rubryka *Wspomnień narodowych*, gdzie redaktorka umieszczała życiorysy sławnych mężów, przeważnie pisarzy polskich, a także opisy swoich przejażdżek po kraju, dla zaznajomienia czytelników z różnemi historycznemi miejscami. Poczet sławnych mężów, o których była mowa we *Wspomnieniach narodowych*, był długi; występowali tu: Ks. Adam Czartoryski (ojciec), Wacław Rzewuski, hetman i poeta, Tad. Czacki, Ks. Kopczyński, Jan Zamojski, Karol Chodkiewicz, Józef Szymanowski, Mikołaj Kopernik, Stryjkowski, Feliński, Karpiński, Naruszewicz, Dantyszek, Kniaźnin, Jan Tarnowski (hetman), Piotr Skarga, Piramowicz i niektórzy inni, a w zeszycie majowym z r. 1828 panna Tańska, (która miała niebawem zamknąć *Rozrywki* i zostać panią Hofmanową), do długiego szeregu znakomitości dodawała jeszcze jedną, o której dotychczas nikt nic nie wiedział: Mikołaja Dzieduszyckiego. Jakież były tytuły tego ostatniego do zaszczytu, iż we *Wspomnieniach narodowych* zajął miejsce obok Kopernika, Skargi i tylu innych sławnych mężów? Tańska tylko tyle o nim mogła powiedzieć, że żył w drugiej połowie 18 wieku, że był wątłego zdrowia i dlatego nie mógł ramieniem służyć ojczyźnie, ale należał do grona uczonej młodzieży, która się skupiała koło Felińskiego, tłumaczył różne rzeczy z Woltera, Boileau,

Wergilego, Horacego i innych i byłby zapewne z tłumacza został oryginalnym poetą, gdyby nie umarł przedwcześnie na suchoty za Lwowem w Sokołowie 1795.

Zaleskiego bardzo rozweseliło to *Wspomnienie narodowe*, szczególnie w zestawieniu z artykułem Witwickiego o reputacyi autorów, przypomniał sobie, że i on będąc w szkołach tłumaczył Horacego i że miałby zatem także pewne prawo figurować we Wspomnieniach narodowych panny Tańskiej i taki oto napisał list, a raczej fantazyę do Witwickiego, fantazyę, która nawet po wszystkich podanych tu przezemnie objaśniających informacyach jest tylko w ogólnym pomyśle swoim przezroczystą.

D. 27 maja 1828 r. Sochaczew.

Kochany Stefanie! W nadziei widzenia się z tobą, zwłóczyłem odpowiedź na dwa twoje listy. Jak sójka za morze, od miesiąca wybierałem się do Warszawy. Wybrałem się nakoniec onegdaj, wyleciałem, ale po drodze klasyczna moja wyobraźnia poczęła marzyć o gajach, słowikach, strumieniach itd. Przemogła tą razą poetycka natura nad gorącem życzeniem uściskania ciebie i zamiast do waszych brukowych kamieni, roztoczyłem skrzydła ku cienistym grotom i gajom Arkadyi. Pomyślałem sobie, Stefana, mimo że się do wód wybiera, djabli nie wezmą, a Arkadyę tymczasem zniszczy do szczętu Ibrahim Pasza, jak zniszczył Liwadyę i Moreę. Brat sokół białozór był moim pegązem przewodnikiem. Wznieśliśmy się w obłoki i w mgnieniu oka ujrzeliśmy, choć z daleka, stepy, tawol, kaliny, porohy i limany Dnieprowe. Bliżej, pod nami szumiał Dniestr burzliwy, pędził Prut po skałach, jaśniały złocone dachy naddunajskich minaretów, dalej i dalej wojska, Serby, Albańczyki etc, etc., etc. Jakoż po dwugodzinnej podróży, bez unużenia stanąłem na nogach w Arkadyi. Po śniadaniu, włożywszy okulary na nos, pośpieszyłem w gaje ulubione od bogów i poetów pogań-

skich. Jakie uczucia? Widziałem mnóstwo świątyń, wstąpiłem do przybytku Dianny, i rzetelnie bardzo jest piękny i czysty. Apollo i Merkury ukłonili mi się grzecznie, zdjąłem kapelusz nawzajem i w uniesieniu przebiegłem wszystkie łączki, pagórki, zwiedziłem wszystkie zakątki. Lecz niestety! przy jakimś sarkofagu napotkałem dwa bóstwa, których razem nie życzyłem nigdy widzieć. Leżący plackiem kopiowały jakiś nędzny wierszyk ołówkiem, mówię nędzny, bo nie było pod nim podpisu Moscha ni Biona, nie było nawet sensu. Bóstwa te były Sympatya i Antypatya, pierwsza w postaci pani Tańskiej, drugi w skórze Lisickiego. Odczarowany umknąłem od nich prędko, a wychowaniec Zofiówki, jeszcze prędzej i bez żalu pożegnałem arkadyjskie gaje i bóstwa. Dziś ochłonąłem nieco i mogę zawołać, jak przyjaciel nasz Gustaw, co z oczu, to i z myśli. Jednakże, kochany Stefanie, jak przeczytasz w *Rozrywkach* opis Arkadyi, umieść zaraz w gazetach, że i ja byłem towarzyszem tej klassycznej wędrówki na owe exaltowane wyrażenia Szyllera: *Auch ich war in Arkadien geboren*«.

Jeżeli kładę szczególny nacisk na ten list Bohdana, to czynię to dlatego, że ochoczy nastrój listu, jego figlarna fantastyczność odpowiadają najzupełniej nastrojowi i fantastyczności *Rusałek*, mianowicie pierwszych jej pieśni. Jest tu coś więcej nawet niż pokrewieństwo nastroju i fantastyczności, jest podobieństwo, nawet wspólność motywów. Motyw latania ludzi w powietrzu, właściwy demonologii średniowiecznej, który szczególnie w wierzeniach ludu ukraińskiego wybitną odgrywa rolę, który też z genialnym humorem miał być niebawem użyty przez Gogola w jego *Wigilii Bożego Narodzenia*, znajdujemy i w liście Bohdana i w pierwszej części *Rusałek*. Kochanek, któremu Zoryna zagroziła, że siłą czarów zrobi z nim, co zechce, zaczyna wierzyć w jej groźby.

Nuż w latawca mię przemieni?
I jak orzeł, albo sokół,
Będę musiał krążyć w okół,
Po niezmiernej gdzieś przestrzeni?

Arkadyjskie pagórki, gaje i bóstwa odpowiadają w liście gajom i grotom Zofiówki, które służyły poecie za tło dla drugiej pieśni i niedaremnie opowiadając swoją fantastyczno-humorystyczną przechadzkę po gajach Arkadyi, nazywa on siebie »wychowańcem Zofiówki« i zdaje się tej ostatniej przyznawać wyższość nad pierwszą. Dlatego też uważam za rzecz prawie pewną, że w chwili pisania listu, o którym mowa, już kanwa poetycka, na której Zaleski miał haftować swoje *Rusałki*, była w fantazyi jego napięta, już pierwsza część poematu spoczywała w brulionie. Wprawdzie w dalszym ciągu tego listu są skargi Bohdana na to, że musiał pożegnać się z poezyą, ale skarg tych dosłownie brać nie można. Witwicki w jakimś dawniejszym liście zwierzając się przyjacielowi ze swoich prac literackich, narzekał na brak wzajemnej ufności ze strony Bohdana, na co ten teraz odpowiadał: »Przysięgam, iż nic nie mam, coby godne było twego zaufania. Kochany Stefanie, do właściwej dla mnie pracy, potrzeba swobodnego stanu duszy, nieprzerywanej samotności, potrzeba długiego zapoznania się i niejako zamieszkania w przeszłości, potrzeba wielu rzeczy, których ja dziś nie posiadam. W mojem antypoetyckiem życiu i to już nazywam szczęściem, kiedy mogę wykraść jedną godzinę dla marzeń milszych i wznioślejszych. Musiałem więc rad nie rad pożegnać się z kochanką młodości, z Poezyą, i mimo tęsknot, urządzić czas mój inaczej. Najwięcej czytam i uczę się, ale czytam dzieła ważne i uczę się rzeczy pożytecznych«. I w istocie wiemy z jego listów współczesnych, że oprócz Schillera, Byrona, Coopera, Chateaubrianda, Stendhala, Salvandego i Słowa o pułku Igora, czytał lub miał zamiar czytać w owych czasach Malte-

Brun'a (Précis de Geographie universelle), Michaud'a, (Historyę wojen krzyżowych) Aug. Thierry, (Historyę Normandów), Lacépède'a, Pamiętniki Lascases'a i Montholona, Historyę Władysława IV przez Kwiatkowskiego. Ta ostatnia była mu zapewne potrzebną do powieści historycznej, do której pisania zabrał się wtedy, pociągnięty przykładem Niemcewicza, Bernatowicza i Skarbka. Ale powieść historyczna nie szła mu, jak jemu się zdawało, dla braku źródeł historycznych, a właściwie dlatego, że nie był ani trochę epikiem, a ponieważ Witwicki coś wiedział o jej zaczęciu, więc pisał do niego w tymże liście: »Co do mojej historycznej powieści, tej już od trzech miesięcy nie tknąłem. Nie mam pod ręką książek źródłowych i nie mogę mieć ich prędko. Chcę jednak za przyjazdem do Warszawy zmienić plan dumny na skromniejszy i szczerze zająć się tą pracą. Masz tedy ufność za ufność«. I w końcu dodawał słowa znamienne, na które szczególną zwracam uwagę, bo w nich, mojem zdaniem, kryje się świadectwo, że jakkolwiek skarżył się na antypoetyckie życie i mówił o rzekomem rozstaniu się z poezyą, uczuwał jednak w sercu zwolna wzbierające natchnienie: »Przyjdzie zapewne czas, że nie same exkuzy moje czytać będziesz, przyjdzie, lecz kiedy?«

Czas ten niedługo miał nadejść; już w październiku tego roku, jeżeli nie wcześniej, *Rusałki* były gotowe do druku. Ale aż do ostatniej chwili, aż do chwili wysłania do druku, Zaleski okrywał je starannie tajemnicą, nie pokazywał ich i nie odczytywał nawet najbliższym z przyjaciół, nawet Witwickiemu. Była w tem jakaś wstydliwość, jakaś bojaźń, aby ludzie swojemi komentarzami nie chcieli sięgać do jego niedalekiej przeszłości miłosnej, analizować *Dichtung und Wahrheit*, które się zlały w *Rusałkach* w jedną nierozprzężną całość. A wreszcie nie był pewny, jakie ten utwór sprawi wrażenie? czy podoba się innym? Sam on czuł zapewne, że stworzył coś nowego,

coś wyższego nad wszystko, co wyszło z pod jego pióra, ale czy wyda się tak innym? Czy nie jest to tylko autorskie złudzenie? Więc im dłużej pozostawać w tem złudzeniu, im dłużej przed światem ukrywać swój klejnot poetycki, który się innym ludziom może wydać zwyczajnem szkiełkiem bez szczególnej wartości, tem lepiej.

Taka, sądzę, była przyczyna ukrywania się z *Rusałkami*, a to ukrywanie się, stało się powodem nadzwyczaj gorzkich wyrzutów ze strony Grabowskiego. Grabowski, od dłuższego czasu cierpiący na pewną dolegliwą chorobę, której miejscowi lekarze usunąć nie umieli, wybrał się w maju czy czerwcu 1828 roku do Wiednia na kuracyę i wziął z sobą za towarzysza podróży Goszczyńskiego, który, ponieważ nie śmiał żądać paszportu dla siebie, jako podejrzany w policyi, musiał w drodze wobec władz odgrywać rolę lokaja. W sierpniu po szczęśliwie odbytej kuracyi Grabowskiego, wracali z Wiednia przez Kraków i Warszawę w swoje strony. W Krakowie, który ich »poruszył i rozrzewnił«, zatrzymali się trzy tygodnie, w Warszawie mniej więcej tyleż. Warszawa była wówczas w ogromnym ruchu i wrzała patryotycznym duchem. Był to czas, kiedy Sąd sejmowy wbrew wyraźnym nakazom rządu wydał bardzo łagodny wyrok na związkowych z r. 1825. Krążyło mnóstwo wierszy patryotycznych, a jak świadczy Goszczyński, najwięcej budził ducha Mochnacki swoim *Głosem Obywatela poznańskiego*, który krążył w rękopisie [1]). Dla Goszczyńskiego nietylko ze względów patryotycznych, ale i z osobistych były to »dni wielkiej radości«. Znajdował on tu wiele wspomnień z pierwszego

---

[1]) Tak nazywa tę odezwę Goszcz. stosownie do tytułu, który jej dał potem Mochnacki, drukując ją przy swojej historyi powstania; w rękopisie jednak miała ona tytuł: »Głos obywatela z zabranego kraju z okazyi sądu sejmowego«. Porówn. St. Szpotański, Maurycy Mochnacki, Kraków 1910, str. 31—32.

pobytu swego w Warszawie z przed siedmiu laty; znajdował wielu dawnych znajomych, między innymi Bohdana Zaleskiego, i dwóch Chrząszczewskich [1]), zawiązał nowe a bardzo interesujące znajomości np. z Michałem Podczaszyńskim, wyjeżdżającym właśnie wówczas do Paryża, a przedewszystkiem z Mochnackim, który stał się heroldem jego sławy. »Postąpiłem w sferze literackiej warszawskiej — powiada Goszczyński w swoich notatkach pamiętnikowych — *Zamek Kaniowski* wyszedł właśnie z druku i zrobił wrażenie; znalazł stronników zapalonych i złośliwych przeciwników. Dmochowski Salezy puścił w obieg wierszyk przeciw niemu, pamiętam dwie zwrotki:

Nad rozmową dwóch puszczyków
Dziwi się zgraja krytyków,
Obraz Szwaczki i Nebaby
Ma dla niej dziwne powaby.

A mistyczny pan Mochnacki
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,
Że przy tym Zamku Kaniowskim
Trembecki pójdzie pod placki«.

Ale niechętny głos Dmochowskiego mało już wtedy mógł szkodzić Goszczyńskiemu wobec poparcia Mochnackiego, który »już zaczął grać rolę najważniejszą w krytyce polskiej« [2]). Dobrze więc było naszym Ukraińcom w ożywionej sferze literackiej Warszawy i zamierzali dłużej zabawić, ale niebawem policya wpadła na trop, że Goszczyński bezprawnie przebywa w Warszawie, o czem

---

[1]) Józefa, który pracował w redakcyi Monitora Warszawskiego i Antoniego, który służył w artyleryi polskiej.

[2]) Goszczyński dodaje: »Miałem go za sobą, Grabowski przeczytał mu niektóre z moich poezyi lirycznych, które mu się bardzo podobały, a nadewszystko Noc w Zofiówce, rodzaj poemaciku«. (Goszczyński, Zapiski do moich Pamiętników Teki VII).

Lubowidzki ostrzegł interesowanych [1]), zaszła przytem jakaś awantura przy kartach, która Grabowskiego i jego towarzysza mogła pociągnąć do badań policyjnych, musieli więc natychmiast, tegoż jeszcze wieczora, wyjechać z Warszawy.

Ale Grabowski, bawiąc w Warszawie, nietylko spędzał czas na grze w karty, którą widocznie lubił, a która go przy jego temperamencie, skłonnym do gwałtownych wybuchów, doprowadzała nieraz do awantur, ale i na zazabiegach, aby doprowadzić do skutku swój oddawna żywiony zamiar założenia pisma literackiego, któreby odpowiadało nowym potrzebom, stało się organem nowej literatury. Ale zabiegi te czynił dopiero pod koniec swego pobytu w Warszawie, już wtedy, kiedy nie było Zaleskiego, który wcześniej od kolegów humańskich opuścił stolicę, wracając do swego Sochaczewa. Dlatego Zaleski nic o tych zabiegach nie wiedział. Grabowski układał się z Mochnackim, którego wówczas poznał, i z którym łatwo się zaprzyjaźnił, jako z przedstawicielem nowej krytyki w duchu romantycznym, a także z dawnym kolegą swoim, Józefem Chrząszczewskim, już nam znanym z obrony romantyzmu w *Gazecie Warszawskiej*. Oni mieli porozumieć się z Zaleskim i jego wciągnąć do tej sprawy.

Co się tyczy osobistego stosunku z Zaleskim podczas krótkiego wspólnego pobytu w Warszawie, to Grabowski bardzo był z niego niezadowolony. Po trzech latach niewidzenia się, spodziewał się większej serdeczności, większego wylania się ze strony dawnego przyjaciela; spodziewał się, że ten ostatni podzieli się z nim swoimi utworami, które w tym czasie narodziły się, a do druku jeszcze nie przeszły. Ale zawód go spotkał; Zaleski był

---

[1]) Wiceprezydent Lubowidzki ostrzegł nas przez Bentkowskiego, że ma doniesienie o mnie i radzi nam opuścić Warszawę jak najrychlej, zaczem W. książę o tem się dowie. (Goszcz. Tamże).

zamknięty w sobie, a dlaczego? domyśleć się łatwo. Przyczyną były *Rusałki*, które już miał w tece, choć może niewykończone, a z któremi, jak wiemy, ukrywał się przed światem. Tem trudniej mu było teraz przezwyciężyć nieśmiałość, że na horyzoncie poezyi polskiej powszechną uwagę zwracały dwa nowe poematy bohaterskie: *Wallenrod* i *Zamek Kaniowski* i oba, choć w nierównej mierze, wywoływały w obozie romantycznym uwielbienie. Jakżeby się przy nich wydały *Rusałki*? nie uznanożby tego za igraszkę niegodną poety romantycznego? Były zapewne i inne jeszcze powody tego zamknięcia się w sobie Zaleskiego wobec Grabowskiego; Grabowski wielbił *Zamek Kaniowski*, Zaleski nie mógł mu z serca wtórować, a nie chciał występować przeciwko utworowi przyjaciela; Grabowski, pomimo wielu zapowiadań, nie zrzekł się był jeszcze pretensyi do poezyi i właśnie w tym czasie ukazywały się w *Dzienniku Warszawskim* jego *Melodye Ukraińskie*, którym przedewszystkiem melodyjności brakło, i Zaleski, będąc szczerym, nic przyjemnego nie mógłby był o nich powiedzieć autorowi.

Grabowski tego wszystkiego nie domyślał się, nie wiedział, że Bohdan, jak przed nim, tak i przed innymi ukrywał się ze swoją najnowszą poezyą, więc posądzał go, iż wzbiwszy się w dumę wskutek uznania, jakiem się cieszyła jego poezya, wskutek nowych zaszczytnych stosunków literackich, lekceważy już dawne stosunki koleżeńskie i jego, Grabowskiego gorącą przyjaźń. To też z wielkim żalem w sercu do Bohdana wyjechał z Warszawy i wkrótce po powrocie na Ukrainę, wypowiedział ten żal w obszernym liście, który jest z różnych względów godnym uwagi i z którego tu dłuższe ustępy przytoczę.

Donosił tam naprzód o swoim projekcie dziennikarskim, który układał w ostatnich dniach pobytu w Warszawie. Chodziło, jak się zdaje, o to, aby istniejący już, ale bardzo licho redagowany w tych czasach *Dziennik*

Warszawski przeobrazić na nowe, dobre pismo literackie. Trzeba się domyślać, że koszta tego przeobrażenia Grabowski brał na siebie; tak przynajmniej należałoby wnioskować z wiadomości, którą przesyłał, iż zostawił w Warszawie na imię Zaleskiego »plenipotencyę zrobienia układu z dotychczasowemi redaktorami«. »O planie — pisał — byłoby dużo mówić, zresztą Maurycy i Chrząszczewski wiedzą wszystkie moje myśli w tym względzie, życzyłbym tylko, żeby każdy dział tego pisma miał swój cel, swoje przeznaczenie, właśnie czego brakuje wszystkim dotychczasowym pismom peryodycznym polskim, złożonym z różnych niesklejonych artykułów, które się dziwią, widząc się jedne przy drugich. Tak chciałbym, żeby pierwsza część była jakimś rodzajem *Revue universelle* i dawała wyobrażenie wszystkiego, co się myśli, co się robi w Europie, w naukach, w umiejętnościach, w mechanice, w sztukach itd. itd. Taki dział łatwo złożyć (byle tylko umieć wybrać) z peryodycznych pism zagranicznych, bo właśnie nie tutaj miejsce ubiegać się za oryginalnością; pismo peryodyczne jest dla ogółu narodu, którego (zwłaszcza u nas) takie wiadomości dochodzą zwykle późno i niedokładnie, jest więc dobrze otworzyć, choć raz w miesiąc, okno na świat Boży, żeby się przecie dowiedział, co się tam dzieje. Z tego już ja widzę nieskalkulowane korzyści«.

»Chciałbym, żeby dział Literatury Narodowej zcentralizował prace naszych teoretyków i literatów, żeby nowa nasza wiara literacka zyskała głos pewny i poważny, a krytyka pojawiających się pisarzy wyszła z niemowlęcych pieluch Dmochowskiego«.

»Chciałbym, żeby w tem piśmie poświęcić jeden rozdział literaturze zagranicznej, nie rozbiorom i recenzyom pism zagranicznych, jak to było w ś. p. *Gazecie Literackiej*, bo to praca próżna, a nawet śmieszna, lecz prosto tłumaczeniom, w całości lub wyjątkach, płodów pięknej literatury, które w tym momencie są rozkoszą lub sławą

Europy. Wszystko, co ma wielką wziętość czasową, z jakiegobądź względu, choćby ze względu mody, ma tu prawo znaleźć miejsce. Jest to dokompletowanie *en relief* pierwszego działu«.

»Jeden dział powinien być przeznaczony dla poezyi. Tu prace młodych naszych poetów powinny mieć miejsce. Spodziewam się, że dwa działy Literatury i Poezyi Narodowej nie byłyby najmniej ważne. W pierwszej już mamy obiecaną pomoc takiego estetyka, jak Maurycy, dla drugiej obiecał pracować Seweryn. Nie zapominamy także, że ty masz obowiązek i sam i przez twoje stosunki z Brodzińskim, Sienkiewiczem, Witwickim. Mnie się zdaje, że to dosyć. Nadewszystko mam nadzieję, że sławny nasz historyk (Lelewel) nie odmówi naszemu przedsięwzięciu tej pomocy, którą on wszystko podobne u nas ożywia i na uzyskanie nam tego, także na tobie polegamy«.

Grabowski żałował bardzo, że o tem wszystkiem nie rozmówił się z Zaleskim w Warszawie, zwłaszcza, gdy dowiedział się po jego wyjeździe, że i on o czemś podobnem zamyślał. »Skądinąd dowiedziałem się, że ty miałeś myśl podobną, że mówiłeś o sprowadzeniu do Warszawy Żukowskiego, lecz mnie o tem nic nie mówiłeś, a tem [samem] nie dałeś mi zręczności, a jeszcze bardziej odwagi mówić ci o różnych moich zamiarach«. I tu było przejście do ciężkich żalów, jakie się nagromadziły w sercu Grabowskiego z powodu rzekomego lekceważenia jego przyjaźni ze strony Bohdana, a które musiał wypowiedzieć dla ulżenia sobie.

»Daruj mnie, kochany Józefie, lecz odkrywałbym ci tylko połowę mego serca, gdybym ci powiedział, że widzenie się moje z tobą zaspokoiło mnie we wszystkiem. Po niem został rodzaj dysharmonii w moich uczuciach, który, żeby ustał, muszę ci go wypowiedzieć. Dawna nasza znajomość, przyjaźń, jedne uczucia, jedna droga ukształcenia, którąśmy razem przebywali, połączyła nas łańcuchem,

który, zdało mi się, nie powinien się był nigdy rozerwać. Te stosunki dały naszym zdolnościom (mimo całej zapewne niższości mojej) rodzaj krewieństwa, który sprawił, iż nie mogą mnie nie obchodzić twoje postępy, równie jak tobie moje prace obojętne być nie powinny. Te kilka lat naszego rozdziału zrobiły zapewne wiele. W nich dojrzał twój talent, twoje zdolności zyskały tobie reputacyą, zyskały tobie stosunki, których wart byłeś, lecz dla mnie te kilka lat rozdziału nie były prawie. Ciągle myśląc o tobie, ciesząc się z twoich postępów, spodziewając się coraz więcej z twoich usposobień, ja szedłem zawsze z tobą, oszukiwałem niejako przedział czasu i miejsca, i myślałem, że zobaczywszy się nareszcie, będę miał jednakie prawo, jak dawniej, czytać w twem sercu i odkryć ci moje, mówić o zrobionem i przedsięwziętem, słowem komunikować się z tobą tem, co stanowi intellektualny byt człowieka. Sam powiedz, czy w tych nadziejach nie doznałem zawodu? Nasze rozmowy były w większej części, jak dwóch ludzi, co się dopiero poznali, a jeżelim się zapytał ciebie o twoje prace i myśli, zbywałeś mnie ze wstrętem mówienia o tem, jakiby tylko mieć wolno dla obcego człowieka, który niedyskretnie dotyka się najskrytszych tajemnic duszy. W tem było lekceważenie, uczucie swojej wyższości, nawet pogarda, od której przynajmniej nasza długa zażyłość powinna mnie była uwolnić«.

»Brodziński, Witwicki, Odyniec mogli wiedzieć o twoich pracach, lecz zapewne nie taki profan, jak ja, i jakkolwiek bym chciał mieć o sobie niskie wyobrażenie, nie mogłem nie czuć krzywdy, jaka się robi naszej przyjaźni. I jaż miałbym był miał odwagę mówić ci o sobie? i tak już wstydziłem [się] wszystkiego, com tobie komunikował...... i wierz mi, że trzeba było, żebym w Maurycym, znalazł moje własne myśli o użyteczności tego zamiaru, żebym znowu miał czoło mówić tobie o jakim literackim

projekcie. Ja o sobie mam bardzo nieuprzedzone wyobrażenie, nie przyznaję sobie żadnych wyższych zdolności, lecz myślę, że moje dobre chęci, moja gotowość podjęcia się wszystkich prac, co mogą być użyteczne w tym względzie, i myśli ciągle obrócone ku postępom literatury i wyobrażeń, mogły jakkolwiek usprawiedliwiać twoją przyjaźń i zaufanie we mnie, i nie będziesz się dziwił, że to błyskanie przedemną twojemi nowemi, świetniejszemi stosunkami, a odepchnięcie mnie od wszelkiej poufałości twego serca było dla mnie tak dotkliwem, że i teraz nie mogę bez żalu przywołać go sobie na pamięć« [1]).

Już wyżej wyjaśniłem, o ile nieuzasadnionemi były skargi Grabowskiego na lekceważenie jego uczuć przyjacielskich ze strony Zaleskiego; co się tyczy rzekomego błyskania nowemi stosunkami, wyrażenie to mogło się przedewszystkiem odnosić do Odyńca, bo ani Brodziński, ani Witwicki, wspomniani wraz z Odyńcem w tym liście, jako ci, których jakoby obdarzał większem zaufaniem, niż jego, nie należeli do nowych stosunków. Otoż nie wiedział Grabowski o tem, że pomiędzy Bohdanem a Odyńcem nie było wcale serdecznego węzła, a tylko zwykły towarzyski, tak dalece, że Bohdan pozwalał sobie nawet, jak to niebawem zobaczymy, wyśmiewać się w listach z próżności »brata Litwina«. Być może zresztą, że pochwalił się przed przyjacielem pochlebnemi słowami Mickiewicza, które otrzymał za pośrednictwem Odyńca, ale niewątpliwie nie spodziewał się, że to może dotknąć dawnego kolegę. W każdym razie żale te świadczą, jak wielkim skarbem i teraz była dla Grabowskiego przyjaźń naszego poety, jak wielki urok miała dla niego jego poezya. Pod tym ostatnim względem jeszcze lepiej świad-

---

[1]) Cały ten ustęp od słów: »Daruj mnie kochany Józefie« (a także niektóre inne) opuszczony został w wydaniu Listów Grabowskiego w Tyg. Illustr. 1890 r.

czy końcowy ustęp listu, w którym Grabowski przypuszczał nowy szturm do Bohdana, z jeszcze większą niż dawniej siłą, aby go skłonić do ogłoszenia swoich poezyi drukiem.

»Dlaczego nic nie drukujesz? Ja myślę, że to jest jedno z absurdów Brodzińskiego, jedna z tych teoryi opuszczenia rąk. Dlaczego on zaniedbał drukować Pamiętnik Warszawski? za co jest krzywy przed Bogiem i narodem? Ja jestem, ja żyję w tem wyobrażeniu, że nam Polakom na naukach wiele zależy, że wszystkie nasze zdolności winniśmy nieść na ołtarz usługi publicznej i wpływać teraz na dobre, potem na lepsze; i tyż z tym pięknym talentem poezyi, który tyle władzy może mieć na[d] serca[mi], chcesz robić użytek skąpca, który dar Boży niewdzięcznie w ziemi ukrywa? Zostaw Osińskim i Koźmianom chować po tekach swoje mozolne prace, one więcej nie warte, lecz twój talent jest innego gatunku. Ty go rozlewaj hojnie i bez troski, bo rozkosz, jaką nam sprawisz, nie wyczerpa twego zasobu. Na co te odkładania? Cóżbyś powiedział o kwiatach, któreby miały woń, dopiero uschnąwszy, i o owocach, któreby dopiero smakowały dziesiątemu pokoleniu? A uważaj, że poezya jest kwiat i woń myśli i uczuć, któremi nam teraz więcej niż kiedy orzeźwić się dobrzeby było. Zresztą ja tego sobie wytłómaczyć nie mogę i taki upór tak dalece wychodzi ze sfery moich wyobrażeń, że ja nie mogę wierzyć, żeby go bez innych jakich mnie niewiadomych przyczyn mieć można.

»W każdym razie mnie smutno myśleć, że w niepewności, jaka jest w życiu każdego człowieka, stać się może, że ja żyjąc w czasach, które kiedyś może nazwą piękną epoką literatury naszej i w takich bliskich z tobą stosunkach, mogę umrzeć nieznając tego, co kiedyś tyle obcych i obojętnych ludzi znać będzie. Lecz na cóż to mówić? ty to sam lepiej pojmujesz, niż ja mogę wyrazić,

chyba że cię ów obłęd systematu do tego stopnia zaślepia« [1]).

Czy w istocie Zaleski ukrywał w tece tak wiele utworów, jak go oto obwiniał Grabowski? Nie, tak nie było. Lata 1826 i 1827, w życiu Bohdana były ubogie w poezyę. Atmosfera Rawy i Sochaczewa widocznie nie sprzyjała twórczości poetyckiej, nie sprzyjały zajęcia pedagogiczne, to też życie swoje ówczesne, jak wiemy, nazywał Bohdan »antypoetyckiem«. W jego tece z tych czasów były zapewne jakieś fragmenty, ale nic wykończonego, nic takiego, z czegoby poeta był zadowolony, coby uznawał za godne druku. Dopiero latem 1828 nawiedziło go natchnienie i napisał *Rusałki* prawdopodobnie bezpośrednio przed spotkaniem się z Grabowskim. Dlaczego ich nie pokazywał nikomu, o tem już była mowa.

Czy szturm przypuszczony przez Grabowskiego do przyjaciela, aby nie ukrywał swoich poezyi, odegrał jaką rolę w prędkiem ukazaniu się *Rusałek* w druku, trudno to wiedzieć, zwłaszcza że nie wiemy, kiedy ten list doszedł rąk poety. To tylko pewna, że już w jesieni 1828 Odyniec miał sobie przyrzeczony do noworocznika, który zamierzał wydać, jakiś utwór poetycki Bohdana, którym, jak się okazało potem, były *Rusałki*. Wydawnictwo to najzupełniej odpowiadało usposobieniu Odyńca. O ile Grabowski usilnie pragnął stworzyć poważny organ literacki, któryby podniósł poziom polskiej krytyki, stał się pośrednikiem między publicznością polską a europejską oświatą z jej najnowszemi prądami literackiemi i oddziałał w ten sposób na całą literaturę naszą, o tyle Odyńcowi chodziło, aby utrwalić i udoskonalić na gruncie polskim już dawniej, ale nieudolnie przeszczepiany zwyczaj europejski wyda-

---

[1] List datowany ze Złotijowa 19 września 1828.

wania ozdobnych almanachów, przeznaczonych przeważnie dla płci pięknej, a skupiających w sobie najlżejszą i najpoczytniejszą literaturę. Ponieważ Odyńcowi nie brakło rzutkości, a miał mnóstwo stosunków literackich, tak wśród młodszego pokolenia, jak i wśród starszych, tak w Warszawie, jak na Litwie, przedewszystkiem zaś zapewnioną pomoc Mickiewicza, którego imię tak wiele już znaczyło, więc nie trudno mu było doprowadzić do skutku przedsięwzięcie, które mu i wielkie wzięcie wśród kobiecego świata i nawet korzyść materyalną przynieść mogło. Noworocznik miał mieć litewską nazwę *Meliteli*, bogini zieloności i kwiatów, co miało być godłem, wskazującem romantyczny charakter zbiorku, choć było tam sporo wierszy, nic z romantyzmem nie mających wspólnego.

Zaleski nie miał wielkiej ochoty figurować w *Meliteli*, ale Odyniec umiał prosić, a przytem trudno mu było odmawiać, skoro i Niemcewicz i Brodziński, i Mickiewicz i Witwicki i tylu, tylu innych przyrzekło dać Odyńcowi swoje utwory. Więc zgodził się, jednakże namawiał Odyńca, aby nie spieszył się z wydaniem *Meliteli*. W pierwszych dniach listopada wypadło mu nagle wyjechać z Szembekiem i to na cały prawie miesiąc w Krakowskie, otoż w wigilię dnia tego (14 listop.) donosił Odyńcowi, że poezya przyrzeczona do almanachu leży gotowa w Sochaczewie, dodawał: »Nie chcę, aby chodziło po ręku przed wydrukowaniem i dlatego nie posłałem do Warszawy. Sądzę przytem, że się już nie uwiniesz z rycinami i drukiem almanachu przed Nowym Rokiem, i że zawiesisz projekt do czasu. Wierzaj mi, kochany Edwardzie, nieźle to będzie. Wszystko jedno, czy almanach wyjdzie zimą czy na wiosnę, a zyska i pod względem wartości przedmiotów i pod względem zewnętrznych ozdób. Jeśli potrzebować będziesz moich wierszy, napisz do Sochaczewa list pod moim adresem, a na odwrotnej stronie

wyraź swoje nazwisko. Osoba odbierająca moje listy z poczty, uskuteczni twoje żądanie«[1]).

Ten list do Odyńca posyłał na ręce Witwickiego, do którego pisał tegoż dnia osobno, przesyłając mu uwagi nad jego *Tobiaszem*. Witwicki swój ten mały poemat biblijny przeznaczał także dla *Meliteli*, ale przedtem posłał go był przyjacielowi, dla zasięgnięcia jego rad krytycznych. Zaleski w kłopotach przedwyjazdowych nie na wiele mógł się zdobyć, wszakże przesyłał co mógł. Wybór przedmiotu uznał za godny najwyższej pochwały, z wykonania nie wszędzie był zadowolony i odpowiednie miejsca popodkreślał czerwonym ołówkiem. Ale od tych uwag ciekawszem jest to, że, jak się można domyślać, temat biblijny dyalogu sprawił na nim tak silne wrażenie, iż się ono odezwało we śnie. »Przedewszystkiem — pisał do Witwickiego — muszę ci napomknąć o śnie, jaki miałem przedostatniej nocy. Śniłeś mi się razem pięknie i okropnie. Najwyższy tryumf poetycko-moralny i śmierć. Nigdy na jawie nie doświadczyłem podobnego wrażenia, obudziłem się wśród łkania i religijnej exaltacyi. Zanotowałem sobie dziwne szczegóły, bo chcę ci je kiedyś opowiedzieć. Pamiętam osnowę, niektóre wyrazy i porównania z mowy mianej przez ciebie na jakiemś uroczystem zgromadzeniu, zupełnie w twoim stylu. Dotąd na wspomnienie tego snu strasznego serce mi bije mocniej, Dalibóg, nie wiedziałem sam, że cię tyle kocham«[2]). Ustęp ten lepiej, niż co innego, świadczy o tajemnych niciach sympatyi, jakie wiązały tych dwóch młodzieńców o różnych zdolnościach, ale o pokrewnym nastroju religijnym.

Po powrocie z podróży w Krakowskie Zaleski miał atak smutku i rozdrażnienia, do czego przyczyniło się kilka listów ze smutnemi wiadomościami ze stron rodzin-

---

[1]) Kor. I. B. Z. I, 27.
[2]) Tamże I 26.

nych, a także listy od Odyńca i Witwickiego z pretensyami, iż nie dopełnił tego, o co go proszono. W takiem usposobieniu tem mniej miał ochoty puszczać w świat swoje *Rusałki*, które dzięki jakiemuś nieporozumieniu nie zostały jeszcze wysłane do Warszawy i których rękopis nawet, przeznaczony do druku, zaginął, tak iż trzeba je było z pamięci przepisywać. »Dobiłeś mnie, Stefanie, — pisał do Witwickiego d. 1 grudnia 1828, odpowiadając na jego wymówki, wywołane zapewne zbyt skąpo podanemi uwagami o *Tobiaszu* — już od dwóch tygodni jestem sępny, rozdrażniony, cierpiący, a twoje niezrozumiane dla mnie wymówki sprawiły rodzaj febry, że ledwie pisać mogę, tak mi drży ręka. Jeżeli się gniewasz o Tobiasza, to się gniewaj na czas i ludzi, bo ja, przysięgam na wszystko, ani odrobiny nie byłem winien. Zaprzedawszy moją swobodę, musiałem wszystko w kąt rzucić i jechać, jechać, djabeł wie gdzie i po co? Stąd narobiłem sobie tyle przykrości, niewinny obraziłem na siebie przyjaciół. Odyniec także musi się gniewać. Wyjeżdżając, zostawiłem rękopism dla niego osobie najzacniejszej; ta wyjechała do Galicyi nagle, nie uwiadomiwszy mię, co się stało z moją poezyą? Byłem pewny, że odesłana jest Odyńcowi... Zaczynam wierzyć Stefanie, że nieprzyjemności nigdy pojedyńczo nie uderzają na człowieka, ale razem, aby go całkiem przygnębić. Powracam z Krakowskiego i zastaję kilka najsmutniejszych listów z Ukrainy. Sen mój o tobie okropnie się dla mnie sprawdził. Mój krewny i przyjaciel młodości, także Zaleski, tyle mi co ty drogi, a nawet droższy dla szczęśliwszych wspomnień, rozstał się ze światem [1]). Brat mój mi chory i kilka osób z fa-

---

[1]) O jakim Zaleskim tu mowa, nie wiadomo mi. W Korrespondencyi wydanej przez syna poety, wymieniony jest w przypisku Julian, ale zdaje się, że tu zaszła omyłka, gdyż, jak wiemy, Julian zginął był samobójczą śmiercią jeszcze w r. 1825.

milii, które najwięcej kocham, różnego rodzaju dotknęły straty. Grabowski także *contra me*. Zdaje się, że wszystko sprzysięgło się na mnie. Popamiętam długo koniec roku 1828. Jestem tak skłopotany, że nie wiem co począć«.

A dalej pisał: »Dziś niedziela, jestem wolny od powszednich głupich zatrudnień i zamykam się na cały dzień w moim pokoju. Kochany Stefanie! powiedz Odyńcowi, że jeśli w tych dniach na chwilę odzyskam spokojność umysłu, natychmiast przepiszę moje wiersze i poszlę mu przez pocztę. Dziś bowiem nie byłbym w stanie myśleć nawet o poezyach Byrona. Zresztą, mój Stefanie, byłbym ci nieskończenie wdzięczen, gdybyś wyjednał dla mnie uwolnienie. Ja nie wyciągałem nigdy rąk do sławy, a dziś mi obrzydła. Ustąpię wszystko ludziom, byle mi dali pokój. A potem niekontent jestem z moich wierszydeł. Niech więc drukuje Odyniec almanach bezemnie, a jeśli się uprze koniecznie o pisma moje, chcę, aby wydrukowane były na samym końcu, a jeśli można na okładkach«. Tu już błysk humoru przeciskał się przez chmury smutku, ale bojąc się, ażeby na seryo nie wzięto tego kaprysu dodawał: »Moje *Rusałki* zajmą mniej więcej 24 stronic, licząc po 20 wierszy na stronicę. Niech więc drukuje almanach, ale wyproś mię z niego, Stefanie«! I w dopisku jeszcze się raz wypraszał: »Na miłość Boga, uwolnij mię od almanachu, bo pewno chyba za tydzień mógłbym przysłać poezye«.

Całe to wypraszanie się pochodziło stąd, że w rozdrażnieniu, jakie go opanowało, tem mniej miał ufności, że jego *Rusałki* mogą podobać się ludziom, że nie wydadzą się czemś dziecinnem i rażącem. Więc tylko pod przymusem gotów był ustąpić, zwalając w ten sposób przed samym sobą winę ogłoszenia na innych. Ale bardzo prędko otrzymał pocieszającą i zachęcającą odpowiedź Witwickiego i zabrał się zaraz do przepisania *Rusałek*, aby je natychmiast wysłać do Warszawy. Niemniej

przeto wysyłał je z niepokojem i polecając je opiece Witwickiego, pozwalał na zmiany i opatrywał pewnemi objaśnieniami, w obawie, aby się nie wydały zbyt rażącemi. »Twojej szczególnej opiece oddaję *Rusałki*, popraw, odmień, dopilnuj korrekty. Niech przynajmniej mało wartych myłki druku nie oszpecają. Jest to cząstka z długich moich [wędrówek?] w świecie fantastycznych marzeń. Przeczytaj ostatnią strofę Epilogu, a poznasz, jaki miałem cel w napisaniu *Rusałek*. Dałem im tytuł fantazyi, ale wolałbym Mysterium. Wydrukujcie, jak chcecie«.

Najwięcej jednak chodziło mu o to, ażeby ludzie nie dopatrywali się w poemacie alluzyi do jego osobistych stosunków i aby nie gorszyli się tem, że twórca rycerskich rapsodów, »syn Bojana«, w czasach gdy powstają takie wielkie historyczne kreacye, jak *Wallenrod* albo *Zamek Kaniowski*, wygrywa jakieś trele miłosne na tle fantastycznem. Czuł więc potrzebę jakiegoś objaśnienia, któreby zapobiegło niepochlebnym porównaniom i wyraźnie odgrodziło poetę od bohatera poematu, ale sam nie miał dość spokojnej głowy, aby napisać to objaśnienie i prosił oto Witwickiego. »Bądź dobry, napisz do Rusałek króciuchne objaśnienie:

»Że używana w nich wszędzie pierwsza osoba stosuje się do Cisława Zorzy, a nie do mnie.

»Że z tym Cisławem fantastykiem kiedyś może publiczność więcej się obezna.

»Że fantazya Rusałki i inne tego rodzaju są niejako arabeskami przy większym historycznym obrazie, igraszką imaginacyi razem ludu i poety, że Cisław jest śpiewakiem tego ludu etc.

»Będę ci nieskończenie wdzięczen za tę przysługę. Zrób tylko to zręcznie, bo publiczność gotowa mnie i Cisława wziąć za jedną i tęż samą osobę, czego nie chcę«[1]).

---

[1]) Korr. I. B. Z. I 29 - 30.

Wysławszy *Rusałki* na ręce Witwickiego, Zaleski z zatajonym tchem oczekiwał pierwszej wiadomości o tem, jak się one wydadzą warszawskim towarzyszom pióra, przedewszystkiem Witwickiemu, w którego szczerość i sąd krytyczny wierzył. Wszakże dotychczas tak zazdrośnie strzeżone były przed ludzkiem okiem, że nikt ich nie widział, nie słyszał, więc kto wie, jak będą przyjęte. Gdyby były zupełnie podobne do jego dawniejszych utworów, obawa poety o ich powodzenie byłaby mniejsza, ale one nie były podobne do niczego w całej poezyi polskiej. Więc czy nie wydadzą się czemś bardzo rażącem? Jak dalece był niepewny dobrego wrażenia, świadczy to, że przypuszczał, iż Odyniec może nie zechce drukować *Rusałek;* w takim razie prosił Witwickiego, aby odebrał rękopis i zachował u siebie. — Ale niepokój trwał niedługo. Bardzo prędko nadszedł list Witwickiego, za nim w ślady zaraz drugi i trzeci, a z tych listów Zaleski przekonał się, że *Rusałki* na przyjacielu krytyku wywarły jak najlepsze wrażenie. Po dłuższym niepokoju i przygnębieniu fala szczęścia zapełniła piersi poety, a zarazem fala wdzięczności dla tego, który był sprawcą tej zmiany. »Kochany Stefanie, odpowiadał mu (20 grudnia), w uczuciu pełnej i rzewnej wdzięczności składam ci podziękowanie za tkliwy i delikatny dowód twojej przyjaźni. W przeciągu czterech dni trzy od ciebie odebrałem listy, a rozlana w nich dobroć i współczucie o wiele ulżyły moim cierpieniom. Myśl, że w latach, kiedy szukałem tylko znośnych w pożyciu ludzi, znalazłem takiego, jak ty przyjaciela, jest dla mnie pełna nieokreślonej rozkoszy. Niech zniknie reszta omamień młodości! niech szczęśliwy orszak rówienników, co dłoń z dłonią uwiązał się niegdyś koło mnie, niech mię pożegna, zapomni! ze łzami, lecz spokojniej zniosę te ciosy, bo mię już wynagrodziła Opatrzność. Mój Stefanie, mój druhu! świat, stan i uczucia nasze są

spólne. My możemy mówić o wiecznej przyjaźni, bo sympatya dusz naszych z wieczności począć się musiała«.

W jaki sposób określał Witwicki, w liście do przyjaciela, wrażenie, jakie na nim wywarły *Rusałki*, tego nie wiemy, prócz tej uwagi jego, że trzeba się wczytać w ten poemat, ażeby w nim zasmakować, ale to wiemy, że ocena ta sprawiła najżywszą rozkosz Bohdanowi i obudziła w nim zaufanie w swoje siły. »Kochany Stefanie, pisał w tym samym liście, pochwała twoja *Rusałek* jest niewątpliwie nad wartość tego utworu, ale tak szczęśliwą jaśnieje oryginalnością, że radbym ją widzieć wydrukowaną. Zasłużyłbym może na nią późniejszemi pismami«. Zachęcony wrażeniem, jakie *Rusałki* wywarły na Witwickim, donosił mu, że ma w tece fragment innej fantazyi p. t. *Kwiat paproci*, której koloryt, jak się spodziewał, okaże się daleko świetniejszym, a przypływ ufności we własne siły pobudził go do żartowania z pretensyi Odyńca i lekceważenia jego poezyi. »W dniu, kiedym odebrał twój list przedostatni, pisał w tymże liście do Witwickiego, byłem bardzo smutny; lecz przyłączony bilecik Odyńca pobudził mnie do najserdeczniejszego śmiechu. Żądał, abym dla emulowania z Mickiewiczem i z nim, przysłał co narodowego, które rzeczy razem w osobnym oddziale wydrukuje. Tak mię ta myśl ubawiła, że natychmiast siadłem do stolika i zacząłem pisać dumkę Kozaka, naigrawającego się z brata Litwina. Żałuję, że jej nie skończyłem, bo ma koloryt prawdziwie narodowy, [ale] lepiej może się stało, bo byłby się obraził Odyniec. Wszelako, jak Anglik, pójdę w zakład, że jego dziesięć ballad będą mniej narodowe, niż dziesięć moich wierszy. Radziłeś mu, żeby nie szedł na wyścigi z Mickiewiczem, ja bez dumy powiedzieć mogę, że się go w moim rodzaju nie obawiam, choćby pokradł najpiękniejsze pomysły z Waltera Skota i Moora«.

Taka to nagła zmiana zaszła w usposobieniu poety

pod wpływem wiadomości, że *Rusałki* podobały się Witwickiemu, że zatem nie wydadzą się ludziom dziwolągiem i znajdą dobre przyjęcie, a koszta tego gwałtownego przerzucenia się z jednej ostateczności w drugą, od największej niepewności do zupełnego zaufania w sobie, zapłacił Odyniec, ten sam, któremu Grabowski, sądząc z pozorów, tak zazdrościł przyjacielskich stosunków z Zaleskim. Ale w liście Witwickiego obok pochwał była i krytyka pewnych szczegółów, pewnych strof i wyrażeń w *Rusałkach*, krytyka, przeprowadzona wspólnemi siłami Witwickiego i Odyńca i przesłana do uwzględnienia poecie, jeśli mu się podoba ją uwzględnić. Ucieszony wrażeniem ogólnem, jakie *Rusałki* wywołały w Witwickim, krytykę szczegółów przyjął Zaleski bez wszelkiej drażliwości i uznał ją za »bezwarunkowo« słuszną. »Wiedziałem ja dobrze o tych błędach, ale myślałem, że się niedostrzeżone prześlizną i leniłem się poprawiać. Dziś nawet szczerze mi się nie chce, ale cóż robić? Spróbuję«. Przesyłał tedy poprawki do niektórych wierszy i godził się na odrzucenie trzech strof (jakich? nie wiemy), które się nie podobały Witwickiemu. Zresztą jeszcze raz polecał *Rusałki* »braterskiej pieczy« Witwickiego, »wszak bez ojca sieroty tułać się muszą. Odyniec ich nie pomieści w osobnym uprzywilejowanym oddziale«. Takiego oddziału nie było w *Meliteli*, ale w istocie książka ta, skupiając prawie wszystkich poetów współczesnych młodszych i niektórych starszych, była czemś w rodzaju popisu, wystawy poetyckiej, i opieka ojcowska w tak licznem zgromadzeniu świeżych utworów poetyckich była dla *Rusałek* bardzo pożądaną. Bohdanowi chodziło o to, aby jego *Rusałki* przedstawiły się w tym salonie poetyckim w przyzwoitej szacie drukarskiej t. j. w dobrej korekcie, a także z odpowiednim tytułem i wstępnem objaśnieniem. »Kochany Stefanie, dopilnuj sam korrekty, bo z natury mojej drażliwy jestem na myłki drukarskie. Tytuł niech będzie

Mysterium lub jak zechcecie. Noty nie napiszę, bo musiałbym się w niej chwalić, obiecywać. Napisz ty lepiej, byle krótko. Wiesz, co jest Cisław? Wiesz, że mam zamiar więcej pisać fantazyi w tym rodzaju. Przeczytaj dawniejszy mój list, a potrafisz doskonale zrobić mały ustępik niby od wydawcy [1]. Zresztą niech sarka gmin literacki. Rusałki moje podobały się tobie i mnie kilka chwil przyjemnych sprawiły, kiedym je układał, to dosyć« [2].

Czemże są owe *Rusałki?* Żeby je poznać, trzeba je poddać analizie, choć analiza tu niełatwa, bo poezya Rusałek jest dziwnie subtelną i z różnorodnych pierwiastków wysnutą przędzą. Ma ona i swoją treść epicką, ale jaką? Jest to jak sieć pajęcza, której dotknąć nie można bez jej naruszenia. Rzecz dzieje się na Ukrainie, tyle jest rzeczą pewną; bohaterem jest »duszą, sercem Ukrainiec«, tak się sam nazywa; ale w jakich czasach odbywa się historya przez niego opowiedziana, tego oznaczyć już niepodobna. Z pewnych wyrażeń możnaby mniemać, że dzieje się to jeszcze w czasach nieujarzmionej Kozaczyzny. Wszak bohater chwali się, że w czajce »przemknął Nienaszyniec — najstraszniejszy próg dnieprowy« i że jego trudne próby »lud niżowy uznał wszystek«. Ale ten sam bohater w innych strofach jest tak podobny do studenta humańskiej szkoły, wspinającego się po skałach Zofiówki, albo chowającego się między żytem, że wyobraźnia nasza

---

[1] Stosownie do tego życzenia poety umieszczono w *Meliteli* następujący przypisek wstępny przy *Rusałkach:* »Osobą opowiadającą w niniejszym poemacie jest Cisław Zorza. Autor ma nam jeszcze dać poznać inne sceny i obrazy jego życia, zapewne nie mniej zajmujące. Co do *Rusałek* przydać by tu należało miejscową wiadomość o własnościach gaju tym boginiom poświęconego, o przymiotach i naturze ich samych, nie mniej o zaklęciach czynionych w jaskini *Żalów ucho.* Autor, dziś drukowaniu Rusałek nieobecny, zaspokoi zapewne naszą ciekawość przy innem wydaniu«.

[2] Korr. I. B. Z. I 30—33.

od tych nieokreślonych, ale w każdym razie odległych czasów przeszłości kozackiej, bardzo chętnie przenosi się do niedalekiej przeszłości studenckiej poety.

Całość składa się z pięciu części, któreby można nazwać fantastycznemi dumkami, a właściwie z czterech takich dumek i epilogu, który jest czystą liryką. W pierwszej części, która ma tytuł »Przesilenie«, po paru strofach, które jako przegrywka wiążą się z epilogiem, uderzając w zasadniczy ton jego, ton elegijny,

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,

poeta pod przybranem imieniem Cisława, przedstawia swój stosunek miłosny do pięknej Zoryny, który, jak się domyślać możemy i jak to stwierdza świadek naoczny, Odyniec, jest poetycznym odblaskiem stosunku Bohdana do Róży Żukowskiej. Ale syrena warszawska przeniesiona jest z tła wielkomiejskiego na tło sielskie i ukraińskie i przystrojona we wdzięki wyobrażeń ludowych. Epitet »czysta czarownica«, z silnym akcentem jej przydany, doskonale maluje i tę przewagę, ten czar, jaki wywierał na poecie, bardzo wrażliwym na wdzięki kobiece, żywy temperament pięknej dziewczyny, i zarazem odzwierciedla wyobrażenia ludowe o szczególnem usposobieniu świata kobiecego do stosunków z nadzmysłowemi potęgami, o zdolności i nauce czarowania, przechodzącej tradycyjnie z pokolenia na pokolenie.

W pieśni ukraińskiej nazwie »czysta« czarownica odpowiada epitet »sprawiedliwa«, to znaczy prawdziwa czarownica. Epitet ten znajdujemy w powszechnie znanej i ulubionej pieśni o Hryciu, którego kochanka przez zazdrość otruła, w pieśni, którą Zaleski znał dobrze i nawet tłumaczył, dość zresztą nieudolnie:

Ne chody Hryciu, na weczernyci,
Bo na weczernyciach tam wsi czariwnyci.

Kotra diwczyna czornobrywaja,
To czariwnycia sprawedływaja.

Czarne brwi to największa ozdoba dziewczyny, one też są oznaką zdolności czarowania. Otoż w tym ustępie bardzo dobrze się uwydatnia ten podwójny charakter czarów dziewczęcych, to jest wpływ, jaki urokiem swojej postaci, swego spojrzenia zdolne są dziewczęta wywierać na młodzieńców i ich znajomość sztuki czarowniczej.

W dalszym ciągu tej pieśni ludowej nie o właściwe czary chodzi, ale o otrucie i to za pomocą środków naturalnych, trującego ziela. Wogóle sztuka czarownicy, oprócz znajomości odpowiednich obrzędów czarodziejskich, polega przedewszystkiem na wyszukaniu odpowiedniego ziela, czy to gdy chodzi o sprowadzenie nagłe ukochanego, czy o wzbudzenie miłości w obojętnym. Tak n. p. w piątym tomie zbioru Czubińskiego, jest w dziale pieśni miłosnych pieśń (Nr. 803) gdzie dziewczyna szuka korzenia »rozmaju«, znajduje go, wyrywa korzeń, płucze go, oblewa wódką i miodem, przystawia do żaru i przymawia: *Kipy, kipy korineć — Poki pryjde mołodeć* i wnet siła czarów zwycięża: *Szcze korineć ne wkypiu — Wże mołodeć pryłetiu.* Ziele, które ma służyć do wzbudzenia miłości, rośnie zwykle koło przełazu:

Jest tam u mnie takie ziele poniżej przełazu,
Jak go napić się dam tobie, pokochasz odrazu.

Jest' u mene take zilla nyszcze perełazu,
Jak dam tobi napyty sia, polubysz odrazu.
(Czub. V. Nr. 804 i 805).

Ale są i inne sposoby czarowania młodzieży przez dziewczyny czarownice. Matka woła syna na wieczerzę, którą mu ugotowała, ale syn jej odpowiada, że mu teraz wieczerza nie miła. Dlaczego? matka mu tłumaczy: dziewczyna to sprawiła, brała piasek z pod białych nóg i tym go czarowała, brała wodę z zielonego brodu i tą go na-

poiła[1]. W innej pieśni (Czub. V. 811) dziewczyna bierze ziemię z pod ukochanego, do serca swego ją przykłada i w ten sposób go czaruje[2]. Ale nasz poeta nie trzymał się niewolniczo pieśni ludowej, nie wprowadził w *Rusałkach* żadnego z wymienionych tu sposobów czarowania, ale zgodnie z naturą swoją lubującą się w tle eterycznem, zamiast środków czarodziejskich, których trzeba szukać w ziemi, szukał ich na niebie, w zjawiskach świetlanych. Zoryna jego — księżyc i gwiazdy ma za pomocników.

»Bój się« — nieraz mi mówiła,
Gdy był księżyc na młodziku —
»Mnie kąpała matka w mléku,
Nauczała czarów siła«.

»Błyśnie siedem gwiazd na niebie,
W Dnieprze błysną trzy miesiące,
Zalśnią gwiazdy spadające,
I co zechcę, zrobię z ciebie.

»Dość niech mrugnę, ręką skinę,
Będziesz ptaszkiem, rybką w rzece«.
Mnie się zdało, że już lecę,
Że już lecę, że już płynę.

Ale to, że Zorynę matka nauczała czarów, zgodne jest zupełnie z ludową pieśnią. Tak w jednym z waryantów pieśni już przytaczanej (Czub. Nr. 803 str. 417) dziewczyna chodzi z nożem koło młyna, kopie ziemię i pyta matki, które ziele ma kopać i jak je przyrządzić, a matka ją

---

[1]) A to tobi, mij synoczku, diwczyna narobyła,
Brała pisok z pid biłych noh, ta wyczarowała;
Brała wodu z zełenoho brodu, tebe napowała.
(Czub. V. Nr. 813).

[2]) Ja z pid tebe zemlu brała,
Do serdeńka kłała,
Zemli brała, k serciu kłała,
Tebe czarowała.

naucza, aby kopała korzenie i w gorzałce moczyła[1]). W innej pieśni (Czub. V. 808) dziewczyna niesie wodę, kozak prosi, aby mu dała napić się, a dziewczyna odpowiada, że jej matka nie kazała dawać tej wody do picia, ale jak kozak przyjedzie do nich wieczorem, to go będą czarowały: oczarują ręce, nogi i czarne oczy, aby nie chodził do innej podczas ciemnej nocy. Wogóle nauka czarowania w pieśniach i wyobrażeniach ludowych przechodzi tradycyjnie z matek na córki, tak jak to Zoryna w *Rusałkach* mówi o sobie.

Co się tyczy imienia bohaterki poematu, to naturalnie nie jest ono wzięte z ludowej poezyi, nie jest też, jakby można było przypuszczać i jak przypuszczano, przerobieniem Róży, Rozyny, przez metatezę w Zorynę, ale ma, mojem zdaniem, innego rodzaju pochodzenie, ugruntowane na miłem wrażeniu, jakie na uchu słowiańskiem wywiera wyraz »zorza« i na uroku, jaki ma dla oka i wyobraźni już niekoniecznie słowiańskiej, ale wogóle ludzkiej lub przynajmniej aryjskiej, zjawisko niebieskie tą nazwą oznaczone. Że tak jest, najlepszym dowodem, że i bohater poematu, czyli ukrywający się w tym bohaterze sam poeta przybiera sobie nazwisko Zorza; jest to jak najwyraźniejsza skazówka, że i dla nazwy jego kochanki trzeba szukać rodowodu w tem zjawisku niebieskiem, które jak miało przed wiekami, tak ma w sobie i teraz, i będzie miało na wieki nieprzebrany skarb żywiołu poetyckiego. Bardzo być może, że to Adam Czarnocki, znany wówczas pod imieniem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, po części swojem przybranem imieniem fantastycznem, po części pewnemi ustępami swojej rozprawy o Słowiańszczyźnie

---

[1]) Koło młyna, młyna,
Tam diwczyna chodyła
Nożem zilla kopała
Matinky sia pytała,
»Kotre, maty, kopaty
I jak joho sprawlaty?«
— Kopaj doniu korinci,
Maczaj doniu w horiłci.

przedchrześcijańskiej, pobudził poetę do wybrania takiego nazwiska dla siebie i takiego imienia dla kochanki. We wspomnianej rozprawie, mówiąc o tem, co powinien czynić ten, kto chce zbierać podania ludowe, powiada on: »Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach, trzeba śpieszyć na jego uczty, zabawy i różne przygody. Tam w dymie wznoszącym się nad głowami snują się jeszcze stare obrzędy, nucą się dawne śpiewy i wśród pląsów prostoty odzywają się imiona dawnych bogów zapomnianych. W tym gorzkim zmroku dostrzedz można świecące im trzy księżyce, trzy zorze dziewicze, siedm gwiazd wozowych. Tam Zorza Lelowa zbliża się do młodego miesiąca, miłość nowożeńców i gody zwiastuje«. Otoż w przytoczonym ustępie *Rusałek* mamy prawie wszystkie te zjawiska niebieskie wymienione: i księżyc na młodziku, i siedem gwiazd na niebie i trzy księżyce odbite w Dnieprze, a Zorza, bohaterka poematu niebios, zostawia ślad swój w imionach bohatera i bohaterki *Rusałek*.

Co jest w tym obrazie wzajemnego stosunku kochanków do siebie najbardziej oryginalnem, własnem poety, choć nie bez pokrewieństwa z ludową poezyą ukraińską, to jego ton żartobliwo-miłosny. Dzięki jemu fikcya, oparta na dawnych fantastycznych wierzeniach ludowych, o sile czarów, o latawcach, nabiera obłocznej lekkości i wdzięku. Poeta w tę fikcyę sam nie wierzy, i pozwala nie wierzyć w nią czytelnikowi, ale nie mniej przeto ma ona w sobie prawdę poetycką, prawdę symbolu. Czarodziejskość Zoryny, to symbol czaru, jaki ona swoją postacią, swoim temperamentem, wywiera na Cisława, a jej groźba »I co zechcę, zrobię z ciebie«, jej zdolność zamienienia go w latawca jest wyrazem słabości młodzieńczej wobec potęgi *des Ewig Weiblichen*. Świadomość tej słabości jest motywem posuwającym akcyę tej fantazyi. Jak to? on, »wychowaniec pustyni«, on, bohater stepowy, który przebył najcięższe

próby odwagi rycerskiej ma być niewolnikiem kapryśnej dziewczyny? Nastaje chwila przesilenia w duszy poety, budzi się męska wola, postanawia on wyzwolić się z upokarzającej niewoli. Ale jak? Do tego służy nowa fikcya, podobnie jak poprzednia zaczepiająca, tylko jeszcze słabiej, wiotką sieć swoją o wyobrażenia ludowe.

Pierwsza pieśń nosi nazwę *Przesilenie*, druga ma tytuł: *Skarga*. Cisław postanawia zanieść skargę na dręczącą go kochankę przed trybunał Rusałek. Te istoty, wzięte z mitologii ludowej, a nadające tytuł całemu poematowi, nie poraz pierwszy, jak wiemy, występują w poezyi Bohdana. Jeszcze przed sześciu laty ukazały się w balladzie *Lubor*, zastępując miejsce Uhlandowskich elfów. Wtedy poeta dawał im epitet »srogich«, a w przypisku objaśniał, że podług mniemania ludu małoruskiego są to »krwi chciwe czarownice, nienawidzące powszechnie ludzi. Prawie zawsze przeznaczają im za mieszkanie stare bory, strumienie i t. p. Liczne przykłady przebiegłości Rusałek w podejściu niebacznych słyszeć można w powieściach tego ludu«. Komentarz nie bardzo był dokładny, nazwa czarownic w zwykłem tego słowa znaczeniu nieodpowiadała tym istotom fantastycznym, które szkodziły ludziom nie zapomocą czarów, tylko w taki sposób, że urządzały zasadzki na ludzi, albo nęciły ich ku sobie czy to śpiewem, czy lubieżną pięknością kształtów, aby pochwycić i załaskotać na śmierć [1]. Komentarz zresztą nie zgadzał się i z tą rolą, jaką poeta wyznaczał swoim rusałkom w balladzie *Lubor*. Przypominam, że nie występują one tam bynajmniej, jako krwi chciwe istoty, ale przeciwnie, jako jakieś bóstwa karzące wodza za zbyt wielki przelew krwi ludzkiej, jako mścicielki matek i kochanek okrytych żałobą. W ten sposób rusałki w *Luborze* oddalały się zarówno od elfów niemieckiej ballady, jak

---

[1] Porówn. Czubinskij, Trudy etc. T. I str. 207.

i od ludowych ukraińskich wyobrażeń o rusałkach, a zbliżały się, jak to już przedtem nadmieniłem, do Mickiewiczowskich Świtezianek.

W fantazyi, w sześć lat później utworzonej, rusałki, choć do niepoznania, jak to niebawem zobaczymy zmieniły się zewnętrznie, zatrzymały jednak swój dawny charakter bóstw, karzących przestępstwa ludzkie. Jest jakiś gaj Rusałek, w tym gaju ustronna grota, gdzie one przebywają, stąd groźna i omijana przez ludzi. Ale Cisław zbiera się na odwagę, i puszcza się do owej jaskini, aby przed jej mitycznemi mieszkankami wylać żale na Zorynę, od której tyle doznaje prześladowań. Cała ta wyprawa opowiedziana jest z aryostycznym uśmiechem, a krajobraz, z wielkim wdziękiem nakreślony, przypomina skały i groty Zofiówki.

Bliżej coraz gaj odludny,
Rzadsze brzozy i kaliny;
I już wstążka mej drożyny
Spada, znikła w przesmyk trudny.

Wystającą ponad gaje,
Skałę dzieli tylko parów.
. . . .

Młodzieniec, czując się już bliskim tajemniczej groty, zaczyna doznawać lęku.

Stają, dumam u parowu,
Jak wiciny pręt powiewny,
Wahający się, niepewny,
Raz postąpię, nie śmiem znowu.

Wreszcie opanowuje trwogę, skacze w parów, nad przepaścią po skale pnie się przez kolczaste tarny w górę, i dosięga ustronnej i ciemnej jaskini:

Dziko, głucho. Przez skał złomy,
Wiotki powój i paprocie
W powikłanym dziwnym splocie
Rozwieszają pas ruchomy.

Przed jaskinią mgła się kłębi,
Gęstolistny dąb u wniścia,
Lecz przez chmurę mgły, przez liścia,
Wzrokiem wciskam się do głębi.

Z ukorzonem wchodzę czołem,
Zdrój zaśpiewał z boku cienko,
Coś błysnęło jak okienko,
Tam ukląkłem i zacząłem.

Wynurzywszy swoje żale, wyspowiadawszy się z cudzych grzechów, lekki, wesół i żwawy w prędkich skokach przesadza jary i skały i wpada na dziedziniec, gdzie

Grono dziewic w jasnej bieli,
Strojnych, bo to przy niedzieli,
Płochą bawi się pogonią.

Wśród tego grona jest i jego wszechwładna pani, która ani się domyśla buntu niewolnika. Dziwnie pięknie maluje poeta na tle krajobrazu słonecznego królewskość Zoryny.

Słońce w blasku przez topole
Promienistą skłania głowę,
Trzęsie złoto na królowę,
Na najpierwszą w dziewic kole.

Spostrzegłszy swego niewolnika, chce ona wobec całego grona towarzyszek okazać swoją nad nim władzę, »każe usiąść na murawie — Kręg zakreśla małą nóżką« i pod srogą odpowiedzialnością zabrania mu ruszać się z tego zaczarowanego koła; dla większego zaś udręczenia kochanka zabiera inne dziewczęta i biegnie z niemi daleko w pole na zabawę.

Coraz prędzej, jak błysk fali,
Jak obłoczek biały, cienki,
Wieją jeszcze ich sukienki,
Jeszcze wieją... znikły w dali.

Zostawiony na murawie w zaczarowanem kole Cisław czeka tylko, aż mu znikną z widoku dziewczęta i wnet potem zrywa się, aby popędzić za niemi. Ta pogoń jego w nieprześcigniony sposób opisana; niedarmo Mochnacki w swojem dziele *O literaturze polskiej XIX w.* określał poezyę Zaleskiego, jako element ruchu, a Grabowski mu przytakiwał [1]. Na ten element zwracałem już uwagę, mówiąc o *Januszu Bieniawskim;* w *Rusałkach* jest godne pendant ustępu tam przytoczonego:

A więc milczkiem, w dwoje zgięty,
Pędem strzały, ptaka lotem,
Dołem, rowem, popod płotem,
Trop w trop, śladem za dziewczęty.

Padłem, wstałem, raz i drugi,
Gdy szły, szedłem, biegł gdy biegły
. . . .

Wraz dziewczęta się zwróciły,
A ja w strachu, jak z kopyta,
Jeszcze prędzej między żyta,
I przyległem u mogiły.

Z tego ukrycia może się on swobodnie przypatrywać zabawie dziewczęcej. Jest to ludowa ukraińska zabawa, nazywa się po rusku perepiłoczka, po polsku przepióreczka i ona to nadaje tytuł trzeciej pieśni. Polega zaś na tem, że dziewczęta biorą się za ręce i tworzą koło, w środku którego staje jedna w roli przepiórki. Dziewczęta, obracając się, tańczą i śpiewają odpowiednie piosnki; środkowa dziewczyna stara się wyrwać z zamkniętego koła, ale dziewczęta jej nie puszczają. Tym razem w kole stoi Zoryna i rzuca się w różne strony, aby przerwać łańcuch, który ją więzi, ale wszędzie znajduje wyjście

---

[1]) Grabowski, Literatura i Krytyka, Wilno 1840, T. I, str. 122.

zagrodzone i ciągle daremnym jej rzutom towarzyszy piosnka:

Fit, fit, fit, fit, przepióreczko,
Przepióreczko piękna, hoża!
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz kochanecko [1]).

Na ten widok w ukrytym Cisławie budzi się chętka wypaść nagle, niespodziewanie, z żyta, wnieść popłoch w zabawę dziewczęcą i zadziwić Zorynę swojem nieposłuszeństwem. Ale gdy już »gotowy w przedsięwzięciu« chce wykonać swój zamiar, uderza go dziwny widok na horyzoncie. Pajęcza fabuła poematu, dotychczas lekko uczepiona do ziemi, odrywa się od niej nagle, aby ulecieć w górę, w krainę cudowności; następująca też pieśń nosi nazwę *Cudowność.* Wiara młodzieńca w istnienie i pomoc bóstw rusałczanych ziszcza się. Na widnokręgu w jakiejś łodzi powietrznej ukazują się cudowne postaci niewieście, tak dziwnym blaskiem promieniejące, że słoneczne światło ciemnieje przy nim, a świat przeobraża się w kryształ przezroczysty.

Wnet się czczość rozjaśnia próżna
Na cudownych świateł strugi;
Jak szeroki, jak świat długi,
Wskróś jak kryształ przejrzeć można.

---

[1]) Poeta w przypisku objaśnia, że strofa ta jest dosłownem tłumaczeniem pieśni gminnej, zdaje się jednak, że tego zapewnienia poety dosłownie brać nie można. Podług Czubińskiego Trudy III, str. 64, dziewczęta na Ukrainie (w pow. wasylkowskim i gdzieindziej) śpiewały:

Perepiłoczka newełyczeczka
Tut buła, tut buła perepiłoczka,
Tut buła, tut buła newełyczeczka.

Co się tyczy wykrzyku: Fit, fit, to jest on zapewne naśladowaniem ruskiego *pid pilit*, naśladującego głos przepiórki, podobnie, jak polskie *pójdźcie żąć.*

Piękność tych fantastycznych postaci, które otacza promienista sfera »rubinowych iskr jutrzenki«, nietylko świat napełnia nadziemskim blaskiem, ale i inne cudowne wywołuje zjawiska. Cała natura porusza się na powitanie nieznanej dotąd piękności; liście róży zamiecią ulatują ku niej, za niemi dąży rój motyli, stotysięczny chór słowików wita ją hymnem uroczystym. Ale młody Cisław, po chwili oczarowania cudownym widokiem, domyśla się, że to jego zaklęcia przywołały te powietrzne boginie, zaczyna lękać się o los tej, na którą skargi zanosił, i teraz dopiero uczuwa w sercu swojem, jak mu ona jest drogą. Widzi też niebawem z przerażeniem, jak zawiązują one »wietrzny taniec« dokoła Zoryny, i naśladują zabawę, którą swojem zjawieniem się rozproszyły, przyśpiewując ledwie przebrzmiałą piosnkę dziewczęcą. W obawie, aby mu nie porwały kochanki, pada na kolana, odwołuje skargi, wzywa ją do siebie. Wdzięk zakończenia tej fantastycznej historyi opowiedzieć się nie da, trzeba ten ustęp przytoczyć:

Łza błysnęła, ścigam okiem,
Lecz lecące liście, kwiaty,
I motylów rój skrzydlaty,
Zasłoniły ją obłokiem.

Nikła, znikła. Klasłem w dłonie,
I upadłem, jak bez życia...
Aż uczułem serca bicia
Mej Zoryny! przy mem łonie!

I w ocknieniu słodkiem, blizkiem,
Do mych piersi drżącą tulę,
Do mych piersi mocno, czule;
Uścisk płaci mi uściskiem.

I motyle już wzleciały,
I wiatr listki róż rozdmuchnął,
Chór słowików głuchnął, głuchnął
I hymn skonał oniemiały.

I ocean dnia niezwykły
Blado, żółto jak w zaćmieniu,
Gasił promień po promieniu,
Aż zamierzchły i ponikły.

Ale światło szczęścia wieszcze
Od Zoryny biło oczu;
W czarnoksięskiej łzy przezroczu
Cud miłości jaśniał jeszcze.

Tak, miłość tworzy cuda, godne stanąć na równi z cudownością, w którą pierwotna fantazya chętnie wierzy. Czyż nie oblewa ona świata dziwnym blaskiem, czy nie nadaje naturze cudownego wyrazu tak, jak owo zjawienie się promiennych rusałek? W tych tedy ostatnich strofach poeta bardzo szczęśliwie powiązał cudowność zewnętrzną, fikcyjną, która odpowiada dziecinnym wrażeniom i wyobrażeniom, a w starszym wieku może bawić oko, ale do serca nie przemawia, z cudownością wewnętrzną, ze źródeł duszy rozkochanej płynącą. A razem z tem powiązaniem następuje zmiana tonu: ton lekki, nawpół żartobliwy, którym poeta dotychczas traktował miłość swoją, podnosi się w ostatniej strofie do patetyczności, i w ten sposób strofa ta stanowi, jakby przejście, albo raczej próg, odgraniczający ton swawolny od tonu elegijnego, jakim jest cały epilog zabarwiony.

Bez epilogu *Rusałki* nie miałyby tego znaczenia, jakie mają, byłyby czemś bardzo nieskładnem i dziwacznem; epilog je dopełnia, ozdabia i nadaje właściwe znaczenie. Ale nim przejdziemy do jego rozbioru, potrzeba zastanowić się nad tem, skąd się wzięły w tym poemacie rusałki, tak mało podobne do tego ich obrazu, jaki się w ludowej tradycyi ukraińskiej przechował? Według tej tradycyi mieszkają one w rzekach lub jeziorach, przy świetle księżycowem wynurzają się na powierzchnię wody, nagie, z rozpuszczonemi włosami, pływają po wierzchu wody lub siadają na trawie i rozczesują włosy, biegają po

polach, huśtają się na gałęziach i wabią przechodniów ku sobie, aby ich załaskotać na śmierć. Rusałkami według wyobrażeń ludu stają się topielice i dzieci nieżywo urodzone lub bez chrztu zmarłe; te ostatnie mają jeszcze osobną nazwę m a w e k. Ponieważ rusałki ukazują się i stają się groźne ludziom podczas Zielonych Świąt, więc ten tydzień świąteczny nazywał się tygodniem Rusałek [1]).

Rusałki w poemacie Zaleskiego nic z tej charakterystyki nie wzięły na siebie, nie mają najmniejszej cechy zdradzieckich bóstw wodnych, i jeżeli kogo przypominają, to wróżki, feje, czarodziejki romantyki zachodniej, a po

---

[1]) Rzecz godna uwagi, że w tym czasie, kiedy *Rusałki* Zaleskiego były gotowe do druku lub przynajmniej blizkie wykończenia, *Dziennik Warszawski* w październikowym zeszycie 1828 r. wydrukował artykuł I. Sniegirewa, tłumaczony z rosyjskiego p. t. *Tydzień Rusałek.* W artykule tym zebrane były historyczne świadectwa, a także zwyczaje współczesne ludowe, odnoszące się do wiary ludowej w te istoty. Było tam dużo ciekawych szczegółów, które mogły bardzo interesować naszego poetę, np. powiedziano tam: »W małej Rusi podczas niedzieli rusalnej nikt nie poważy się kąpać w rzece, ani plaskać w dłonie; we czwartek zasie w zielonym tygodniu dziewczęta a nawet mężatki nic przez cały ten dzień nie robią, uważając go za dzień w i e l k a n o c n e g o ś w i ę t a R u s a ł e k i lękają się ich przez to obrazić i ściągnąć zemstę ich na bydlęta. Wtedy to dorosłe dziewczęta potajemnie chodzą do lasu, a uplótłszy i rzuciwszy wianki dla Rusałek, ażeby te sprowadziły tych, co im są przeznaczeni, jak najspieszniej uciekają; w tych wiankach Rusałki biegają po życie«. W innem miejscu jest mowa o tem, jak Rusałki w sobotę przed Zielonymi Świętami biegają po życie i uderzając w dłonie, wołają: »buch! buch! sołomianyj duch, mene maty porodyła, nechreszczenu położyła, okrzyk, który Szewczenko powtórzył w swojej balladzie: *Pryczynna* (Urzeczona). Był też i wskazany, na podstawie Ducange'a, związek między nazwą rusałek a rzymską *pascha rosata.* Nasuwa się przypuszczenie, że to Grabowski, który zostawał wówczas w ściślejszych stosunkach z wydawcą *Dzien. Warsz.* a znał dobrze współczesną literaturę rosyjską, dostarczył tego artykułu Sniegirewa.

części elfy pochodzenia skandynawskiego. I tu spotykamy się z bardzo zajmującym faktem wpływu romantyki niemieckiej na poetę, który swój talent nazywał szczero-słowiańskim, który się chciał przejąć duchem mitycznego Bojana i być prawdziwym poetą słowiańskim. Romantyka niemiecka wobec tego Słowianina odegrała rolę prawdziwej rusałki, która go znęciła ku sobie powietrznością, lotnością swoich postaci, aby na jednym z najpiękniejszych utworów jego wycisnąć swoje piętno. Możemy wskazać nawet te utwory niemieckie, które bezpośrednio oddziałały na upostaciowanie i rolę *Rusałek* Zaleskiego.

Zaleski, przybywając do Warszawy, przywoził z sobą bardzo małą znajomość języka niemieckiego, to też nie odrazu mógł się bezpośrednio z poezyą niemiecką zaznajamiać. Za pośrednika służyły nieliczne i niezręczne przekłady polskie, (z Schillera) zapewne francuskie, wreszcie rosyjskie w poezyach Żukowskiego. Wiemy już, że za pośrednictwem Żukowskiego spotkał się z romantyką niemiecką w *Haraldzie* Uhlanda i muza jego silnie potrącona była tym utworem, przyczem może nawet nie wiedział, kto jest jego autorem, bo ówczesne wydanie poezyi Żukowskiego podawało *Haralda* bez wskazania, że to jest przekład [1]). Sława Bürgera, Goethego, a w szczególności Schillera, rozbrzmiewająca między warszawskimi romantykami, pobudziła go do zajęcia się językiem niemieckim i cytat jego z Schillera w liście 1828 r. (Auch ich war in Arkadien geboren) świadczy, że już w tym czasie czytywał poezye niemieckie w oryginale. Wtedy to zapewne spotkał się z oryginalnym Uhlandem i w jego balladach i romansach, tuż obok znanego już sobie (z rosyjskiego przekładu) *Haralda*, znalazł romancę p. t. *Die Elfe*.

Mitologia elfów w dawnych wyobrażeniach ludów skandynawskich, a także angielskiego i niemieckiego, jest

---

[1]) Porówn. A. Kołessa, »Żytie i Słowo« T. I, str. 128.

bardzo rozległa [1]); rozwodzić się tu nad nią nie mam potrzeby i podam z niej tylko tyle, ile wymaga zrozumienie genezy *Rusałek*. Jak wiadomo, elfy wyobrażano sobie, jako istoty z natury swojej mniej materyalne, a więc lżejsze od ludzi i bardziej do bóstw zbliżone. Były elfy jasne i ciemne, męskie i żeńskie; wszystkie jednak odznaczały się niepowstrzymanym pociągiem do muzyki i tańca. Widywano je zwykle w nocy przy świetle księżyca, jak bujały w kołach tanecznych po łąkach. W stosunku do ludzi, nie miały tak wrogiego charakteru jak rusałki, jednak lubiły ich nęcić, drażnić, przyciągać ku sobie i obłąkiwać. W tym charakterze występują one w romancy Uhlanda. Dziesięć elfów, właściwie elfic, przy blasku gwiazd i księżyca staje do owego tańca kołowego, a spostrzegłszy jakąś piękną dziewczynę obok przechodzącą, porywa ją do swego koła, i każe tańczyć z sobą, przyczem każda z elfic przyśpiewuje do niej kolejno, przedrwiwając z lekka jej postać, jej kłopoty domowe, jej stosunek z narzeczonym i t. p., gdy zaś dziewczyna chciałaby się wyrwać i uciec, wszystkie razem śpiewają do niej:

Zürne nicht du flinke kleine,
Tanze frisch im Mondenscheine.

albo: Liebchen, frisch zum Elfentanze!
Auf im Mond- und Sternenglanze!

Naturze Zaleskiego, lubującej się w lotności i skoczności, przypadł do smaku ten powietrzny taniec elfów, dostrzegł też w nim pewnej analogii z ukraińską p r z e p i ó r k ą i to wpłynęło na pomysł, wyrażony w tych słowach poematu:

---

[1]) Zob. Jacob Grimm, »Deutsche Mythologie 3-te Ausg. Göttingen« 1854, T. I, a także Keightley, w przekł. niem. »Mythologie der Feen und Elfen« 2 tomy Weimar 1828.

Grono bogiń przy Zorynie
Wietrzny taniec zawiązało.

Inny wyraźny ślad bezpośredniego wpływu *Elfów* Uhlanda na *Rusałki* odbił się, prawie mimowolnie, na liczbie bogiń, igrających z Zoryną, bo przecież liczba ta nie miała w sobie nic specyalnie ukraińskiego, ani słowiańskiego. Jest ich dziesięć, jak w utworze Uhlanda, i poeta szczególny nacisk kładzie na tę liczbę, powtarzając ją kilkakrotnie:

Gdy gotowy w przedsięwzięciu,
Oglądałem się po niwie...
Aż w tem widzę: dziw o dziwie!
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu.

Za górami, przy zagięciu
Skał do rzeki, między lasem,
Czasem pierzchnie, mignie czasem
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu.

I w następnej (czwartej) pieśni znowu ta liczba powtórzona:

Pięć, sześć bogiń tam zdaleka,
Do dziesięciu znów dokoła...

Ale wpływem Elfów Uhlanda nie wszystko da się objaśnić w fantastycznych postaciach Zaleskiego. Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, skąd się wziął pomysł przedstawienia rusałek, płynących w jakiejś cudownej, powietrznej łodzi. (Lśni się łódka czy kolebka — Niby obłęk pół-obręczy — Siedmiofarbnej, jasnej tęczy — I kołuje lekka, chybka). Otoż pomysł ten prawdopodobnie urodził się pod wpływem romantycznego poematu Ernesta Schulzego p. t. »Die bezauberte Rose«, poematu, gdzie nad światem ludzkim unosi się świat bogiń, fej, i gdzie ich królowa kilka razy pojawia się na scenie powieści, i to zawsze w roli opiekuńczej, kierowniczej, spływając

z powietrza na jakimś obłocznym wozie lub łodzi [1]). Oto n. p.

Durch dunkle Nacht Schwamm wunderbar von oben,
Wie ein Gewölk ein leichter Kahn herab,
Und drinnen sass, von Mondenglanz umwoben,
Die schönste Fee mit goldnem Zauberstab,
Den schwang sie hoch in ihren zarten Händen
Und Blitze schien sein Schwung umherzusenden.

Przypuszczam, że i cudowna promienistość *Rusałek* Zaleskiego, ta »zasłona z rubinowych iskr jutrzenki«, która »skrywa, tłumi boskie wdzięki — I owiewa białe łona«, nie odpowiadająca tradycyjnej zmysłowej piękności tych istot fantastycznych, jest odblaskiem tego świata czarodziejskiego wróżek romantycznych, z jakim się Zaleski miał sposobność zaznajomić w poemacie Schulzego. Przy tym jednak wpływie niemieckiej romantyki oryginalnym i bardzo charakterystycznym dla Zaleskiego szczegółem jest to, że jego boginie ukazują się nie jak elfy i feje — a wreszcie i rusałki ukraińskie — w oświetleniu księżycowem, ale w świetle słonecznem, takim zaś dziwnym blaskiem świecą, że nawet blask słoneczny przy nich wydaje się cieniem. Odmalowała się w tem skowronkowa, słoneczna natura Zaleskiego.

Z dotychczasowego rozbioru *Rusałek* mogliśmy się przekonać, jak rozmaite żywioły złożyły się na utworzenie ich przędzy epickiej, zawartej w czterech pierwszych pie-

---

[1]) *Die bezauberte Rose* wydaną została poraz pierwszy w roku 1818, jako poemat konkursowy. Konkurs na różne rodzaje utworów poetycznych ogłosił był w r. 1816 wydawca *Uranii*, (Brockhaus), ze wszystkich nadesłanych sędziowie konkursowi uznali za najpiękniejszy poemat Schulzego, ale gdy wydawca doniósł autorowi romantycznej powieści o jego zwycięstwie, w odpowiedzi otrzymał wiadomość, że Schulze już umarł. Ten smutny wypadek dodał poematowi jeszcze więcej romantycznego uroku. Do r. 1825 wyszły cztery jego wydania.

śniach. Weszły tu i wspomnienia z czasów dziecinnych, i ukrainizm historyczny poety, i stosunek miłosny z Różą Żukowską, i wpływ pieśni ukraińskiej ludowej, a wreszcie romantyki niemieckiej. Epilog, uzupełniając całość i dając jej nastrój elegijny, wprowadza nowe pierwiastki i z życia poety i z wpływów literackich. Ażeby ten epilog w związku z całością *Rusałek* należycie zrozumieć, trzeba go zestawić ze *Śpiewem poety* przed pięciu laty pisanym, ma on bowiem równorzędne znaczenie, jako synteza uczuć poety w danej chwili. Przed pięciu laty, jak wiemy, dusza Bohdana pod wpływem tego prądu elektrycznego, jaki z poezyi Mickiewiczowskiej uderzył, zbudziła się do samodzielnego lotu i z rozkoszą ogarniała świat, który całą piękność swoją przed nią odsłaniał. A kiedy natura odkrywała wszystkie swoje wdzięki, jednocześnie fantazya malowała przyszłość w różowych kolorach i pozwalała wierzyć, że wszystkie ideały młodzieńcze, choć nad ziemią się unoszą, w każdej chwili gotowe zstąpić na nią i na niej zamieszkać. Stąd synteza jego uczuć ówczesnych, jego pierwszej młodości, wyśpiewana w *Śpiewie poety*, była tak harmonijna i pogodna.

W pięć lat potem było inaczej. W ciągu tego czasu poeta przeżył wiele doświadczeń, które z różnych złudzeń odarły widnokrąg jego nadziei. Nie były to doświadczenia zbyt ciężkie, były to zwykłe koleje młodzieńcze, nie wyłączając nawet zawodu miłosnego, nie oddziałały nań wstrząsająco, nie mniej przeto dzień po dniu, promień po promieniu gasiły tę aureolę, jaka się w pierwszej młodości w oczach jego unosiła nad życiem. Życie, które go otaczało, wydało mu się bezbarwnem, szarem, zajęcia pedagogiczne, tak nie odpowiadające naturze jego, przygniatały go, ufność w swoje siły słabła. Cóż stworzył dotychczas? co osiągnął? kiedy swój nastrój ducha obecny porównał z tym, w którym przed kilku laty z taką rozkoszą rzucił się w objęcia poezyi, a jeszcze bardziej z tym,

w jakim jako ośmnastoletni młodzieniec podążał ze stron rodzinnych do świetnej i ponętnej Warszawy, czasy owe niezbyt dalekie, a jednak już błękitem oddalenia przesłonięte, wydały mu się snem czarownym.

Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody.

Takiemu usposobieniu doskonale odpowiadała liryka Schillerowska, a w szczególności jego *Ideały*, utwór, który u nas wówczas niejednokrotnie tłumaczono i który Bohdan znał już wtedy niewątpliwie. Ale choć piękna i głęboka elegia Schillera oddziałała zapewne na epilog *Rusałek*, pobudziła może poetę do zestawienia nadziei młodzieńczych z zawodami życia, wszakże temat ten nie stamtąd był wzięty, wziął go poeta z własnej piersi i dlatego rozwinął w sposób oryginalny. Tęsknota do Ukrainy, ten zasadniczy ton jego poezyi, nierozłącznie związana z tęsknotą do błogich wrażeń z czasów dzieciństwa, znalazła tu miejsce dla siebie, wpłynęła na ukształtowanie tematu i stała się cementem, silnie kojarzącym fantastyczną powieść z elegijnem zakończeniem. Cały »złoty sen młodości«, który przeciągał się jeszcze i na pierwsze lata pobytu poety nad Wisłą, pod wpływem tej tęsknoty, odsunięty został do czasów ukraińskich, a syrena warszawska zamieniała się na postać jakby symboliczną, wyobrażającą najpierwszą, najświeższą młodość poety. Tak musimy rozumieć tę Zorynę, która występuje w epilogu, jako żegnająca go przy odjeździe z rodzinnych stron smutną przepowiednią niepowodzeń, a która urokiem swej postaci dziwnie przypomina małą dziewczynę we *Wzgórku pożegnania*, żegnającą odjeżdżającego w świat brata [1]).

---

[1]) Warto zestawić odpowiednie strofy tych dwóch utworów. We *Wzgórku pożegnania*:

O takiej to kochance, symbolizującej jego najwcześniejszą młodość, mówi poeta w tych pełnych uczucia strofach:

Ach!... burzliwy i namiętny
Przed kochanki przepowiednią,
Gdybym dziś tak stanął przed nią,
Zimny, smutny, obojętny...

Zawołałaby boleśnie,
Odwracając wzrok Anioła
Od zwiędłego w smutkach czoła,
Tak ponuro, tak zawcześnie!

— »Gdzież są świetne twoje mary?
Cele twoje? Tegoż wieńca
Łzy pragnęły zapaleńca,
Łzy, płomienie i ofiary?«

Tego obrazu nie zaczerpnął Zaleski z Schillera, nasunęła mu go tęsknota ukraińska. Jeżeli chodzi o podobieństwo w szczegółach z Schillerem, to w jednym tylko drobnym szczególe wysuwa się ono wyraźniej. Jak u Schillera radośni towarzysze życia, miłość, szczęście, sława, prawda, już wpół drogi opuszczają wóz poety (schon *auf des Weges Mitte* — Verloren die Begleiter sich) tak i Zaleski śpiewa o sobie: »Bo zdradzieckoż cud po cudzie — *W pół wędrówki* mię odbiegły«. Ale ten wspólny motyw kolejnego rozstawania się ze złudzeniami, które upiększały życie, do jak odmiennych a charakterystycznych dla obu

---

Płacze siostra siedmioletnia,
Jak jutrzenka złotowłosa,
Łza rumieniec jej uświetnia,
Jak poranny kwiatek rosa.

W epilogu *Rusałek:*

I jak zorza lśni na wodzie,
Jak maluje świt niebiosa,
Łza czyściejsza, niźli rosa —
Zajaśniała na jagodzie.

poetów prowadzi refleksyi! Dojrzałej, cierpieniem zahartowanej duszy Schillera, po odbiegnięciu wesołych a szumnych towarzyszy życia, pozostają dwie towarzyszki, ciche, ale wierne, gotowe wspierać i pocieszać aż do grobu: przyjaźń i praca. Marzącej, pomimo rozwiania się wielu złudzeń młodzieńczych, i nieskłonnej do życia czynnego duszy Bohdana innego rodzaju pozostała pociecha:

Jednak cały szczęścia wątek
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodych lat pamiątek.

Bardzo ważna to strofa; w niej, rzecby można, zamknięta jest tajemnica duszy poety i całej jego poezyi. Na nią też, jak wiemy, kładł szczególny nacisk Zaleski, gdy przesyłał *Rusałki* Witwickiemu: »Przeczytaj ostatnią strofę Epilogu, a poznasz, jaki miałem cel w napisaniu *Rusałek*«. Celem było odmalowanie, w formie fantastycznego poematu, tych cudownych wrażeń, jakich doznawał w młodości, a jeszcze bardziej w dzieciństwie, w obcowaniu z przyrodą, która mu się wydawała zaczarowanym światem. Świat boży, jak pisał do Mickiewicza w roku 1839, zadziwiał go, gdy był dzieckiem, w niesłychany sposób, po całych dniach dociekał, dlaczego się wszystko dzieje, czego chcą ptaszki i t. d. »Myślałem, że ludzie starsi wiedzą o tem, ale przedemną tają się«. A w kilka lat później (1845), marząc o tem, aby kiedyś powrócić na Ukrainę i osiąść pod Iwanhorą, gdzie ongi zostawiony sam sobie, mógł przez długie miesiące od rana do wieczora przebywać pod kopułą niebios i chłonąć jej światło w siebie — tak pisał: »Ile w tej okolicy tai się pół sennego, pół rajskiego uroku! przyczepionym-bo do niej tylą nitkami najrańszych wrażeń i pamiątek moich... Cuda się tam ongi działy z ośmioletniem dzieckiem. Trudno to opisać... Dość, że tam zasłyszałem i chór gdzieś aniołów

bożych i hetmańską dumę z ust ostatniego może teorbanisty« [1]).

Nosił tedy nasz poeta na dnie duszy zaczarowany światek wspomnień, do którego nieraz w smutku i przygnębieniu zwracał się, aby jego cudownym blaskiem napoić i ożywić serce. Poczucie tego skarbu było bardzo silne i wyróżniało go z pomiędzy ludzi, czego nasz poeta był świadomym, więc mógł się czuć pewnego rodzaju wybrańcem. W tym względzie, pomimo bardzo różnych natur artystycznych, zachodziło w nim pewne pokrewieństwo ze Słowackim. Słowacki, w poczuciu swojej niesłychanie bogatej wyobraźni, uważał się za człowieka wybranego, przeznaczonego do najwyższych zadań i najwyższych stanowisk. Zaleski o wiele ubożej był w tym względzie od natury uposażony, ale przeżył w dzieciństwie swojem chwile, jakich ani Słowacki, ani żaden inny z poetów romantycznych nie zaznał: chwile, i to długie, bezpośredniego, niczem niezmąconego, niczem niekrępowanego przestawania z piękną przyrodą, i one to właśnie na dnie jego duszy jaśniały skarbem wspomnień jakiegoś cudownego, jakby nadziemskiego życia. Nie miał on niecierpliwej, niespokojnie rwącej się naprzód ambicyi autora *Kordyana*, nie mógł mieć naturalnie w sobie tego poczucia genialności, jakie miał tamten, tail jednak w głębi duszy przekonanie, że cudowne wrażenia dzieciństwa, które się w niej w całej świeżości i blasku przechowywały, są jakby namaszczeniem jego na godność poety wyjątkowego, jakiego jeszcze dotychczas nie było, jakiegoś następcy Bojana polsko-słowiańsko-ukraińskiego, którego niewyraźny ideał zarysowywał się już wcześnie w jego wyobraźni, a w późniejszych latach odźwierciedlił się w utworze: *Sen-Drzewo wieszcze*.

Kiedy się w nim to przekonanie, które do czasu

---

[1]) Korr. I. B. Z. II, str. 15.

starannie ukrywał przed światem, to poczucie jakiejś odrębnej misyi poetyckiej, do której jak sądził z wyższego wyroku od dzieciństwa był przygotowany, zbudziło poraz pierwszy, tylko w przybliżeniu oznaczyć można. W *Śpiewie poety* nie ma go jeszcze; tam, jak wiemy, jest radosny okrzyk na widok nadchodzącej wiosny poetyckiej i w poczuciu sił, które poecie pozwolą skowronkiem wzbić się pod niebo wiosenne. Pragnieniem jego wtedy było tylko, ażeby śpiew jego nie przebrzmiał bez śladu, ażeby pozostało po nim »kilka piórek, co ku niebu go nosiły«. Ale już pisząc w parę lat potem rapsod o Damianie Wiśniowieckim i wprowadzając doń postać starego śpiewaka Nauma, która się wiązała z owemi cudownemi wspomnieniami jego dzieciństwa, kreślił on ideał poety na zupełnie inną skalę, jako wieszcza, sięgającego myślą w przeszłość i przyszłość swojego narodu, a w tym ideale tradycya o Wernyhorze zlewała się z obrazem mistycznego Bojana. Ta ostatnia postać bardzo silnie uderzała jego wyobraźnię, a że poemat, z którego wzięta, był przedmiotem jego studyów w tych czasach, tj. między napisaniem *Damiana* a *Rusałek*, mamy świadectwo w pewnym liście jego do Lelewela, w którym prosił o przysłanie mu *Słowa o pułku Igora* w edycyi praskiej [1]). Tu też miejsce zwrócić uwagę na zakończenie *Dumy z pieśni ludu ukraińskiego*, niewiele od *Damiana* późniejszej, (była mowa o niej w rozdziale VIII) zakończenie, które do na wskroś elegijnej dumy wprowadza ton radosnego zadziwienia na widok ciągnącego łańcucha żórawi, i na tym tonie ją urywa. Żórawie przynoszą jakąś wróżbę, mają objawić »coś wieszczego«, a ta wróżba, jeżeli ją zestawimy z rolą, jaką odgrywają żórawie w *Kwiecie paproci*, o którym zaraz będzie mowa, dostatecznie się wyjaśnia: żórawie mają mu przynieść to, czego pragnął, jakąś za-

[1]) List z 2 kwietnia 1827. Korr. I. B. Z. I, 19.

powiedź jego przyszłego stanowiska, jako natchnionego wieszcza, nowożytnego następcy Bojana.

Otóż sądzę, że już kreśląc ideał wcielony w postać Nauma, uczuwał nasz poeta swoje pokrewieństwo z tym ideałem, że już wtedy, gdy pisał *Dumę z pieśni ludu ukraińskiego*, myśl o szczególnem posłannictwie poetyckiem zaczęła kiełkować w jego duszy, przyczem ów zaczarowany świat wrażeń dziecinnych w duszy zaczynał nabierać cudownego, proroczego znaczenia. Nadeszła wreszcie chwila, kiedy tę myśl chciał oblec w pełne kształty poetyckie i zaczął pisać fantazyę p. t. *Kwiat paproci*. Ze wzmianki, którą o niej czyni w cytowanym już liście do Witwickiego [1]), można przypuszczać, że chwila ta przypadła przed rozpoczęciem *Rusałek*, prawdopodobnie w roku 1827, z treści zaś fragmentu, który ukazał się dopiero w *Dziełach pośmiertnych*, wolno domyślać się, że *Rusałki* miały być dalszym ciągiem fantastycznej historyi własnego ducha, którą poeta rozpoczynał w *Kwiecie paproci*, albo, co prawdopodobniejsza, że powstały już na gruzach pomysłu fragmentarycznie tylko wcielonego w kształty poezyi.

Zobaczmy tedy, co jest treścią owego fragmentu, albo raczej fragmentów, ponieważ w pośmiertnych papierach poety obok *Kwiatu paproci* zachowały się jeszcze dwa inne urywki, mniejwięcej współczesne, i wiążące się z nim treścią. Najwcześniejszym z nich jest zapewne fragment p. t. *Pasieka* [2]). W autografie, który się przecho-

---

[1]) Tamże, str. 30—33.

[2]) Wydrukowany w T. I. Dzieł pośmiertnych z wielu błędami drukarskiemi i z opuszczeniem następującej czterowierszowej przegrywki:

Śmieszki, pustoty, bodaj to wiek młody!
Co się nie snuło po głowie...

wuje u syna poety, p. Dyonizego Zaleskiego, a który pochodzi najpewniej już z czasów emigracyjnych Bohdana, jest własnoręczna notatka poety następująca: »Kawałek ten, urywek dłuższego poematu, napisałem w r. 1826«. Treścią swoją ten fragment przypomina *Śpiew poety*, jest jakby rozwinięciem jego niektórych motywów, a przedewszystkiem tego, w którym się wyraził stosunek poety do natury (Świat odbija moja dusza — Jak zielony brzeg krynica); z drugiej strony zbliża się także i do *Kwiatu paproci*, tak, iż można go uważać za pośrednie ogniwo między tymi dwoma utworami. Są to rozkoszne wrażenia duszy młodzieńczej, czy dziecięcej, na widok pięknej słońcem oblanej przyrody, która tym razem ma więcej podolski, niż ukraiński charakter, co też poeta wyraźnie zaznacza.

Wszystko jak oko stąd i stąd zasięga,
Lśni blaskiem rosy lub słońca,

. . . .

Tu, ówdzie, pola, jak niebiosa chmurki,
Cieniują gaik, dąbrowa,
Na lewo wioski, jak śnieg przez pagórki
Bieleje gryka majowa.

A taki wszędzie jak przędza rozsnuty
Luby gwar dźwięków i woni,
Chór napowietrzny tej podolskiej nuty,
Co sama wiosna wciąż roni.

Fragment składa się z dwudziestu kilku strof; w dalszym ciągu miał być zapewne obraz jakiejś pasieki, skoro tytuł brzmiał *Pasieka*. Ostatnia zachowana strofa jest bardzo zaciekawiającą, ale trudno z niej wnioskować, jaki był

Człowiek nie stąpił bez jakiejś przygody,
Tylko słuchajcie panowie!

Autograf, który nie jest brulionem, ale odpisem na czysto, tak się kończy, iż można się domyślać dalszego ciągu, który zaginął.

plan tego poematu [1]). Zapewne jakaś przygoda miała być opowiedzianą, może już tu *Rusałki* miały się ukazać? Może, ale nie wiemy. Drugi fragment z tych czasów, *Ptaszę lasze*, który prawie w całości przytoczyłem w pierwszym rozdziale tej monografii, jako poetyczny obraz życia ośmioletniego Bohdana w naddnieprzańskim futorze pod opieką Zuja, jest właściwie wstępem do *Kwiatu paproci* i stanowi nierozdzielną z nim całość. Tylko ten wstęp nie ma jeszcze charakteru fantastycznego; jest to jakby próg realnych wspomnień, pozwalający wspiąć się do fantastyczności rozwiniętej w *Kwiecie paproci*. W tym ostatnim fragmencie bohater fantazyi, Ptaszę-lasze, znika nagle »bez śladu i słychu« z chaty Zuja i puszcza się w szeroki świat. Zuj nie dziwi się temu, on już przeczuwał, że mu tutaj za ciasno, »za mało sinej wody i sinego nieba«; nie dziwią się i inni znachorzy i szepcą do siebie:

Jeśli Bóg mu da wrócić, to wróci
Wieszczy, mądry i z kwiatem paproci.

A tymczasem Lasze-ptaszę wędruje po nieobjętym stepie, pomalowanym w »koralowe, żółte, sine pasy«, a nad nim buja siwy orzeł wysoko i trzy sokoły unoszą się i towarzyszą jego wędrówce do jakiejś mogiły na noc i tam go opuszczają.

Gdy ocknęło się Lasze w omroczu,
Z góry chłodna kropiła nań rosa,
Złotym piaskiem prószyła do oczu,
Jak wymyte iskrzyły niebiosa,
Popatrzał się po stepie przed siebie:
Głucho, ciemno na ziemi i niebie.

Ale tu inne ptaki obejmują opiekę nad dzieckiem,

---

[1]) O piękna, lśniąca, o swawolna woda!
O jak tam mile wzrok pieszczę —
Jakiś głos, szelest... o luba pogoda!
Co to? o co to?... ktoś jeszcze.

wojsko żórawie, na którego czele kroczy stary żóraw, niby hetman. On daje znak dziecięciu i prowadzi je do miejsca, gdzie gore cudowne »sen-drzewo«.

Skrzy się kraśno i srebrzy i złoci,
Hej, dziw dziwów, to kwiecie paproci.

Żórawi hetman zrywa gałązkę z tego cudownego drzewa i wręcza je lackiemu dziecięciu, a ono uczuwa wtedy czarodziejską siłę, która mu pozwoli »przebojem dostać się do nieba«, uczuwa jak mu z ramion wyrastają skrzydła, na których, jak orzeł będzie mogło zapanować nad stepem, a przedewszystkiem nabywa wieszczego wzroku i słuchu, którymi może chłonąć w siebie harmonię otaczającej przyrody.

Widzi wszędzie — a słyszy głos wszelki,
Co śpiewają i kwiecie i zioła,
Ptactwo Boże, owady, step wielki,
To ciekawie wzrok wodzi dokoła,
Choć lebioda doń szepce: »oj biada!«
A dziewanna: »oj radam ja rada«.
. . . .
Kiedy w obrzask rumianej jutrzenki,
Step rozwidnił się szerzej w omroczu,
A mgły rąbek przejrzysty i cienki
Powiał wyżej i wyżej od oczu,
Utajona tam cała przyroda
Zaśpiewała rozkoszna i młoda.

Pod koniec fragmentu na stepie ukazuje się jakaś woda: liman czy bałka?

U bałki
W źwierciadlanej błękitnej tam toni
Czółenkami śmigają Rusałki,
A wiosłują, że piana aż pluska,
I faluje woda srebnołuska.

I jakiś gaj za wodą i jakieś słowicze głosy, zapraszające wędrowca do księcia i księżnej. Tu fragment się

urywa. Co znaczyły te szczegóły końcowe? Jak się dalej miały rozwinąć? Czy poeta miał już jasny plan dalszego ciągu, kiedy je kreślił? Na te wszystkie pytania odpowiedzi nie mamy, ale jeden wniosek jest pewny, że temat rusałczany już wtedy zaprzątał wyobraźnię poety i że te to rusałki wodne, kiedy poeta zarzucił pomysł cudownego kwiatu paproci, przeobraziły się pod wpływem romantyki niemieckiej w powietrzne istoty.

To jeden związek między *Rusałkami* a *Kwiatem paproci*. Drugi, to owa »cudów chwilka«, wspomniana w ostatniej strofie *Rusałek*, która jest wspólnem źródłem dla obu poematów. I jedna i druga fantazya czerpała przędzę swoją z wrażeń, jakie przyroda ukraińska na świeżą duszę poety wywierała, a które cudownym blaskiem świeciły w jego pamięci. Ale przy tej wspólności źródła była i różnica, a mianowicie w tym skarbie przechowanych wrażeń były dwa pokłady: wcześniejszy, pochodzący jeszcze z czasów dalekiego dzieciństwa, i późniejszy, odnoszący się do czasów szkolnych. *Rusałki* swoją przędzę poetycką z tego późniejszego czerpały pokładu; w *Kwiecie paproci* poeta chciał sięgnąć głębiej, do jeszcze dawniejszych wspomnień, które też bardziej uroczemi świeciły barwami i jakiś mistyczny miały koloryt. A przytem *Kwiat paproci* miał być drugim *Śpiewem poety*, drugiem jego Credo poetyckiem, poczęty zaś był w chwili jakiegoś wezbrania ufności w twórczą moc swoją, godną odpowiedzieć wielkości zadania, jakie się otwierało przed nim.

Służy zgasłych plemion sławie,
Stare bratnie waśni jedna.

Tak pisał o sobie z tych czasów później, w *Duchu od stepu*, takie zadanie zakreślał dla siebie, jako Bojana polsko-ukraińskiego. Nie słowik to już, ani skowronek miał być, jak w *Śpiewie poety*, ale orzeł wzbijający się nad stepem, podobny do tego, który jemu, jako dziecku, przewo-

dniczył w wędrówce po stepie i zaprowadził na nocleg do mogiły. A jak orzeł miał symbolizować polot jego przyszłej poezyi, tak kwiat paproci miał być symbolem daru poetyckiego, który w nim natura złożyła, aby mógł spełnić swoje wielkie zadanie.

Ale ta szczęśliwa chwila wezbrania ufności w swoje siły niedługo trwała, wezbrana fala opadła, a niedokończony utwór fantastyczny osiadł na mieliźnie, z której się już nigdy ruszyć nie miał. Wprawdzie idea, w imię której utwór był poczęty, nie zagasła w poecie, a tylko jak gwiazda skryła się za obłoki, aby później znowu wypłynąć, ale wówczas już innym kształtom poetyckim miała przyświecać. Na razie, po rozbiciu się fantazyi o cudownym kwiecie paproci, poeta, przebolawszy tę katastrofę wewnętrzną, zniżył lot swój, z orlich szlaków, na których trudno mu było się utrzymać, w słowicze spuścił się regiony, i z »cudów chwilki«, z której się nie dał wyczarować *Kwiat paproci*, wysnuł przy różnych skombinowanych wpływach, o których wyżej była mowa, swój fantastyczno-elegijny poemat: *Rusałki*.

ROZDZIAŁ XI.

Przed burzą.

1829—1830.

Usposobienie elegijne poety. — Mickiewicza przedmowa o krytykach warszawskich. — Stosunek Bohdana do Krasińskiego, Słowackiego i Chopina. — Stosunek z Maurycym Mochnackim; dysputy filozoficzne. — Drugi noworocznik *Meliteli*. — *Poranek starego myśliwca*. — *Czajki* i ich echo u Słowackiego i Szewczenki. — *Trzeci szturm do Stawiszcz*. — *Śpiewające jezioro*. — *Pielgrzym w obcym kraju*.

W życiu naszego poety w ciągu ostatnich dwu lat przed wybuchem powstania nie zaszło nic takiego, coby zwracało na siebie uwagę, coby się odźwierciedliło cokolwiek wyraźniej, czy to w jego poezyi współczesnej, czy to w korrespondencyi, która w tych latach staje się jeszcze bardziej skąpem źródłem biograficznem, niż była przedtem. Tło życia jego pozostaje to samo: też same nudne zajęcia prywatnego pedagoga na prowincyi, urozmaicane z jednej strony wycieczkami w krainę marzeń i wspomnień, z drugiej — wyjazdami na krótszy lub dłuższy czas do Warszawy, gdzie znajdował zawsze obszerne grono przyjaciół i znajomych literatów.

I usposobienie poety, jak to można wnioskować z nielicznych listów jego, jakie się z tego okresu przechowały,

także nie uległo wyraźnej zmianie. Ten sam, co i przedtem, przegląda z nich nastrój marzycielski i melancholijny, tylko melancholia jest może teraz głębszą, i nie przerywaną wyskokami dobrego humoru. Jednem z jej źródeł obecnych, jak przypuszczam, było niezadowolenie ze swojej poetyckiej twórczości. Wiemy już z poprzedniego rozdziału, o jak wysokiem marzył zadaniu dla siebie, jako poety, wiemy, jak próbował osnuć na tym temacie swój fantastyczny *Kwiat paproci*. Próba się nie powiodła, poemat został fragmentem. I inne próby podobny los spotykał. Ani powieści, ani poematy historyczne, które zaczynał był pisać, pobudzany walterskotycznym duchem epoki, nie kleiły mu się; powieść o Kosińskim, który był jego ulubionym bohaterem, spalił na swoje urodziny w r. 1829. Było to jakby pożegnanie z powieścią walterskotyczną. Natomiast pisał poemat historyczny na tle kozacko-tatarskiem, gdzie występował »Wielki Konaszewicz, sławny Daniłowicz i sturczony B. Chmielnicki, przytem wiele innych jeszcze historycznych osób, a między niemi trzy ładne siostry w haremie Giraja«, jak o tem się dowiadujemy z listu jego do Witwickiego [1]), ale i ten poemat, o którym się żartobliwie wyrażał, że »ma być okropnie czułym, wojennym i dziwacznym«, pisał bez wiary w jego dokończenie. W tych to czasach próbował i formy dramatycznej, za bohatera dramatu obierając Correggia, w którego, jak to już wyżej zaznaczyłem, chciał może przelać własne uczucia z czasów tworzenia *Śpiewu poety*. Że i ta próba nie powiodła się, łatwo się domyślić; ani epos, ani dramat nie był polem właściwem dla jego talentu wyłącznie lirycznego.

Te zawody usposabiały go elegijnie i wywoływały uczucie rezygnacyi. Witwicki na imieniny Zaleskiego (19 marca 1829) napisał list z życzeniami, przy których była nie pier-

---

[1]) Korresp. I. B. Z. I, str. 36.

wsza już z jego strony zachęta dla Bohdana, aby wydał zbiór swoich poezyi. Na tę zachętę tak odpowiadał nasz poeta. »Koniecznymże warunkiem dla twoich przyjaciół ma być fabrykowanie książek? Nie mógłbyś kochać przynajmniej jednego tylko dla pięknych oczu i czułego serca? Niedarmo zapewne tyle czytam, uczę się i myślę, może być, iż kiedyś wykieruję się na jakiegokolwiek prozaika, lecz daj mi pokój z poezyą. Ja pojmuję poezyę inaczej, jak wszyscy, chociaż tak otwarcie jak przed tobą, nie przed każdymbym się przyznał. U mnie ona nie jest namiętnością chwały, ale jakiemś wrodzonem, bezinteresownem uczuciem, jak u kogo pobożność lub dobroczynność. I nie potrzebuję robić z niego parady. Ile zapamiętam, od lat najdawniejszych byłem zawsze jednakowy, fantastyczne i romansowe dziecię, romansowy i fantastyczny młodzieniec. Dziś nawet, mimo doświadczenia i tylu pogrzebanych nadziei, zawsze ten sam jestem. Poezya mi, szamocącemu się w prochu, sokolich skrzydeł użycza, i jak czarnoksięskie pryzma, na pochmurne, nagie i bezcelne dni moje sieje blask świetny idealnych omamień i promieni się wszystkiemi farbami tęczy. Błogo mi w śnie oczarowania i biada, jeśli się kiedy ocucę! Chcę żyć, jak dotąd żyłem, bez troski o sławę i bez obawy o sąd potomności. Czyż nie dosyć, kiedy u mogiły

Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mię wznosiły?

»Zresztą wnuki nasze nie będą się gniewali za to, żeśmy mało pism zostawili, i bez nas będą mieli co czytać. Najwięcej jeżeli jaki systematyczny profesor przytoczy zdanie nasze w rzeczy, o której się nam ani śniło, jak Mochnacki o Rusałkach moich powiada, że naśladowałem w nich, nie wiem co, jakiś kunszt ogniowy«[1]).

---

[1]) Korr. I. B. Z. T. I str. 34—35.

Ton rezygnacyi w liście jest widoczny, ale widać również, że Zaleski nie był zadowolony z porównania użytego do charakterystyki *Rusałek*, które rzucił Mochnacki zapewne w jakiej rozmowie koleżeńskiej, potem powtórzył w książce *O literaturze polskiej XIX wieku*. Wrócimy jeszcze do tego szczegółu później, tutaj chcę zaznaczyć, że w tym samym czasie, kiedy Zaleski wyrzekał się poezyi, jako osobnego zawodu, i wypierał się wszelkiej troski o sławę, poezyę zaś chciał mieć tylko w duszy, jako skrzydła, któreby go podnosiły nad poziom martwego, prozaicznego życia, w tym samym czasie spotykał go nowy zaszczyt publiczny, o wiele więcej mający znaczenia, niż wszelkie dawniejsze pochwalne głosy krytyki, bo pochodzący z ręki Mickiewicza, który dotychczas tylko w listach prywatnych wypowiadał pochlebne o nim sądy. Ukazało się było nowe wydanie poezyi autora *Wallenroda* z głośną przedmową »O krytykach i recenzentach warszawskich«, napisaną z rozmachem większym, niż go było potrzeba do obalenia chwiejącej się budowy warszawskiego pseudoklasycyzmu. W tej rozprawie Mickiewicz, broniąc swego zwyczaju używania prowincyonalizmów, którymi się warszawscy recenzenci mocno gorszyli, powoływał się na przykład »wielkich poetów starożytnych i nowoczesnych«, którzy »używali i używają prowincyonalizmów, to jest wyrazów i wyrażeń od ogólnie przyjętego książkowego stylu różniących się« i jednym tchem wymieniał »Burnsa, Herdera, Göthego, Skota, Karpińskiego, Bogdana Zaleskiego«. Otoż zaszczytne to zestawienie wraz z nazwą »wielkiego« poety, i to od Mickiewicza otrzymaną, nie mogło nie być przyjemną niespodzianką dla Bohdana, ale nie zawróciło mu głowy. Po świeżych zawodach wiedział on, co trzymać o swojej wielkości i pisząc do Witwickiego żartował sobie z niespodziewanego zaszczytu. »A cóż nie mówiłem ci, że ja wielki poeta, wielki, jak Burns, Herder, Goethe, Karpiński, W. Scott, a jeśli chcesz,

i większy jak wszyscy razem. Czytaj przedmowę Mickiewicza, to cię przekona. Możesz sobie wyobrazić, jak mię to łechce, jednakże piszę w liście do Mickiewicza, że się wstydzę, że nie zasłużyłem«.

Przedmowa do krytyków wywołała niesłychane wrażenie w Warszawie. Najbardziej dotknięty w niej, bo w swojej i w ojca swego osobie, Franciszek Salezy Dmochowski w wydawanym przez siebie *Przewodniku polskim* zatrąbił zaraz na alarm. »Najcelniejszą nowością w Warszawie, pisał tam zaraz po pojawieniu się petersburskiego wydania poezyi Mickiewicza, osobliwszą, niż wszystko, o czem kiedykolwiek donoszono, jest przedmowa do nowej edycyi dzieł Pana Mickiewicza... Żałujemy niezmiernie, że szczupłość miejsca nie dozwala nam całkowicie jej umieścić, ale spodziewamy się, że jedna z gazet naszych, znana z tak zwanego romantycznego sposobu widzenia, umieści ją, a nawet wychwali«[2]. Przepiwszy w ten sposób do *Gazety Polskiej*, streszczał pokrótce artykuł Mickiewicza w taki sposób, ażeby obruszyć na niego całą inteligencyę Warszawy, do czego co prawda znajdował sporo materyału w *Przedmowie*, która bardzo lekceważąco traktowała ogół warszawski. W obronie Mickiewicza natychmiast wystąpił w *Gazecie Polskiej*, Mochnacki, i nie miarkując się w wyrazach, zarzucał *Przewodnikowi*, iż dopuścił się »literackiej prawdziwie niecnoty, to jest w omylnem świetle ukazał zamiar tej przedmowy i myśl autora najopaczniej wyłożył«[3]. Jednakże i w gronie przyjaciół i wielbicieli Mickiewicza nie wszystkim się podobał ostry ton przedmowy; do takich należał między innymi Lelewel[4]. Sam nawet Mochnacki przedrukowując

---

[1]) Tamże. V. 35.
[2]) Przewodnik polski z 4 kwietnia 1829 nr. 91.
[3]) Gaz. Polska z 6 kwietnia 1829 nr. 93.
[4]) Zob. Korr. Ad. Mick. III 295.

ją w *Gazecie Polskiej*, uznał za konieczne dać w przypiskach pewne uwagi, prostujące bezwzględność sądów Mickiewicza. Chodziło mu o to, aby z jednej strony przekonać Mickiewicza, że Warszawa nie jest tak zacofaną, jak on o niej trzyma, i że w Warszawie romantyzm wziął już górę nad klasycznością, z drugiej strony, aby tą obroną stolicy zjednać sobie uznanie warszawskich czytelników i nie dać się w tym względzie ubiec Dmochowskiemu, który już zapowiedział był wyczerpującą odpowiedź na artykuł Mickiewicza, i w tej odpowiedzi miał naturalnie okazać się obrońcą Warszawy.

Szczególnie godnem uwagi i przytoczenia jest to, co pisał z powodu pewnego nawiasowego wyrażenia Mickiewicza o Warszawie. Mianowicie u wstępu do swojej przedmowy Mickiewicz powiedział, iż lęka się, aby czytelnicy nie myśleli, że on przez zatwardziałość serca uparł się »nie korzystać z uwag drukowanych w gazetach, i to jeszcze w Warszawie«. To ostatnie wyrażenie, w którem było w istocie trochę ironii, ubodło Mochnackiego; ubodło go może jeszcze więcej i to, że Mickiewicz, oprócz krytyki klasycznej, nie widział innej w Warszawie, więc taki dał przypisek do podkreślonego wyrażenia:

»I to jeszcze w Warszawie. Jakże rozumieć ten przycinek wprost wymierzony do Warszawy? Jakto! więc Mickiewicz nie wie jeszcze o tem, że Warszawa jest ogniskiem oświaty naszej, z której się rozchodzą promienie na wszystek kraj polski? Warszawa w każdym względzie jest ważnym punktem, a bezwątpienia najważniejszym pod względem literatury polskiej. W któremże innem mieście polskiem staranniej i pilniej uprawiają niwę nauk i umiejętności? Gdzie w Polsce więcej ludzi uczonych? Gdzie więcej dzieł polskich wychodzi? Gdzież więcej pism czasowych w polskim języku? W którem że innem mieście polskiem literatura większej nabyła

popularności? A dążność naukowa, dążność najszlachetniejsza, gdzież dostatniej rozwinęła i rozpostarła się w społeczności? Warszawa jest teraz głównym punktem, o którym z pochwałami ironicznemi nie godziło się wspominać, zwłaszcza poecie, który nigdzie więcej niema czcicieli talentu swego, którego dzieła tak silnie zajęły mieszkańców stolicy, że prawie powszechną zrządziły zmianę w sposobie sądzenia o wartości tworów estetycznych«.

Ale zastrzegając się w ten sposób, że nie podziela uprzedzeń Mickiewicza do Warszawy, drukował w całej rozciągłości jego artykuł, w którym umysłowe życie warszawskie z najciemniejszej było przedstawione strony.

Łatwo zrozumieć, że Bohdana Zaleskiego bardzo żywo zajmowała ta sprawa, zwłaszcza że imię jego tak ostentacyjnie wprowadzone było do przedmowy Mickiewicza. Chciał wiedzieć, jakie wrażenie zrobiła w Warszawie i co mówią o niej. »Kochany Stefanie, pisał do Witwickiego, donieś, co myślisz [ty] i Brodziński o Przedmowie Mickiewicza... co mówią o niej w Warszawie biali i czarni«. I dodawał zagadkowe słowa: »Kto wie, może i ja w powszechnem zamieszaniu po kozacku wpadnę klasykom we flankę«. Otoż te słowa były pisane 8 kwietnia (1829), a w kilkanaście dni potem ukazał w *Gaz. polskiej* (Nr. 113 z 27 kwietnia) artykuł na wpół humorystyczny p. t. »List podający sposób na zgodę«, podpisany pseudonimem: Kasper Prawdzic, w którym możnaby się domyślać Zaleskiego, ponieważ ten był właśnie z herbu Prawdzicem. Autor proponował, ażeby zmienić nazwy walczących obozów stosownie do ich charakteru, i romantyków nazywać klasykami, ponieważ oni lepiej odpowiadają pojęciu k l a s y k a t. j. literata w z o r o w e g o, a dotychczasowych klasyków przemianować na F r a n c u z ó w XVII w i e k u, ponieważ podług nich cała wzorowość czyli klasyczność zamknęła się we Francyi za czasów Ludwika XIV. Artykuł nie jaśniał dowcipem, a zasługuje na uwagę tylko

z uszeregowania poetów żyjących, starych i młodych, których autor zaliczał do obozu romantycznego, i dlatego chciał nazywać klasykami. Byli tu wymienieni: Niemcewicz, Woronicz, Brodziński, Mickiewicz, Fredrowie, Korzeniowski, Zaleski, Odyniec i »inni«. Że Zaleski, jeżeli to on był autorem artykułu, wymieniał tutaj i siebie, mogłoby to trochę zadziwiać, ale znów wyznaczając sobie jedno z ostatnich miejsc w dość długim szeregu żyjących poetów polskich, chciał może zatrzeć wrażenie tego ustępu w Przedmowie Mickiewicza, w którym dostało mu się miejsce, wprawdzie także ostatnie, ale po takich poprzednikach jak Herder, Goethe i Walter Skot. Zresztą nazwisko jego mogło być wtrącone przez redakcyę *Gazety Polskiej*.

Warszawa, której tak gorąco bronił Mochnacki wobec przekąsów Mickiewicza, mogłaby była wówczas w istocie być bardzo dumną, jako ognisko sił umysłowych narodu, gdyby miała możność obliczyć znaczenie tych sił w przyszłości. Wszakże to w tych latach mieściła ona w swych murach Zygmunta Krasińskiego, Słowackiego i Chopina. I tu nasuwa się pytanie, jaki był stosunek naszego poety do tych trzech genialnych młodzieńców. Z siedmnastoletnim Krasińskim, który był najmłodszym w tem uprzywilejowanem gronie, Zaleski zapewne nie znał się osobiście, jakkolwiek o jego niezwykle wczesnym rozwoju umysłowym musiał niemało nasłuchać się od Odyńca. Zresztą Krasiński, jak wiadomo, już w r. 1829 wskutek znanego zatargu z kolegami w uniwersytecie wysłany był przez ojca z Warszawy do Genewy. Ze Słowackim Zaleski znał się, o tem wiemy, a tym który pośredniczył w zawarciu znajomości był pewnie Odyniec, przyjaciel matki Słowackiego. Ale znajomość ta nie poprowadziła do ściślejszych stosunków, ani w Warszawie, ani potem na emigracyi. Co się tyczy trzeciego genialnego młodzieńca, to ślady bliskiego i serdecznego z nim stosunku jeszcze

w Warszawie zostawił nam poeta w jednym z późnych swoich liryków p. t. »Zaduma i Nokturno«, a jeszcze wyraźniej w przypisie do tego utworu, gdzie powiada, jak nieraz wraz ze Stefanem Witwickim bywając to u Szopena, to u Maurycego Mochnackiego, przysłuchiwał się ich grze na fortepianie. »Szopen wtedy wesoły, młodziuchny (którego też wszyscy zwaliśmy Szopenkiem) wygrywał przed nami cudne swoje utwory. Genialnego rozmysłu, bystry, dowcipny a czuły, igrał ze sztuką, panował nad nią, oczarowywał słuchaczów samorodną bujnością polskiego rytmu swego i melodyi«. Że te dwie muzykalne dusze musiały się wzajemnie pociągać, rzecz to naturalna; możnaby tylko dziwić się, że Szopen, który jeszcze przed wyjazdem swoim z kraju w r. 1830 dorabiał melodyę do utworów Witwickiego [1]), żadnej dumki Bohdana w czasach przedemigracyjnych nie oskrzydlił swoją muzyką. Ale da się to wytłumaczyć po części tym faktem, że nie było jeszcze wtedy żadnego zbiorku poezyi Zaleskiego, któryby muzyk mógł mieć pod ręką, po części tem, że Chopin nie był napojony melodyą pieśni ukraińskich tak, jak Bohdan, stąd nie poczuwał pewności w sobie, że dorabiając muzykę do słów Bohdana potrafi odpowiedni koloryt jej nadać.

Ze wszystkich znajomych warszawskich w tych latach najściślejszy stosunek wiązał naszego poetę z Witwickim i Mochnackim. Przyjaźń z Witwickim datowała już od lat kilku i charakter jej już wyżej podałem, z Mochnackim znajomość była również dawniejsza, ale dopiero w ostatnich latach przed powstaniem zawiązał się bliższy stosunek przyjacielski między nimi. Zaleski był ze szczerym podziwem dla wiedzy i zdolności Mochnackiego; unosił się też nad jego talentem muzycznym i w cytowanym

[1]) Ob. F. Hoesick. Chopin, Życie i twórczość. Warszawa 1904. T I, str. 618.

już przypisku do »Zadumy i Nokturna« tak pisał o nim: »Sława Maurycego Mochnackiego, jako statysty i pisarza, zaćmiła pamięć o niepospolitym jego talencie muzycznym. Owoż mistrzował on i jako fortepianista; był nieporównanym — osobliwie w egzekucyi arcydzieł Mozarta, Beethovena, Webera«. Dowiadujemy się stamtąd, że Mochnacki wybierał się nawet w podróż artystyczną po Europie, ale później zaniechał zamiaru i zaniedbał grę, ponieważ »nowa poezya i nowo rozbujane fale ducha narodowego porwały go w swój wir. Namiętny, rzutki, podejmował się najróżnorodniejszych prac w dziedzinie wiedzy ludzkiej; z niesłychaną łatwością improwizował na wsze strony, porywając za sobą pokolenie całe nieudanym zapałem swoim, tudzież urokiem polszczyzny wskróś Skargowskiej«.

Po całodziennej pracy dziennikarskiej, czy to w biurach *Izydy*, czy *Gazety Polskiej*, czy w końcu (począwszy od grudnia 1829) *Kuryera Polskiego*, wpadał nieraz na wytchnienie do Bohdana, o ile ten był w Warszawie, a jeżeli letni czas pogodny zachęcał do przechadzki, wyciągał go za miasto, gdzieś daleko na Powiśle, »aby, jak wołał, zachwycić coś w słuch z harmonii niebieskich sfer«! »Jak ze Stefanem, tak i z Maurycym, powiada Zaleski, na Powązkach, to na Bielanach, przedumałem błogo wiele, o! wiele nocy miesięcznych«. Bywał też i Bohdan częstym gościem u Mochnackich, gdzie w izdebce Maurycego odbywały się nieraz długie i gorące dysputy na temat najważniejszych zagadnień filozoficznych, i zdarzało się niekiedy, jak sobie przypominał w starości, że biały ranek zaglądając do okien zastawał ich jeszcze przy rozmowie, a kiedy rozmarzeni rozmową nie myśleli jeszcze o spoczynku, mieszkający naprzeciwko Mochnackiego Lelewel otwierał już swoje okno, zabierając się do pracy dziennej, i z daleka palcem groził młodzieńcom, którzy całą noc przemarzyli. W tych rozmowach, w których prócz

innych młodych przyjaciół Mochnackiego, brał udział i Ludwik Żukowski, młody literat, zaglądający także z upodobaniem w studnię filozofii niemieckiej, Zaleski, jak się można domyślać, znając jego naturę, więcej był słuchaczem, niż dysputującym, ale słuchaczem, którego wrażliwość podnosiła zapał w szermierzach słowa. W pewnym liście do Witwickiego, bez daty, ale z tych czasów, pisze Zaleski: »Wczoraj do godziny ósmej, a raczej dziewiątej byłem u Maurycego z Lutrem i Żukowskim. Najświetniejszej słuchałem dysputy, prawdziwie boskiej improwizacyi o najwznioślejszych przedmiotach. Z płaczem musiałem ich pożegnać i całą noc marzyłem o Bogu, duszy, przeznaczeniu ludzkości«... Wzruszenie, wywołane w Bohdanie tą dysputą, odbiło się i w przypisku do tego listu. »Och, co to za ludzie Maurycy, Luter i Żukowski. Ostatni prawdziwie mię zadziwił«[1]). Szkoda, że nie wiemy, kto się tu ukrywa pod przezwiskiem Lutra.

Że w tych dysputach najświetniej i z największym zapałem improwizował Mochnacki, łatwo się tego domyślić. Możnaby nawet po części odtworzyć ich charakterystykę, a to na podstawie książki Mochnackiego »*O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*«, wkrótce potem (przy końcu 1830 r.) wydanej, która jest jakby jedną wielką improwizacyą przeważnie na temat idei Schellingowskich. Szczególnie niektóre przypiski do tej rozprawy, świadczące o naiwności, towarzyszącej bujnym pomysłom młodego filozofa, mogą rzucić światło charakterystyczne i na owe gorące improwizacye niedrukowane Mochnackiego, które chłonął Zaleski swoją czułą duszą. Tak rozwijając Schellingowską ideę[2]), że »wszystko co zewnątrz nas postrzegamy, dzieje się, staje się, albo stało się« i stąd wnioskując, że prawdziwa umiejętność tylko

---

[1]) Korr. I. B. Z. I 36.

[2]) Zob. Schellinga. Von der Weltseele.

stawanie się powinna mieć na uwadze, Mochnacki w przypisku tłumaczy znaczenie wyrazu polskiego »wiadomość«, równo znacznego z »wiedzą«, w taki sposób: Wiadomość, czyli w-ja-domość; a zatem co się we mnie, w *ja*, w mojem *ja* stało. To jedno słowo zawiera *genesis* umiejętnego trybu postępowania. Dziękujmy niebu za taki język! A miejmy we czci i poważaniu naszego spółziemianina Kamińskiego, który szeroką otworzył drogę wyszukiwań pod względem filozoficzności mowy polskiej«. Wielki brak krytycyzmu przy głębokiej wierze w formuły niemieckiej filozofii, przy bujnej fantazyi i ognistym temperamencie, pozwalał Mochnackiemu etymologiczne brednie Nepomucena Kamińskiego brać za najlepszą monetę, widzieć w nim »genialnego« pisarza i na dowód, jak głęboko, jak filozoficznie rozumie on nasz język, przytaczać takie jego słowa: »moje ciało jest ciałem; ale moje *ja* duch; ja się duchem widzę, a patrzę ciałem; a kiedy *pa-trzę*, wtenczas szukam przez *trzy* w czasie: przez swoje *Ja*, przez *się* i przez *to*, czem patrzę, przez moje ciało (zmysły)«[1]. Takich prób »genialności« Kamińskiego jest więcej w tej rozprawie, a pozwalają one przypuszczać, że i w dysputach Mochnackiego podobne łamigłówki filozoficzno-etymologiczne musiały pewną odgrywać rolę. Ale jak w książce Mochnackiego, tak i w tych dysputach obok »smalonych dubów«, mówiąc stylem Jana Śniadeckiego, musiały być olśniewające rzuty myśli, nie zawsze oryginalne, ale zawsze wypowiedziane z tą gorącą plastyką słowa, która stanowi główną cechę i zaletę stylu autora Historyi powstania listopadowego i która jak podbijała później czytelników, tak w owych dysputach, w żywem słowie, jeszcze silniej działać musiała na słuchaczy.

W r. 1829 z pomiędzy znajomych Zaleskiego ubył

---

[1]) O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym. Warszawa 1830, str. 49.

z Warszawy Odyniec, który latem tego roku wybrał się w podróż zagraniczną, aby towarzyszyć Mickiewiczowi w jego wędrówkach po Niemczech, Włoszech i Szwajcaryi. Jakkolwiek jednak opuszczał na czas nieokreślony Warszawę, nie zaniechał myśli wydania noworocznika i na rok następny; powodzenie *Meliteli* zachęcało go do tego. Mógł zaś to uczynić dzięki Witwickiemu, który w zastępstwie nieobecnego Odyńca podjął się wszystkich kłopotów wydawniczych. I drugi noworocznik *Meliteli*, trochę wprawdzie spóźniony, ukazał się w pierwszej połowie 1830 r. i był równie dobrze przyjęty przez publiczność i krytykę, jak i pierwszy.

I w tym noworoczniku poezya Zaleskiego, obok Mickiewiczowskiej, należała do wybitnych ozdób książki. Nie było tu wprawdzie żadnego utworu Bohdana, któryby rozmiarami zbliżał się do *Rusałek*, ale za to tych utworów było aż pięć i wszystkie pod względem artystycznego wykończenia górowały nad całą dotychczasową produkcyą naszego poety. Nawet w najpiękniejszych utworach Zaleskiego dotychczasowych, czy to w *Śpiewie poety*, czy w *Rapsodzie*, czy w *Dumie z pieśni ludu*, czy w *Rusałkach*, obok strof pełnych poezyi i harmonii, spotykamy strofy mniej szczęśliwe, nie dość harmonijne, niedostrojone do całości. Tu wszystkie one świecą jednakowym blaskiem, rytmiczność, plastyka, harmonia doprowadzone do doskonałości. Jeżeli Mickiewicz z katedry w *Collège de France* mówił wogóle o Zaleskim, że »rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetyckiego Słowian«, to wyrażenie to w szczególności daje się najlepiej zastosować do wystąpienia jego w drugiej *Meliteli*, która o kilka miesięcy tylko wyprzedziła wybuch powstania i była naprawdę zakończeniem igrzyska poezyi romantycznej na gruncie ojczystym; a umieszczone w niej poezye Zaleskiego były prawdziwym pękiem najświetniejszych pod względem formy i barwy kwiatów.

Przypatrzmy się im bliżej. Każdy z nich stanowi osobny typ, jak gdyby poeta umyślnie chciał największą rozmaitość wprowadzić do swego bukietu. Najobszerniejszym z tych utworów jest: *Co mi tam czyli poranek starego myśliwca*. Jest to utwór w rodzaju *Dumki Kosińskiego* lub *Mazepy*, to jest taki, który wypowiadając kolejno uczucia pewnej osoby, maluje ją w ten sposób. Ale tym razem chodzi nie o jakąś postać historyczną, tylko o typową, o typ starego szlachcica ukraińskiego, zapalonego myśliwca. Do gościnnego gospodarza zjechali przyjaciele, tak jak to się robiło dawniej, nie na kilka godzin, ale na kilka dni albo i tygodni i oto śpią, bo noc głęboka. Ale stary myśliwiec wybił się ze snu, spać nie może, wypatruje z utęsknieniem świtu, a tymczasem rozmyśla, jakby to nazajutrz »zabić nudy« i zabawić gości. Otoż nareszcie świta, widać jak śnieżek prószy, a więc ponowa, a więc wyborne polowanie. Zrywa się tedy z łoża, woła gajowego i daje rozkazy, aby wszystko było gotowe: strzelby, psy i konie; na wilka zaprosi gości. Niecierpliwi go to, że goście śpią jeszcze, ale otoż i oni wstają, już się zjawili, a ponieważ wszystko gotowe, więc, by nie tracić czasu, ruszają zaraz na łowy; śniadanie zjedzą po myśliwsku na pniu w lesie. Wyrusza myśliwska kawalkada, a jak przed wyruszeniem jeszcze tak i potem w drodze na łowy, gospodarz zabawia gości gawędą. Jest to bowiem nietylko myśliwiec, ale i gawędziarz zawołany, prototyp Wojskiego z *Pana Tadeusza*. Pokrewieństwo polega i na tem, że i ukraiński myśliwiec, podobnie jak jego litewski następca, jest *laudator temporis acti* i porównywając dawne obyczaje myśliwskie z nowemi, z politowaniem spogląda na młodych myśliwych.

Bo też jakie wasze życie!
Jakie młodych dziś rozkosze!
Co wy znacie! co widzicie!
Nasze łowy widzieć proszę,

Bracławskiego wojewody!
To nie łowy, istne gody!
Co to beczek miodu, wina,
Jak to w lesie noc pokotem,
Jaka psiarnia! a drużyna?
Ale chłopcy potem o tem itd.

Czyż ten ustęp nie odzywa się echem w pierwszej księdze *Pana Tadeusza*, przy pierwszem wystąpieniu Wojskiego, jako starego myśliwca, kiedy go zapraszają na polowanie z chartami na zająca:

O! jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżby to o tem starzy mówili myśliwi?
. . . .
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim
I ma sto wozów sieci w zamku Woronczańskim...

A nawet to krótkie: »Ale, chłopcy, potem o tem« znajduje pewien odpowiednik w zwyczaju pana Wojskiego kończenia opowiadań dawniej zaczętych i urwanych. Prawda, że to, co jest lekkim szkicem u Zaleskiego, rozwinęło się u Mickiewicza w obraz pełny o bogatym kolorycie, a postać myśliwca ukraińskiego, przeniesiona na tło litewskie, nasiąkła miejscowym obyczajem, stała się typowo litewską i swoją powagą odbija od żywego temperamentu ukraińskiego, niemniej przeto jest to niemałym zaszczytem dla naszego poety, że w porządku chronologicznym jego stary myśliwiec zajmuje pierwsze miejsce i że postać ta mogła stać się po części wzorem, po części pobudką do stworzenia jednej z najdoskonalszych postaci *Pana Tadeusza.*

Ale wróćmy do treści poematu. Stary myśliwiec, w drodze na łowy, wodząc okiem po krajobrazie, przypomina sobie z różnych jego szczegółów dawne czasy, zdarzenia i osoby:

Przyjaciele, bracia, krewni,
Wszystkich, widzę, jak na dłoni.

Te wspomnienia na chwilę nastrajają go rzewnie, ale prędko otrząsa się z tego, bo

Smutek, płacz i narzekanie
Jeno w dumie słyszeć snadno.

A wzmianka o dumie pobudza go do zaśpiewania początkowego ustępu z dawnej dumy o Chmielnickim i rozwodzenia się z żalami, że dawne dumy giną bezpowrotnie.

Lecz, panowie, co się stało!
Gdzie to naszych dum połowa?
Zaporożskich dziś tak mało!
A miłośna ta lub owa,
O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach, stu dziewicach,
Rzekłbyś: — że te dumy z laty,
Przenuciwszy błogie chwile,
Przenuciwszy smutne straty,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile...

Czy i w tej strofie stary myśliwiec jest typową postacią szlachcica ukraińskiego z dawnych czasów? Rzecz wydaje się wątpliwą, mało prawdopodobną. Wiemy wprawdzie, że jeszcze w XVIII wieku był zwyczaj trzymania na dworach szlacheckich na Rusi kozaczków-bandurzystów, świadczy o tem Krasicki w *Doświadczyńskim*, a ponieważ ci kozaczkowie musieli śpiewać ludowe pieśni ruskie, więc można stąd wnioskować o pewnem zamiłowaniu w ludowej poezyi ruskiej na dworach szlacheckich. Wiemy, że i język ludowy ruski bywał często na ustach szlachty polskiej na Ukrainie, a nawet i magnatów; przykładem sławny smutnej pamięci starosta Kaniowski, Mikołaj Potocki, który stale okraszał mowę swoją wyrażeniami z ludowego języka ukraińskiego i którego też, jakby przez wdzięczność za to, uwieczniła pieśń ludowa. To zamiłowanie, ten zwyczaj raczej, przechował się i w wieku XIX. Ale to upodobanie w ludowej mowie, poezyi i melodyi

ukraińskiej, w czasach przedromantycznych, było zupełnie nieświadome, nie oparte na żadnem rozumowaniu, i tym, którzy je dzielili, przypisywać refleksye i żale, z jakiemi występuje nasz stary myśliwiec, byłoby sądzę, rzeczą ryzykowną. Przypominam, co pisał Grabowski w roku 1826 o zbieraniu pieśni ukraińskich, jak »Scytowie« ukraińscy brali to za żarty, kiedy im o tem mówił. Więc stary myśliwiec w tej strofie i w poprzedniej, gdzie nuci ustęp z dumy o Chmielnickim, nie jest już typem, wziętym z realnego świata, ale organem samego poety, jego ukrainomanii, jego romantycznego przejęcia się znaczeniem i pięknością dum i dumek ruskich. Dumy też, które on wymienia: »o trzech zorzach, trzech krynicach — siedmiu wodzach, stu dziewicach«, noszą zbyt widocznie literacki charakter, zanadto przypominają klasyczne wyrażenia Zoryana Chodakowskiego [1]) o trzech księżycach, trzech zorzach dziewiczych i siedmiu gwiazdach wozowych, ażeby je można było uznać za takie, które dochodziły kiedyś naprawdę uszu starego myśliwca.

Równie dziwnym w ustach tego starego szlachcica wydaje się początek dumy o Chmielnickim, albo raczej o ugodzie białocerkiewskiej, zawartej przez niego, ponieważ duma ta jest wyrazem nienawiści Kozaków ku Lachom, rozpętanej buntem i tryumfami Chmielnickiego a podniecanej różnymi nadużyciami ze strony żołnierstwa polskiego. Że ją stary szlachcic mógł znać, niema w tem nic nieprawdopodobnego, ale żeby nią chciał bawić swoich gości, temu trudniej jest uwierzyć.

Dalej następuje krótka historya miłosna starego myśliwca; nasuwa ją rząd topoli, który widać z drogi, a który niegdyś prowadził do dworu Podstolego. W tym dworze nasz myśliwiec poznał był Podstolankę i pokochał, ona go wzajemnie, ale matka się drożyła, więc młody zapa-

[1]) Cytowane w rozdziale o Rusałkach.

leniec, »rzuciwszy drogi kram«, puszcza się w step, na jakąś wojnę, wpada do oblężonego Głuchowa i tam pięciomiesięczne przebywa oblężenie, tem okropniejsze, że w tej stolicy hetmańskiej już wszystek miód wypito. Co to za wojna? jakie to czasy? Daremnie pytać o to. Historya tu ukazuje się bez wszelkiej chronologii, ma znaczenie wyłącznie dekoracyjne, zadaniem poety jest tylko od malować temperament i zamaszystość szlachcica ukraińskiego, w którym siedzi dusza kozacka, temperament, który streszcza się niejako w wykrzykniku starego myśliwca, kończącym każdą strofę: Co mi tam! — I to udało mu się najzupełniej.

Zakończenie tej dumki, która ma coś z charakteru gawędy, przedstawia ukazanie się wilka i celny strzał z ręki starego myśliwca i odznacza się wyborną plastyką, właściwą poezyi Zaleskiego, plastyką ruchu.

Jeżeli w *Poranku starego myśliwca* historya odgrywa rolę fantastycznej draperyi bez samoistnego znaczenia, to w *Czajkach* i *Trzecim szturmie do Stawiszcz*, jest zupełnie inaczej. Są to wyjątkowe utwory Bohdana, oparte na ścisłej historyczności, przywiązane do dat wyraźnych, a ta ścisła historyczność nie wpływa bynajmniej ujemnie na swobodę artystyczną, na polot fantazyi poety, to też oba utwory należą do arcydzieł Zaleskiego. *Czajki* odnoszą się do sławnej wyprawy morskiej Kozaków pod dowództwem Konaszewicza w r. 1614 na Synope. O kozackich wyprawach morskich wogóle znajdował nasz poeta, za wskazówką Święckiego, wiele ciekawych wiadomości u Beauplana, w jego opisie Ukrainy, i wiemy, że już na początku 1825 zaczynał pisać rapsod na temat wyprawy na czajkach przeciw Stambułowi, ale wtedy za bohatera, wbrew historyi, obierał sławnego pogromcę Krymskich Tatarów, Sierka. Rozczytanie się w innych źródłach historycznych, między innemi w Collectaneach Sękowskiego, które się świeżo ukazały były, podsunęło mu przed oczy wyobraźni

jaskrawy obraz zuchwałego napadu kozackiego na rozkoszną i bogatą Synopę, zwaną »miastem kochanków«, napadu zakończonego wielkim pożarem tego miasta, a uwieńczonego olbrzymim łupem stamtąd wywiezionym[1]. Obraz ten tem silniej przemówił do wyobraźni naszego poety, że w nim na pierwszy plan wysuwała się postać najsympatyczniejsza dla niego: postać Sahajdacznego Konaszewicza, najdzielniejszego Zaporożca, który zdumiewał swoją odwagą współczesnych, i zarazem najwierniejszego sprzymierzeńca Polski.

Czajki nie są utworem, w którym główny bohater, Konaszewicz, wypowiada swoje uczucia, jak to było w *Dumce Kosińskiego* lub *Mazepy*, ale jest to, jak sam poeta zaznacza w podtytule: »Śpiew Zaporożców w powrocie z wyprawy morskiej Konaszewicza«, jest to wylew zbiorowych uczuć radości i tryumfu, zbiorowy, entuzyastyczny okrzyk na cześć zwycięskiego wodza. Nigdzie w poezyach Zaleskiego wojowniczy duch kozacki, żądny przygód, walki i łupu, nie wypowiedział się lepiej, jak w tym wierszu. Jeżeli Goszczyński zarzucał Kozakom Zaleskiego, że są zanadto salonowi[2], to do *Czajek* zarzut ten chyba się najmniej mógł stosować. Prawda, Zaleski i tutaj pozostał wierny swoj naturze, lubującej się w harmonii, stroniącej od przykrych obrazów, jakich nie szczędził Goszczyński w swoim *Zamku Kaniowskim*, ale nie fałszował charakteru Kozaków, tylko z danego tematu wybierał moment tej swojej naturze odpowiedni. Więc mamy w tym śpiewie nie obraz walki, zamętu, pożogi i mordu, czego wszystkiego nie brakło w napadzie na Synope, ale obraz tego, co jest już epilogiem wyprawy Konaszewicza. Kozacy już są na morzu, już wracają, upo-

---

[1]) Ob. moją »Historyę wojny chocimskiej r. 1621«. Lwów 1889, rozdział I.

[2]) Nowa epoka poezyi polskiej. Powszechny pamiętnik 1835.

jeni tryumfem, obciążeni zdobyczą, przejęci uwielbieniem dla swego wodza, już z każdem pchnięciem wiosła coraz się oddalają od widowni strasznego napadu, którą z daleka tylko przypomina się im czerwoną łuną na nocnem niebie i krwawym połyskiem na ciemnej fali.

Toż się tu z chmury na wody
Pełnia odbija miesiąca?
Nie — to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody!
Przy wojennej tej pochodni
Kiedy lekko wiatr zachodni
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy:
Bracia! raźny okrzyk społem,
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Ten okrzyk, powtórzony przy końcu każdej strofy, a niemal za każdym razem coraz silniej, nie jest sztucznie przyczepionym refrain, ale wiąże się z każdą strofą najściślej, ma cechę elementarnego wybuchu uczuć i nadaje ogromną siłę życia, siłę plastyki utworowi. To też *Czajki* należą do tych utworów Zaleskiego, które sprawiały najsilniejsze wrażenie, najbardziej malowniczo przedstawiały Kozaczyznę i najwięcej nęciły innych poetów do naśladowania Zaleskiego, po części w wyborze tematów, po części w formie ich ujęcia. Jeżeli *Poranek starego myśliwca* może się chlubić tym zaszczytem, że pewne, bardzo drobne wprawdzie, ale wyraźne reminiscencye jego można odnaleźć w *Panu Tadeuszu*, to i dla *Czajek* niemałą to jest chlubą, że dwaj tacy poeci, jak Słowacki i Szewczenko, w początkach swego zawodu poetyckiego potrąceni byli tak silnie tym utworem, że odbił się on niezaprzeczonem naśladownictwem w poezyi jednego i drugiego. Na Słowackiego już *Rusałki* Bohdana tak silne sprawiły wrażenie, że pewien zwrot tej fantazyi w wiele lat potem odbił się dalekiem echem w jego pełnej prze-

pychu malarskiego sielance szwajcarskiej [1]; wrażenie wywołane *Czajkami* było o wiele silniejsze i miało bezpośrednie następstwa w postaci wielkiego a bardzo sztucznie skleconego poematu na temat morskich wypraw kozackich, p. t. *Żmija*. A nie tylko sam zwrot do tematu wypraw morskich był następstwem tego wrażenia, ale i takie szczegóły, jak śpiew Kozaków na czajkach, aż dwukrotnie wprowadzony do poematu (w pieśni trzeciej i czwartej), śpiew powtarzający pewne zwroty i obrazy z *Czajek* [2]. U Szewczenki wpływ tego wiersza widoczny jest w dwóch urywkach epickich, które charakterem swoim zbliżają się do rapsodów Zaleskiego, a za temat mają wyprawy morskie Zaporożców do Turcyi. Tytuły ich: *Iwan Podkowa* i *Hamalija*, są to nazwiska dwóch wodzów kozackich, z których pierwszy jest postacią historyczną, i w istocie walczył z Turkami, ale wypraw

---

[1]) Mianowicie ta strofa *Rusałek* z pierwszej pieśni:

Błyśnie siedem gwiazd na niebie,
W Dnieprze błysną trzy miesiące,
Zalśnią gwiazdy spadające,
I co zechcę, zrobię z ciebie,

odbiła się w tym ustępie Słowackiego:

Bo ona była, jak wodne boginie,
Miała powozy z delfinów, z gołębi
I kryształowe pałace na głębi
I księżycowe korony w noc ciemną
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

[2]) Na przykład z Pieśni odpływających (Pieśń III):

Urra ho! dalej! urra ho! dalej!
    Z naszym hetmanem
    Urra ho! dalej!

albo z Pieśni powrotu (pieśń IV):

Czajki! czajki! Sicz przed nami!
Oto brzegi Zaporoża!
A daleko, za czajkami,
Już pożarów gaśnie zorza itd.

morskich nie przedsiębrał, drugi nawet wcale nie istniał w historyi i jeżeli został przez Szewczenkę wprowadzony do poezyi, jako naczelnik wyprawy, to chyba dlatego, że bardzo mało z historyą obeznany poeta nie mógł znaleźć innej postaci dla swego tematu, a nie chciał zbyt wyraźnie naśladować Zaleskiego, opiewając tego samego, co i on, wodza, Sahajdacznego. W urywku *Iwan Podkowa* sytuacya wzięta jest z tych strof Zaleskiego, które przedstawiają Konaszewicza, jak stroniąc od gwaru i śpiewów drużyny w milczeniu układa plan nowej wyprawy, w *Hamalii* powtarza się okrzyk na cześć wodza morskiej wyprawy, który siebie i drużynę okrył szeroką sławą wojenną. Ale *Hamalija* — rzecz godna uwagi — jest też jakby uzupełnieniem *Czajek*, rozwinięciem pomysłu w nich zawartego, poeta wprowadza tu i jęki niewolników chrześcijańskich nad Bosforem, czekających wyzwolenia i scenę mordów i pożogi, której Zaleski tknąć nie chciał, bo była naturze jego artystycznej wstrętną.

Ale najważniejszą rzeczą w stosunku Szewczenki do *Czajek* Zaleskiego jest to, że poraz pierwszy spotkał się on tu z romantyczną apoteozą kozaczyzny, podaną w formie poetycznej. W poezyi małoruskiej przed Szewczenką, reprezentowanej przez Kotlarewskiego i Artemowskiego, tej apoteozy nie było. Kotlarewski traktował Kozaczyznę z pewną sympatyą, ale humorystycznie, co się zaś tyczy hajdamaków, na tych spoglądał jak na złodziei lub rozbójników. Artemowski nie dotykał Kozaczyzny. Kwitka, o ile o nią potrącał w swoich powieściach, przedstawiał ją w stanie rozkładu i ze strony komicznej. Tylko Gogol, piszący po rosyjsku, w swojej powieści *Taras Bulba*, napisanej pod wpływem bajecznej i bajecznie tendencyjnej *Historyi Russów*, a po części urzędowej poezyi Puszkina z r. 1831, pokazał ją w bengalskiem oświetleniu, ale powieść Gogola ukazała się dopiero w pięć lat po *Czajkach*, w r. 1835, i brała motyw powieściowy nie z wojen Ko-

zaków z niewiernymi, ale z walki ze światem katolickim, z Polską.

Drugi na tle ściśle historycznem osnuty utwór Zaleskiego, który się także w *Meliteli* z r. 1830 ukazywał, *Trzeci szturm do Stawiszcz*, jest, jak to już po części wskazywałem [1]), czemś zupełnie wyjątkowem w twórczości naszego poety, a to nietylko dlatego, że obiera przedmiot z dziejów walki polsko-kozackiej, (bo i *Dumka Mazepy* na tem tle osnuta), ale że przy takim wyborze sympatye swoje wyraźnie umieszcza po stronie przeciwnej Kozaczyźnie. Treść utworu powszechnie znana: Czarniecki oblega Stawiszcze, gdzie się zamknęli zbuntowani Kozacy, dwa szturmy przypuszcza, obadwa odparte, więc czując osłabienie ducha w swem wojsku, piorunującemi słowami piętnuje brak jego męstwa, a te słowa w piersi jednego z młodych rycerzy, wywołują zapał, który pociąga za sobą całe wojsko do nowego, trzeciego i tym razem zwycięskiego szturmu. Temat do tego »Śpiewu historycznego«, jak nazywał poeta swój utwór, znajdował w *Opisie starożytnej Polski* Święckiego, gdzie o Stawiszczach [2]) powiedziano: »niegdyś twierdza, przy dobywaniu tej przez Czarnieckiego, kiedy Kozacy zamknięci z największą zaciętością bronili się, Zgłobicki Polak wskoczył na wały, trzymając chorągiew, a gdy mu nieprzyjaciel odciął rękę pałaszem, schwycił ją z ziemi drugą ręką, i nie pierwej dał sobie wydrzeć, aż odcięto i tę«. Święcki odsyłał czytelnika pobliższe szczegóły do dzieła X. Michała Krajewskiego S. P. o Czarnieckim [3]) i nie można wątpić, że Za-

---

[1]) Zob. rozdział V. tej książki.

[2]) Święcki. Opis starożytnej Polski wyd. drugie 1828, T. II, str. 184. U Święckiego Stawiszcze nazwane Stawiski.

[3]) Historya Stefana na Czarncy Czarnieckiego. W Warszawie 1787 roku.

leski nie omieszkał skorzystać z tej wskazówki [1]). Temat pociągnął go ku sobie nietylko obrazem czynu bohaterskiego, ale także, i może przedewszystkiem, tłem miejscowem, tłem rodzinnej jego okolicy.

Swoim zapałem patryotycznym i niektóremi drobnemi szczegółami, utwór ten przypomina niedrukowaną dumę o Godebskim *(Wyjeżdżający do legionów)* o której w III. i IV. rozdziale była mowa [2]) i możnaby przypuścić, że pierwotny jego pomysł sięga jeszcze pierwszych lat pobytu w Królestwie, a przypuszczenie to popierają inne jeszcze względy. W tych czasach Goszczyński drukował swoją *Dumę o Czarnieckim* [3]) i w ten sposób zwracał uwagę swego kolegi na ten temat, i mógł go pobudzać do współzawodnictwa. W tych czasach ukrainizm Zaleskiego nie sięgał jeszcze tak daleko, aby się nasz poeta uważał za przedstawiciela i obrońcę Kozaczyzny w poezyi polskiej i walka domowa, polsko-kozacka, nie mogła mieć dla niego tych stron przykrych, co później. Ale jeżeli przypuścimy, że pierwszy szkic tego utworu pochodzi z lat dawniejszych, to, przez wzgląd na doskonałą formę artystyczną *Trzeciego szturmu do Stawiszcz*, musimy jego ostateczną redakcyę przenieść na czasy ostatnie. Mało jest utworów Zaleskiego tak zharmonizowanych, jak ten utwór, mało postaci jego z taką siłą i plastyką rzuconych, jak postać Stefana Czarnieckiego, a poezya ruchu, w której tak celo-

---

[1]) Świadczą o tem słowa, włożone Czarnieckiemu przez poetę w usta: »Zburzę opryszków jaskinię — Póty nie dotknę jadła, napoju — Aż com zamierzył, uczynię«, które znajdował u X. Krajewskiego: »Kazał dobywać miasta, powtarzając często te słowa, któremiby dodał ochoty i serca swoim: »iż póty nie przyjmie ani pożywienia ani spoczynku, póki nie rozwali tej jaskini opryszków«. Hist. Czarnieckiego str. 379.

[2]) Mianowicie zakończenie Śpiewu o Czarnieckim jest jakby wzięte z dumy o Godebskim, tylko z przemianą nazwiska.

[3]) Wanda 1821, T. I.

wał nasz poeta, święci tu jeden ze swoich największych tryumfów w obrazie bohatera, pędzącego z chorągwią w dłoni na czele wojska do szturmu.

Wyjątkowym jest także w poezyi Zaleskiego i czwarty jego utwór w tejże *Meliteli* umieszczony: *Śpiewające jezioro*, wyjątkowy swoją egzotycznością. »Wzmianka w dziełach Klaprotha o śpiewających jeziorach na Kaukazie, była powodem do napisania tej fantazyi«, tłumaczy sam poeta genezę tego wiersza w przypisku, ale z objaśnieniem tem nie wiemy co zrobić. Wydaje się nam ono, po rozpatrzeniu się w dziełach Klaprotha, mistyfikacyą, jedną z tych, któremi pisarze romantyczni tak szczodrze raczyli swoich czytelników. Szukałem tej wzmianki w dziełach Klaprotha o Kaukazie (Reise in den Kaukasus und nach Georgien, Berlin 1814, Voyage au mont Caucase et en Géorgie, Paris 1824 i Tableau historique, géographique, ethnographique et Politique du Caucase, Paris 1827) ale jej nigdzie nie znalazłem. Znalazłem tylko tę wzmiankę, że jeziora na Kaukazie są wielką rzadkością i że Klaproth widział tam tylko jedno małe jezioro [1]. Zresztą, gdyby się nawet i znalazła była u Klaprotha wskazana przez poetę wzmianka, to jeszczeby trudno było zrozumieć, jak suche, bezbarwne, martwe opisy i opowiadania tego podróżnika mogły pobudzić wyobraźnię Bohdana do stworzerzenia tak czarodziejsko-malowniczych obrazów, jakie roztacza *Śpiewające jezioro*. Prędzejby można przypuścić, że taką pobudką były piękne obrazy przyrody kaukaskiej w jednym z najlepszych utworów Żukowskiego (Къ Воейкову. Посланіе).

To, co Grabowski zdaje się mniemać w swojej *Literaturze i Krytyce*, że to z *Jeńca Kaukazkiego* Puszkina zaczerpnął Zaleski natchnienia do tego utworu [2]), nie jest

[1]) Tableau du Caucase str. 51.

[2]) Mianowicie Grabowski powiada w swojej Nocie o Puszkinie

dostatecznie uzasadnione. Wprawdzie i tu i tam zakochana Czerkieska rzuca się w nurty wody, nie chcąc żyć dłużej na świecie, ale u Puszkina w tym epizodzie główną rzeczą jest nie obraz natury, tylko dramat w piersi Czerkieski u Zaleskiego przeciwnie piękna Majuma jest tylko jakby jedną więcej dekoracyą czarodziejskiego jeziora z jego harfami niebieskiemi, które wabią w zaświaty jej duszę. Tak więc geneza *Śpiewającego jeziora* pozostaje zagadką, do której klucza nie mamy i chyba jakiś traf szczęśliwy przyniesie go kiedyś. Utwór zresztą mało ma ciepła w sobie, wyobraźnia go stworzyła bez udziału serca, ale malarski talent poety objawia się tu z większą siłą, niż gdzieindziej, a śpiewność wiersza podnosi urok czarodziejskiego krajobrazu.

Miesiąc ku górom wzbity na pół,
Gdzieniegdzie włosy promienne snuł,
I coraz jaśniej, jaśniej w jeziorze
Malował niebios błękit i zorze.

Niżej i wyżej po bokach gór,
Głośno azyjskich słowików chór,
Po skałach, wodach, stokroć zmącony,
Odśpiewał nieszpór dla dzikiej strony.

I od Elbrusa na złomy skał,
Błękitną wstęgą strumień się zwiał,
I rozdmuchniony na smug tam świeży,
Żyjącem srebrem błyska i bieży.

Wiersz ten zarówno podobał się Dmochowskiemu, jak i Mochnackiemu. Pierwszy pisał o nim i o ***Poranku starego myśliwca***, że są to »perły poezyi i prawdziwie genialne utwory« [1]), drugi, mówiąc o Zaleskim w swojej

(Liter. i Krytyka T. I. Wilno 1840, str. 107), że obraz z ***Jeńca Kaukazkiego*** »ledwie nie ten sam« w *Śpiewającem jeziorze.*

[1]) Pamiętnik umiejętności moralnych i literatury 1830, T. II, str. 232.

Literaturze polskiej, ze wszystkich utworów tego poety wybrał tylko parę strof ze *Śpiewającego jeziora* dla pokazania, jak jest świetnym, »brylantowym«, jak powiadał, styl jego. Ale, jeżeli kwiat ten wistocie ma piękne kolory, to brak mu woni rodzimej, brak mu rzewności i prostoty, tych głównych zalet poezyi Zaleskiego, i bohaterka tej fantazyi »Piękna Majuma« wygląda trochę jak strojna baletnica, która na tle czarodziejskiej dekoracyi wykonywa jakiś taniec egzotyczny. Pod tym względem ostatni kwiatek, który dołączył nasz poeta do bukietu złożonego w *Meliteli*, dumka p. t. *Pielgrzym w obcym kraju*, zarówno zamykająca *Melitelę*, jak i poezyę przedpowstańczą Zaleskiego, stanowi zupełne przeciwieństwo ze *Śpiewającem jeziorem*. Drobna ta, sześciostrofowa piosnka nabrzmiała jest ową tęsknotą do stron rodzinnych, która jest jakby duszą liryki naszego poety; w niej zawarł on kwintesencyę swoich uczuć, swojego marzycielstwa, zwróconego ku cudom wrażeń dziecinnych.

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?
Wiecznież w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

. . . .

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora
I nie jutro obaczę.

Jakby umyślnym komentarzem do tej piosnki jest list Bohdana do Witwickiego (z Sochaczewa d. 23 marca 1830), ostatni z listów jego, jakie się zachowały, pisanych w kraju. Jeszcze nie wyszła była *Melitele*, więc na początku listu dopytywał się o nią, o różne wiadomości z Warszawy, o sobie zaś pisał: »Żyję jak za światem, jak w stepie, mimo licznego grona przyjaciół i znajomych, mieszkających odemnie tylko o mil siedem. Że ja rzadko do ciebie pi-

suję, rzecz bardzo naturalna! Nie mam o czem pisać! Na Bzurze puściły lody! O pracach poetyckich? Od początku marca nie napisałem ani jednego wiersza. Zresztą dusza moja potrzebuje gwałtem pokoju, jakiegoś strasznego, wiecznego pokoju, chociażby nawet pokoju umarłych. Blask, woń, barwa, wszystkie dziwy, świat i żywy i nieżywy, ponikły, zamierzchły przed oczyma poetyckiej mej duszy. Bezsilny, bezwładny, siedzę wciąż w ponurem milczeniu, a na sercu ciężko, nudno«.

Taki był początek listu, takie usposobienie, z jakiem zaczynał ten list pisać. Nastąpiła przerwa, podczas której otrzymał listy od rodzeństwa, a te poruszywszy wszystkie struny dalekich wspomnień, ożywiły jego fantazyę i wprawiły go w ten marzycielski nastrój, w którym się tak lubował. Więc wieczorem tegoż dnia, kończąc list, tak pisał: »Dawno niedoświadczone uczucie napełnia obecnie mą duszę. W tej chwili przysłał mi Glücksberg listy od rodzeństwa. O jak straszna jest potęga wspomnień lat minionych! Cały świat mej młodości, żywi i pomarli, otaczają mię dłoń w dłoni czarnoksięskiem kołem, wpośród którego wszystkie się dziś myśli moje, wszystkie uczucia promienią, a podemną zielone, szumiące stepy Ukrainy, a nademną jasne, błękitne niebo Ukrainy! Muszę się odurzyć, upić wirem tych, razem najrozkoszniejszych i najsmutniejszych, obrazów. W dziwnym, błękitnym świecie fantazyi, gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu morzami i za trzy razy dziewięciu lądami, nie było mi nigdy tak błogo, jak dzisiaj, w tym czarnoksięskim okręgu żywej, dotykalnej rzeczywistości. Szczęśliwy, że mam się przed kim wynurzyć« [1]).

[1]) Korr. J. B. Z. I, 37—38.

ROZDZIAŁ XII.

Podczas burzy.

1830—1831.

Spisek Podchorążych. — Grabowski i Goszczyński w Warszawie. — Tryumfujący romantyzm. — Dysputy literacko-polityczne. — Uczta dla Kamińskiego. — Grabowski contra omnes; rola Ostrowskiego. — Pauza trwogi i rozpaczy. — Mochnackiego książka o literaturze polskiej. — Rola Lelewela. — Bohdan w atmosferze rewolucyjnej. — Bohdan na placu boju; jego odezwa do mieszkańców Warszawy i artykuły w sprawie uwłaszczenia włościan. — Bohdan posłem sejmowym. — Exodus; gwiazda wytrwałości.

Podczas gdy poeta upajał się marzeniami, które go przenosiły w błogie czasy dzieciństwa i otwierały przed nim jakiś cudowny, nadziemski świat poezyi, społeczeństwo otaczające poetę, szczególnie w młodszem pokoleniu, coraz żywiej oddawało się marzeniom politycznym. Gorączka spisków patryotycznych, na krótki czas przerwana odkryciem Towarzystwa patryotycznego i obawą prześladowań, na nowo rozpoczęła swój proces, jak tylko okoliczności zewnętrzne zdawały się sprzyjać robocie spiskowej i jej celom. Okolicznością sprzyjającą była wojna turecka, która zmuszała Rosyę do wyprowadzenia znacznych sił zbrojnych na daleki teren wojenny i której przebieg nie obiecywał szczęśliwych dla Rosyi rezultatów. Tym razem siedliskiem spisku, zawiązanego pod koniec

1828 r., jest Szkoła podchorążych, celem zaś na razie jest tylko »obrona zgwałconej Ustawy konstytucyjnej«, ale obrona zbrojna, która ma się dokonać przez powstanie. Miało ono wybuchnąć już na wiosnę 1829, odroczono jednak jego termin pod wpływem rozważniejszych żywiołów, a tymczasem skończyła się wojna turecka i w ten sposób ubywała okoliczność, która głównie zachęciła Wysockiego i towarzyszy do zawiązania spisku. Spisek jednak zanadto silny znalazł grunt pod sobą w gorących sercach i głowach patryotycznej młodzieży, aby miał się rozchwiać wskutek zmian zewnętrznych. I owszem, rozrastał się i wpływem swoim coraz szersze obejmował kręgi.

Wprawdzie podczas trwania ostatniego sejmu (w maju i czerwcu 1830) stosunek między sejmem a cesarzem, który bawił wówczas z rodziną w Warszawie, zdawał się być lepszym, niż kiedykolwiek, wprawdzie sejm jednomyślnym okrzykiem zawotował przeszło sześć milionów złotych dla uczczenia pamięci cesarza Aleksandra, co bardzo przyjemnie zadziwiło jego następcę, który »w żywych wyrazach dziękował za to posłom« [1]), ale nie usunęło to czynników, które ciągle pracowały na drażnienie społeczeństwa polskiego i podsycanie jego niezadowolenia z panujących stosunków, a tymi czynnikami były, jak wiadomo, despotyczna, gwałtowna natura W. księcia, przewrotność Nowosilcowa i cały system rządów policyjnych, wrogi konstytucyjnym ustawom. Zaraz po tym sejmie wybuchła rewolucya lipcowa we Francyi i wywołała w społeczeństwie polskiem, szczególnie w Warszawie, nastrój, który niewstrzymaną siłą sprawę spisku popychał naprzód.

Około tego czasu, jeszcze przed końcem sejmu, zjawili się w Warszawie dwaj koledzy humańscy Zaleskiego: Grabowski i Goszczyński. Pierwszy przyjeżdżał, aby dopro-

---

[1]) I. U. Niemcewicza Pamiętniki z 1830—1831 r. wydał M. A. Kurpiel, Kraków 1909, str. 27.

438'



Michał Grabowski.

wadzić do skutku od kilku lat żywiony zamiar stworzenia organu literacko-naukowego, któryby stał na wysokości współczesnych wymagań, (za wzór tym razem chciał obrać sobie *Revue de Paris)* i wierząc, że w ten sposób odpowie jednej z najważniejszych potrzeb narodowych, gotów był osobny fundusz na to przeznaczyć[1]; w tym też celu już przedtem prowadził korespondencyę z Mochnackim. Drugi, który tym razem miał już paszport na na swoje imię, jechał z zamiarem opuszczenia na zawsze Ukrainy i przeniesienia się do Warszawy, dokąd go ciągnęła chęć wydania swoich poezyi, a jeszcze więcej może przeczucie bliskiego wybuchu rewolucyi, do której tęsknił, o której marzył przez lat dziesięć. Żyjący dotychczas przeważnie kosztem zamożnych kolegów, miał teraz zarabiać na siebie, tłumacząc powieści Walter Skota dla tak zwanej stereotypowej drukarni założonej przez Waleryana Krasińskiego.

Jakie wrażenie na kolegach humańskich sprawiło literackie życie Warszawy, z którą od dwu lat nie mieli bezpośredniej styczności, jak tryumfującym wydał się im teraz obóz romantyczny, dowiadujemy się o tem najlepiej z listu Goszczyńskiego do innego kolegi z Humania, Wacława Pilawskiego, pisanego zaraz po przyjeździe do stolicy. »Życie literackie, donosił Goszczyński, jest tu w wielkim ruchu. Szkoła (ponieważ starzy tak nas nazwali) młodych pisarzy otrzymała zupełną przewagę i pognębiła starych niedołęgów. Nakoniec sami przyznali wyższość talentów naszym pisarzom i krytykom. Niektórzy zupełnie umilkli, inni zaledwie bąkają. Nic ciekawszego, jak teraźniejsze spory literackie i nic zjadlejszego, można powiedzieć. Ależ bo dzielnych mamy zapaśników. Na czele naszej strony stoją: Mochnacki, jeden z redaktorów dawnej

---

[1]) Goszczyński, Noc Belwederska, Cz. I, str. 25, a także *Zapiski do moich pamiętników* Teki VII.

Gazety Polskiej, a dziś *Kuryera Polskiego* i Ostrowski, piszący do *Dziennika Powszechnego*... Mochnackiego artykuły nacechowane są polszczyzną, uznaną przez samych nieprzyjaciół za najpiękniejszą dzisiaj, okropną uszczypliwością i wielkiemi wiadomościami. Właśnie dzisiaj czytałem z nim artykuł dzisiaj napisany przeciw niemu, gdzie go nazywa[ją] Robespierem, bandytą i t. p., tyle dojada przeciwnikom. Ostrowski pisze z niezwykłą mocą i ogniem, o tym powiadają, że jak Napoleon wali wszystko, co mu się nawinie. Świeży tego był przykład na Brodzińskim. Miał on wydać trzy tomy swoich pism, ale Ostrowski tak napisał o pierwszym wyszłym z druku, że Brodziński zatrzymał ogłoszenie dalszych. Z tego też powodu starzy udają się do intryg często bardzo podłych. Koźmian dawał obiady dla Rady administracyjnej, ażeby zabroniła wychodzenie *Kuryera Polskiego*, na Radzie uniwersyteckiej podano projekt prośby do ministra, ażeby nie wolno było pisać przeciw profesorów. Oskarżają nawet młodą szkołę, że jej literackie zasady okazują wyraźną rewolucyjną dążność. Dotąd jednak nic jej zrobić nie mogą. Owszem opinia coraz więcej nam sprzyja. Niech cię nie nudzi moja gawęda. Piszę o rzeczach, które tu wszystkich przyjaznych czy nieprzyjaznych bardzo zajmują, i ty, gdybyś czytał nasze dzienniki i wszedł w obręb tych czynności, miałbyś wielką rozkosz« [1]).

Z tego listu łatwo poznać, jaką rozkoszą napawał Goszczyńskiego gwar literacki Warszawy, łatwo się też domyślić, że na stosunki warszawskie, których sam jeszcze nie miał czasu bliżej poznać, spogląda on tu oczami Mochnackiego i Ostrowskiego. Z tym ostatnim miał sposobność stykać się nieustannie, a to z powodu, że Ostrowski ustąpił przybyszom z Ukrainy część mieszkania, od-

[1]) Księga pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy A. Mickiewicza. Między kolegami z Humania.

danego sobie do rozporządzenia na lato [1]). Ponieważ Grabowski przyjechał z zamiarem założenia poważnego organu literackiego i potrzebował porozumieć się z literatami warszawskimi pod względem kierunku, planu i układu pisma, a także doboru współpracowników, więc w mieszkaniu jego często gromadzili się młodzi literaci warszawscy i odbywały się narady i dysputy, w których na pierwszym planie była literatura, ale w których poruszano także i inne kwestye, wiążące się z literaturą i z kwestyą kierunku pisma, filozoficzne, religijne i polityczne, te ostatnie pod wpływem wypadków zagranicznych coraz mocniej interesujące ogół. Młode umysły, podniecone tryumfami nowej literatury, kołysane nieokreślonemi nadziejami politycznemi, skłonne do improwizowania na wszelki temat, ścierały się tu nieraz z sobą długo, namiętnie i chaotycznie. Bardzo ciekawą, a nie podejrzaną o jakąkolwiek niechęć, charakterystykę tych rozpraw i swego stosunku do nich, zostawił nam Goszczyński w swojej *Nocy Belwederskiej*. »Byli między nami ludzie lubiący i umiejący dobrze i wiele mówić; mieli do tego pole i korzystali z niego. Zdarzyło się kilka razy, że dopiero świt zamykał posiedzenie, a niektóre były tak burzliwe i gwarne, że można było spodziewać się denuncyacyi jakiegoś szpiega i jej skutków. Dziś już nie pamiętam głównej treści tych rozpraw, jak i wówczas nie byłbym wstanie zdać z nich sprawy, bo choć mię w pewnej części zajmowały, ale kończyło się na tem, że już nie wiedziałem, o co rzecz idzie, i kładłem się w łóżko i spałem w najlepsze, mimo różnych tonów hałasu. Ale zawsze było to życie i piękne

---

[1]) »Zamieszkaliśmy w domu Sakramentek. Był to apartament zacnego pana Smolikowskiego, ex-rektora szkół Lubelskich: ale, że on z rodziną przebywał lato we wsi, mieszkanie jego zajmował pod ten czas Józafat Ostrowski i z niego dwa pokoje nam odstąpił«. Goszczyński: »Noc Belwederska« Cz. I, str. 25.

życie, które wybuchało w ten sposób, zaczem trafiło na właściwszy«.

Ten Belwederczyk nie był stworzony do dysput, i ochoczo usypiał przy szumie wymowy Mochnackiego, Ostrowskiego, Żukowskiego, Grzymały, Grabowskiego i innych. Zaleski o ile bywał przy tych dysputach, to jest o ile zajęcia pedagogiczne pozwalały mu przyjeżdżać do nieodległej od Sochaczewa Warszawy, niewątpliwie, sądząc z tego, co o nim wiemy, nie brał także żywszego w nich udziału, ale przysłuchiwał się zapewne z większym niż Goszczyński interesem i szukał w nich żywiołu dla marzeń, które snuł potem w swoich czterech ścianach. Czy wynosił go wiele? i jaki odgłos znajdowała w duszy jego struna polityczna, która coraz żywiej musiała odzywać się w tych dysputach? nic o tem nie wiemy. Zdaje się jednak być rzeczą pewną, że jeszcze wtedy, tj. w lipcu 1830 r., nie był wciągnięty do spisku, nie był wtajemniczony w jego zamiary. Goszczyński, mówiąc o tych posiedzeniach literackich, powiada, że »oprócz Ostrowskiego i Mochnackiego, który od brata swego Kamila przypuszczony był do tajemnicy związku, żaden z nas podobno nie stykał się z nim czynnie«.

Ale pod sam koniec lipca wybuchła rewolucya w Paryżu i elektrycznie podziałała na wszystkie żywsze umysły w Warszawie; stąd życie literackie coraz silniej zaczęło się zabarwiać polityką. Jednym z pierwszych wybitniejszych objawów tego procesu było uczczenie I. N. Kamińskiego, zasłużonego dyrektora teatru lwowskiego, twórcy *Krakowiaków i Górali*, tłumacza wielu utworów teatralnych a zarazem i niefortunnego autora owej rozprawy o filozoficzności języka polskiego, która w taki zachwyt wprawiała Mochnackiego, i owych sławnych *Sonetów*, które nawet pobłażliwy dla romantyków Niemce-

wicz nazwał »zbiorem dzikich niedorzeczności«[1]). Ale Kamiński, pomimo iż wiekiem należał do pokolenia Koźmianów i Osińskich, duszą i ciałem był z romantykami, więc romantycy warszawscy, gdy w sierpniu tego roku przybył w odwiedziny do Warszawy, postanowili, zapewne z inicyatywy przyjacielskiej Mochnackiego, uczcić go uroczystą ucztą.

Ta uczta urządzona za miastem, w tak zwanej kolonii Winena, (był to dom z ogrodem, należący do jednego z muzyków orkiestry teatru warszawskiego) miała być nietylko hołdem dla osobistych, tak prawdziwych jak urojonych, zasług Kamińskiego, ale i pewnego rodzaju manifestacyą; miała stwierdzić tryumf nowych idei estetycznych, które w Galicyi znajdowały głównego przedstawiciela w Kamińskim, i być przytem, jak się wyraża Goszczyński, »objawieniem uczucia braterskiego wiążącego wszystkie odłamy Polski«. To też starano się zgromadzić na niej reprezentantów wszystkich prowincyi polskich i wszelkich zawodów. Obok poetów: Zaleskiego, Witwickiego i Goszczyńskiego był tu reprezentant teatru warszawskiego Ludwik Dmuszewski, z kategoryi wyższych urzędników referendarz Chłędowski, długi szereg literatów i publicystów w osobach Grabowskiego, Mochnackiego, Grzymały, Nabielaka, Ostrowskiego, Żukowskiego i innych, wreszcie reprezentanci świata politycznego, posłowie: Lelewel, Kantorbery Tymowski (który zarazem i do poetów mógł być zaliczonym) i Trzciński. »Była to biesiada, mówi o tej uczcie Goszczyński, z początku uroczysta, przy końcu gwarna, przeplatana toastami patryotycznemi, nawet improwizacyami Tymowskiego

---

[1]) W liście do Mickiewicza z 2 lutego 1828, gdzie na poparcie swego sądu cytował takie wiersze Kamińskiego: — »Wypiłem duszą, duszę kałamarza«, albo »Jam widział dyabła, dyabła co się zowie — Zawsze w dół myśli, niby w truflach guści«. Kor. Ad. Mick. III 89).

i Witwickiego, a zawsze stąd piękna, że ją opromieniały już te połyski dusz polskich, rwących się ku swobodzie, które we trzy miesiące objawiły się pożarem, ogarniającym cały naród«[1]).

Jeżeli Grabowski spodziewał się, że to liczne zgromadzenie inteligencyi warszawskiej może się przyczynić do posunięcia naprzód sprawy, dla której on przyjechał do stolicy, to zapewne doznał zawodu. »Połyski dusz polskich, rwących się ku swobodzie«, które zachwycały Goszczyńskiego, jego nie olśniewały. Może nieprzewidywał jeszcze najbliższych następstw tego rwania się, ale obdarzony wyjątkową trzeźwością, nie mógł dzielić zapałów i złudzeń swoich współbiesiadników i nie wróżył stąd nic dobrego. Coraz też trudniej było mu porozumiewać się z tymi, których chciał mieć za współpracowników w zamierzonem piśmie literacko-naukowem. On chciał dla swego narodu pracy powolnej, systematycznej, chciał go prowadzić ku lepszej przyszłości gościńcem oświaty, nie wierząc, aby naród miał w obecnej chwili dość sił do zrzucenia z siebie rewolucyjnym ruchem gniotącej zależności; a natomiast wierząc, że nauka, oświata, literatura, zdołają osiągnąć to, o coby oręż daremnie się kusił[2]); tamci wrażliwsi, czulsi na ciężkie wa-

---

[1]) Noc Belwederska. Cz. I, str. 27.

[2]) Że tak myślał i wierzył w czasie, o którym mowa, świadczy o tem następujący ustęp z rozprawy *O poezyi XIX wieku*, pisanej, jak sam autor stwierdza, przy końcu 1830 r. »Zdarza się... że dany wiek, albo też naród miewa tak trudne do spełnienia zadania materyalnego niejako swojego bytu, tak silnie bywa popchnięty w stronę, którąśmy nazwali historyczną, że nie dostaje mu sił i czasu rozwijać się umysłowie, umiejętnie. Niekiedy życie opuszcza zupełnie byt polityczny a skupia się jedynie w literaturze; naród, który umarł historycznie, żyje jeszcze umysłowie: na przykład Włochy. Jednakże w obudwu razach jest to zawsze stan chorowity. Stan doskonały zależy koniecznie od harmonii i równo podzielonej żywotności w obudwu; jakoż jest w natu-

runki narodowego życia, dawali się łatwiej unosić nadziejom, które budziły wypadki polityczne we Francyi, skłonniejsi byli do przeceniania sił własnych i do hazardu. Ta różnica usposobień i poglądów między nim a nimi coraz wyraźniej zarysowywała się na różnych posiedzeniach, które się odbywały w celu ułożenia programu pisma. Na jednem z nich — rzecz godna uwagi — znajdował się i młody Aleksander Wielopolski, przyszły polityk polski w duchu wyobrażeń Grabowskiego i przysłuchiwał się w milczeniu rozprawom.

Przy niepodległości sądów u Grabowskiego, jaką się mało kto odznaczał, przy znanej wybuchowości jego temperamentu, przyszło w końcu do gwałtownych starć i zerwania rokowań o pismo. Goszczyński w swoich notatkach mówi o »pokłóceniu się Grabowskiego ze wszystkimi pisarzami naszego kółka«. Nas tu przedewszystkiem obchodzi stosunek jego w tym zatargu do humańskich kolegów-poetów, a w szczególności do Zaleskiego. Nie należeli oni, jak się łatwo domyślać do tych, co brali główny udział w rozprawach; głównymi oponentami Grabowskiego byli zapewne Mochnacki i Ostrowski, obaj posiadający dar wymowy, i obaj, choć bardzo różni pod względem szczerości uczuć patryotycznych, rwący się do ruchu. Że ich argumenty, odziane w szatę retoryczną, musiały silnie oddziaływać na Goszczyńskiego, to rzecz najzupełniej zrozumiała: wszakże on od dziesięciu lat o niczem innem nie marzył, jak o jakimś ruchu rewolucyjnym; był to jego żywioł. Inaczej było z Zaleskim. Ruch, agitacya, życie gorączkowe, naturze jego wcale nie odpowiadało; marzycielstwo jego miało charakter nie polityczny, tylko poety-

---

rze zbawienna, pocieszająca własność, że życie objawione silnie w którejkolwiek ze dwóch, prędzej czy później potrzebną równowagę sprowadzi«. Lit. i Kryt. 1837. Cz. I, str. 54—55.

czny, sięgało nie w przyszłość, ale w przeszłość, i tylko z dalekich odblasków wymarzonej przeszłości padało jakieś słabe światło na jego ideały przyszłości. Ale przy braku wszelkiej inicyatywy w rzeczach politycznych, przy braku nawet ochoty do niej, miał on głębokie uczucie społeczne, poczucie solidarności narodowej, które mu nakazywało iść z ruchem ogólnym. Jego stanowisko ówczesne wobec gotującej się rewolucyi bardzo dobrze wyjaśnia pewien ustęp, dawniej już cytowany, z listu jego do Witwickiego z r. 1827, gdzie pisał o sobie: »Żyję zwykle wśród tkliwych pamiątek przeszłości, lub śnię o lepszej, nieziemskiej przyszłości. Tym sposobem zapomniawszy o świecie, nie myślę, że są ludzie, co żyją inaczej, co nie mają wspomnień, co nie śnią o niczem, ale czuwają za nas i nad nami«. Otoż i w rzeczach politycznych, tym razem przynajmniej, pozwalał on innym czuwać za siebie, z gotowością spełnienia tego, czego oni, czego ogół od niego zażąda. Może nie jeden z argumentów Grabowskiego trafiał do jego przekonania, ale Grabowski był osamotniony, wszyscy inni jego bliżsi i dalsi przyjaciele chcieli czego innego, inaczej sytuacyę polityczną przedstawiali, więc on był z nimi, bo oni tworzyli ogół. Jednak nie potępiał Grabowskiego za jego odmienne poglądy, jak to zapewne inni czynili, przez całe życie zachował dla dawnego przyjaciela i kolegi życzliwą pamięć, a w wiele lat potem, z okazyi jego śmierci, uczcił go wierszem, p. t. *Bezdole*, w którym się i owa chwila zatargu Grabowskiego z warszawskimi literatami, prącymi do ruchu rewolucyjnego, odźwierciedliła.

»Kto żyw do broni, Bóg da szczęście!«
To i my wznieśli w górę pięście;
Michale! ty, przeciwny grozom,
Radziłeś — »rzeczy wziąć na rozum«.

I zahuczała stąd poswarka
A Lech na zdradę zaraz sarka;

I w to sarkanie grzeszne Lecha
Odwtórowały zewsząd echa.

Po rozbiciu się układów o pismo, Grabowski opuścił Warszawę. Goszczyński, który tyle miał dla niego obowiązków wdzięczności, odprowadził go wraz z innym kolegą humańskim, Ludwikiem Bentkowskim, do Kałuszyna i tu z nim spędził noc ostatnią, poczem nazajutrz wróciwszy do Warszawy oddał się w opiekę materyalną i polityczną Jozafatowi Ostrowskiemu[1]). Ten w owym czasie (było to prawdopodobnie w początkach września) odgrywał w historyi spisku ważną rolę. Kiedy naczelnik związku wojskowego, Wysocki i inni oficerowie spiskowi powątpiewali, czy naród zechce uznać ich przedsięwzięcie, Ostrowski zaprzyjaźniony z Wysockim, usuwał tę wątpliwość i nalegał na coraz żywszą robotę spiskową[2]). On to zaznajomił Wysockiego z Mochnackim, a za pośrednictwem tego ostatniego z wielu innymi z cywilnej młodzieży warszawskiej, pod jego zapewne wpływem Mochnacki, który z początku sądził, że z zaczęciem sprawy wstrzymać się jeszcze należy, zgodził się na niezwłoczne działanie, pod jego wpływem coraz więcej osób zaczęto wtajemniczać w istnienie spisku. Otóż prawdopodobnie wtedy, we wrześniu 1830, wtajemniczony został w sprawę bliskiego wybuchu powstania i Bohdan Zaleski.

Jak przyjął tę wiadomość? Nic o tem nie wiemy. Domyślać się tylko można, że jeśli nawet Mochnackiemu, może pod wpływem niedawnych rozpraw z Grabowskim, dotyczących ogólnej sytuacyi narodu, jego otrzeźwiających

---

[1]) Goszczyński w swoich »Zapiskach do moich pamiętników«, mówiąc o odjeździe Grabowskiego, dodaje: »Zostaję sam, Ostrowski daje mi u siebie mieszkanie i jedzenie. Poznaje mię on z Wysockim Piotrem. Zaczynam wchodzić do tajemnych robót, gotujących powstanie«.

[2]) Artykuł Piotra Wysockiego o związku Podchorążych. Kuryer Polski z 10 grudnia 1830 Nr. 357.

argumentów, sprawa spisku nie wydawała się jeszcze dojrzałą do wybuchu, to i Zaleski mógł mieć różne wątpliwości w tym względzie. Ale skoro się dowiedział, że wszyscy jego przyjaciele byli już w tej robocie, to sprawa dlań była rozstrzygnięta. Pozostawało mu tylko przystąpić do tego, na co oni się zgodzili.

Ale między tymi, których za zachętą Ostrowskiego, albo też wprost za jego pośrednictwem wprowadzano wówczas do spisku, znaleźli się i młodsi, akademicy, którzy, uszczęśliwieni z posiadania tajemnicy, idyotycznie objawiali swoją radość, przylepiając na rogach ulic kartki z doniesieniem, że »Belweder do najęcia od nowego roku«, albo odezwy rewolucyjne do Polaków. Obudziło to czujność policyi, rozpoczęły się poszukiwania i aresztowania, popłoch padł na spiskowych, wkradła się między nich niezgoda, »nastąpiła, jak się wyraża Wysocki, pauza trwogi i rozpaczy«. Wtedy to główny podżegacz rewolucyjny, Ostrowski, »schował się«, według słów Mochnackiego [1]), ażeby dopiero po wybuchu rewolucyi wypłynąć na widownię. Sam Mochnacki nie »schował się« wprawdzie, zostawał w styczności ze spiskowymi za pośrednictwem Goszczyńskiego, ale nie należał do tych, co starali się sprawę spisku naprawić i do co najprędszego przygotować wybuchu, zostawił to zadanie innym, w szczególności Ksaweremu Bronikowskiemu. Sam w tej »pauzie trwogi i rozpaczy« oddał się całkowicie pisaniu swojej książki »O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym«.

Rzecz to dziwna i dająca wiele do myślenia. Czy i on nie miał dość wiary w powodzenie ruchu, jak jej nie miał dawny spólnik Łukasińskiego, major Machnicki, który był jednym z kandydatów do naczelnego dowodzenia powstaniem, a wyjechał w tym czasie z Warszawy,

---

[1]) Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831. Paryż 1834. T. I 591.

ażeby się od wszystkiego usunąć[1]? Czy też tylko przeczuwając bliski wybuch burzy, chciał korzystać z ostatnich chwil ciszy, aby zebrać w całość i wypowiedzieć swoje poglądy estetyczno-krytyczne lepiej, jaśniej, piękniej, niż to przedtem czynił dorywczo w rozrzuconych po różnych pismach artykułach? Ten genialny młodzieniec niesłychanie szybko rozwijał się i dojrzewał i bardzo prędko uczuwał niezadowolenie ze swoich pism drukiem ogłoszonych. Podczaszyński jeszcze w lipcu 1828 roku w liście do Leonarda Chodźki świadczył o nim, że w miarę, jak się rozwija, często »przeciw dawniej pisanym przez siebie artykułom (bezimiennym) zaostrza pióro«. Gdyby żył dłużej, gdyby miał czas zajmować się dalej krytyką i estetyką, byłby niewątpliwie i w tej ostatniej pracy odkrył niejedno przesadzone, niedojrzałe, lub jednostronne twierdzenie.

Bądź co bądź, jego dzieło o literaturze polskiej, napisane przed samym wybuchem powstania i zaraz po wybuchu ogłoszone, było zamknięciem całego okresu walki romantyków z klasykami, uwieńczeniem zwycięstwa pierwszych, ustaleniem nowych wartości literackich, otworzeniem nowych horyzontów filozoficznych, w które się będą młodsi poeci, Słowacki i Krasiński, wpatrywali. Trzeba jednak zaznaczyć, że przy rozbiorze najnowszych utworów poezyi polskiej korzystał z uwag i poglądów Grabowskiego, zawartych w pewnem jego piśmie nieogłoszonem, do czego się zresztą lojalnie przyznawał w przypisku[2].

Tu miejsce wspomnieć, jak się w źwierciedle tej książki odbiła najnowsza poezya polska, w szczególności, jak Mochnacki ocenił twórczość Zaleskiego. Krytyk tylko

---

[1]) Goszczyński. Zapiski do moich pamiętników. Teki VII.

[2]) Na stronie 150 pierwszego wydania. Grabowski o tem piśmie wspomina dwa razy: w *Literaturze i Krytyce* z r. 1837. Cz. II, str. 114 i z r. 1840 T. I, str. 123.

romantycznej poezyi polskiej przyznał cechę narodowości, właściwie czterech tylko poetów uznał za prawdziwie narodowych, za takich, w których duch narodu znalazł swój organ: są to Malczewski, Mickiewicz, Zaleski i Goszczyński. Jeżeli do nich dołączył Woronicza i Niemcewicza i im krótką poświęcił wzmiankę, zrobił to, jak się zdaje, nie z głębi przekonania, ale dla względów partyjnych, przez chęć wzbronienia klasykom, aby ich mogli uważać za swoich. O Malczewskim powiedział niewiele, i w tem, co powiedział, opierał się po części na zdaniu Grabowskiego; umiał tylko wzbudzić sympatyę dla *Maryi* i jej autora, oburzając się na krytykę Dmochowskiego, opowiadając treść poematu i podając piękniejsze z niego ustępy. Mówiąc o *Zamku Kaniowskim* Goszczyńskiego, także o wiele szerzej opowiadał treść jego, niż się zastanawiał nad jego stroną artystyczną; podnosił tylko »całość głęboko pomyślaną«, dramatyczność akcyi i plastykę takich postaci, jak Nebaba i Szwaczka. Do szerszego rozwinięcia poglądów estetycznych dały mu sposobność utwory Mickiewicza i Zaleskiego. Wychodząc z założenia, że dwa są pierwiastki w poezyi: objektywny i subjektywny (»realizm i duch«), za przedstawiciela pierwszego w naszej poezyi uznał Bohdana, za przedstawiciela drugiego Mickiewicza. Pierwszego wymieniał w najściślejszem towarzystwie z Szekspirem i Göthem; drugiego obok Byrona, Jakóba Rousseau i Schillera. Ale ze szczegółowego przeglądu poezyi Mickiewicza okazywało się, że i w niej niekiedy w całej pełni występuje pierwiastek realny, mianowicie w *Grażynie;* określając potem bliżej poezyę Bohdana, musiał przyznać, że w niej obok pierwiastku »realnego« istnieje także »idealny«. Chodziło więc tylko o stosunek jednego pierwiastku do drugiego u tych poetów i w tym względzie porównanie ich przynosiło bardzo zaszczytny dla Zaleskiego rezultat. Wiadomo powszechnie, jak surowo ocenił Mochnacki *Wallenroda,* jako dzieło

sztuki — surowiej od Grabowskiego[1]) — a ocenił tak z powodu nadmiaru w nim subjektywizmu, z powodu wprowadzenia anachronicznego sentymentalizmu do rycerskiej powieści. Otoż w poezyi Zaleskiego znalazł on, że »obadwa te poezyi atomy, idealizm i realizm... w większej z sobą zgodzie, w większej harmonii zostają«, i że jeżeli poeta kiedykolwiek z zupełnej równowagi wychodzi, to przechyla się na stronę realizmu, w czem widział »największą sforność i energię ducha« jego. Dla określenia wyobraźni i stylu Zaleskiego używał rozmaitych malowniczych porównań, z których jedno, jak wiemy, ubodło poetę[2]), najtrafniejszem jednak, sądzę, ze wszystkiego w tej charakterystyce poezyi Bohdana było spostrzeżenie, także już wyżej wspomniane, że jest ona elementem ruchu.

Ale wróćmy do przypisku Mochnackiego o Grabowskim, bo skądinąd jeszcze jest on godnym uwagi. Świadczy naprzód, że pomimo pokłócenia się Grabowskiego z literatami warszawskimi, stosunek jego z Mochnackim nie został zerwany i że Mochnacki pomimo różnicy w po-

---

[1]) Ob. Literatura i Krytyka. 1840. T. I, str. 129.

[2]) Przypominam, że w liście do Witwickiego (19 marca 1829) Bohdan pisał: »Mochnacki o Rusałkach moich powiada, że naśladowałem w nich, nie wiem co, jakiś kunszt ogniowy«. Otoż w swojej książce »O literaturze polskiej« Mochnacki już nietylko *Rusałki*, ale całą poezyę Bohdana przyrównywał do »ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień płomienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysiączne się rozsypie, rozwieje i bryźnie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, zygzaki, wstęgi i smugi świetlne«. Porównanie, mojem zdaniem, nie było trafne, trafniej porównywał Słowacki pierwsze pieśni swojego *Beniowskiego* do »fajerwerku z gwiazd kilku tysięcy«. Warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że sam Bohdan użył tego porównania w wierszu *Pod Żeglarzem*, ale zastosowując go do swojej krótkiej a burzliwej miłości (Jak sztuczny ogień wojennego hasła... Błysłaś w stu gwiazdach i w gromach zagasła) i że porównanie Mochnackiego mogło być nieświadomą reminiscencyą tego wiersza, który, jakkolwiek w wiele lat po napisaniu drukowany, był Mochnackiemu najpewniej dobrze znany.

glądach politycznych, wysoko cenił Grabowskiego. Nazywa go bowiem tutaj »jednym z najznamienitszych krytyków naszych«, i powiada wyraźnie, że Grabowski mu ów rękopis« nadesłać raczył«. Jeżeli mu więc nadesłał, nie zaś wręczył, więc stało się to widocznie już po odjeździe Grabowskiego z Warszawy, z czego wnosić można, że Grabowski, pomimo pokłócenia się z literatami warszawskimi, nie stracił był jeszcze zupełnie nadziei założenia w Warszawie pisma, jakiego pragnął i że liczył w tem na pomoc Mochnackiego. Słuszność tego wniosku potwierdza przechowany w manuskrypcie prospekt peryodycznego pisma p. t. *Tygodnik literatury i krytyki*, podpisany przez I. L. Żukowskiego, a mający datę 10 listopada 1830 r. Prospekt dość mętnie napisany[1]) obiecywał czytelnikom »wprowadzić do literatury naszej, ile możności zasady zdrowej krytyki i uwiadamiać o postępach nauk za granicą« i jako współpracowników wymieniał: Lelewela, Maur. Mochnackiego, Goszczyńskiego, I. B. Ostrowskiego, Grabowskiego, Nabielaka i Wojcickiego. Były w tym szeregu nazwisk wypisane i nazwiska Zaleskiego i Witwickiego, ale potem przekreślone. Dlaczego? nie wiemy. Pismo miało wychodzić od 1 stycznia 1831.

Nie wyszło naturalnie; rewolucya przecięła mu drogę: idea Grabowskiego musiała ustąpić idei zbrojnego ruchu. Zanadto już była zagrzaną szlachetna krew podchorążych, aby można było powstrzymać jej rozlew na ołtarzu ojczyzny. Do jej rozgrzania przyczyniło się wiele rzeczy, między innemi i literackie wpływy, a z tych wpływów najsilniej działał Mickiewicz ogniem patryotyzmu utajonego w *Wallenrodzie* i Mochnacki »Głosem obywatela z zabranego kraju z okazyi sądu sejmowego«, który to

---

[1]) Rkp. Bibl. Akad. Umiej. Nr. 164. Czytamy tutaj: »Krytyka jest wyrocznią, mierzącą działalność odwiecznego przeznaczenia z działalnością usiłowań pilności i pracy człowieka«.

Głos, jak mam głębokie przekonanie, był bezpośrednim objawem wpływu *Wallenroda.* Pierwszy ani przypuszczał, dokąd *Wallenrod* zaprowadzi naród; drugi także może nie zdawał sobie sprawy z następstw wrażenia, jakie wywrze na widzach i słuchaczach, gdy wystąpi w roli wajdeloty na uczcie Wielkiego mistrza, t. j. gdy przebrany w perukę starca z zabranego kraju głosem Skargi zacznie wielbić utraconą niepodległość. Ale jak Mickiewicz, który był daleko i nic nie wiedział o gotującem się powstaniu, tak i Mochnacki, który patrzał z bliska na robotę spiskową, nie wierzył w powodzenie zbrojnego ruchu w danych warunkach. I dlatego to zapewne Mochnacki usuwał się w ostatnich czasach od spiskowych i nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za jakąkolwiek pobudkę do wybuchu. A tymczasem nabite działo czekało, aby ktoś lont przyłożył do niego. Wojskowi nie śmieli sami zaczynać, czekali skinienia zzewnątrz, ażeby uspokoić swoje sumienie.

Gdy nikt inny nie chciał tego uczynić, podjął się tej roli Lelewel. I oto w rękach tego archeologa, którego psyche dotychczas tak mało została wyjaśnioną, znalazły się losy narodu. Ten sam, który w dniu 10 listopada pozwalał wypisywać swoje nazwisko na czele Tygodnika, zakładanego dla oświatowej, pokojowej, legalnej pracy, w dziesięć czy jedenaście dni potem zapytany przez naczelników organizacyi spiskowej, Wysockiego, Zaliwskiego i Bronikowskiego, czy mogą już z ruchem zbrojnym wystąpić, czy naród uzna ich czyn śmiały, dał im zachęcającą odpowiedź, jakiej pragnęli, dał skinienie, aby przyłożyć lont do nabitego działa[1]). I powstanie wybuchło.

---

[1]) Wysocki l. c. Mochnacki, który zresztą nie był obecny tej rozmowie, ale znał dobrze Lelewela, mówi o nim, że »odpowiadał z początku ni to, ni owo, wzruszał ramionami, kiwał głową, szukał środka rozwiązania przed wojskowymi tej kwestyi w taki znać sposób, aby ani ich zrazić, ani do niczego się imieniem izby nie zobowiązać... Wszelako przyparty, widząc do wszystkiego gotowość, wy-

Zaleski nie był obecny w Warszawie podczas wybuchu, na tydzień przedtem powrócił z generałem Szembękiem do Sochaczewa. Wiedział już zapewne o tem, że termin jest bliski; to też, jak świadczy Goszczyński, ze łzami w oczach żegnał się z przyjaciółmi. Ale jeżeli nie był świadkiem tego chaosu, jaki zapanował w Warszawie w pierwszych dniach po wybuchu, to bardzo prędko potem znalazł się już na bruku stołecznym, objętym rewolucyą. Jego pryncypał, Szembek, odegrał, jak wiadomo, bardzo ważną rolę we wzmocnieniu powstania, przyprowadzając pułk swój do Warszawy 2 grudnia, bratając się z klubem patryotycznym i wywołując entuzyazm i radość w tłumach. W tym czasie zapewne i Bohdan przybył do stolicy i rzucił się w objęcia przyjaciół, takich, jak Goszczyński, Mochnacki, Żukowski i inni, którzy od ostatniego widzenia się z nim, w ciągu krótkiego czasu, tyle wypadków groźnych i brzemiennych znaczeniem przeżyli, czynną rolę w nich odegrali, a teraz z tryumfem spoglądali na to, co się dokonało.

Czy nowa, gorąca atmosfera stolicy upajała go w takim stopniu, jak tamtych? Nic o tem pewnego nie można powiedzieć. Ani on sam, ani jego przyjaciele nie zostawili w tym względzie żadnych wskazówek. Łatwo sobie tylko wyobrazić, że Warszawa wolna, hucząca, otrząśnięta z policyi, grożąca Wielkiemu księciu, bratająca się z wojskiem w imię walki z rządem rosyjskim, snem mu się wydawała z początku. Naturalnie, radość opanowała jego serce. Ale kiedy na murach ratusza głównego wypisywano wielkiemi literami ustęp z *Ody do młodości* (co prawda, trochę przekręcony): »Witaj jutrzenko swobody,

---

dobył z siebie odpowiedź, iż co trzydzieści tysięcy wojska uczyni, zatem pójdzie izba, która o dobrym duchu wojska nie powątpiewa«. Powstanie nar. pol. I 573—574.

zą Tobą nadzieja sławy«[1]), kiedy poezya romantyczna, rzucając czary i duchy, do Tyrteuszowej poczuwała się roli, i w tętno serc, silnie bijących od wzruszeń, jakie wybuch powstania przynosił, zapłonęły wyobraźnie, zaskrzypiały pióra młodych poetów i liryka patryotyczna powodzią rozlała się po ulicach Warszawy — Zaleski milczał. Milczał on i potem, i wtedy, kiedy zwycięstwa oręża polskiego różowemi nadziejami zapalały horyzont przyszłości, i wtedy, kiedy ten horyzont ciemniał i stawał się jak noc posępny, milczał przez całe powstanie.

I mogłoż być inaczej? Ten słowik, dla którego niezbędnym warunkiem twórczości, t. j. krystalizacyi uczuć, była cisza i samotność, mógłże śpiewać wśród wrzawy rewolucyjnej, wśród huku i dymu wojennego? Nie, to było niepodobieństwem. Naturalnie, gdyby mu chodziło o rozgłos, o poklask chwilowy, mógłby był z łatwością ułożyć kilka strof efektownych, z głowy, nie z serca wydobytych, ale on o sławę nigdy nie zabiegał, a przytem miał już dość zdobytej. Jeżeli jednak w roli Tyrteusza w powstaniu narodowem nie mógł i nie chciał występować, to pozatem oddawał się całkowicie na służbę społeczną w tym ruchu. Przymknąwszy do grona przyjaciół swoich, którzy czynną w wybuchu odegrali rolę, jak Mochnacki, Żukowski, Goszczyński, Nabielak, gotów był razem z nimi służyć sprawie narodowej, czy to w pracy publicystycznej, czy na polu wojennem.

Ci przyjaciele, tak zaraz po wybuchu, jak i później, zajmowali wobec naczelnych władz narodowych stanowisko opozycyjne, on z natury swojej do żadnej inicyatywy politycznej nieskłonny, dawał się im pociągać za sobą.

---

[1]) Tak przynajmniej podaje ten napis *Kuryer Polski* z 3 grudnia (Nr. 350). Być może, iż to przekręcenie trzeba policzyć na karb redakcyi, nie tych, co napis kładli na ratuszu, ale z drugiej strony trzeba przyznać, że napis w tem przekręceniu lepiej odpowiadał sytuacyi, niż autentyczny dwuwiersz Mickiewicza.

Więc póki oni należeli do *Kuryera Polskiego*, gdzie przewodzili bracia Niemojowscy, i jego nazwisko figurowało w długim szeregu nazwisk, wydrukowanych na czele tego pisma, obok Mochnackiego, Żukowskiego, Nabielaka, Ostrowskiego i wielu innych, (znalazł się tam i Osiński); kiedy z początkiem stycznia 1831 założyli swój osobny organ radykalny, *Nową Polskę*, w której najgłośniej burmistrzował i uprawiał retorykę wielomowny Ostrowski, i on się przeniósł z nimi do tego pisma.

Nowa Polska, która zaczęła wychodzić z początkiem stycznia (5) 1831 r., miała być pismem politycznem i naukowem, wyrazem łączności tryumfującego romantyzmu z rewolucyą polityczną. We wstępnym programowym artykule, którego styl przesadny zdradza pióro Ostrowskiego, była ta łączność uwydatniona, uwydatniony wpływ najnowszej poezyi na wybuch powstania. O Mickiewiczu powiedziano tam, że »król dzisiejszej literatury naszej, Adam Mickiewicz«, ogłaszając *Wallenroda*, »zapowiedział ujarzmionym ziomkom, że lud nieszczęśliwy oprócz pieśni i pamiątek ma jeszcze miecz Archanioła. Zrozumieliśmy to uroczyste, to wielkie, to okropne naszym ciemiężcom wyznanie. Porzuciliśmy księgi: a miecz Archanioła w naszym zabłysnął ręku«. Obok Mickiewicza, w przeciwieństwie do takich poetów, jak Brodziński i Malczewski, wymienieni byli Zaleski i Goszczyński, jako tacy, którzy »pisali poezye nie dla samej poezyi, ale i dla ojczyzny; przestali tęsknić: utwory ich ożywiają wielkie namiętności, najokropniejsze wstrząśnienia; nad ich umysłem krąży nieprzerwanie mara o zemstę wołającej Polski i widmo naszej rewolucyi«.

Jeżeli wpływ Mickiewicza, jako twórcy *Wallenroda* i *Ody do młodości*, na wybuch powstania listopadowego wydaje się niezaprzeczonym, to wpływ Goszczyńskiego, z którego poezyi znany był powszechnie przed powstaniem tylko *Zamek Kaniowski*, trzeba uznać za bardzo

wątpliwy, a już zaliczenie autora *Rusałek* do poetów, »nad których umysłem krążyło widmo naszej rewolucyi«, było frazesem nieodpowiadającym ani trochę rzeczywistości. Świadczyło ono tylko o bardzo ścisłych stosunkach Bohdana z redaktorami *Nowej Polski*, którzy nadając jego poezyi barwę rewolucyjną, chcieli go w ten sposób zbliżyć do siebie i zatrzymać przy sobie, ażeby jego nazwiskiem, jako poety, który miał uznaną przez wszystkich w Warszawie sławę, i jako człowieka, który nie miał nigdzie nieprzyjaciół, ozdobić dziennik. Wymieniane też ono było na czele pisma wśród nazwisk innych redaktorów aż do numeru 23 (z d. 27 stycznia), w którym Mochnacki i Gurowski wystąpili gwałtownie przeciw sejmowi, i tak oburzyli na siebie opinię publiczną, że Lelewel zaraz w następnym numerze musiał wycofać nazwisko swoje z listy współpracowników, zaczem poszło, że i wszystkie inne nazwiska znikły. Co się tyczy udziału Zaleskiego w tem piśmie, to był on bardzo skąpy. Do tych, którzy byli właściwymi redaktorami, którzy nadawali ton i kierunek pismu, nie należał, zostawiał to Ostrowskiemu, Mochnackiemu, Gurowskiemu i Żukowskiemu. Sam nadsyłał od czasu do czasu tak zwane »artykuły nadesłane«, krótkie i przeważnie takie, które dawały sposobność do wynurzeń lirycznych«, można zaś je poznać po literach B. Z., które za podpis służyły [1]).

W początku lutego rozpoczęły się działania wojenne, armia rosyjska miała przekroczyć granice Królestwa. *Nowa Polska* pod datą 8 lutego (Nr. 35) ogłaszała, że dnia tego prawie wszyscy jej współpracownicy wyruszają na pole boju, a w następnym numerze pisała: »Po kilkunastu latach grobowego istnienia, widzieliśmy nakoniec taki

---

[1]) Artykuły te można znaleźć w następujących numerach *Nowej Polski*: 20, 62, 70, 73, 80, 105, 123, 142, 164, na przestrzeni 5 miesięcy od 24 stycznia do 20 czerwca.

dzień, jak wczorajszy. Nie masz na ziemi piękniejszego obrazu nad obraz wyjazdu na wojnę! Zdawaliśmy się przenosić w bohaterskie czasy księcia Poniatowskiego. Wychodzące z stolicy w różnych kierunkach oddziały wojska; wesoła postać młodych żołnierzy; okrzyki ludu; turkot przeciągających wozów amunicyjnych; rżenie podwodnych koni; ruch sztabu głównego; twarz spokojna śród głośnych *niech żyje!* odjeżdżającego wodza; snujące się roje hożych adjutantów; śpiesząca za nimi z ogniem w oku młodzież; — wszystko nadawało dniu temu niezapomnianą fizyonomię. Płakała i uśmiechała się Warszawa«...

Śród takich obrazów i wrażeń opuszczał i Bohdan Zaleski Warszawę, udając się do pułku swego dotychczasowego pryncypała, Szembeka. W kilka dni po tem, w przededniu walnej bitwy pod Grochowem *Nowa Polska* drukowała wyjątek z jego listu, pisanego do redakcyi, który zdaje się świadczyć, że poeta upajał się hasłami wojennemi jakby na to, aby zagłuszyć w sobie myśl, że walka orężna, do której się z poczucia obowiązku patryotycznego rzucał, nie była rolą właściwą dla jego słowiczej natury. »W wilię bitwy, — tak pisał do jednego z redaktorów *Nowej Polski* — zasyłam ci jeszcze moje pożegnanie. Pozdrów odemnie Józefata, Stefana i wszystkich znajomych. Spominajcie o mnie mile! Spominajcie, że kochałem namiętnie mój kraj, jak poezyą... Ale mniejsza! Kilka piórek pozostanie, co ku niebu mię wznosiły.

»Z Maurycym obaczę się jutro w jeneralnym boju. Piszę ten list śród zgiełku i hałasu marszowego. Wyjeżdżam w tej chwili z rozkazem na linię bojową. Uderzy — już bije wielka, uroczysta, ostatnia godzina. Być lub nie być! Niech żyje Polska wolna! Polska cała!

»W Radzyminie d. 15 lutego 1831 r. B. Zaleski« [1]).

---

[1]) Nowa Polska Nr. 45 z d. 18 lutego 1831.

Już z tego listu domyślać się można, że nie służył on, jako prosty szeregowiec, skoro był używany przez dowódców do przewożenia rozkazów na linię bojową. W istocie z pewnego artykułu jenerała Szembeka[1]) dowiadujemy się, że pełnił służbę adjunkta sztabu dywizyi, którą dowodził Szembek[2]). Że go umieszczono przy sztabie, wypływało to zapewne z chęci przełożonych nie narażania sławnego już wtedy poety na większe niebezpieczeństwa i łatwo w tem dopatrzeć przyjacielskiej ręki naczelnika dywizyi Szembeka. Przy jego tedy boku brał on udział w bitwach pod Dobrem, Stanisławowem i Grochowem, za który to udział zapewne otrzymał następnie krzyż *virtuti militari*; z jego ustąpieniem z dowództwa, które było skutkiem poróżnienia się ze Skrzyneckim, i nasz poeta — jak się trzeba domyślać — przestał należeć do sztabu[3]).

---

[1]) Odpowiedź na Wspomnienia skrócone z rewolucyi 1831 r. jenerała Załuskiego, umieszczona w XX tomie Dodatku do *Czasu*. (Czas z 20 lipca 1862).

[2]) Szembek (l. c.) zaprzeczając pewnym twierdzeniom Załuskiego, pisze: »Mogę przytoczyć świadków żyjących, którzy udowodnią szczerą prawdę tej okoliczności, jako to: jen. Władysława Zamojskiego, Ignacego Karśnickiego, Seweryna Mielżyńskiego, Józefa Mycielskiego, który przy tej okazyi był ranny bagnetem, Bohdana Zaleskiego, pełniącego wówczas służbę adjunkta sztabu dywizyi i wielu innych«.

[3]) Krzyż *virtuti militari* otrzymał Bohdan już po kapitulacyi Warszawy, w Płocku, przy końcu września, kiedy wojsko polskie zbliżało się do pruskiej granicy. Oto jest łaskawie dostarczona mi przez syna poety, p. Dyon. Zaleskiego, kopia pisma urzędowego, które zawiadamiało Bohdana o tym zaszczycie: Nr. 3372, w Płocku, d. 25 września 1831. Szef sztabu głównego do Pana Zaleskiego Józefa, Podporucznika Pułku 1-szego strzelców pieszych. Zawiadamiam Pana Podporucznika, iż Naczelny wódz siły Zbrojnej Narodowej zaszczycił go ozdobą krzyża wojskowego złotego, na którą patent w zwykłej formie później odbierzesz. Jenerał Brygady (podpis nieczytelny)«. Być może jednak, że już zaraz po bitwie pod Grocho-

Jeszcze przed bitwą pod Grochowem, po pierwszych utarczkach z nieprzyjacielem, Bohdan napisał odezwę do mieszkańców Warszawy, wzywając ich do niesienia pomocy rannym [1]). »Srogi bój staczają nasi obywatele żołnierze, każdy z nich nie zważa na wyższą liczbę wrogów; śmierć lub zwycięstwo jest świętem hasłem każdego. To niesłychane poświęcenie się, ta rezygnacya obywateli żołnierzy polskich najwyższe podziwienie, święty obudza interes... Oni to prawdziwie bezinteresownie kochają ojczyznę; ojczyznę, w której dotąd nie mieli kawałka ziemi, na którejby spokojnie, bez trwogi głowę oprzeć mogli, ojczyznę, której role dotychczas krwawym potem i łzami boleści zlewali; gdzie oprócz bezpieczeństwa życia, innych nie doznawali swobód i dobrodziejstw towarzyskich. —

---

wem był on przez Szembeka przedstawiony wraz z wielu innymi do tego zaszczytu. Oto co czytamy w cytowanej już »Odpowiedzi« Szembeka na »Wspomnienia« jen. Załuskiego. »Naczelny wódz Skrzynecki wyznaczył komisyę pod prezydencyą jen. Klickiego do reorganizowania wojska i usunięcia mniej zdolnych sztabsoficerów ze służby czynnej. Kiedy właśnie zasiedliśmy do nieprzyjemnej czynności, przybył jen. Giełgud wprost od naczelnego wodza z zaleceniem, żeby komisya bez żadnego względu usunęła, czyli wykluczyła kilku sztabs-oficerów dywizyi drugiej. Powstałem przeciw temu rozkazowi i oświadczyłem: że ponieważ niema tym oficerom nic do zarzucenia, przeto naczelny wódz może, mając moc, odjąć im komendę samowładnie, a to dlatego, że gdyby komisya (en corps) miała ich uznać za niegodnych stopnia, który posiadają, wyrocznia ta pozbawiłaby tych ludzi czci i wiary. To moje zdanie przeważyło. Skrzynecki wziął mój ten wniosek za opozycyę i następnie, kiedy w parę dni potem według ogólnego rozkazu podałem listę dzienną mających dostać krzyże w dywizyi mojej, odesłał mi ją przekreśloną, co powodowało mnie do napisania listu, po którym Skrzynecki odebrał mi komendę dywizyi. Apelowałem do rządu, ale znalazłem go słabym«.

[1]) Odezwa podpisana literami B. Z., które wyraźnie wskazują autorstwo Zaleskiego, drukowana była w *Nowej Polsce* z d. 19 lutego Nr. 46.

Obywatele! pobojowiska bliskie są Warszawy; wielka jest liczba rannych, a podwód za mało; widzicie, że po trzech i czterech na szczupłych wozach mieścić się musi. Wasze kocze i karety posyłajcie naprzeciw nim, aż do samego pobojowiska, posyłajcie! nieście posiłki, wino; bo przecież ich krew więcej jest warta, niż wasze wino, ich trudy więcej, niż wasze powozy. — Ażeby wy i wasze dzieci żyli wolni, byli Polakami, oni się na śmierć poświęcili, oni dla was nie dośpią i nie dojedzą; dla was poopuszczali biedne żony i biedniejsze jeszcze dziatki, może prócz kartofla, innego nie mające posiłku. — Spieszcie, spieszcie czem prędzej! pokażcie, że umiecie czuć i cenić ich poświęcenie się, ich patryotyzm!«

Zaleski, pisząc tę czułą, gorącą odezwę, dając upust swojemu współczuciu dla walecznych żołnierzy z ludowych warstw, był w swoim żywiole, więcej zapewne, niż wśród »zgiełku i hałasu marszowego«. Ten nastrój demokratyczny, którego zadatki wyniósł poeta jeszcze ze szkoły humańskiej (przypominam *Dumę o Wacławie*) miał sposobność objawić się w nim najpełniej, gdy niedługo po bitwie grochowskiej opinia publiczna i sejm zajęły się sprawą uwłaszczenia włościan i zniesienia pańszczyzny. Wieśniak w Królestwie Kongresowem nie był niewolnikiem, poddanym, jak na Litwie i Rusi, ale nie miał własnej roli, a z tej, której używał, musiał odrabiać pańszczyznę. Sprawa była drażliwą, bo dotykała interesów materyalnych ziemiaństwa, z którego przedstawicieli sejm się składał; ale z drugiej strony rozumiano dobrze ważność tej sprawy dla pomyślnego rozwoju powstania. Rząd ówczesny chciał tę sprawę załatwić przynajmniej częściowo, w zakresie dóbr narodowych; chciał włościan z tych dóbr uwłaszczyć i oczynszować i w ten sposób dać początek późniejszemu, powszechnemu uwłaszczeniu. Zajęto się tą sprawą w czasie, kiedy sejm obradował w tak zwanym »małym komplecie«, tj. kiedy większość posłów rozjechała

się z Warszawy wskutek niebezpieczeństwa, grożącego stolicy po bitwie grochowskiej. Otóż ta mniejszość obradująca składała się z ludzi nietylko odważniejszych, ale i bardziej dbałych o dobro publiczne i po trzech tygodniach obrad (od 28 marca do 18 kwietnia) już gotową była ostatecznie zatwierdzić projekt rządowy, kiedy szczęśliwa zmiana sytuacyi wojennej pozwoliła posłom przesiadującym poza Warszawą powrócić do niej i domagać się, aby sprawa uwłaszczenia włościan z dóbr narodowych na nowo w pełnym komplecie była rozstrząsaną. Tak się też stało, zapadła odpowiednia uchwała ogromną większością głosów, ale zamiast się zabrać natychmiast do ponownego rozstrząsania projektu rządowego, odroczono tę sprawę, puszczono ją w odwłokę i w ten sposób ją zaprzepaszczono.

Nowa Polska gorliwie popierała tak sprawę uwłaszczenia włościan, jak i użycia dóbr narodowych na wynagrodzenie walecznych żołnierzy z ludu. Zabierali tam głos w tych sprawach Lelewel, Adryan Krzyżanowski i inni, ale bodaj czy nie najczęściej przypominał je uwadze publicznej nasz poeta. W Nrze 70 (z 15 marca), w artykule p. t. *Pułk czwarty piechoty liniowej*, wielbiąc dzielność tego pułku, »który w walce o całość ojczyzny, o jej i Europy wolność, jest najwaleczniejszym z walecznych«, domagał się, aby sejm rozdał dobra narodowe pomiędzy obrońców ojczyzny, w Nrze 80 (z 25 marca) w »artykule nadesłanym« *O nadaniu własności wieśniakom*, w obronie ludu wiejskiego polemizował nawet z Lelewelem, który w jednym z poprzednich numerów *Nowej Polski* (73) radził, ażeby się do tej sprawy »prawa nie mieszały, żeby to dobrowolnie Polacy zrobili dla Polaków«. I on, Bohdan, takby wołał, »ale znając szanownych właścicieli dóbr, będąc przekonany, że większa część ich jest temu przeciwną, a nawet potępia wszelką myśl tego rodzaju«, sądził, »że prawem takową własność ustanowić należy, o prawo woła potrzeba

czasu, wymaga szczęście i całość Polski«. Lelewel twierdził, »że w wielu miejscach wieśniacy nie przyjęliby sami gruntowej własności dla trudności opłacania czynszów«; Zaleski nie przeczył temu, i przypisywał to ciemnocie, ale niemniej przeto wołał, że »należy ich prawem wyrwać z tego stanu, oburzającego serce przyjaciela ludzkości, obrażającego religię i Boga..... Początki będą trudne, a może i przykre, jak wszystko w początku. Nie mogąc opłacić czynszu, odrobi go włościanin, ale za wspólną ugodą z dziedzicem; odrobi dobrowolnie, nie pańszczyzną jak dotąd, lecz własnowolnem uiszczeniem należytości czynszowej; nie wypędzany przez ekonomów, nie hańbiony plagami, nie wywlekany z własnego domu i gruntu przez tywonów, włodarzy, pisarzy i innych siepaczów dworskich; prawo tylko mieć będzie nad sobą, prawa, nie pana lękać się będzie«. W Nrze 105 (z 20 kwietnia), w artykule: *Projekt nadania własności włościanom w dobrach narodowych*, pisanym w chwili, kiedy spodziewano się, że sejm lada dzień uchwali uwłaszczenie włościan w tych dobrach, Zaleski sądził, że sejm tym aktem »jeszcze nie uczyni zadość objawionej potrzebie czasu i cywilizacyi«, ale pocieszał się myślą, »że akt ten pociągnie za sobą niedługo ogólne wszystkich nieszczęsnych włościan polskich uziemianienie«, a polemizując z przeciwnikami reformy, wołał, że »sprawiedliwością jest, a nie naruszeniem własności, ażeby ci, którzy pracą swoją przynoszą właścicielom ziemi i całemu krajowi bogactwa i zbytki, stali się posiadaczami cząstki obszernych łanów przez nich uprawianych, oblewanych ich potem i krwią okupionych«! Kiedy wreszcie sprawa uwłaszczenia ludu zeszła z porządku dziennego obrad sejmowych i widać było, że do nich nie wróci, Zaleski w pewnym artykule nadesłanym [1])

---

[1]) Nowa Polska z d. 8 maja, Nr. 123.

wystąpił ostro przeciw sejmowi, powiadając, że dzisiejsi członkowie sejmu niesłusznie są nazywani ojcami narodu, bo nic nie uczynili takiego, coby ich ten tytuł uprawniało, pomimo, że w mocy ich było »uwiecznić chwałę swoją, zasłużyć cześć i wdzięczność narodu.... Gdyby wyrzekli wszyscy, że znoszą pańszczyznę u siebie, że za skromną opłatą oddają po kawałku ziemi swoim włościanom, jak to uczynił czcigodny reprezentant Zwierkowski, za takim przykładem poszliby wszyscy właściciele ziemscy. Europa nietylko najwaleczniejszym, ale i najcnotliwszym nazwałaby Polaków narodem«.

Czy pisząc tę filipikę przeciwko »ojcom narodu«, spodziewał się nasz poeta, że i on niedługo do tego pocztu zaliczony będzie? Nie, można przypuszczać, można być pewnym nawet, że o godności poselskiej wtedy ani we śnie nawet nie zamarzył. A jednak już we dwa miesiące po owej filipice, należał do grona posłów sejmowych, a stało się to w następujący sposób.

Po bitwie pod Ostrołęką powstanie powoli, ale stale dążyło już ku upadkowi. W Królestwie bezczynność i bezradność Skrzyneckiego osłabiała ducha w wojsku polskiem, a sprzyjała wzmacnianiu się wroga. Ruchy powstańcze na Wołyniu i Podolu krótko trwały i skończyły się niepomyślnie. Tylko na Litwie przedłużało się jeszcze powstanie, stamtąd oczekiwano wypadków, któreby na los powstania korzystnie oddziałały. A jakkolwiek coraz mniejsze były szanse powodzenia, to jednak w stolicy coraz żywszą była chęć manifestowania, że w walce, prowadzonej dalej, z małemi już widokami na zwycięstwo, chodzi nie o samo Królestwo Kongresowe, ale o całą Polskę pod zaborem rosyjskim. Stąd myśl rozszerzenia sejmu, który obradował w Warszawie i był najwyższą władzą narodową, a składał się dotychczas tylko z przedstawicieli Królestwa Kongresowego, myśl rozszerzenia tego sejmu przez wprowadzenie do niego przedstawicieli Litwy i Rusi, była

bardzo popularną. Ale o regularnem przeprowadzeniu wyborów poselskich w tych prowincyach nie mogło być mowy. To też rozszerzenie nastąpiło w inny sposób. Już w drugiej połowie czerwca wprowadzony został do sejmu, jako poseł z Wołynia, Narcyz Olizar, który przedstawił jakieś pełnomocnictwo od współobywateli z tej prowincyi. Za nim w podobny sposób weszli do sejmu dwaj Wołynianie: Godebski i Worcell. Ten przykład pobudził przebywających w Warszawie obywateli Podola i Ukrainy do zgromadzenia się i urządzenia sejmików wyborczych dla tych prowincyi.

W dniu 30 czerwca w Ratuszu głównym w Warszawie odbyły się dwa sejmiki szlacheckie: województwa podolskiego i kijowskiego. Pierwszy, liczniejszy, mniej nas obchodzi; na drugim, kijowskim, który liczył tylko 30 uczestników [1]), na marszałka jednomyślnie wezwano Wincentego Tyszkiewicza, który objąwszy przewodnictwo, zaproponował, aby każdy z osobna powiat obierał swoich reprezentantów, ale ponieważ wobec szczupłej liczby zgromadzonych niepodobieństwem było wykonanie tego wniosku, zgromadzeni obywatele zgodzili się na obranie tylko sześciu posłów z tych powiatów, które były liczniej reprezentowane, tj. z lipowieckiego, machnowieckiego, humańskiego, skwirskiego, radomyskiego i taraszczańskiego. Posłowie mieli być t y m c z a s o w y m i, w bardzo optymistycznem przewidywaniu, że niedługo można będzie normalnym trybem obrać do sejmu przedstawicieli Ukrainy. Na listę kandydatów wpisano dwunastu Ukraińców, a w tej liczbie znaleźli się dwaj poeci ukraińscy, którzy tylko »na Parnasie mieli włości« i stąd jako nieposesyonaci, przy

---

[1]) Na akcie przystąpienia do powstania narodowego obywateli Podola i Ukrainy z d. 30 czerwca 1831 z województwa kijowskiego podpisało się 39 (w tej liczbie brak Goszczyńskiego), ale w głosowaniu brało udział tylko 30. (Dyaryusz sejmowy z r. 1831).

zwykłym trybie odbywania sejmików szlacheckich, nie mogli być, jeżeli nie wyborcami, to przynajmiej wybieralnymi, Zaleski i Goszczyński.

Ale, któż w tych czasach podniecenia patryotycznego wśród ziemian, którzy opuszczając strony rodzinne, narażali się na zniszczenie lub utratę swych włości, chciałby był podnosić skrupuły prawne? »Marszałek zapytał obecnych obywateli, czy któremu z kandydatów nie ma kto do zarzucenia niedostateczności kwalifikacyi, tak co do lat, jako też co do posiadłości. Wszystkim jednomyślnie legalność zupełna przyznaną została.« Tak opiewa protokół sejmiku kijowskiego, odbytego w Warszawie. Przystąpiono do wyborów i w liczbie sześciu obranych znalazł się i Bohdan Zaleski, który na 30 głosujących otrzymał 22 głosy, kiedy na Goszczyńskiego padł jeden głos tylko [1]). Głos ów, jak łatwo przypuścić, pochodził od tego, który stawiał jego kandydaturę, a którym, jak się domyślam, był dawny kolega szkolny, towarzysz po lutni i przyjaciel — Zaleski [2]).

Czemu zawdzięczał Zaleski zaszczyt, którego odmawiano Goszczyńskiemu? Jeżeli chciano w nim uczcić poetę, który brał orężny udział w powstaniu, to w tym względzie Goszczyński nie ustępował Zaleskiemu, a jako ten, który należał do garstki uderzającej na Belweder, mógł mieć szczególne tytuły do uznania swego patryotyzmu ze strony współobywateli. Jeżeli chodziło tylko o uczczenie poezyi, to w istocie poezya Zaleskiego miała dawniejszą i bardziej ustaloną sławę, ale za to nie było

---

[1]) Inni obrani posłami byli: Wincenty Tyszkiewicz (29 głosów), Herman Potocki (27), Józef Tomaszewski (25), Jakób Malinowski (23), Daniel Tchórzewski (23). Między tymi, którzy otrzymali mniej od Bohdana głosów, był i Karol Sienkiewicz (16 głosów).

[2]) Domysł swój opieram na tem, że gdyby kto inny stawiał kandydaturę Goszczyńskiego, to przy głosowaniu Goszczyński miałby był przynajmniej 2 głosy za sobą: wnioskodawcy i najbliższego przyjaciela.

w niej nic prawie, coby odpowiadało rewolucyjnemu nastrojowi chwili, i jak wiemy, Zaleski przez cały czas powstania milczał, jak zaklęty; tymczasem Goszczyński sypał jak z rękawa pobudki wojenne, trochę zgrzytliwe, ale pełne szczerego ognia i właśnie w wigilię sejmiku kijowskiego na obchodzie patryotycznym 29 czerwca, znana śpiewaczka warszawska, panna Wołkow, śpiewała jego *Marsz za Bug*, który tak odpowiadał nastrojowi chwili, a do którego Józef Dobrzyński dorobił był muzykę. Należy dodać, że Rząd narodowy niemałą wagę przywiązywał do poezyi patryotyczno-wojennej Goszczyńskiego, jako podtrzymującej ducha w narodzie i sam Goszczyński przyznaje, że minister spraw zewnętrznych, Horodyski, chciał w nim znaleść poetę rządowego. Drugi minister (wojny) Morawski, wprowadził go do komisyi wojny jako oficera ordynansowego w stopniu kapitana, jak się zdaje głównie dlatego, aby mu dać możność pisania pieśni patryotycznych, które potem kosztem tej komisyi zostały ogłoszone drukiem [1]).

---

[1]) Goszczyński, Zapiski do moich pamiętników, Teka VII. »Żądam od Morawskiego, ministra wojny, aby mię przesłał do korpusu Dwernickiego, który wtedy przechodził granicę Wołynia. Morawski zatrzymał mię przy sobie. Wchodzę do komisyi wojny, jako oficer ordynansowy w stopniu kapitana. (Przedtem stosunek mój z Horodyskim, ministrem spraw (nie pamiętam jakich) — chciał we mnie znaleźć podobno poetę rządowego...). Moje obowiązki zostawiają mi wiele czasu wolnego. Piszę pieśni, ogłoszone wkrótce w *Pobudce* kosztem komisyi wojny«. Kiedy *Pobudka* wyszła z druku (w sierpniu 1831), *Nowa Polska*, której stosunek z Bohdanem widocznie wówczas się już był rozluźnił, donosząc o wyjściu na świat tego zbiorku poezyi Goszczyńskiego i wielbiąc rewolucyjny jego nastrój, przymawiała w gryzący sposób Mickiewiczowi, Zaleskiemu i Odyńcowi. »Nasza piękna sprawa, bohaterska nasza wojna, nie zdołała ani jednej nuty wydrzeć naszym milczącym wieszczom starej i nowej szkoły. Mickiewicz, który mordercę naszego ojcem ludów raz

A jednak wśród zgromadzonych na sejmiku Ukraińców kandydatura Goszczyńskiego nie znalazła żadnego poparcia, kiedy przeciwnie Zaleski uzyskał tyle głosów, że został jednym z sześciu posłów ukraińskich. Nie można tego czem innem objaśnić, jak urokiem, jakim jego poezya, tchnąca tęsknotą stepową, otaczała jego postać w oczach Ukraińców. I harmonijność natury Zaleskiego, harmonijność, której brakło Goszczyńskiemu, objawiająca się tak w poezyi jak i w osobistym stosunku, musiała pociągać ku niemu serca wyborców, którzy się więcej sympatyami osobistemi kierowali, niż odpowiedniem przygotowaniem kandydata do roli politycznej. Przygotowania ani usposobienia do takiej roli nie miał Bohdan wcale; ale wyborcom, w tym razie przynajmniej, chodziło nie o to, aby nowego męża stanu dostarczyć sejmowi, ale aby mieć reprezentanta w sejmie, otoczonego powszechną sympatyą i szacunkiem.

Tak tedy Bohdan, który był dotychczas przedstawicielem Ukrainy w świecie poezyi, został teraz jej politycznym repre-

---

nazwał, zanadto wierny przepisowi Szyllera, że »co ma ożyć w pieśni, powinno zginąć w rzeczywistości«, zdaje się wyglądać uspokojenia Polski i Litwy, aby im wtedy śpiew jaki poświęcił. Bohdan Zaleski, którego natchnione dumy z takim zapałem porywała młoda Polska, w chwili, kiedy się po nim najwięcej można było spodziewać, odrzucił lutnię Bojana. Ów nawet Odyniec, dopełnienie naszego poetycznego triumviratu, ten, co niedawno na fest imienin b. ministra oświecenia, Stanisława Grabowskiego, dobywał dźwięk z lutni wajdelotów, Odyniec nie raczył się sprzymierzyć z prozaiczną sceną rewolucyi. Toż i o reszcie można powiedzieć. Tylko Karol Sienkiewicz uczcił zwycięstwo Wawra i Dębego pięknym *Te Deum* i wytłumaczył *Warszawiankę* Delavigna. — Ale był jeden młody poeta (Goszczyński) zapaśnik i czciciel rewolucyi, niezmordowany członek Towarzystwa patryotycznego, który, jak Tyrteusz, ojczyźnie i wojnie natchnienia swoje poświęcił i t. d.« *Nowa Polska* z d. 25 sierpnia 1831, Nr 228.

zentantem [1]). Że jednak w sejmie posłowie winni byli reprezentować pojedyńcze powiaty, marszałek sejmiku po ogłoszeniu rezultatu wyborów, rozdzielił między obranymi przedstawicielstwo powiatów: Zaleskiemu, jako pochodzącemu z okolicy Stawiszcz, dostało się poselstwo z powiatu taraszczańskiego.

W sejmie, jak można było z góry przewidzieć, Bohdan nie zabierał wcale głosu, do potoków wymowy sejmowej nic nie dodał. Nie przeszkodziło to jednak, że go sejm niebawem nowym uczcił zaszczytem, wybierając już jako przedstawiciela całego województwa kijowskiego do komisyi, która miała rozpoznać dotychczasowe czynności wojenne naczelnego wodza, Skrzyneckiego, i jego dalsze plany wojenne. Było to już przy końcu lipca, kiedy wojska rosyjskie pod dowództwem Paskiewicza przekroczyły Wisłę, kiedy jednocześnie nadeszły wiadomości o rozbiciu powstania na Litwie, kiedy więc położenie stawało się niezmiernie groźnem, a tymczasem Skrzynecki pozostawał ciągle w bezczynności, która do rozpaczy doprowadzała gorętsze żywioły, tak, że niektórzy wojskowi, między innymi Goszczyński, gotowali się do zamachu na życie wodza [2]).

W komisyi, w której Bohdan zasiadał obok innych

---

[1]) »Kuryer Polski« z 2 lipca 1831 (Nr 554), podając wiadomość o sejmikach województw podolskiego i kijowskiego i o tem, że z pow. taraszczańskiego obrany został posłem Bohdan Zaleski, dodaje: »poeta, którego tkliwe, ozdobne dumy już dawno uczyniły w oczach rodaków reprezentantem błogich pól ukraińskich«.

[2]) Goszczyński, Teki VII. Zapiski do moich pamiętników, »...po bitwie ostrołęckiej, było to w lipcu, zamiar obalenia Rządu pięciu, zabicia Skrzyneckiego, Czartoryskiego i innych. — Mam udział. Należą do tego: Urbański Piotr, major; Nabielak, Bronikowski, Krempowiecki, Tetmajer Józef, Rudzki Edward i wielu innych. Ciekawe szczegóły — co zniweczyło wykonanie tego zamiaru«. Ale tych szczegółów Goszczyński nie podaje.

obranych posłów, brali udział także znakomitsi jenerałowie, wódz naczelny i ówczesny Rząd Narodowy. Trzy były plany, przez trzech generałów podawane. Najtrzeźwiej rzeczy sądzący i największą odwagą cywilną obdarzony jenerał Chrzanowski, widząc, że klęska ostateczna jest nieuchronną, radził przystąpić zaraz do układów; Skrzynecki, który nie wierzył także w możność odparcia wroga własnemi siłami, ale wierzył w złudne obietnice obcej interwencyi w razie przedłużenia powstania o parę miesięcy, zalecał swój plan dotychczasowy odpornego działania, to jest czekania na wroga pod Warszawą; Prądzyński chciał, aby natychmiast uderzyć na wojska Paskiewicza, zanim się one skupią i zajmą korzystną pozycyę. Ten ostatni plan najlepiej odpowiadał gorączkowej niecierpliwości społeczeństwa i jego sejmowych przedstawicieli. »Wszyscy posłowie, powiada naoczny świadek i uczestnik narady, Barzykowski, jednozgodnie, nietylko, że dali zdanie za zaczepnem działaniem, ale nawet upraszali wodza, ażeby zaraz Warszawę opuścił, udał się do armii, bitwy z nieprzyjacielem szukał i ją stoczył« [2]. Więc i nasz poeta dawał głos za planem Prądzyńskiego, ale czyniąc to, nie wyrażał przekonania samodzielnie w sobie wyrobionego, tylko sfery, w której się obracał, której uczuciami i poglądami był przejęty. Był on i teraz niesiony prądem, tak samo jak wtedy, gdy zaciągał się pod sztandar *Nowej Polski* lub spieszył z bronią w ręku do obozu. Zamknąwszy swój własny, oryginalny świat marzeń poetycznych, który nosił w duszy, na siedm pieczęci, w świecie rzeczywistym, w sferze sporów i walk politycznych, czuł się zupełnym profanem, kierował się tylko popędami serca i dążył do harmonii z najbliższem otoczeniem, z którem go towarzyskie, przyjacielskie węzły wiązały.

---

[2]) Barzykowski, »Historya powstania listopadowego«, T. IV, str. 376.

Układy z wrogiem, nad któremi owa komisya nie chciała się zastanawiać, w kilka tygodni potem stały się smutną koniecznością, a twórca planu zaczepnego działania, Prądzyński, staje się najgorliwszym w nich pośrednikiem.

Dnia 8 września zaczął się exodus wojska ze stolicy, którą po dwudniowym szturmie oddawano nieprzyjacielowi; wraz z wojskiem wychodził rząd, sejm i tłumy ochotników, dążąc przez Pragę ku Modlinowi. Jakże niepodobnym był ten widok do owego obrazu wyjazdu na wojnę, który przed ośmiu miesiącami w entuzyastycznych wyrazach kreśliła *Nowa Polska*! W tej tragicznej procesyi, w której grzebano piętnastoletni okres konstytucyjnego Królestwa, znajdował się i nasz poeta, a jako poseł, brał jeszcze udział w ostatnich posiedzeniach wędrującego sejmu, w Zakroczymiu i Płocku.

Cóż ten sejm, którego dni na ziemi polskiej już były policzone, miał do obmyślania i uchwalania? Kiedy nadzieje na zwycięstwo zmalały do zera, chodziło tylko o gesty, które miały ratować honor narodu; z ostatecznego pogromu chciano wynieść na barkach czystą ideę niepodległości Polski. Z tą ideą sejm wychodził z kraju i pociągał za sobą wojsko i w tych to smutnych czasach, w Zakroczymiu zapadła jedna znamienna uchwała. Na wniosek Lelewela, który właśnie wtedy na dni kilka został ministrem wyznań i oświecenia, sejm ustanowił nowy order pod nazwą *Gwiazda wytrwałości*. Ta gwiazda nie mogła już ozdabiać niczyjej piersi, ale była jakby wróżbą emigracyjnych losów pokolenia powstańczego, miała je prowadzić przez długie lata po ciężkich drogach wychodźczego życia.

Bohdan stawał u progu tego życia. Wraz z Lelewelem i kilkunastu innymi posłami towarzyszył on wojsku polskiemu do pruskiej granicy, gdzie to wojsko w Brodnicy broń złożyło. Ale sam nie odrazu puścił się na wę-

drówkę w świat obcy; przed tą wędrówką, która miała się rozciągnąć na całe jego życie, chciał on zachwycić jeszcze ojczystego powietrza w okolicy nie nawiedzonej wojną, nie zasnutej dział dymem i przez Śląsk pojechał do Lwowa. Ta podróż do Galicyi była wstępem do jego dalszego tułaczego żywota.

DODATKI.

I.

Młodzieńczy utwór Bohdana Zaleskiego p. t. „Wyjeżdżający do Legionów“.

DUMA.

Noc widna, jak w środku grudnia...
Księżyc pruł błękit pogodny.
Cisza... czasem od południa
Powiewał wietrzyk łagodny.
W dalekości mgli się pole,
Nadbugskie się skały bielą;
Bliżej posępne topole,
Przez mogiły cienie ścielą.
Ukryte w trawie fiołki
Wydychają lubą wonią;
Kołysząc krzewin wierzchołki
Przelotne wietrzyki dzwonią.

Był to Maj — O piękny Maju!
Tak wówczas smutny, nie miły,
Po stracie swobód i kraju
Czucia się nasze stępiły.
Jak te wędrujące chmurki
Po tle gwiaździstem rozpierzchłe;
Jak te cienie, co przez wzgórki,
Przez jary błądzą zamierzchłe;
Nocą, ścigani od wrogów,
Do Włoch przez lasy, manowce,
Spieszyli z rodzinnych progów
Waleczni polscy wędrowce.

Miłość ojczyzny, podnieta
Serc wszystkich godnych swobody. —
Sławny nasz rycerz — poeta
Pędzi za niemi w zawody;
Parska rumak zadyszany,
Echo wtórzy tętent grzmiący,
Mija bory, mija łany,
Jak one smętny, milczący.

Wtem ujrzał Dubienki błonia,
Kości rozsiane po roli,
Ciężko westchnął — skoczył z konia
I szedł w milczeniu — powoli.
Koń gryzł mech i młode wrzosy;
Poległych rodaków groby
Błyszczały kroplami rosy,
Jak gdyby łzami żałoby.

Toczył młodzian wzrok po łące,
Z dumą badał przeszłych zdarzeń...
Wtem złomki dębu sterczące
W odmęt go wtrąciły marzeń. —
Chciał mówić... gdy w oddaleniu
Z zasutego mgłą gaika
Rozległ się w uroczem brzmieniu
Niewolący głos słowika. —
Z czuciem wieszcza zgodne tony
Rozkwilały serce mile...
Cichną... z omamień ockniony
Tak się ozwał na mogile.

»Wszystko koniec ma w Naturze!...
Dębie! strzaskany, pochyły,
Opierałeś wichry, burze,
Dumny z potęgi i siły:
Wnet kupią się chmur nawały...
Na domiar niesłusznej kary,
Gniewne obłoki zagrzmiały,
I grom trzasnął w twe konary.
Spólniku przygód tej niwy!
Z liści twój wieniec zielony
Rozniósł już wicher burzliwy
Przez spustoszone zagony.

Dziś twa postawa przestrasza,
Niegdyś spaniały, ozdobny!
Jedna widzę kolej nasza,
Jakżeś do Polski podobny!

»Niegdyś groźna dla sąsiadów,
Ścierała Księżyców rogi,
Tarcza od dziczy napadów
W bojaźni czcili ją wrogi. —
Nie tron, lecz naród kochali
Nasi królowie pobożni,
Przodkowie wolni i śmiali
Słynęli w cnoty zamożni. —
W boju wawrzyny okryty,
W pokoju uprawiał niwy;
Pług — szabla — godne Lechity,
Z niemi był wielki, szczęśliwy...

»Któż sprawca okropnej zmiany?...
Obcych przemoc — ziomków zbrodnie —
Tak — okuły nas w kajdany
Hołdowniki i przychodnie.
Wielkich królów naszych prochy
Depcze najezdnik zuchwały,
Pomiata nawet wiatr płochy
Wawrzynami dawnej chwały,
Chorągwie w bojach zdobyte
Z sklepień świątyń wróg odziera;
Zbroje kurzawą okryte
Nieprzyjazna rdza pożera. —
Ziomki jak grobowe mary,
Błądzą za ojczyzny śladem,
Po nadbrzeżach Delawary,
I nad Nilem i nad Padem.
Rospierzchłe po świata kuli,
Tuła się nieszczęsne plemię,
Żebrze względów obcych króli,
Krwią lub łzami rosi ziemię.

»Będzież zimnym Polak prawy
W smutnej obecnej kolei?...
Nie... spieszę gdzie Tęczę Sławy,
Gdzie tęczę widać nadziei.

Tam wpośród wojennych szyków,
Połączon z ziomkami memi,
Nie obaczę najezdników,
Ani chańby *(s)* mojej ziemi. —
Święta narodowa pycho!
Czuję, iż twym ogniem płonę,
Rzucam wioski ustroń cichą,
Rzucam miejsca ulubione.

»O wy ległych mężów cienie!
Jęczące w grobowej ciszy,
Przyjazne wasze życzenie
Niech mi w bojach towarzyszy,
Tak... cienie w grobach jęczące...
Niepożyta chwało ziomków!...
Przetrwacie wieków tysiące
W sercach cnotliwych potomków.
Pokój! wam Ziomkowie moi
Do końca nie zgięci — stali,
Wyście, jak mężnym przystoi
Z skonaniem Polski — skonali.
Obym za kochaną ziemię
Poległ z podobną wam chwałą,
Imię moje późne plemię
Z równą czciąby wspominało.
Ach! gdy... lecz już brzask zarania
Za chwilę ciemność rozproszy...
Czaś przerwać słodkie dumania,
Zrzec się ostatniej rozkoszy.

»Żegnam cię Wołyniu żyzny!...
Gdziem w ustroniu cichem, miłem,
Marząc nad dolą Ojczyzny
Najpiękniejszy wiek prześniłem.
Żegnam was ojców dziedziny!
Źrzódła pierwszego natchnienia!
Z najdalszej świata krainy
Wam moje prześlę westchnienia. —
Gdy zaś kiedy zrzucę zbroję,
Znów do miejsc lubych powrócę,
Znów moją lutnię nastroję
I na niej ziomkom zanucę«.

Za górami dzionek świta,
Gaśnie jutrzenka w obłoku,
Poleciał jak wiatr Lechita
Z nadzieją w sercu, z łzą w oku.
Tam dalej bór się poczyna,
Maleje — zniknął w dąbrowie... —
Był to bohater Raszyna,
Był to Godebski, ziomkowie!...

Józef Zaleski.

II.

List Bohdana Zaleskiego do Michała Grabowskiego.

Dnia 3 grudnia 1825 r. z Warszawy.

Dwa długie — smutne listy pisałem do Petersburga i jużem był bardzo niespokojny, kiedy nareszcie Rudnicki przywiózł od ciebie wiadomość. — Nieskończenie żałuję, że spomniane listy zaginą; byłbyś się z nich dowiedział wielu nowych i niespodziewanych rzeczy; com stracił — przecierpiał. — Zdaje się, że na to potrzeba wieków — a przecież wszystko się stało w kilku dniach — w kilku godzinach. — Ależbo kto na ziemi żyje dla szczęścia uśmiechów? — Są może uprzywilejowani ludzie, ale to głupcy — nikczemniki. — Pozwól kochany Michale! abym tą razą oszczędził opisu okropnych szczegółów, jątrzących dotąd mi serce. — Przecież przywołane w pomoc religia — filozofia muszą je kiedyś, jeśli nie ukoić, przynajmniej zahartować na ciosy. — Dziś tedy donoszę tylko ogólnie — oto: Róża mię najhaniebniej zdradziła — najlepszy po tobie przyjaciel odumarł. — Mamże tu jeszcze dodać tysiąc powszednich umartwień, tem nieznośniejszych, że najpospolitszych... — A my wierzymy wiecznej miłości — przyjaźni — wyciągamy ręce ku czczości — ku marom. — I dlaczegoż sercu naszemu złudzeń koniecznie potrzeba? Dlaczego i złudzenia nie mogą je uciszyć zupełnie. — Wiara wciąż szepce do ucha Poecie, że omamienia są zwiastowaniem i wyobrażeniem lepszego gdzieś bytu: — że cierpienia doskonalą duszę. — Pięknie zaiste tak wierzyć — ale prawda i pewność za grobem — pod śmierci zasłoną.

Postrzegam kochany Michale! iż pisząc na prędce — od ręki — tłumaczę się niedokładnie i ciemno. — Napomknąłem o śmierci przyjaciela, nie wymieniwszy nazwiska. Nie znałeś go — a raczej

znałeś ze złej strony. — Julian Zaleski po twym odjeździe z Warszawy pojednał się ze mną i przekonałem się, że z duszą tak wyniosłą i czułą godzien był mojej przyjaźni. — Jakoż dał tego niezliczone i rozrzewniające dowody. — Nareszcie we wrześniu strzelił sobie w serce. — Powodem do samobójstwa były *(s)* tęsknota do innego świata — a mianowicie poezye Mickiewicza. — Szczegóły śmierci opowie ci na kontraktach kijowskich Anastazy Dunin — pragnie on serdecznie poznać się z tobą — bardzo poczciwy i światły człowiek. — Jedzie także na wiosnę do Petersburga — i w tymże co ty zamiarze.

Niepoznałbyś mię Michale! tyle te wypadki wpłynęły na mój umysł i charakter. — Żyję całkiem samotny w myślach jak najposępniejszych.

»A jeśli się rozśmieję, to jak za pokutę,
»A jeśli co zaśpiewam, to na smutną nutę.

(Malczewski w Maryi).

Domyślisz się, że piszę niewiele — dużo jednak czytam. Nie wiem, czy na Ukrainie są już nowe romanse Waltera Skota: — Ryszard bardzo piękny i kto wie, czy nie najlepszy ze wszystkich, które dotąd czytałem. — Dmochowski z francuskiego wytłumaczył go na polski. — Delamartin wydał 5 część Czyld Harolda, gdzie wyjazd z Włoch do Grecyi i śmierć Bajrona opisał. — Naśladował duch Harolda angielskiego i barzo wiele ma pięknych obrazów i myśli. — Z polskich *Dziennik Warszawski* barzo się poprawił — zastanowiłyby cię szczególniej ultra — romantyczne rozprawy i apologie o mnie. — Ten Mochnacki pokazał, że zna dobrze metafizykę i literaturę niemiecką. — Z poezyi wyszła tu dziwaczna a piękna powieść ukraińska p. t. *Maria*. Autorem jej jest Malczeski *(s)*, dobry Ukrainiec, niedawno tu przybyły z długich podróży. — Nie pamiętam, aby mię jakie polskie poema tyle uderzyło: tło posępne, imaginacya świetna i świeża — myśli wyniosłe i nowe — styl tylko i osnowa na nieszczęście często zaniedbane i ciemne.

Otóż wszystko, co dziś ci donieść mogę. — 15 b. m. znowu napiszę i ciągle po dwa razy na miesiąc, aż póki nie wyjedziesz do Petersburga.

Nie uwierzysz kochany Michale! co miałem kłopotu z twemi książkami. — Ten Sztebler, chcąc zyskać, a widząc, że nie mam od ciebie plenipotencyi, przedał książki komu innemu. — Musiałem go złajać — oskarżyć — ale wszystko nie pomogło, ponieważ nie

miałem plenipotencyi. — Pisałem o nię do Petersburga, ale daremnie. — Potrzeba tedy procesować się — prawnicy powiadają, że Sztebler przedał nieprawnie, ponieważ nie przez licytacyą i będzie musiał zapłacić. — Zrób więc jak naśpieszniej, Michale, urzędową plenipotencyą na imię Bętkowskiego i przyślij — tym sposobem wyrwiemy co może z rąk oszusta. — Napisz także do Szteblera, bo kto wie czy przynajmniej kroniki nie zostały. — Świadkiem Ludwik, com się namartwił.

Przypominam ci o pieśni i opisy malownicze Ukrainy — ty wiesz najlepiej, jak one dla mnie nieodbicie potrzebne. Czytam w tej chwili Foriella pieśni gminne nowo-greckie — które tak całą zajęły Europę — a przecież ukraińskie co do ducha i wyrażeń prawie tożsamo zupełnie.

Co się dzieje z Krechowieckim? proś niech do mnie napisze. — Bętkowski wyjechał w Poznańskie. Czekam na list i nowiny od ciebie.

Przyjaciel *J. Zaleski.*

III.

Niektóre artykuły Bohdana Zaleskiego drukowane w Nowej Polsce.

1. Pułk czwarty piechoty liniowej.

Najwspanialszem zjawiskiem rewolucyi naszej jest pułk czwarty piechoty liniowej. On pierwszy podał rękę zrzucającemu z siebie jarzmo narodowi, stanął na czele narodu, dał pierwszy przykład całemu wojsku, że żołnierz powinien być, że jest obywatelem; pociągnął je za sobą do rewolucyi, której jest ozdobą, obrońcą i ojcem; on to najwięcej się przyczynił do wygnania tyrana, który byłby jeszcze szalał w Warszawie, szczycącej się teraz chlubnem imieniem stolicy wolności. W sercu każdego Polaka, w sercu całego narodu, pierwsze miejsce zajmuje jego waleczne obywatelskie wojsko; lecz najpierwsze miejsce bohaterski pułk czwarty; który w walce o całość ojczyzny, o jej i Europy wolność, jest najwaleczniejszym z walecznych, najwięcej się poświęcającym. Wzniosłe miejsce w historyi rewolucyi polskiej, rewolucyi europejskiej, zajmie wojsko polskie, lecz najwznioślejsze pułk czwarty. Sądzimy, że jest najświętszym obowiązkiem zwrócić uwagę sejmu, ażeby odznaczającym sposobem wynagrodził pułk czwarty. Niech wszyscy oficerowie i żołnierze składający go w dzień 29 listopada (rozumie się że 3-ci i 4-ty batalion

później uformowane rachować się nie mogą) drukiem ogłoszeni zostaną: niech żony i dzieci i rodziny tych co już polegli w boju o najświętszą sprawę, najzupełniejszej narodowej doznają opieki; niechaj sejm z dóbr narodowych wyznaczy dla każdego, który wróci po wojnie, znakomitą własność gruntową; a każdego bliznami okrytego nawet pieniężną zapomogą obdarzy; niechaj wyrzeknie, że tacy właściciele od wszelkiego, nawet najmniejszego podatku wolni są na całe życie. Taka nagroda należy się 4-mu pułkowi, batalionowi saperów, kompaniom wyborczym 2 i 5 pułku liniowego, gwardyi artylleryi konnej, i tej kompanii gwardyi grenadyerów, która pod dowództwem walecznego podporucznika Leona Czechowskiego stanęła w obronie rewolucyi, i wspólnie do wypędzenia wroga należała. Wymaga tego sprawiedliwość, wdzięczność i honor narodu; nawet się tu dosyć wspaniałomyślnym okazać nie można. Pomnijmy, że już tyle razy dobra narodowe stały się łupem szczodrych gratyfikatorów; a szczególniej Aleksandra i Mikołaja. Pomnijmy że Lubecki, ten najchytrzejszy ze zdrajców, (przez kogoś dobrym Polakiem nazwany)[1]) wystawił je na sprzedaż, ażeby zebranemi pieniędzmi prowadzić mógł Mikołaj wojnę, i zabić wolność europejską, a Polaków zmienić na Moskali, na niewolników. Sejm nie oburzył się na ten gwałt własności narodowej wyrządzony, na to złodziejstwo. Niech teraz sejm dobra narodowe prawdziwie po narodowemu rozda pomiędzy obrońców ojczyzny; niechaj przestaną być pastwą gratyfikacyi na przyszłość i łechtać łakomstwo usłużnych dworaków i pochlebców królewskich, jeżeli Polska króla mieć będzie chciała. B. Z.

(Nowa Polska z d. 15 marca 1831 Nr. 70).

2. Opuszczanie kraju.

Nigdy nie można pochwalić osób, które opuściwszy kraj własny, trwonią znakomite dochody za granicą. Dwie wielkie wynikają ztąd szkody. Pierwsza, że pieniądze zgubione są zupełnie dla ojczystego kraju, dla źródła z którego wypłynęły, a do którego wpłynąćby były powinny; tysiące rodaków wzbogacałoby się, zamiast widocznego w przeciwnym razie ubożenia. Nigdy się tu u nas nie pokaże cudzoziemiec, chyba ubożuchny; nie dla miłości ku nam, lecz żeby się wzbogacić, dochrapać znaczenia, a często, ba, nawet po największej części, usługiwać naszym ciemięzcom, naszym nieprzyjaciołom, dopomagać do naszej zguby, do naszej zagłady. Druga szkoda, moralna, jest jeszcze ważniejsza jak pierwsza. Wszyscy

---

[1]) Warto porównać z tem oburzeniem to, co Zaleski w późniejszych latach pisał o „sarkaniu na zdradę“, p. wyżej str. 446 i 447. (Przyp. wyd.)

ci, którzy najwięcej przebywają za granicą, tracą zupełnie przywiązanie do ojczystej ziemi; w sercach ich dzieci zaszczepiają się złe przymioty; nigdy tacy nie są patryotami; a kto nie kocha własnego kraju, nie może kochać i obcego, nie kocha i ludzi, jest egoistą, jest wyrodkiem, jest nieprzyjacielem ludzkości. Jeżeli kiedykolwiek obojętność taka była występną, teraz staje się zbrodnią. Kiedy ojczyzna zagrożona jest od nieprzyjaciela, kiedy ją wszyscy wspierać wszelkiemi siłami powinni, wyjeżdżać wtenczas za granicę, uszczuplać tym sposobem resursów, nie chcieć podzielać złego, które wszystkich spotyka, powtarzam, jest zbrodnią. W niebezpieczeństwie i nieszczęściu ojczyzny prawdziwi okazują się patryoci, tak jak prawdziwi przyjaciele w niedoli człowieka. Kto nieszczęść ojczyzny wspólnie znosić nie chce, niegodzien jest kosztować jej szczęścia, nie wart być nawet świadkiem jej pomyślności. Ci tylko mogą być usprawiedliwieni, którzy są przedmiotem szczególnej nienawiści dzikiego nieprzyjaciela, i pastwą jego srogości staćby się mogli. Lecz jakże, czemże usprawiedliwić tych panów, a szczególniej te panie, które na żadne niebezpieczeństwo, nawet w najgorszym razie, nie będąc wystawionemi, wyjeżdżają z kraju, jedynie z nudów, z braku zatrudnienia i patryotyzmu? Jak usprawiedliwić tych, którzy tak występnego zbiegostwa przykład z siebie dali; zniszczyli słabą odwagę i ufność bojaźliwych, i zasmucili patryotów.

B. Z.

(Nowa Polska z d. 18 marca 1831 Nr. 73).

3. O nadaniu własności wieśniakom.

Wszelki despotyzm, wszelka arystokracya będąc zaporą kształceniu się ducha ludzkiego, są naturalnemi nieprzyjaciółmi cywilizacyi narodu, a niewola i poddaństwo najgłówniejszą przyczyną jego upadku i zguby. Wszystko w naturze żyje, wzrasta, kształci się i dosięga zakreślonej sobie doskonałości, zupełną wolnością; niewolą zaś nikczemnieje i ginie. Utrzymywać poddaństwo i niewolę w kraju, gdzie od niepamiętnych czasów istniały, jest nierozumem, jest występkiem politycznym; zaprowadzać poddaństwo i niewolę, jest zbrodnią polityczną. Niewola ludu, jako największej części narodu, sprawiła, że po naświetniejszych tryumfach, Polska, zawsze zwyciężająca zginęła. Despotyzm i srogie poddaństwo w Rosyi grozi już upadkiem temu państwu. Wnet runie kolos, co Europę zastraszał potwornością swoją, a upadkiem swoim nawet nie zadziwi świata, nie zyska politowania historyi. Na zniesionej wolności ludu rosyjskiego wznieśli carowie despotyzm i potęgę swoję

do tego stopnia, do jakiego złe takie wznieść tylko można. Za tę zbrodnię godzina kary wkrótce uderzy.

Kazimierz Wielki z sercem pełnem ludzkości i dobroci, wyższy nad cywilizacyą swojego wieku, zniósł po większej części niewolę chłopów, zabezpieczył ich od uciemiężania panów. Nigdy Polska nie była szczęśliwszą, jak za panowania tego króla człowieka. Jagiellonowie znieśli ustawę największego z Piastów; zwrócili kmiotków do nieograniczonego poddaństwa panom, arystokracya wznosić się, cywilizacya cofać, a Polska upadać zaczęła i nakoniec upadła. Z grobu swojego powstaje. Zmartwychwstanie jej jest uroczyste, jak samego Zbawiciela. Powinno więc zwiastować radość i szczęście wszystkim Polakom, powinno przynieść wolność, swobody i własność ziemską wieśniakom naszym. Na tym tylko fundamencie może stanąć niezachwiana budowa potężnego, wielkiego państwa. Szanowny Joachim Lelewel jak każdy prawy obywatel, pragnie widzieć właścicielami wieśniaków; bo w tem widzi szczęście i całość Polski. Lecz Lelewel, radzi, ażeby się do tego prawa nie mieszały, żeby to dobrowolnie Polacy zrobili dla Polaków. I jabym tak wolał. Ale znając szanownych właścicieli dóbr, będąc przekonany, że większa ich część jest temu przeciwną, a nawet potępia wszelką myśl tego rodzaju, sądzę, że prawem takową własność ustanowić należy, o prawo woła potrzeba czasu, wymaga szczęście i całość Polski. Nie, nie można zostawiać na łaskę, obrońców cywilizacyi dziewiętnastego wieku. Ta ziemia, ich potem i łzami dotąd zlewana, poświęcona ich krwią, nie może być dłużej dla nich macochą. Szanowny J. Lelewel twierdzi, że w wielu miejscach wieśniacy nieprzyjęliby sami gruntowej własności dla trudności opłacania czynszów. Nie przeczę temu. Ciemnota z której ich wydobyć pilnie się wystrzegano; despotyzm do bydląt ich prawie zniżyć usiłujący, zniszczyły w nich zdolność przemyślnego rolnika, zgnębiły rozsądek tak znakomicie odznaczający polskiego wieśniaka. Należy ich prawem wyrwać z tego stanu oburzającego serce przyjaciela ludzkości: obrażającego religią i Boga. Ani myśleć o ich oświeceniu, jeżeli pierwej własności posiadać nie będą. Oświecenie wieśniaka polskiego powinno być rolnicze; rolę więc pierwej dać mu należy; ażeby oświecony nie tracił, jak dotąd bywało, przywiązania do niej, ale ją namiętnie pokochał. Początki będą trudne, a może i przykre, jak wszystko z początku. Nie mogąc opłacić czynszu, odrobi go włościanin, ale za wspólną ugodą z dziedzicem; odrobi dobrowolnie, nie pańszczyzną jak dotąd, lecz własnowolnem uiszczeniem należytości czynszowej; niewypędzany przez ekonomów, nie hańbiony plagami, nie wywlekany z własnego domu i gruntu przez

tywonów, włodarzy, pisarzy i innych siepaczy dworskich; prawo tylko mieć będzie nad sobą, nie pana lękać się powinien.

B. Z.

(Nowa Polska z d. 25 marca 1831 Nr. 80).

4. Projekt nadania własności włościanom w dobrach narodowych.

(Art. nadesł.)

Aczkolwiek nadanie własnosci włościanom w dobrach narodowych jest tylko zwyczajnym wymiarem sprawiedliwości, jest tylko przywróceniem tego, co im niesprawiedliwym, okrutnym sposobem wydarte zostało; i chociaż sejm nasz aktem wspomnianym jeszcze nie uczyni zadość objawionej potrzebie czasu i cywilizacyi, pociesza to jednakże prawe serca polskie, że akt ten pociągnie za sobą niezadługo ogólne wszystkich nieszczęsnych włościan polskich uziemianienie. Głównym warunkiem odradzającej się wolności europejskiej, jest wzniesienie, na ruinach zastarzałości feudalizmu i arystokracyi, takich praw i ustaw, do których ludzkość tyle wieków wzdychała; na grobie despotyzmu zakwitnąć ma wolność, to największe z dobrodziejstw Stworcy; możnaż pozwolić, aby obok wolności niewola pozostać miała? Nowe szczęście i pomyślność uśmiecha się odmłodnionej Europy ludom. Mamyż pozwolić, ażeby włościanin polski został w poniżeniu, i niedola tak go dręczyła, jak dawniej; czyliż w nagrodę jego poświęcenia się łzy mu własne pozostaną, czyliż w tych piersiach, które od śmiertelnych ciosów despotyzmu zasłaniają Polskę i wolność, nigdy pociecha nie zawita?

»Czas przyniósł potrzebę tej wielkiej reformy towarzyskiej; biada tym, którzyby głosowi czasu i tajemnego wewnętrznego przekonania uledzby nie chcieli, dla urojonych przeszkód nienaruszania własności trzeciego. Czyliż bowiem systemat pańszczyźniany, nieznany już w ucywilizowanych krajach, jako puścizna przodków ma na zawsze pozostać w Polszcze, czy zniesienie jego zadaje gwałt własności? Nigdy. Właściciele dóbr nie są właścicielami ludzi, lecz ziemi. Jeżeli ta ziemia, ich własnością będąca, nie może się obejść bez rąk włościan, jeżeli bez włościan dziedzice obszernych pól nie mieliby prócz chwastów innego z swej własności plonu, lepszego nad szczaw dla siebie i swojej szlachetnej rodziny pożywienia, sprawiedliwością więc jest, a nie naruszeniem własności, ażeby ci, którzy pracą swoją przynoszą właścicielom ziemi i całemu krajowi bogactwa i zbytki, stali się posiadaczami cząstki obszernych łanów przez nich uprawianych, oblewanych ich potem

i krwią okupionych. Sprawiedliwością jest, nie naruszeniem własności, dać na własność po kawałku ziemi wszystkim włościanom; wcielić ich tym sposobem do przywilejów obywatelskich, do dobrodziejstw towarzystwa, którego oni są filarami i największemi dobroczyńcami. Prawo więc nadające własność gruntową wszystkim włościanom, powtarzam raz jeszcze, nie będzie naruszeniem cudzej własności, ale sprawiedliwością, wielkim i wspaniałym aktem narodowego sejmu, wdzięczność żyjącego pokolenia, chwałę w potomności i uwielbienie historyi stanowiącym.

B. Z.

(Nowa Polska z d. 20 kwietnia 1831 Nr. 105).

5. (Artykuł nadesłany).

Zdarza się niekiedy słyszeć w mowach publicznie mianych to nezwanie »ojcowie narodu«, kiedy mówiący o reprezentantach teraźniejszych wspomina. Jeżeli to nazwanie ma znaczyć to samo, co wyraz »Reprezentanci«, sądzimy, że jest niewłaściwie odmiennem wyrażeniem zmieniać znaczenie rzeczy. Naród bowiem nie obrał sobie ojców, ale wykonawców woli swojej. Czyli ci wykonawcy wybrani wówczas, kiedy wola narodu była odmienna od woli teraźniejszej, odpowiedzieli zupełnie wielkim postulatom odnowionego porządku rzeczy i okoliczności, to naród sam wyrzecze, to przyszłość osądzi. Jeżeli zaś wyraz ten brany i rozumiany jest w prawdziwem swojem znaczeniu, śmiemy twierdzić, że to jest pochlebstwem, którem ubliżać nie godzi się szanownym patryotycznym reprezentantom. Widzimy tu pewną spekulacyę raczej, niżeli uczucie wewnętrznego przekonania. Ta chwała, być ojcem narodu, nie dostała się u nas żadnemu sejmowi, żadnemu człowiekowi w udziale. Mieliśmy wiele znakomitych ludzi, wielkich królów; ale żaden z nich nie był ojcem narodu, bo żaden z nich najświetniej panując, nie zapewnił po swej śmierci przyszłych losów narodu. Cóż uczynili teraźniejsi reprezentanci, aby ich ojcami narodu nazwać można było? Czy ustanowili jakie prawa, mogące być fundamentami szczęścia Polski? Nie. Czy oddalili od narodu grożące mu niebezpieczeństwa? Nie. To uczyniło wojsko. Dyktator i książę wódz naczelny są dziełami sejmujących. Pierwszy zdradził zaufanie, drugi obok czystych chęci i patryotyzmu, nie powiódł mężnych do zwycięstw, choć ich męstwo spółuczestnikiem go nabytej sławy zrobiło.

Ten, co stolicę zalał jeńcami moskiewskiemi, co zdobytemi chorągwiami pomnożył już trofea Jana III, był tylko potwierdzony

przez sejm. Wojsko go wybrało, a bitwa pod Dobrem wskazała. Uznanie rewolucyi, strącenie z tronu, zbrodniami zhańbionego, cesarza Mikołaja, jest tylko prostem wykonaniem wynurzonego żądania narodu, chwała jest stąd narodu, nie sejmu. Wojsko zwycięży nieprzyjaciela, ocali ojczyznę; lecz jej szczęście i trwałość prawa tylko ugruntować mogą. Ojcami narodu staną się ci, co mu takie ustanowią prawa. To zadanie zostawione przyszłym reprezentantom, a więc i chwała ta nieśmiertelna. Sejm teraźniejszy pamiętny będzie w historyi z istnienia swego w najsławniejszej epoce dziejów Polski, lecz nie z własnych czynów. Wszakże w mocy było reprezentantów teraźniejszych własnym czynem uwiecznić chwałę swoją, zasłużyć cześć i wdzięczność narodu. Włościanie są głównym, najpierwszym po oswobodzeniu ojczyzny przedmiotem uwagi. Od zmiany ich położenia teraźniejszego i losu, zawisły losy Polski; o tem zapewne już każdy dostatecznie jest przekonany, dowodzić nie ma potrzeby. Jeżeli niedola i dotychczasowy oburzający stan włościan mniej obchodzi sumienie sejmujących, jak mniemane naruszenie cudzej własności przez zniesienie pańszczyzny w dobrach prywatnych, nastręczała się sposobność własnym przykładem przekonać, że istotnie tylko innych własność mają za świętą, że sami są przyjaciółmi reformy, która koniecznie nastąpić musi. Gdyby wyrzekli wszyscy, że znoszą pańszczyznę u siebie, że za skromną opłatą oddają na własność po kawałku ziemi swoim włościanom, jak to uczynił czcigodny reprezentant Zwierkowski, za takim przykładem poszliby wszyscy właściciele ziemscy. Europa, nie tylko najwaleczniejszym, ale i najcnotliwszym nazwałaby Polaków narodem. Niebo rozradowałoby się świętością takiego czynu i zlałoby błogosławieństwa na Polskę. Imie ojców narodu każdyby ze czcią i religijnem wymawiał uszanowaniem.

B. Z.

(Nowa Polska z d. 8 maja 1831 Nr. 123).

6. (Artykuł nadesłany).

Byłem naocznym świadkiem sceny, która mocne wrażenie na mojem sercu i umyśle sprawiła. Podaję ją do wiadomości publicznej, podaję przyszłym historykom mającym pisać o naszej teraźniejszej rewolucyi i o tym ludu polskim, którego poświęcenie się rozrzewnia serce nietylko prawego człowieka, ale nawet tego, którego własne Ja zwykłe bywać ojczyzną, światem, ludzkością i wszystkiem. Żołnierze z 4 pułku, którym ze skarbu dano koszule nowe, nadzwyczaj się rozczulali, między sobą mówiąc: »Mój

Boże, że oni też jeszcze mogą nam tyle dawać? jak to oni o nas pamiętają«! Kiedy niektórzy ludzie ogłoszenie wolności włościanom nazywają rozbojem, a to w obliczu izby i świata całego: włościanin żołnierz, niosąc życie w obronie wolności nas wszystkich, znosząc głód i nadludzkie trudy, kiedy odbiera kawałek chleba lub odzienia, skrapia je łzami i dziwi się, że tak wiele dostaje. Taka to jest miłość ojczyzny polskiego włościanina, taka ludzkość tych panów! B. Z.

(Nowa Polska z d. 20 czerwca 1831 Nr. 164).

IV.

Uwiadomienie o zatwierdzeniu wyboru poselskiego Bohdana.

Prezydujący w Senacie i Marszałek Izby Poselskiej.

Mają honor uwiadomić JWPana Bogdana Zaleskiego, iż wybór jego na posła z powiatu Taraszczańskiego na dzisiejszem posiedzeniu Izb Sejmowych połączonych jednomyślnością zatwierdzony został, z tem jednakże zastrzeżeniem, iż po upragnionem z nieprzyjaciół powiatu Taraszczańskiego oswobodzeniu, o zatwierdzenie wyboru swego przez Sejmik, stosownie do przepisów prawa odbyty, postarać się winien. Wzywają go przeto do zajęcia miejsca między Reprezentantami Narodu i do podpisania trzech najważniejszych aktów teraźniejszego Sejmu nadzwyczajnego, jako to:

1. Protokołu posiedzenia Izby Poselskiej z d. 18 grudnia r. z. na którem rewolucya za narodową uznaną została.
2. Aktu odpadnięcia od tronu polskiego cesarza Mikołaja i jego następców, z d. 25 stycznia r. b.
3. Nakoniec odezwy i aktu przysięgi z 3 lutego r. b.

W Warszawie d. 5 lipca 1831 r.

Marszałek Izby Poselskiej
Władysław Ostrowski.

Prezydujący w Senacie
Kochanowski.

Sekretarz Izby Poselskiej
J. Rostworowski.

Sekretarz Senatu
Niemcewicz.

Nr. 429.

INDEKS OSOBOWY.

(Liczby, umieszczone przy nazwiskach, oznaczają stronice).

Ważniejsze omyłki druku dostrzeżone:

Str. 58 w. 6 z dołu: zawsze czytaj na zawsze.
» 68 w. 15 » : Micewskiego czytaj Micowskiego.
» 77 w. 6 z góry: Słowianofil i Brodziński czytaj Słowianofil Brodziński.
» 85 w. 12 z dołu: podległego bytu czytaj niepodległego bytu.
» 92 w. 18 z góry: fanatyk czytaj fantastyk.
» 93 w. 11 » : milczących czytaj milczące.
» 108 w. 4 z dołu: im czytaj ihm.

497

TREŚĆ.

str.

str.

SPIS RYCIN.

BINDING SECT. AUG 2 0 1968

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG 7158 Z3Z87

Tretiak, Józef
Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego

